

PAULINA HENDEL

ZAPOMNIANA KSIĘGA

TROPICIEL



NASZA KSIĘGARNIA

PAULINA HENDEL

ZAPOMNIANA KSIĘGA

TROPICIEL

NASZA KSIĘGARNIA

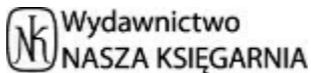
Zapomniana księga. Tropiciel

Spis treści

Zajrzyj na strony

Zajrzyj na strony:

www.nk.com.pl



Znajdź nas na Facebooku

www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia



Poznaj naszą ofertę - FANTASTYKA I HORROR

<http://www.nk.com.pl/fantastyka-i-horror/3/kategoria.html>

W serii **ZAPOMNIANA KSIĘGA** :

STRAŻNIK

TROPICIEL

W przygotowaniu:

ŁOWCA

Dla Kasi



ROZDZIAŁ I

– Jesteśmy przestępcami, zwykłymi złodziejami! – jęczał Ernest skulony na siedzeniu pasażera. – Złapią nas i aresztują. Ty wiesz, ile taka beemka musi kosztować? Moi rodzice w życiu się nie wypłacą... Nie zdamy matury, nie pójdziemy na studia, nie znajdziemy pracy i skończymy jako bezdomni pod mostem...

– Przestań marudzić – zachnął się Hubert. Na jego ustach przez cały czas błąkał się słaby uśmiech.

„Miałem rację, to nie był sen” – myślał.

– Dobrze, że udało nam się wydostać z Paryża – dodał wesołym tonem. – Po takim wybuchu ludzie na pewno zaczną panikować... Utworzą się gigantyczne korki.

– Czy ty rozum postradałeś?! Przecież nawet nie masz prawa jazdy! – wykrzyczał Ernest.

– Uwierz, że to nasz najmniejszy problem w tej chwili.

Od pół godziny pędzili autostradą w stronę Niemiec. Nikt ich nie zatrzymywał. Dwójka nastolatków w czarnym samochodzie podróżowała, nie przyciągając niczyjej uwagi.

„Oni jeszcze nie wiedzą, co się stało – myślał Hubert. – Jadą sobie spokojnie do pracy, na urlop, a kiedy usłyszą o Luvrze, będą przekonani, że to kolejny zamach jakichś fanatyków. Nikt nie podejrzewa, że nadszedł koniec świata, jaki znamy. Impuls elektromagnetyczny zniszczy rządzenia, epidemia zdziesiątkuje populację, a potem z mroku zaczną wychodzić demony”.

Chłopak zerknął na przyjaciela. Obrażony Ernest wyglądał przez okno.

„Ocaliłem cię, można zmienić bieg czasu. Teraz wszystko będzie inaczej – obiecał sobie

w duchu Hubert. – Uratujemy nasze rodziny, zdobędziemy demonologię i pojedziemy do Święcina”.

– Nie pozwolę umrzeć ani Izie, ani Henrykowi, ani nikomu innemu – szepnął chłopak – Nie pozwolę Bartkowi zabić żony...

– Co? – Ernest spojrzął na niego zaniepokojony.

– Nic. – Hubert pokazał zęby w uśmiechu.

– No i czego się tak szczerzysz? – burknął przyjaciel. – Wiedziałem, że to się kiedyś stanie.

– Co?

– Że w końcu odwali ci zupełnie. Nie rozumiem tylko, dlaczego mnie w to wszystko wciągasz...

– Ernie, uwierz mi, że teraz ani szkoła, ani ta głupia wycieczka nie mają znaczenia.

– No to wyjaśnij mi wreszcie, co się dzieje!

Hubert postukał palcami w kierownicę i się rozejrzał. Wkrótce zobaczył znak, którego wypatrywał. Zjechali z autostrady na stację paliw i zatrzymali się pod niewielkim barem.

– Warto by coś zjeść – rzucił, wysiadając z samochodu.

Ernest pokręcił głową i powłókł się za nim.

Hubert zamówił hamburgery z frytkami i colę.

Pod sufitem w barze był zawieszony telewizor. Nadawano wiadomości. Nagle wszystko wokół jakby zastygło w bezruchu – kasjer z wyciągniętą po pieniądze ręką, dwóch klientów przy stoliku z kanapkami w dłoniach, starsza pani, która myła podłogę, oparła się na mopie. Każdy wpatrywał się w ekran.

Młoda i ładna prezydentka w szarej garsonce stała na placu du Carrousel, a za jej plecami rozciągał się widok na ruiny Luwru. Wokół kręcili się bezmyślnie ludzie, gdzieś w oddali przejechał wóz strażacki, co rusz na ekranie migał ktoś w pomarańczowej kamizelce. Panował chaos.

Kamerę skierowano na karetkę pogotowia, dwóch sanitariuszy właśnie niosło w jej kierunku rannego. W tle jakaś dziewczyna, najwyraźniej w szoku, siedziała nieruchomo na ziemi. Na czole miała krew. I wtedy Hubert spostrzegł w gruzowisku błyski kolorów. Na początku nie zwrócił na nie uwagi, myślał, że to jakieś śmieci, ale po chwili zdał sobie sprawę, co tak naprawdę widzi. Że skrawek fioletowego materiału to kurtka, której właściciel leży przygnieciony kawałem betonu. Że spod przewróconej latarni wystaje delikatna kobieca dłoń.

Nagle obraz w telewizorze się zmienił. Ktoś filmował muzeum z helikoptera. Prezydent komentował wydarzenia powoli, z wahaniem, jakby do końca nie wierzył własnym oczom.

„Tylu ludzi – pomyślał Hubert. – Tylu zginęło, jeszcze więcej jest rannych. A ja nawet nie kiwnąłem palcem, wiedząc, że tak się stanie...”. Niby zdawał sobie sprawę, że nic by nie wskórał, bo przecież nie mógł zadzwonić na policję z informacją, że przysnił mu się koniec świata, ale uporczywy wewnątrz głos powtarzał, że mógł choć spróbować zapobiec temu, co się wydarzyło.

Nagle cała radość z faktu, że Święcino nie było wytworem jego wyobraźni, że jego przyjaciele wciąż żyją, uleciała. Miał świadomość, że zginie jeszcze więcej ludzi. Ale musiał uratować przynajmniej tych, których mógł.

– Zjemy na zewnątrz – rzucił do osłupiałego Ernesta.

Wcisnął kilka monet w dłoń kasjera, który nawet tego nie zauważył.

Chłopcy usiedli przy stoliku przed barem. Hubert odpędził od siebie wszelkie niewesołe myśli i wgrzył się w hamburgera.

– Naciesz się tym smakiem – powiedział z pełnymi ustami. – Jeszcze trochę, a będziemy jeść tylko zdrowe i ekologiczne jedzenie – dodał, popijając colę.

– Wiedziałeś o tym wybuchu, prawda? – bardziej stwierdził, niż zapytał Ernest. – Jakim cudem?

Hubert przełknął olbrzymi kęs. Wziął w palce frytkę, zamoczył ją w keczupie i wsunął do ust. Ernest przez cały czas nie spuszczał go z oczu. Nawet nie tknął swojego jedzenia.

– Jedz, zanim wystygnie. – Hubert wskazał brodą na kanapkę przy jaciela, lecz ten ani drgnął. – Dobra, słuchaj, może to trochę dziwnie zabrzmiało, ale... Nie wiem, jak to ująć. Miałem taki sen... Albo wizję. Poszliśmy pod Luwr na spotkanie z dziewczynami, ale one się nie pojawiły, a muzeum wyleciało w powietrze i... i – zająknął się. – I widziałem, jak przygniata cię taki wielki kawał gruzu.

Ta rewelacja nie wstrząsnęła Ernestem.

– No dobra, założmy, że miałeś wizję – powiedział, przeczesując palcami swoją rudą czuprynę. – Fajnie, że dzięki niej mnie uratowałeś. Ale ten zamach to jeszcze nie powód, żeby kraść samochód, ty idioto...!

– Ernest, to nie jest jedyna rzecz, jaka mi się przyśniła – dodał Hubert tak poważnym tonem, że przyjaciel zamilkł i spojrzał na niego z uwagą. – To był sam początek...

Zrelacjonował, jak obudził się ranny w piwnicy Jurka, nauczyciela historii, jak dowiedział się o impulsie, który zniszczył urządzenia elektryczne, o epidemii, która zabiła większość ludzkości. Opowiedział, jak trafił do Świącina. Dokładnie opisał wieś, a także mieszkańców osady. Na chwilę wszyscy ożyli, byli ludźmi z krwi i kości. A potem zaczął mówić o demonach. Potworach wychodzących z mroku i zabijających ludzi. Ze szczegółami zrelacjonował kłeskę wyprawy do biblioteki.

– Widziałem, jak wuj zabija strażnika Adama – mówił Hubert. – Tam było tyle krwi. A potem odkryli nas. I to wszystko przeze mnie. Zastrzelili Henryka i Jacka. Boże, trafili nawet Izę. Byłem świadkiem, jak światło gasło w tych jej dwukolorowych oczach. Ogarnęła mnie wściekłość i zawiedziony zdawałem sobie sprawę, że już nie ucieknę. Zanim zginąłem, zastrzeliłem całkiem sporo ludzi Łazarza. Ale było ich za dużo, nie miałem szans. Czuję każdą kulę, która przechodziła przez moje ciało, widziałem ich wściekłe, szalone twarze... A potem się obudziłem. W hotelu, siedem lat wcześniej, i wiem, że teraz mogę wszystko naprawić.

Kiedy skończył mówić, zapadła cisza. Przez chwilę Ernest unikał jego wzroku.

– Wiesz co, Hubert... – odezwał się w końcu. – Potrzebujesz pomocy specjalisty.

– Ty mi wciąż nie wierzysz – westchnął. – Przecież widziałeś, co się stało z Luwrem!

– Ale potwory? Demony? Koniec świata? Sam siebie powinieneś posłuchać.

– Wiesz co, masz rację... – Hubert zmarszczył lekko brwi. – Uratowałem ci życie, ale nie musisz w to wierzyć. Możesz robić, co chcesz. Ja jadę do Polski, uratuję rodzinę, zdobędę demonologię i przeżyję. A kiedy moje słowa zaczną się sprawdzać, może wtedy przyznasz mi rację.

Hubert wstał od stołu, zabrzączał wyjmowanymi z kieszeni kluczykami. Nie oglądając się na przyjaciela, ruszył w stronę samochodu. Zajął miejsce kierowcy i głośno zatrzasnął drzwi.

– Raz, dwa, trzy... – zaczął liczyć. Kiedy doszedł do piętnastu, Ernest usiadł na miejscu

pasażera.

– Nie myśl, że teraz wrócę do Paryża i będę się tłumaczył z twojego szaleństwa generał Goebbels – powiedział.

– Zobaczysz, nie pożałujesz.

Dwie godziny później przekroczyli granicę.

– Niech żyje strefa Schengen! – zawołał Hubert, kiedy znaleźli się na terenie Niemiec. – Przyznam, że trochę się bałem, że zamkną granice czy coś w tym stylu. A nie wiem, czy przepuściliby przez nią dwóch niepełnoletnich w kradzionym samochodzie.

– Wydaje ci się, że wiesz, co robisz, ale ty wcale tego nie przemyślałeś – jęknął Ernest. – Tylko jedziesz przed siebie...

– A masz jakieś lepsze pomysły?

Ernest tylko westchnął, mierzwiąc rudą czuprynę.

– Wykończysz mnie kiedyś.

– Wiesz, tak sobie myślę, że może wypadaloby zadzwonić do rodziców, co? Powiedzieć im, że wracamy trochę wcześniej z wycieczki, żeby się nie martwili – zaproponował Hubert.

– Przecież moi wyjechali – mruknął Ernest.

– A, zapomniałem. Dokąd?

– Polecieli na Sri Lankę. Pamiętasz? Dwudziesta rocznica ślubu. Mama była tak podekscytowana tym całym wyjazdem, przez trzy lata zbierała pieniądze...

„Sri Lanka jest daleko – zamyślił się Hubert. – Kiedy transport przestanie działać? Boże, mam nadzieję, że zdążą wrócić. Bo jak nie...”

Pokręcił głową, zerkając na kolegę.

– Ale mogę zadzwonić do siostry. – Ernest wyjął z kieszeni telefon. – Siedzi u dziadka na wsi.

Chłopak spróbował wybrać numer.

– Kurde, sieć zajęta. – Uniósł telefon, a potem wystawił go za okno. Nie pomogło.

– Pewnie ludzie panikują, dzwonią do rodziny, na policję... – pocieszył go Hubert.

– Ale już wyjechaliśmy z Francji...

– Pamiętasz, co ci mówiłem? Że odpalono bomby w większych miastach Ameryki, Europy i Bóg jeden wie gdzie jeszcze. Może i Niemcom się dostało.

– Nie wierzę w to wszystko. – Ernest przetarł dłońmi twarz.

„Sieć jest zajęta – myślał gorączkowo Hubert. – Ile czasu minie, zanim zupełnie padnie? Kiedy zabraknie internetu i prądu?”

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyczał nagle Ernest.

Hubert ocknął się z zamyślenia i w ostatniej chwili odbił samochodem w bok. Okazało się, że zjechał ze swojego pasa i mijające ich auto prawie o nich zahaczyło.

– Patrz, do cholery, na drogę! – Ernest był wściekły. – Jeszcze tego brakowało, żebyśmy rozbili się gdzieś tutaj i musieli się tłumaczyć przed policją...

– Podejrzewam, że policja ma w tej chwili ciekawsze rzeczy do roboty – mruknął Hubert, lecz od tej pory jechał ostrożnie.

Czas włókł się okropnie.

– Która godzina? – zapytał Hubert, kiedy przejechali kolejny nużący odcinek autostrady.

W myślach natrętnie wracały mu obrazy gruzowiska z ekranu telewizora.

– Zaraz szósta. – Ernest zerknął na zegarek – A mamy jeszcze trochę kilometrów przed sobą.

W domu będziemy najwcześniej o drugiej w nocy.

– Boże, jestem już zmęczony. – Hubert przetarł dłonią oczy. – Musimy zatrzymać się gdzieś na kawę.

– To może cię zmienię, a ty będziesz pilotował? – zaproponował Ernest.

– Przecież ty prowadzisz jeszcze gorzej niż ja!

– Ale szybko się uczę.

Na stacji benzynowej zatankowali, wypili po kawie i kupili na drogę coś do jedzenia i napój energetyczny.

Bez przeszkód – może poza gigantycznym korkiem pod Berlinem – dotarli do Polski. A im bliżej byli Poznania, tym bardziej rósł niepokój Huberta. Wracały obrazy z ostatniej wizyty w zrujnowanym domu. Nie zastał tam nikogo i obawiał się, że sytuacja się powtórzy, że rodzice z jakiegoś powodu wyjechali i już nigdy ich nie odnajdzie.

– Co tak nagle zamilkłeś? – Ernest jakby wy czuł jego niepokój.

– Opracowuję plan – skłamał.

– To znaczy?

– Przede wszystkim jutro trzeba iść do biblioteki.

– A ty znowu wyskakujesz z tą głupią książką... – westchnął Ernest.

– Nawet nie waż się tak o niej mówić – warknął Hubert. – Ludzie zginęli, żeby ją zdobyć. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak cenna jest wiedza w niej zawarta.

– Niech będzie. Biblioteka. – Przyjaciel ugodowo pokiwał głową. – A co potem?

– Trzeba zebrać zapasy żywności, wody, benzynę – wymieniał, usiłując sobie przypomnieć, jakie przedmioty były najbardziej potrzebne w Święcinie. – No i powinniśmy zdobyć broń.

– Broń? Czy ty już zupełnie oszalałeś? Niby skąd? I już sobie wyobrażam, co byś sobie odstrzelił!

– Myśl, co chcesz, ale akurat bronią umiem dobrze się posługiwać – zachnął się Hubert.

– Zupełnie jak ja. Gramy w te same gry komputerowe.

– Bardzo zabawne. Miałem colta i pepeszę...

– Pepeszę? Na pewno... Ty, gdzie my jesteśmy? – zapytał nagle Ernest. – Co to było za miasto, które przed chwilą mijaliśmy?

– A bo ja wiem... – zastanowił się Hubert, usiłując czytać mapę przy świetle małej samochodowej lampki. – Nie ma go na trasie.

– Zabłądziliśmy! Miałeś nas pilotować! – zdenerwował się Ernest.

– Pilotowałem! Przez kawał Niemiec dobrze nas prowadziłem. Skąd mogłem wiedzieć, że zgubisz drogę na własnym podwórku?

– Idiota. Teraz naprowadź nas na dobrą trasę.

– No dobra, zaraz powinniśmy skręcić w prawo.

Po niecałej godzinie i kilku kolejnych kłótniach udało im się trafić na właściwą drogę. O czwartej nad ranem byli już pod Poznaniem.

– Wygląda całkiem normalnie – stwierdził Ernest, patrząc na ulice.

– Niby tak... – mruknął Hubert, przypominając sobie, jak miasto będzie wyglądało za siedem lat – same ruiny, wrogo nastawieni ludzie, kryjące się we mgle wiję...

Chłopak potrząsnął głową, odpędzając od siebie wizje demonów, lecz ich miejsce zajął znów strach o to, co czeka na niego w domu.

– Spokojnie, cicho i nudno jak zawsze – mruknął Ernest, kiedy wjechali do swojej dzielnicy.

Zaparkowali samochód w uliczce niedaleko domu Huberta, licząc na to, że chwilowo nikt się nim nie zainteresuje. Decyzję, co dalej zrobić z wozem, odłożyli na później.

Gdy dotarli pod drzwi Huberta, chłopak miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z klatki piersiowej.

„Wszystko będzie dobrze – powtarzał w myślach. – Rodzice na pewno śpią”.

– Ciekawe, co powiedzą na naszą niespodziewaną wizytę – odezwał się Ernest, kiedy Hubert odnalazł w starej donicy klucz i właśnie wsuwał go w zamek – Ty się będziesz tłumaczył.

Zamek cicho szczęknął i już po chwili drzwi stanęły otworem. Przedpokój był pogrążony w ciemności, ale z salonu sączyło się słabe światło i odgłosy włączonego telewizora. Hubert powoli ruszył w tamtą stronę, czując ulgę, że dom jest spokojny i wygląda na to, że nic złego się nie wydarzyło.

– Tata? – odezwał się, kiedy w salonie zobaczył drzemiącego w fotelu ojca.

W telewizorze spiker mówił coś o ostrzale prowadzonym przez Amerykę i Koreę. Chiny groziły atakiem...

– Hubert... – Mężczyzna obudził się i z niedowierzaniem patrzył na syna.

Chłopak bez słowa do niego podszedł i uściśnął go mocno. Na tę chwilę czekał długie siedem lat.

– Co ty tu robisz? – zapytał ojciec. – I ty, Ernest?

– Wyśadzili Luwr w powietrze...

– Widziałem w wiadomościach. Tak się o was martwiliśmy. Sieć była zajęta, nie mieliśmy jak zadzwonić...

– Ale jesteśmy – powiedział wesoło Hubert.

„Znów zmieniłem bieg zdarzeń” – pomyślał ucieszony.

– Wróciście szybciej z wycieczki? – dopytywał się mężczyzna. – Ale dlaczego?

Hubert machnął ręką, zbywając pytanie.

– Gdzie mama? Śpi?

– Ma dyżur w szpitalu... – zająknął się ojciec. – To znaczy miała do ósmej wieczorem, ale pewnie coś się przedłużyło, a telefon nie działa, więc...

– Jak to?! Nie pojechałeś po nią?!

– Po co? Przecież już nieraz zostawała w pracy dłużej.

Hubert obejrzał się na przyjaciela, który niepewny, jak się zachować, stał w progu ze skrzyżowanymi w piersi rękoma, a potem zerknął na telewizor. Relacjonowano wybuch w kolejnym miejscu.

– Widzisz, co dzieje się na świecie! – Chłopak wskazał palcem ekran. – I nie reagujesz?! Świat się wali i nie sprowadziłeś mamy do domu?!

– Hubert, daj spokój – powiedział uspokajająco ojciec. – Kilka zamachów to jeszcze nie koniec świata. Owszem, tragedia, ale nie traćmy głowy. A poza tym w wiadomościach uprzedzali, żeby nie wychodzić z domu.

W tej chwili Hubert zdał sobie sprawę, że jego zadanie nie będzie tak proste, jak sobie wyobrażał. Wziął głęboki wdech, żeby trochę się uspokoić. Bezwiednie popatrzył na zdjęcie

w drewnianej ramce stojące na komodzie. Jak w transie powoli do niego podszedł, unosił dłoń i delikatnie pogładził palcami szybkę. Nie tak dawno ta fotografia była jego jedyną pamiątką po dawnym życiu. A teraz znów widział uśmiechnięte twarze – siebie jako dziecka i rodziców – jakby nic złego nigdy nie miało się zdarzyć.

Chłopak odwrócił ramkę i wyjął z niej zdjęcie.

– Co ty robisz? – zapytał zaskoczony ojciec. – Wiesz, że mama się wścieknie, uwielbia to zdjęcie.

Ale żadna siła nie powstrzymałaby Huberta przed schowaniem tej pamiątki do kieszeni.

Wtem w zamku zagrzytał klucz. Cała trójka zastygła w bezruchu. Po chwili do pokoju weszła Lidia Zawrocka.

– Nie śpisz, kochanie? Nie uwierzysz, co to był za koszmarny... – zaczęła, ale zamilkła, kiedy zobaczyła swojego syna i jego kolegę.

Zmarszczyła brwi.

– Co wy tu robicie? – zapytała zaniepokojona.

– Eee... – wyjąkał Hubert. – Wróciliśmy wcześniej.

– Jak to wcześniej? Jeszcze przez kilka dni mieliście być w Paryżu – mówiła mama, nie czekając na wyjaśnienia. – Gdzie wasza nauczycielka?

Ernest zerknął wymownie na przyjaciela. „No to teraz się tłumacz” – sugerowało jego spojrzenie.

– Hmm. No bo te wszystkie ataki terrorystyczne to dopiero początek – powiedział cicho Hubert. – Musieliśmy wrócić...

– Hubercie Zawrocki! Co ty znowu nabroiłeś?! – zapytała ostro mama. Chłopaka zawsze zastanawiało, jak ona odgaduje to, co on próbuje ukryć. – Urwaliście się z wycieczki, prawda?!

– Musieliśmy... – bronił się słabo. Jeszcze kilka dni temu był wysportowanym i silnym mężczyzną, nieustraszoną w walce, a teraz stał skruszony przed własną matką i nie umiał się wytłumaczyć.

– A ty?! – kobieta zwróciła się do Ernesta. – Myślałam, że masz więcej rozumu w głowie! I nie będziesz słuchał idioty czynnych pomysłów mojego syna! Co ja powiem twoim rodzicom?!

– W Paryżu byśmy zginęli! – próbował ich bronić Hubert.

– Za dużo filmów się naoglądałeś! – wybuchła znów jego matka. – Jak ja się wytłumaczę waszej nauczycielce?! Pewnie od zmysłów odchodzi, a nawet nie mogę zadzwonić, bo sieć padła.

– Mamo, w ciągu kilku dni padnie wszystko...

– Nie gadaj bzdur! Marsz do swojego pokoju! I ty też, Ernest!

Chłopcy ze spuszczoneymi głowami powlekli się na górę do zabałaganionej sypialni Huberta.

– Już zapomniałem, jak to jest mieć rodziców – mruknął Hubert, zamykając drzwi pokoju. Ale z uczuciem niewyobrażalnej ulgi pomyślał, jak to dobrze, że nie jest już sam.

– Mówiłem ci, że tak będzie. – Ernest wruszył ramionami i rzucił się na łóżko.

Przyjaciel spojrzał na niego z dezaprobatą i powiedział:

– Wiesz co, zamierzam wziąć długie gorące prysznic, zanim zabraknie wody.

Idąc do łazienki, usłyszał, jak na dole rodzice kłócą się, które z nich jest winne skandalicznych wybryków syna.

„Świat się wali, wszędzie giną ludzie, a oni martwią się, że wyrosną na kryminalistę” – pomyślał i z uśmiechem pokręcił głową.

- Chłopcy! – do uszu Huberta dobiegł nagłący głos. Nakrył więc głowę kódrą i go zignorował.
- Hubert! – Lidia ściągnęła z niego przykrycie.
- Co? – mruknął.
- Idziemy z tatą do pra...
- Nie! – Poderwał się nagle. – Nie możecie! Będzie wojna, a ja muszę wiedzieć, gdzie jesteście!
- Nie pleć bzdur! – prychnęła kobieta. – Dopóki rodzice Ernesta nie wrócą z wycieczki, obaj macie szlaban. Nie waście mi się wychodzić z domu. Jedzenie jest w lodówce. Będziemy z tatą w domu wieczorem.
- Cholera jasna – mruknął Hubert, patrząc na zamykające się drzwi. – Tym starym to kompletnie brakuje wyobraźni. Ty! – Kopnął łóżko, które w nocy wielkodusznie odstąpił kiedzie. – Wstawaj, mamy mnóstwo roboty.
- Taa? – zapytał sennie Ernest. – Dalej kroczyć ścieżką występku? Może dzisiaj będziemy okradać staruszki?
- Daj spokój, pieniądze za kilka dni i tak stracą wartość.
- A ten znowu swoje...
- Hubert podrapał się po głowie. Co robić? Już wiedział.
- Najpierw ruszył do łazienki, zatkał korkiem wannę i odkręcił kurki. Woda na pewno się przyda.
- Potem powędrował do kuchni i przez chwilę napawał się widokiem pełnej lodówki.
- Na co mam ochotę? – zapytał siebie. – Na wszystko.
- Zanim Ernest zszedł na dół, Hubert zdążył przygotować pełen talerz kanapek. Zrobił jajecznice z keczupem, mocną, czarną kawę i wypił pół kartonu mleka.
- Ty to zamierzasz zjeść? – zapytał przyjaciel, patrząc z dezaprobatą na stół.
- Pewnie, dawno nie miałem w ustach takich dobrych rzeczy – mruknął chłopak, z zadowoleniem przeżuwał kanapkę. – Choć muszę przyznać, że Kasia piekła lepszy chleb. Zresztą sam się kiedyś przekonaasz. A jaknie chcesz jeść, to możesz nabrać wody do garnków.
- Twoja matka się wścieknie.
- Może, ale potem jeszcze wszyscy będziecie mi dziękować.
- Jesteś nienormalny.
- Hubert wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.
- Ruszaj się, bo dziś musimy iść na zakupy i do biblioteki.
- Przez ciebie, głąbie, będziemy mieli jeszcze większe kłopoty, o ile to w ogóle możliwe – jęknął Ernest i zabrał się do nalewania wody do garnków.
- Ernie, Ernie, czy kiedykolwiek wpakowałem nas w coś, z czego nie potrafiłbym nas wyciągnąć? – zapytał Hubert, ale przyjaciel tylko znacząco westchnął.
- Przed wyjściem włączyli jeszcze telewizor. Na każdym kanale nadawano wiadomości. Zamachy terrorystyczne w kolejnych miastach.
- Nie wierzę – wyszeptał Ernest.
- Mówiłem.

Jak tylko zjedli, Hubert zabrał z puszek w kuchni pieniądze, które mama odkładała na zakupy, i wybrali się do najbliższego supermarketu. Kupowali tyle jedzenia z długą datą ważności, na ile tylko starczyło pieniędzy, a potem w dwóch wózkach sklepowych zawieźli to wszystko do domu

i poukładali w piwnicy. Wchodząc do ciemnego i chłodnego pomieszczenia, Hubert nie był w stanie opanować lekkiego drżenia rąk. Dobrze pamiętał, co tam się kiedyś kryło.

– No to teraz do biblioteki – zakomenderował, kiedy skończyli układać zapasy.

– Poczekaj, muszę coś jeszcze załatwić – odpowiedział Ernest.

– Co może być ważniejsze od biblioteki i demonologii?

Ernest wywrócił oczyma.

– Chcę napisać mejla do rodziców i siostry, że żyję, skoro sieć komórkowa wciąż jest zajęta.

– Dobra, tylko szybko.

Niestety, jak tylko włączyli komputer, okazało się, że internet nie działa.

– Szlag, zaczęło się! – jęknął Hubert. – Nie sądziłem, że to potoczy się tak szybko.

– Co ty gadasz? – przestraszył się Ernest. – To na pewno tylko krótka awaria.

W jego głosie można było wyczuć lęk.

– Może jeszcze się uda – pocieszył go Hubert. – Sprawdźmy, jak wrócimy z biblioteki, okej?

Ernest pokiwał głową. Chwilę później pędzili na rowerach Huberta i jego taty w stronę biblioteki. Woleli nie ryzykować podróży samochodem. Ktoś mógł ich zatrzymać.

I dobrze, że wybrali rowery, bo na drogach panował chaos. Wielu ludzi nie poszło do pracy, wychodzili na ulice i kręcili się bez celu. Inni okupowali posterunki policji, domagając się wyjaśnień.

– Niewiele brakuje, żeby zaczęły się jakieś zamieszki – mruknął zaniepokojony Hubert.

Zamknął oczy i przypomniał sobie słowa Jurka. „Ludzie sami dokończyli dzieła”.

„Jak zacząć panikować, nic ich nie powstrzyma przed demolowaniem domów, sklepów i mordowaniem innych” – pomyślał gorzko.

Natknęli się również na spory tłum klientów pod oddziałem jednego z banków. Wszyscy chcieli wypłacić pieniądze. Okazało się, że internet nie działał nie tylko w domu Huberta – bali się, że ich oszczędności przepadły. Oglądali wiele filmów i wiedzieli, co się dzieje w takich sytuacjach. Jednak na razie nie byli bardzo rozżaleni. Zagubieni, przestraszeni – tak. Ale nie zagniewani. Dość spokojnie słuchali kierownika oddziału banku, który ich przekonywał, że to tylko chwilowe trudności. Że awaria internetu nie wpływa na bankowe bazy danych.

– Żadne pieniądze nie znikną nikomu z konta! – mówił. – Na razie po prostu musimy uzbroić się w cierpliwość, aż wszystko zacznie działać!

Hubert wyczuł w jego głosie nutkę paniki. Mężczyzna wiedział, że nie jest wcale tak kolorowo, jak to przedstawiał.

Kiedy dotarli do biblioteki, chłopak zdał sobie sprawę z tego, że brak internetu może mieć wpływ także na ich misję.

Weszli do ogromnego budynku, po którym kręciło się dużo ludzi.

– Wypożyczalnia jest na górze – powiedział Ernest.

Przeskakując po dwa stopnie, wspięli się na pierwsze piętro. Przy komputerach siedziało kilku poirytowanych studentów. Internet najwyraźniej nie działał.

– Muszę jutro oddać pracę! – pieklił się jakiś chłopak – Jak mam to zrobić?

Gruba kobieta siedząca za biurkiem wypożyczalni wruszyła tylko ramionami. Najwyraźniej cudze problemy niewiele ją obchodziły.

– No i co, geniuszu? – Ernest zwrócił się do przyjaciela.

– Musimy znaleźć tę książkę. Tylko jak?

Ernie westchnął ciężko.

– Widać, że nie za często bywasz w bibliotekach – powiedział i ruszył w stronę podejrzanie wyglądających szafek

– Co to? – zaciekał się Hubert.

– Katalog kartkowy. Dobrze, że go nie zlikwidowali. – Ernest przyjrzał się małym szufladkom z literami. – Jak szukamy? Według jakiego hasła?

– Spróbuj „demonologia”. Nie wiem, kto mógł to napisać.

Ernest otworzył szufladkę z literą „D” i przez chwilę przekładał w niej karty.

– Mam, są dwie książki o takim tytule. Ale nie można ich wypożyczyć.

– Cholera... – mruknął Hubert. Wiedział, że przy drzwiach wyjściowych są czujniki i że nie mogą wynieść książki bez zwracania na siebie uwagi. – Nie podejrzewałem, że to będzie takie trudne – westchnął.

– To co teraz?

– Najpierw ją znajdziemy, a potem opracujemy plan.

– Ty chyba sobie jaja ze mnie robisz! Chcesz w biały dzień okraść bibliotekę?

Ale Hubert ruszył już w stronę kobiety siedzącej za biurkiem.

– Dzień dobry. – Przywołał na twarz szeroki uśmiech. – Potrzebuję pewnej książki...

– Nie znajdę ci jej teraz, katalog nie działa – odburknęła bibliotekarka.

– Ale to bardzo ważne, muszę napisać referat o wierzeniach słowiańskich. I znaleźliśmy ją w katalogu kartkowym.

Kobieta westchnęła ciężko.

– Rewers trzeba wypełnić – oznajmiła.

– Już się robi – powiedział Hubert, przywołując gestem Ernesta. – Od razu wezmę dwa egzemplarze, kolega też potrzebuje.

Bibliotekarka spiorunowała go wzrokiem.

– Tylko szybko, nie mam dla was całego dnia.

Ernest wypełnił dwa rewery i wręczył kobiecie, która z głośnym westchnieniem odłożyła pilniczek do paznokci, wstała z krzesła i poszła po książki. Chłopcy z niecierpliwością czekali na jej powrót.

– Co jest?! – krzyknął nagle jeden ze studentów przy komputerach.

Wszystkie monitory zgasły. W całej bibliotece pociemniało.

– Awaria jakaś? – zapytał Ernest.

– Cii... słyszysz? – Hubert przyłożył palec do ust i spojrzał na przyjaciela.

– Nic nie...

– Czekaj tu na książkę – rozkazał i popędził do schodów.

Zbiegł na parter i rzucił się do wyjścia. Kwietniowe słońce poraziło go w oczy. Teraz wyraźnie słyszał klaksony samochodów, zaraz potem do jego uszu dotarł głuchy huk, a po nim następny. Na pobliskim skrzyżowaniu właśnie zderzyły się dwa samochody, trzy inne nie zdążyły wyhamować i z rozpędem w nie wjechały.

Hubert zerknął jeszcze na sygnalizację świetlną, która przestała działać, a potem popędził znowu do biblioteki. Ernesta znalazł w czytelni. Opierając się o stolik, przeglądał książkę.

– Masz ją? – Hubert zachłannym wzrokiem spojrzał na niezbyt gruby tom, a potem delikatnie wyjął go z rąk przyjaciela i z namaszczeniem otworzył na pierwszej stronie. – W końcu – szepnął.

– To co teraz? – zapytał Ernest. – Była tylko jedna. Słuchaj, może ją skserujemy? Nie trzeba od razu kraść...

– Prąd wysiadł. – Hubert pokręcił głową.

– Jak to? Tak po prostu? – zapytał z niedowierzaniem Ernest.

– A czego się spodziewałeś? Fajerwerków? Zasłoń mnie – rzucił, po czym zdjął plecak i wepchnął do niego książkę.

– Hubert, nie rób tego.

– Daj spokój, prądu nie ma, alarmy nie działają, nikt nas nie złapie. – Zerknął w stronę biurka bibliotekarki, która głośno sprzeczała się o coś z grupką studentów. – Chodź... – Pociągnął przyjaciela za rękaw.

Zbiegli ze schodów, a potem pewnym krokiem skierowali się do drzwi. Hubert kątem oka dostrzegł ochroniarza zmierzającego w ich stronę.

– Szybciej – ponaglił Ernesta.

Chłopcy byli już tylko kilka metrów od wyjścia. Rzucili się biegiem i z impetem wypadli na zewnątrz.

Ernest rozejrzał się osłupiały. Kilka aut stało w poprzek ulicy, na najbliższym skrzyżowaniu samochody zderzyły się z tramwajem. Panował chaos. Wszyscy na siebie wrzeszczeli. Nadjeżdżały coraz to nowe auta, niektóre zdążyły wyhamować, inne się rozbiły. Kierowcy wysiadali i łapali się za głowy. Droga była całkowicie zablokowana. Przechodnie przystawali na chodnikach i ze zdziwieniem obserwowali, co się dzieje.

– Nic tu po nas, wracamy do domu – stwierdził Hubert.

Wsiadli na rowery i ruszyli. Miasto było sparaliżowane. Policja i straż miejska usiłowały uporać się z sytuacją, ale na razie szło im to bardzo opornie.

Chłopcy przypatrywali się wszystkiemu z niepokojem. Wiele razy musieli zsiadać z rowerów i przedzierać się przez spanikowany tłum. Droga powrotna zajęła im dużo więcej czasu, niż się spodziewali. Do domu dotarli późnym popołudniem.

Ernest przeszedł się po całym budynku, by sprawdzić, czy wszędzie nie ma prądu. Nie było. Zrezygnowany dołączył do Huberta w kuchni. Ten na dolnej półce lodówki znalazł zapas piwa taty. Uznał, że trzeba je wypić, póki jest zimne, bo lodówka pewnie już nie zadziała. Otworzył jedną puszkę, drugą podał przyjacielowi i przenieśli się do salonu. Hubert rozparł się w fotelu i z namaszczeniem wyjął demonologię z plecaka.

„Czy to było moje źródło wiedzy o demonach?” – zastanawiał się.

Spojrzał na okładkę, na której był naszkicowany olbrzymi, paskudny demon, i uznał, że autora ilustracji nieco poniosła wyobraźnia.

Otworzył książkę na wstępie.

„Nie tak dawno temu świat naszych przodków zamieszkiwały najrozmaitsze stwory, diabły i demony. To, czego ludzie nie rozumieli, przypisywali działaniu nadprzyrodzonych mocy. Uważali, że za zjawiskami przyrodniczymi, chorobami i podejrzany mi zachowaniami ludzkimi stoją demony. Było to coś więcej niż próba racjonalizacji świata. Stare wierzenia zawierały również wskazówki, jak żyć. Południca zniechęcała dzieci do deptania zbóż, a ponieważ zsyłała na ludzi pracujących w polu w południe udar słoneczny, należało schronić się przed nią – czy raczej niebezpiecznym słońcem – w cieniu. Z kolei dusze geometrów, którzy przy pomiarach ziemi oszukiwali prostych wieśniaków, pokutowały po śmierci na bagnach jako błędne ogniki”.

– Próba racjonalizacji świata? – mruknął Hubert, znów zerkając na okładkę. – Wskazówki, jak żyć? Te demony naprawdę istnieją, to wcale nie są tylko wierzenia!

Otworzył książkę na literze „a”.

– Albasta, negatywny demon, rodzaj rusałki... – czytał na głos. – Kradła bądź podmieniała niemowlęta... anioł... anty chryst... ankluz... ażdacha, o, demon powietrzny, to znaczy, że co? Że lata? Mam nadzieję, że nie.

– Co teraz będzie? – zapytał zniecierpliwiony Ernest, siadając na kanapie.

– Pij piwo, dopóki jeszcze je mamy – odpowiedział mu Hubert, nie odrywając wzroku od kartek.

– Daj spokój, wiesz, o co mi chodzi. Nie ma prądu, internetu, niczego. Co robimy?

Hubert spojrział na przyjaciela.

– Słuchaj, kiedy znów obudziłem się w hotelu w Paryżu, postanowiłem, że choćby nie wiem co, nie popełnię tych samych błędów i zmienię bieg historii. Już zacząłem. Uratowałem cię, wiem, gdzie są moi rodzice, zdobyłem demonologię. A potem pojedziemy do Świącina. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

– Na jakim obszarze zabrakło prądu? W mieście, kraju? Czy może na całym kontynencie albo świecie? – zapytał rzeczowo Ernest.

– Nie umiem ci odpowiedzieć. – Hubert pokręcił głową.

– Czy samoloty nadal mogą latać?

– Nie wiem, stary, naprawdę mi przykro.

Ernest odstawił na stół nienapoczęte piwo, które trzymał w dłoni.

– Macie gdzieś radio? Takie na baterie? – zapytał. – Może mimo wszystko coś będą nadawać. Duże firmy powinny mieć jakieś dodatkowe źródła zasilania.

– Poszukam – odparł Hubert i zwiłkł się z fotela.

W piwnicy, wspomagając się latarką, znalazł stary odbiornik. Włożył do niego nowe baterie i uruchomił. Chwilę trwało, zanim dostroił go do jakiejś stacji.

– ...silne pole magnetyczne powodujące zjawiska elektryczne... – Przez serię trzasków ledwie dało się słyszeć głos prowadzącego. – ...Korea grozi uruchomieniem nowej broni... skieruje atak na Stany Zjednoczone, jednak nie wiadomo, jaki będzie jej wpływ na resztę świata... Warszawa w gruzach... Ktoś odpalił ładunki we Wrocławiu... Elekrownie zapewniają, że awaria prądu jest tymczasowa... Władze apelują o zachowanie spokoju i nieopuszczanie domów bez konieczności...

– Muszę jechać do siostry... – powiedział cicho Ernest, kiedy wyłączyli radio. – Jak rodzice nie... nie wrócą, to ona i dziadek są moją jedyną rodziną.

– Pojedziemy po nią – obiecał Hubert.

Chłopak wypił łyk piwa, ale wcale mu nie smakowało.

– Chłopcy? – Do domu wszedł ojciec Huberta. – Co wy tu robicie? – Spojrział wymownie na puszki na stole.

– Daj spokój, cały świat się wali, to chyba nie będziesz się czepiał – mruknął Hubert.

Ojciec skrzywił się lekko i usiadł na kanapie obok Ernesta.

– Co robiliście dzisiaj? – zapytał.

– Nic ciekawego – powiedział Ernest.

– Boże, co za dzień – westchnął mężczyzna. – Kiedy wysiadł prąd, nie było po co siedzieć

w kancelarii, ale miasto jest tak zapchane, że powrót zajął mi kilka godzin. Chociaż teraz, gdy na każdym skrzyżowaniu ktoś kieruje ruchem, sytuacja trochę się unormowała... Mam nadzieję, że jutro już będzie prąd.

– Słuchałeś radia? – zapytał Hubert.

Ojciec kiwnął głową.

– I wciąż wierzysz, że będzie lepiej?

– Oczywiście, że tak. Naprawią usterki...

– Wy sadzili Warszawę!

– Cóż...

– Skąd wiesz, że następna bomba nie trafi w Poznań?

Daniel Zawrocki otworzył usta, a potem je zamknął.

– Muszę jeszcze trochę popracować, będę w swoim gabinecie – oznajmił w końcu i wyszedł z pokoju.

– Dlaczego oni nie wierzą, że będzie tylko gorzej? – zapytał ze złością Hubert.

– Bo dużo łatwiej jest wierzyć, że władze sobie z tym poradzą – odparł Ernest. – Jeżeli do jutra sytuacja się nie zmieni, jadę do siostry. Wezmę ten kradziony samochód, jak jeszcze stoi tam, gdzie go zostawiliśmy, i jadę.

– Razem pojedziemy. – Hubert pokiwał głową. – A potem do Świącina.

– Co ty znowu z tym cholernym Świącinem?! – Ernest spojrział na niego ze złością. – Taka wioska pewnie w ogóle nie istnieje! Pewnie ją sobie wymyśliłeś! – Nagle uszło z niego całe powietrze. – Do dupy z tym wszystkim, idę spać, po wczorajszym dniu ledwie stoję na nogach. Zresztą co tu robić bez światła, zaraz się zrobi zupełnie ciemno.

„A jeśli on ma rację? – W głowie Huberta zakiełkowała niepokojąca myśl. – Jeżeli Świącino nie istnieje? Co wtedy? Jak przetrwać następne lata?”.

Huberta obudził jakiś hałas. Otworzył oczy, ale wokół panował mrok. Zazwyczaj z ulicy sączyło się przez okna pomarańczowe światło latarni, jednak teraz miasto pograżyło się w ciemnościach. Z gabinetu ojca na korytarz wylewał się słaby blask latarki, dobiegał szelest dokumentów. Na zewnątrz rozległ się trzask zamykanych drzwi od samochodu. Na podjeździe zachrzęścił piasek, a chwilę później do domu weszła Lidia.

– Cześć, mamo! – Hubert wyszedł po omacku do przedpokoju ją przywitać.

– Cześć, kochanie! – Kobieta uściślała syna. Od dawna już jej na to nie pozwalała, jednak zawsze, gdy miała ciężki dzień w pracy, musiała go przytulić, jakby chciała się upewnić, że jest cały i zdrowy.

– Dobrze, że wróciłaś dziś wcześniej.

– Ale zaraz muszę wyjść – odparła. – Wpadłam tylko na chwilę, żeby coś zjeść, przebrać się i znów do pracy. Nie chciałam tylko, żebyście się o mnie martwili. Nawet nie wiesz, co to był za dzień...

– Nie możesz tam wrócić! – zaprotestował.

– Kochanie, nie kłóć się, to był naprawdę paskudny dzień, nie mam na nic siły – powiedziała, wymijając go.

– Co mam zrobić, żebyście mnie posłuchali?! – jęknął Hubert w przestrzeń.

– Co to za woda w wannie?! – krzyknęła z góry mama.

– Na wszelki wypadek jakby i jej zabrakło! – odwrzuciła.

Lidia nie skomentowała tego, że jej syn stał się nagle taki przezorny.

Kilka minut później rodzice przyszli do kuchni na późną kolację. Hubert przyglądał się im badawczo przy drgającym świetle świeczki.

– Ernest śpi? – zagadnęła mama.

– Tak

– Biedny chłopak. Nie wiadomo, co się dzieje z jego rodzicami. Bo Zuzia jest u dziadka, prawda?

Hubert pokiwiał głową. Przypatrywał się, jak mama robi sobie kanapkę. Niby bardzo szybko, ale starannie. Masło musiało być rozsmarowane dokładnie na całej kromce, szynka równo ułożona. Tata z kolei niedbale położył na chlebie wędlinę, przykrył ją serem i zabrał się do jedzenia.

– Tragedia z tym prądem – narzekła mama. – Zanim u nas uruchomiło się awaryjne zasilanie, minęło trochę czasu, a trwała operacja i zapanował chaos. Tylu ludzi poprzywozili nam z różnych wypadków samochodowych. No i pacjentka z jakąś paskudną odmianą grypy...

W umyśle Huberta zapaliła się czerwona lampka. Grypa!

– Co to za choroba? – zapytał.

– Słucham? – Mama spojrzała na niego zaskoczona.

– Co to za choroba?

– No mówię, że grypa. Ma objawy jak zwykła grypa, tylko nasilone. Wysoka gorączka, bóle...

– Nie możesz wrócić do szpitala! – wybuchł Hubert. – To jest śmiertelna choroba!

– Hubert, daj spokój – ucięła ostro mama. – Jestem już naprawdę zmęczona tymi twoimi podejrzeniami...

– Ale na razie mam rację. Tato, powiedz coś.

Ojciec spojrzał na syna, a potem na żonę.

– Może rzeczywiście powinnaś wziąć wolne?

– Obaj oszaleliście! – zdenerwowała się. – Wszyscy lekarze są postawieni w stan gotowości, a wy mi sugerujecie urlop!

– To będzie epidemia – spróbował jeszcze raz Hubert. – Większość ludzkości umrze.

– Wracam do pracy, samochód zostawiam w garażu, koleżanka po mnie przyjedzie – oznajmiła mama zmęczonym głosem. – Nie wychodźcie z domu. Jutro się jakoś do was odezwę.

Niedługo po jej wyjściu w kranach zabrakło wody. Tego wieczoru musieli wymyć się w misce.

W nocy Hubert nie mógł spać. Śniły mu się same koszmary. Ernest też rzucał się na łóżku. Najwyraźniej przeżywał to, że jest daleko od rodziny i nie wie, co się dzieje z jego bliskimi.

Rano Hubert, jak tylko wstał, dopadł do włącznika światła, ale prądu nadal nie było. Zrezygnowany zszedł na parter, Ernest jeszcze spał, a ojciec drzemał w fotelu w swoim gabinecie.

Chłopak na próbę odkręcił kran w kuchni, ale zaczęły się z niego wydobywać jedynie dziwne dźwięki. Hubert zrobił sobie śniadanie i jedząc, zaczął czytać demonologię.

– Boże, co za bzdury – stwierdził, przeglądając kolejne strony. – I dla czegoś takiego narażaliśmy życie?!

Dokładniej przyjrzał się tylko kilku opisom demonów, jednak żaden z nich nie wydawał się

sensowny.

– „Srala”? Co to za demon? – burknął. – A „hała”? Imię własne diabła. Przecież to jest idiotyczne! – zdenerwował się. – Nie, to już jest przesada. Demon o nazwie macica. Wywoływał kolkę żołądkową... Podobno każdy miał macicę... Kretynizm – sapnęła, ze zniechęceniem zamykając książkę.

Niedługo potem do kuchni przyszedł Ernest. Był zaspiany, rude włosy sterczały mu we wszystkie strony.

– Włączę radio, okej? – powiedział.

Hubert kiwnął głową.

– ...coraz więcej przypadków śmiertelnej grypy... – mówił spiker.

Chłopcy spojrzeli po sobie.

– Miałeś rację – wyszeptał Ernest.

– Mówiłem ci – odparł Hubert. – To będzie epidemia czy nawet pandemia. Kurde, musimy wynieść się z miasta. Tylko jak zmusić do tego rodziców?

– Nie wiem. Jak ci się nie uda, jadę sam.

– Cholera – burknął Hubert. – Nie ma takiej opcji, żebyśmy się rozdzielili. – Wziął do ręki radio i pewnym krokiem pomaszerował do gabinetu ojca.

– Tato, słuchaj – powiedział, stawiając odbiornik na biurku. Podkreślił głos.

– ...wygląda na grypę – mówił jakiś lekarz. – Ale jest dużo agresywniejsza i nie reaguje na leczenie.

– Słyszysz? – zapytał ostro Hubert i przełączył stację.

– ...ofiary szacuje się na setki tysięcy ludzi...

Znow przełączył.

– ...pożar się rozprzestrzenia szybko...

– ...impuls elektromagnetyczny...

– ...trzy osoby zmarły na grypę...

– ...ludzie zdemolowali oddział banku, chcąc odzyskać swoje pieniądze...

– Nadal mi nie wierzysz, że to koniec? – Hubert wyłączył radio. – Cały kraj jest w rozsypce.

Nic się już nie da naprawić.

– To co chcesz robić? – naskoczył na niego ojciec. – Przecież nie mamy gdzie iść. A poza tym jak zamierzasz ściągnąć matkę ze szpitala? W życiu nie da się stamtąd sprowadzić.

– Jakś to załatwię. Ernest chce jechać po siostrę. Jest teraz sam na świecie. Przez wzgląd na jego rodziców powinniście go zawieźć na Pomorze.

– Mogę go zawieźć...

– Nie! – przerwał mu Hubert. – Nie możemy się rozdzielać. Bo potem możemy już się nie znaleźć. Najbezpieczniej będzie, jeśli wszyscy pojedziemy na północ, na wieś. Tam nie będzie zamieszek, bomb, może nawet ta choroba tam nie dotrze.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. – Ojciec dłonią pogłodził się po brodzie.

– Chcę tylko wiedzieć, czy kiedy sprowadzę tu mamę, pomożesz mi zapakować ją do samochodu. Czy stąd wyjedziemy. Jak się wszystko uspokoi, możemy wrócić do domu – dodał, wiedząc, że kłamie, że sam nigdy się nie zgodzi na powrót do zrujnowanego miasta.

– Dobrze. – Ojciec kiwnął głową, a Hubert w końcu odetchnął z ulgą.

– My z Ernestem pojedziemy teraz do niego po rzeczy, a ty spakuj wszystko, czego możemy

potrzebować.

– Jak zamierzacie jechać do Ernesta? – zapytał podejrzliwie ojciec.

– Nieważne... – Hubert machnął ręką. – W piwnicy są zapasy jedzenia. I nalej wodę do wszystkich butelek, jakie znajdziesz w domu...

Zadowolony, że w końcu coś mu się udało, wrócił do kuchni po przyjaciela.

– Jedziemy do ciebie – oznajmił.

Ze swojego pokoju przyniósł kluczyki do kradzionego BMW i z uśmiechem skierował się do drzwi. Wychodził już z domu, kiedy nagle się zatrzymał i wrócił do środka.

– Zaraz będę! Ty już idź tam, gdzie zaparkowaliśmy – rzucił przez ramię do przyjaciela. –

Oby nasz wóz nadal stał w tej uliczce. Ale w tym całym chaosie wątpię, by ktoś się nim zainteresował.

Wrócił po plecak, do którego zapakował demonologię.

Szczęśliwie BMW stało dokładnie tam, gdzie je zostawili.

– Po cholere ci teraz ta książka? – zapytał Ernest, kiedy wsiedli do samochodu.

– Od tej pory nigdzie się bez niej nie ruszam.

Jechali pustymi ulicami. Obrzeża miasta na szczęście nie zakorkowały się tak jak centrum. Ci, którzy nie poszli do pracy, siedzieli w domach. Poza tym niebo zasnuło się ciemnymi chmurami i zanosilo się na deszcz, co tym bardziej nie zachęcało do wychodzenia na zewnątrz. Po kilku minutach chłopcy zaparkowali pod domem Ernesta.

– Czego będziemy potrzebować? – zapytał rudowłosy chłopak

– Weź swoje ubrania – odparł Hubert. – Zuzy też. I wiesz co... jakieś zimowe też się mogą przydać.

Ernest kiwnął głową. Na razie jego przyjaciel był jedyną osobą, która orientowała się, co się dzieje, więc postanowił się z nim nie sprzeczać.

– Śpiwory, suchy prowiant, buty – wymieniał Hubert.

Wkrótce do samochodu trafiło wszystko, co uznali za potrzebne w następnych tygodniach.

– Podleję kwiaty mamy – powiedział Ernest, kiedy robili ostatnią rundę po domu. – Wściekniesz się, jak wszyscy stkie pousy chają.

A po chwili zrobił się cały czerwony, jakby pożałował tego, co powiedział.

– Tak, zrób tak – Hubert kiwnął głową. – I wiesz co, mógłbyś wziąć też dla siebie i Zuzy jakieś zdjęcie albo coś, co należało... ee... należy do waszych rodziców.

Ernest pokiwał głową i odszedł.

Hubert patrzył na niego ze współczuciem, przykładając dłoń do kieszeni kurtki na piersi, gdzie spoczywało zdjęcie z komody.

Ernest wrócił po kilku minutach, pod pachą niósł album.

– Wziąłem cały – powiedział, unikając wzroku przyjaciela. – Nie mogłem się zdecydować.

– Tak, to dobry pomysł. – Hubert poklepał Ernesta po łopacie.

Drogę powrotną również pokonali bez problemów. Wypakowali rzeczy, po czym Hubert z powrotem wsiedł do samochodu.

– Dokąd jedziesz? – zapytał Ernest.

– Po mamę. Będę musiał ściągnąć ją tu siłą. Cholerna przysięga Archimedesza.

– Chyba Hipokratesa?

– No przecież mówię. To na razie. – Hubert wycofał auto z podjazdu i ruszył w stronę miasta. O przednią szybę zaczęły rozbijać się duże krople deszczu. Wszystko wokół pociemniało. Im był bliżej centrum, tym więcej widział ludzi i samochodów. Na większych skrzyżowaniach stali policjanci i kierowali ruchem.

Po niecałej godzinie zajechał pod szpital. Deszcz rozpadał się na dobre, zaczęło grzmieć.

Budynek był zatłoczony. Na szczęście miał awaryjne zasilanie, więc w środku było jasno. W poczekalni siedziało mnóstwo pacjentów, panował rozgardiasz. Hubert chciał zapytać mijaną właśnie pielęgniarkę, gdzie może znaleźć mamę, ale nie zwróciła na niego uwagi. Przeciskając się przez tłum, chłopak skierował się do gabinetu Lidii Zawrockiej, jednak nie zastał jej tam. Truchtem biegł przez korytarz, wymijając ludzi. Chorzy nie mieścili się już w salach, wielu leżało na łóżkach na korytarzach. Deszcz zaczął w szyby.

„Gdzie ona może być?” – zastanawiał się Hubert, kiedy w oddali zobaczył biały kitel i jasne włosy związane w niedbały kok

Pędem rzucił się w stronę znajomej sylwetki.

– Hubert? – zdziwiła się mama, kiedy do niej dopadł. – Co ty tu robisz?

– Tacie coś się stało! – wyrzucił z siebie, siłąc się na płaczący ton. – Schodził ze schodów i stracił przytomność i... i nie mogę go ocucić! – Hubert był dumny z siebie, że w oczach załśniły mu łzy.

Lidia rozejrzała się wokół, jakby szukając pomocy.

– Chcieliśmy zadzwonić na pogotowie, ale telefony nie działają! – kontynuował chłopak płaczącym tonem.

– Nie mogę... – szepnęła mama. – Właśnie przywieźli nam rannych z pożaru...

– I ma chyba złamaną rękę! Sterczy pod dziwnym kątem. Nie wiedzieliśmy, co zrobić!

Na twarzy mamy odbijało się wiele sprzecznych uczuć. W końcu ze zrezygnowaniem pry gry zła wargi.

– Tylko wezmę torbę – powiedziała cicho i szybkim krokiem ruszyli do jej gabinetu. – Jak się tu dostanieś? Musimy pożyczyc od kogoś samochód, żeby szybko wrócić do domu. Mój przecież dziś zostawiłam...

– O to się nie martw – odparł Hubert.

Lidię zastanowiła dziwna nuta w głosie syna, ale za bardzo martwiła się o męża, żeby to roztrząsać.

Wyszli ze szpitala, Hubert chwycił ją za łokieć i poprowadził do auta.

– Co to ma znaczyć?! Skąd się wziął ten samochód?

– To teraz nieistotne. Wsiadaj. – Niemal siłą wepchnął ją na siedzenie pasażera.

– Przecież ty nie umiesz prowadzić!

– Jeszcze się zdziwisz.

Hubert ruszył z piskiem opon.

– Zwolnij! – krzyknęła mama, kiedy wyskoczyli na główną ulicę.

Ale Hubert ani myślał zwalniać.

– Hamuj!!!

W gęstym deszczu w ostatniej chwili zobaczył, że ktoś wyszedł na pasy, i z piskiem opon zatrzymał się kilka centymetrów od mężczyzny, który zaczął go wyzywać. Ale Hubert wyminał go i ponownie przyspieszył.

– Zwolnij! Korek z przodu! – krzyknęła Lidia, zapierając się rękami o deskę rozdzielczą.

– Cholera! – Uderzył dłońmi w kierownicę.

Nerwowo rozejrzał się dookoła, lustrując okolicę. Zobaczył lukę. Cofnął auto kilka metrów i gwałtownie skręcił na krawężnik.

– Pozabijasz nas! – wrzasnęła mama.

Pędząc chodnikiem, ominęli skrzyżowanie. Policjant w panice zamachał rękoma i gwizdał na nich, ale Hubert go zignorował. Zjechał z chodnika, skręcił gwałtownie i poprowadził w poprzek trypasmowej ulicy. Wdarł się na pas zieleni, skręcił z niego na równoległą drogę i przez chwilę jechał pod prąd, ledwie unikając zderzenia z innymi samochodami.

– Jezus Maria! – jęknęła mama.

Hubert gwałtownie skręcił w boczną drogę...

– Nigdy więcej już nie dam ci prowadzić! – krzyknęła mama, kiedy zaparkowali pod domem i na trzęsących się nogach wysiadła z samochodu. – O prawie jazdy możesz zapomnieć!

– Oj, daj spokój, nie było aż tak źle. – Hubert uśmiechał się z zadowoleniem, ale mama nie zwracała na niego uwagi.

– Gdzie tata? – zapytała, biegnąc w kierunku domu.

– Eee...

Zdążył już zapomnieć o swoim kłamstwie. Wparował za mamą do środka.

Ojciec wyszedł im na spotkanie z kuchni.

– Nic ci nie jest... – Mama stanęła oszupiała, po czym spiorunowała syna wzrokiem. – Hubert?!

– No bo, eee... wiesz, inaczej byśmy cię nie ściągnęli do domu – zaczął się tłumaczyć.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – wybuchła. – Tam umierają ludzie! Jestem im potrzebna!

– My też cię potrzebujemy – powiedział powoli chłopak.

– Młody ma rację. – Daniel złapał żonę za rękę i obaj poprowadzili ją do kuchni, gdzie przy stole, słuchając radia, siedział Ernest. Był ziemisto błydy i wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy płakać, czy krzyczeć w panice.

– ...jeżeli Korea odpali swoją broń, Ameryka cofnie się do średniowiecza – mówił głos z radia. – Taki impuls elektromagnetyczny zniszczy każdy sprzęt elektroniczny. Prezydent Stanów obawia się, że Chiny również dysponują tego rodzaju bronią. Nikt nie wie, jaki wpływ...

– Boże – szepnęła ojciec. – Jeżeli to diabełstwo mają Korea i Chiny, to USA na pewno też, i Rosja... Wszyscy cofniemy się do średniowiecza.

– Nie przesadzaj – mruknęła mama, ale już mniej pewnym tonem.

– Czy ty nic nie rozumiesz?! – wybuchł Hubert. – Oni to odpalą! Zaraz będzie po Stanach i Korei. Już dawno temu zaczęli się ostrzeliwać! A ile przypadków grypy dzisiaj miałaś w szpitalu?!

– Cztery, ale to nic nie znaczy...

– A ile śmiertelnych? – zapytał cicho Hubert.

Mama na chwilę zamilkła.

– Dwa – przyznała.

– Posłuchaj, kochanie. – Tata złapał ją delikatnie za ramiona. – Ernest musi pojechać do swojego dziadka...

– Ale to przecież tak daleko!

– Cii, nie przerywaj. Co by powiedzieli jego rodzice, gdyby usłyszeli, że w takiej chwili nie pozwoliliśmy im być razem? Na wsi spokojnie zastanowimy się, co dalej...

Hubert dał znak Ernestowi, żeby wyszli z pokoju.

– On ją namówi – mruknął, kiedy weszli do salonu.

Ernest wciąż ścisnął w rękach radio.

– Może lepiej tego nie słuchać? – zaproponował Hubert.

– Muszę wiedzieć...

– Dobrze, chłopcy. – Do pokoju wmaszerowała mama. – Odwieziemy Ernesta do dziadka. Nie wiemy, kiedy wrócimy, więc, Hubert, spakuj się rozsądnie. Lepiej zabierzmy też cenne rzeczy... Wyjeżdżamy jutro z samego rana. A teraz wyjaśnij mi, skąd się wziął ten samochód, którym po mnie przyjechałeś.

Hubert z niepewną miną zaczął się tłumaczyć, a rodzice słuchali go z kamiennym wyrazem twarzy.



ROZDZIAŁ II

Lidii nie spodobał się pomysł, że mają jechać na Pomorze dwoma samochodami, z czego jeden jest wypakowany zapasami żywności i najpotrzebniejszymi przedmiotami codziennego użytku, ale postanowiła się nie kłócić.

– Powinniśmy wziąć BMW – stwierdził przy śniadaniu Hubert. – Zajedzie na pewno dalej niż ten gruchot mamy.

– Nie możemy jeździć kradzionym samochodem! – oznajmiła mama.

– Myślę, że policja ma lepsze zajęcia niż szukanie kradzionych aut – powiedział chłopak. Pozostali pokiwali głowami, ale kobieta była nieugięta.

Piętnaście minut później trzech mężczyzn czekało przy samochodach na Lidie, która sprawdzała, czy zakręcili kran, zawór gazu, zamknęli garaż i wyrzucili szybko psujące się jedzenie. Jak zawsze przed podróżą.

Sytuacja na drogach znacznie się pogorszyła. Ludzie uciekali z miasta.

„Najwyraźniej w takich chwilach każdy sobie przypomina o dalekiej rodzinie mieszkającej na wsi” – pomyślał Hubert, patrząc przez okno na sąsiadów pospiesznie pakujących swój dobytek.

Jechał z mamą, która po wczorajszym rajdzie nawet nie chciała słyszeć, by usiadł za kierownicą. Tuż za nimi trzymali się ojciec z Ernestem. Na trasie wylotowej z Poznania utknęli w ogromnym korku. Nie przypominał on jednak tych z filmów o katastrofach. Wolno, bo wolno, ale jakoś jechali.

Po burzy poprzedniego dnia niebo się rozjaśniło i słońce mocno przygrzewało. Na niebie nie było ani jednej chmury, zrobiło się naprawdę duszno. Spod maski samochodu stojącego przed nimi nagle buchnęły kłęby pary.

– No i się zagotował – jęknął Hubert. – Oby tylko nam się to nie przytrafiło, bo w życiu nie dojedziemy na to Pomorze. I to mam nadzieję, że starczy nam paliwa. – Zerknął na licznik, który wskazywał ponad połowę baku.

Mama wzięła głęboki wdech i spojrzała na niego przenikliwie.

– Teraz mamy czas, możesz mi w końcu wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

– Przecież słyszałaś, co mówili w radiu...

– Tak, ale ty za każdym razem uprzedzałaś wiadomości.

Chłopak milczał, nie wiedząc, co jej powiedzieć. Ernest ledwo mu uwierzył, jak więc miał przekonać mamę?

– Posłuchaj, zostawiłam w szpitalu pacjentów, zawiodłam kolegów, chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia.

Hubert postukał palcami w podłokietnik i wyjrzał przez okno. Mama zawsze szóstym zmysłem wy czuwała, kiedy kłamie, więc postawił na prawdę.

– Bo mi się to wszystko śniło – wyduśił szybko.

– Jak to śniło?

– Zamach na Luwr, brak prądu, epidemia... Wiedziałem, że to wszystko się zdarzy.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że to brzmi jak scenariusz jednego z tych twoich filmów?

Hubert potarł dłonią czoło.

– Dlaczego musicie być tacy uparci? – zdenerwował się. – Świat się kończy, a wy dalej swoje.

Cieszył się w duchu, że jeszcze nie wspomniał o demonach. Po czymś takim już na pewno nie potraktowaliby go poważnie.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie ma prądu – odezwała się po chwili pojednawczo mama. – Jeżeli tak się dzieje na całym świecie...

– To cofniemy się do średniowiecza – Hubert powtórzył słowa taty. – Wczoraj mówili w radiu, że kilka krajów dysponuje tą bronią, impulsem elektromagnetycznym, a nikt nigdy nie przetestował, jak ona właściwie zadziała. Efekt mógł się wymknąć spod kontroli. Ale nie będzie aż tak źle...

Przypomniał sobie Świącino, jak spokojnie i leniwie płynął tam czas. Oczywiście z wyjątkiem chwil, kiedy atakowały ich demony.

– Ale przecież wojsko musi coś zrobić... Ktoś musi zająć się zorganizowaniem funkcjonowania państwa...

– Mamo, oni już teraz nie wiedzą, co robić, a jak na dobre rozpęta się ta epidemia, nie będzie już żadnego państwa do zarządzania. Każdy będzie dbał tylko o siebie.

– Dlaczego zakładasz takie czarne scenariusze?

– Bo to wszystko... widziałem.

Mama westchnęła ciężko, ale nie skomentowała.

„Za dużo informacji do przetrawienia – uznał Hubert. – Spokojnie sobie wszystko przemyśli, to może w końcu uwierzy w to, co się dzieje”.

W końcu wyjechali za miasto. Minęło pół dnia. Każda stacja benzynowa, jaką mijali, była

zamknięta.

– Boże, jak to dobrze, że mieliśmy z ojcem zatankowane samochody – powiedziała mama, patrząc na auto, którym jechali jej mąż i Ernest. – Myślę, że czas na obiad. – Zerknęła na zegarek. Mignęła światłami awaryjnymi i zjechała na parking.

– Co się dzieje? – zapytał Daniel, podchodząc do nich.

– Musimy coś zjeść – odparła jego żona, wydymając z bagażnika koszyk z jedzeniem.

Każdemu wręczyła po kanapce i butelce wody mineralnej.

Hubert z uśmiechem pokręcił głową.

„Cywilizacja upada, a ona zdążyła zrobić kanapki na drogę. Dlaczego ja nigdy nie myślę o takich rzeczach?”.

– Patrząc na te korki, sądzę, że powinniśmy jechać bocznymi drogami – rzucił tata między kolejnymi kęsami chleba.

– Tak, to brzmi rozsądnie. – Mama pokiwała głową.

Hubert podszedł do Ernesta, który stał oparty o maskę samochodu. Wystawił twarz do słońca.

– Jak tam? Trzymasz się? – zapytał.

– No. Mam nadzieję, że Zuzi nic nie jest – odparł.

Hubert przyjrzał się przyjacielowi. Wyglądał na zmęczonego, jakby od dawna nie spał. Musiał martwić się o rodziców.

– Chłopcy, jedziemy! – zawołała Lidia. – Mamy jeszcze długą drogę przed sobą.

Bez ociągania wsiedli do samochodów.

Bocznymi drogami jechało się dużo wolniej, były wąskie i dziurawe, ale też mniej zatłoczone.

Wkrótce wjechali w gęsty las, rozpostarł się nad nimi zielony baldachim i słońce przestało już tak bardzo prażyć.

„Kiedy demony zaczną wychodzić z ukrycia? – zastanawiał się Hubert. – Las już nigdy nie będzie tak bezpiecznym miejscem jak kiedyś. – Wzdrygnął się mimowolnie, ale zaraz w głowie zaświtała mu krzepiąca myśl. – Mam demonologię i jestem tak blisko Święcina. Wystarczyłoby odbić trochę w bok i dotarlibyśmy na miejsce. Tam czeka na nas bezpieczny dom... Ale mama i tata na pewno nie zgodzą się, żeby zbaczać z trasy, a Ernestowi tak się spieszy do siostry... Kiedy odstawimy go do dziadka, rodzice i tak będą chcieli wracać do Poznania. Nie mam pojęcia, jak ich powstrzymam. Muszę poczekać, aż sytuacja się wyklaruje, a wszyscy rozumieją, że to koniec. Święcino przecież nie ucieknie. Ciekawe, jak wygląda teraz Iza, może nie jest jeszcze taka złośliwa...”.

Nagle zobaczyli jakiegoś człowieka z plecakiem idącego poboczem. Usłyszawszy samochody, odwrócił się w ich stronę i wystawił kciuk.

– Biedak, pewnie też jedzie do rodziny – stwierdziła mama i zaczęła zwalniać.

– Nie zatrzymuj się – zaprotestował Hubert. – Nie wiesz, co to za jeden!

– Nie tego cię uczyłam. W takich chwilach trzeba sobie pomagać.

Auto przy stanęło.

– Otwórz okno – rozkazała mama.

Hubert z ciężkim westchnieniem spełnił jej życzenie.

– Dzień dobry. – Około dwudziestoletni chłopak się uśmiechnął. – Jadą państwo może w stronę morza?

– Wsiadaj do tyłu – odparła wesoło mama. – Hubert, odgarnij trochę nasze graty i zrób

miejsce.

„Matka Teresa się znalazła – pomstował w myślach. – Facet się okaże jeszcze jakimś seryjnym mordercą”.

– Dokąd jedziesz? – zagadnęła Lidia, kiedy ruszyli.

– Do rodziny – odparł autostopowicz. – Kiedy tylko usłyszałem o tych zamachach, a potem wysiadł prąd, stwierdziłem, że pora rzucić studia i jechać do najbliższych. Widzę, że państwo też chyba do rodziny? Nieźle zapasy macie... – powiedział, patrząc na ich bagaże.

Hubert mierzył obcego wzrokiem. Chłopak miał długie i przetłuszczone włosy. Może nie był zbyt masywny, ale i tak lepiej zbudowany od niego. Zaczął właśnie wypytywać mamę, czy w młodości też jeździła okazją. Niby się przy tym sympatycznie uśmiechał, ale Hubertowi i tak się nie podobał.

Lidia spojrzała na syna karcąco. On tylko wzruszył ramionami i odwrócił głowę w stronę bocznego okna.

Jechali jakieś pół godziny, mama wesoło gawędziła z autostopowiczem, a Hubert co chwilę zerkał na niego w lusterku, czy nie zachowuje się podejrzanie. Mijali właśnie jakiś leśny parking, kiedy samochód ojca mignął awaryjnymi światłami.

– Boże, w takim tempie nigdy nie dojedziemy! – jęknął Hubert, kiedy się zatrzymali.

– Pora na siłę, coś przekąsimy i jedziemy, nie marudź – uspokajała go mama.

– Pikników się wam zachciało – narzekął Hubert, jedząc kanapkę przy drewnianym parkingowym stole.

Lidia oczywiście podzieliła się jedzeniem ze studentem.

– Zaraz powinniśmy się zbierać. – Tata zerkał na zegarek

– To może ja jeszcze pójde za potrzebą... – przeprosił ich student i oddalił się w las.

Hubert wstał i zaczął go obserwować.

– Jak ty się zachowujesz?! – wybuchła mama. – Taki miły chłopak, tak samo jak my jedzie do bliskich, a ty gburą zgryzwasz! Do ciebie mówię, Hubert! Spójrz na mnie...

– Oj, mamó, daj spokój... – zamilkł, bo usłyszał dziwny dźwięk. Brzmiało to, jakby ktoś... otwierał drzwi od samochodu.

Odwrócił się gwałtownie.

Student siedział za kierownicą ich auta. Tego z zapasami...

„Kluczyki są w środku!” – przypomniał sobie Hubert.

Bez zastanowienia rzucił się ratować ich dobytek

„Nie zdążę dobiec!”.

Skęrcił trochę w bok, żeby zablokować wyjazd z parkingu. Student właśnie odpalił silnik i ruszył z piskiem opon. Hubert wyskoczył mu prosto pod koła i z hukiem uderzył dłońmi o maskę. Autostopowicz odruchowo wcisnął hamulec.

Hubert gwałtownie otworzył drzwiczki i wywłókł obcego na zewnątrz. Złapał go za kołnierzyk kurtki i mocno przycisnął plecami do samochodu.

– Nawet nie próbuj – warknął, po czym szarpnął nim i rzucił na ziemię.

Chłopak upadł na kolana.

– Wynocha! – wrzasnął Hubert i wziął zamach, żeby kopnąć autostopowicza, lecz w tym momencie zobaczył kątem oka, że rodzice wraz z Ernestem patrzą na niego z przerażeniem.

„Nie mogę przy nich” – pomyślał.

Kopnął piach, po czym wyjął z auta plecak obcego i mocno nim cisnął. Chłopak chwycił dobytek, zebrał się z ziemi i pobiegł przed siebie.

Hubert stał jeszcze chwilę w miejscu i patrzył za nim, by się upewnić, czy obcy nie stanowi już zagrożenia, po czym odwrócił się w stronę bliskich.

Tata stał z otwartymi ustami. Czegoś takiego nie spodziewał się po własnym synu, który nad jakąkolwiek aktywność fizyczną przedkładał komputer. Z kolei mama ruszyła w jego stronę z gniewnym wzrokiem.

– Mógł cię rozjechać! – krzyknęła.

– Mógł ukraść nasz samochód i zapasy!

– Wsiadaj, jedziemy! – ucieła dyskusję.

– Chyba sobie coś naciągnąłem... – jęknął Hubert, ze złością miną rozmasowując bark.

– To było dobre, stary – powiedział cicho Ernest, przechodząc obok niego, i poklepał go po łopacie.

– Czyli zostało mi jeszcze trochę formy po poprzednim życiu – szepnął do siebie zadowolony Hubert, po czym wsiadł do samochodu.

Pod wieczór wjechali do niewielkiej wsi o nazwie Dąbrówka, gdzie mieszkał dziadek Ernesta. Miejscowość wydawała się wymarła. Ludzie pochowali się w domach, nikt nie kręcił się na zewnątrz.

Dom dziadka Ernesta, położony na końcu wsi, był o wiele za duży dla jednego człowieka i pewnie przez to zaniedbany. Ogródek porastały prawie same chaszczki. Tylko gdzieś tam z gęstych traw wychylała się samotna róża – znak, że kiedyś ktoś pielęgnował to miejsce. Za domem znajdowały się obora, chlew i kurnik. Budynki te również nie wyglądały najlepiej.

– Wszelki duch! – zakrzyknął Albert, wychodząc im na powitanie.

Starszy pan – niski i poskręcany jak stare drzewo – emanował jednak siłą. Hubert wiedział, że kiedyś był strażakiem.

– Dziadek! – Ernest podbiegł do mężczyzny, który wziął go w ramiona i mocno przytulił.

– Tak się o ciebie, chłopcze, martwiłem – powiedział drżącym głosem. – I o twoich rodziców... – Po chwili spojrzął na Lidzię i Daniela Zawrockich, którzy spokojnie czekali, aż przywita się z wnukiem. – Dziękuję, że mi go przywieźliście.

Hubert też już miał podejść do starszego pana i się przywitać, kiedy Ernest rozejrzał się niespokojnie i zapytał zachrypniętym ze zdenerwowania głosem:

– Dziadku, gdzie jest Zuzia?

Mężczyzna spuścił głowę.

– W domu, ale...

Ernest ruszył biegiem do drzwi i wpadł do środka.

– Dobrze, że jesteście, już nie wiedziałem, co robić... – Albert pokręcił z rezygnacją głową i poprowadził pozostałych do środka.

Weszli do pokoju na parterze, a tam na łóżku leżała trzy-nastoletnia Zuzia. Była trupio biała, na szyi miała kołnierz ortopedyczny, jej rude, kręcone włosy leżały w nieładzie na poduszce. Obok klęczał Ernest.

– Co się stało? – zapytał cicho, zwracając wzrok na dziadka.

– Potracił ją samochód, nie wiem, jak to się stało – wyjaśnił cicho Albert. – Przecież nic tu prawie nie jeździ, a jeżeli już, to bardzo powoli...

– Co powiedzieli lekarze? – zapytała rzeczowo Lidia.

– Że miała szczęście. Lekki guz, połamane dwa żebra i rozcięcie na łydce... Ale wygląda tak słabo i chciałem znów zawieźć ją do szpitala... Nie przyjęli nas, nie mają prądu. Tak mi przykro.

– Głos mu się załamał, gdy mówił do Ernesta. Wydawał się bezsilny i zrozpaczony. – Chciałem zawiadomić waszych rodziców, ale z nikim nie mogłem się skontaktować.

– Mama? – Nagle dziewczynka się obudziła.

– Nie, kochanie, to ja, Lidia, mama Huberta – powiedziała kobieta i pogładziła Zuzię po głowie.

– Jaksię czujesz?

– Nie wiem – szepnęła.

– Cześć, mała – wyduł przez łyż Ernest, pochylając się nad dziewczynką.

– Ernie?

Chłopak się uśmiechnął i uściśnił rękę siostry.

– Idźcie wszyscy do kuchni, zobaczą, co z nią – zakomenderowała Lidia.

Mężczyźni wyszli.

– Napijecie się herbaty? – zapytał Albert i trzęsącymi się rękoma zaczął wyjmować kubki z szafki.

– Może ja zrobię? – zaproponował Hubert. – Niech pan usiądzie.

Chudy i przygarbiony mężczyzna pokławał głową z wdzięcznością.

– Jak to się stało? – zapytał Ernest.

– Nikt tego nie widział, kierowca mówił, że wyskoczyła mu prosto pod koła. Od razu wezwaliśmy karetkę, jeszcze wtedy wszystko działało, ale kiedy byliśmy w szpitalu, okazało się, że telefony nie mają zasięgu. A potem wysiadł prąd. Wypisali ją, żeby zrobić miejsce dla innych. Lekarz mówił, że nic jej nie będzie, ale i tak się martwię. No i to skaleczenie na łydce nie wygląda dobrze...

– Mama się nią zajmie – zapewnił Hubert, parząc herbatę.

Lidia Zawrocka w końcu wmaszerowała do kuchni.

– Możesz do niej iść. – Skinęła głową na Ernesta. – Zrobili jej w szpitalu prześwietlenie?

Albert pokławał głową i przyniósł z pokoju zdjęcia. Kobieta długo się im przypatrywała przy oknie, chociaż już zaczęło się robić ciemno.

– Pęknięte żebra, ale poza tym nic niepokojącego nie widzę – stwierdziła w końcu. – Czaszka też jest cała. Po prostu potrzebuje czasu. Tylko nie podoba mi się rana na łydce.

– Ale nic jej nie będzie? – W drzwiach stanął Ernest.

– Nie martw się, miałam już pacjentów w gorszym stanie. – Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Czyli zostanieie tu trochę dłużej? – Albert nagle się ożywił. – Nie wiadomo, co się dzieje w miastach, a tu względny spokój, pokoje na górze są wolne... Odpoczniecie wszyscy i zobaczymy, co będzie się działo dalej na świecie. Dobrze?

Rodzice chłopca spojrzeli po sobie.

– W sumie nigdzie się nam nie spieszy... – powiedział tata.

– Powinniśmy zostać, zajmę się Zuzią – dodała Lidia. – Jestem to winna jej mamie.

W powietrzu zawisły niewypowiedziane słowa. Nikt nie wiedział, jakie są szanse na to, że

rodzice Zuzi i Ernesta wrócą ze Sri Lanki. Podejrzewali, że niewielkie, przynajmniej na razie.

Ernest przez większość wieczoru czuwał przy siostrze. Pozostali przynieśli rzeczy z samochodów do domu i usiedli w salonie przy świecach. Około dziesiątej Lidia wygoniła wszystkich do łóżek

– I tak ostatnio źle sypiam, mogę równie dobrze zostać z Zuzią – powiedziała.

Hubertowi i Ernestowi przy padła niewielka sypialnia na końcu korytarza na piętrze.

– Co teraz będzie? – jęknął Ernest, kiedy w ciemności kładli się spać.

Hubert wyjął z kieszeni zdjęcie rodziny i postawił je na szafce obok łóżka.

– Moja mama wyleczy Zużę, zobaczysz – zapewnił. – Tutaj jest bezpieczniej niż w mieście.

Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki Poznań będzie zrujnowany za siedem lat. Obawiam się tylko tego nowego szczepu grypy. Spustoszy kraj. Ale najważniejsze, że na razie wszyscy żyjemy.

Włożył rękę pod poduszkę, gdzie wyczuł palcami twardą okładkę demonologii.

Od jutra zagryzie zęby, zacznie czytać i nauczyć się wszystkiego na pamięć.

Ranek był pochmurny, z nieba siępał przejmująco zimny deszcz. Ernest wstał o brzasku i poszedł do siostry, z kolei Hubert spał do oporu. Około jedenastej zszedł do kuchni.

– Co na śniadanie? – zapytał wesoło.

– Jajecznica i boczek, ale to było trzy godziny temu – odparł ojciec, który siedział przy stole i czytał jakąś książkę.

– Weź sobie, co chcesz, jedzenie trzymam w piwnicy, tam jest najchłodniej – powiedział Albert.

Hubert wybrał się do piwnicy po pasztet i masło. W kuchni znalazł chleb. Do tego zrobił sobie jeszcze mocną kawę.

– Zimą trzeba by zorganizować zapas lodu i przenieść do piwnicy – mruknął, jedząc.

– Po co? – zapytał ojciec.

– No bo skóra nie ma prądu, to potrzebna jest jakaś inna lodówka niż ta. – Wskazał brodą na maszynę stojącą w rogu kuchni.

– Przecież prąd powinien niedługo... – zaczął ojciec, ale potem przypomniał sobie audycje radiowe.

– Też słyszeliście o tej broni Koreańczyków? – zapytał Albert. – Myślicie, że jej użyją?

Hubert z pełnymi ustami pokiwał głową.

– Ja wciąż nie mogę w to uwierzyć – przyznał Daniel.

– A ja przypuszczałem, że kiedyś coś takiego się stanie – powiedział Albert. – Ludzie tak uzależnili się od techniki, że bez niej nie potrafią żyć, tylko czekać na jakąś tragedię. Ale nikt mi nie wierzył.

Hubert uśmiechnął się ciepło do starszego mężczyzny. Poczuł, że w końcu ma sprzymierzeńca.

Do kuchni weszła Lidia.

– Jak się czuje Zuza? – zapytał Hubert.

– Podobnie jak wieczorem – powiedziała kobieta, przygotowując sobie kawę. – Tylko ta lydka... Nie podoba mi się, wygląda, jakby źle oczyścili ranę. Ropieje pod szwami.

Hubert się skrzywił.

– Sama bym ją oczyściła, ale brakuje mi leków – westchnęła. – Zabrałam tylko te podstawowe.

– Myślicie, że jakaś apteka będzie otwarta? – zapytał Albert.

– Nie wiem, trudno powiedzieć.

– Ale możemy się przejechać i zobaczyć – zaproponował Hubert.

– No nie wiem. – Kobieta pokręciła głową.

– Daj spokój, nic się nie stanie, pojedę z nim – powiedział Daniel. – Tylko zrób nam listę, czego potrzebujesz.

Chwilę później lekarka sporządziła długą listę zakupów i wręczyła mężowi.

– Ale nie wiem, ile to wszystko będzie kosztować – oznajmiła, zaglądając do portfela.

– Ja też mam trochę pieniędzy – wtrącił Albert, wręczając im kilka banknotów.

– Wiecie co, w razie czego weźcie też to. – Lidia wyjęła z uszu złote kolczyki. – W tej chwili mają chyba większą wartość niż pieniądze. Może znajdziecie lombard...

– No to jedźmy – pospieszył ojca Hubert. Włożył kurtkę, buty, wyszedł z domu i czekał przy samochodzie.

Kątem oka zauważył, jak Albert zatrzymuje Daniela i wciska mu coś w dłoń.

„Czy on mu właśnie dał pistolet? No patrz, nie spodziewałbym się. Ciekawe tylko, czy tatuś potrafi strzelać...”

Deszcz wciąż siąpił z nieba, gdy jechali pustą szosą do Bobrowników, najbliższego miasteczka, gdzie miała być apteka.

– Jest! – krzyknął Hubert, kiedy zauważył duży niebieski napis w jednym z okien niewielkiego budynku.

Ojciec zatrzymał samochód.

– Chyba zamknięte – powiedział, próbując przeniknąć wzrokiem ciemne szyby.

– Ale Zuza potrzebuje tych leków – odparł chłopaki się rozejrzał.

W okolicy nie było żywego ducha.

– No i gdzie jest porządna cegła, kiedy człowiek jej potrzebuje? – mruknął.

Ojciec spojrzął na niego pytająco.

Hubertowi zaświtał pewien pomysł. Wyjął z samochodu gaśnicę. Przez chwilę jeszcze się wahał, w końcu wybił szybę w drzwiach apteki. Butem usunął odłamki, które jeszcze trzymały się framugi, i wszedł do środka. Ojciec przyglądał mu się szeroko otwartymi oczami. Chciał coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował. Był problem, a syn go rozwiązał.

Dość dużo czasu zajęło im znalezienie leków z listy.

– Chyba już wszystko? – zapytał Hubert, zerkając na zapakowane po brzegi reklamówki.

– Mam nadzieję. Zbierajmy się lepiej...

Zapakowali „zakupy” do samochodu i odjechali.

– Myślałem, że będzie gorzej – rzucił z zadowoleniem Hubert.

– Zważywszy na to, że włamaliśmy się do apteki...

– Jedną szybę wybiliśmy, to żaden włam. A pieniądze za leki oddamy, jak tylko znów otworzą – dodał Hubert, nie wierząc, że taka okazja się trafi.

Pół godziny później dojechali do Dąbrówki.

– I jak? – Na spotkanie wysła podenerwowana Lidia.

Jej mąż uniósł w górę pełne reklamówki.

– Nie mieliście problemów? Martwiłam się o was.

– Spoko, mama, daliśmy radę – odparł Hubert, wyszczerzając zęby.

Lidia zabrała się do rozpakowywania leków, kiedy mąż wcisnął jej w dłoń złote kolczyki.

– Zatrzymaj je na inną okazję – powiedział. – Mogą się jeszcze przydać.

Przez chwilę wyglądała, jakby chciała zapytać, czym zapłacili, ale tego nie zrobiła. Niektórych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

Albert wyszedł, aby zająć się zwierzętami, Lidia z Ernestem zamknęli się w pokoju z Zuzią, a Daniel, z braku jakiegokolwiek zajęcia, zabrał się nieudolnie za przygotowanie obiadu.

„Cóż za sielska rodzinka” – pomyślał Hubert, idąc do swojej sypialni. Miał coś do przeczytania... i wkucia na pamięć.

– A więc jednak będę tą chodzącą encyklopedią demonów – stwierdził, rzucając się na łóżko. Otworzył książkę i zaczął czytać.



ROZDZIAŁ III

Tydzień od zamachu na Luwr przez wieś przemaszerowała kolumna wojska. W pierwszej chwili wszyscy mieszkańcy zgarnęli z ulicy dzieci i pozamykali się w domach. Niektórzy jeszcze bardzo dobrze pamiętali czasy, gdy po drogach jeździły czołgi. Lecz po jakimś czasie, gdy nie wyczułi żadnego zagrożenia ze strony żołnierzy, zaczęli z ciekawością wyglądać przez okna.

Później do Dąbrówki przyjechał na motorze wojskowy kurier z rozkazami dla ochotniczej straży pożarnej. Jako przedstawiciele jedynej służby mundurowej w okolicy w obliczu epidemii zostali powołani do pilnowania porządku we wsi. Wprowadzono godzinę policyjną, teoretycznie zabroniono opuszczać domy.

„Ale co taki młody chłopaczek z OSP może zrobić z tym swoim toporkiem? – myślał Hubert, patrząc przez okno, jak dwóch strażaków patroluje ulicę. – Może tylko powiedzieć: » Panie Kaziu, proszę nie wyłazić z chałupy«. A jeżeli pan Kaziu będzie miał ochotę, to i tak polezie, gdzie chce”.

Kurier poinformował straż również o tym, że zablokowano szosy, nie można się po nich poruszać, by w razie potrzeby wojsko miało wolną drogę. Państwo zostało podzielone na sektory według granic wyznaczanych przez rzeki. Mniejsze mosty wysadzono, przy większych, jak ten niedaleko Dąbrówki, stworzono posterunki, gdzie stacjonowali żołnierze.

„Zdążyliśmy w ostatniej chwili – myślał Hubert. – No i teraz przynajmniej nie mam problemu z rodzicami, że chcą wracać do domu”.

Jednak gdy człowiek był uparty, czterej wartownicy na moście w zamian za papierosy

przymykali oko na ewentualne migracje.

Pewnego popołudnia dziadek Albert z Danielem Zawrockim siedzieli w kuchni, jak zwykle słuchając radia, na szczęście jeszcze kilka stacji miało własne generatory prądu. Hubert, ku przerażeniu Ernesta, pałaszował ogromny talerz kanapek. Nagle odbiornik zatrzeszczał i zamilkł.

– Co jest? – zdziwił się starszy pan, potrząsając urządzeniem.

Chłopcy spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Impuls... – szepnął Hubert.

– Cała elektronika wysiada – wyjaśnił Ernest.

– Szlag! – krzyknął Hubert. – Samochody! – rzucił się na zewnątrz i dopadł auta mamy.

Uderzając udem o kierownicę, usiadł na miejscu kierowcy, wsunął kluczyk w stacyjkę, przekręcił go, ale auto nie odpaliło. Ponowił próbę jeszcze kilka razy.

– Pieprzony impuls! – krzyknął, uderzając dłońmi, a potem czołem o kierownicę.

– Nie działa? – zapytał Ernest.

– Nie, nie działa – mruknął Hubert.

Wysiadł z samochodu i z bezsilnej złości skopał oponę.

– Hubert! Zachowuj się! – mama przywołała go do porządku. – Co się dzieje?

– To impuls elektromagnetyczny... – Daniel nie do końca wierzył we własne słowa. – Zdaje się... wszystko zniszczył.

– Jak to?

– Nic nie działa – syknął Hubert. – Żadna elektronika.

Wieść szybko rozeszła się po wsi. Ludzie byli przerażeni, przez cały czas czekali, aż znowu włączą prąd, jego brak uważając za chwilową niedogodność, aż tu nagle wszystkie elektroniczne sprzęty przestały działać. Hubert wiedział, że prawdziwe problemy dopiero się zaczną – telewizory, radia, komputery nadawały się już tylko na złom. A to tylko początek, koniec z żarówkami, nowszymi zegarami, lodówkami, piecami. Jeszcze byli w stanie używać zwykłych kuchenek, ale ile czasu potrwa, zanim skończy się gaz i będzie trzeba używać tych starych, w których pali się drewnem?

Dla Huberta, który spędził w Świecinie kilka miesięcy, nie było to takim wielkim szokiem. Tam musiał przecież radzić sobie bez prądu i nie było aż tak źle. Lecz pozostali mieszkańcy Dąbrówki znosili to nieco gorzej. Wszystkim boleśnie doskwierał brak informacji o tym, co dzieło się na świecie. Dopiero teraz zdali sobie również sprawę z tego, jak bardzo byli uzależnieni od takich sprzętów jak lodówka, piec elektryczny, zmywarka czy wiertarka. Nagle praca i życie stały się trudniejsze. To, co kiedyś nie wymagało zbyt wiele wysiłku, teraz stało się prawie niewykonalne.

Dąbrówka była małą, niezbyt nowoczesną wsią – co okazało się atutem. Wiele domów miało stare systemy grzewcze i studnie, więc ludzie żyli jak przed laty, w niemal całkowicie samowystarczalnych gospodarstwach.

Prawie codziennie sołtys Cegła wysyłał syna na barykadę na moście. Przesyłał stróżującej czwórce żołnierzy obiad i kawę, które wymieniał na informacje o tym, co się dzieje w świecie. Niestety, młodzi rekruci nie wiedzieli zbyt wiele, szczególnie odłąd impuls zniszczył wszelkie urządzenia służące do komunikowania się z bazą. Raz tylko zrelacjonowali to, co ponoć wydarzyło się w Bobrowniach. A Hubert i Ernest zdolali podsłuchać rozmowę sołtysa z dziadkiem Albertem, gdy ten pierwszy wpadł z wizytą.

– Dwa dni po tym, jak przeszedł ten pieprzony impuls, ludzie wyszli na ulice i zaczęli strajkować – mówił sołtys. – Wiesz przecież, że większość ma nowoczesne piece gazowe, które przestały w ogóle działać, a w nocy można zmarznąć, choć niby jest ciepło.

– Gorzej z wodą – wtrącił Albert.

– Gorzej? Makabra. Nie wiem, czy kłókolwiek miał tam studnię, podejrzewam, że w desperacji zaczęli czerpać wodę z tej ich brudnej rzeki. Zabrakło jedzenia, sklepy pozamykały, to zaczęli się do nich włamywać. Co, nie ograbiłbyś sklepu, gdybyś musiał nakarmić dzieci?

– A pewnie, że bym ograbił.

– A to przecież tylko ci porządni obywatele. Ciemne, długie noce, sklepy bez alarmów, domy bez ochrony, nie ma jak wezwać policji, pomocy nikąd, takie rzeczy sprzyjają napaściom i włamaniom.

– I co?

– Nic, strajki, nie strajki, wojsko chciało ich uspokoić, sytuacja wymknęła się spod kontroli i tragedia gotowa.

– Zawsze tak jest – odparł Albert. – W niepewnych czasach ludzie gromadzą się, szukając wsparcia w tłumie. A tłum to nieokiełznana siła. W tłumie zawsze robisz to co inni, chociażby dlatego, żeby ciebie nie stratowali. I wystarczy, że ludzie są lekko podenerwowani. Tylko krok dzieli ich od szału. Wystarczy jeden okrzyk, jeden kamień i sytuacja rzeczywiście wymyka się spod kontroli.

Hubert wymienił spojrzenia z przyjacielem. Co to znaczy, że sytuacja wymknęła się spod kontroli? Czyżby ludzie zaczęli się zabijać?

„Skoro sytuacja wygląda tak źle w małych Bobrowniach, to co się musi dzieć w większych miastach? – myślał panicznie Hubert. – Prądu zabrakło już przecież przed impulsem. W wielu miejscach złodzieje już dawno zaczęli się włamywać do sklepów z drogim sprzętem i do bogatych rezydencji. Nie wiedzą jeszcze, że wkrótce najcenniejsze okażą się jedzenie, woda i lek”.

Hubert przypominał sobie zdewastowane miasta i wsie ze swojego snu. Epidemia zabije setki tysięcy istnień, brak prądu oraz żywności też będzie mieć poważne konsekwencje, ale to ludzie sami dokończą dzieła, kradnąc i mordując się nawzajem.

Minęły dwa tygodnie od zamachu na Luwr. Stan Zuzi się poprawił. Rana się goiła, a pęknięte żebra zrastały. Dziewczynka mogła już siedzieć. Wciąż wypytywała o rodziców. Ernest spędzał z nią większość czasu. Hubert z kolei w chwilach wolnych od uczenia się demonologii, co zresztą okazało się żmudnym i nudnym zajęciem, pomagał Albertowi w gospodarstwie. Najchętniej pojechałby już do Święcina, jednak drogi wciąż były zablokowane, a do tego nie mieli czym podróżować.

Dopił kawę, zamknął książkę i odwrócił się na łóżku na plecy.

– Kat – powiedział. Zaciskając powieki, oczywiście wyobraźni zobaczył wyraźne litery. – Bezpostaciowy, atakuje tych, których dręczą wyrzuty sumienia. Zsyła omamy.

Otworzył oczy i zapatrzył się w sufit.

– Bezpostaciowy... – mruknął. – I jak niby mamy z takim walczyć?

Demonologia zawierała opisy wielu dziwacznych stworów, ale część haseł brzmiała sensownie. Na przykład informacje dotyczące strzygi i wija zgadzały się z tym, czego Hubert

doświadczył we śnie. Czuł, że będzie musiał się nauczyć odróżniać słowiańskie wymysły od prawdy.

Zmęczony nauką wyrzwał w końcu przez okno. Słoneczna pogoda zachęcała do wyjścia na dwór.

„A może by zobaczyć, co słychać we wsi?” – przyszło mu do głowy.

Ostatnio, wbrew zaleceniom straży pożarnej, mieszkańcy często spotykali się w świetlicy wiejskiej. Narzekali na los i rząd, który nic nie robi. Wszyscy czuli się uwięzieni w Dąbrówce, nie mogli jej opuścić. Najgorszy jednak był brak informacji.

Zbiegł z piętra na dół i zajrzał do pokoju Zuzi. Byli z nią Ernest i matka Huberta.

– Jak tam? – zapytał.

– Cześć. – Dziewczyńka uśmiechnęła się do niego. – Gramy w karty, chcesz dołączyć?

– Ee, nie, myślę, że dobrze sobie radzicie beze mnie – wykręcił się. – Idę na dwór.

– Tylko uważaj na siebie! – krzyknęła za nim Lidia.

– Przecież nie mam dziesięciu lat – rzucił przez ramię.

W korytarzu spotkał ojca, który postanowił się do niego przyłączyć. Ruszyli do świetlicy.

Jak zwykle po południu przy zaimprovizowanych stołach siedziało kilka osób. Daniel usiadł między nimi, Hubert stanął trochę z boku i oparł się plecami o ścianę. Z widzenia znał tu prawie wszystkich – Dąbrówka nie była dużą wsią. Mieszkało tu kilku rolników, pielęgniarka ze szpitala w pobliskim mieście. Dwie rodziny prowadziły gospodarstwa agroturystyczne.

– I wyobraźcie sobie, że nie chcieli nas przepuścić – mówiła zdenerwowanym tonem pielęgniarka. – Nie wiem, co się dzieje z moją córką i jej rodziną! A każda droga jest zabarykadowana!

– A przez las, tamtą drogą, próbowaliście? – zapytał ktoś.

– Pewnie – zachnęła się. – Ale potem wyjeżdża się na drogę powiatową, na której był kiedyś most, ale go wysadzili. Przekłęta epidemia!

Dopóki działały radia, zewsząd dochodziły do nich wieści o kolejnych przypadkach grypy, jednak na razie w Dąbrówce nie było żadnych zachorowań.

Hubert spróbował zwrócić na siebie uwagę ojca i posłać mu spojrzenie „a nie mówiłem”, jednak Daniel był zbyt zaabsorbowany słowami wysokiego mężczyzny, męża pielęgniarki.

– Ta grypa szaleje po regionie. Albo i jeszcze dalej. Żołnierz przy blokadzie mówił, że to właśnie z jej powodu podzielono państwo na sektory, żeby ludzie się nie przemieszczali i nie roznosili wirusa, dopóki nie zostanie opracowana szczepionka.

Hubert wiedział, że nie zdążą jej wyprodukować.

– A nam już brakuje jedzenia! – wybuchł nagle ktoś.

– Nam też – dodał ktoś inny. – I innych podstawowych produktów!

– A Woźnicowa nawet nie myśli o otwarciu sklepu!

Po sali przebiegł gniewny pomruk. We wsi był tylko jeden sklep, a jego właścicielka, pani Mariola Woźnica, już dawno temu go zamknęła.

„Pewnie, też bym zatrzymał towar dla siebie – pomyślał Hubert. – Dobrze, że przynajmniej kilka gospodarstw ma nadal studnie, bo bez wody byłoby marnie”.

– Tak nie może być! Przecież to wiejski sklep!

– Jak nie chce pieniędzy, możemy płacić czym innym!

– Ja potrzebuję płynu do mycia naczyń – narzekała jedna z kobiet. – Przecież ona ma tego

pełno w sklepie! Sama nie wykorzystasz, powinna się podzielić.

Inni jej przytaknęli. Ktoś rzucił hasło do wymarszu pod sklep. Podburzeni ludzie od razu je podchwycili. Daniel ruszył za nimi, próbując ich uspokoić.

– Tato, daj spokój, niech robią, co chcą. – Hubert spróbował zatrzymać ojca.

– Przecież oni się włamią do tego sklepu, trzeba ich powstrzymać – odparł mężczyzna. – Wróć lepiej do domu.

Chłopak stanął przy wyjściu z sali i patrzył na zagniewanych mieszkańców. Ludzie krzyczeli, przeklinali i wygrażali pięściami.

Nie wierzył, że tata będzie w stanie zapanować nad tym zamieszaniem.

Hubert puścił się pędem do domu dziadka Ernesta. Uznał, że jeśli ktoś może tu pomóc, to tylko on.

Starszego pana znalazł na podwórku.

– Ludzie chcą się włamać do sklepu! – wydyszał, przeklinając w myślach swoją kiepską kondycję.

– Wiedziałem, że tego można się po nich spodziewać – mruknął Albert.

– A tata usiłuje ich powstrzymać!

– To już gorzej, chodź, chłopcze.

Weszli do domu i skierowali się do sypialni mężczyzny. Albert schylił się i wyciągnął spod łóżka duży karton.

– Nie sądziłem, że będę tak szybko tego potrzebować – mruknął, zdejmując pokrywę.

Na widok zawartości pudła oczy Huberta zaślniły.

– Trzymaj. – Albert sięgnął po podłużny przedmiot i podał go chłopakowi. – Nie ciesz się tak, nie jest naładowana.

Hubert z namaszczeniem pogładził kolbę pepeszy. Była dużo cięższa, niż ją zapamiętał. Znał każdą rysę, każde wgniecenie. Dlatego zdziwił się, że magazynek jest okrągły, a nie łukowy, jaki zapamiętał.

– Piękny karabin – westchnął.

– Ośle jeden, to jest pistolet maszynowy, choć wszyscy laicy mówią na niego karabin...

Nagle w drzwiach pojawił się Ernest.

– Co wy tu... – Chłopak, kiedy spostrzegł zapas broni dziadka, osłupiał. – Poszaleliście?! Co wy chcecie z tym zrobić?!

– Rozgonić paru ludzi – odparł wesoło dziadek i wręczył mu mausera. – Nie jest naładowany, macie tylko groźnie wyglądać.

Dla siebie starszy pan wziął dwururkę i ją załadował. Do kieszeni wsunął garść naboju.

– Chodźcie, chłopcy, zanim ojciec Huberta zrobi coś głupiego.

W korytarzu natknęli się na Lidę.

– Co wy wyprawiacie?! – wybuchła.

– Idziemy na odsiecz twojemu mężowi – odparł wyraźnie zadowolony Albert. – Zostań z Zuzią, zaraz wrócimy.

– Daleś broń nastolatkom!

– Nie jest naładowana, a poza tym to rozsądni młodzi ludzie, nie zrobią sobie krzywdy – powiedział, wymijając ją.

– Trzymajcie się co najmniej kilka metrów od tłumu i celujcie w niebo. – Albert instruował chłopców w drodze do sklepu. – I się nie odzywajcie. Ja będę mówił.

Ernest szedł za dziadkiem, co chwila się potykał. Mausera trzymał dość niezdarnie. Co innego celować kogoś z karabinu na paintballu, a co innego dostać prawdziwą broń i mieć plan spacyfikowania rozwścieczonych ludzi.

– Bądźcie rozsądni! – krzyczał Daniel, rozkładając pojednawczo ręce. – Kiedy porozmawiamy spokojnie z panią Woźnicową, na pewno dojdziemy do porozumienia. Nie ma potrzeby wybijania szyb w oknach!

– Nic im nie sprzedam! – Właścicielka sklepu zasłaniała szklane drzwi. – To mój prywatny towar!

– Musisz sprzedać, bo inaczej sami weźmiemy! – krzyknął ktoś. – A ty jesteś obcy! Nie masz żadnego prawa do naszego sklepu! – zwrócił się do Daniela i wymierzył mu cios w podbródek.

Hubert, widząc to, zerwał się do biegu, ale Albert go zatrzymał.

– Poczekajcie tutaj – zakomenderował i sam ruszył w kierunku zgromadzenia.

Muskularny chłopak podniósł spory kamień i wymierzył w szybę, ale wtedy dwururka Alberta wystrzeliła w powietrze. Ludzie drgnęli wystraszeni.

– Spokój! – krzyknął starszy mężczyzna. Kamień upadł na ziemię. – Jak wam nie wstyd?! W takiej chwili, zamiast trzymać się razem, wy bijecie ludzi i planujecie włamanie! Dwa tygodnie bez prądu, a wam zupełnie odbiło!

Kilka osób pokornie spuściło głowy. Daniel, trzymając się za podbródek, wyszedł spomiędzy mieszańców wsi i stanął obok Alberta.

– Pieniądze nie mają teraz wartości – kontynuował dziadek – Ale jestem przekonany, że za jajka czy mięso pani Mariola sprzedaje wam, co chcecie.

Właścicielka sklepu, z lękiem spojrzawszy na zgromadzonych, skwapliwie pokiwała głową.

– No już, rozejść się i pomyśleć w domach, co możecie powymieniac! – krzyknął Albert.

Ludzie powoli, jeden po drugim, zaczęli odchodzić.

– My ślałem, że trafią do nich rozsądne argumenty – westchnął Daniel.

– Tak, szczególnie te, co potrafią strzelać. – Albert zachichotał.

„Jakoś się nie dziwię, że we wsi ma opinię świra” – pomyślał Hubert.

Ojciec spojrział na broń w rękach chłopców, ale nic nie powiedział.

– Możecie iść do domu, ja tu sobie chwilę posiedzę z panią Mariolą, dopóki jej mąż nie wróci.

– Albert usiadł koło kobiety na schodkach, opierając dwururkę o udo.

Po chwili dołączyło do nich dwóch mężczyzn z OSP.

Daniel wraz z chłopcami wrócili do domu.

– Boże, a tobie co się stało?! – wykrzyknęła na jego widok Lidia.

– Szłoda mówić. – Mąż machnął ręką. – Pewnie nie mamy lodu?

– A wy natychmiast to odłóżcie! – Skierowała gniewne spojrzenie na syna i jego przyjaciela.

Hubert westchnął ciężko. Niechętnie rozstawał się ze swoją starą bronią, ale posłusznie umieścił ją w kartonie pod łóżkiem zwiariowanego emeryta.

– Twój dziadek to ma jajka – powiedział do Ernesta z podziwem.

– No, jakoś nie dziwi mnie fakt, że trzyma pod łóżkiem starą broń. Chociaż nie przypominam sobie, żeby kiedyś wcześniej tam była.

– Może dawniej trzymał ją zbunkrowaną gdzieś indziej, na przykład w stodole, żeby nikt się do niej nie dostał? A teraz ją przeniósł do domu, spodziewając się kłopotów?

– Podejrzewam, że jest w siódmym niebie, mogąc ją wyjąć – westchnął Ernest. – Zawsze wyznawał różne teorie spiskowe i tylko czekał powrotu Niemców, żeby „dać im popalić”.

– Nie ma co, fajny dziadek – zaśmiał się Hubert.

Przechodzili koło kuchni, kiedy chłopaka dobiegły głosy rodziców.

– Idź, później cię znajdę – szepnął do Ernesta i stanął przy ścianie, żeby lepiej słyszeć.

– ...martwię się o niego – mówiła mama.

– Hm, trochę szybko się w tym wszystkim odnalazł – odparł tata. – Wiem, że on zawsze grał w te wszystkie gry komputerowe i oglądał różne filmy, ale co innego widzieć to na ekranie, a co innego w tym uczestniczyć... Żebyś ty widziała go w aptece. Miałem dylemat, czy możemy się włamać, czy trzeba szukać innego sklepu, a on już podjął decyzję. Gaśnicą wybił szybę. Ot, tak po prostu...

– A widziałeś jego minę, kiedy ten student chciał ukraść nasz samochód? Jako jedyny zareagował tak błyskawicznie i... Przez chwilę się bałam, że skrzywdzi tamtego chłopaka. – Głos mamy drżał, jak zawsze, gdy była bardzo zmartwiona. – W jego spojrzeniu kryło się coś strasznego...

– Ale jako jedyny zachował przytomność umysłu.

– Ty wiesz, co on mi powiedział? Że to wszystko mu się przyśniło! Że wiedział o impulsie i epidemii, zanim to się jeszcze wydarzyło!

– Może zmyśla... – rzekł powoli Daniel, ale było jasne, że sam nie wierzy we własne słowa.

– Boję się o niego...

Hubert powoli ruszył do pokoju. Rozumiał, że swoim zachowaniem mógł zaskoczyć rodziców, ale ta rozmowa brzmiała, jakby bali się jego, nie o niego.

Położył się na łóżku i wyjął spod poduszki demonologię, ale nie potrafił skupić się na lekturze. Kiedy po raz dziesiąty przeczytał bez zrozumienia to samo zdanie, że złością zamknął książkę. Postanowił znaleźć Zuzię i Ernesta. Granie z nimi i karty może nie było świetną zabawą, ale przy najmniej zajmowało myśli.

Kolejnego popołudnia Albert łązał wyczyścić chłopakom oborę. Podzielili się pracą i Hubert przez większość czasu tylko udawał, że sprząta, mając nadzieję, że Ernest, jak tylko skończy swoją część, zlituje się i mu pomoże. Niestety kumpel przejrzał jego plan i nie miał najmniejszego zamiaru robić więcej, niż musiał.

– I on się nazywa moim przyjacielem – mamrotał Hubert, gdy został w oborze sam, nie licząc towarzystwa krów.

Widłami pakował obornik na taczkę i wywoził go na stertę za gospodarstwem. Był zły, brudny i śmierdział, a na dodatek miał przeczucie, że właśnie omija go obiad.

Dopiero późnym popołudniem uporał się wreszcie z pracą i poszedł do domu pełen nadziei, że czeka na niego zimny, ale pyszny posiłek. Na stole nic nie było, ale za to na kuchence stały pełne garnki.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła Lidia, kiedy chciał do nich zajrzeć. – Jesteś cały brudny! Wynocha stąd! Umyć się!

– Ale...

– Już!

Hubert prychnął ze złością i powlókł się do łazienki. Zrzucił z siebie śmierdzące ubrania i umył się w misce z zimną wodą, którą potem wylał do ścieków. Na razie wszyscy tak robili. Pompy nie działały, ale woda nadal spływała rurami w dół. Hubert często zastanawiał się, kiedy odpływy się zablokują, a cały ten syf wróci do zlewów. Latem okazało się, że ścieki wybijały w przepompowni przy drodze na łące za wsią, lecz było ich tak mało, że szybko wsiąkały w ziemię, i mieszkańcy Dąbrówki postanowili na razie problem zignorować, do czasu aż zaczniesz im to przeszkadzać.

Hubert nie pamiętał dokładnie, kiedy pojawił się pierwszy przypadek grypy. Któregoś popołudnia ktoś przyszedł do ich domu. Wiedział, że Lidia jest lekarzem, poprosił więc o leki na przeziębienie. Mama coś mu dała, ale gdy następnego dnia odwiedziły ją trzy osoby, zaczęła się martwić.

– Nie wiem, czy to ta sama choroba – powiedziała przy obiedzie. – Grypa, z którą mieliśmy do czynienia w szpitalu w Poznaniu, zaczynała się od bólu głowy i mięśni. Pod pewnymi względami przypomina hiszpankę.

– Tę hiszpankę, która pochłonęła więcej ofiar niż pierwsza wojna światowa? – zapytał Albert.

– Prawie jedną trzecią ówczesnej populacji ludzkiej – uściśliła Lidia.

– Chryste! – jęknął Daniel.

– W Poznaniu, w trzech przypadkach na pięć, wirus powodował krwotok, obrzęk płuc i sinienie skóry. W ciągu doby jeden z chorych zmarł z powodu niewydolności układu oddechowego, dwaj pozostali na krwotoczne zapalenie płuc. Nikogo z piątki nie udało się uratować.

– Myślisz, że mamy do czynienia właśnie z tym, a nie zwykłym przeziębieniem? – zapytał Daniel.

– Chciałabym w to wierzyć.

– To poczekajmy jeszcze dwa dni i zobaczymy – powiedział wesoło Hubert, przez co wszyscy zgromili go spojrzeniem. – No co? I taknie możemy nic na to poradzić, prawda?

– A gdyby ktoś z nas zachorował? – zapytała matka. – Też byłbyś taki spokojny?

– Nie no, byłbym bardzo smartwiony... – odparł cicho.

– Nie możesz jakoś zbadać krwi? – zapytał Albert.

– W tych warunkach? Ciężko będzie.

Ktoś nagląco zaczął pukać do drzwi.

Ernest pobiegł otworzyć, a chwilę później do kuchni wpadła rozhisteryzowana kobieta.

– Pani doktor! Niech pani coś zrobi! Lekі w ogóle nie działają na męża, a z nim coraz gorzej! Ma czterdzieści jeden stopni gorączki! I zaczął kasłać krwią!

Lidia spojrzała na bliskich ze strachem w oczach. Wiedzieli, co to może oznaczać.

– Już idę – powiedziała i zerwała się z krzesła, zostawiając niedokończony obiad na stole.

– Myślicie, że to ta grypa? – zapytał Ernest, kiedy Lidia wyszła.

– Nie daj, panie Boże – odparł Albert.

– Jeżeli jest choć w połowie tak zaraźliwa, jak mówili kiedyś w radiu... – Daniel nie zdołał dokończyć.

Hubert przypomniał sobie opustoszałe miasteczka. Niektóre przetrwały niemal niezniszczone. Ludzie tak szybko powymierali, że nawet nie zdążyli ich zniszczyć i spłądować. Przed oczyma stanął mu obraz wysuszonego trupa mężczyzny, na którego natknęli się na szabrze w jego śnie.

Chłopak wstał od stołu, bez słowa wstawił talerz do zlewu i wyszedł z domu. Skulił się na ławce i patrzył na kury chodzące po obejściu. Po chwili dołączył do niego Ernest i razem siedzieli w milczeniu.

– Czy wielu ludzi zginie? – zapytał w końcu.

– Teraz już mi wierzysz, co? – W głosie Huberta nie było triumfu.

– Trudno nie wierzyć.

– Nie wiem ilu. – Pokręcił głową. – Jurek mówił o dziewięćdziesięciu procentach ludzkości. Ale czy to były jego osobiste wyliczenia, czy dane... Trudno powiedzieć.

– Jak się uchronić przed chorobą?

– Nie wiem. Nikt nie wiedział. Po prostu niektórzy okazali się odporni. Najwięcej przetrwało ludzi w sile wieku, ale spotkałem też dzieci i starców, którym się udało.

– Wiesz, wtedy gdy pędziliśmy kradzionym bmw z Paryża, byłem przekonany, że oszalałeś. Naprawdę. A twoja opowieść okazuje się coraz prawdziwsza... – Ernest zapatrzył się w przestrzeń.

– No widzisz, a rodzice mi wciąż nie wierzą. – Hubert wzruszył z żalem ramionami.

Tego dnia Ernest pomógł siostrze wyjść na dwór po raz pierwszy od wypadku. Hubert wspólnie z nim posadził ją na ogrodowej huśtawce w cieniu drzew.

Zuzia przez dłuższy czas siedziała nieruchomo wpatrzona w przestrzeń, nie zwracając uwagi na chłopców. Jednak nagle zagadnęła ich z ożywieniem.

– A wiecie, co mi się śniło? – zapytała.

– Co? – zapytał Ernest.

– Że taki wielki wąż wpelzył do mojego pokoju i ukrył się pod łóżkiem. – Aż się wzdrygnęła na to wspomnienie.

– Spokojna głowa, w okolicy znajdziesz tylko zaskronce – pocieszył ją Hubert.

– Ale zaskroniec to też wąż – powiedziała z powagą.

– Ee, no niby taak... ale mały i niejadowity.

Uspokojona tymi argumentami zabrała się do plecenia wianka z kwiatów, które nazbierał jej brat.

– Ciekawe, co się teraz dzieje w Poznaniu – odezwał się Ernest, kiedy dziewczynka znów przestała ich słuchać.

– Nie wiem, co teraz, ale wiem, jak to będzie wyglądało potem – odparł Hubert. – Utworzą się nowe dzielnice, a mieszkańcy każdej będą bronić wstępu na swój teren. Pamiętam, że do Gniazda mogliśmy wejść tylko dlatego, że jego dowódca miał dług wdzięczności u Izy...

– Ernest? – Zuzia nagle z ożywieniem podniosła głowę. – Gdzie są rodzice?

– Pojechali na wycieczkę, nie pamiętasz?

– Tak, ale już powinni wrócić – odparła i uporczywie wpatrywała się w brata.

Hubert nagle poczuł się jak intruz. Poza tym nie był dobry w trudnych rozmowach, więc postanowił zostawić rodzeństwo samo. Dopiero gdy dotarł do budynku obory, odwrócił się i spojrzął na przyjaciela. Ernest siedział obok Zuzi na huśtawce. Delikatnie obejmował siostrę ramieniem i coś jej tłumaczył.

Zuzia kiwała głową, a po jej policzkach płynęły łzy.

Postanowił dać rodzeństwu więcej czasu i wrócił do domu. Lecz tam nie czekało na niego nic

lepszego.

– Mamy już cztery przypadki – mówiła Lidia, która wraz z mężem i Albertem siedziała w salonie. – A z jednym pacjentem jest naprawdę źle. Ledwie zdołałam zbić jego gorączkę...

Kiedy podniosła głowę i ujrzała syna, zamilkła. Zupełnie jakby chciała go chronić przed złymi wiadomościami.

Hubert wzruszył ramionami i przeszedł do kuchni. Stamtąd też mógł słyszeć rozmowę.

– Przeszłam się po domach, ale ludzie nie byli zbyt chętni, żeby przyznawać się, że są chorzy. A dwójka dzieci w tym żółtym domu w środku wsi ma katar...

– Myślisz, że powinno się izolować chorych? – zapytał Daniel.

– Oczywiście, ale nie wiem, czy ludzie się na to zgodzą. Dla niektórych izolacja oznacza wyrok skazujący.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Hubert z kanapką w garści poszedł otworzyć.

– Jest mama? – zapytała pani Irena, pielęgniarka. Obok niej stał przysadzisty mężczyzna. Chłopak przy pomnił sobie, że nazywa się Cegła i jest sołtysem.

– Proszę. – Hubert poprowadził ich do salonu, a sam stanął w drzwiach i oparł się bokiem o framugę, krzyżując ręce na piersi.

Goście usiedli na kanapie.

– Nie będę owijała w bawełnę – zaczęła pielęgniarka. – Ale martwię mnie te zachorowania.

– Nie tylko panią – powiedział Albert.

– Nie mamy jak wezwać pomocy...

– Powinniśmy wysłać kogoś do tych barykad na drogach. Może wojsko nam pomoże – zaproponował Daniel.

– Wczoraj był tam mój syn – powiedział Cegła. – Ale chłopcy stojący na posterunku nic nie wiedzieli. Mówili, że od kilku dni nie dostali żadnej wiadomości z bazy. Ale nadal nie przepuszczają ludzi ani w jedną, ani w drugą stronę.

– A co ze szczepionką? – zapytała Lidia.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Myślę, że jeszcze nie powstała.

– I nie powstanie – odezwał się Hubert. Wszyscy spojrzeli na niego, jakby w ogóle zapomnieli o jego obecności. – Nikt nam nie pomoże.

– Hubert... – powiedziała ostrzegawczo jego matka.

– No co? Szlag trafił wszystkie urządzenia elektryczne. Myślicie, że dadzą radę wyprodukować bez nich szczepionkę na chorobę, o której nikt nic nie wie? A jeśli nawet by powstała, to że dostarczą ją do każdej zabitej dechami wioski?

– Dość już powiedziałaś. Idź, zobacz, jak się czuje Zuzia – odparła z naciskiem Lidia.

Hubert westchnął ciężko, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– W Świącinie przy najmniej mnie słuchali – mruknął do siebie.

– Chłopak ma trochę racji... – Hubert usłyszał jeszcze słowa Alberta.

W ciągu następnych dni, ponieważ wszyscy strażacy z OSP zachorowali, powołano Radę Starszych złożoną z sołtysa Cegły, pielęgniarki Ireny, męża sklepowej, który był myśliwym, Alberta, księdza i jeszcze paru osób. Rodzicom Huberta, jako przyjeźdnym, powierzono funkcje doradców. Wszyscy zgodnie uznali, że nie mają co liczyć na pomoc z zewnątrz. Wysłali kogoś po

leki do Bobrowników, ale okazało się, że tam choroba zaatakowała już kilkudziesięciu mieszkańców, a apteki i sklepy zostały zdemolowane. Kilka osób uciekło ze wsi i przekroczyło w lesie granice sektora utworzonego przez wojsko, ale jak się później okazało, im dalej na południe, tym więcej było przypadków zachowań. Chorzy przestawali mieć się w szpitalach, brakowało lekarzy i grabarzy. Wybuchaly zamieszki.

W budynku oddalonym od wsi o kilkaset metrów, gdzie mieszkała starsza pani, która się zaraziła, Lidia z pielęgniarką Ireną urządziły szpital polowy. Przyjmowały tam chorych, którym na początku podawały zwykłe leki przeciw grypie. Jednak po tym, jak dwie osoby zmarły, zaczęły eksperymentować. Niestety bez większych sukcesów.

Ludzie zaczęli panicznie bać się choroby. Dwa przypadki śmiertelne w tak małej wsi, jaką była Dąbrówka, wstrząsnęły mieszkańcami. Wiedzieli, że nie mogą liczyć na niczyją pomoc. Niektórzy uciekali do lasu, żeby tam się ukryć, lub szli szukać szczęścia dalej na południe. Część osób przestała w ogóle wychodzić z domów, dwie czy trzy rodziny okopały szerokim na pół metra rowem swoje gospodarstwa i zakazały innym wstępu na ten teren. Wszyscy patrzyli na siebie podejrzliwie.

Hubert bał się, że po tym, jak uratował swoją rodzinę, straci najbliższych przez chorobę, wobec której był bezradny. Tak samo jak inni nerwowo przyglądał się osobie zaczy najęcej kasłać albo choćby wspominającej, że źle się czuje. Dodatkowo przygnębiało go, że wszyscy traktują go jak dzieciaka i nie powierzają mu żadnego istotnego zadania. Rodzice często zamykali się w salonie razem z dziadkiem Ernesta i nie dopuszczali go do swoich rozmów. Hubert czuł przepaść, jaką oddzielała go od starszych. Dla nich wciąż był nierozgarniętym nastolatkiem.

Pewnego dnia jego matka oświadczyła, że na noc musi zostać w szpitalu. Chorych przybywało, potrzebowali całonocowej opieki i Lidia wraz z pielęgniarką Ireną przestały dawać sobie same rade. Na szczęście dwie kobiety ze wsi, których dzieci zachorowały, zaproponowały pomoc.

- Nie możesz nocować w tym szpitalu! - oburzył się Hubert. - Co jeśli się zarazisz?
- Jestem odporna, nic mi nie będzie - zapewniła. - A poza tym muszę znaleźć jakiś lek...
- Na to nie ma leku! - wybuchł. - Wszyscy, którzy zachorowali, umrą!
- Nawet nie waż się tak mówić. - Pogroziła mu palcem.

Hubert spojrział na jej zmęczoną twarz, zapadnięte oczy, bladą cerę.

- Wyłańczasz się tam - powiedział cicho. - Na próżno.
- Hubert, jestem lekarzem, moim obowiązkiem jest ratować ludzi - odparła twardo. - I być przy pacjentach. Choćby tylko po to, żeby ulżyć im w cierpieniu.
- To bez sensu - mruknął z rezygnacją.
- Moja praca nie jest bez sensu. Rozumiem, że się martwisz, ale gdybyście zachorowali ty albo tata, też dałaby m z siebie wszystko.

- Nie nocuj tam, proszę - podjął ostatnią próbę.
- Nic mi nie będzie. - Pocałowała go w czoło. - Ani ty, ani Ernest, ani Zuzia nie powinniście zbliżyć się do szpitala. Jedzenie i wszystko inne przyniesie mi tata i zostawi na drodze.

Hubert stał w przedpokoju i patrzył, jak drzwi zamykają się za mamą. Nie mógł jej powstrzymać. Mimo tego wszystkiego, co już przeszli, ona wciąż mu nie wierzyła i upierała się, by robić to, co uważała za słuszne.

- Cholera! - zaklął i kopnął nogę krzesła, uderzając się przy tym boleśnie w palec. - Szlag!

Trzaskając głośno drzwiami, wyszedł na podwórko i skierował się do sadu, gdzie na kocu na trawie siedzieli Ernest z Zuzią. Przyjacieli jako jedyni względnie go rozumiał.

– Nikt nie traktuje nas poważnie! – wybuchł Hubert, podchodząc do niego i siadając na kocu.

– Jakoś nigdy ci to nie przeszkadzało. – Ernest wzruszył ramionami.

Zuzia, nie zwracając na nich uwagi, plotła spokojnie wianki.

– Ale teraz zaczęło. – Hubert podniósł się z ziemi i zaczął nerwowo chodzić dookoła. – Nie znoszę takiej beczyności. Coś trzeba zrobić!

– Niby co? Pozwól starym się tym zająć.

– Ale oni nic nie wiedzą! Strzelają pomysłami na ślepo, wierząc, że za kilka dni wszystko się skończy!

– A co innego im pozostaje? – odezwała się nagle przytomnie Zuzia. Chłopcy spojrzeli po sobie, byli przekonani, że dziewczynka w ogóle ich nie słucha.

Ernest pokręcił głową, dając przyjacielowi do zrozumienia, żeby nie kontynuował tematu przy niej.

Mijały tygodnie. Z dnia na dzień rosła liczba chorych, którym nie pomagały żadne leki. Ludzie nie potrafili znaleźć sobie zajęcia, byli niespokojni, dzieci nie chodziły do szkoły. Wszyscy zaczęli wariować pozamykani w domach.

Pewnego dnia jeden z mężczyzn wywlókł na ulicę swoją sąsiadkę. Wymachiwał bronią. Krzyczał, że kobieta jest chora i zarazi jego rodzinę.

– To tylko zwykły katar – tłumaczyła płacząc.

– A potem pozarażasz moje dzieci! – piekłił się mężczyzna.

– Bardzo proszę opuścić broń! – stanowczo powiedział Daniel. Hubert stał obok niego za płotem. Zastanawiał się z przekąsem, czy każdy z tych porządnych obywateli ma karabin ukryty w szopie.

– Musi iść do szpitala!

– Nie mogę! – Kobieta wybuchła płaczem. – Kto zajmie się moimi dziećmi?

– Na pewno nie zostaną bez opieki – zapewnił ją Daniel. – Zabiorę panią do mojej żony i ona panią zbada.

Kobieta pokiwała głową i wytarła ręką nos, na palcach została jej krew.

– Tylko niech jej stamtąd nie wypuszczają! – krzyknął za odchodzącymi mężczyzna.

Kolejnego dnia zmarło dwoje małych dzieci. W sumie było już pięć zgonów i we wsi wywiązała się awantura, co robić z ciałami. Rodziny oczywiście chciały zorganizować godny pochówek na cmentarzu, ale inni zaczęli przebąkawać o paleniu ciał.

Mieszkańcy Dąbrówki nie byli zachwyceni tym pomysłem, jednak na niego przystali. Nikt nie chciał wybuchu epidemii we wsi. Tak więc zmarłych spalono daleko poza wsią, a ich prochy posypano wapnem i zakopano.

Choroba i brak prądu nie były jedynymi problemami mieszkańców Dąbrówki. Pod koniec kwietnia pogoda zaczęła dawać się im we znaki. Co noc zrywał się silny wiatr łamiący drzewa, niszczący szopy i przewracający słupy wysokiego napięcia. Przez pobliskie miasto przeszła trąba powietrzna, niszcząc wszystko, co napotkała na drodze. W lasach były miejsca, gdzie na

powierzchni kilku kilometrów kwadratowych nie ocalało ani jedno drzewo.

Pewnego dnia w maju do wsi przyszło dwóch żołnierzy. Mieszkańcy Dąbrówki z mieszaniną strachu i ciekawości wylegli na podwórka, jednak nikt nie przekroczył granicy swojego gospodarstwa. W nadziei że dowiedzą się czegoś z zewnątrz, patrzyli, jak jeden żołnierz prowadzi drugiego.

– Macie tu lekarza? – zapytał młody mężczyzna najbliższą kobietę. – Mój kolega jest chory.

– W tamtym domu. – Wskazała i natychmiast się od nich odsunęła.

Żołnierz zawlókł towarzysza do szpitala.

Hubert dowiedział się później, że to żołnierze, którzy pilnowali mostu nieopodal Dąbrówki. Na początku było ich czterech, ale dwóch zmarło trzy dni wcześniej.

– To dlatego opuścili posterunek? – dopytywał się chłopak

– Między innymi. Ale głównym powodem jest to, że od miesiąca nie mieli żadnych wieści z bazy – odparł Albert, który nie przejmując się zarazą, zbierał informacje. – Uważają, że po prostu zapomniano o nich. A kiedy kolejny zachorował, jego kolega postanowił nie zważać na rozkazy i poszukać u nas pomocy.

Był koniec czerwca, gdy epidemia się skończyła. Zmarł ostatni pacjent i nikt więcej już nie zachorował. W Dąbrówce pozostało dwudziestu trzech mieszkańców, wliczając w to żołnierza, którego koledzy zmarli, a on sam postanowił zostać na jakiś czas we wsi, oraz młode małżeństwo z sąsiedniej miejscowości. Domy, w których nie pozostał nikt żywy, ogołoco do czysta, a wszystkie ubrania, szafy, krzesła i inne przedmioty codziennego użytku należące do zmarłych zostały spalone poza wsią. Ludziom zaczęło wszystkim brakować. Leków, środków czystości, świec, a nawet papieru toaletowego, dlatego sołtys Cegła zorganizował grupę kilku mężczyzn, którzy wyruszyli na poszukiwanie przydatnych towarów w okolicznych miejscowościach. Zaprzęgli konie do dwóch wozów i pojechali do Bobrowników. Powrócili kolejnego dnia z wozami pełnymi dóbr.

– Nikogo tam nie zastaliśmy – opowiadał później jeden mężczyzna. – Całe miasto jest opustoszałe i zrujnowane. Wiele domów zniszczyła trąba powietrzna, po ulicach łązą dzikie psy, widzieliśmy rozwleczone kości...

Huberta zdziwiło, jak szybko ludzie przeszli do porządku dziennego nad trudną sytuacją. Jeszcze dwa miesiące temu panikowali z powodu braku prądu i wierzyli, że w końcu ktoś to wszystko ponaprawia. A potem przyszła zaraza, tak wielu umarło, ale oni nie, i dziękowali za to losowi. Zaczęli organizować swoje życie na nowo. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że przetrwać mogą tylko wtedy, gdy będą współpracować.

Parę osób przeprowadziło się do innych domów, tam gdzie były piece i studnie. Hubert z rodziną wciąż mieszkali u Alberta. Starszy pan nawet nie chciał słyszeć o przeprowadzce, a Lidia Zawrocka czuła się odpowiedzialna za Ernesta i Zuzię.

Wiele okolicznych wsi opustoszało. Epidemia zabiła wielu mieszkańców, a ocaleni wyprowadzali się w poszukiwaniu rodziny albo po prostu innych ludzi i spokojnego miejsca do osiedlenia. Zaraza okazała się tragiczna w skutkach także dla zwierząt. Co prawda nie chorowały, ale gdy zabrakło człowieka, nie miał kto się nimi zająć. W oborach i chlewach zalegały ciała martwych krów, koni i świń, które pozdychały z głodu i pragnienia. Zwierzę zamknięte w pomieszczeniu czy klatce nie miało szans, żeby przetrwać. W wielu gospodarstwach aż roiło się

od padlinożerców, takich jak lisy, szczury i kruki, z czasem stawały się coraz odważniejsze. Muchy, żuki i najróżniejsze larwy żerowały na padlinie. Na szczęście jednak wiele zwierząt ocalało. Bydło, puszczone luzem, pasło się na powoli zarastających łąkach i polach, w ogóle nie przejmując się nieobecnością ludzi. Wszystkieżerne świny szukały pożywienia w gospodarstwach i lasach. Kury, gęsi i kaczki włóczyły się po wsiach.

Mieszkańcy Dąbrówki sprowadzili do siebie tyle zwierząt, ile tylko udało się im złapać. Samochody, kombajny i traktory stały się zupełnie bezużyteczne, dlatego do łask powróciły konie. Każdy chciał je mieć w gospodarstwie.

Do domu Alberta trafiły cztery młode i chude kłacze. Dwie z nich miały czarne, splecione grzywy i sierść w kolorze kawy z mlekiem. Hubert nazwał je Mokła oraz Inka. Mokła szczególnie przypadła chłopakowi do gustu. Albert tłumaczył mu, że jest to koń pociągowy, a nie pod siodło, ale chłopak się uparł, że chce ją przyuczyć do noszenia jeźdźca.

Któregoś dnia, gdy mama z Zuzią gotowały obiad, a ojciec siedział w swojej sypialni, Hubert poszedł do kuchni, gdzie Albert siedział w fotelu i czyścił sobie nożem paznokcie.

– Nauczy mnie pan strzelać? – zapytał bez ogródek

– Słucham? – zdziwił się mężczyzna.

– Pan jako jedyny rozumie, co się wokół dzieje, i wie, że to koniec – odparł. – I na pewno zdaje pan sobie sprawę, że umiejętność obsługi broni będzie przydatna w następnych latach.

Albert westchnął ciężko. Jeszcze przez chwilę bił się z myślami, po czym bez słowa zaprowadził go do swojej sypialni i wyjął spod łóżka pudło z bronią. Hubert od razu wyciągnął ręce po pepeszę.

– Nie takszybko – powstrzymał go starszy pan. – Najpierw musisz wiedzieć, jak to działa.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

– Mogę? – zapytał.

Albert z wahaniem podał mu pepeszę. Hubert wziął ją do rąk i poczuł, jak wszystkie wspomnienia wracają. Godziny spędzone na warcie, chwila, gdy zastrzelił mamunę. Stał przy stole i zaczął rozkładać broń. Pepesza ożyła w jego rękach.

– Hm, twoi rodzice o tym wiedzą? – zapytał Albert.

Chłopak pokręcił głową.

– To może lepiej będzie, jak się nie dowiedzą.

Kolejne dni zlewały się Hubertowi w jedno. Zdawał sobie sprawę, że życie na wsi w wielkim gospodarstwie nie należy do najłatwiejszych, jednak gdy zabrakło prądu, a wszystkie urządzenia przestały działać, wszyscy mieli ręce pełne roboty. Trzeba było zająć się sadem i ogrodem warzywnym, ktoś musiał karmić zwierzęta. Hubert i Ernest niemal codziennie rąbali drewno, bo choć zaczął się lipiec, musieli czymś palić w kuchence stojącej w pomieszczeniu obok obory. Albert gotował na niej jedzenie dla świń. Posiłki dla siebie przygotowywali na starej gazowej kuchence, która stała w domu, lecz zdawali sobie sprawę z tego, że w końcu zabraknie gazu. Wodę brali od sąsiadki, siedemdziesięcioletniej Anieli Janickiej. Kobieta miała na podwórku studnię. Hubert nie sądził, że w domu zużywa się aż tyle wody, dopóki nie musiał nanosić jej w wiadrach do gotowania i prania, nie wspominając już o kąpielach.

Nic więc dziwnego, że dzień w dzień kładł się do łóżka obolały i wyczerpany do granic możliwości. A gdy zdarzało się jakieś wolne popołudnie, Albert zabierał Huberta i Ernesta głęboko do lasu i uczył ich strzelać. Na początku Hubertowi wydawało się, że jest w tym dobry, bo przecież tak sprawnie posługiwał się bronią w Świecinie, ale Albert szybko sprowadził go na ziemię.

– Mówiłem ci! Ciągniesz suwadło w swoją stronę, a potem gwałtownie puszczasz! – denerwował się, gdy chłopak przeładowywał pepeszę. – Jak będziesz przeładowywał, ciągle trzymając je w rękach, to się zatnie.

– No dobrze już, przecież wiem – mruknął Hubert.

– Gdybyś wiedział, tobyś tak nie robił.

Chłopak spojrzał błagalnie na Ernesta, ale jego przyjaciel zbyt dobrze bawił się jego kosztem, żeby mu pomóc.

– A ty się taknie ciesz – Albert zwrócił się do wnuka. – Teraz twoja kolej.

Naboje starszy pan trzymał w stodole. Tuż po drugiej wojnie światowej jego ojciec nasypał amunicji do starego przestrzelonego kanistra na paliwo i od tamtego czasu przetrwała między rupieciami.

*

W pewne upalne lipcowe przedpołudnie Lidia zarządziła wielkie porządki. Kazała chłopcom i Zuzi powynosić na dwór wszystkie poszwy i poszewki. Puchowe kołdry i poduszki zawiesili na płocie, żeby się przewietrzyły, wytrzepali koce, a potem zabrali się do prania. Hubert i Ernest musieli nanosić wody, którą podgrzali na starej westfalce. Metalową balię wypełnili wrzątkiem, dodali płynu do prania przywiezionego z szabru i na zmianę prali poszwy i prześcieradła na dużej tarze. Jak się okazało, wcale nie było to takie łatwe i przyjemne. Zuzia z Lidią zajęły się płukaniem i rozwieszaniem czystych rzeczy na linkach. Potem przyszła kolej na ubrania.

– Gorąco trochę – westchnęła Lidia. – Przyniosę coś do picia, wy pracujcie dalej.

Lecz nie minęło pięć minut, jak chłopcy zaczęli się kłócić.

– Nie w tę stronę, głupku! – zdenerwował się Hubert na przyjaciela, gdy wykręcali stare spodnie Alberta.

– To ty w złą kręcisz! Z tobą to żadna robota – prychnął Ernest.

Hubert puścił spodnie, których nogawki upadły w piach, i wyjął z balii jakąś koszulkę. Wziął zamach i cisnął nią prosto w przyjaciela.

– Ty idioto! – krzyknął rudy chłopak, zdejmując mokrą bluzkę z twarzy.

Nie zamierzał pozostać dłużny kumpłowi, więc rzucił w niego spodniami. Hubert oczywiście mu oddał i tak zaczęła się bitwa. Zuzia się roześmiała i dołączyła do chłopców. W ciągu kilku minut całe podwórko było zasłane pianą i mokrymi ubraniami.

– Czy wy powariowaliście?!

Cała trójka znieruchomiała. Ernest właśnie sięgał do balii po kolejną sztukę „amunicji”, Hubert był w trakcie zamachu skarpetkami, które upuścił na ziemię, Zuzia miała we włosach pełno piany. Dwaj przyjaciele jednocześnie wskazali na siebie palcami.

– To on!

– To on!

– To oni – stwierdziła z radością dziewczynka.

Lidia spojrzała na tacę z dzbankiem zimnej wody i szklanekami, którą trzymała w rękach.

– Za pół godziny wszystko ma być posprzątane, wyprane i suszyć się na linkach – powiedziała twardo. – Do tego czasu nawet nie marzcie, że dostaniecie coś do picia.

Odwróciła się i poszła do domu.

Na koniec miesiąca ludzie wspólnymi siłami zebrali plony z pól. Nie było łatwo, gdyż niektórzy, tak jak Hubert i jego rodzice, nigdy nie mieli w rękach kosa, a inni zapomnieli, jak się jej używa w epoce kombajnów. Choć teraz było tyle ziemi i zwierząt, że każdy mógłby w pojedynkę założyć spore gospodarstwo, brakowało rąk do pracy. Ludzie musieli nawzajem sobie pomagać, bo inaczej nie przetrwaliby kolejnych miesięcy. Razem zbierano plony i ścinano drzewa na opał. Jednak niektórzy radzili sobie lepiej od innych i Hubert stwierdził, że w ciągu kilku następnych lat okaże się, że choć wszyscy zaczęli od zera, niektórzy będą bogatsi niż inni.

Woznica, mąż właścicielki sklepu, która niestety zmarła późną wiosną, wciąż polował. W ważniejszych kwestiach dotyczących wsi decydowała Rada Starszych. Wszyscy mieli dużo zajęć i od rana do wieczora przygotowywali się na długą jesień i jeszcze dłuższą zimę. Hubert z Ernestem pracowali tyle, ile inni mężczyźni. Obaj wiele musieli się jeszcze nauczyć o życiu w gospodarstwie. Zuzia pomagała kobietom przy przetworach. Oprócz niej we wsi była tylko trójka młodszych dzieci.

W szczególnie gorące dni wszystkim we znaki się dawał brak lodówek. Jedzenie trzymano w chłodnych piwnicach, ziemiankach i studniach, jednak niewiele to pomagało. Delikatne żołądki, przez wiele lat przyzwyczajane do świeżej żywności, często się buntowały.

W budynku gospodarczym koło stodoły Albert miał małą wędzarnię, gdzie wędził szynki i kielbasy. Wszelkie inne mięso zasalał lub Lidia je wekowała. Ale i tak często zdarzało im się czymś zatruć.

– Chłopie! Ruszaj się! Nie zostawaj w tyle! – krzyczał na Huberta stary Borowski.

Chłopak westchnął ciężko i zaczął zbierać zboże. Oczywiście jemu do rąk nie dali kosa, bo jeszcze „by komuś krzywdę zrobił”, za to musiał zbierać ścięte kłosa i wiązać w snopki. Z tym też było niełatwo, bo starszyzna uznała, że nie wolno marnować sznurka. Chłopakowi sporo czasu zajęło nauczenie się wiązania słomą, a i teraz wychodziło strasznie krzywo. Borowski wtedy się na niego wściekał i wciąż narzekał.

Hubert związał jeden snopek, wyprostował obolałe plecy, rozmasował ramiona. Słońce prażyło mocno, a ściernisko kłuło w łydki i ręce. Chłopak najchętniej rozsiadłby się w cieniu z czymś zimnym do picia, ale mężczyźni nawet o tym nie myśleli. Uznali, że skoro jest sprzyjająca pogoda, a zboże wystarczająco dojrzałe, trzeba korzystać z chwili i jak najszybciej je zebrać.

Hubert na chwilę przykucnął. Zerknął przy tym na Borowskiego i jego żylaste ciało. Mężczyzna był po sześćdziesiątce, ale trzymał się całkiem nieźle, równymi i mocnymi ruchami ścinał zboże i w ogóle nie wyglądał na zmęczonego.

– I znowu się opierniczasz! – Głos Kazimierza wyrwał chłopaka z zamyślenia.

„Wolę być strażnikiem niż rolnikiem” – pomyślał z wyrzutem Hubert i zaczął zbierać kolejną wiązkę zboża.

Snopki zostawili na polu do wyschnięcia. A gdy uznano, że są już wystarczająco suche,

załadowano je na wóz i zawieszono do wsi. I tu zaczynała się prawdziwa zabawa, bo zboże trzeba było jeszcze wymłócić na rozłożonej na podwórku dużej płachcie. Hubert szybko nauczył się, jak niebezpieczny może być cep, gdy kilka razy przyłożył sobie nim w głowę, podobnie jak Ernest. Albert się z nich naśmiewał.

Mielenie ziaren na mąkę też nie należało do najłatwiejszych zadań, a Hubert rozumiał już, dlaczego zawód młynarza był taki opłacalny.

Wszystkie pozostałe plony również należało dobrze zabezpieczyć na zimę. Ziemniaki składowali w ziemiankach, na pozostałe warzywa wykopali głębokie doły. Część jabłek zapakowali ostrożnie do skrzynek, żeby się nie poobijały, i schowali w chłodnej piwnicy. Resztę ususzyli, podobnie jak śliwki, gruszki i grzyby jesienią.

– Martwię się o siostrę. – Ernest zwierzył się Hubertowi któregoś wieczoru, gdy zmęczeni codzienną pracą leżeli po ciemku w łóżkach.

– Dlaczego?

– Czasem dziwnie się zachowuje. Nie wiem, czy to wina wypadku, czy tego, że zdała sobie sprawę, że rodzice prawdopodobnie nie wrócą. Ale nie jest już tą samą osobą.

– Takie rzeczy zmieniają ludzi – odparł Hubert.

– Tak, wiem, ale aż tak? Zawsze była troszkę inna od rówieśników, ale teraz... Zauważyłeś, że czasem mówi od rzeczy i się zawiesza?

Hubert przytaknął. Zuzia często niespodziewanie zastygała w bezruchu. Wpatrywała się wtedy w pustkę przed sobą, a po paru sekundach wracała do przerwane go zajęcia jak gdyby nigdy nic.

– Po prostu się zamyśla – pocieszył Ernesta przyjaciel.

– To nie jest normalne. Boję się, że po tym wszystkim coś się jej przestawiło w głowie.

– Słuchaj, na razie normalnie funkcjonuje wśród ludzi, więc nie masz czym się przejmować – zapewnił go Hubert, choć sam już jakiś czas wcześniej zaczął się niepokoić zachowaniem dziewczynki. Ale nie chodziło tylko o zamyślenia. Czasem Zuzia mówiła trochę od rzeczy, jakby duchem była w innej rzeczy wistości.



ROZDZIAŁ IV

– Dostyc tego dobrego – oświadczył Hubert pewnego dnia swojemu odbiciu w lustrze. – Od kilku miesięcy siedzę grzecznie na tyłku i słucham się dorosłych. Pora, żeby odnaleźć Świącino.

Zaledwie pół roku wcześniej był rozpuszczonym nastolatkiem, aż we śnie zobaczył własną przyszłość. Stał się inną osobą. Doświadczenia w Świącinie zmieniły go, tak samo jak miesiące życia i pracy w Dąbrówce. Nabral masy mięśniowej, nauczył się wielu nowych rzeczy. W końcu nadeszła pora, żeby wszystko naprawić. Uratował już Ernesta, rodziców, zdobył demonologię i wykuł ją na pamięć. Czas wrócić do osady i zmienić los tych, którzy mieli zginąć. Tylko jak przekonać rodziców, by pozwolili mu ruszyć w drogę? Kilka razy wspomniał o tym, że warto byłoby pojechać w okolice Poznania, zobaczyć, co stało się z ich dawnym domem, lecz mama nawet nie chciała o tym słyszeć. Od kilku osób, które przewinięły się późnym latem przez Dąbrówkę, wiedzieli z grubsza, co się dzieje na zewnątrz. Nigdzie nie było prądu, setki tysięcy ludzi umarło, po miastach i wsiach chodziły dzikie zwierzęta, włóczyli się dezerterzy i najróżniejsi wariaci z bronią. Bezpieczniej było zostać w jednym miejscu, nie podróżować, trzymać się w grupie i liczyć na to, że uda im się przetrwać zimę.

Jednak do Huberta nie trafiały te argumenty, bo w głowie miał tylko jedno – odnalezienie Świącina, gdzie czekał na niego i jego rodzinę bezpieczny dom.

– Chcę odnaleźć Świącino – oznajmił Ernestowi. – Drogi są już przejezdne. Możemy w końcu tam jechać.

– Zdurniałeś? – prychnął przyjaciel. – Twoja matka w życiu ci na to nie pozwoli.

– Nie zamierzam jej o tym mówić.

– Taa, i jak chcesz pokonać kilkadziesiąt kilometrów w tę i z powrotem, żeby się nie zorientowała? Myślisz, że nie będzie odchodzić od zmysłów, co jej syn znowu wymyślił?

– Weźmiemy po cichu konie, zostawimy list, żeby się nie martwiła, i pojedziemy.

– Jakże my?!

– Samego mnie chyba nie puścisz? – Hubert uśmiechnął się niewinnie.

– Żle ci tu? Masz przy sobie rodzinę, dach nad głową, jest co jeść. Po cholere chcesz jechać do wioski, która ci się przyśniła?

– Nie o to chodzi – westchnął Hubert, przeczesał palcami włosy. – Ja... ja się muszę przekonać, że Świącino istnieje, muszę uratować tych, którzy zginęli...

– Weź mapę, sprawdź, gdzie to jest, a za te siedem lat po prostu pojedziesz tam z tą swoją demonologią. I załatwione – uznał Ernest.

Hubert pokręcił głową.

– No co? – zapytał przyjaciel.

– Nie znalazłem Świącina na żadnej mapie – powiedział cicho.

– No pięknie! To jakniby planujesz je znaleźć?

– Pamiętam drogę od Poznania... A poza tym to była mała wieś, może jej nie zaznaczyli na mapie...

– Daj sobie spokój, co?

Hubert postanowił sięgnąć po ostateczny argument.

– Pamiętasz, jak w Paryżu nie poszliśmy pod Luwr? – zapytał. – To tak, jakbym cię uratował, a potem przywiołem nas do domu i do twojej rodziny. Nie uważasz, że jesteś mi coś winien?

Ernest zmrzył ze złością oczy.

– Wiedziałem, że kiedyś mi to wypomnisz – mruknął.

– Wiedziałem, że się zgodzisz – powiedział zadowolony Hubert.

Kolejnego dnia w tajemnicy przed wszystkimi przyszykowali dla siebie zapasy jedzenia, a dla koni owies, potem Hubert zakradł się do pokoju Alberta i zabrał stamtąd pepeszę, a wieczorem oświadczyli dorosłym, że zamierzają iść na grzyby na pół dnia. Co prawda rodzicom Huberta nie podobał się ten pomysł, martwili się o chłopców, ale Albert przekonał ich, że należy im się trochę wolności. Następnego ranka, jeszcze przed świtem, wymknęli się z domu, osiodłali konie i w ciemnościach opuścili Dąbrówkę.

Kiedy słońce weszło nad lasami, byli już daleko od domu. Nieprzyzwyczajeni do długiej jazdy w siodle, szybko zaczęli się męczyć, dlatego przed południem zatrzymali się na długi postój.

– Moje nogi! – narzekał Hubert. – Kiedyś mogłem siedzieć cały dzień w siodle.

– Taa, chyba w innym życiu – mruknął Ernest, krzywiąc się. On również był cały obolały.

Jesienne popołudnie było bardzo ciepłe, słońce przeświecało przez liście, które powoli zaczęły już żółknąć. Obaj chłopcy odetchnęli głęboko. Dzień był tak piękny i pogodny, że prawie zapomnieli o koszarach minionych miesięcy, o epidemii, o palonych ciałach i pustce w oczach tych, którzy stracili najbliższych. W końcu poczuli się wolni. Hubert zapomniał nawet o demonach. Minęło pół roku od wojny, a one wciąż się nie pokazały, powoli zaczęły wątpić, czy rzeczywiście istnieją.

Im dalej jechali na południe, tym droga stawała się gorsza. Po wichurach nikt jej nie oczyścił z gałęzi i przewróconych drzew. Omijali główne szosy, miasta i wsie w obawie przed spotkaniem

wrogo nastawionych ludzi. Poza tym bali się, że gdzieś jeszcze mogą natrafić na ogniska choroby, dlatego woleli unikać kontaktów z ludźmi.

- Dlaczego nic nie mówisz? – zagadnął Ernest.
- Skupiam się na kierowaniu koniem – odparł Hubert.
- Nie kłam.
- Nie kłamię.
- Przecież widzę. Ściskasz te wodze tak mocno, że całe dłonie ci zbiełały.

Hubert milczał przez chwilę. Bał się wypowiedzieć swoje obawy na głos, bojąc się, że się przez to spełnią. Przez ostatnie miesiące żył nadzieją, że odnajdzie Świącino, zamieszka tam z rodziną i przyjacielem, spotka dawnych znajomych i uratuje tych, którzy zginęli. A co, jeśli się okaże, że ta wspianiała osada to był tylko sen? Jeżeli nie istnieje albo jej nie znajdą, to co ma wtedy zrobić?

- Martwię się, że spotkamy po drodze jakichś szalonych ludzi lub demony – powiedział w końcu.
- Przecież chyba po to uparłeś się wziąć karabin dziadka – odparł Ernest. – Chociaż jak on się dowie, to mamy przerażane.
- Byłoby naprawdę kiepsko, gdybyśmy spotkali demony i nie mielibyśmy żadnej broni.

Na nocleg zatrzymali się po prostu w lesie. Przywiązali konie do drzew, rozpalili ognisko, na którym przy szykowali sobie kolację na ciepło, a potem zawinęli się w śpiwory i ułożyli do snu. Jednak Hubert nie tak od razu mógł zasnąć. Las nocą ożył, po ziemi przemykały małe stworzenia, wysoko w gałęziach pohukiwała sowa, a gdzieś w głębi lasu kwiczały dziki, buchtując ziemię w poszukiwaniu pędraków.

„Wszystko w porządku. – Chłopak przekonywał sam siebie. – W pobliżu nie ma żadnych demonów”.

Udało mu się zasnąć dopiero późno w nocy, a gdy nastał rzeźki poranek, Hubert, choć wciąż zmęczony, wstał z poczuciem ogromnej ulgi, że w końcu nadszedł dzień.

Z niechęcią znów wspięli się na siodła i ruszyli dalej na południe. Wieczorem, kłucząc po starych i zapomnianych drogach, dotarli do niewielkiej, opuszczonej wsi. Wyglądała upiornie, w wielu oborach natknęli się na rozwleczone przez lisy i psy kości zwierząt. W innym budynku, do którego wdarły się dzikie stworzenia, leżało kilka ludzkich kości.

- Jego już nie miał kto pogrzebać – westchnął Hubert.
- Zanocujmy na dworze – zaproponował Ernest. – Głupio spać w miejscu, gdzie są szczątki innego człowieka.

Hubert pokiwał głową. Zatrzymali się na otwartym polu za wsią, rozpalili ognisko i wciąż obolali położyli się spać.

Kolejnego dnia w końcu dotarli do miejsca zaznaczonego na mapie, lecz nigdzie nie było śladu żadnej osady. Hubert wypatrywał pni drzew pomalowanych na żółto, przecież tak mieszkańcy Świącina zaznaczali swój teren, ale na próżno. Martwił się coraz bardziej, serce waliło mu jak młotem, dłonie zaczęły się pocić. Przez cały dzień jeździli po okolicy i szukali. Na próżno. Dotarli do kilku wymarłych wsi, lecz żadna z nich nie była Świącinem. Kolejnego dnia Ernest był już zmęczony tą pogonią za cieniem i zdecydował, że jeżeli do wieczora nie znajdą drogi do osady, wracają do domu.

- Hubert, ta twoja wioska nie istnieje – przekonywał przyjaciela.

– Nie, ona gdzieś musi być – zapewniał Hubert. – Przecież nie mogła zniknąć. Tylko że te drogi wyglądają teraz inaczej, potem będą bardziej zarośnięte...

Rozejrzał się niespokojnie i nagle go olśniło.

– Tam! – Chłopak wskazał ręką. – Pamiętam tę drogę.

Poczuł radosne uniesienie. Zaraz będzie w Świecinie, zobaczy Iżę, Henryka, Marka i wzy stłch innych. Będzie w domu. Popędził Mokkę do kłusa.

– No, rusz się – warknął, oglądając się na przyjaciela.

Ernest wywrócił oczyma i ścisnął mocniej boki Inki.

Hubert rozpoznawał coraz więcej szczegółów. Z ekscytacji aż zaczął się trząść.

– Zaraz tam będziemy – szepnął. – Zobaczysz.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi oczekiwał, że zaraz ujrzy pola obsiane żytem, nad nimi będzie się wznosić drewniana palisada, a za nią czeka na niego dom. Tymczasem na polach rosło nieskoszone zboże, a tam, gdzie powinna znajdować się osada, leżały poprzewracane drzewa i gruzy zrujnowanych domów.

– I to jest ta twoja wioska? – zapytał Ernest.

Zatrzymali się, nie było możliwości, by jechać dalej, przywiązali konie do drzewa.

– Niemożliwe – szepnął Hubert, idąc przez ruiny. – Gdzieś tutaj powinny być domy i szkoła, i... kościół. Gdzie jest kościół?!

Nagle usłyszał huk, a w pniu pobliskiego drzewa pojawiła się poszarpana dziura. Natychmiast przypadł do ziemi, ciągnąc za sobą Ernesta.

– Ktoś do nas strzela! – wykrzyczał przyjacieli.

– Zauważyłem – warknął.

Podczołgali się do wywróconego drzewa, za którym się schowali, gdy usłyszeli kolejne strzały.

– Proszę nie strzelać! – krzyknął Hubert.

– Wynocha stąd! – Chłopak usłyszał męski głos, którego nie rozpoznawał. – Złodzieje! Mordercy!

– Chcemy porozmawiać!

Ale w odpowiedzi padły kolejne strzały.

– Hubert, wynośmy się stąd – jęknął Ernest.

Zaczęli czołgać się w kierunku koni, a nad ich głowami przelatywały kule.

W końcu osłona z drzew i gruzów się skończyła, a od koni dzieliło ich jeszcze kilkanaście metrów.

– Nie damy rady dobiec do lasu – sapnął Ernest.

Hubert obejrzał się za siebie, gdy kolejne pojedyncze strzały zaświszczały mu nad głową. Znowu przypadł do ziemi.

– Cholera! – zaklął.

Nagle przypomniał sobie o pepeszy, którą miał przewieszoną przez ramię. Szybko ją zdjął, odbezpieczył i strzelił w niebo.

– Jeszcze raz – powiedział Ernest, gdy przeciwnik wstrzymał ogień.

– Nie mogę! Zacięła się – odparł, mocując się z bronią.

– Szlag!

– Biegniemy – zdecydował Hubert i pociągnął przyjaciela w górę.

Popędzili co sił w nogach i już po kilku sekundach dopadli do koni. Wtedy rozległy się kolejne

strzały.

– Szybciej! – wrzasnął Hubert, odwiązując wodze.

Błyskawicznie znaleźli się w siodłach i ruszyli byle dalej od zrujnowanej miejscowości. Jechali około dwóch kilometrów, kiedy Ernest nagle wybuchł.

– Co to, do cholery, było?!

– Nie wiem. – Hubert pokręcił głową.

– W coś ty znowu nas wpakował?!

– Nie wiem. Chyba pomyliłem wieś... Te drogi są takie do siebie podobne... Powinniśmy poszukać trochę bardziej na wschód...

– Co ty wygadujesz?! Właśnie do nas strzelali, a ty chcesz dalej szukać tej przekłetej wiochy?! Obudź się! Ona nie istnieje!

– Istnieje, musi być gdzieś tutaj. – Hubert nerwowo wyjął z plecaka mapę i trzęsącymi się rękoma rozłożył, puszczając wodze.

– Wracamy do domu – powiedział twardo Ernest. – Właśnie do nas strzelali. Mam tego wszystkiego dosyć! Muszę wrócić do siostry!

– Święcino gdzieś tu jest – szeptał Hubert. – Po prostu pomyliłem drogę.

– Wracamy do domu!

Hubert złożył mapę i ze spuszczoną głową pozwolił Mokce iść przed siebie.

„Śwęcino nie istnieje – szeptał podstępny głos w jego głowie. – To tylko sen, nie ma Henryka, Izy, Kasi, oni nie istnieją, nigdy ich nie było...”.

Poczuł w sercu pustkę. Ze zdwojoną siłą uderzyły w niego wspomnienia z ostatnich miesięcy. Panika w Poznaniu, brak prądu, śmierć tylu mieszkańców Dąbrówki, smród palonych ciał mężczyzn, kobiet i dzieci.

„Jak mamy to wszystko przeżyć?” – z rozpaczą zadawał sobie pytanie.

Ernest przez całą drogę się nie odezwał. Wciąż był wściekły. Hubert naraził ich na niebezpieczeństwo. Tyle że teraz chodziło o życie, a nie kolejną uwagę w dzienniczku i szlaban od rodziców. Uważał, że przyjaciel tym razem przesadził.

Do Dąbrówki zajechali trzy dni później w nocy. Hubert był załamany, a Ernest wściekły, nie dbali więc o to, że narobią hałasu. Konie zaprowadzili do stajni.

– Dzięki i przepraszam, że naraziłem twoje życie – powiedział ponuro Hubert, kiedy rozsiadli wali zwierzęta.

Kiedy tylko wszedł do domu, na spotkanie wybiegli mu rodzice.

– Gdzie wy byliście?! – wykrzyczała Lidia.

Hubert otworzył usta i je zamknął.

– Musieliśmy coś sprawdzić – powiedział w końcu.

– Jak to „sprawdzić”?! Nie było was tydzień! Odchodziłam od zmysłów!

– Myśleliśmy, że coś wam się stało – dodał Daniel.

– Wiem, przepraszam – odparł Hubert ze spuszczoną głową.

Wyminął rodziców i poszedł do swojej sypialni.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam! – krzyknęła za nim matka, ale ją zignorował.

Zamknął się w pokoju. Wyjął z plecaka mapę i ze złością rzucił ją na szafkę. Wtem jego wzrok padł na demonologię.

– Demonów też pewnie nie będzie – mruknął, po czym cisnął książką o ścianę. Otworzyła się

i upadła na ziemię grzbietem do góry, a na nią posypało się kilka drobinek tyłku.

Hubert położył się na łóżku i nakrył głowę poduszką. Był zły i rozczarowany, miał wrażenie, jakby cały jego świat się zawalił.

Sam nie wiedział, kiedy usnął. Jednak nie był to spokojny sen. Chłopak miał koszmary o demonach. Śniła mu się też wyprawa do miasta po demonologię, znów przeżywał śmierć bliskich i własną.

Kiedy się obudził, panowała ciemność. Słyszał przytłumione głosy na parterze. Był trochę głodny, ale nie miał siły zejść na dół, musiałyby wtedy stanąć twarzą w twarz z rodzicami, Albertem i Ernestem. W tej chwili nie potrafił się na to zdobyć. Najchętniej nigdy już nie opuszczałby pokoju.

Leżał tak w ciemności przez długie godziny. Słyszał, jak przy jacieł wchodzi do pokoju i kładzie się do łóżka, ale udawał, że śpi. Nasłuchiwał odgłosów domu, bezwiednie rejestrował wszystkie dźwięki z zewnątrz.

„To wszystko jest bez sensu” – pomyślał, zanim usnął na dobre.

– Wstawać! To, że macie szlaban na opuszczanie wsi, nie znaczy, że odpuszczę wam pracę! – oznajmił Albert, wpadając do sypialni chłopców.

– Nigdzie nie idę – jęknął Hubert i nakrył głowę poduszką.

– Już! – Albert ściągnął z niego nakrycie.

Starszy pan był uparty. Kazał chłopcom zjeść śniadanie i zagonił ich do naprawy płotu. Nie rozmawiali. Ernest wciąż się wściekał, a Hubertowi wszystko zobojętniało. Robił, co mu kazano, i nic ponadto. Po południu Zuzia zaproponowała mu grę w pokera, ale nie miał ochoty do zabawy.

– Może później – powiedział i poszedł do sadu.

Tam usiadł na trawie pod drzewem i tępo wpatrywał się przed siebie. W takim stanie znalazł go ojciec.

– Co robisz? – zapytał.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Ernest mi powiedział, po co tam pojechaliście.

– To się pewnie ucieszysz, że nie miałem racji. Po raz pierwszy, od kiedy wróciłem z Paryża – mruknął.

– Nie, wcale się nie cieszę – odparł spokojnie. – Przykro mi, że ci się nie udało, jeżeli to było dla ciebie takie ważne.

– To już nieważne, nic już nie ma sensu.

– Ważne jest to, że mimo tego, co się dzieje na świecie, wszyscy wciąż żyjemy. Choroba zabrała wiele osób, ale nikogo z nas. I to się liczy.

– Tak, pewnie tak – westchnął.

– Zobaczysz, damy sobie radę ze wszystkim. – Daniel poklepał go po ramieniu. – Ale szlaban i tak macie. Obaj.

Od feralnej wyprawy Hubert stracił serce do wszystkiego. Nic go już nie cieszyło, pracę wykonywał mechanicznie, nie interesował się, co się działo we wsi. Ernest z Zuzią starali się wciągnąć go w różne gry, proponowali mu wspólne spacerunki, wyprawy nad rzekę i łowienie ryb, ale odmawiał. Zaczął stronić od ludzi, co było zupełnie do niego niepodobne. Większość wolnego

czasu spędzał na wędrówkach po lesie. Szukał jakichkolwiek śladów, które mogły zostawić demony. Bezskutecznie.

Znał już na pamięć każdy metr kwadratowy lasów otaczających Dąbrówkę. Wolał przemierzać je całym godzinami, rozpamiętując życie w Świącinie, niż wrócić do domu. Jednak z biegiem czasu jego sen o utopii wydawał się coraz odleglejszy. Demony zaś wytworem wyobraźni. Okolica Dąbrówki była tak senna jak przed wojną. Nigdzie nie znalazł nawet śladu potworów. Któregoś dnia zapędził się bardzo daleko od wsi i wrócił do domu dopiero po zmroku. Był bardzo głodny, więc od razu skierował się do kuchni. Miał zamiar coś zjeść, a potem zamknąć się w sypialni i znów przeglądać demonologię, szukając w niej jakichś wskazówek, które mogły mu umknąć. Wolał być przygotowany, jeśli jednak okaże się, że istnienie potworów to nie mrzonka.

– Gdzie ty znowu byłeś? – Lidia stanęła mu na drodze.

– W lesie.

– Przecież mówiłam ci, żebyś wrócił wcześniej – powiedziała z wyrzutem.

– Nie pamiętam.

– Ostatnio nic nie pamiętasz. Przecież dziś Zuzia ma urodziny.

– To już dziś? – zdziwił się. Dni i ty godnie zaczęły mu się zlewać.

– Chodź. – Lidia pociągnęła go do salonu, gdzie wszyscy czekali.

Na stole stał talerz z reszką tortu.

– Wszystkiego najlepszego. – Hubert uśmiechnął się serdecznie do Zuzi.

– Dziękuję. – Jej blada twarz, okolona burzą rudych, popłątanych loków, promieniała.

– Czekałimy z tortem, ale długo nie przychodziłeś – powiedział Daniel, nakładając dla syna kawałek ciasta na talerz.

Hubert przyjął je i zaczął jeść.

– Chcesz zobaczyć, co dostałam? – zapytała wesoło Zuzia.

Pokiwał głową.

– Patrz. – Z radością odsłoniła uszy i pokręciła głową. W świetle świecy zamigotały złote kolczyki, które kiedyś należały do Lidii. – A to od dziadka. – Dziewczynka podała mu mały syczoryk – A to od Ernesta. – Teraz pokazała złote serduszek na cienkim łańcuszku. – Należał do mamy – dodała ciszej. – Miałam go dostać na piętnaste urodziny.

– Mama na pewno by się nie obraziła, że dostałaś go na czternaste – pocieszył ją brat.

Hubert usiadł wygodnie w fotelu i grzebał małym widelczykiem w torcie. Wszyscy wydawali się szczęśliwi. Wojna i zaraza rzuciły cień śmierci na osadę, ale im udało się przeżyć.

Jesień rozpoczęła się na dobre. Codziennie trzeba było palić w piecu. Na szczęście Albert miał stare ogrzewanie grawitacyjne, które nie wymagało żadnych skomplikowanych urządzeń i z powodzeniem działało również po impulsie.

– A mówili: „Po co ci, stary, to ogrzewanie?” – powtarzał często starszy pan. – Musisz ciągle palić w piecu, po całym domu masz paskudne, grube rury. Tak mi mówili. I że tylko кіtram pieniądze pod materacem, zamiast wydać je na remont domu i nowoczesny piec. I co? Teraz to oni najgłośniej narzekają – zaśmiał się.

W Dąbrówce wiele gospodarstw miało studnie, a latem nikt nie potrzebował ogrzewania, jednak ci bardziej przewidujący szybko zaczęli się tym martwić. Parę rodzin przeprowadziło się

do starych domów, gdzie znajdowały się piece kaflowe lub takie, jak miał Albert. Okazało się też, że stary Borowski, gdy był młodszy, pracował jako pomocnik zduna i umiał naprawić te, które nie działały dobrze.

W październiku sołtys urządził świniobicie. Hubert z Ernestem przyglądali się, jak starsi mężczyźni zabijają trzy dorodne świny. Spuścili ich krew na kaszanke, potem sparzyli skóry i chłopcy musieli pomagać przy czyszczeniu. Hubert wcześniej nie miał pojęcia, że świny są aż tak owłosione. Kolejnego dnia, gdy tusze wystygły, pomagali przy obróbce mięsa.

– Będzie jedzenia na kilka miesięcy – przekonywał Kazimierz Borowski, który nie pozwolił, aby cokolwiek się zmarnowało.

Lidia i Zuzia pomagały tymczasem pozostałym kobietom w przygotowaniu przetworów.

Na koniec miesiąca urządzono zabawę w świetlicy wiejskiej. Ludzie musieli się czymś zająć, a uroczyste spotkanie pozwoliło wszystkim zapomnieć o tym, jaki okropny czas przeżyli. Większość z nich w ciągu minionych miesięcy straciła kogoś z rodziny lub znajomych.

Hubert rozejrzał się po pomieszczeniu. Trójka dzieci, Jagoda, Jędreki i Oskar, bawiła się właśnie w berka, ich opiekunowie rozmawiali przy stołach, jedli dania przygotowane specjalnie na tę okazję.

Największą rodziną, która przetrwała zarazę, byli Borowscy. Stare małżeństwo trzymało się całkiem nieźle, gorzej z ich synem i jego żoną, którzy z powodu choroby stracili dwoje dzieci. Dalej byli Berdowie – czterdziestodwuletni Sylwester, który przygarnął pod swój dach trzydziestoletnią bratanicę z synem Oskarem, oraz rodzina Huberta i Ernesta. Pozostali nie mieli tyle szczęścia. Cegła został sam z wnukiem, Jędrkiem, Woźnica z córką, Jagodą, pielęgniarka Irena nie miała nikogo, tak samo jak sąsiadka Alberta, Aniela Janicka, siedemdziesięcioletnia kobieta, która jeszcze przed wojną pochowała kilku mężów. Pozostali jeszcze Górscy, młode małżeństwo z innej wsi, którzy na razie nie byli w stanie mówić o tych, których stracili.

Hubert zerknął na swoją rodzinę. Lidia, ubrana odświętnie, dyskutowała o czymś z pielęgniarką Ireną. Albert opowiadał jeden ze swoich kawałów Danielowi, sołtysowi i myśliwemu. Zuzia, ubrana w kwiecistą sukienkę, z włosami zaplecionymi w koszyczek, szeptała coś na ucho Ernestowi. Wszędzie panowała swobodna atmosfera. I wtedy wzrok chłopaka padł na samotnego żołnierza siedzącego w ławie. Z ponurą miną wpatrywał się w swój pusty kubek

– Cześć. – Chłopak podszedł do niego i usiadł obok

– Cześć. – Żołnierz nie podniósł nawet wzroku.

– Jestem Hubert. – Wyciągnął dłoń w jego stronę.

Żołnierz, wysoki, potężny i krótko przystrzyżony blondyn, zastanowił się chwilę i uściśnął jego rękę.

– Michał.

– Wiem, że już jakiś czas minął, ale przykro mi z powodu śmierci twoich kolegów.

– Dziękuję. Czasem myślę, że gdybym tylko wcześniej opuścił posterunek, przeżyłby. Jestem najstarszy stopniem, moim obowiązkiem było o nich zadbać.

Hubert pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Nie sądzę, że mogłeś coś zrobić, żeby ich ocalić – powiedział po chwili. – Nikt, kto zachorował, nie przeżył. Nic by ich nie uratowało.

– Mówili, że na południu lekarze pracują nad antybiotykiem...

– Jak widać, raczej nie zdążyli.

Michał zmierzył Huberta wzrokiem.

– Ty jesteś wnukiem tego szurniętego strażaka?

– Hm, można tak powiedzieć.

– Widać pokrewieństwo.

Hubert uśmiechnął się pod nosem.

– Nie masz tu nikogo bliskiego, prawda? – zagadnął.

– Nie mam. Moja rodzina mieszka... mieszkała kilka wiosek dalej. Tak się, głupi, cieszyłem, że udało mi się zamienić z kolegą i dostać przydział właśnie tutaj, blisko nich. Jeszcze w kwietniu ich widziałem, a potem... potem cała wioska zachorowała i w ciągu kilku tygodni wszyscy umarli. Nie było nikogo, kto mógłby ich pochować. – Michał odstawił kubek i zacisnął pięści. – Nikogo. Dzikie zwierzęta zajęły się ciałami... Miałem kilkunastoletnią siostrę. Była taka ładna, wszyscy ją lubili. I jak pomyślę, że... że jakieś psy czy lisy... – Głos żołnierza zadrzął.

– Przykro mi – powiedział po chwili Hubert.

„Ja przynajmniej mam rodzinę przy sobie – przemknęło mu przez myśl. – A przecież chłopak jest tylko kilka lat starszy ode mnie”.

– Wiesz, jakbyś miał ochotę i się nudził, to zawsze możesz wpaść w odwiedziny do nas – zaproponował. – Wieczorami nie ma za dużo roboty, szkoda siedzieć samemu w ciemności.

– Dzięki. – Żołnierz spojrział mu w oczy ze wzruszeniem.

Michał zdecydował się ich odwiedzić dopiero po trzech dniach. Ale kiedy już to zrobił, został potraktowany jak przyjaciel rodziny. Lidia wcisnęła w niego kolację, a potem wszyscy usiedli w dużym pokoju, nawet Zuzia usadowiła się na ziemi i bawiła w zaplatanie kolorowych sznurków.

Albert z kolei wciągnął Michała w pogawędkę o swoich dawnych czasach w wojsku. Hubert z Ernestem przysłuchiwali im się z uśmiechami na twarzach.

– I ten stary dziad, porucznik Kozak, nadal żyje? – dziwił się starszy pan.

Michał pokivał głową.

– Ponoć chcieli wysłać go na emeryturę, ale zapał się rękoma i nogami.

– To był twardy człowiek – dodał Albert. – Pamiętam, jak kiedyś razem rozebraliśmy drewniany wóz na części, wynieśliśmy je na dach koszarowca i tam poskładaliśmy. Wyglądał, jak się patrzy! Tylko z wciągnięciem tam konia mieliśmy problem. Chabeta jedna po schodach nie chciała wleźć.

– Ja kiedyś zadzwoniłem do takiego nieogarniętego kumpla, który był w dyżurce, i przedstawiłem się właśnie jako Kozak – rzekł Michał. – I tak mu powiedziałem: „Ty sprawdź, czy na parkingu stoi mój batmobil”. A ten krety n ruszył na zewnątrz i tylko patrzeliśmy przez okno, jak pomyka między samochodami, szukając tego batmobilu.

– Wesoło oni tam mają, co? – szepnęła Ernest do Huberta.

– Tylko do wojska iść. – Chłopak się uśmiechnął.

Od tamtego wieczoru Michał był częstym gościem w ich domu. Hubert z Ernestem bardzo go polubili i w pogodne dni chodzili we trzech na ryby.

– Nic mi nie bierze – narzekał Hubert. Od trzech godzin siedział na pomoście nad jeziorem i złowił tylko niewielką płotkę, której i tak darował życie. – Mam to gdzieś – mruknął i oparł wędkę o rozwidloną patyk – Jeśli by coś brało, to krzy czcie.

Wstał z krzesła i się przeciągnął. Zuzia leżała na brzuchu na pomoście bliżej brzegu i rzucała do wody niewielkie słomki z trawy.

– Co robisz? – Hubert podszedł do niej.

– Nic – odparła, nie podnosząc głowy. Wydawała się nieobecna.

„Kiedyś też taka była?” – zaczął się zastanawiać.

Przeszedł nad nią i stanął na podmokłym brzegu jeziora. Słońce oświetlało żółte i czerwone liście na drzewach, ale od ziemi było już czuć chłodem.

„Jak przetrwamy zimę? – przemknęło mu nagle przez myśl, kiedy patrzył na czerwono-żółty krajobraz – Zgromadziliśmy wystarczająco dużo zapasów? Wiem, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu ludzie doskonale sobie radzili zimą bez prądu, ale czy my pomyśleliśmy o wszystkim?”.

– Widzisz jego spławik? – Chłopak ledwie usłyszał, jak Ernest pyta o to Michała.

– Nie, coś chyba wzięło. Hubert!

Ale Hubert przestał zwracać na nich uwagę. Usłyszał jakieś dźwięki w lesie, na razie ciche, zaledwie szelest suchych liści na ziemi, ale po chwili dołączyły do nich popiskiwania i stęknienia.

– Co jest? – zapytał Michał, kiedy i on je usłyszał.

Zszedł z pomostu i dołączył do Huberta. Ernest stanął przed siostrą, jakby ją osłaniał.

Hubert zdał sobie sprawę, że nie zabrał żadnej broni. Odwykł od tego. Zresztą rodzice zabronili mu chociażby zbliżyć się do sypialni Alberta, gdzie pod łóżkiem spoczywał cały arsenał.

Hałasy i piski się nasiliły. Cała czwórka wpatrywała się w las. Michał wyjął z kabury pistolet i stanął gotowy do strzału. Wtem spomiędzy drzew wypadły trzy dziki. Biegły na osłep przed siebie. Nawet nie zauważyły ludzi.

– Co to było? – odezwał się Ernest, kiedy zwierzęta znikły za krzewami.

– To, mój drogi, były dziki – odpowiedział Hubert. Serce wciąż biło mu szybciej, ale humor się poprawił. Przez jedną czy dwie naprawdę paskudne sekundy był przekonany, że zostaną zaatakowani przez demona.

– Wiem, że to były dziki – mruknął Ernest.

– To po co się głupio pytasz?

– Ale co je takszposzyło?

– A czy to ważne? – Michał wruszył ramionami i schował pistolet do kabury. – A tobie właśnie spławik zerwało – zwrócił się do Huberta, wracając na pomost.

– Cholera – mruknął chłopak przechodząc nad wciąż leżącą na pomoście Zuzią. – W takim tempie nic nie zostanie z wędek do wiosny.

– No to ich lepiej pilnuj, bo dziadek się wścieknie – powiedział Ernest.

Chłopcy znów zabrali się do łowienia. Hubert z kolei musiał rozplątać żyłkę przy swojej wędkę. Zuzia, jak gdyby nigdy nic się nie stało, dalej rzucała na wodę słomki i nuciła cicho pod nosem.

– Michał? – odezwał się po dłuższej chwili Hubert.

– Co?

– Strzelałeś kiedyś z tego do człowieka? – Wskazał brodą na pistolet żołnierza.

– Dlaczego pytasz?

– Tak z ciekawości... No bo że umiesz w ogóle strzelać, to raczej oczywiste.

– Zanim to wszystko się stało, nie miałem wielu okazji do strzelania – odparł. – Mielśmy trochę ćwiczeń na strzelnicy, ale wiesz, naboje są drogie. Trzeba było ze wszystkich się

rozliczyć... Kiedyś zaginął jeden granat, to całej jednostki nie wypuścili na Wielkanoc do domu. W sumie nigdy się nie odnalazł. Ale jeśli chodzi o twoje pytanie, to nie, nie strzelałem nigdy do ludzi i mam nadzieję, że nie będę musiał. Nie przygotowali nas do czegoś takiego – westchnął. – Naszym zadaniem było wykonywać rozkazy, zawsze w pobliżu miał być ktoś starszy stopniem, kto by wiedział, co robić. A potem wysłali nas tutaj i zapomnieli... A skoro tak, to nie zamierzam nikomu o sobie przypominać.

– I wcale ci się nie dziwię. – Ernest poklepał go po ramieniu.

– A wiecie, czego boją się zwierzęta? – zapytała nagle Zuzia.

Chłopcy obejrżeli się na nią zaskoczeni.

– Czego? – zapytał Ernest.

Ale już go nie słuchała i dalej, nucąc, rzucała słomki na wodę. Tylko Hubert zastanowił się nad jej pytaniem. No właśnie, czego się boją? Dlaczego z takim przerażeniem uciekały z lasu? Chciał wierzyć, że to normalne zachowanie dzików, ale w głębi serca podejrzewał, co mogło wzbudzić taki strach.

Kilka dni później poprosił myśliwego Woźnicę, żeby zabrał go na polowanie.

– Dlaczego chcesz iść na polowanie, młody? – zapytał mężczyzna. Nie był zbyt wysoki ani potężny, ale potrafił zaopatrzyć całą wieś, a raczej tych, którzy w niej pozostali, w dziczyznę. Hubert mgliście pamiętał, że kiedyś miał ciemne włosy, ale teraz całkowicie posiwiał. Prawdopodobnie z powodu śmierci żony i syna. Został sam z jedenastoletnią córką.

– Pomyślałem, że może przydałaby się panu pomoc. A poza tym chciałbym się nauczyć polować.

– Dobrze. – Mężczyzna skinął głową. – Ale nie myśl, że dostaniesz strzelbę.

– Wystarczy, żebym się przyglądał.

– Jutro idę na polowanie z Woźnicą – oznajmił wieczorem Hubert.

– Polowanie? – Zaskoczony ojciec podniósł głowę.

– No chyba mogę? – Chłopak spojrział mu w oczy.

Mężczyzna pokiwał głową. Jego syn zmienił się w ciągu ostatnich miesięcy nie do poznania. Od pracy nabrał tężyzny i większej pewności siebie. A może to było jeszcze wcześniej? W sumie już w kwietniu zachowywał się inaczej.

– Niech chłopak idzie, przynajmniej się czegoś nauczy – powiedział Albert.

Następnego dnia Hubert zerwał się z łóżka z samego rana. Choć może zerwał to nie do końca trafne określenie, raczej się zwłókł i poszedł do domu myśliwego. Stamtąd obaj ruszyli do lasu.

Hubert przez cały czas wypytywał o zwyczaje zwierząt.

– A czy w ostatnich tygodniach nie zauważył pan, żeby zwierzęta jakoś inaczej się zachowywały? – zapytał w końcu.

– Jak inaczej?

– No nie wiem, dziwnie?

– Nie wydaje mi się.

– Hm. – Hubert się zamyślił. „Nie zachowują się dziwnie, to może nie ma demonów? Albo myśliwy nic nie zauważył? A może się pokażą dopiero za kilka lat? Kurde, że też nikt mi nie powiedział, kiedy ludzie zaczęli je widywać”.

W pewnym momencie natknęli się na martwą sarnę, a raczej to, co z niej zostało.

– Co ją tak urządziło? – zapytał Hubert, patrząc z niesmakiem na zwierzę z wywleczonymi wnętrznościami.

– Pewnie zdziczałe psy – stwierdził myśliwy.

Chłopak zobaczył kilka odcisków psich łap. Ale obok nich inne ślady, niepodobne do żadnych, które znał.

– A to? – Chłopak wskazał palcem.

– Czy ja wiem...? – Myśliwy się pochylił. – Trochę niewyraźne, mogłyby należeć do jakiegokolwiek zwierzęcia.

I tak było za każdy razem. Hubert nie mógł znaleźć żadnego niepodważalnego dowodu na istnienie demonów. Tylko poszlaki, które sam nie wiedział, jak traktować. Żeby przekonać innych, że mrok skrywa potwory, najpierw musiałby przekonać do tego samego siebie.

Na początku listopada ksiądz, który przeżył zarazę, poświęcił wszystkie groby i zbiorową mogiłę, gdzie znajdowały się prochy ofiar epidemii. W ten dzień wszyscy mieli ponury nastrój – na cmentarzu było więcej świeżych grobów niż modlących się nad nimi. Niedługo potem spadł pierwszy śnieg, mróz ściał wszystkie kałuże.

Jakiś czas później do Dąbrówki przybyło młode małżeństwo. Wyglądali na nieco wystraszone, ale i zdesperowane. Okazało się, że bali się tego, jak zostaną przyjęci we wsi, ale skończyły się im zapasy jedzenia i postanowili zaryzykować spotkanie z miejscowymi. W zamian za informacje na temat tego, co dzieje się na świecie, sołtys przyjął ich pod własnym dachem. Kilka osób również postanowiło z nimi porozmawiać i zorganizowano spotkanie, ale oczywiście nikt nie zaprosił na nie Huberta ani Ernesta.

– Oni traktują nas jak dzieci! – denerwował się Hubert, kiedy został sam w domu z przyjaciółmi i jego siostrą. – Michałowi pewnie pozwolili tam iść!

– W końcu jesteśmy niepełnoletni. – Ernest wzruszył ramionami. – A Michał jest żołnierzem.

– Niepełnoletni? – prychnął Hubert. – Jakże to jeszcze ma znaczenie?

– Najwyraźniej ma.

Chłopak wstał i ze złością zaczął chodzić po salonie. Ernest siedział w fotelu i bawił się kostką Rubika. Zuzia leżała na dywanie i czytała książkę.

– Tak nie powinno być – mruzczał pod nosem Hubert. – Jeśli chodzi o przydział jakiejś roboty, traktują nas na równi z dorosłymi. A gdy zapowiada się coś poważnego albo ciekawego, wtedy jesteśmy dziećmi.

– No, ale czego byś się od tej pary dowiedział?

– Nieważne. Liczy się to, że każdy mieszkaniec wsi tam był. W Świącinie...

– W tym Świącinie, które nie istnieje? – Ernest przerwał mu, kpiąco unosząc brwi.

Hubert prychnął tylko i wyszedł do kuchni po coś do jedzenia. W życiu by się do tego nie przyznał, ale ubodły go słowa przyjaciela. Najprawdopodobniej osada była tylko jego urojeniem, jednak wieczorami, leżąc w łóżku, wyobrażał sobie, że znów kiedyś tam trafi. Tęsknił za swoim domem, za tym, że w Świącinie był szanowanym strażnikiem, a nie tylko lekceważonym dzieciakiem. Wspominał ludzi, których twarze powoli stawały się coraz bardziej zamazane. Gdyby mógł znów się tam znaleźć, rozegrałby wszystko zupełnie inaczej. Nigdy nie pozwoliłby przyjaciołom zginąć.

Zapadał już zmrok, kiedy do domu wrócili wreszcie rodzice i Albert.

- No i? – zagadnął ich od progu Hubert.
- A czego się spodziewasz? – odezwał się Albert.
- To znaczy?

- To małżeństwo przemierzyło konno spory kawałek kraju w poszukiwaniu rodziny – powiedziała Lidia. – Mówią, że po drodze natknęli się na wymarłe miasteczka i wsie. Większe miejscowości były często zupełnie zrujnowane, a ludzie w nich zachowywali się jak zwierzęta. Kilka razy nawet do nich strzelano.

- Aż trudno w to wszystko uwierzyć – odezwał się jej mąż.
- A nie mówiłem? – zapytał Albert.
- Nie wiem, jak mamy dalej ułożyć sobie życie – westchnęła Lidia.



ROZDZIAŁ V

W gospodarstwie było coraz mniej pracy, więc przez większość czasu każdy musiał sam sobie znajdować zajęcie. Hubert wciąż powtarzał demonologię. Nudziło go to zajęcie, bo informacji, jak udobruchać danego demona albo z nim walczyć, było naprawdę niewiele. Nie pomijał jednak niczego, bo nie wiedział, kiedy jaka wiedza może się przydać. Ernest siedział na łanapie i bawił się zapalniczką ojca, Zuzia leżała na ziemi i układając puzzle, nucila coś cicho. Lidia była w kuchni. Podjęła kolejną próbę upieczenia chleba – zazwyczaj wychodził zakalec.

Rada Starszych postanowiła na wiosnę zbudować piec chlebowy. Wiedzieli też, że niedługo zabraknie im butli z gazem, które już teraz musieli przywozić z pobliskich opuszczonych wsi.

Życie z jednej strony stało się trudniejsze, a z drugiej pod pewnymi względami prostsze. Problemy związane ze szkołą czy pracą przestały mieć znaczenie. To, co kiedyś spędzało ludziom sen z powiek, wydawało się odległe i nieznaczące.

Pojawiły się za to nowe kłopoty: szczury, myszy i inne szkodniki szukające na zimę schronienia, na przykład w zapasach zboża. Bez radia, telewizji i internetu, które by ciągle im przypominały, jaki jest dzień, pogubili się w kalendarzu. Ostatnie miesiące tak obfitowały w wydarzenia, że nikt nie myślał o tym, jaka jest data. Jednak gdy nadszedł grudzień, a z nim przygotowania do świąt, narodziło się pytanie, kiedy to tak naprawdę jest. Prawie każdy miał własne zdanie na ten temat. Dla niektórych zaczynały się za tydzień, dla innych za ponad dwa.

– Nie wiem, o co oni się tak piekłą – stwierdził Hubert, kiedy grał w karty z Zuzią i Ernestem. – Czy to aż takie ważne, jaki jest dzień?

Przyjaciół spojrzali na niego krzywo. On chciałby to wiedzieć i doskonale rozumiał problem.

– Kiedy świat stanął na głowie, dobrze byłoby mieć świadomość, że Boże Narodzenie świętuje się we właściwym czasie – powiedział w końcu. – Chociaż w tym jednym dniu czuć się normalnie.

– Może masz rację. – Hubert wzruszył ramionami. Nie obchodziły go takie przyziemne kwestie. Miał na głowie dużo ważniejszy problem: czy demony istnieją. Z jednej strony nie chciałby już nigdy się z nimi zetknąć, ale z drugiej... wolałby mieć świadomość, że nie zwariował, usłyszawszy w lesie dziwne dźwięki, a w domu szepty, na które nikt inny nie zwracał uwagi.

Datę ustalono na zebraniu Rady Starszych. Decydujący głos miał ksiądz. Orzekł, że Wigilia jest za osiem dni. Od tej chwili zaczęły się przygotowania do świąt. Lidia zagoniła chłopców i Zuzię do lepienia pierogów, a sama wraz z Albertem zajęła się mięsem i ciastami.

To były niezwykle święta. Pierwsze od wojny i epidemii, więc ludzie dziękowali Bogu, że udało im się przeżyć. Ponadto Dąbrówka była całkiem niezłe zaopatrzona na zimę. Na wigilijnym stole pojawiło się dużo mięsa i ryb złowionych przez Woźnicę, pierogi i trochę warzyw, które przetrwały kilka miesięcy w ziemiankach i kopcach w ziemi. Hubertowi brakowało egzotycznych owoców, pomarańczy i mandarynek, z jakimi zawsze kojarzyło mu się Boże Narodzenie, orzechów, których nie zdążyli nazbierać jesienią, a także zwykłych słodczy. Co prawda kilka miesięcy wcześniej przywieziono ich sporo z szabru, ale zapas szybko się wyczerpał, a nikt nie chciał opuszczać Dąbrówki zimą, gdy śnieg zasypał drogi.

Do tego doszły długie i nudne wieczory. Zmrok zapadał szybko, o szesnastej robiło się zupełnie ciemno i niewiele było do roboty. Ale dzięki temu Hubert spędził święta w gronie rodziny, bez komputera. Mama nie miała dyżuru, a tata nie siedział nad swoimi prawniczymi księżkami.

– Hubert, dołóż do pieca, chłodno się zrobiło – poprosiła Lidia, szczerzej otulając się kocem.

Chłopak z cichym jękiem zwał się z kanapy. Był drugi dzień świąt i tak się objadł, że ledwo mógł się ruszać, ale i jemu zaczął doskwierać chłód. Zszedł do piwnicy i zajrzał do pieca, gdzie tliły się małe polana. W ciągu ostatnich kilku zimnych miesięcy nauczył się go sprawnie rozpalać. Dorzucił trochę drewna i patrzył przez chwilę, jak zajmuje się ogniem, a potem wrócił na kanapę i przegrzając suszone śliwki, wziął do ręki kostkę Rubika. Szybko się jednak zniechęcił. Nie miał cierpliwości jak Ernest.

Potem z zainteresowaniem przypatrywał się, jak Albert uczył Zuzię wyplatać koszyki. Mężczyzna używał do ich produkcji pociętych na giętkie paski korzeni sosnowych. Trzymał je w tym celu od lata.

– Myślałem, że koszyki robi się z wikliny – zdziwił się Hubert.

– A widziałeś gdzieś w okolicy wiklinę? – zapytał Albert.

– No nie.

– To już wiesz, dlaczego robisz je z korzeni.

Przez chwilę Hubert z podziwem obserwował, jak palce starszego pana śmigają, przeplatając ze sobą paski drewna. Lecz gdy sam spróbował tej sztuki, wszystko zaczęło mu się rozlać w rękach, a korzenie łamać. Uznał więc, że nie jest stworzony do prac manualnych, i wrócił na kanapę, ale leżenie szybko go znudziło.

– Zrobilibyśmy coś wymagającego ruchu – westchnął.

Lidia pokręciła głową, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Możesz posprzątać w domu – zaproponowała.

– E, nie chce mi się. – Chłopak się przeciągnął.

Hubert lubił takie leniwe popołudnia, kiedy część rodziny przysypiała gdzieś po łąkach, a reszta w milczeniu znajdowała sobie jakieś zajęcie. Jednak zimą, gdy ciągle prószył śnieg i nie było zbyt wiele pracy w gospodarstwie, zaczął się nudzić. Przeszedł się po pokoju, wyjrzał za okno na uśpioną wieś i znów usiadł na kanapie.

Lidia spojrzała na niego z irytacją.

– Nie kręć się tak. A jak bardzo chcesz coś zrobić, to możesz zanieść trochę ciasta Michałowi.

Hubert uznał, że lepiej wyjść na mróz, niż siedzieć w domu i się nudzić. Ubrał się, spakował spory kawał ciasta i ruszył do sąsiada.

Wieś wyglądała na wymarłą, było cicho i spokojnie. Śnieg prószył, zasypując wąskie ścieżki wydeptane przez ludzi. Michał mieszkał niedaleko, więc Hubert nawet nie zdążył po drodze zmarznąć. Szybko dotarł do domu żołnierza i zapukał.

– Proszę! – rozległo się zza drzwi.

Chłopak wszedł do środka, otrzepując śnieg z butów. Zaspany Michał wyszedł mu na spotkanie.

– Mama przesyła dla ciebie ciasto – wyjaśnił, wręczając mu pakunek – Dlaczego dziś do nas nie przyszedłeś?

– Bo ileż mogę u was przesiadywać? – Michał wzruszył ramionami i zaniósł ciasto do kuchni. – Wystarczy, że zaprosiliście mnie na Wigilię.

– No przecież nie zostawilibyśmy cię samego. – Hubert podążył za nim i usiadł przy stole.

Żołnierz zamieszkał w domu rodziny, która umarła latem podczas zarazy.

– Co robiłeś, zanim przyszedłem? – zainteresował się Hubert.

– Głównie to się nudziłem. Chcesz ciasta?

– Nie, dzięki, zdążyłem się nim już przejeść...

Chłopakowi zrobiło się żal Michała, który nikomu nie chciał się narzucać i przez to większość czasu spędzał sam, pewnie myśląc o utraconej rodzinie i zmarłych kolegach. Hubert podejrzewał, że żołnierz miał wyrzuty sumienia, że nie potrafił pomóc ani krewnym, ani chłopakom, którymi dowodził.

Wtem jego wzrok padł na karabin leżący na szafce.

– Pokażesz mi, jak działa? – zapytał.

– Chyba nie chcesz teraz strzelać? W święta nie wypada...

– Nie, tylko pokaż mi, jak się go rozbiera na części i tak dalej.

Michał podał mu broń, wcześniej wyjmując z niej magazynki i nabój z komory.

– To jest kałach, prawda? – zapytał Hubert.

– Uhm, a profesjonalna nazwa to kbk AKMS.

– Masakra, kto wy myśla te skróty?

– Wojsko nie jest zbyt kreatywne.

Hubert dokładnie obejrzał karabin, a potem, bazując na swojej wiedzy o pepeszy, zaczął go rozkładać.

– Teraz tu – podpowiedział mu Michał, kiedy chłopak się pogubił.

– Fajny ten kałach – stwierdził Hubert, obracając karabin w dłoniach. – Co się stało z pozostałymi?

Nagle się spieszył. Nie powinien był pytać o broń zmarłych kolegów żołnierza.

– Przepraszam – rzekł cicho.

– Nie ma problemu. Dwa oddałem starszyźnie, w końcu byłem im coś winien, skoro mnie tutaj przyjęli. A swój i jeszcze jeden zatrzymałem... Dobrze ci to poszło – dodał.

– Albert trochę nas uczył.

Zapadło milczenie. Michał najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę. Nagle usłyszeli huk wystrzału gdzieś we wsi. Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– A jednak ktoś się nie przejmuje, że nie wypada – stwierdził Hubert.

– Zobaczą, co się dzieje. – Michał wziął z pokoju drugi karabin, włożył kurtkę i szybkim krokiem wyszedł na dwór.

Hubert wiedziony ciekawością ruszył za nim. Od strony plebanii dobiegały jakieś hałasy, więc obaj pobiegli truchtem w jej stronę. Drzwi były otwarte na oścież, w środku ktoś krzyczał. Michał wszedł pierwszy, z bronią gotową do strzału. Hubert deptał mu po piętach i wyrzucał sobie, że znów coś się dzieje, a on jest nieuzbrojony.

Kiedy stanęli na progu kuchni, zobaczyli bladego proboszcza stojącego pod ścianą i mężczyznę celującego do niego z kałasznikowa. Trzech innych, ubranych w mundury polowe, z karabinami na ramionach, przetrząsało szafki. Na ziemi leżał tynek, a w suficie widniała dziura po strzale. Gdy tylko obcy zobaczyli Michała i Huberta, natychmiast w nich wycelowali. Przez minutę wszyscy stali nieruchomo i w napięciu mierzyli się wzrokiem.

– Może wszyscy opuście broń i panowie powiedzą nam, czego szukają? – zaproponował Hubert, starając się, żeby jego głos nie zadrżał.

Nikt go nie posłuchał.

– Nie mam pieniędzy – jęknął słabo ksiądz.

– Na cholere nam pieniądze? – odezwał się najstarszy z intruzów. – Szukamy jedzenia.

– Ksiądz ma pewnie kiełbasę, na pewno się podzieli...

– Hubert, zamknij się – syknął Michał. – Zaraz przybiegnie tu więcej mężczyzn z bronią – ostrzegł złodziei.

Najstarszy żołnierz przez chwilę mierzył go wzrokiem.

– No dobra, chłopcy, idziemy – powiedział, ale karabinu nie opuścił.

Michał szturchnął Huberta, żeby zrobił im przejście w drzwiach.

– Nie – odezwał się młody, ale potężny chłopak, który nie mógł być nikim więcej niż starszym szeregowym. – Jest zima, nie znajdziemy łatwo pożywienia.

Na widok karabinów wycelowanych w jego pierś Hubertowi zaschło w gardle, ręce zaczęły się pocić. Żle się czuł z tym, że sam nie ma żadnej broni. Modlił się w duchu, by intruzi po prostu poszli.

– Idziemy – warknął najstarszy.

Młodzi żołnierze niechętnie skierowali się do wyjścia, cały czas celując w Michała i Huberta. Potem zniknęli w lesie.

– Nic księdzu nie jest? – Michał spojrzał na proboszcza z troską.

– N-nie – jęknął mężczyzna. – Co to za czasy, żeby wdzierali się ludziom do domów...

– Paskudne. – Hubert wzruszył ramionami.

– Co tu się dzieje?! – Na plebanię wpadł Albert z dubeltówką i stary Borowski z karabinem.

– Napadli na księdza – wyjaśnił Michał.

Hubert uznał, że nic tu po nim, więc wrócił do domu.

„Minie trochę czasu, zanim ludzie nauczą się bronić swoich terenów za wszelką cenę – pomyślał. – I jeszcze więcej, zanim inni odkryją, że nie należy napadać obcych, bo można oberwać”.

Wieczór minął spokojnie. Po dokładnym zabarykadowaniu drzwi wszyscy dość wcześnie poszli spać.

W środku nocy Huberta dręczyły koszmary. Obudził się zany potem, jednaknie pamiętał, co mu się śniło. Mamrocząc pod nosem, odwrócił się na drugi bok i nagle sparaliżował go strach. W pokoju stała niska chuda postać wpatrująca się w okno. Rozświetlała ją żółtopomarańczowa luna. Po chwili zdał sobie sprawę, że to tylko Zuzia.

– Co ty tu robisz? – syknął.

Dziewczynka, bosą, w błękitnej pidżamie i z burzą włosów, które teraz lśniły krwistą czerwienią, odwróciła twarz w jego stronę.

– Zobacz. – Wyciągnęła rękę.

Poderwał się i ruszył do okna.

– Co do cholery... – zaczął. – Pożar!

Nie miał pojęcia, co należy robić w takiej sytuacji. Obudził wszystkich w domu, a potem wcisnął w bosc stopy buty, narzucił kurtkę i wybiegł na dwór.

Pożar ogarnął całą plebanię. Kiedy Hubert do niej dotarł, z głuchym łomotem właśnie zawalił się dach. Ogień huczał, trzaskał i był tak gorący, że niemożliwe było zbliżenie się do niego choćby na kilka metrów. Na ulicy stały jeszcze trzy inne osoby, nie wiedząc, co robić.

– Gdzie ksiądz?! – zawołał chłopak i wtedy zobaczył jakiś cień na ścieżce wiodącej do budynku.

Oslaniając twarz od ognia, podbiegł do niego. Na ziemi, z szeroko rozłożonymi ramionami, leżał duchowny. Nie oddychał. Mimo to Hubert próbował odciągnąć go od ognia. Sapiąc z wysiłku i ignorując rozgrzane powietrze, zdołał przetransportować księdza z dala od ognia. Wyčerpany usiadł w zaspie śniegu. Z ulgą włożył w nią dłonie.

Albert, który dotarł już na miejsce z resztą domowników, przykucnął przy duchownym i spróbował go ocucić.

– Zastrzelili go – powiedział nagle.

Hubert dopiero w tym momencie zobaczył, że śnieg zaczyna barwić się na czerwono.

– Ale jak to? – zapytał, nie wierząc w to, co widzi.

– Nie żyje – potwierdziła Lidia, oglądając ciało.

– Boże... – jęknął Hubert.

„Kto i dlaczego zastrzelił księdza?” – zapytał siebie. Przecież nikt ze wsi by czegoś takiego nie zrobił. I wtedy przypomniał sobie wyraz twarzy żołnierzy, którzy tego samego dnia napadli na plebanię. Nie znaleźli jedzenia i zostali przepędzeni. Czyżby to była ich zemsta?

Plebanii nie dało się uratować. Do rana ogień strawił wszystko. Na szczęście budynek znajdował się w pewnej odległości od innych domów i pożar się nie rozprzestrzenił. Jednak było to niewielkie pocieszenie dla mieszkańców Dąbrówki. Przeżyli zarazę, zaczęli jakoś sobie radzić, a tu nagle zginął jeden z nich, proboszcz, i to w takich okolicznościach. Zdali sobie sprawę, że każdy obcy człowiek stanowi dla nich potencjalne zagrożenie.

Na szczęście zabójcy i podpalacze nie wrócili do wioski już nigdy. Lecz mieszkańcy Dąbrówki od tej pory żyli w strachu o swoje życie. Śmierć proboszcza była dla nich ciosem, zabrakło osoby, która odprawiała msze i pogrzeby, która by zapewniła, że to wszystko, co się stało, jest częścią boskiego planu i ma jakiś sens. Choć ziemia była zmrożona, pochowano księdza na miejscowym cmentarzu.

Ktoś rzucił pomysł, żeby odgradzić wysokim płotem zamieszkałe domostwa, jak tylko się ociepli.

Styczeń i luty tego roku pozostały w pamięci Huberta jako martwe miesiące. Śnieg dawał się wszystkim we znaki. Trzeba było wykopywać tunele między domami, a także prowadzące do pomieszczeń gospodarczych. Mężczyźni kilka razy wybrali się do lasu na wyrąb drzew. Powycinali też bloki lodu z zamrożonego jeziora i na sankach zawieźli je do wsi, a potem, przekładając słomą, pochowali w najgłębszych i najchłodniejszych piwnicach. Ponadto niewiele było do roboty.

Choć krótkie, dni wlewały się jeden za drugim. Hubert nie protestował, gdy Albert wypędzał jego i Ernesta, aby odsnieżali podwórko czy drogę do sąsiadów. Kilka razy nawet wybrali się z Zuzią na sanki i urządzili sobie bitwę na śnieżki.

– Ulepmy igloo – zaproponowała kóregoś dnia dziewczyna.

– Daj spokój, za starzy na to jesteśmy – stwierdził Ernest.

– Ani trochę! – zaprotestowała.

– W sumie czemu nie? – podchwycił jej pomysł Hubert.

– Zdziecinniałeś – mruknął przyjaciel.

– Przynajmniej będziemy mieli jakieś zajęcie.

Praca przy budowlu, która nawet nie przypominała prawdziwego igloo, zajęła im kilka dni i pozwoliła na chwilę zapomnieć o nudzie.

Wiosna przyszła pod koniec marca. Słońce szybko stopiło hałdy śniegu. W nocy nadal dokuczały przymrozki, ale wszyscy powitali z radością dłuższe dni, choć oznaczały one, że niebawem czeka ich praca. A było jej mnóstwo. Trzeba było zorać pola, zasiać zboże, warzywa, zająć się naprawami szkod wyrządzonych w ciągu ostatnich miesięcy. Już w tej chwili należało zacząć przygotowania do następnej zimy, jeżeli chcieli przeżyć. Grupa dorosłych przejechała wozami po okolicznych opuszczonych wsiach i miasteczkach w poszukiwaniu leków, soli, jedzenia z długim terminem przydatności i narzędzi.

Dzień w dzień Hubert wraz z Ernestem padali wieczorem wycieńczeni i nie mieli siły myśleć ani o demonach, które na razie nigdzie się nie pokazały, ani o niczym innym. W taki sposób minął kolejny rok od wojny. Ludzie przyzwyczaili się już do nowego życia bez prądu. Przeżyli jedną zimę, wiedzieli już, jak przygotować się do następnej.

Była wiosna, dokładnie dwa lata po wybuchu wojny. Hubert wraz z rodziną jadł kolację, gdy nagle ktoś bez pukania wpadł do domu. Wszyscy podnieśli głowy znad talerzy. Na progu kuchni stanął jedenastoletni Jędrek, wnuk sołtyśa.

– Panie Albercie... – zaczął, a potem zaciął się z otwartą buzią.

– Co się stało? – Lidia podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach.

– Dziadka nie ma.

– Jak to nie ma?

– Rano poszedł do lasu i jeszcze nie wrócił... Martwię się o niego.

– Po co miałby iść do lasu? – zdziwił się Albert.

– Nie wiem. – Chłopiec pokręcił głową. – Mówił, że musi coś sprawdzić. Ale miało mu to zająć tylko chwilę, a nie ma go już kilka godzin.

Albert zastanawiał się tylko chwilę.

– Ernest, biegnij do starszych i powiedz im, że za dziesięć minut wszyscy mają przyjść do remizy.

Chłopak kiwnął głową i wybiegł z domu.

– Może poszedł do lasu i zablądził? – zastanawiał się na głos Daniel.

– Stary Cegła w życiu by nie zablądził we własnym lesie. – Albert pokręcił głową. – Chodźcie, porozmawiamy ze starszymi, trzeba będzie zorganizować poszukiwania.

W całym tym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na Huberta, który wciąż siedział sparaliżowany na krześle.

– Poszedł do lasu i nie wrócił – szepnął, kiedy wszyscy, oprócz Zuzi i niego, wyszli. – Wiedziałem, że tak to się kiedyś skończy.

Sołtys mógł oczywiście skrócić nogę i utknąć gdzieś w lesie albo wbrew przypuszczeniom Alberta rzeczywiście zablądzić. Mógł też spotkać Woźnicę i iść z nim na polowanie. Lecz Hubert wiedział, że jest jeszcze jedno wytłumaczenie. Takie, które nikomu we wsi się nie spodoba.

Mama zabraniała mu dotykać broni palnej bez nadzoru kogoś dorosłego, a przecież w takiej chwili po prostu nie mógł wyjść z domu nieuzbrojony. Wziął więc bagnet, który kilka tygodni wcześniej dostał od Michała.

– Zostań w domu i nigdzie nie wychodź, dobrze? – zwrócił się do Zuzi.

Dziewczynka pokiwiała głową.

Kiedy Hubert już zamykał drzwi, wydawało mu się, że słyszy jeszcze słowa: „W lesie jest coś złego”, ale nie miał pewności, czy to nie był wytwór jego wyobraźni.

Kiedy dotarł do remizy, zebrała się już tam cała Rada Starszych i kilku pozostałych mieszkańców wsi. Co chwila przychodził ktoś następny. Zgodnie ustalono, że trzeba zorganizować poszukiwania sołtysa, zanim się ściemni. Ludzie podzielili się na grupy i ruszyli do lasu.

Niestety, teren był ogromny, a ludzi mało. Trzy godziny później kolejne zmęczone zespoły wracały do remizy. Nikt nie znalazł choćby śladu po Cegle.

– Chłopcy, przynieście trochę wody – poprosiła syna i Ernesta Lidia. – Wszyscy są zmęczeni.

– A my to niby nie? – mruknął pod nosem Hubert, ale przyjaciel pociągnął go w stronę domu.

– No chyba nie będziesz się teraz z nią kłócił – zgaśnił go po drodze.

– Czemu nie, każda okazja dobra.

– Nawet jak zaginęła człowiek?

– I tak pewnie już nie żyje.

Ernest nagle się zatrzymał i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

– Wiesz co, czasem przeraża mnie, jak się zmieniał – wypalił i zaczął szukać butelek

Nie zamieniając ze sobą słowa, napełnili pojemniki wodą ze studni Janickiej i wrócili do remizy, gdzie panowało dość duże zamieszanie.

– Co się stało? – zapytał ojca Hubert.

– Znaleźli go – odparł Daniel, ale wyraz twarzy miał zrezygnowany. Wziął głęboki wdech i dodał: – Cegła nie żyje.

Hubert spuścił głowę.

Kilka osób, wraz z Albertem i Lidią, poszło z powrotem do lasu, aby zabrać stamtąd ciało. Hubert ruszył za nimi. Musiał się przekonać, co zabiło sołtysa. Matce się to nie spodobało, ale nie było siły, która by go od tego odwiodła.

„Może spadł ze skarpy i skęcił sobie łark – przekonywał siebie chłopak po drodze. – Albo ktoś go zastrzelił, albo zaatakował go dzik... Wtedy przy najmniej moglibyśmy spać spokojnie”.

Ciało sołtysa leżało głęboko w lesie, między drzewami, z dala od jakiegokolwiek ścieżki. Pilnowało go dwóch zielonych na twarzy mężczyzn.

– Boże – szepnęła Lidia, zbliżając się do Cegły.

Trudno było orzec, czy to naprawdę sołtys. Ciało zostało poszarpane, twarzy nie dawało się rozpoznać spod ran, brakowało ręki.

– Co go tak urządziło? – zapytał Albert, patrząc na zakrwawione zwłoki.

– Pewnie jakieś zwierzę – powiedziała Lidia.

– Wygląda, jakby coś go tutaj przyciągnęło – stwierdził Hubert, przewyciężając mdłości. –

Patrzył pan na ślady? – zwrócił się do Woźnicy.

– Co? – zapytał nieprzytomnie mężczyzna, odwracając wzrok do chłopaka.

– Patrzył pan na ślady, jakie zostawiło zwierzę?

– Tak...

– I? Co to było?

– Nie wiem.

Hubert w końcu dostał swój dowód na istnienie demonów. Nie miał już żadnych wątpliwości, że to właśnie jakiś potwór zabił mężczyznę.

Jak tylko o tym pomyślał, przeszedł go dreszcz. Rozejrzał się z lękiem, ale las był spokojny, nic nie wskazywało, żeby w pobliżu przyczyły się inne potwory.

Woźnica i Albert owinęli ciało w prześcieradła i zanieśli do wioski. Olga Górska, która podczas epidemii straciła dzieci, poczuła się w obowiązku zaopiekowania się wnukiem zmarłego.

– Co mu się stało? – Ernest przy padł do Huberta, kiedy tylko ten wrócił do domu.

– Coś go rozszarpało. – Hubert od razu ruszył do łazienki. Miał wrażenie, że cały śmierdzi, czuł się potwornie brudny.

– Mówiąc „coś”, co dokładnie masz na myśli... – dopytywał się Ernest, stając w drzwiach łazienki.

– Coś, nikt nie wie co.

– Myślisz, że to... że mógł to być ten twój...

– Demon? Nie myślę. Ja to wiem.

Hubert po umyciu się poszedł do pokoju i zaczął wertować demonologię z nadzieją, że coś pominął. Musiał zająć czymś myśli, gdyż za każdym razem, gdy przymykał oczy, widział rozszarpanego, zakrwawionego człowieka.

Niestety, nie znalazł tam odpowiedzi. Ze złością zamknął książkę i szedł na parter, gdzie w dużym pokoju siedzieli rodzice, Albert, Woźnica i pani Janicka.

– Biedny chłopak – mówiła Lidia. – Jest w okropnym stanie, w takich okolicznościach stracić dziadka...

Hubert stanął w drzwiach i oparł się o framugę z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Mówiłem wam, że las jest niebezpieczny – powiedział.

Wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę.

– Co ty wygadujesz... – zaczęła matka.

– Mówiłem wam o demonach, ale nikt mnie nie słuchał – powiedział ostrym tonem.

– Jakich znowu demonach? – zainteresowała się Janicka.

– O demonach, które zabiły Cegłę.

– To musiało być jakieś zwierzę – odezwał się Daniel. – Nie pleć bzdur.

Hubert się zdenerwował. Wciąż mu nie wierzyli. Jak ocalić ludzi przed ich głupotą?

– Ciekawe jakie? – Popatrzył pytająco na Woźnicę, ale mężczyzna wzruszył ramionami. – No właśnie. Powinniście wydać zakaz chodzenia w pojedynkę do lasu. I każdy powinien mieć broń...

– A ty znowu swoje – zachnęła się Lidia. – Nie możesz wygadywać takich głupot! Mamy dość problemów bez twoich bajek!

– Ale to nie bajki!

– Hubert, idź do swojego pokoju – rozkazała twardo.

Chłopak ze złością uderzył pięścią we framugę i wyszedł.

– Co za idioci! – rzucił, wchodząc do sypialni.

– Mówiłem, że nikt ci nie uwierzy. – Ernest, który najwyraźniej ich podsłuchiwał, wzruszył ramionami.

– Nawet gdyby sami zobaczyli demona, toby w niego nie uwierzyli! – stwierdził z wściekłością.

– Ja widziałam – usłyszeli nagle Zuzię.

Hubert wcześniej nawet nie zauważył, że dziewczyna jest w pokoju. Siedziała cicho na dywanie pod ścianą i jak zwykle coś zaplatała z kolorowych sznurków. Obaj chłopcy spojrzeli na nią.

– Co widziałaś? – zapytał Hubert.

– Demona – odparła, nie podnosząc wzroku.

– Co?! – niemal wykrzyczał Ernest, ale Zuzia nie miała najwyraźniej zamiaru mówić nic więcej.

– Zuza, co widziałaś? – Hubert przyklęknął przy niej. – Jak wyglądał?

– Nie pamiętam. – Mała wzruszyła ramionami.

Przyjaciele spojrzeli po sobie.

– Myślisz, że to prawda? – zapytał ostrożnie Ernest.

– A bo ja wiem... Boże, gdybyśmy tak znaleźli tego demona i sprowadzili go tutaj...

– Co ty znowu pie...

– Ej, ale to jest myśl! – Hubert nagle się ożywił, wyjrzał przez okno, ale na dworze zapadał już zmierzch, a nie był przecież tak nierozsądny, żeby włączyć się po lesie w nocy. – Jutro rano tam pójdziemy.

– Głupi jesteś, ja nigdzie nie idę i ty też nie.

– Dziadek nas zabije i twoja matka też – syknął Ernest.

Od razu po śniadaniu, kiedy Albert poszedł do zwierząt, a Lidia z Danielem byli we wsi, chłopcy zakradli się do pokoju starszego pana i wyciągnęli spod łóżka karton z bronią.

– W życiu tego do rąk nie wezmę – zachnął się Ernest, kiedy przyjaciel chciał podać mu karabin.

– Nie to nie. – Hubert wzruszył ramionami, biorąc pepeszę.

Sprawdził jeszcze, czy jest naładowana, i upchnął ją do plecaka, żeby ktoś czasem jej nie zauważył.

– No to w drogę – zarządził.

Ernest powlókł się za nim do lasu, raz po raz zadając sobie pytanie, czemu znów pakuje się w kłopoty.

W kilkanaście minut dotarli do miejsca, gdzie poprzedniego dnia znaleziono ciało sołtysa.

– No i co teraz, cwaniaczkę? – zapytał Ernest, rozglądając się dookoła.

Na liściach widniały krwawe plamy.

– A bo ja wiem? – Hubert podrapał się po głowie. – Kiedyś potrafiłem wyczuć demony. Kiedy jakiś był w pobliżu, miałem wrażenie, jakby cały świat wstrzymał oddech.

– Wstrzymał oddech? – powtórzył ironicznie Ernest. – A teraz wstrzymuje?

– Nie wiem, nic nie czuję.

– No dobra, przyszedłeś tu, zobaczyłeś, że nic nie ma... Zresztą czego się spodziewałeś? To chyba możemy wracać, zanim kogoś przypadkiem zastrzelisz. – Spojrzał wymownie na pepeszę w rękach przyjaciela.

Hubert przeszedł się jeszcze kawalek w jedną i w drugą stronę, ale nic nie znalazł. W końcu zrezygnowany powlókł się za Ernestem do domu.

– Gdzie znowu byliście?! – Jak tylko przekroczyli próg, naskoczyła na nich Lidia.

– Na spacerze – odparł jej syn.

– Na spacerze? – Kobieta uniosła brwi. – Co masz w plecaku?

– Nic – mruknął, chowając go za siebie.

Matka spojrzała na niego przenikliwie, widać było, że mu nie wierzy.

Wiedział, że nie ma szans w potyczce na spojrzenia, dlatego z rezygnacją wręczył jej plecak.

– Czy ty jesteś głuchy, czy nienormalny?! – wybuchła, gdy go otworzyła i zobaczyła kolbę pepeszy. – Zabraniałam ci dotykać broni palnej! Czy tak trudno to pojąć?! Chcesz zrobić sobie albo komuś krzywdę?!

– Nie – mruknął ze spuszczoną głową.

Ernest stanął w kąciku i usiłował zlać się ze ścianą.

– No to po jaką cholere ją wzięłeś?! I jeszcze włóczycie się po lesie! Wiesz, jak się martwiłam?! Macie szlaban! Obaj!

– Daj spokój, przecież nie jesteśmy dziećmi...

– Dla mnie zawsze będziesz moim dzieckiem, a mam wrażenie, że im jesteś starszy, tym głupszy. Marsz do pokoju!

Hubert z rezygnacją wyminął mamę i powlókł się do sypialni. Ernest ruszył za nim.

– Kiedyś te jej szlabany miały jeszcze jakiś sens, ale teraz? – jęknął Hubert, rzucając się na łóżko. – Przecież i tak nie mamy w tej dziurze gdzie iść ani co robić.

– Sam sobie jesteś winien. Mówiłem ci, żeby się nie włóczył.

– Tak? To po co ty też poszedłeś?

– Bo ktoś musiał cię pilnować.

Kolejnego dnia Lidia wciąż się gniewała na chłopców i poprosiła Alberta, żeby znalazł im

jakieś zajęcie, żeby znów nie przyszły im do głów głupie pomysły. Starszy pan doskonale wiedział, jak się nimi zająć. Co prawda pola były już obsiane, ale w ogródku warzywnym zostało mnóstwo chwastów do wypielenia. Później należało wyczyścić oborę, porąbać drewno, naprawić płot i wychodek, w którym przeciekał dach.

Poza tym Hubert i Ernest codziennie chodzili na łąkę, żeby przetrzucić suszące się siano. Hubert nie przepadał za tym nudnym zajęciem. Gdy z nieba lał się żar, machanie widłami stawało się szczególnie nieprzyjemne. Jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że siano musi być bardzo dobrze wysuszone, bo inaczej może zgnić albo co gorsza się zapalić. Kiedy pierwszy raz o tym usłyszał, parsknął śmiechem. Bo niby jak mokre siano może zapłonąć? Albert dzielił go wtedy po głowie i wytłumaczył, że podczas gnicia wytwarza się tak wysoka temperatura, że niewiele trzeba, by siano zajęło się ogniem.

– Patrz, gdzie leziesz! – zdenerwował się Ernest, gdy Hubert przewrócił wiaderko z gwoździemi.

Mijał właśnie czwarty dzień ich kary i przybijali sztachety do płotu. Dzień był ciepły i słoneczny, więc żadnemu z nich nie chciało się pracować. Hubert przykucnął i zaczął powoli zbierać gwoździe, jeden po drugim. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– A gdyby tak zrobić kuszę? Jeżeli byłaby celna i mielibyśmy dobre strzały, belty czy jak je się tam zwie...

– Po cholere ci kusza?

– Skoro nie możemy mieć żadnej broni palnej, to chociaż tała by się przydała.

– Wiesz co? Ja się wcale nie dziwię, że ludzie prędzej myślą, że to ty jesteś wnukiem mojego dziadka. Jesteś nienormalny. I tylko teorie spiskowe ci w głowie.

– Każdy mężczyzna powinien mieć czym się bronić – odrzekł Hubert. – A poza tym przecież jesteśmy już pełnoletni.

– I niby jak chcesz zrobić tę kuszę?

Hubert przysiadł na ziemi i zaczął bawić się gwoździem. Szczerze mówiąc, nie wiedział, jak powinna wyglądać prawdziwa kusza, a Ernest nie miał najmniejszego zamiaru mu pomóc. Przez następne pół godziny jeden naprawiał płot, a drugi siedział w trawie i myślał nad nowym wynalazkiem.

Po jakimś czasie dołączyła do nich Zuzia.

– Co robicie? – spytała, tłumiąc ziewnięcie.

Hubert spojrzał na nią i stwierdził, że przez ostatni rok niewiele się zmieniła. Była chuda i wysoka prawie jak jej brat. Miała burzę rudych loków, które co rano Lidia usiłowała okiełznać, zaplatając warłocz, oraz spojrzenie sugerujące, że przez cały czas patrzy na inną rzeczywistość i widzi coś więcej niż pozostali. W jej oczach kryło się coś niepokojącego.

– Pracujemy, nie widać? – odparł.

– Nie widać. Ty siedzisz, a mój brat pracuje – stwierdziła.

– No właśnie – mruknął Ernest.

– A ja wypielilam całą marchewkę – pochwaliła się, robiąc palcem dziurę w spróchniałej sztachecie, której jej brat nie zdążył jeszcze oderwać od płotu.

– Czad – pochwalił ją Hubert.

– I dostanę nową mulinę.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem. Gdy nie pracowała, najczęściej wyplatała coś

z kolorowych nitek Nie miał pojęcia, co dalej robiła ze swoimi dziełami, a musiał się już ich uzbierać całkiem okazały stosik

- A skąd? – zainteresował się nagle. Mało brakowało, a nie zwróciłby uwagi na jej słowa.
- Ze sklepu.
- Jakiego sklepu?
- Nie wiem.

Hubert przetarł bezsilnie twarz dłońmi.

- Ktoś jedzie na zakupy? – zapytał w końcu.
- Twój rodzice.
- Co?! I nikt mi nie powiedział?!
Zanim przyjaciele zdążyli zareagować w jakikolwiek sposób, poderwał się z ziemi i pobiegł do domu.

- Nie myśl, że będę sam naprawiał plot! – krzyknął jeszcze za nim Ernest.

Ale Hubert się tym nie przejmował. W głowie miał tylko jedno – jego rodzice planowali wyjechać z Dąbrówki. I nic mu nie powiedzieli.

- Chcecie jechać na zakupy?! – zapytał z wyrzutem, kiedy wpadł do pokoju, w którym dorosli pili kawę.

- Tak, jutro – odparła spokojnie Lidia.

- Nie możecie!

- Daj spokój, potrzebujemy leków i innych sprawunków.

Dąbrówka była wsią raczej samowystarczalną, ale niektóre rzeczy musieli sprowadzać z odległych miast.

- Też chcę jechać – oświadczył.

- Nie ma mowy. – Mama była nieprzejednana. – Po pierwsze, to niebezpieczne, po drugie, jesteście za młody, a po trzecie, wciąż macie szlaban.

- Ja pier... – zaczęła.

- Hubert! – zgał ją go. – Zostaniecie w domu z Albertem.

- Tato! Powiedz jej coś! – zwrócił się po pomoc do ojca, ale on tylko spuścił wzrok

- Nie jestem już dzieckiem! Kiedy wreszcie zaczniecie traktować mnie poważnie?

- Kiedy zaczniesz poważnie się zachowywać – stwierdziła mama.

Chłopak wznosił oczy ku górze.

- Tylko weźcie jakąś broń – mruknął.

- Nie potrzebujemy... – zaczęła Lidia, ale Albert jej przerwał.

- W tym akurat chłopak ma rację, nie wiadomo, na kogo się natkniecie. Lepiej uważać.

- A ty nie miałeś plotu do naprawienia? – Lidia spojrzała na syna kąpiąco.

- Jesteś okropna – mruknął, wychodząc.

Następnego ranka, jak tylko wstało słońce, rodzice Huberta wyruszyli z Dąbrówki wraz z Woźnicą. Dwa konie zaprzęgli do wozu, a myśliwy jechał wierzchem. Huberta nikt nie obudził, kiedy wyjeżdżali, więc spał do dziewiątej, a gdy tylko wstał, Albert kazał mu porąbać drewno.

- Co... za... chamstwo... że... mnie... nie... wzięli... – mówił za każdym razem, gdy uderzał siekierą w wyjątkowo gruby i oporny pień – Mam... już... dość... bycia... traktowanym... jak... jakiś... gówniarz.

Przez całe przedpołudnie walczył z drewnem. Spocił się i trochę zasapał, bolały go mięśnie, ale było to przyjemne uczucie. Musiał przyznać, że w ciągu ostatnich dwóch lat przybyło mu masy i zrzucił cały zbędny tłuszcz.

Nagle poczuł, że ktoś za nim stoi. Zmysły zresztą też mu się wyostrzyły. Odwrócił się i zobaczył Zuzię.

– Przyniosłam ci wodę. – Wręczyła mu litrową butelkę.

– Dzięk. – Z westchnieniem ulgi najpierw się napił, a resztę wylał sobie na głowę i nagi tors. Słońce już niźle przygrzewało i dawało mu się we znaki.

– Kiedy wrócą twoi rodzice?

– Pewnie pod wieczór. – Chłopak wrzucił ramionami. – Co, już się nie możesz doczekać, aż przywiozą ci te twoje sznurki?

– Uhm. – Dziewczyna pokiwała głową.

Hubert się uśmiechnął. Nie martwił się zbytnio o rodziców. Już kilka razy jeździli do pobliskich miast po sprawunki. Od dawna po okolicy nie kręcili się obcy ludzie, a jeśli chodzi o demony, to najwyraźniej nie opuszczały głębin lasów.

Chłopak wziął zamach siekierą, kiedy nagle to poczuł. Cały świat zastygł w bezruchu, w napięciu jak przed burzą, ptaki zamilkły, wiatr zamarł. Hubert wyprostował się i stanął twarzą w stronę lasu. Kątem oka zobaczył, że Zuza również znieruchomiała, z rozszerzonymi oczyma patrząc na coś między drzewami. „Ona też to czuje” – przemknęło mu przez myśl.

Zanim zdążył zdać sobie sprawę z tego, co robi, z siekierą w ręce pobiegł w stronę płotu, przeskoczył go i się rozejrzał. Każdy włoszek na jego ciele stanął dęba, po plecach przeszedł mu zimny dreszcz.

– Hubert! Tam nie wolno! – krzyknęła Zuzia, ale ją zignorował.

Wiedział, że gdzieś w pobliżu jest demon. Czuł to każdą cząstką siebie. Wszystkie wspomnienia ożyły.

– Gdzie jesteś, cholero jedna? – zapytał cicho, cały czas gotowy do odparcia ataku.

Jednak nic się nie stało. Zawiał ciepły, wiosenny wiatr i uczucie zagrożenia minęło. Świat wokół odetchnął z ulgą.

– No i polaził – westchnął z rozczarowaniem, wracając na podwórko.

Zuzia wciąż stała w tym samym miejscu.

– Czulaś to, prawda? – Chłopak bardziej stwierdził, niż zapytał.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Czulaś to już kiedyś?

Znów przytaknęła.

– Często?

– Czasem.

– A od dawna?

Pokiwała głową.

– Ale jak...? – zaczął i nie wiedział, o co dalej zapytać.

Nigdy nie potrafił opisać uczucia, jakie go ogarniało, gdy w pobliżu był jakiś demon. Po prostu to wiedział, a teraz odkrył, że nie on jeden ma podobny talent. I to o wiele bardziej rozwinięty.

– Jesteś jak radar na nie, co? – zagadnęła, ale Zuzia spojrzała tylko na niego, po czym odeszła. – A myśmy myśleli, że jest szalona... – Hubert w zamyśleniu popatrzył za odchodzącą

dziewczynek. – To znaczy jest, ale może nie aż tak bardzo.

Tego dnia Ernest przygotował obiad, który zresztą przypalił, ale Hubert po kilku godzinach rąbania drewna był tak głodny, że wcale mu to nie przeszkadzało. Po posiłku zaś Albert zagonił całą trójkę do pielenia w ogródku.

Pracując, Hubert zastanawiał się, czy nie opowiedzieć przyjacielowi o tym, co zaszło wcześniej, ale uznał, że Ernest nie przyjąłby takiej wiadomości spokojnie. W końcu sam nie do końca wierzył w demony, a poza tym zaczęłyby jeszcze bardziej martwić się o siostrę.

Po kolacji wszyscy mieli wolne. Albert coś czytał w swoim pokoju. Ernest jak zwykle bawił się kostką Rubika. Teraz sprawdzał, czy umie ją ułożyć z zamkniętymi oczami. Zuzia usiadła przy oknie i wyglądała na drogę. Z kolei Hubert ułożył się na kanapie i podrzucił w górę ołówki.

– Czy oni już nie powinni wrócić? – zapytał niespokojnie.

– Bo ja wiem...? Może znaleźli coś ciekawego i to ich zatrzymało? – Ernest wzruszył ramionami.

Huberta niezbyt przekonał ten argument. Było coraz później, a rodzice wciąż nie przyjeżdżali. Gdy słońce zaszło za horyzontem, zaczął się denerwować.

– Powinni już być w domu – stwierdził, chodząc nerwowo po pokoju.

– Spokojnie, może jakieś drzewo zatarasowało drogę. – Ernest szukał wyjaśnienia.

– Może...

W końcu Hubert nie wytrzymał i wyszedł na drogę. W oddali zobaczył Woźnicę na koniu i wóz za nim. Na ten widok odetchnął z ulgą.

– Nic się nie stało – westchnął. – Ciekawe, co przywieźli.

Jednak gdy myśliwy podjechał bliżej, a Hubert zobaczył jego pobladłą twarz, dotarło do niego, że jednak coś musiało się stać. Mężczyzna spojrział na niego, a w jego oczach było widać przerażenie. Chciał coś powiedzieć, otworzył usta, ale nie znalazł słów.

Hubert spojrział za niego, na wóz, i zamarł. Ojciec nie był nawet blady. Jego poszarzała twarz sięgała i zmieniała się w maskę bólu. Chłopak podbiegł do niego.

– Gdzie mama? – zapytał gorączkowo.

Daniel nie potrafił wydusić z siebie ani słowa, w oczach stanęły mu łzy.

– Gdzie mama?!

– Ona... ona...

– Gdzie ona jest?!

– Budynek się zawalił...

– Jaki budynek?! – Hubert nie umiał pohamować napływających do oczu łez.

– Myśleliśmy, że był bezpieczny... i ona... ona tam weszła... – Każde słowo z trudem przechodziło przez gardło Daniela. – A on się... on się za... zawalił.

Mężczyzna wyglądał, jakby wciąż nie wierzył w to, co się stało.

Hubert nie był w stanie się ruszyć, nie potrafił dopuścić do siebie tego, co mówił ojciec.

– Nie – szepnął. – Nie! Nie!

Wskoczył na wóz, jakby szukał matki, ale nie było tam nic oprócz towarów.

– Gdzie ona jest?! Nie mogłeś jej tam zostawić!

– Próbowaliśmy. – Woźnica położył dłoń na ramieniu chłopaka. – Przykro mi. Naprawdę próbowaliśmy, ale nie dało się nawet ruszyć tych zwałów gruzu.

– Nie. – Hubert zamknął oczy i poczuł, jak kolana się pod nim uginają. Nie miał siły ustać na

nogach. W sercu poczuł niewyobrażalny ból. Najchętniej położyłby się tu, na drodze, i po prostu umarł.

Nagle otworzył oczy i spojrzał na ojca.

– Miałeś jej pilnować – powiedział cicho. – Miałeś jej pilnować! To twoja wina!

Strząsnął z siebie rękę Woźnicy, obrócił się i pobiegł w stronę domu. Wpadł na podwórkę za stodołę i uderzył pięścią w ścianę. Potem drugą. Znow i jeszcze raz. Uderzał w drewno, aż dłonie zaczęły mu krwawić, wbijały się w nie drzazgi, ale chłopak tego nie czuł. Nie czuł nic poza rozdzierającym bólem w klatce piersiowej. Zataczając się, podszedł do pieńka, w który była wbita siekiera. Wziął ją w zakrwawione dłonie i z dzikim wrzaskiem uderzył w ścianę stodoły. Siekiera się zaklinowała. Zaparł się nogą i złapał trzonek obiema rękami, ale nie mógł jej wyrwać. Dłonie ześlizgnęły się ze stylika i chłopak wyładował na ziemi.

– To nie może być prawda – szepnęła przez łzy. – To się nie dzieje naprawdę.

Resztką sił podczołgał się do ściany stodoły, usiadł, opierając się o nią plecami, i ukrył twarz w ramionach.

Nie wiedział, ile czasu tam siedział. Wszystko mu zubożało. Czuł, jak po palcach ścieka mu krew, dygotał. Od ziemi ciągnęło chłodem. A świat, wbrew jego oczekiwaniu, nie zatrzymał się ani na chwilę. Zza chmur wyszedł księżyc, wiatr delikatnie poruszył liśćmi na drzewach. Natura trwała, jakby nigdy nic się nie stało. Ot, mało ważna śmierć kolejnego człowieka.

Hubert popadł w odrętwienie. Nagle poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Trzymasz się? – zapytał cicho Ernest.

– Jak to się mogło stać? – jęknął Hubert. – Dlaczego?

Przyjaciel milczał.

– Powiedz, że to się nie zdarzyło, że wszystko mi się wydawało. Zaraz wrócę, wszyscy...

– Przykro mi.

Hubert uniósł głowę i spojrzał przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Wiesz, co jej wczoraj powiedziałem? Że jest okropna. Jak mogłem się tak odezwać do własnej mamy? A dziś nawet nie chciało mi się wstać, żeby się z nią pożegnać. Ciągle się kłóciliśmy, ale przecież ja nie chciałem... nie chciałem, żeby coś jej się stało.

Po policzkach znow popłynęły mu łzy. Coś dławilo go w gardle.

– To się nie zdarzyło – szepnęła jeszcze.

– Wracajmy do domu, jest zimno – powiedział w końcu Ernest i się podniósł, lecz Hubert ani drgnął. – Chodź.

Złapał przyjaciela za rękę i go pociągnął. Hubert pozwolił się poprowadzić do domu, a potem do sypialni. Położył się na łóżku, ale nie potrafił zasnąć. Patrzył tylko w ciemny sufit i błędził gdzieś daleko myślami. Usnął wyčerpany dopiero nad ranem.

Nikt go nie budził, w całym domu panowała grobowa cisza. Chłopak nie umiał już płakać. Najchętniej zostałby na zawsze w łóżku i nigdy nie stawiał czoła światu. Ale była jeszcze jedna rzecz, którą musiał zrobić.

Musiał znaleźć ojca. Podejrzewał, że zastanie go w fotelu w salonie. I się nie mylił.

Daniel podniósł udręczony wzrok na syna. Przez całą noc nie spał.

– To, co wczoraj powiedziałem... – zaczął Hubert. – Przepraszam. Wcale tak nie myślałem.

Ojciec pokławił głową. Najchętniej zerwałby się z fotela i uściślał syna, ale nie miał siły się ruszyć.

Hubert powlókł się do kuchni.

– Wyglądasz jak nieboszczyk na wczasach – stwierdził Albert.

Chłopak go zignorował, usiadł na krześle i położył dłonie na stole.

– Coś ty zrobił z rękoma?! – wykrzyknął Ernest.

Hubert zerknął na dłonie, całe w zaschniętej krwi i drzazgach. Nagle bardzo zaczęły boleć.

– Trzeba to umyć – zdecydował Albert.

Ernest przyniósł w misce wodę i Hubert pozwolił mu się opatrywać. Głębsze otarcia na nowo zaczęły krwawić. Trzeba było powyjmować z nich drzazgi. W końcu Ernest owinął dłonie przyjaciela bandażami.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał Albert.

Hubert pokręcił głową. Drażniła go już ta cisza i to, że wszyscy chodzą wokół niego na palcach. Do kuchni weszła Zuzia. Hubert ze smutkiem zapatrzył się na jej rozczochrane włosy. Lidia już nigdy ich nie uczesze.

– Musisz coś zjeść – powiedział Ernest z naciskiem.

– Nie chcę, nie chcę w ogóle żyć.

– Musisz, tata cię potrzebuje... – Ernest zamilkł na chwilę, po czym sięgnął po desperacki argument. – Pozostali też cię potrzebują... Przecież musisz jeszcze uratować Izę i innych...

Hubert podniósł głowę i spojrzał na niego.

– Przecież sam mówiłeś, że Święcino nie istnieje – warknął. – Oni nie istnieją! Ani Iza, ani Henryk, ani nikt inny!!!

Był wściekły na cały świat. Wstał gwałtownie, przewracając krzesło, i wybiegł z domu. Pędził przed siebie, nie zważając na nic. Płuca zaczęły palić go żywym ogniem, nogi płątały się ze zmęczenia, ale Hubert nadal biegł, aż przed oczami pojawiły mu się mroczki. Bez tchu usiadł na wielkim kamieniu. Oparł łokcie o uda i zwiesił głowę.

Ból fizyczny choć odrobinę zagłuszył ten po utracie matki.

– To się nie może dziać naprawdę – szepnęła.

Wciąż nie wierzył, że coś takiego w ogóle mogło się stać. „Jakim cudem zginęła pod gruzami? Trzeba ją odkopać...”.

Hubert był tak zrozpaczony, że mało co do niego docierało. Wtem coś się na niego rzuciło. Zobaczył trójkątną paszczę, wyczuł pod palcami gładką skórę i spojrzał prosto w żółte, gadzie oczy. Zareagował automatycznie. Jedną ręką próbował utrzymać paszczę pełną zębów z dala od twarzy, a drugą wyrzucił w bok, szukając jakiegokolwiek bronii. Końcówkami palców trafił na kamień wielkości pięści. Spróbował zrzucić z siebie potwora, jednak ten był zbyt zawzięty. W końcu po kilku przerażających sekundach zmagania się z pazurami i zębami Hubertowi udało się zacisnąć rękę na kamieniu. Zamachnął się i uderzył gada w łeb, potem znów, i jeszcze raz. Na twarz zaczęła kapać mu krew. Uderzał tak mocno i długo, aż potwór padł na niego martwy.

– Niech to szlag – sapnął chłopak, zrzucając z siebie demona.

Usiadł na trawie i zaczął wpatrywać się w martwe ciało. Stwór miał nie więcej niż półtora metra długości od pyska do samego końca ogona. Przypominał dużą jaszczurkę. Miał zielonobrązową skórę w czarne cętki i dwie łapy zakończone pazurami. Był dużo mniejszy niż wije, na które trafił w parku w Poznaniu.

– A więc miałem rację – mruknął Hubert. – To ty wykończyłeś sołtysa, co?

Chwilę siedział obok martwego demona. Był wyczerpany, musiał złapać oddech. Potem wstał,

podniósł bezwładne cielsko i przerzucił sobie przez ramię.

– Chcą dowodu, to będą go mieli – mruknął, ruszając w stronę wsi.

Jednak szybko się zmęczył. Wiele razy musiał się zatrzymywać, żeby odpocząć. W końcu nie był już w stanie nieść demona, więc zrzucił go na ziemię, złapał za koniec ogona i powłókł za sobą.

Kiedy wszedł do wsi, z początku nikt go nie zauważył. Jednak zakrwawiony chłopak, który ciągnie za ogon przerośniętą jaszczurkę, nie jest zwyczajnym widokiem. Dotarł mniej więcej na środek Dąbrówki i puścił cielsko. Począł chwilę, aż wokół zebrała się większość mieszkańców wsi.

– I macie swoje dzikie zwierzę, które zabiło Cegłę – powiedział na tyle głośno, żeby wszyscy dobrze go usłyszeli, a potem skierował się do domu, nie patrząc na nikogo.

Najpierw poszedł do łazienki, gdzie w misce z wodą umył twarz i ręce. Bandaże, którymi Ernest rano opatrzył mu dłonie, nie nadawały się już do niczego. Zdjął je i wyrzucił. Później skierował się do kuchni. Wreszcie poczuł głód.

– Hubert? – Do kuchni wszedł ojciec.

Chłopak stanął nieruchomo na środku pomieszczenia.

– Przepraszam – powiedział Daniel, podszedł do niego i objął ramionami. Razem było jakimś cudem łżej.



ROZDZIAŁ VI

– Co robisz? – zapytał Ernest, wchodząc do pokoju.

– Pakuję się. Nie widać? – odparł Hubert.

– Ale dlaczego? Co chcesz zrobić?

– Nie zamierzam siedzieć w miejscu i czekać na demony lub ludzi, którzy chcą nas zabić.

– To gdzie chcesz iść? Wszędzie jest taksamo. Przecież sam widziałeś!

Hubert oderwał się od upychania ubrań w plecaku, wyjął z niego mapę i rozłożył na łóżku.

– Patrz tutaj. – Wskazał palcem punkt. – Koszalin, tutaj mieściła się jednostka wojskowa. Tam musi być broń. Karabiny, naboje, ubrania.

– Ale po co ci to wszystko? – Ernest patrzył na niego z mieszaniną sceptycyzmu i podejrzliwości.

– Jak to po co?! Sam widziałeś tego demona!

– A nie było to czasem jakieś zwierzę, co uciekło z zoo? Albo... jakiś mutant?

– Ile jeszcze dowodów potrzebujecie, żeby w końcu mi uwierzyć?! – wybuchł Hubert.

– No dobrze, niech ci będzie. Ale przecież są cztery karabiny od Michała, dziadek też ma trochę broni, a ubrania możemy zdobyć z pobliskich miast...

– I na jak długo tego wszystkiego wystarczy? Jak myślisz? Zamierzam włamać się do tej jednostki, o ile już ktoś jej wcześniej nie splądrował, i zabezpieczyć nas na kilka następnych lat.

Ernest pokręcił głową i wyszedł z pokoju. Sądził, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni przyjaciel pogodził się ze śmiercią matki. Na pewno radził sobie lepiej niż jego ojciec, który niewiele jadł,

schudł i wydawał się nieobecny. Jednak wyglądało na to, że Hubert, aby nie rozpał się tragedii, znalazł sobie nowy cel w życiu – postanowił się uzbroić, a potem wypowiedzieć wojnę demonom.

Hubert zarzucił na ramię plecak i zszedł do kuchni po zapasy jedzenia. Tam już czekał na niego Ernest z własną torbą.

– A ty co? – zapytał Hubert, patrząc na niego.

– Idę z tobą. – Przyjaciel wzruszył ramionami.

– Nie idziesz, to zbyt niebezpieczne.

– Daj spokój. Nie będę siedział w domu z dziadkiem i siostrą, kiedy ty będziesz podróżował po świecie. A poza tym sam sobie nie poradzisz.

– Już o to się nie martw – mruknął Hubert.

– Tak? A jak zamierzałeś tam iść? Pieszo? I co dalej? Ile rzeczy byś wyniósł z tej jednostki na plecach? A broń? Myślisz, że z innymi demonami albo niebezpiecznymi ludźmi pójdziesz ci tak łatwo jak z tą jaszczurką? Że jeden kamień wystarczy?

Hubert ze złością zacisnął pięści. Jak zwykle Ernest miał rację.

– Jeżeli już chcesz zrobić coś takiego, zrób to porządnie – powiedział rudy chłopak.

– Tak? I niby co proponujesz?

– Dziadek poszedł porozmawiać z Radą Starszych. Weźmiemy nasze konie. Dadzą nam też porządne zapasy żywności.

Hubert przez chwilę walczył z samym sobą. Chciał już ruszać, wreszcie wynieść się z tego domu, w którym wszystko przypominało mu o śmierci matki, odpocząć od towarzystwa bladego i wymęczonego ojca, zacząć wreszcie robić coś bardziej konstruktywnego niż praca w polu i ogrodzie. Jednak w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego planu, a jego przygotowania do podróży pozostawiały wiele do życzenia.

– Niech ci będzie – mruknął i usiadł na krześle, ostentacyjnie pukając palcami w stół.

Po pół godzinie wrócił Albert.

– Dorota Borowska przygotowuje wam zapasy na drogę, Woźnica obiecał dorzucić trochę wędzonej dziczyzny – poinformował. – Za godzinę konie też będą gotowe. Ty – zwrócił się do wnuka – dostaniesz kałacha od Michała. Tylko, na Boga, nic sobie nie zrób, a ty chodź za mną. – Machnął ręką do Huberta.

Chłopak powlókł się za dziadkiem Ernesta.

– Tak myślałem, że kiedyś ten dzień nadejdzie – mówił Albert, prowadząc go do swojego pokoju. – Że będziecie chcieli się stąd wyrwać. Zresztą przyda nam się trochę więcej broni...

Mężczyzna podszedł do szafki i wyjął z niej pepesę.

– Chcesz ją? – zapytał.

Hubert wziął karabin w dłonie.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Wymieniłem magazynek w tym okrągłym pękła sprężyna – wyjaśnił Albert. – A łukowy jest lżejszy, więc...

Hubert wpatrywał się w broń, którą trzymał w dłoniach. „A więc jednak wyruszamy w świat razem” – pomyślał.

– Ze stodoły z łanistra weź trochę naboju. Wiem, że jest ich sporo, ale używaj ich oszczędnie.

I uważajcie na siebie, dobrze?

Chłopak pokiwał głową.

Dwie godziny później Hubert i Ernest, wyściskani jeszcze przez Zuzię, z torbami wypakowanymi i jedzeniem, poszli do stajni.

– A ty co tu robisz? – zdziwił się Ernest na widok Michała.

– Ktoś musi was pilnować – powiedział żołnierz, siodlając konia. – Nie sądzisz chyba, że Rada Starszych puściłaby was samych?

– Tu się zatrzymamy, co? – zaproponował Michał.

Przejeżdżali właśnie przez opuszczoną wieś. Jak większość innych miejscowości wyglądała upiornie. Po ulicy razem ze śmieciami wały się kości ludzi i zwierząt domowych. Porzucone samochody i wybite szyby w budynkach dopełniały obrazu zniszczenia. Jednak chłopcy woleli nocować w dawnych siedzibach ludzkich niż w lasach, szczególnie odkąd okazało się, że nie są to miejsca tak bezpieczne jak dawniej.

Wybrali dom, który był w najlepszym stanie, i zanieśli do niego swoje rzeczy. Konie przypalili w ogrodzie, gdzie rosła bujna trawa.

– Będą miały wyżerkę – stwierdził Hubert, zdejmując siodło z Mokki.

Mięśnie strasznie go bolały po całodziennej jeździe, ale pocieszał się tym, że Michał wyglądał na bardziej zmordowanego.

W domu nie było kominka, więc żeby zjeść ciepłą kolację, musieli rozpalić niewielkie ognisko w ogrodzie. Ernest zagotował wodę na herbatę w znalezionym garnku, a potem piekła na patkach kielbaski.

– Jak na prawdziwym biwaku – zażartował Hubert.

Cieszyło go towarzystwo kolegów. Nie chciałby teraz być sam.

Słońce skryło się za drzewami, ale do zapadnięcia zmroku pozostało jeszcze trochę czasu. Konie rżały cicho, skubiąc trawę. Michał ostrzył nóż, Hubert wpatrywał się w niebo, a Ernest przeglądał demonologię. Po tym jak zobaczył pierwszego w życiu demona, nagle bardzo go zaciekawiła.

– Myślicie, że znajdziemy cokolwiek w tej jednostce? – zapytał, odrywając się na chwilę od lektury. – Podejrzewam, że nie my jedni wpadliśmy na pomysł zaopatrzenia się tam w broń. I co zrobimy, jak ktoś będzie jej pilnował?

– Musimy zaryzykować. – Hubert wruszył ramionami i ułożył się wygodnie na ziemi, opierając głowę o mały pieńek – A jak się nie uda, to będziemy szukać dalej.

– Mam tylko nadzieję, że nie natkniemy się na żadnych dezertów – westchnął Michał.

– Przecież ty jesteś dezertem – wytknął mu Hubert.

– No tak, ale ja nie rabuję wiosek i nie strzelam do ludzi ot, tak sobie.

– I widzisz, jakie twoje życie jest nudne?

– Jakoś nie narzekam. – Michał się zaśmiał, po czym klepnął Ernesta w ramię. – Co tam wyczytałeś?

– Ciężko wyłapać to, co jest prawdą, a co wymysłem – odparł chłopak – Niektóre opisy są, hm... dość interesujące i jakoś nie wydaje mi się, żeby były zgodne z prawdą.

– Mówisz o cyckach? – zapytał Hubert, uśmiechając się pod nosem. – Opis mamuny zwala z nóg.

– O, to powiedz coś więcej! – poprosił byłą żołnierz.

– Ma piersi do kolan, a gdy jej przeszkadzają, zarzuca je sobie na plecy – wyjaśnił Ernest.

– Ale to chyba nie jest prawda?

Hubert wybuchł śmiechem.

– Nie, to nieprawda. Widziałem mamunę i nie zauważyłem, żeby była aż takhojnie obdarzona przez naturę.

Michał pokiwał głową. W Dąbrówce wszyscy już słyszeli o śnie Huberta o przyszłości. Cóż, ciężko zataić taką rewelację, ale czy w nią wierzono, to zupełnie inna sprawa. Zresztą sam Hubert nie był do końca pewien, co o tym wszystkim sądzić. W końcu najważniejsza część jego snu, ta o Świącinie, okazała się nieprawdziwa.

– Przeczytaj nam opis jakiegoś demona – poprosił Michał.

Ernest otworzył książkę na chybił trafił.

– Rusałki mogą być?

Hubert przy mknął oczy i przestał słuchać przyjaciele. W końcu opis znał na pamięć. Wyculił się za to na odgłosy otoczenia. Gdzieś w oddali miauczały koty, las szumiał cicho, ptaki wyśpiewywały ostatnie melodie przed zapadnięciem zmroku. Niespodziewanie harmonię naturalnych dźwięków zakłóciła fałszywa nuta. Hubert nie umiał sprecyzować, co jest nie tak, po prostu słyszał coś, co nie pasowało do reszty. Otworzył oczy i oparł się na łokciach. Wyteżył słuch, jednak przeszkadzało mu trzaskanie ogniska, a Ernest czytał właśnie o utopcach, prawie zupełnie zagłuszając dźwięki z okolicy.

Hubert wziął do ręki pepeszę i podszedł do płotu. W oddali coś pochrząkiwało i mlaskało.

– Co jest? – zaniepokoił się Michał.

Hubert uciszył go gestem i skierował się w stronę, skąd dochodziły podejrzane pomrukiwania.

Z każdą chwilą stawały się głośniejsze.

Nie spodziewał się napotkać niczego groźniejszego od dzika. Jednak gdy okrążył jeden z domów, za sterłą pustaków przykrytych plandeką zobaczył grzbiet szarego stwora z rudymi, kosmatymi włosami. Nie zdążył nawet przyłożyć broni do ramienia, kiedy potwór odwrócił ku niemu zakrwawiony pysk wrzasnął dziko i zerwał się do biegu w kierunku drzew.

Strzyga!

Nie powinien sam stawiać czoła temu demonowi, ale zareagował automatycznie. Potwór uciekał, a więc trzeba go było dogonić. Trzymając pepeszę w obu dłoniach, chłopak wbiegł między drzewa. Gdzieś z przodu mignęły rude łaki. Z tej odległości nie miał szans na zastrzelenie strzygi, dlatego kontynuował pościg. Nie było planu na potem.

Strzyga dotarła do niewielkiego jeziorka i wspierając się na czterech kończynach, pobiegła brzegiem. Wtem drogę przeciął jej szeroki strumień. Zawróciła, ale Hubert już czekał.

– No i cię mam – syknął, przykładając pepeszę do ramienia.

Strzyga się skuliła, a potem zaatakowała. Wpadając na niego z impetem, wytrąciła mu z rąk broń. Runął na ziemię. Przed oczyma latały mu mroczki, a demon przebiegł po nim i zniknął między drzewami.

„Przecież kule się po niej ześlizgują” – zaklął w duchu, przypominawszy sobie doświadczenia ze Świącina.

Kiedy strzyga biegła wprost na niego, był przekonany, że już po nim, prawie czuł zęby wgrzyzające się w jego gardło. Jednak wbrew logice demon zamiast zabijać, uciekł. A strzygi

przecież zawsze zabijają...

– Co to, do cholery, było?! – Nad chłopakiem stanął Ernest.

– Strzyga – odparł, wyciągając rękę, żeby przyjaciel pomógł mu wstać.

– Po jaką cholere ją gonieś?!

– Nie wiem, po prostu...

– Postrzeleś tę bestię – stwierdził Michał, wskazując plamy krwi w miejscu, gdzie wcześniej stał demon.

– Niemożliwe, strzygi nie da się postrzelić – powiedział Hubert.

– No to skąd ta krew?

Chłopak przy patrywał się chwilę posoce.

– Przecież to niemożliwe – szepnął.

– Mniejsza z tym, wracajmy do ogniska – zdecydował Ernest.

– Nie! Musimy ją znaleźć, jest ranna, więc łatwo ją dorwiemy! – Hubert ruszył za krwawym śladem.

Ernest, ponieważ był wyższy i szerszy w barkach od przyjaciela, bez problemu złapał go za bluzę na karku i powiedział zdecydowanym tonem:

– Nie.

– Ej! Puszczaj! – zdenerwował się Hubert. – Musimy ją zabić!

– Hubert, jutro, nie po nocy – rzekł Michał.

Chłopak wy szarpnął się z chwytu przyjaciela, lecz nie pobiegł za demonem.

– Niech wam będzie – mruknął. – Ale jutro z samego rana musimy ją znaleźć.

Wracając, przeszli przez ogródek, w którym czaił się wcześniej demon, i okazało się, że pożywiał się martwym psem.

– Nie rozumiem – westchnął Hubert. – Wyglądała jak strzyga, ale ją postrzeliłem. No i prawdziwa strzyga, gdyby się na mnie rzuciła, rozerwałaby mnie na strzępy...

– A ty narzekasz? – Ernest pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Bo tak nie powinno być!

– Może była jeszcze młoda? I nie nabrała odporności na kule.

– Może – mruknął Hubert.

Gdy zagroził strzydze drogę i przez ułamek sekundy spojrzął w jej ślepie, zobaczył w nich nie wściekłość, a strach. To jego się bała.

„Albo demony boją się na razie ludzi” – przyszło mu do głowy, zanim poszli spać.

Następnego dnia zerwał się z łóżka, jak tylko wzeszło słońce.

– Pogięło cię? – jęknął Ernest, przekręcając się na drugi bok – Idź spać.

– Wstawajcie, mieliśmy przecież wytropić strzygę – powiedział z wyrzutem.

– Sam sobie ją trop – mruknął Michał.

– Jesteś wojskowym, powinieneś być przyzwyczajony do wczesnego wstawania!

Dziesięć minut zajęło mu zmobilizowanie kolegów. Przekłśli suchy chleb z kiełbasą, a potem, zabrawszy broń, wyruszyli na poszukiwania demona.

W nocy nie padał deszcz i bez problemu odnaleźli krwawe ślady, które powiodły ich w głąb lasu. Czasem gubili trop i kręcili się w kółko. Po trzech godzinach cała trójka zdążyła się już zmieścić.

– Wracajmy, nie ma sensu uganiać się po lesie – jęknął Ernest.

– Jestem za, mamy jeszcze kawałek drogi przed sobą – poparł go Michał.

– Ciii, czujecie? – Hubert przyłożył palec do ust. Po ciele przeszedł mu dreszcz, pojawiła się gęsia skórka, a serce zabiło szybciej.

Spojrzał na przyjaciół, ale po ich minach było widać, że nie mają pojęcia, o czym mówi. Hubert obrócił się wokół własnej osi. Doszedł go smród. Przyłożył broń do ramienia i nie patrząc na pozostałych, ruszył cicho przed siebie. Towarzysze ostrożnie podążyli za nim. Z każdym krokiem coraz bardziej wyczuwał obecność demona.

„Dlaczego wczoraj mój radar nie zadziałał?” – zadawał sobie pytanie.

– No i co? – zapytał szeptem Michał.

– Nie czujecie go? Gdzieś tu...

Nie zdążył dokończyć zdania, coś zeskokczyło na niego z drzewa i razem stoczyli się ze wznesienia.

Hubert spróbował odepchnąć od siebie demona, bezskutecznie. Wciąż się staczali, raz on, a raz stwór był na górze. Chłopak stracił orientację i modlił się, by to turlanie nareszcie się skończyło. Nagle plecami uderzył o coś twardego, co wypchnęło mu z płuc powietrze. Niestety, strzyga wylądowała na górze.

– Nie mogę strzelić! – Jak przez mgłę usłyszał krzyk Michała.

Bestia, równie oglupiała co Hubert, potrząsnęła łbem. Chłopak zdał sobie sprawę, że jeżeli szybko czegoś nie zrobi, to demon zaraz wbije mu zęby w gardło. Odzyskawszy oddech, uniósł ręce i złapał twora za szyję. Zaciśnął palce z całej siły. Jednak strzyga była zawzięta, szarpała się coraz mocniej i jeszcze tylko kilka sekund brakowało do tego, żeby się uwolniła.

Nagle Ernest rzucił się na nią i ściągnął ją z przyjaciela. Przetoczyli się kawałek po ziemi. Chłopak znalazł się z grzbietem strzygi. Z ogromną siłą zaciśnął ramię dookoła jej szyi. Stwór zaczął charczeć i wymachiwać łapami uzbrojonymi w długie pazury. Jednak chwyt Ernesta był mocny.

Hubert w ułamku sekundy doszedł do siebie i wyciągając z pochwy bagnet, rzucił się przyjacielowi na pomoc. Wbił nóż po samą rękojeść tam, gdzie powinno znajdować się serce demona. Potem wyciągnął ostrze i wbił jeszcze dwa razy. Strzyga przestała się ruszać.

– Ja piernicę – sapnął Ernest, odpychając truchło.

Hubert usiadł na ziemi obok niego. Po chwili dołączył do nich Michał.

– Wiecie co? Obaj jesteście walnięci – stwierdził. – Gdybyście się tak z nią nie szarpali, mógłbym oddać strzał i byłoby po problemie, ale wam się zapasów zachciało.

– Ale udało się – powiedział rzeczowo Hubert, przypatrując się trupowi. – I z całą pewnością mogę orzec, że to strzyga, tylko jakaś mniejsza. Może rzeczywiście jest jeszcze młoda.

– Wiesz co, jeszcze jeden taki numer, a sam cię zabiję. – Ernest, ciskając wzrokiem gromy, celował w niego palcem.

Hubert uśmiechnął się promiennie.

– Dzięki za pomoc. – Poklepał przyjaciela po łopatce. – To co robimy z trupem? Bo nie możemy jej tak zostawić, mogłaby się odrodzić.

– Jeszcze czego! – powiedział Michał.

– No powaga, powinniśmy ją spalić albo obciąć jej głowę.

– Sam sobie obcinaj głowę – mruknął Ernest.

– Chyba nie chcecie, żeby się zregenerowała i poszła naszym tropem?

– No nie.

– To kto idzie do wioski poszukać jakiejś podpałki, a kto zostaje popilnować strzygi?

– Ja na pewno z tym nie zostanę – oznajmił Ernest.

– Ja też wolę iść do wioski – dodał Michał.

– To ja poczekam. Tylko się pospieszcie. Aha, znajdźcie jakieś kombinerki.

Hubert został sam. Dokładnie obejrzał ciało demona, zajrzał mu nawet do paszczy, a potem z nudów zaczął się przyglądać okolicy. Dopiero teraz zauważył, że niewielka kotlina, do której się stoczył, kończyła się żelbetowym murkiem. Chłopak podszedł zainteresowany. Zobaczył włąz przy sypany częściowo ziemią.

– Prawdziwy bunkier! – Chłopak się ucieszył.

Ukląkł na ziemi i przecisnął się do środka schronu. Było tam ciemno i trochę śmierdziało stęchlizną. Hubert przeszedł kilka kroków, aż jego oczom ukazało się duże pomieszczenie i przejście do następnego, gdzie przez olbrzymią wyrwę w ścianie wlewały się promienie słoneczne.

– Ale super – szepnął i wtedy przemknęło mu przez myśl, że taki ciemny i zimny bunkier to idealna kryjówka dla jakiegoś demona.

Co prawda jego wewnętrzny radar nic nie wyczuł, ale nie chciał ryzykować. Poza tym musiał pilnować martwej strzygi.

Minęło jeszcze kilkanaście minut, nim przybyli jego towarzysze.

– Czyń honory. – Ernest wręczył mu butelkę z podpałką do grilla i kombinerki.

– Ej, co ty wyprawiasz? – Michał patrzył skonfundowany, jak Hubert otwiera paszczę strzygi i kombinerkami wyrywa z niej ząb.

– Chcecie? – Hubert pokazał im ostry, okrwawiony kieł. – Młeczak strzygi – dodał, puszczając oko.

Obaj jego koledzy skrzywili się z obrzydzeniem.

– Ty jesteś zdrowo walnięty – stwierdził Michał.

– No co? Na pamiątkę. – Hubert wytarł ząb o liście, a potem wsunął go do kieszeni.

Kiedyś taki właśnie ząb ofiarował mu ksiądz Adrian. Uznał, że nie powinien przegapić okazji do zdobycia takiego trofeum.

Polał truchło rozpałką do grilla i podпалиł. Okropnie śmierdziało i musieli stanąć naprawdę daleko. Zostali jednak w lesie dostatecznie długo, by zyskać pewność, że ze strzygi pozostały tylko kości, trochę zwęglonego mięsa i kupka popiołu.

Wrócili do wioski, by się posilić, i ruszyli dalej drogą na Koszalin. Dotarli do celu kolejnego dnia przed południem. Nie wiedzieli, czego się spodziewać.

Miejscowość nie wyglądała bardzo źle. Na ulicach stały wraki samochodów, część witryn i szyb była powybijana, trawniki zarosły, wszędzie walały się śmieci. Okolica wydawała się spokojna i opuszczona – nie licząc wałęsających się zdziczałych zwierząt – ale w pewnym momencie Michała coś zaniepokoiło. Uciszył wsty skłch gestem.

Z pobliskiego budynku dobiegały jakieś hałasy.

Żołnierz zsunął się bezgłośnie z siódła i celując z kałasznikowa w uchylone drzwi, powoli się do nich zbliżył.

– Przywilnij koni – szepnął Hubert do Ernesta i ruszył śladem Michała.

Michał, z bronią wciąż przy ramieniu, popchnął ręką drzwi i wszedł do środka. Hubert był tuż za nim.

Ich oczom ukazało się ciemne pomieszczenie pełne poprzewracanych i połamanych stołów oraz krzeseł. Kiedyś musiał znajdować się tu pub, którego wystrój najwyraźniej nie przypadł do gustu klientom. Przy jednym ze stolików siedział gruby mężczyzna o nalanej twarzy i sinym nosie.

– O, goście! – Nieznajomy ucieszył się na widok chłopców. Albo miał kłopoty ze wzrokiem, albo wcale nie przeszkadzały mu dwa karabiny wycelowane w jego klatkę piersiową. – Zapraszam w moje skromne progi. – Zatoczył w powietrzu krąg ręką, w której trzymał pustą szklankę. W drugiej miał butelkę z winem.

Michał i Hubert spojrzeli po sobie i nieznacznie opuścili broń.

– Dzień dobry – odezwał się młodszy chłopak

– Ja wiem, czy taki dobry ... – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Co się tak gapicie? Wejdźcie, siadajcie, nie zamierzam się na was rzucić.

Mężczyzna, chwiejąc się lekko, wstał, odszukał dwa niezniszczone krzesła i ustawił je przy swoim stole.

– Dawno już nie widziałem tu wojska – powiedział odrobinę bełkotliwie, przyglądając się polowemu mundurowi Michała. – Ale wy chyba nie jesteście stąd?

Pokręcili głowami.

– Znajomi mówią mi Edek, to znaczy mówili, jak jeszcze żyli. – Wyciągnął rękę.

Hubertowi zrobiło się żal tego mężczyzny, najprawdopodobniej stracił wszystkich bliskich, a teraz siedział sam w zrujnowanym pubie i pił, starając się zapomnieć o tym, co bezpowrotnie minęło. Opuścił pepeszę i uściśnął dłoń dziwaka.

– Hubert, a to Michał.

– Chcecie? – Edek wskazał na butelkę z winem.

– Nie, dzięki...

– Miałem też gdzieś tu jakiś sok... – powiedział, zaglądając za bar. – O, jest! Jabłkowy... trochę przeterminowany, ale mi smakuje.

Trzęsącymi się rękoma nalał napój do dwóch przykurzonych szklanek

Hubert wypił jednym haustem. Rzeczywiście, sok nie był zły.

– A może brzoskwinie z puszką? – dopytywał się Edek

– W sumie... czemu nie? – odparł chłopak, siadając przy stole.

– To ja pójdę po Ernesta, przywiążemy gdzieś konie – odezwał się Michał i wyszedł na ulicę.

– Stąd pan jest? – zapytał Hubert.

– Taa... – mruknął Edek – Gdzie ten otwieracz...

– Dużo ludzi mieszka w okolicy?

– A gdzie tam. Ze trzydziestu, ale po przeciwnej stronie miasta. Kretyni jedni.

– A pan nie z nimi?

– Mielismy małe nieporozumienie dotyczące demokracji i tyranii, w wyniku którego skazali mnie na banicję. Siadajcie, chłopaki – ożywił się, gdy do środka weszli Michał i Ernest. – Dawno nie spotkałem nikogo nowego. Wciąż te same parszywe gęby. Aż się rzygać chce.

Zaciekawiony Ernest uniósł brwi i zajął miejsce za stołem obok Huberta.

– Co was sprowadza do tego przekłętą Kozalina?

– Jesteśmy przejazdem – odparł Michał. – Mały rekonesans okolicy.

– A co tu oglądać? Większość ludzi zabrała zaraza albo sami się powybijali, zwierzęta jedne.

Chociaż to może zbyt obraźliwe dla zwierząt. Jeśli potrzebujecie jedzenia, to się częstujcie. Uważajcie na tamtych idiotów po drugiej stronie miasta. Kto wie, co im przyjdzie do łbów na widok obcych. Mnie, swojego, wyrzucili, a przecież pracowałem jak inni. Co z tego, że co jakiś czas sobie wypilem. Komu to szkodziło? – Edek mówił jak nakręcony, jakby od dawna z nikim nie rozmawiał.

– A co z wojskiem? Mówił pan, że dawno nie widział żadnych żołnierzy – zainteresował się Michał.

– A tak w czasie wojny wysłali cały garnizon gdzieś w świat. Tylko kilku zostało, ale popadali jak muchy na tę chorobę. Zresztą jak wszyscy inni w mieście.

– Czyli nie ma tu teraz żadnych żołnierzy?

– Nie ma ani jednego. Do dupy z tym życiem. No bo co tu można robić, co?

Chłopcy spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Wiecie, kim kiedyś byłem? Elektrykiem – prychnął Edek – Elektrykiem. A co elektryk może robić, kiedy nie ma prądu? No właśnie. I uznali, że się do niczego nie nadają!

Trzej przyjaciele posiedzieli z mężczyzną jeszcze około godziny, słuchając jego narzekań. Nie chcieli marnować czasu, ale jakoś nie mieli serca tak szybko zostawiać go samego. Szczególnie, że był uprzejmy i starał się ich ugościć.

– Niedługo się ściemni, powinniśmy już jechać – oznajmił w końcu Michał.

Hubert i Ernest z zapalem poderwali się z krzesła.

– Zajrzyjcie, jak jeszcze kiedyś będziecie w okolicy – pożegnał ich Edek.

– Z pewnością. Dziękujemy za gościnę. – Hubert uściśnął mu rękę i ledwie się powstrzymał, żeby potem nie wytrzeć jej o spodnie.

– Co ten świat robi z ludźmi – westchnął Ernest, kiedy wsiadali na konie.

– Nic dobrego – odparł Michał. – Ale przynajmniej wiemy, że w jednostce nie ma żadnych żołnierzy. A ludzi w okolicy jest tak mało, że mogli nie czuć potrzeby, żeby się do niej włączyć. Zresztą porzucona broń często leży na ulicy.

Zmierzało, kiedy dotarli pod jednostkę. Nie było bramy, po prostu budka wartownicza i szlaban z laminatu, który kiedyś działał na prąd. Teraz po prostu go wyłamano.

Noc zapowiadała się na pochmurną, a miasto tonęło w ciemności tak czarnej jak smoła.

– Może najpierw powinniśmy poszukać miejsca na nocleg? – zaproponował Ernest. – Po ciemku i tak nie znajdziemy zbrojowni.

Hubert pokiwał głową.

– To gdzie się zatrzymamy? – zapytał, rozglądając się po najbliższych budynkach.

Michałowi nagle oczy się zaświeciły.

– Ja chcę spać w gabinecie pułkownika! – oświadczył.

Hubert i Ernest wymienili spojrzenia.

– Poważnie?

– Zawsze chciałem spróbować – powiedział żołnierz, po czym ruszył na poszukiwania gabinetu pułkownika.

Znalezienie odpowiedniego budynku zajęło im kwadrans. W środku Michał, kierując się intuicją, poprowadził ich długimi korytarzami, aż w końcu stanęli przed kolejnymi drzwiami. Żołnierz bez problemu wyłamał zamek. Buchnęło stęchlizną. Musieli chwilę odczekać, nim weszli do środka. Pod oknem stało wielkie biurko zasłane papierami. Na szafach znajdowała się cała

armia zakurzonych pucharów. Po prawej stronie pod ścianą stała stara kanapa.

– Naprawdę chcesz tu nocować? – Ernest się skrzywił.

– Chyba jednak nie. – Michał z rozczarowaniem pokręcił głową.

– Biedak, twoje wymarzone lokum okazało się niewiele warte – zaśmiał się Hubert.

– Goń się – odburknął żołnierz. – Poszukajmy jednak koczara.

Już wychodzili, kiedy Hubert dostrzegł za drzwiami wielką szarą szafę pancerną.

– A to do czego mu było? – zdziwił się.

– No tak! – wykrzyczał Michał, klepiąc go po plecach.

– Co tak? – zapytał Ernest.

– Przecież chcemy włamać się do magazynu z bronią, a klucze powinny być w tej szafie – wyjaśnił Michał.

– A jak chcesz ją otworzyć? Skąd weźmiesz klucze?

Żołnierz tylko się uśmiechnął, po czym zdjął z szafy pancernej puszkę, a z niej wyjął pęk kluczy.

– Oni trzy mają klucze do szafy na szafie? – zdziwił się Hubert.

– Przecież to jest wojsko, nic nie może być zbyt skomplikowane – odparł Michał. – A wiecie, gdzie zapisywali hasła do komputerów i wszystkich baz danych? Na pulpicie w folderze „hasła”.

Żołnierz otworzył szafę i wyjął z niej klucze do magazynu z bronią.

Było już zupełnie ciemno, gdy odnaleźli koczarowicę, przypalikowali na trawie przed nim konie i weszli do środka. Na piętrze włamali się do jednego z pokoi. Pomieszczenie było małe, ledwo zmieściły się tam dwa łóżka piętrowe, mały stolik i szafa.

– Jak wy żyliście w takich warunkach? – zapytał Ernest, rozglądając się po pokoju.

Michał wzruszył ramionami.

– No widzisz, a po końcu świata masz nawet własny dom – powiedział Hubert.

Przy wątłym świetle świeczki zjedli kolację na zimno, a potem położyli się spać. Michał z Ernestem zgodnie uznali, że Hubert waży z nich najmniej, i dali mu w przydziale górne łóżko. Chłopak bez większych protestów wrzucił na nie śpiwór, wdrapał się na górę i nie zdejmując ubrań, wygodnie ułożył się do snu. Lecz chwilę przed tym, jak Michał zdmuchnął świeczkę, zobaczył, że na łóżku widnieje podpis: szer. elew P. Malinowski, i nagle poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Włamywanie się do domów bezimiennych ludzi to zupełnie inna sprawa niż spanie w łóżku szeregowego, który najprawdopodobniej poległ na służbie. Dopóki Hubert nie poznał jego nazwiska, łatwo mu było zignorować, że jeszcze dwa lata temu ta jednostka, to miasto tętniły życiem.

– Hubert!

Chłopak otworzył jedno oko, ale gdy poraziło go słońce, zamknął je i nakrył głowę śpiworem.

– Wstawaj! – Michał klepnął go w plecy.

– Auu!

– No, już.

– Dobra – mruknął, siadając i przecierając zaspane oczy. – Po cholere budzicie mnie tak wcześnie? Przecież garnizon nie ucieknie.

Ale koczary najwyraźniej uważali zupełnie inaczej, gdyż kazali mu w przyspieszonym tempie zjeść śniadanie, a potem we trzech wyruszyli na poszukiwania magazynu z bronią.

Dzięki temu, że poprzedniego dnia Michał zdobył klucze, teraz łatwo dostali się do środka, gdzie w kolejnej szafie pancерnej znaleźli starannie poustawiane karabiny, dalej znajdowała się broń krótka, a w następnej granaty.

– Jak my to wszystko mamy zapakować? – Hubert podrapał się po głowie.

– Na razie możemy poukładać w skrzyniach i wynieść bliżej wyjścia, potem wymyślimy, co dalej – zdecydował Michał.

W trzy skrzynie zapakowali po dwadzieścia karabinów, a w czwartą granaty, zapalniki i pistolety.

– Po cholere ci tyle granatów? – narzekał Ernest.

– Nawet nie wiesz, jakie są przydatne – odparł Hubert.

Zabrali również kilka pudełek z amunicją, na które Michał mówił „konserwy”.

– I co teraz? – zapytał Ernest, kiedy skończyli i ułożyli wszystko na kupce przy wyjściu. – Na konie tego nie zapakujemy.

– Ano nie, ale nie możemy tego zostawić – stwierdził Hubert. – Bo miejscowi na pewno kiedyś sobie przypomną o tej jednostce i ją splądrują, mołoch jeden...

– Taa, a co my teraz robimy? – zapytał ironicznie Ernest.

– Zabezpieczamy się na przyszłość.

– Przydałby nam się jakiś wóz – powiedział Michał. – Jakbyśmy zaprzęgli do niego konie, to byłibyśmy w stanie wynieść stąd całkiem dużo sprzętu. Któryś z was wie, jak taki wóz i zaprzęg działa?

– Ja, przynajmniej w teorii – odezwał się Hubert.

– Dobra, to pojedziemy na obrzeża miasta, może będziemy mieli szczęście, a jak nie, to trzeba będzie jechać dalej, na wieś. – Michał wyciągnął z plecaka mapę. – Myślę, że tutaj będzie dobrze. No i to daleko od tubylców. Ty, Ernest, zostaniesz i przygotujesz inne rzeczy do spakowania, okej?

Rudy chłopak pokiwał głową.

– Poszukaj magazynu z ubraniami. Rozglądaj się za rampą, tam, gdzie ją zobaczysz, na pewno będą wielkie drzwi do magazynu – kontynuował Michał. – Przyśzykuj wszystko, co może się przydać, nie zbliżaj się do ogrodzenia i uważaj, żeby ktoś czasem cię nie zobaczył.

– Dobrze, mam o. – Ernest pokiwał głową.

– No to jedziemy.

Hubert podszedł do Mokki i zaczął ją siodłać.

„W sumie to dobrze, że Michał przejął dowodzenie – pomyślał. – My nie musimy się niczym przejmować”.

Droga na obrzeża miasta nie zajęła im dużo czasu. Szukanie wozu też nie było zbyt trudne – zaglądali tylko na te podwórka, gdzie za domem znajdowała się stodoła czy jakiś inny budynek sugerujący, że właściciele mogli hodować większe zwierzęta, w tym konie. Wkrótce w jednej ze stodół znaleźli wóz, który może nie był w najlepszym stanie, ale na ich potrzeby powinien wystarczyć.

Hubert kiedyś widział, jak zaprzęgano konie do wozów, jednak nigdy nie robił tego osobiście, więc potrzebował chwilę na zorientowanie się, co do czego służy.

– To chyba nie powinno sterczeć pod takim kątem. – Michał przekrzywił głowę.

– No to jak, mądralo?

– Nie wiem, to ty się znasz, a poza tym czy ten twój koń umie ciągnąć wóz?

– Chyba każdy powinien umieć. W końcu co to za filozofia?

Zaprzęgnięcie klaczy do wozu zajęło im znacznie więcej czasu, niż przypuszczali, ale Mokła na szczęście była cierpliwym koniem i z wyrozumiałością zносиła zabiegi Huberta.

– Co tak długo? – zapytał z wyrzutem Ernest, kiedy odnaleźli go w jednostce.

– Mieliliśmy małe problemy z wozem – odparł Hubert. – Co przy gotowałeś?

Przyjaciel zaprowadził ich do magazynu, gdzie w workach leżały paczki ze szczególnie zapakowanymi dziennymi racjami żywności.

– A to nam po co? – zapytał Hubert, patrząc krytycznie na stertę jedzenia.

– Może nie smakuje najlepiej, ale ma długi termin przydatności – odparł Michał.

– Jak tam sobie chcecie – mruknął chłopak – A co z ciuchami?

– To w drugim magazynie, nie myśleliście chyba, że sam będę to nosił?

– A już miałem nadzieję...

– Wziąłem trochę rzeczy w różnych rozmiarach – mówił Ernest po drodze. – Nie mam pojęcia, kto z Dąbrówki je zechce. Ale ubrania dla siebie będziecie musieli sami poprzymierzać i skompletować.

Przed magazynem z odzieżą rzeczywiście znajdowała się rampa, a do budynku prowadziły wielkie drzwi. Przy dużym biurku, które zagrażało dostęp do dalszej części magazynu, Ernest przyszykował worki. Znalazły się w nich mundury polowe, bielizna, wiele par butów, a nawet okulary przeciwsłoneczne.

– Ale czad! – Hubert założył okulary. – Jestem jak z *Top Gun*!

Wymierzył niewidzialną broń w stronę kolegów i wystrzelił, dodając przy tym efekty dźwiękowe.

– Bałwan – mruknął z uśmiechem Ernest.

Hubert minął biurko i wszedł do wielkiej hali porozidzielanej na części zasłonkami. Wszędzie porozrzucane były różne paczki, worki i papier toaletowy.

– Ale czadowe majtki – stwierdził, otwierając worek z bielizną w brudnozielonym kolorze.

W kilka minut skompletował całe umundurowanie, a potem ukrył się za jednym z przepierzeń, żeby się przebrać.

– Te skarpety sięgają mi prawie do kolan! – zawołał do kolegów.

– Ale przynajmniej się nie przecierają! – odkrzyknął Michał.

Po dwóch minutach Hubert w mundurze polowym wyszedł zza zasłonki. Specjalnie przypiął do spodni szelki i teraz trzymał zatknięte za nie kciuki.

– No i teraz wyglądam jak człowiek – stwierdził. – A ty co masz na sobie?! – zakrzyknął na widok Ernesta w granatowych spodniach od dresu z błękitnymi paskami.

– No co? To jest wygodniejsze... – mruknął.

– Ale od kiedy wojsko ubiera się na niebiesko?! – jęknął rozczarowany Hubert.

Zaczęli pakować bagaże na wóz i już po chwili zorientowali się, że nie ma najmniejszych szans na to, żeby wszystko się zmieściło.

– Wyrzucimy ten drut kolczasty – zaproponował Michał. – Po co on nam?

– Nie ma mowy! – zaprotestował Hubert. – Trzeba czymś zabezpieczyć wioskę.

- Coś ty, chcesz jakieś getto z niej zrobić?
 - Może być i getto, pod warunkiem że nie będą tam włązyły demony.
 - Racja. - Ernest pokiwał głową. - Wyrzucimy żarcie, zajmuje dużo miejsca.
 - Z jedzeniem teraz też jest ciężko, dobrze mieć zapasy - zauważył Michał.
 - A gdybyśmy tak zrobili ze dwa czy trzy kursy? - zaproponował Hubert.
 - Niby jak? Przecież droga w jedną stronę zajęła nam dwa dni. Chcesz zostawić teraz to, co zebraliśmy? Przecież tubylcy od razu się do tego dobiorą.
 - Chyba że nie wieźlibyśmy wszystkiego do samej Dąbrowki.
- Michał i Ernest spojrzeli na siebie.
- To gdzie?
 - Jest takie miejsce niedaleko Koszalina, gdzie moglibyśmy zostawić cały sprzęt i nikt go nie znajdzie. - Hubert wiedział, że jego pomysł nie spodoba się kolegom. - Moglibyśmy nawet przenieść tam wszystko, co tu zostało... urządzić taki nasz prywatny magazyn.
 - Brzmi nierealnie - stwierdził Ernest. - Gdzie to jest?
 - Pamiętacie to miejsce, gdzie zabiliśmy strzygę?
 - Zwariowałeś! W środku lasu, w gnieździe jakiegoś demona?!
- Hubert kontynuował niezrażony:
- Znalazłem tam stary bunkier. Pomyślcie. Nikt nie wie o jego istnieniu.
 - A co jeśli jest tam więcej demonów? - zapytał rzeczowo Michał.
 - No to je wybijemy. Co za problem?
 - Tobie naprawdę coś się poprzestawiało w głowie. - Ernest przewrócił oczami. - Ale możemy spróbować.
 - To kończmy pakowanie i jedźmy - zarządził żołnierz. - Jeżeli się pospieszymy, jutro przed wieczorem powinniśmy być tu z powrotem.
- Zabłądziliśmy - jęknął Ernest.
- Od dwóch godzin szukali leśnej drogi, która prowadziła w okolice bunkra.
- Przecież to wy ją znaleźliście - burknął Hubert, który siedział na wozie. - Przypomnijcie sobie, bo jakoś nie mam ochoty nosić tego wszystkiego pieszo przez las.
 - Poczekajcie tu chwilę, sam poszukam tej drogi, tak będzie szybciej - zaproponował Michał i nie czekając na odpowiedź, odjechał.
- Wrócił po półgodzinie i poprowadził kolegów leśną drogą. Bunkier znajdował się około dwustu metrów od niej. Niestety, ten dystans musieli pokonać pieszo, a konie zostawić przywiązane do drzew.
- Nie wygląda to najlepiej. - Ernest skrzywił się na widok żelbetowej bryły tylko częściowo wystającej z ziemi.
 - Chodźcie do środka - zaproponował Hubert.
- Weszli i wcale im się nie spodobało to, co zobaczyli.
- Cuchnie stęchlizną. - Michał rozglądał się z powątpiewaniem.
 - Bo trzeba przewietrzyć. - Hubert bronił swojego planu.
 - Jak chcesz wietrzyć bunkier?
 - Albo wymieść ziemię i zgniłe liście... Posprzątam i zobaczycie, jaka będzie fajna miejscówka.

Jednak ani Michał, ani Ernest nie byli przekonani.

– W takim razie ty się zabierz do sprzątnięcia, a my przyniesiemy graty z wozu – zaproponował w końcu były żołnierz.

Hubert prychnął cicho, niezadowolony z pesymizmu kolegów. Żaden nie docenił jego pomysłu, ale sami na lepszy wpaść nie potrafili.

Do bunkra prowadziły dwa niewielkie otwory bez drzwi. Najpierw wchodziło się do metrowego szerokiego przedsionka. Z prawej strony zakręcał on na zewnątrz, tak że przez niewielki otwór w ścianie można było zobaczyć, kto dobija się do drzwi. Z przedsionka wchodziło się do większego pomieszczenia na planie prostokąta, a z niego do kolejnego, prawie takiego samego, z olbrzymią wyrwą w ścianie.

– Będzie trzeba zamurować – ocenił Hubert, wyglądając na zewnątrz.

Bunkier znajdował się na górze i gdy chłopak stanął przed dziurą w ścianie, mógł zobaczyć całkiem spory kawałek lasu.

Hubert odwrócił się i spojrzał w głąb ciemnego pomieszczenia. Z metalowego, pokrytego rdzą sufitu i ze ścian wystawały grube haki, najprawdopodobniej służące do zawieszania pryczy do spania. Białe niegdyś ściany były pokryte burymi zaciekami. W kilku miejscach zobaczył w ścianach niewielkie wgłębienia, nad którymi napisano czarnymi literami „Licht”. Hubert znalazł również na ścianach małe metalowe płytki z dziurkami, podpisane „Beflügung”.

– A to co? – Przyświecając sobie świeczką, próbował zajrzeć, co się kryje za płytkami. – Wywietrzniki – uznał po chwili. – Ciekawe, dokąd prowadzą?

– Weź się może do jakiejś roboty, co?! – huknął na niego Michał. – My już prawie cały wóz opróżniliśmy.

– No dobra – mruknął Hubert. Odstawił świeczkę i się rozejrzał, by zdecydować, od czego zacząć.

– Przydałaby się jakaś łopata – stwierdził, po czym opróżnił jedną skrzynię z bronią i zaczął rękoma nagarniać do niej liście i ziemię. Gdy ją wypełnił, wyniósł na zewnątrz i pozbył się z wartości. Było to żmudne i czasochłonne zajęcie, jednak nie widział żadnego innego sposobu na oczyszczenie ich przyszłej kryjówki.

– Coś słabo ci to idzie – orzekł Michał, kiedy skończyli z Ernestem znosić przed bunkier rzeczy z wozu.

– A sprzątałeś kiedyś, cwaniaku, bunkier? To nie takie proste – odgryzł się Hubert.

– Wiecie co, myślę, że na noc powinniśmy zostać tutaj, a dopiero rano pojechać po resztę zapasów – zaproponował Ernest.

– Wy pojedziecie, a ja zostanę i ogarnę tu wszystko – dodał Hubert.

Michał kiwnął głową.

– Mam tylko nadzieję, że w okolicy nie ma drugiej strzygi ani niczego takiego – powiedział ponuro.

Ernest rozejrzał się dookoła nerwowo, a Hubert stwierdził w duchu, że wcale by się nie zmartwił, gdyby napatoczył się kolejny demon. Już się ich nie bał tak jak kiedyś. Coś w nim pękło. Może wtedy, gdy roztrzaskał kamieniem czaszkę tamtego wija albo gdy zabili strzygę, lub gdy... gdy okazało się, że jego mama umarła w tak głupi sposób. Wiedział, że bezpowrotnie się zmienił.

Na zewnątrz starał się pokazać wesołą, bez troskłą twarz należącą do osoby, która nigdy się niczym nie przejmie, jednak gdzieś w głębi serca czuł ogromną pustkę. Wiedział, że nigdy już

nie pozbędzie się tego uczucia.

Kiedy zapadł zmrok, bunkier wciąż cuchnęła stęchlizną, więc chłopcy postanowili rozpalic ognisko na zewnątrz i przy nim ułożyć się do snu. Męczący dzień szybko dał im się we znaki i od razu zasnęli.

Hubert budził się co chwilę. Drzewa szumiały cicho, gdzieś w oddali pohukiwała sowa, coś hałasowało w suchych, bukowych liściach. Las nie spał, nigdy nie śpi w nocy, ale był spokojny. Chłopak za każdym razem, gdy dołkładał do ognia, skupiał się, sprawdzając, czy nie wyczuje nic podejrzanego, lecz demony najwyraźniej wyniosły się z okolicy.

„Ciekawe tylko, jaki mam zasięg” – pomyślał sennie nad ranem, gdy świat spowijała jeszcze szarość nocy, a po ziemi sunęły leniwie strzępy mgły.

Kiedy tylko wstało słońce, chłopcy zjedli śniadanie, po czym Ernest i Michał pojechali z powrotem do Koszalina.

– Weźcie dla mnie taki fajny podgumowany materac – poprosił ich na odchodnym Hubert. – Przyda się, jak będzie trzeba znów tu nocować. I poszukajcie materiałów na drzwi do bunkra. Aha, potrzebuję też czegoś, żeby zbudować tę wyrwę w ścianie. Chociaż w pobliskiej wiosce chyba widziałem jakieś pustaki, one się powinny nadać...

– On tu zamierza dom budować – odparł z przekąsem Ernest.

Michał zaśmiał się cicho.

– Będziemy pewnie jutro koło południa – zapowiedział. – Możesz czekać z gorącym obiadem.

– Bardzo śmieszne – mruknął Hubert.

Kiedy został sam, w towarzystwie swojej kłaczy, zabrał się do pracy. Musiał dokończyć wynoszenie liści z bunkra, trzeba było też odgarnąć trochę ziemi z przejścia, a na koniec zrobił z gałęzi małą miotłę i wymiół resztki śmieci. Strasznie się przy tym umęczył, ale po skończonej robocie poczuł satysfakcję z dobrze wykonanego zadania.

Było koło południa, więc podgrzał sobie konserwę w puszcze i zagryzł ją sucharami. Z radością odkrył, że racje żywnościowe wojska zawierają trochę suszonych owoców, cukierki, a nawet gumę do żucia.

Po chwili odpoczynku zaczął wnosić do bunkra broń, żywność, ubrania i inne rzeczy, które wywieźli z jednostki. Na początku zastanawiał się, czy nie poukładać ich w uporządkowany sposób, ale szybko dał sobie z tym spokój.

– Wyłąpałbym się – westchnął, kiedy skończył.

Przypomniał sobie, że w okolicy było niewielkie jezioro – tam, gdzie walczył ze strzygą. Wziął więc mydło, ubrania na zmianę i prowadząc za sobą Mokłą, ruszył przez las.

– Nie marudź – zganiał kłacz, gdy potknęła się o wystający korzeń i zarżała z pretensją. – Przecież nie mogłem cię tam samej zostawić. Coś jeszcze by cię zeżarło. A poza tym tobie też chyba chce się pić.

Po dziesięciu minutach dotarł nad jezioro. Bez problemu znalazł ładny, piaszczysty brzeg. Szybko się rozebrał i wszedł po kolana do lodowatej wody.

– Szlag by to trafił – powiedział, szcękając zębami.

Jakakolwiek ochota na kąpiel od razu mu przeszła.

– Muszę się umyć. Jeszcze spotkam jakąś dziewczynę...

Mokła stanęła na brzegu i zaczęła pić.

Hubert wszedł do wody po pas. W prawej ręce trzymał nóż. Może nie było to

najwygodniejsze wyjście, ale nie chciał się dać zaskoczyć żadnemu demonowi.

Z trudem powstrzymując krzyk, zanurzył się w wodzie. Potem namyślił się i opłukał. Wiedział, że nie powinien tak robić, ale teraz odrobina mydła raczej nie stanowiła problemu dla ryb.

Po odświeżającej kąpieli włożył na mokre ciało mundur i wrócił do bunkra. Rozpalił ogień, by się ogrzać.

Później osiodłał konia i pojechał do pobliskiej wioski. Tak jak zapamiętał, na podwórku jednego z domów znajdowała się sterta pustaków.

– Kiedy chłopaki wrócą, to przyjadę tu wozem – postanowił. – Hm, jeszcze tylko cement...

Rozejrzał się dookoła.

Jego uwagę przykuł garaż. Niestety drewniane drzwi były zamknięte na kłódkę i długą chwilę zajęło mu znalezienie odpowiedniego kamienia, którym mógł ją rozbić.

Garaż okazał się zakurzony i okropnie zagracony. Jednak Hubertowi udało się znaleźć kilka worków z cementem, wiadro, grabie i łopatę. Uznał, że cement zapakuje na wóz razem z pustakami, ale pozostałe przedmioty zabrał od razu.

Kiedy wrócił do bunkra, wspiął się na dach i zaczął szukać otworów wentylacyjnych. Co kilka centymetrów wbijał szpadel w grubą warstwę ziemi zalegającej na bunkrze, a gdy trafił na coś twardego, wykopywał to. Zazwyczaj były to jedynie kamienie, ale w końcu uderzył w zardzewiałą wąską rurę wystającą z betonowego dachu. Była przykryta spiczastą metalową czapczką, którą Hubert uszkodził szpadlem. Od tej pory zachowywał się ostrożniej. Udało mu się znaleźć jeszcze trzy rury wentylacyjne. Wszystkie odkopał, mając nadzieję, że to wystarczy, żeby w bunkrze było świeże powietrze, po tym jak zamuruje wielką dziurę we frontowej ścianie.

Miał już schodzić z dachu, kiedy jego uwagę zwróciło kwadratowe wgłębienie w ziemi.

– A to co? – zapytał, wbijając w nie szpadel.

Nagle grunt się zapadł, szpadel poleciał w dół. Hubert stracił równowagę. W ostatniej chwili udało mu się zaprzeć rękoma o krawędzie ziemi, więc nie spadł głową w dół.

– Co jest, do cholery? – mruknął, wstając z ziemi.

Zeskoczył z dachu i wszedł do bunkra. W lewym końcu przedsiönka usypała się hałda ziemi i kawałków zbutwiałych desek. Leżał też szpadel. Hubertowi usunięcie jej zajęło nie więcej niż pół godziny. Okazało się, że to, co wcześniej brał za bezsensownie małe pomieszczenie, do którego wchodziło się z przedsiönka, było szybem wiodącym na górę. Później Michał wytłumaczył mu, że to zsypana amunicja.

Po pracy znów przydałaby mu się kąpiel, ale nie miał ochoty ponownie zanurzać się w lodowatej wodzie, więc uznał, że skoro nie ma z nim nikogo, komu mogłoby przeszkadzać, że śmierdzi, nie będzie się tym przejmował.

Na noc rozłożył sobie matę i śpiwór w bunkrze. Wciąż było tam trochę wilgotno, ale zaczął padać deszcz, więc Hubert uznał, że lepsze takie schronienie niż żadne. Zасыpiając, czuł lekkie wyrzuty sumienia, że Mokka została na zewnątrz i moknie, ale w końcu deszcz nie był duży, a drzewa przed nim chroniły.

– Jutro zbuduję jej jakąś prowizoryczną wiatę – obiecał sobie, zanim odpłynął w nicość.

Ranek wstał czysty i rześki, w przeciwieństwie do Huberta, który najchętniej pospałby do południa, ale koń, najwyraźniej głodny, zaczął donośnie upominać się o codzienną porcję owsa.

– Ty szkapo jedna, zamknij się, bo ci nie zbuduję tej wiaty – zagroził chłopak, lecz to nie pomogło.

W końcu musiał wstać i nakarmić Mokłę. Przy okazji odkrył, że owies jest na wyczerpaniu i postanowił przed południem odszukać w pobliżu jakąś polanę, gdzie kłacz mogłaby poskubać trawę, gdyż w bukowym lesie nie było ani jednej kępy.

Późnym popołudniem przyjechali przyjaciele Huberta.

– Całkiem niezłe – orzekł Ernest, przyglądając się oczyszczonemu bunkrowi i wiacie dla koni.

Gdy zjedli obiad, zaczęli wnosić do środka rzeczy, które przywieźli z miasta.

Potem wybrali się do pobliskiej wioski, gdzie czekały na nich pustaki i cement. Z szopy zabrali drewniane drzwi i umocowali je na starych zawiasach od bunkra.

– To jak robimy jutro? – Michał wieczorem zagadnął Huberta. – Jedziemy we trójkę do miasta? Czy któryś z nas ma cię zastąpić?

Chłopak spojrział na kolegów. Czuli się w obowiązku to zaproponować, ale żaden nie miał najmniejszej ochoty zostawać sam w głębokim lesie, gdzie jeszcze niedawno żerowała strzyga.

– Wy jedźcie, ja mam tu jeszcze trochę pracy, trzeba w końcu zamurować tę ścianę – powiedział.

Jego towarzysze odetchnęli z ulgą.

Siedzieli we trzech przy ognisku. Konie rżały cicho pod prowizoryczną wiatą zbudowaną z gałęzi i grubej folii. Ogień trzaskała na drewnie. Hubert ułożył się na macie i wpatrywał w płomień.

– Czytałeś coś ciekawego o strzydze? – zagadnął Ernesta Michał.

– Co prawda jeszcze nie doszedłem do S, ale ją akurat sprawdziłem. Ponoć strzygi powstają z umarłych niemowląt. I ludzi z dwoma sercami i dwiema duszami. Po śmierci jedna z nich, ta dobra, ulatuje do nieba, a zła zostaje w ciele, które po nocach wstaje z grobu, żeby rozszarpywać ludzi na strzępy i wysysać ich krew.

– To trochę jak wampiry, co? – przyszło Michałowi do głowy.

– Mogą należeć do tej samej rodziny – przytaknął Ernest, po czym wraz z Michałem zerknęli na Huberta.

– Na wampira jeszcze się nie natknąłem. – Pokręcił głową. – Ale w demonologii było napisane, że często uważano je za te same demony.

– Aha, a żeby strzyga nie powstała ponownie z grobu, trzeba przebić jej serce osinowym kołkiem, obciąć głowę i ułożyć między nogami – dodał Ernest.

– A co ze spaleniem?

– Nic na ten temat nie znalazłem.

– Wiecie, dla mnie – odezwał się Hubert, nie odrywając wzroku od płomieni – spalenie jest dobre na wszystko.

– W sumie... – Michał pokłiwał głową. – A jakie demony jeszcze pamiętasz? – zapytał Ernesta.

– Bies mnie zainteresował.

– I co to za jeden?

– Bies atakuje tylko w mroku – wyjaśnił Ernest.

– Aha, czyli przy pełni nie musimy się obawiać. – Michał uśmiechnął się krzywo.

– Chyba że wleziemy do jego nory. Jest wielki, kudłaty, ma ostre pazury i kły.

– Przyjemniaczek – zaśmiał się Hubert, ale przyjaciele nie podzielili jego wesołości.

– Jak kogoś nazaczy, będzie siedł jego tropem, aż go dopadnie – kontynuował Ernest. – A przy

tym ofiara cierpi na stany lękowe, zmęczenie fizyczne...

Nagle Hubert doświadczył silnego déjà vu.

– Boże – szepnął, ale koledzy go nie usłyszeli, zajęci rozmową o demonach.

Sen, który miał w Świącinie, sen, o którym zapomniał... Ale czy przypadkiem wszystko, co wydarzyło się w Świącinie, nie było snem?

Poderwał się i usiadł gwałtownie na macie. Dziwne wrażenie prysło. „Przecież to nie może być prawda” – pomyślał. Ernest przeglądał demonologię, więc to oczywiście, że kiedyś przy ognisku mógł wspomnieć o biesie. To wydawało się jedynym wytłumaczeniem.

W nocy Hubertowi przyśniło się Świącino. Spotkał ludzi, których znał, ale część twarzy była tak zamglona, że nie potrafił określić, do kogo należały.

Rano Michał i Ernest znów wyjechali do miasta, a Hubert został w bunkrze. Jak tylko zjadł śniadanie, wybrał się nad jeziorko po wodę i przytaszczył ją w wiadrze oraz wielkiej plastikowej butelce. Cement wymieszał ręcznie z wodą i piaskiem, co było dość trudne, a potem zabrał się do ustawiania pustaków w dziurze w ścianie. Praca szła mu powoli i rezultaty nie zachwycały. Nigdy jeszcze nic takiego nie budował, ale metodą prób i błędów udało mu się wznieść względnie prostą ściankę. Samo murowanie nie było takie trudne. Dużo bardziej kłopotliwe okazało się kursowanie po wodę i czysty piasek, których potrzebował mnóstwo, a beton wychodził mu raz za rzadki, a raz za gęsty.

Potem zamurował jedno z wejść. Wieczorem, jeszcze przed zmierzchem, padł półżywy na materac i niemal natychmiast zasnął, nie jedząc kolacji.

Koledzy wrócili następnego dnia i oświadczyli, że nazajutrz wracają do Dąbrówki.

– Ale moglibyśmy zrobić jeszcze z jeden kurs – przekonywał Hubert.

– Kończy nam się owies dla koni – wyjaśnił Ernest.

– I tak zeszło nam się dłużej, niż planowaliśmy – dodał Michał. – Pewnie się martwią w domu. Szczególnie wasz dziadek. W końcu kazał mi was pilnować.

– Ale wrócimy tu za jakiś miesiąc czy dwa, żeby uzupełnić zapasy w bunkrze? – dopytywał się Hubert.

– Ty to się uparłeś na ten bunkier. – Ernest pokręcił głową.



ROZDZIAŁ VII

Do wieczora spakowali na wóz wszystko, co było najbardziej potrzebne w Dąbrówce, i wraz ze wschodem słońca wyruszyli na drogę, by dotrzeć do wsi przed zmrokiem.

Kiedy wjechali do niewielkiej osady, pierwsza na ich spotkanie wybiegła Zuzia.

– Gdzie byliście tak długo? – zapytała, opierając dłonie na biodrach.

– Na zakupach – odparł Hubert z uśmiechem.

– Martwiłam się.

– Chodź tu i nie marudź. – Ernest przy garnął siostrę i mocno ją uściskał.

Chwilę później powitali ich Albert, Daniel i pozostali mieszkańcy wsi. Wóz rozpakowano, a rzeczy z niego przeniesiono do opuszczonego domu, w którym znajdował się magazyn. Jak tylko chłopcy zajęli się końmi, pani Dorota zaprosiła ich do siebie na kolację. Był to pierwszy ciepły i naprawdę syty posiłek od kilku dni.

Jeszcze tego samego dnia mieszkańcy wsi przejrzeni zapasy przywiezione przez chłopców. Hubert tylko czekał, aż ktoś skrytykuje ilość broni i amunicji, ale nikt nawet o tym nie napomknął.

– Strasznie długo was nie było – mówił Albert, kiedy wrócili do domu i usiedli w salonie. – Martwiliśmy się.

– No, trochę nam się zeszło – odparł Michał. – Mieliliśmy parę logistycznych problemów, na przykład: jak zaprząć konia do wozu. – Zerknął w stronę Huberta. – Ale jakoś poszło.

– W każdym razie dobrze, że już jesteście – powiedział starszy pan, unikając ich wzroku.

- Co się stało? – zapytał jego wnuk spoglądając na niego podejrzliwie.
- Nic takiego... – zaczął Albert.
- Wije – odezwała się nagle Zuzia siedząca przy oknie.
- Co? – Ernest patrzył na siostrę z niepokojem.
- Wije. – Dziewczynka odwróciła wzrok od okna i spojrzała mu prosto w oczy. – W lesie jest ich więcej.

W żółdki Huberta coś się nieprzyjemnie poruszyło. Wije były szybkie i niebezpieczne. Tylko cudem udało mu się przeżyć ostatnie spotkanie z jednym z nich...

„Chwileczkę – pomyślał nagle. – Skąd ona wie, że to wije? Skąd w ogóle zna tę nazwę?”
- Ehm... – Albert odchrząknął. – Woźnica widział jednego w lesie, a inny zaatakował dzieciaki w ogrodzie. Na szczęście Irena przepędziła go grabiami...
- Jak to: grabiami? – zdziwił się Hubert.
- Najwyraźniej się przestraszył.
- Przestraszył?! Nie mógł przestraszyć się grabi!
- Był mały, dużo mniejszy niż ten, co zaatakował ciebie.
- Paranoja – szepnął chłopak przecierając dłońmi twarz.
- Zamierzamy iść do lasu, znaleźć ich norę i wszystkie wybić. Czekałimy tylko, aż przywieziecie nam broń – powiedział Daniel.

To było najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział tego dnia. Hubert nie mógł nie zauważyć, że ojciec jeszcze bardziej schudł, a jego twarz wciąż miała ziemistoszary odcień.

- My, czyli kto? – zapytał Michał.
- Ja, Daniel, Woźnica, Górski – zaczął wymieniać Albert.
- No i my – wtrącił Hubert.
- Ty nigdzie nie idziesz – powiedział twardo Daniel.
- A właśnie, że pójdę. Tylko ja wyczuwam obecność demonów – odparł, zerkając przy tym na Zuzię. Przyśiągłby, że się uśmiechnęła pod nosem.
- Jak to „wyczuwasz”? – zainteresował się Albert.
- Eee, no... – zająknął się chłopak – Po prostu wiem, kiedy są w pobliżu.
- Aha, jasne – mruknął Ernest.
- No co?
- Nic, strzygę to z kilometra wyczułeś... – rzucił ironicznie.
Hubert go zignorował.
- No dobrze, to kiedy chcecie iść? – zapytał Michał.
- Jutro rano – zdecydował Albert. – Nie wiadomo, czy diabełstwo się nie mnoży, trzeba się spieszyć, zanim znów wlezie nam do wsi.

Błądym świtem siedmiu mężczyzn z Dąbrówki zebrało się pod domem Alberta. Wszyscy byli uzbrojeni, nawet Hubert i Ernest.

- Pójdziemy najpierw tam, gdzie zginął Cegła – zdecydował Albert, pozostali pokiwali głowami.

Hubert nagle coś sobie przypomniał.

- Eee, zaraz was dogonię – rzucił i pobiegł do szopy. – Gdzie ja to widziałem? – zastanawiał się, przerzucając narzędzia. – Jest!

Podniósł za drewnianą rękojęść długi kawał ostrego żelastwa, który przypominał trochę maczetę. Nie miał pojęcia, do czego Albert go używał, ale uznał, że ustrojstwo może się przydać, kiedy człowiek idzie na spotkanie z wijami.

Wyszedł z szopy i truchtem pobiegł za mężczyznami. Gdy kątem oka zerknął na dom, miał wrażenie, że w jednym z okien widzi rudą czuprynę, lecz gdy się obejrzał w tamtym kierunku, zniknęła.

– A tobie to po co? – zapytał Ernest, wskazując na nową broń Huberta.

– Fajne urywadło, może się przyda – mruknął z uśmiechem, lekko podrzucając broń.

– Jesteś chory.

Tropienie demonów okazało się bardzo nużące. Owszem, na początku wszyscy byli podenerwowani, a adrenalina buzowała im w żyłach, jednak po kilku godzinach kręcenia się po lesie bojowy nastrój opadł. Sprawdzili wszystkie miejsca, gdzie widziano wiję, jednak nie natrafili na żadne ślady.

– To bez sensu – mruknął Hubert. – Kręcimy się tylko w kółko.

– A masz może lepszy pomysł, jak je znaleźć, ty, który wyczuwasz demony? – zapytał ironicznie Ernest.

– No właśnie nie.

Nagle zobaczyli, że Woźnica, który przykłęknął na ziemi kilkanaście metrów dalej, unosi dłoń. Wszyscy podeszli do niego.

– My ślę, że ten trop jest świeży – powiedział cicho, wskazując poszy cie.

Mężczyźni rozejrzeli się dookoła nerwowo.

Hubert krytycznie przyglądał się śladom. On nic tam nie widział, ot, kilka połamanych krzaczków i suchych gałązek.

– Tam. – Myśliwy niedbale wskazał kierunek ręką, wstał i powoli ruszył.

Pozostali powlekli się za nim, trzymając broń w pogotowiu.

Woźnica często gubił ślad, błędził, cofał się i wciąż prowadził ich coraz głębiej w sosnowy las. W pewnym momencie stanął w miejscu, a potem zaczął krążyć w kółko.

– Nic z tego, trop się urywa – oznajmił po kilku minutach.

– Ekstra – westchnął Hubert, miał już dość tych całych poszukiwań, a wnioskując po minach innych, oni również.

Nagle to poczuł. Las zamilkł, powietrze jakby się naelektryzowało, a wszystkie włoski na jego karku stanęły dęba.

– Cii – szepnął.

Nie zwrócili na niego uwagi, ale chłopak wcale się tym nie przejął. Ruszył, kierując się swoim „radarem”.

– Ej! – zawołał Ernest i wraz z Michałem pobiegli za nim.

Hubert minął rozłożysty świerk. Wysoka trawa tłumila jego kroki. Między sosnami zaczęły pojawiać się pojedyncze brzozy. A świat uporczywie milczał. Chłopak skupił się na bodźcach, jakie do niego docierały. Serce biło mu coraz szybciej, mięśnie czekały na sygnał.

Drzewa rosły coraz gęściej – suche gałązki zahaczały ciągle o jego ubranie. Kilka metrów z przodu Hubert zobaczył uskok w ziemi. Poprawił chwyt na kałasznikowie i zbliżył się, celując nisko. Zerknął pod nogi i jego oczom ukazał się kwadratowy dół głęboki na dwa metry, z kamiennymi ścianami. Jedna jego strona była zniszczona, a ziemia, która się osypała, utworzyła

pochyłe zejście. Jednak chłopak nie zwracał uwagi na takie szczegóły, ponieważ to, co znajdowało się w dole, ścięło mu krew w żyłach. Zobaczył dziesiątki wijących się ciał, grubych jak ramię człowieka. Gdzieniedzie z tej płataniny wystawała trójkątna głowa z gadzimi oczami lub łapa z ostrymi pazurami.

– Chryste – jęknął Hubert.

Zamarł. Gapił się jak zahipnotyzowany, ale po chwili zorientował się, że tak naprawdę w gnieździe są tylko trzy, najwyżej cztery młode wije.

– Ja pieprzę – wyrwało się Michałowi, który stanął obok niego.

Żołnierz potrzebował mniej czasu na reakcję i już po kilku sekundach otworzył ogień. Pozostali mężczyźni natychmiast podbiegli i odepchnąwszy na bok Huberta, również zaczęli strzelać. Po lesie rozniósł się huk

– One są młode – powiedział Hubert do siebie. – To szczenięta, boją się nas...

Zrobiło mu się niedobrze. Postawił karabin na ziemi i oparł go o pień drzewa. Wyjął zza paska „urywadło”, wbił w ziemię i przykucnął, wspierając się o nie. Ku jego uldze strzały w końcu umilkły, choć miał wrażenie, że las nadal nimi rozbrzmiewa. Słyszał przekleństwa płynące z ust mężczyzn z zainteresowaniem patrzących w dół.

– Były mniejsze niż ten, którego zabiłeś. – Ernest podszedł do przyjaciela i razem z nim stanął na uboczu. On również nie brał udziału w strzelaninie.

– No.

– Zastanawiam się, czy to może nie był ich rodzic. W takim razie gdzie się podział drugi?

– Nie wiem, nic nie czu... O cholera!

Na granicy słyszalności pochwycił przerażający syk i szelest liści.

– Tam! – wrzasnął, wskazując maczetą w dal, gdzie między drzewami mignęło coś szarego.

Pozostali natychmiast zaczęli strzelać. Kule trafiały w drzewa.

– Gdzie to jest?! – krzyknął Albert, kiedy broń umilkła.

– Cholera wie – odparł Woźnica, przeczesując wzrokiem las.

Hubert rozejrzał się nerwowo, szukając między drzewami szarzielonego kształtu. Na próżno. Pozostali mężczyźni zbili się w ciasny krąg, mierząc z karabinów w każdą stronę. Radość z wyeliminowania młodych w gnieździe nagle uleciała. Zapomnieli, że to, co zabiło Cegłę, musiało być potężne. Może zbyt pochopnie rzucili się do walki z czymś, czego nie znali.

Hubert spojrział na towarzyszy, a w ich oczach zobaczył strach. Wziął głęboki wdech i spróbował się skupić, w czym przeszkadzał mu zapach krwi. Jednak już po chwili w oddali usłyszał cichy syk trzasnąła złamana sucha gałązka.

Serce chłopaka w końcu się uspokoiło, mięśnie przestały drżeć. Wszystko niespodziewanie stało się proste.

„Albo ja, albo on – pomyślał. – Trzeciej możliwości nie ma”.

Nie zastanawiając się dłużej, rzucił się biegiem tam, gdzie przed chwilą mignęło coś szarzielonego.

– Hubert! – usłyszał krzyk ojca, ale nie zareagował.

Nic się nie liczyło, tylko pogoń za demonem zabijającym ludzi, którego młode wlaży do ogródka, gdzie bawiły się dzieci.

Wij był szybki, ale chłopakowi jakimś cudem udało się go trafić, gdy na odlew machnął maczetą. Z węzowego cielska trysnęła krew. Demon zasyczał i wspierając się na dwóch łapach,

odpełzył w bok

– No chodź tu – mruknął Hubert, szykując się do następnego ataku.

Nie wiedział skąd, ale miał pewność, że ranny wuj nie odpuści. I nie pomylił się. Po chwili zza drzewa wystrzelił trójkątny łeb z otwartą paszczą. Hubert przez ułamek sekundy patrzył jak zahipnotyzowany na wyszczerzone zęby i w ostatniej chwili odskoczył, uderzając maczetą w łeb demona. Rozległ się głuchy łomot, coś chrupnęło i głowa wija lekko opadła. Stwór, waląc na boki potężnym ogonem, usiłował dojść do siebie, jednak chwiał się na łapach i nie był w stanie unieść łba wyżej niż na kilkanaście centymetrów nad ziemię.

Hubert przyszykował się do kolejnego ciosu. Kiedy wznosił nad głowę maczetę, gruby ogon wija podciął mu kolana i chłopak z impetem wylądował na ziemi, uderzając plecami w przewrócony pień drzewa. Dojście do siebie zajęło mu kilka sekund, a w tym czasie do wija podbiegł Albert. Ciężkim butem przycisnął cielsko do ziemi mniej więcej tam, gdzie powinna znajdować się szyja, i oddał kilka strzałów w łeb. Demon jeszcze przez chwilę wił się w konwulsjach, a potem zastygł w bezruchu.

– A tobie odbiło? – spokojnie zapytał Huberta Albert, który zaczął podnosić się z ziemi.

– Nie, skąd takie podejrzenie? – Chłopak otrząpał spodnie i wsunął za pasek maczetę.

– Hubert! – sapnął Daniel, przyпадając do syna. Przez chwilę zawahał się, a potem mocno go uściskał.

– Dobra, wystarczy. – Chłopak spróbował się od niego uwolnić.

Ojciec opuścił ramiona, teraz był jeszcze bardziej błądy niż wcześniej, o ile to w ogóle możliwe.

– Czy to już wszystko? – zapytał rzeczowo Górski, patrząc to na Alberta, to na Woźnicę.

– Nie mam pojęcia – odparł myśliwy.

– Wszystkie? – Albert zapytał Huberta.

– Nie wiem.

– Nie żyją dwa większe, wliczając tego, którego kiedyś zabił Hubert, i kilka młodych – odezwał się Michał. – Teoretycznie wszystkie. Trzeba tylko coś zrobić z truchłami.

– Zakopać? – zapytał Woźnica. – Nie wiem jak wam, ale mi się nie chce.

– Spalić – zdecydował żołnierz, po czym z lekkim uśmiechem wyjął z bocznej kieszeni spodni półlitrową butelkę podpałki do grilla.

Hubert wyszczerzył zęby. On o tym nie pomyślał.

– Trzeba wrzucić tego do dołu. – Albert wskazał martwego wija, po czym spojrział na swojego wnuka.

– No dobra – mruknął Ernest.

– Poczekaj chwilę – zatrzymał go Hubert. Wyjął z kieszeni kombinerki, by wyrwać zęby, ale nie poszło mu tak łatwo jak ze strzygą. Mocno trzymały się w szczęce i kruszyły przy próbach wyjęcia.

– Co robisz? – zapytał go Woźnica.

– Zdobywam trofeum – odparł chłopak.

– Tak ci się na pewno nie uda. – Myśliwy pokręcił głową. – Nie wiesz, jak się wyciąga grandle?

– Gra... co? – powtórzył Hubert.

– Grandle. – Woźnica wyjął nóż, otworzył paszczę demona i zaczął oddzielać nim jeden z kłów

od dziąsła. – Szczątkowe kły jelenia, znajdujące się w górnej szczęce, które oprawia się w złocie lub srebrze i robi z nich biżuterię.

– Poważnie? – zdziwił się chłopak, przyglądając się poczynaniom Woźnicy.

Inni mężczyźni odwrócili głowy. Co innego strzelać do demonów, a co innego patrzeć, jak dwóch wariatów wyrywa im zęby.

Gdy kieł nie trzymał się już dziąseł, myśliwy kciukiem wyłamał go do środka paszczy wija.

– No i patrz, wyszedł cały, razem z korzeniem. – Podał zakrwawiony ząb Hubertowi.

– Super, dzięki! – Chłopak się ucieszył.

– Jesteś chory – powiedział Ernest, patrząc na niego z niesmakiem. Potem obaj zaciągnęli cielsko do dołu.

Michał wylał na trupy całą podpałkę, rzucił na nie trochę suchych liści oraz gałęzi. Po chwili z dołu buchnął ogień i czarny, cuchnący dym, osmalając kamienne ściany.

Mężczyźni odczekali, aż się wypali, pozostawiając poczerwiałe fragmenty kości i ciała, a później w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wrócili do domu.

– Co to w ogóle był za dół? – zapytał Hubert, kiedy usiedli w salonie.

Zuzia zrobiła wszystkim mocną, słodką herbatę.

– Może piwnica po jakimś starym domu? – odezwał się Michał.

– Chyba za wąskie na piwnicę – stwierdził Ernest.

– No ale kto by wykopał i wyłożył kamieniami taki dół w środku lasu? – drążył Hubert.

– To była strzelnica. – Woźnica pokivał głową, jakby potwierdzając własne słowa.

– Co? Jaka znowu strzelnica?

– Kiedyś w okolicy był niewielki dworek – wtrącił Albert. – Ale teraz nie został po nim nawet kamień na kamieniu, chociaż gdzieś w lesie ponoć jest jeszcze kawałek muru.

– Jak działała ta strzelnica? – zainteresował się Ernest.

– Natknąłem się na nią jako dzieciak – wyjaśnił Woźnica. – Łaziłem po lesie i wpadłem do środka. Wtedy byłem przekonany, że to ruiny dworku i że znajdę tam wielki skarb. Próbowałem wykopać z dołu ziemię, ale dotarłem jedynie do podłogi z kamieni, a nie miałem ani siły, ani ochoty, żeby ją zrywać. Z kolei kilkadziesiąt metrów dalej stał drewniany domek Ojciec mi kiedyś wyjaśnił, jak to działało. W dole siedział chłop i podnosił nad głowę atrapę dzika czy jelenia, a w budce czatował jaśnie pan z dworku i strzelał.

Wieczorem, kiedy leżeli już w łóżkach, Ernest zagadnął Huberta.

– Myślisz, że to rzeczywiście wszystkie wije?

– Całkiem możliwe – odparł przyjaciel.

– Ten las w okolicy to było ich terytorium?

– A skąd mogę wiedzieć? Pewnie tak.

– Więc skoro już nie będzie tych wjów, to czy nic innego nie przylezie, skoro miejsce się zwolniło?

Hubert zastanawiał się chwilę, patrząc na sufit.

– Brzmi sensownie – odparł w końcu. – Wiesz, w Świącinie ludzie traktowali demony jak no... jak demony. Nie zastanawiali się, co jest logiczne, a co nie. Po prostu demonów trzeba było unikać, a jak się nie dało, to je zabić. Nic o nich nie wiedzieli. A dzisiaj, kiedy zobaczyłem te

młode...

Chłopak zamilkł, gdy przed oczyma stanął mu obraz kilku chudych węzowych ciał.

– Uświadomiłeś sobie, że demony rozmnażają się jak zwykłe zwierzęta – zakończył Ernest.

– I bronią młodych jak one – dodał Hubert.

Nie pociągnęli tematu, bo zapadli w sen.



ROZDZIAŁ VIII

U Anieli schody do domu zaczęły się rozpadać – oznajmił chłopcom Albert pewnego leniwego późnowiosennego przedpołudnia. – Trzeba je naprawić.

– Ale chyba nie my? – obruszył się Ernest.

– A kto inny? Ja jestem zajęty, a poza tym od czego kowal ma szczypcę? – Hubert szczerze nie znoził tego powiedzenia, którego Albert używał za każdym razem, gdy kazał im coś zrobić. – No już, bo nasza biedna sąsiadka do domu nie może wejść.

– Bardzo biedna – mruknął chłopak.

– Do roboty, cement jest w szopie, i co tam jeszcze potrzebujecie. Tylko równo to zrobić.

Chcąc nie chcąc, musieli posłuchać.

Trzy schodki prowadzące do domu Janickiej rzeczywiście nie wyglądały najlepiej. Zaprawa już dawno temu się wykruszyła, a wszystkie kamienie się chwiały. Najpierw chłopcy musieli całkowicie rozebrać stopnie, a potem od nowa zbudować. Kiedy Hubert ostukiwał kamienie z resztek zaprawy, Ernest przyniósł w wiadrze piach i zaczął ręcznie mieszać go z wodą i cementem. Sama praca nie była ciężka, ale cały czas nadzorowała ich sąsiadka.

Kiedy skończyli, zaprosiła ich na obiad.

– Ziemiaki schowałam w pościeli, żeby nie wystygły – powiedziała, wchodząc do kuchni z garnkiem owiniętym ściereczkami. – A mięso przynieście z duchówką.

– Z czego? – zdziwił się Hubert.

Wymienił zaskoczone spojrzenie z Ernestem.

– Jak to z czego? – Pani Aniela wzniosła oczy do nieba. – Panie Boże, daj mi cierpliwość...
W pokoju w piecu kaflowym jest wnęka, która służy do chowania jedzenia, żeby nie ostygło.
– A, taka prehistoryczna mikrofalówka! – Huberta oświeciło.
Sąsiadka rzuciła w niego ścierką, ale zdążył się uchylić. Ernest przyniósł jedzenie.
Obiad nie był wyszukany, ale chłopcy byli tak głodni, że wcale im to nie przeszkadzało.
Wieczorem wybrali się na strzyżenie do Olgi Górskiej, która najsprawniej z całej wsi posługiwała się nożyczkami, choć nauczanie się tego zajęło jej trochę czasu.

Hubertowi znów zaczęło się nudzić w Dąbrówce. Ciągnęło go w świat, a przynajmniej do Koszalina. W jednostce zostało tyle skarbów. Można by nimi wypełnić do końca bunkier, część przywieźć do wsi, po drodze znaleźć jakiś supermarket i aptekę, by uzupełnić zapasy leków i jedzenia. Przez trzy dni musiał przekonywać Alberta i resztę starszyny, że potrzebują więcej zasobów, i w końcu udało się – dostali z Ernestem i Michałem pozwolenie na wyjazd.

Tym razem wiedzieli dokładnie, którą drogą najlepiej jechać i gdzie zatrzymać się na nocleg, więc podróż do Koszalina nie zajęła dużo czasu. Po drodze zajrzeli do knajpy, gdzie poznali Edka elektryka, ale po mężczyźnie nie było śladu.

– Pewnie się wyprowadził – uznał Michał. – Albo tubylcy przyjęli go z powrotem.

W garnizonie załadowali wóz po brzegi i wywieźli jego zawartość do bunkra. To samo zrobili kolejnego dnia, a trzeciego przejechali się po mieście i zrobili „zakupy”.

– Ja już mam dosyć – sapnął Ernest, siadając na skrzyni z karabinami.

– Ruszaj się, zaraz będzie padać i wszystko nam zmoknie – ponaglił go Hubert.

On też był zmęczony, ale musieli rozpakować wóz, ponieważ zbierało się na burzę. Niebo zasnuły ciemne chmury, zerwał się zimny wiatr, a co jakiś czas błyskało w oddali. Na szczęście kiedy na ziemię spadły pierwsze ciężkie krople, cały sprzęt był już bezpieczny w bunkrze. Przywiązali konie pod wiatą, a sami usiedli w schronie przy lampkach naftowych. Aby ochronić się przed przeciągami, musieli poupychać w szparach drzwi szmaty. Betonowy budynek okazał się koniec końców całkiem przytulny.

Zjedli kolację na zimno, pozawijali się w koce i usiedli na podgumowanych materacach zabranych z jednostki.

– Czy strzygi żyją w stadach albo parach? – zapytał nagle Ernest, mierząc wzrokiem Huberta.

– Nie wydaje mi się, a co?

– Tak się zastanawiam... Pamiętacie tę, którą tu zabilimy? Na razie nie ma śladu po jakiegokolwiek innej...

– No i co z tego? – Michał wzruszył ramionami.

– Jeżeli są samotnikami, to spokój, ale jeśli żyją w stadzie, jak na przykład wiję, dobrze byłoby o tym wiedzieć, nie sądzisz?

– Ma to sens. – Hubert pokiwał głową.

Przypomniał sobie, jak kiedyś zastrzelił mamunę. W gnieździe czekała na niego druga. Gdyby wtedy wiedział, że łączą się w pary... Odruchowo podrapał się po ramieniu, gdzie kiedyś powstała paskudna blizna. Teraz nie było po niej śladu, ale ręka w tym miejscu i tak swędziała. A może to nigdy się nie zdarzyło ani nie zdarzy? Zmienił bieg czasu, może wszystko teraz potoczy się inaczej? Zgadzą się tylko impuls, wojna i demony. Nie ma Świącina. Może jakimś cudem

wpłynął na los ludzi, którzy założyli osadę, i teraz już nigdy tego nie zrobią...

Ciemność przecięła błyskawica, nawet w bunkrze na ułamek sekundy zrobiło się jaśniej – nie zatkali szpar aż tak szczelnie. Chwilę później po niebie przetoczył się głośny, potężny grzmot, a deszcz lunął ze zdwojoną siłą.

– Mogę książkę? – zapytał Ernest, wyrywając Huberta z zadumy.

– Po co? – Chłopak wyjął z plecaka lekturę i podał koleędzie.

– Tak się kiedyś upierałeś, żeby ją zdobyć – wyjaśnił Ernest, przeczesując rudą czuprynę, i wyjął ze swojej torby ołówki – Nie sądzisz, że teraz dobrze byłoby ją uzupełnić nowymi informacjami o demonach?

– Nie jest to głupi pomysł. – Hubert pokiwał głową w zamyśleniu.

– Czyli tak.. – zaczął Ernest, przewracając kartki. – Strzygi polują i chyba mieszkają w pojedynkę. – Szybko zapisał tę notatkę na marginesie tuż obok hasła „strzyga”. – Wije łączą się w pary i mają młode. Kiedy to było? Hm... okres lęgu, dajmy na to, wczesna wiosna. Marzec? – Podniósł pytający wzrok na kolegów, którzy bez przekonania pokiwali głowami. – Dobra, co jeszcze? Można chyba założyć, że lubią chłód i mieszkają w dołach. O, tu jest napisane, że latają. Demony powietrza? Chyba raczej nie.

Wykreślił kawałek tekstu.

– Wiesz co, przy mamunie zapisz, że łączą się w pary, mają kędzierzawą rudą lub brązową sierść, są silne i paskudne. – Kiedy Hubert to mówił, jego wzrok na chwilę zaszedł mgłą. – Zamieszkują okolice akwenów, lubią jeziora i rzeki, mieszkają w zaroślach, a także w chłodnych pieczarach lub jaskiniach.

– Dobra, coś jeszcze? – zapytał Ernest, kiedy skończył pisać.

Hubert się wzdrygnął. Spotkał już kilka demonów, ale wciąż wiedział o nich tak mało, zbyt mało, żeby móc się przed nimi skutecznie bronić.

Wkrótce burza ustała, lecz deszcz wciąż zaciął o drzwi bunkra. Michał wyszedł na chwilę na zewnątrz, żeby sprawdzić, jak się mają konie.

– Następnym razem trzeba będzie pomyśleć o lepszej wiacie – powiedział po powrocie. – Ta, choć nadal chroni zwierzęta od deszczu, nie wygląda najlepiej po burzy. Jeszcze jedna, dwie takie wichury i odleci albo się złoży.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze miesiąc temu żaden z jego kolegów nie chciał nawet słyszeć o zatrzymywaniu się w tym miejscu, a teraz traktują bunkier jak magazyn i oczywiście miejsce na nocleg.

Rano wstali dość wcześnie. Trzeba było zapakować rzeczy, które mieli przewieźć do Dąbrówki. Poprzedniego wieczoru wszystko niedbale powrzucali do bunkra i teraz musieli to uporządkować. Zjedli śniadanie, nakarmili konie i przed południem wyruszyli.

Droga prezentowała się paskudnie – w niektórych miejscach były głębokie kałuże, a w innych woda wymyła piasek, pozostawiając wyrwy, na których wóz się zatrzymywał. Kilka razy musieli wypychać go z błota. Dopiero po południu, mokrzy od potu i brudni od szlamu, dotarli do asfaltowej drogi.

Ernest i Michał ruszyli przodem, żeby sprawdzić, czy po burzy szosa jest przejezdna. Hubert zaś, nie popędzając konia, spokojnie i powolutku jechał przed siebie. Pogoda była słoneczna, powietrze czyste, a wóz wypełniony fantami. Nic dziwnego, że chłopak miał bardzo dobry humor. Podśpiewywał cicho, a w przerwach żuł przeterminowany baton.

Nagle Mokła zastrzygła uszami, parsknęła cicho i zapatrzyła się w dal. Po chwili i do uszu Huberta dotarły jakieś odgłosy. Słyszał ludzi. Wiedział, że nie są to jego koledzy. Za górką byli obcy. Zeskoczył z koła i niedbale przywiązał lejce do krzaka przy drodze. Trzymając w rękach odbezpieczoną pepeszę, po cichu wspiął się na wzgórze.

Na drodze stało pięciu młodych mężczyzn, a pomiędzy nimi nastolatka, drobna blondynka, która usiłowała zaskończyć jakąś dziewczynkę. Tamci co chwila popychali blondynkę. Na poboczu leżał przewrócony rower i plecak, którego zawartość się rozsypała.

Hubertowi wystarczyła chwila, żeby zorientować się w sytuacji. Mężczyźni nie mieli broni. On tak więc ich przewaga liczebna była bez znaczenia. Zajęci szarpaniem dziewczyny zauważyli go, dopiero gdy stanął kilka metrów od nich. Niepewnie spojrzeli na karabin.

Hubert uśmiechnął się paskudnie.

– Ene due rabe – zaczął starą wyliczankę, którą pamiętał z dzieciństwa, nie miał pojęcia, dlaczego akurat w tej chwili przyszła mu do głowy. Z każdym słowem celował pepeszą w kolejnego mężczyznę. – Połknął Chińczyk żabę... Ale dlaczego Chińczyk? – zaciekawilo go nagle. – Co Chińczykma do żab?

Tamci spojrzeli po sobie niepewnie. Już sama broń sprawiła, że poczuli się zagrożeni, a do tego ten bełkot? Hubert nie zamierzał, co prawda, bez potrzeby strzelać do ludzi, ale oni przecież tego nie wiedzieli.

– A może to był bocian? – zastanawiał się na głos, nie spuszczać ich z celownika. – Chyba że Francuz, wtedy to miałyby sens... Ale zbaczam z tematu... Wynocha stąd! – wrzasnął tak niespodziewanie, że obcy w pierwszej chwili skulili się, a potem, nie odwracając się, powoli odeszli.

Dopiero gdy zniknęli za horyzontem, Hubert opuścił broń.

„Ha, szlachetny obrońca niewiast” – pomyślał.

Pewnym krokiem podszedł do uratowanych i już miał wyciągnąć rękę, żeby się z nimi przywitać, kiedy starsza szybkim ruchem wyjęła zza paska pistolet i wystrzeliła.

Hubert w ostatniej chwili się odchylił, lecz niespodziewanie zaczął się dusić, oczy go szczypały. Nic nie widział i nie mógł złapać oddechu. Przykłąkł na ziemi, usiłując przetrzeć dłońmi twarz, ale było tylko gorzej.

Był zdezorientowany. Usłyszał, że dziewczyna coś mówi, a potem odgłosy szarpaniny, najwyraźniej wpadła na Ernesta.

– Puszczaj! – krzyknęła.

– Uspokój się! Co mu zrobiłaś?

– To tylko pistolet gazowy! Zresztą i tak nie trafiłam.

Hubert usłyszał śmiech Michała. Nadal czuł nieznosne pieczenie, z oczu ciurkiem płynęły mu łzy, ale był już w stanie oddychać.

– Masz, przeżyj twarz. – Rozweselony Michał podał mu butelkę z wodą.

– Bardzo śmieszne, cholera! – wysyczał.

„Obrońca niewiast, też coś, nigdy więcej” – obiecywał sobie w duchu.

– Co tu w ogóle się stało? – zapytał żołnierz.

– Chciałem je uratować – powiedział ponuro Hubert. – I tak mi się odwzięczyły.

W końcu zdołał otworzyć załzawione oczy. Świat był zamazany. Roześmiany Michał stał na środku drogi obok Ernesta, który trzymał w ręce ten przeklęty pistolet gazowy. Patrzyły na nich

dwie dziewczyny. Młodsza, z ręką na temblaku, wyglądała na nieco przestraszoną, a starsza miała naburmuszoną minę.

– Nie musiałaś tego robić – mruknął Hubert z wyrzutem.

– Wyglądałeś jeszcze groźniej niż tam ci, czego się spodziewałeś? – odburknęła.

– Co wy w ogóle robicie we dwie na takim odludziu? – zapytał Ernest.

– Nie twoja sprawa. – Dziewczyna zaczęła szybkimi i niedbałymi ruchami pakować rozrzucone rzeczy do plecaka.

– Moja, odkąd chciałaś zastrzelić mojego kolegę.

– Daj im spokój, niech idą sobie w cholerę! – Hubert mierzył nieznajome niechętnym wzrokiem.

– Dziewczyna cię rozłożyła – szepnęła mu złośliwie do ucha Michał.

– Goń się. – Hubert go odepchnął. – Poszedłbyś lepiej po wóz, stoi za górką.

– Idziemy – zdecydowała starsza dziewczyna i pociągnęła za rękę młodszą.

– Poczekaj! – zawołał za nią Ernest. – Zmierzamy w tym samym kierunku, a ona nie wygląda za dobrze. – Wskazała na małą, która rzeczywiście wydawała się blada i wyczerpana.

Dziewczyna przy stanęła.

– Mamy wóz, możecie pojechać – zachęcał Ernest.

– Jeszcze czego – burknął Hubert.

Dziewczyna, nie więcej niż dziesięcioletnia, spojrzała prosząco na towarzyszkę.

– No dobra – zgodziła się tamta.

– I jeszcze łaskę nam robi – marudził Hubert.

Na wzgórzu pojawił się Michał prowadzący Mokkę z wozem.

– Jestem Ernest. – Chłopak wyciągnął rękę do dziewczyny. – Ten to Hubert, a tamten Michał.

– Sylwia. – Blondynka po chwili wahania uściśniła jego dłoń. – Moja siostra Ada. – Wskazała na dziewczynkę.

Starsza podsadziła siostrę na wóz, obok niej rzuciła swój plecak, a sama zajęła miejsce na koźle. Hubert, który wciąż miał zaczerwienione oczy, usadowił się obok niej. Michał i Ernest wsiedli na swoje konie.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. W końcu Sylwia nie wytrzymała.

– To dokąd podróżujecie? – zapytała jadącego tuż obok wozu Ernesta.

– Do Dąbrówki – odparł. – To taka wioska. Dziś tam nie dotrzemy, ale po drodze jest opuszczone miasteczko, w którym zawsze się zatrzymujemy. A wy dokąd zmierzacie?

– Do Gdańska.

– A co jest takiego ciekawego w Gdańsku? – zainteresował się Hubert.

– Nasza rodzina.

Przed wieczorem dojechali do wsi i zatrzymali się w tym samym domu co zwykle. Hubert rozpałił ogień w ogródku, a jego koledzy zajęli się końmi. Sylwia usiadła przy ognisku i zaczęła przetrząsać swój plecak, Ada przycupnęła obok niej.

Hubert po obu stronach ogniska wbił w ziemię dwa rozwidlone patyki, a na nich położył trzeci, na którym zawiesił pętko kiełbasy. Obie dziewczyny spojrzały na nie łakomie.

– Od dawna jesteście w drodze? – zagadnął.

– Od tygodnia – odparła Sylwia, odwracając wzrok od jedzenia. – Dałoby się krócej, ale

wolałyśmy jechać bocznymi drogami.

– A tobie co się stało? – zapytał Adę, patrząc na nią podejrzliwie. Trzymała się za rękę, która wyglądała na bezwładną.

– Spadłam wczoraj z roweru.

– Podejrzewam, że może być złamana – dodała Sylwia cicho.

Wkrótce dołączyli do nich Ernest i Michał. Przynieśli z domu kubki, talerze, rozpakowali chleb, wstawili wodę na herbatę.

– W Dąbrówce mamy pielęgniarkę – odezwał się Ernest, kiedy czekali, aż woda się zagotuje. –

Może wam pomóc, nastawi tę rękę czy co tam trzeba, a nie zboczyłybyście dużo z drogi.

Sylwia się zawahała. Byli przecież obcy.

– Nie wiem...

– No przecież was nie zjemy – mruknął Hubert.

– A piechotą w takim stanie za daleko i tak nie dojdziecie – dodał Michał.

– Chyba macie rację – poddała się w końcu.

Woda w garnku zaczęła bulgotać, więc Hubert zaparzył herbatę. Jedzenie podzielili po równo między nich i dziewczyny.

– Dzięki – powiedziała Sylwia, wgrzyzając się w kielbasę. – Od dawna nie jadłyśmy już nic świeżego. Same konserwy i inne rzeczy, które znalazłyśmy w opuszczonych domach.

Hubert przypomniał sobie, jak kiedyś, w innym życiu, w podróży miał tylko suchary wojskowe, a potem Henryk poczęstował go prawdziwym posiłkiem. Z westchnieniem spojrzął na swój kawałek kielbasy, na Adę, która już dawno temu pochłonęła swoją część, i znów na kielbasę. Przełamał ją i podał połowę dziewczynce. Zjadła prawie bez przeżuwania. Chłopak pustkę w żołądku postanowił zapełnić chlebem. Położył się na ziemi, opierając głowę o pień, i zaczął skubać palcami dużą kromkę.

– Przepraszam, że cię tak potraktowałam – odezwała się nagle Sylwia.

– Spokó, nie ty jedna.

– Ale nie wiedziałam, kim jesteś – kontynuowała. – Masz na sobie mundur, wystraszyłam się...

– Co masz do munduru? – zdziwił się.

– Spotykałyśmy już żołnierzy – powiedziała cicho. – I nigdy nie były to miłe spotkania.

– Przekłęci dezerterzy – mruknął ze złością Michał.

– Sam jesteś dezerterem – przypomniał mu Ernest.

– Ale z konieczności – odgryzł się.

Hubert skończył jeść chleb i podniósł się na łokciach. Słońce jakiś czas wcześniej schowało się za drzewami, a wieś została ogarnięta wieczorną szarówką.

– Sprawdzę okolicę – powiedział, wstając leniwie.

Przez ramię przewiesił pepesę i ruszył na obchód. Nie miał zamiaru odchodzić daleko, ale wolał się upewnić, że w okolicy nie ma żadnych demonów. Usiadł na kamieniu przy drodze, jakieś dwieście metrów od domu, gdzie nocowali. Zamknął oczy. Drzewa szumiały cicho, odzywały się jeszcze ptaki, gdzieś w oddali zaszczekał pies. Świat nigdy zupełnie nie młkł, chyba że w okolicy czaiły się potwory. Przed wojną jednak rozbrzmiewały zupełnie inne głosy – zgiełk uliczny, krzyki, gwar. Teraz łatwo się było skupić, skoncentrować na tym niezwykłym odczuciu, jakie pojawiała się w obecności demona. Hubert nie miał pojęcia, z jakiej odległości potrafi

wyczuć bestie. Wyglądało na to, że na mniej niż kilometr. Podejrzewał, że Zuza ma większe możliwości.

Przeszedł się wzdłuż całej wsi, a potem wrócił do ogniska.

– Czysto – powiedział, widząc pytający wzrok kolegów.

– Gdyby byli tu jacyś ludzie, to chyba byśmy już dawno o tym wiedzieli, prawda? – odezwała się Sylwia.

– Nie szukałem ludzi.

– A czego?

– Demonów.

Dziewczyna spojrzała podejrzliwie na niego, potem na pozostałych.

– Chyba żartujesz – powiedziała. – Nie mówcie, że w coś takiego wierzycie.

– Nie wierzymy w demony – odparł Ernest. – My wiemy, że one istnieją.

– Przecież to bzdury, które powtarzają ludzie, jak się czegoś wystraszą.

Hubert zaśmiał się pod nosem. Wyjął z kieszeni ząb wija i jej rzucił.

Ada szerzej otworzyła oczy.

– No i czego to niby dowodzi? To wygląda jak ząb dużego psa. – Sylwia spoglądała na nich sceptycznie.

– To jest ząb wija – oświecił ją Ernest.

– Boże, wy jeszcze nadajecie im nazwy!

– Ale one naprawdę się tak nazywają – zachnął się Ernest. – Wyglądają jak wielkie węże, mają tylko dwie łapy...

– Nie strasz mi siostry z łaski swojej – zganiała go Sylwia.

– Ja się wcale nie boję! – oznajmiła Ada.

– Dajcie spokój. – Hubert machnął ręką. – Pewnie mieszkaliście w mieście, co? – Nie zaprzeczyły, więc mówił dalej. – Tam demonów nie ma. Jeszcze. A jak jakieś w końcu zobaczycie, to uwierzycie. O ile przeżyjecie. W ogóle dziwię się, że bezpiecznie udało wam się dotrzeć tak daleko samym.

– Potrafimy o siebie zadbać – mruknęła Sylwia, oddając mu ząb.

„Właśnie widzę” – chciał powiedzieć, ale ugryzł się w język

Kiedy zapadł zmrok, przenieśli się do domu i poszli spać. Sylwia i Ada zajęły jedną z sypialni na piętrze i zabarykadowały drzwi. Huberta średnio to obeszło. Sobie nie miał nic do zarzucenia, uratował je przed bandą facetów, którzy najwyraźniej uważali, że skoro świat się skończył, to mogą robić wszystko, co chcą; zaferowali im pomoc i bezpieczną przystań w Dąbrówce. Ich problem, że wciąż im nie ufały...

Ranek wstał deszczowy i pochmurny. Paskudna pogoda do podróżowania, ale do domu było już blisko, więc zebrali się dość szybko. Nikt nie miał ochoty na rozmowy w drodze. Michał i Ernest siedzieli przy garbieni w siodłach, podobnie jak Hubert na koźle i dziewczyny na wozie, przykryte nieprzemakalną płachtą, którą znalazły w któryś z opuszczonych domów.

Do Dąbrówki zajechali późnym popołudniem. Do tego czasu deszcz tylko się nasilił, więc nikt nie wyszedł im na powitanie. Wóz zostawili w stodole Alberta, a konie zaprowadzili do stajni, gdzie je wyczyścili i nakarmili.

– Wam to się nigdy nie spieszy – powiedział na powitanie Albert, gdy weszli do domu. – Hmm, mieliście być tylko na zakupach – dodał, zauważywszy Sylwię i Adę.

– Dziewczyny potrzebują miejsca, żeby przez kilka dni odpocząć – odezwał się Ernest. Starszy pan skinął głową.

– Idźcie się przebrać w coś suchego, Zuzia odgrzewa wam obiad – powiedział Daniel.

Ernest zaprowadził Sylwię i Adę do wolnego pokoju, a sam pobiegł po panią Irenę.

Hubert z kolei przebrał się najszybciej, jak mógł, i zbiegł do kuchni. Okropnie burczało mu w brzuchu i potrafił myśleć jedynie o ciepłej kiełbasie z ogniska, którą poprzedniego dnia tak pochopnie oddał Adzie.

– Co na obiad? – zapytał, zaglądając do garnków stojących na kuchni kafłowej, którą zbudował Albert wraz z Borowskim.

– Gulasz – odpowiedziała Zuzia. – Jak pomożesz mi obierać ziemniaki, to będzie szybciej.

– Wiedziałem – mruknął niezadowolony. Ukroił kawałek chleba oraz suchej kiełbasy i zjadł je w kilku gryzach, a potem usiadł przy stole obok dziewczyny i zabrał się do obierania ziemniaków.

– Co się działo w domu w czasie naszej nieobecności? – zagadnął.

– Nic ciekawego. – Zuzia wruszyła ramionami i zaczęła coś niezrozumiale nucić pod nosem.

– Jakiś nowe demony? – rzucił żartobliwie, ale dziewczynka niespodziewanie podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy tak przenikliwie, że się wzdygnął. – Nie mów, że coś widziałaś. Przecież niedawno zabiłszy wiję, nic nowego nie mogło tak szybko się tu sprowadzić.

– Nic nie widziałam.

– Ale wy czułaś?

Zuzia odwróciła wzrok.

– Nie jestem pewna – szepnęła.

– Szlag by to trafił – mruknął Hubert. – Powinno być ich jeszcze mało, powinny być słabe i bać się ludzi. Co je, do cholery, ciągnie w okolice Dąbrówki?

Dziewczyna wruszyła ramionami i wróciła do obierania ziemniaków. Hubert wiedział, że już nic więcej z niej nie wyciągnie. Znów wpadła w ten swój dziwny stan odrętwienia, a wtedy zdawała się nikogo nie widzieć ani nie słyszeć.

Zanim posiłek był gotowy, pani Irena nastawiła rękę Ady i założyła gips. Sylwia chodziła krok w krok za pielęgniarką i ciągle dziękowała za pomoc.

Michał wpadł na obiad, a potem wykręcił się, że jest zmęczony, i wrócił do siebie.

Wieczorem wszyscy usiedli w dużym pokoju i musieli zdać Albertowi szczegółową relację z podróży. Spać poszli dość wcześnie. Hubert nawet nie pamiętał, kiedy zasnął, w jednej chwili kładł się po ciemku do czystego i miękkiego łóżka, a w drugiej poraziło go w oczy poranne słońce i obudziły odgłosy przygotowań do śniadania. Zerknął na zegarek. Ósma rano.

Ojciec czytał w fotelu w dużym pokoju, a pozostali siedzieli w kuchni.

– Dzień dobry, królowo – powiedział na widok Huberta Ernest.

– Spadaj.

– Ty dzisiaj sprzątasz po śniadaniu – oznajmił przyjaciel.

– Na pewno.

– My już zjedliśmy.

– Cholera.

Albert właśnie włożył gumofilce i wyszedł na podwórko, Zuza siedziała przy oknie, a siostry dopijały herbatę.

„Swoją drogą, to ta Sylwia całkiem nieźle dziś wygląda – ocenił Hubert w myślach. – Najwyraźniej kąpiel, czyste ubrania i noc w bezpiecznym miejscu zdziałały cuda”.

Przeniósł wzrok na Adę. Dziewczynka miała włosy w nieładzie i wygnieciony sweterek. Zauważywszy, że chłopak jej się przygląda, wystawiła język.

Hubert zignorował to.

– Podpisał ci się już ktoś na gipsie? – zapytał Adę jak gdyby nigdy nic, szykując sobie śniadanie.

– Nie.

– No jak to? Przecież wszyscy twoi znajomi muszą się podpisać, żeby ręka szybciej się zrosła.

– Nie mam znajomych – mruknęła dziewczynka. – Mam tylko Sylwię.

– No jak to nie? – powiedział Hubert. Żał mu się zrobiło dziewczyn. – Zaraz, zaraz... – Rozejrzał się po kuchni. – Zuza, mamy jakieś mazaki?

Jednak siostra Ernesta nawet nie drgnęła, wciąż siedziała na krześle z kolanami pod brodą i wpatrywała się w okno.

„Zupełnie jakby sprawdzała, czy w okolicy nie ma demonów – przemknęło przez myśl Hubertowi. – A jeżeli rzeczywiście ma taki zasięg? Na całą wieś i okolicę?”.

Na razie postanowił nie roztrząsać tej kwestii. Powtórzył za to pytanie:

– Zuza, gdzie są mazaki?

Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

– Wiesz, łęgo boją się dzicy ludzie? – zapytała.

Popatrzył na nią zmieszany.

– Sprawdź w moim pokoju – odpowiedziała w końcu, odwracając się do okna.

Hubert wyszedł z kuchni, lecz nie uszło jego uwagi, że Sylwia i Ada zerknęły na siebie niepewnie.

„Znalazły się w domu wariatów – pomyślał ironicznie. – Ja też bym się bał”.

Wrócił z opakowaniem mazaków i koślawymi literkami napisał na gipsie Ady swoje imię. To samo zrobili Ernest i Sylwia.

– Narysuj mi coś – poprosiła Ada Huberta.

– Nie jestem w tym najlepszy. – Chłopak skrzywił się komicznie.

– Chcę jednoróżca.

– Poważnie? – Wytrzeszczył oczy. – No dobra.

Zabrał się do dzieła i już po kilku minutach z zadowoleniem przyjrzał się rysunkowi.

– Ładna żyrafa – podsumował Ernest.

– Nie znasz się – odburknął.

Po śniadaniu Sylwia uparła się, że posprząta, gdyż uznała, że choć w ten sposób może się odwdziżyć za gościnę, a chłopcy poszli wypakować wóz. Część przywiezionych rzeczy zanieśli do piwnicy, część rozdali sąsiadom, a reszta powędrowała do magazynu w pustym domu.

Kolejne dni nie obfitowały w jakiegokolwiek ciekawe wydarzenia, no może oprócz tego, że schody u Anieli Janickiej, wyremontowane przez Ernesta i Huberta, się zawałyły. Na szczęście nie pod starszą panią, a pod Górskim, który wnosił jej do domu wiadro z wodą do mycia. Mężczyzna nie

zrobił sobie nic poważniejszego, ale nieźle się poobijał i obu chłopcom oberwało się za fuszerkę. Oczywiście musieli całe schody robić od nowa i to pod czujnym okiem Alberta. Tym razem praca zajęła im trzy razy więcej czasu niż poprzednio.

Później wszyscy, łącznie z Sylwią, zostali zagonieni do pielenia ogródka.

– Boże, jak ja tego nie znoszę – narzekał Hubert.

Bolaw go już nogi od ciągłego kłęczenia na ziemi. A do tego był przekonany, że pielenie to babska praca i mężczyźni zupełnie się do niej nie nadają.

– Jak coś jest nudne i nie wiąże się z narażaniem życia, to tobie od razu się nie podoba – kpił Ernest.

– Oczywiście, że nie. A niby dlaczego miałyby mi się podobać?

– Jesteś okropny – skwitowała Sylwia.

Nagle Zuzia, która pielila kilka grządek dalej, podniosła się, otrzepała ręce i nie zwracając uwagi na pozostałych, wyszła z ogrodu.

– A jej co? – zapytał Hubert.

– Może się znudziła. – Ernest wzruszył ramionami.

– Czy ona jest...? – zaczęła Sylwia, patrząc na oddalającą się dziewczynkę, ale spieszyła się i nie dokończyła pytania.

Ernest spuścił wzrok

– Nienormalna? – powiedział lekko Hubert. – Nie, tylko czasem ma niewielkie odchyły, zamyśla się, jakby była gdzie indziej. Ale poza tym jest w porządku.

– Z waszej dwójki to ja nie wiem, kto ma większe odchyły – mruknął Ernest, na co Hubert wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Sylwia wolała nie wnikać w to, kto z nich jest przy zdrowych zmysłach.

Na kilka minut Hubertowi udało się zapomnieć o tym, jak bardzo nie znosi pielenia, ale potem znów zaczęło mu się nudzić.

– Chce ktoś coś do picia? – zapytał. – Pójdę do piwnicy po jakiś zimny sok, co?

Najwyraźniej wszyscy byli spragnieni, bo nikt nie zaprotestował.

– To idę.

– Tylko nigdzie się nie zasiedź! – krzyknął za nim Ernest.

Ale Hubert nie zamierzał tak szybko rezygnować z chwili odpoczynku. Nie wiadomo, kiedy znów znajdzie dobry pretekst. Dlatego wolnym krokiem poszedł do domu, z piwnicy wyjął butelkę soku, ale zamiast wracać od razu do ogródka, usiadł w kuchni. Napełnił szklanek, wyciągnął nogi przed siebie i oparł je na krześle, delektując się spokojem, a po kilkunastu minutach, najwolniej jak tylko mógł, wziął kilka kubków, butelkę i skierował się do wyjścia.

W drzwiach zderzył się z Zuzią. Już chciał coś powiedzieć, kiedy spojrzał jej w twarz. Dziewczynka była zdyszana i blada, a w jej oczach pojawiły się iskielki. W tej chwili na pewno nie wyglądała jak ktoś przy zdrowych zmysłach.

– Coś się dzieje – sapnęła.

Coś w jej spojrzeniu kazało mu potraktować dziewczynkę poważnie.

– Gdzie? – zapytał.

– Tam, na polu. – Machnęła ręką za siebie.

Sam nic nie wyczuł, jednak natychmiast odstawił na szafkę kubki, sok i jednym szybkim ruchem zgarnął karabin, który zawsze stał przy drzwiach. Wypadł za Zuzią na podwórko.

– Tam. – Dziewczyna na wskazała kierunek

Hubert zerwał się do biegu. Górcy spojrzeli na niego podejrzliwie, gdy mijał ich dom.

Wszyscy mogli uważać Zuzię za wariatkę, ale on wiedział, że jeśli chodzi o demony, to dziewczyna wyczuwa je jak nikt inny.

Szybko wybiegł ze wsi, a jego oczom ukazało się lekko falujące na wietrze, jeszcze zielone zboże. Wtem zobaczył Sylwestra Berdę, który stał na środku pola i wymachiwał kijem.

Oszałał?!

Chłopak nagle poczuł obcą woń. Serce zabiło mu szybciej. Gdy od Sylwestra dzieliło go tylko kilkanaście metrów, zwolnił i przyłożył do ramienia karabin gotowy do strzału. Wtem usłyszał głucho warczenie.

– To dzikie psy – szepnęła na widok burego kundla, który sięgał mu tylko trochę powyżej kolan.

Ale przecież dzikie psy nie atakowały ludzi, gdy nie były na swoim terenie.

Zobaczył, że w zbożu czai się co najmniej sześć zwierząt. Coraz ciasniejszym kręgiem otaczały Berdę. Warczały głucho, ukazując zęby, poruszały się nerwowo, na nisko ugiętych łapach.

Hubert oddał trzy strzały w niebo. Zazwyczaj to wystarczało, żeby rozgonić dzikie psy. Jednak te się nie spłoszyły. Wręcz przeciwnie, zwróciły uwagę na chłopaka. Dwa z nich, połączając łby, obróciły się w jego stronę.

– Cholera, to nie są psy – jęknął.

Spojrzał w czarne ślepia, takie, których nie mógł mieć żaden normalny pies. Spróbował uspokoić oddech i serce. Stwory otaczała aura niepozostawiająca wątpliwości co do ich natury.

Hubert pociągnął za spust. Jeden demon padł martwy, drugi odskoczył.

„Szybkie są, ale niewystarczająco” – pomyślał chłopaki znów wystrzelił.

Dzik skowyt upewnił go, że nie spudłował.

Pozostałe cztery stwory, wciąż warcząc, odsunęły się od ludzi.

– Uważaj!!! Z tyłu! – wrzasnął Sylwester.

Hubert w ostatniej chwili obrócił się i strzelił do demona, który właśnie wyskoczył w jego stronę. Stwór padł martwy na ziemię tuż pod jego stopami.

Pozostałe, biegnąc nisko przy ziemi, popędziły do lasu.

– Nie zauważyłem tego siódmego – powiedział Hubert, patrząc na trupa. – Dzięki.

Blady Berda oparł się na swoim kiju i skinął głową.

– To gonimy je. – Chłopak opuścił karabin i ruszył przez pole w kierunku drzew.

– Zwariowałeś?! – Sylwester złapał go za łokieć i zatrzymał.

– Doprowadzą nas do swojej nory! – Hubert próbował wyrwać się z uścisku.

– A jak jest ich więcej?! Nie możesz sam tam biec tylko z jednym karabinem!

– Ale je zgubimy!

– Trzeba skrzyknąć kilku mężczyzn, zagryzą cię samego – tłumaczył już spokojniej Sylwester, wciąż trzymając chłopaka za łokieć.

– No dobra – mruknął.

– Chodź do wsi.

Hubert westchnął ciężko i powlókł się za mężczyzną.

– Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie jestem? – zapytał nagle Berda.

– Miałem przecucie.

– Cokolwiek to było, dzięki. Z tym kijem raczej nie miałem szans.

– Spoko.

Nie zdążyli nawet dojść do wioski, gdy naprzeciw wybiegł im Albert z karabinem.

– Co się stało?

– Po naszym polu ganiają demoniczne psy – powiedział Hubert.

Starszy mężczyzna spojrzął na Sylwestra.

– To prawda. – Ten pokiwał głową.

– Trzy zastrzeliłem, reszta uciekła. Trzeba je wytropić!

Albert skinął głową.

– Leć po Woźnicę, Górskiego, młodego Borowskiego i Michała, a ty – zwrócił się do Sylwestra – pokaż mi te psy.

Hubert chciał się sprzeciwić. Niby dlaczego on zawsze ma być chłopcem na posyłki? Jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie był to czas na kłótnie, jeśli chcieli odnaleźć resztę stada.

Jak tylko wpadł do wsi, na drodze natknął się na pięciu mężczyzn z bronią. Wszyscy słyszeli strzały i byli gotowi do stawienia czoła dowolnemu przeciwnikowi – demonom albo ludziom, bez znaczenia.

– Co jest? – zapytał Woźnica.

– Berdę na polu zaatakowały demony – wyjaśnił krótko. – Wyglądały jak psy. Cztery uciekły, trzeba się pospieszyć, żeby je znaleźć.

– Dobrze. – Myśliwy pokiwał głową. – Idziemy, a ty zostajesz. Powiedz pozostałym, co się stało, ostrzeż ich, żeby uważali.

– Ale... – zaczął Hubert.

– Już!

Chłopak stanął na drodze, z zalem opuścił broń. Kiedy mężczyźni go mijali, Michał poklepał go współczująco po ramieniu.

– No, co za... – zaczął Hubert, ale nie znalazł słów. Był wściekły na Alberta i pozostałych, że tak go potraktowali. Przecież zabił już trzy psy! Nikt inny! A teraz kazali mu przy pilnować kobiet. Wiedział, że ktoś musi zostać, ale dlaczego akurat on? Przecież wiedział najwięcej o demonach! A jeszcze rok temu nikt mu nawet nie wierzył, że one istnieją!

Ze złością kopnął kamień leżący na drodze i poszedł do wsi powiadomić ludzi, co się dzieje. Dołączył do niego Ernest.

– Potraktowali mnie po chamsku – utyskiwał Hubert.

– Trochę. – Przyjaciel pokiwał głową. – Ale może ich nie znajda.

– A wiesz, że należałoby im się. Tylko że potem te psy mogłyby znów zaatakować... Do dupy z tym wszystkim.

Wrócili do domu. Zuzia i Sylwia z Adą siedziały w kuchni.

– Co się dzieje? – zapytała Sylwia, wstając z krzesła. Wyglądała na zaniepokojoną.

– Jakies demony zaatakowały Berdę na polu – rzucił Ernest, siadając za stołem.

– Jakies znowu demony?! – jęknęła dziewczyna. – One przeciez nie istnieją.

– A jednak – mruknął Hubert.

– Wy wszyscy w to wierzy cie... – Dziewczyna pokręciła głową.

Ada nic nie mówiła, z rozdziawionymi ustami patrzyła tylko to na siostrę, to na resztę towarzystwa.

Zuzia siedziała na swoim miejscu przy oknie i nie zwracała na nikogo uwagi. Hubert podszedł do niej i potrząsnął ją za ramię.

– Zuza, mogę cię prosić na chwilę? – zapytał cicho.

Przez kilka sekund dziewczyna wciąż wpatrywała się w okno i ani drgnęła, a potem gwałtownie odwróciła głowę w stronę chłopaka i spojrzała na niego, aż przeszedł go dreszcz.

– Dobrze.

Ernest i Sylwia kłócili się o to, czy demony istnieją, a Ada się im przysłuchiwała, więc nikt nie zauważył, jak we dwoje opuścili kuchnię.

– I co? – zapytał Hubert, kiedy weszli do pokoju.

Zuzia pokręciła głową.

– Czyli...?

– Odeszły – powiedziała.

– Jak daleko?

– Daleko. Przestraszyły się.

– A wrócą?

– Może. – Odwróciła wzrok i zaczęła wpatrywać się w okno.

– Cholera.

– Coś je tu ciągnie.

– Ale co?

– Pomyśl.

– Skąd mogę wiedzieć? – zełzocił się. – Po cholerę w ogóle wyłażą z lasów? Tyle ludzi zginęło, powstało tyle wolnej przestrzeni dla zwierząt i demonów, nie mogą się dogadać i jakoś podzielić tymi terenami? Nie mogą siedzieć tam, gdzie nie ma ludzi?

– Dobre pytanie – powiedział Ernest, stając w progu pokoju. – Czytając demonologię, odniosłem wrażenie, że demony po prostu ciągnie do ludzi. Jakby bez ludzi nie było demonów.

– Bzdury gadasz – mruknął Hubert. – Jeśli tak by było, to prędkiej pojawiłyby się w miastach, a nie w takiej Dąbrówce, gdzie jest zaledwie dwudziestu mieszkańców.

– Wiesz, dwa rodzaje demonów to jeszcze nie plaga.

– Właśnie że plaga. Zobacz na Sylwię i Adę, one w nie w ogóle nie wierzą. Tam, skąd pochodzą, nie pojawiły się jeszcze żadne demony. A u nas? Całymi stadami. Powinny się nas bać, jak tamta strzyga! W innych miejscach jeszcze za siedem lat będą stanowiły nowe i nieznane zjawisko!

– Hubert, nie obraż się, bo często to, co mówisz, ma sens i jest naprawdę pomocne, ale... cóż, nie możesz brać za pewnik tego, co ci się śniło...

Hubert zacisnął pięści, wezbrała w nim złość. Jak Ernest mógł powiedzieć coś takiego?

– Przepraszam. – Przyjacielowi zrobiło się głupio, gdy zobaczył minę Huberta. – Nie chciałem.

Hubert mocno zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć czegoś, czego później mógłby żałować. Najchętniej przyłożyłby Ernestowi.

Dwa lata wcześniej miał wspaniały plan, jak uratować rodzinę, przyjaciół i wyprowadzić się do Świącina. A potem wszystko zaczęło iść nie tak. Nie wiedział już, co robić, czuł się zagubiony i wściekły. Zobaczył własną przyszłość, a teraz ona wcale nie toczyła się tak, jak powinna. Ludzie wokół ginęli. Stracił nawet matkę...

- Co za beznadzieja – mruknął i opadł na fotel, czując falę zalewającego go żalu i rozgoryczenia. Nie miał już na nic ochoty.

- Kojarzysz jakieś demoniczne psy z demonologii? – zapytał Ernest.

Hubert wysilił pamięć, ale nic nie przyszło mu do głowy.

Ernest poszedł więc do sypialni po książkę, a kiedy wrócił, w salonie siedziały też Sylwia i Ada.

- Gdzie szukać? Pod hasłem „pies” nic nie ma. – Ernest zagryzł wargi.

- Może ogar piekielny? – zaproponowała złośliwie Sylwia.

- To wyglądało jak zwykły kundel, nie jak ogar z piekła rodem – burknął Hubert, nie komentując jej uszczypliwości. – Wydaje mi się, że czemuś towarzyszyła sfora psów, ale nie pamiętam, co to było.

- Pies, psy, sfora... – mamrotał Ernest.

Przez dobre piętnaście minut zapamiętałe kartkował książkę. Minęły dopiero dwa lata, odkąd ukradli ją z biblioteki, a już wyglądała tak mizernie. Okładka się powyginała, a rogi zaokrągliły od częstego czytania i przeglądania. W wielu miejscach Hubert czy Ernest nabazgrali coś ołówkiem na marginesie. Kartki po bokach były brudne, raz czy dwa musiały zamoknąć w plecaku.

„Trzeba będzie ją kiedyś przepisać” – przemknęło Hubertowi przez myśl. Łatwo zapomnieć to, czego się nauczyła, a książkę nietrudno zgubić lub zniszczyć.

- Mam! – wykrzyknął nagle Ernest. – Południca wędrowała w towarzystwie swoich demonicznych psów! Rozrywały na strzępy dzieci przebywające na polach bez opieki!

- Berda to raczej nie dziecko – zwrócił mu uwagę Hubert.

- Poruszają się w stadach, grasują na polach, to się zgadza! A na zimę razem z południcą schodzą pod ziemię, gdzie zapadają w sen.

- Hm... rzeczywiście, tak było napisane, choć ja zawsze myślałem, że południca to...

- Ściema? – odpowiedział Ernest.

Hubert pokłwał głową.

- Wiesz, z całym tym zakazem przebywania na polu w południe, że zsyła na ludzi bóle głowy, słabość, że można się schronić przed nią w cieniu... Przecież to po prostu udar słoneczny. Dlatego odpuściłem sobie nauczenie się jej opisu.

- Może rzeczywiście południca to tylko udar słoneczny, ale wychodzi na to, że jej psy są jak najbardziej prawdziwe.

Pod wieczór do wsi wrócili mężczyźni. Niestety łowy były nieudane, ślady demonicznych psów po prostu urwały się gdzieś w lesie. Jedyne, co można było teraz zrobić, to zakazać ludziom wychodzenia w pojedynkę na pole i spalić ciała zabitych psów. Hubert z Ernestem uparli się, że to zrobią. Obaj chcieli jeszcze dokładniej im się przyjrzeć. Albert niechętnie na to przystał i wysłał z nimi Górskiego.

- Nie wyglądają jakoś szczególnie groźnie – orzekł Ernest, patrząc na ścierva.

- Żebyś widział te ich czarne ślepia – mruknął Hubert. – Od razu było widać, że to nie są zwykłe psy.

Chłopak pochylił się nad jedną z bestii, odgonił muchy i rozwarł pysk.

- Dlaczego ma taki czarny język? – Ernest się skrzywił.

- Może to jakiś pośmiertny objaw...

- Z tego co wiem, języki sinieją, a nie czernieją.

- Może byście się tak pospieszyli? – powiedział podenerwowany Górski. – To nie jest lekcja

biologii.

– Zależy dla kogo – mruknął pod nosem Hubert, skrobiąc kiel nożem, żeby oddzielić go od dziaśła.

– To twoje hobby jest obrzydliwe – skwitował Ernest.

– Niektórzy zbierają znaczki, a inni suszone motyle, co jest takiego złego w zębach? – Kciukiem wyłamał kiel. – Kiedyś zrobię sobie z nich naszyjnik

– Właśnie, obrzydliwe.

Każdy chwycił jednego psa za łapy i razem zaciągnęli je na łąkę. Tam polali truchła podpałką do grilla i podpalili. Smród był okropny, ale zostali pilnować ognia, żeby nie rozszedł się po całej polanie.

– Powinniśmy wykopać dół do palenia demonów – stwierdził Hubert, gdy po psach został tylko popiół wymieszany z kośćmi i kawałkami zwęglonego mięsa.

– Nie byłoby głupie. – Górski pokiwał głową.

Kiedy wrócili do domu, obaj chłopcy potrzebowali porządnej kąpieli. Trzeba było nanosić wody ze studni, podgrzać ją w garach na kuchni i dopiero wtedy nalać do miski w łazience. Ernest beczelnie wcisnął się pierwszy i minęła ponad godzina, zanim Hubert mógł się umyć. Ale porozmawiał w tym czasie z Albertem o wykopaniu dołu poza wsią, w którym można by palić martwe demony.

– Jutro pokażę ci miejsce – skwitował starszy pan.

– Ale ja? – zdziwił się Hubert.

– A kto inny? Od czego kowal...

– ...ma szczytce – dokończył ze zniechęceniem Hubert.

– Ernest ci pomoże.

– No ekstra – mruknął chłopak. Ale wolał kopać dół, niż pielic w ogródku.

Następnego dnia Albert zabrał Huberta i Ernesta za wieś i poinstruował, gdzie będzie miejsce do palenia zwłok

– Cześć! – Ada wpadła do szopy.

– Hej, co tam? – zapytał Hubert.

– Nudzę się – poskarżyła się.

– A gdzie masz siostrę?

– Poszła gdzieś z Ernestem. – Dziewczynka wydeła wargi.

– Z Ernestem? – zdziwił się Hubert.

Ostatnio miał wrażenie, że kumpel spędza dużo czasu z Sylwią. Zdedydowanie zbyt dużo.

– Co robisz? – zapytała Ada, wyrywając go z zamyślenia.

– Ziemiaki gotuję – odparł, wsypując kartofle do parownika.

– A po co?

– Dla zwierząt.

– A nie można ich gotować w domu?

– A chciałabyś taką ilość gotować w domu, szczególnie gdy jest tak ciepło?

Dziewczynka pokiwała głową, przyglądając się z ciekawością wielkiemu kotłowi. Hubert sam kiedyś nie słyszał o takim urządzeniu, zresztą nigdy go nie obchodziło, co jedzą świnię, a teraz bez najmniejszych problemów umiał sam je obsłużyć. Czasem miał wrażenie, że przez ten cały czas,

jaki spędził w szkole, nie nauczył się tyle, co przez dwa lata od wojny.

Ada z ciekawością przyglądała się jego pracy.

– U nas nie hodowaliśmy zwierząt – powiedziała. – Tata tylko czasem chodził na polowanie i wtedy jedliśmy świeże mięso. Ale zazwyczaj na obiad było to, co znaleźliśmy w sklepach. A potem tata umarł i dobre jedzenie w ogóle się skończyło – dodała ciszej.

– Nie miałyście nikogo innego? – zapytał Hubert.

– Nie. – Dziewczynka pokręciła głową. – Zostałyśmy tylko we dwie.

– A innych ludzi w waszym mieście nie było?

– Tylko kilkoro, ale wszyscy trzymali się z dala od siebie. Musieliśmy uważać na taki gang... Mieszkał w centrum i nikomu nie pozwalał tam wchodzić. Na szczęście nie pojawiali się na obrzeżach miasta, gdzie mieszkaliśmy. Choć Sylwia mówiła, że to tylko kwestia czasu, aż dobią się i do naszych sklepów.

Hubert pokiwał głową. Siostry zostały same na świecie i do tej pory nie spotkały nikogo przyjaznego. Nic dziwnego, że na powitanie Sylwia potraktowała go pistoletem gazowym.

– A po co w takim razie jedziecie do Gdańska? – zapytał.

– Bo tam mieszka nasz wujek

– Jesteście pewne, że nadal tam jest?

– Sylwia mówi, że tak

„A jak nie, to co wtedy zrobicie?” – przyszła mu do głowy niewesoła myśl.

Po obiedzie, kiedy Sylwia z Zuzią myły naczynia, Hubert wszedł do kuchni. Chciał porozmawiać z dziewczyną, ale nie był pewien, jak zacząć.

– Jesteś pewna, że chcecie jechać do tego Gdańska? – wypalił.

– Słucham? – zdziwiła się Sylwia. Przestała zmywać i spojrzała na niego.

– Gdańsk to duże miasto, może być w nim niebezpiecznie – powiedział. – Jeżeli zadeklarujecie się, że będziecie pracować jak każdy inny, pozwolą wam tu zostać. Brakuje nam rąk do pracy. Dostaniecie własny dom...

– Nie, dziękuję – żachnęła się. – Jak tylko pani Irena zdejmie Adzie gips, jedziemy.

– Słuchaj, nie chcę się do niczego namawiać, ale się zastanów. A poza tym do Gdańska długa droga, kto wie, na co się natkniecie.

– Ty nie wiesz, jak to jest być samemu, co? – zełościła się. – Masz tu ojca, przyjaciół i niczego ci nie brakuje. A my mamy tylko siebie i wujka. Musimy go odnaleźć.

– Uwierz mi, że wiem, jak to jest zostać samemu – odparł z rezygnacją. – Nie mieć nikogo bliskiego, kto by się przejął twoim losem, kto by się o ciebie martwił. Znaleźć się wśród nieznanym ludzi i ciężko pracować na ich zaufanie, a potem i tak wciąż być tym obcym.

Oboje zamilkli na chwilę.

– Musimy go znaleźć – powiedziała w końcu Sylwia. – On jest naszą jedyną rodziną. Wiem, że przeżył zarazę, i musimy wierzyć, że go odnajdziemy. A jeżeli... jeżeli nam się nie uda, mam nadzieję, że będziemy mogły tu wrócić. Wiesz, że jesteście pierwszymi ludźmi od wojny, którzy przyjęli nas do siebie z otwartymi ramionami?

Hubert pokiwał głową. Sylwia miała zaledwie siedemnaście lat, od czasu wojny musiała dorosnąć w przyspieszonym tempie. Kiedyś w tym wieku myślałaby pewnie tylko o chłopałach i o tym, jak się wyrwać na jakąś imprezę. A teraz? Musiała walczyć o przetrwanie swoje oraz siostry, której zastępowała i ojca, i matkę. Wyruszyła w długą i niebezpieczną podróż tylko

dlatego, że istniał cień szansy, że odnajdą kogoś, kto się o nie zatroszczy.

Po obiedzie Hubert z Ernestem poszli skończyć kopanie dołu poza wsią. Pracowali na zmianę.

– Ty wiesz, po co one chcą jechać do tego Gdańska? – zagadnął w pewnej chwili Hubert.

Przyszła jego kolej na odpoczynek.

– Kto? Sylwia i Ada?

– No.

– Bo tam mają wujka – odparł chłopak, wyrzucając ziemię obok dołu.

– I skąd wiedzą, że on żyje?

– Bo był taki facet, co jechał z Gdańska na południe do rodziny, i ten ich wujek poprosił go, żeby przekazał wiadomość, że przetrwał zarazę. Ale nie mają pojęcia, co dzieło się z nim od tamtej pory.

– To nic pewnego. – Hubert przetarł czoło kieszulką.

– A jaki mają wybór? – Ernest przestał pracować i oparł się plecami o ścianę dołu.

– A bo ja wiem? Zostać tutaj?

– Też mnie to martwi! – wybuchł nagle Ernest. – Taki kawał drogi, zostały już raz napadnięte, a Ada złamała rękę. I nie ma pewności, że znajdą tego krewnego.

– Co ty tak się wkurzasz? – zdziwił się Hubert.

– Bo już z nią rozmawiałem i chciałem ją odwieść od tego głupiego pomysłu, ale się uparła!

Hubert przyjrzał się bliżej przyjacielowi.

– Dlaczego tak nagle się o nie martwisz? – zapytał.

– A ty? – odburknął Ernest. – Teraz twoja kolej. – Wyszedł z dołu i wręczył saperkę Hubertowi.

W ciągu najbliższych dni nikt nie natknął się choćby na ślad po bestiach, które zaatakowały Sylwestra. Ludzie bali się nowych demonów, ale ku zaskoczeniu Huberta szybko przeszli nad ich pojawieniem się do porządku dziennego. W obliczu tragedii ostatnich lat demony stały się dla nich kolejnym problemem, który należało rozwiązać. Najlepiej za pomocą karabinów i olbrzymiego zapasu nabojów.

„Do wszy stkiego można się przyzwyczać, tak przy najmniej mówią” – myślał Hubert, patrząc na starego Borowskiego, który uzbrojony w kałasznikowa wyszedł sam poza wieś. Kiedyś ludzie unikali broni, nie potrzebowali jej, by czuć się bezpieczni, a teraz prawie każdy, kto wychodził na dwór, miał przy sobie chociażby pistolet.



ROZDZIAŁ IX

Wczesnym rankiem Woźnica zabrał Huberta na polowanie. Przeszli się po wszystkich miejscach łowieckich myśliwego, ale nie natrafili na żadne zwierzęta. Było to zaskakujące, bo od czasu wojny ich populacje zwiększyły liczebność, a ponadto miały więcej terenów dla siebie – pasły się na starych polach i nieużytkach, korzystając z tego, że na świecie zostało tak mało ludzi.

Dwaj myśliwi musieli zapuścić się w las tak głęboko, jak jeszcze nigdy nie było to konieczne. Hubert z jednej strony miał nadzieję, że coś upolują, w końcu wstyd wracać do domu z pustymi rękoma, ale z drugiej wcale nie chciał nieść zabitej sarny taki kawał.

Niespodziewanie wyszli na jakiś dawny trakt. Ziemia na nim była ubita, choć gdzieś wyrastały młode drzewka.

– Co to za droga? – zapytał Hubert, losowo wybierając kierunek i idąc przed siebie.

– Jakaś poniemiecka pewnie. – Woźnica wzruszył ramionami. – Pełno tego jest po lasach.

Różne drogi, kanały i nie wiadomo co jeszcze.

– Ale w takiej głuszy? Dokąd mogła prowadzić?

– Chce ci się to sprawdzać? – Myśliwy się skrzywił.

– Pewnie, że tak – odparł chłopak.

Szli zapomnianą drogą kilkaset metrów, w pewnej chwili zaczęła się piąć pod górę, a po jej obu stronach pojawiły się strome zbocza.

– To na pewno nie powstało naturalnie – orzekł Hubert.

Nagle po obu stronach drogi wyrosły dwa pagórki zwieńczone wysokimi bułami. Chłopak

wspiął się na jeden z nich. Okazało się, że to, co z dołu wyglądało jak niewielkie wzniesienie, jest tak naprawdę czymś w rodzaju długiego wału ochronnego, usypanego z kamieni porośniętych mchem.

Na szczycie Hubert odkrył, że wał zatacza olbrzymi krąg. Na zewnątrz tego kręgu była stroma i długa skarpa, na której rosły drzewa, a u jej stóp płynął leniwie strumyk. Wewnątrz znajdował się płaski teren porośnięty chaszczami.

– Co tu mogło być? – zapytał, kiedy wrócił do Woźnicy.

– Słyszałem, że w tych okolicach mieściło się grodzisko – odparł myśliwy. – Najwyraźniej właśnie do niego trafiliśmy.

– Ale się super tu urządzili – westchnął Hubert. – Normalnie forteca nie do zdobycia, komu by się chciało pod taką górkę wbiegać i ich napadać? A gdyby jeszcze na wale była palisada... – rozmarzył się.

Ruszył wolnym krokiem przez zarośla wewnątrz grodziska, rozglądając się z zachwytem. Promienie słoneczne sączyły się przez baldachim z liści jak jasnozielona poświata. Okolica tchnęła spokojem i ciszą. Podobało mu się tutaj, oczyma wyobraźni zobaczył, jak kiedyś mogło wyglądać to miejsce. Małe, drewniane chatki, wszędzie ubita ziemia, żadnych krzaków i drzew w środku. Na zewnętrznej stronie wału też pewnie nie było drzew, bo ludzie potrzebowali przecież mnóstwo drewna. Żyli sobie spokojnie, nikt nie mógł odnaleźć ich w takiej guszy, a jeśli nawet, to cóż... ciężko byłoby zdobyć podobną fortecę. Kiedyś w tych lasach musiało żyć mnóstwo zwierzyny, więc jedzenia im nie brakowało. Kłopotliwe musiało być tylko schodzenie do strumienia po wodę.

Hubert widział to wszystko bardzo wyraźnie, wiedział, że takie miejsce musieli stworzyć ludzie, nie natura.

„Żyli tu sobie spokojnie, z dala od wszystkich – myślał. – A co jeśli... jeśli wtedy ten las pełen był demonów? Jeżeli było ich tak wiele jak normalnych zwierząt? Może to nie w obawie przed ludźmi wzniesiono nasyp i fortyfikacje. Może miały chronić właśnie przed demonami?”

Nagle sielski obraz prysnął. Hubert zobaczył małe chatki ryglowane co noc, myśliwych w dużej grupie, którzy opuszczali bezpieczny krąg grodu, żegnani przez bliskich, jakby szli na śmierć. Nigdy nie było pewności, że z polowania wrócą wszyscy. Dzieci, które pod nieuwagę matek opuściły dom i zostały porwane przez demony, a potem rozszarpane na strzępy w ich kryjówkach. Kobiety, które w strachu, dzierżąc prymitywne noże i siekiery, szły stromą ścieżką do strumienia po wodę.

Setki lat temu pobliskie lasy znajdowały się daleko od wszelkich szlaków handlowych. Nikt tędy nie przejeżdżał, kupcy i podróżni bali się zagłębić w niekończące się, ciemne bory. Cywilizacja była gdzieś daleko, tu czekały tylko ciemność, strach i demony.

„Nie, ponosi mnie trochę wyobraźnia” – pomyślał Hubert, potrząsając głową.

Odszukał wzrokiem wśród chaszczy Woźnicę i ruszył w jego stronę.

– Wracamy? – zapytał, lecz myśliwy mu nie odpowiedział.

Dopiero teraz Hubert dostrzegł, że Woźnica stoi przed niewielką górką usypaną z czegoś białoszarego.

– Co to...? – zaczął chłopak, gdy wreszcie zrozumiał.

Przed nimi piętrzył się stos kości. Były tam wielkie gnaty, należące najpewniej do krów czy jeleni, i małe kosteczki, zapewne ptasie lub zajęcze, a także wiele średnich rozmiarów, które

mogły pochodzić od ludzi.

Hubertowi zrobiło się na przemian gorąco i zimno. Niektóre z kości były poszarzałe, inne śnieżnobiałe, wyczyszczone z mięsa i ścięgien, prawdopodobnie przez żuki, mrówki i inne robaki. Nie bał się widoku szczątków, jednak ten stosik go przeraził. W czasach, gdy nie ma prądu, a ogień sprawia, że wszędzie kładą się cienie, gdy po lasach grasują demony, co mogło zostawić coś takiego?

– Czy to jakieś zwierzę? – chłopak zapytał Woźnicę, choć znał odpowiedź.

– Nie. – Myśliwy pokręcił głową.

Hubertowi krew ścięła się w żyłach. Zawiał chłodny wiatr, poruszając gałęziami drzew, unosząc kilka brązowych liści i przetaczając je po ziemi.

Nagle niezwykle miejsce, emanujące aurą tajemniczości i spokoju, straciło cały swój urok, przemieniając się w kryjówkę jakiejś bestii.

– Nie powinniśmy tu być – powiedział drżącym głosem myśliwy.

Hubert nie widział Woźnicy tak roztrzęsionego od czasu śmierci jego żony.

– Racja, chodźmy już – Chłopak pokiwał głową.

Lecz zanim uczynił pierwszy krok, zamknął oczy i wziął głęboki wdech, starając się uspokoić. Nie wyczuwał w pobliżu żadnego demona, a było mu tu nieswojo. Mógł stanąć naprzeciw strzygi czy wija, jednak niepewność, co kryje się w zaroślach, doprowadzała go do szału. Wolałby, gdyby jakiś demon rzeczywiście wyskoczył zza drzewa. Wiedzieliby przynajmniej, z czym ma do czynienia.

„Może to tylko leszy – myślał, idąc tyłem za Woźnicą, w każdej chwili gotowy do odparcia ataku. – Zwykły, mały leszy, z którym dwóch mężczyzn ze strzelbami powinno dać sobie radę. Ale czy on był mięsożerny?”

Myśliwy szedł ostrożnie naprzód, w stronę jedyne go wyjścia z grodziska, Hubert zaś trzymał się tuż za nim, wciąż lustrując wzrokiem zarośla. Serce biło mu w przyspieszonym tempie, ręce się spociły, kostki dłoni zbierały od mocnego zaciskania na karabinie.

„Jeszcze trochę, a stąd wyjdziemy i będziemy bezpieczni. Ale tak naprawdę? Jak daleko sięgają tereny łowieckie stwora, który potrafi zabić krowę i zaciągnąć ją taki kawał w las?”

Przekroczyli granicę grodziska, ale ani na moment się nie zatrzymali. Nic nie mówili ani nie zwalniali kroku, obaj chcieli jak najszybciej oddalić się od tego przekłętogo miejsca. Przeszli kilkaset metrów starym traktem, a potem skręcili w las, wciąż zachowując szczególną czujność. Skoro tego potwora nie było w jego kryjówce, musiał grasować gdzieś po okolicy, a nie mieli najmniejszej ochoty stawać przeciwko niemu tylko we dwóch.

Zwolnili kroku dopiero, gdy znaleźli się w znajomym lesie. Choć od domu dzielił ich jeszcze spory kawał drogi, tutaj czuli się bezpieczniej.

– Co to mogło być? – zapytał Hubert, biorąc głęboki oddech.

– Nie mam pojęcia i nie wiem, czy chcę wiedzieć – odparł Woźnica. – Trudno, dziś wrócimy do domu z pustymi rękoma.

– Cholera – mruknął Hubert i wziął zamach nogą, żeby kopnąć leżący patyk, gdy niespodziewanie spod stopy, na którą przeniósł cały ciężar ciała, uciekła mu ziemia.

Poleciał na bok i stoczył się z niewielkiej górką. Boleśnie zahaczył łokciem o jakiś wystający korzeń.

– Nic ci nie jest? – zapytał Woźnica, zbiegając do niego.

– Nie – odparł, wypluwając z ust grudki ziemi wymieszane ze zgniłymi liśćmi i rozmasowując bolący łokieć. – Szlag by to trafił... A to co? – Spojrzał w niewielką jamę, przy której się zatrzymał.

– Lisia nora – stwierdził myśliwy.

W końcu mierzyli się z czymś znanym i normalnym. Odetchnęli.

– Jak głęboka może być taka nora? – zainteresował się chłopak, wsadzając do niej głowę.

– Głęboka? Chłopcze, to jest cała sieć podziemnych korytarzy, no, może trochę przesadzam, ale takie nory zazwyczaj mają kilka wyjść.

– Serio? – zdziwił się Hubert.

Myśliwy tylko pokręcił głową i wspinał się na górkę, najwyraźniej czegoś szukając. Zatrzymał się kilka metrów dalej.

– Tu masz jedno. – Wskazał palcem na kolejną dziurę w ziemi. – O, a tu kolejne – dodał, zrobiwszy kilka kroków w bok.

W końcu obaj na chwilę zapomnieli o pechowej wyprawie do grodziska i o tym, co tam zobaczyli.

– Kurczę, ale skąd tu tyle dołów? – zastanowił się Hubert, przyglądając się ukształtowaniu terenu. Okolice była poryta podłużnymi i prostopadłymi rowami.

– Ty naprawdę nie wiesz? – zdziwił się Woźnica.

– Nie, niby skąd? – zachnął się chłopak – Przecież nie jestem stąd.

– Takie doły można zobaczyć wszędzie, tylko nikt nie zwraca na nie uwagi. To są stare okopy.

– Jakie okopy?

– Takie, które pozostały po drugiej wojnie światowej. Przecież wtedy przebiegał front. Ja już tego za bardzo nie pamiętam, ale mój ojciec, gdyby jeszcze żył, mógłby ci powiedzieć dokładnie, w których miejscach były walki, z której strony atakowano pobliskie miasta i jak ich broniono.

– Hm, to stąd te bunkry... – zamyslił się Hubert. Jakoś nigdy nie zastanawiał się nad ich historią.

– Jakie bunkry?

– No... ehm – zająknął się. Nikomu poza Albertem nie zdradzili tajemnicy swojego magazynu pod Koszalinem. – Natknęliśmy się na kilka zniszczonych bunkrów w drodze do garnizonu.

– To była pewnie pozostałość Wału Pomorskiego. Wiesz, długa linia fortyfikacji rozciągająca się od północy na południe, która miała chronić Niemców przed Ruskimi. Jak widać, nie zdała egzaminu.

Hubert z ciekawością przeszedł się wzdłuż jednego z okopów.

– O, kolejne wyjście z nory – zauważył, zaglądając do niego.

Nagle poczuł demona, a po chwili w głębi ciemnej jamy ujrzął dwa jaśniejsze punkty. Zbliżyły się do niego z zadziwiającą szybkością. Odskoczył tuż przed tym, jak z nory wybiegło zwierzę, które z całą pewnością nie było lisem. To coś wyglądało na nieznacznie większe, zamiast ładnej rudej sierści miało bure, wyliniące futro. Kręgosłup wygięło w pałąk jakby cały czas się skradało. Obrazu dopełniały chudy ogon i czarne ślepia.

Pies południcy! Hubert stał oniemiały na dnie okopu. Demon łypnęła na niego i cofnęła się niepewnie, lecz zaraz potem najeżył sierść i wyszczerzył zęby, ukazując czarne dziąsła. Wtem z nory wypadły pędem dwa kolejne psy. Podczas gdy ten pierwszy lekko przywarował gotowy

do ataku, dwa pozostałe wyskoczyły z okopu z dwóch stron i zaczęły iść w stronę chłopaka.

Hubert ocknął się z odrętwienia. Wystrzelił serię pocisków. Psy zapiszczały i głucho zwały się na ziemię.

„To było jak wyrok – pomyślał nagle chłopak z żalem. – Nierówna walka, nie miały szans. Tak nie powinno się stać... Zresztą co ja gadam – przywołał się do porządku. – To demony, te same, które zaatakowały Berdę na naszym polu”.

Nagle usłyszał, jak Woźnica oddaje kilka strzałów. Dwa kolejne demony padły martwe.

– Nie tego się spodziewałem – mruknął myśliwy.

– Ale one również były zaskoczone naszą obecnością – dodał Hubert.

– Wiesz co, wracajmy do domu. Dzisiaj już nic nie upolujemy.

Chłopak pokiwiał głową. Dość wrażeń jak na jeden dzień.

Kiedy doszli do wsi, zatrzymali się pod domem Alberta.

– Idź odpocząć – odezwał się Woźnica. – Ja tylko coś zjem, wezmę Górskiego, młodego Borowskiego i wrócimy do tych okopów, żeby spalić psy i ewentualnie rozejrzeć się za innymi.

– Dziękuję. – Hubert uśmiechnął się z ulgą.

– Nie, to ja dziękuję tobie, że ani razu nie spanikowałeś, choć były ku temu powody. – Myśliwy poklepał go po łopatce.

– To do zobaczenia.

– Trzymaj się.

Hubert wbiegł do domu i od razu skierował się do kuchni, żeby zajrzeć do garnków.

– Co jest na obiad?! – krzyknął w nadziei, że któraś z dziewcząt go usłyszy i się nad nim zlituje.

– Ponoć to ty byłeś na polowaniu. – Hubert usłyszał nagle spokojny głos za plecami.

Serce podskoczyło mu do gardła, odwrócił się szybko i spojrzał prosto w przenikliwe oczy Zuzi.

– Boże, nie strasz mnie! – jęknął.

Dziewczy na wruszyła ramionami. Podeszła do kuchenki i rozpałała ogień.

– Co upolowaliście? – Do kuchni wszedł Ernest.

– Nic.

– No to nie wiem, czy zasłużyłeś na obiad.

– Spadaj. Po tym, co przeżyliśmy, zasługuję na dwa obiady.

– Co się stało? – zainteresował się przyjaciel.

Hubert usiadł przy stole i zerkając co chwilę na Zuzię przygotowującą dla niego jedzenie, zrelacjonował nieudaną wyprawę.

– Poczekaj chwilę – rzucił Ernest i wybiegł z kuchni.

Wrócił, niosąc w rękach demonologię.

– Jeżeli to rzeczywiście były psy południcy... – zaczął, kartkując książkę. – Wszystko się zgadza. „Na zimę południca schodzi pod ziemię i zapada w sen” – przeczytał. – Pamiętasz?

– Na jaką zimę? Mamy środek lata – zauważył Hubert.

– Nie rozumiesz? Schodzą pod ziemię. Mają nory w ziemi. Wiemy już, gdzie się kryją.

– Aa, to masz na myśli. – Hubert stracił zainteresowanie rozmową, gdy pojawił się przed nim talerz pełen parującego jedzenia. Chłopak miał wrażenie, że od czasu wojny wszystko smakuje lepiej – mięso, twaróg, chleb, warzywa, choć czasem brakowało mu egzotycznych owoców i rzeczy, których nie byli w stanie ani wyhodować, ani wyprodukować w Dąbrówce.

– Jesteś pewien, że to było stare grodzisko? – dociekał przyjaciel.

– Uhm – odparł chłopak z pełnymi ustami.
– A skąd wiesz?
– Po prostu wiem.
– No dobra, nie przypominam sobie nic na temat grodzisk – Ernest kontynuował przeglądanie książki. – Sterta kości, mówisz?

– Uhm.
– Duże? Małe? Moglibyśmy wywnioskować, jak wielki był ten demon.
– I takie, i takie.
– Hm, to za wiele nam nie mówi. Jakis wszystkożerny stwór kolekcjonujący kości... Ernest zagłębił się w lekturze, a Hubert pochłaniał obiad.

Chwilę później dołączyli do nich Albert i Sylwia z siostrą. Ernest zrelacjonował im wyprawę na polowanie, gdy Hubert jadł już trzecią dokładkę.

– Dobrze, że Woźnica poszedł spalić trupy. – Albert na koniec pokławił głową z uznaniem.
– Dlaczego? – zainteresowała się Sylwia.
– Zbyt mało wiemy o tych demonach – odparł starszy pan. – A jeżeli ich mięso jest szkodliwe albo zakażone? Lepiej, żeby inne zwierzęta się do niego nie dostały.

Hubert skończył jeść i przeciągnął się z zadowoleniem. Teraz, gdy był syty, zaczął boleć go obity łokieć.

– Mam jeszcze lód w sprayu? – zapytał.
– Poszukam. – Sylwia zerwała się z krzesła. Minął już ponad tydzień, odkąd mieszkali u nich, a ona wciąż robiła wszystko, żeby jak najlepiej odwdzińczyć się za gościnę.

– Jak ty to zrobiłeś? – zdziwiła się, gdy Hubert podwinął rękaw koszuli, ukazując siny i spuchnięty łokieć.

– Wpadłem do okopu.
Sylwia uniosła pytająco brwi, ale nic nie powiedziała, spryskując obite miejsce.

Wieczorem Albert wyciągnął Daniela na spotkanie z Woźnicą, więc młodzi zostali sami.

Wszyscy usiedli w dużym pokoju.
– Ależ mnie plecy bołą – westchnął Ernest.
– Niby po czym? – zapytał Hubert.
– Kiedy ty sobie spacerowałeś po lesie, ktoś musiał porąbać drewno.
– Spacerowałem?! – prychnął chłopak.
– A nie?

Ernest się skrzywił i przechylił głowę na bok, aż strzeliły mu kręgi. Sylwia podeszła do niego bez słowa i zaczęła masować mu ramiona.

– Ale jesteś spięty – stwierdziła.
Hubert się skrzywił.
– Mnie też bołą plecy – powiedział głośno.
– Wiesz, Ernest narąbał cały stos drewna, a ty wróciłeś z lasu z pustymi rękoma – odparła.
– To niesprawiedliwe – mruknął obrażony.

Kilka minut później Sylwia usiadła na kanapie i zaczęła na głos czytać Adzie. Zuza usadowiła się niedaleko nich, ale nikt nie wiedział, czy w ogóle słucha.

Hubert nie miał ochoty na bajki, więc dał znać Ernestowi, żeby z nim poszedł, i skierował się

do kuchni.

– Boże, nie mów, że jesteś jeszcze głodny – powiedział Ernest, gdy jego przyjaciel zaglądał do szafek

– No przecież kolacja była dawno temu.

– Tak i zjadłeś ją zaraz po obiedzie.

– Musiałem wyrobić normę – odparł.

Ku swojej ucieście odnalazł pętko wędzonej kiełbasy. Z szerokim uśmiechem odkroił sobie duży kawał i usiadł przy stole.

– Co chciałeś? – zapytał po chwili poirytowany Ernest, przyglądając się, jak przyjaciel z zadowoleniem się objada. – Zobaczysz, kiedyś jeszcze będziesz gruby, że się w drzwiach nie zmieścisz, taki bojler sobie wyhodujesz – zagroził.

– E tam. – Hubert machnął ręką. – Znów się zastanawiałem, dlaczego w okolicy jest tyle demonów. Do czego może je tutaj ciągnąć. I nagle mnie oświeciło. Ich do niczego nie ciągnie, one tu po prostu były od zawsze.

– To dopiero głębokie przemyślenie – szydził Ernest.

– Ja mówię poważnie. Przecież kiedyś tu były nieprzebyte puszcze. Przez tysiące lat nikt nie wchodził na te tereny. Żyły tu sobie poszczególne jednostki, ale do najbliższych sąsiadów miały dziesiątki kilometrów! Wyobraź sobie, jaki to musiał być raj dla demonów. Tu właśnie panoszyły się ich najwięcej! Tu były najpotężniejsze! Czekwały tylko na tę chwilę, kiedy zabraknie prądu.

– Toś wy myślił.

– A masz jakieś lepsze wytłumaczenie?

– No nie.

– A widzisz?

– Okiej. W sumie nie jest to głupie. Gdybym był demonem, też bym się trzymał z daleka od ludzi.

– No właśnie. – Hubert energicznie pokiwiał głową. – Martwi mnie tylko ten jeden z grodziska.

– E tam. – Ernest machnął ręką. – To przecież daleko. My się tam nie zapuszczamy. A jeżeli poluje tylko na to, co znajdzie w okolicy, to niech sobie tam żyje. Nie musimy od razu urządzić na niego oblawy.

– Może masz rację. Ale i tak wkurza mnie, że nie wiem, co to za jeden. Naprawdę lepiej bym spał, gdybym wiedział.

Hubert już dawno temu zauważył, że jeśli ludzie potrafią nazwać niebezpieczeństwo, wydaje się ono mniej straszne. Gdy demon nie jest jedynie krwiożerczą bestią czającą się w cieniu, ma nazwę, staje się po prostu kolejnym zwierzęciem. A każde zwierzę można zabić, nim ono zabije ciebie.

Hubert był zły. Żar lał się z nieba, pogoda w sam raz, żeby skrzyknąć kilka osób i wybrać się nad pobliskie jezioro, wykopać się, poleżeć na trawie na brzegu, leniwie spędzić popołudnie. A zamiast tego musiał z Ernestem czyścić oborę. Niezbyt przyjemne zajęcie, szczególnie w taki upał.

– Nie martw się, kiedy skończymy, to będziemy mieli wolne – pocieszał go Ernest.

– Aha, ja już widzę, jak twój dziadek da nam wolne – mruknął ponuro Hubert.

– Nie przesadzaj. Wolisz być na miejscu dziewczyn? Wszystkie trzy zagonił do sprzątanania.

– Zdolny jest, każdemu umie znaleźć zajęcie – powiedział z przekąsem Hubert.

– Sylwia chce niedługo wyjechać – rzucił od niechcienia Ernest. – Skoro Ada nie ma już gipsu i jej ręka dobrze się zrasta...

– Jak się uparła, żeby wyjechać, to jej nie zatrzymasz. – Hubert wzruszył ramionami.

– Ona nawet nie jest pełnoletnia!

– Rok wte czy wewte...

– Daj spokój, ja się naprawdę martwię.

– Naprawdę? – powtórzył Hubert, unosząc brwi.

– Sam wiesz, że w okolicy jest pełno demonów. A jak kradną na jakichś nieprzyjaznych ludzi?

– Damy im karabin, to sobie poradzą.

– A jak nie?

– Na Boga, człowieku! Chyba nie chcesz ich związać i zamknąć w piwnicy?

– No nie...

– Jesteś pewien? Bo tak właśnie to wygląda.

– Chodzi mi tylko o to, żeby były bezpieczne, a dwie dziewczyny, same w lesie, nigdy nie będą bezpieczne. Tak więc myślałem, że... że może, ehm, ktoś powinien iść z nimi?

Ernestowi najwyraźniej ulżyło, jak wyrzucił to z siebie.

– Ktoś powinien iść z nimi – powtórzył głucho Hubert. – A ten ktoś to...?

– No, na przykład my.

– My, czyli ja i ty?

– Uhm.

– Odbiło ci?! A po co mamy się pchać do Gdańska?! Przecież to kawał drogi!

– No właśnie o tym mówię. Nie powinny iść same taki kawał...

– Porąbało cię!

– Hubert, tylko pomyśl, spełnimy dobry uczynek...

Hubert spojrział na niego wymownie, dając mu jasno do zrozumienia, co sądzi na temat dobrych uczynków.

– No dobrze, może spotkamy nowe demony, zdobędziesz nowe zęby, ja porobię notatki. A może w Gdańsku uda nam się znaleźć inną demonologię? Taką, w której jest więcej konkretów, a mniej bzdur o cyklach. No i wyrwalibyśmy się na dłużej z Dąbrówki. Koniec z gnojem, byciem traktowanym jak dzielnik, wiesz, takie małe wakacje. Co na to powiesz?

– Że z tobą jest coś nie tak i co, chcesz zostawić siostrę samą?

Ernest wyraźnie się zasępił. Od półtora roku nie opuszczał jej dłużej niż na kilka godzin, wyłączając dwie wyprawy na szaber.

– No, ale tutaj jest bezpieczna. Nawet nie wychodzi ze wsi, większość czasu i tak siedzi przy oknie i nie zwraca na nic uwagi...

– Będzie się martwiła. Ona widzi i słyszy dużo więcej, niż ci się wydaje.

– Wiem. – Ernest smutno pokiwał głową. – Ale po prostu nie mogę puścić ich samych.

– Ty się po prostu zabujałeś.

Ernest otworzył usta, szukając ciętej riposty, ale w końcu spuścił tylko głowę i wzruszył ramionami.

– Ja z tobą pojechałem do tego Świącina – stwierdził cicho po chwili.

– Cholera, wiedziałem, że kiedyś mi to wypomnisz.

Hubert uważał ten pomysł za bardzo głupi. Nie mieli żadnego interesu w Gdańsku, a poza tym

to była długa i niebezpieczna podróż. Jednak perspektywa wyrwania się z Dąbrówki kusila. Zrobić coś nowego, ciekawego, zamiast wstawać co rano i patrzeć na te same dwadzieścia twarzy, które oglądał codziennie od ponad dwóch lat aż do znużenia. A poza tym wyprawa pozwoliłaby mu stłumić żal, który odczuwał za każdym razem, gdy pomyślał o matce, smutek, jaki ogarniał go, gdy przechodził obok jej sypialni, gdy nagle przypominał sobie, jak mama siedziała w kuchni przy stole i wydawała wszystkim polecenia. I mógłby odпочząć od widoku ojca, który tak bardzo się zmienił od jej śmierci. W sądzie był niczym reklin, kilkoma zaledwie słowami umiał przekonać ludzi do wszystkiego. A teraz? Zagubił się, niby udawał, że jest jak inni mężczyźni ze wsi, razem z nimi szedł z bronią do lasu polować na demony, lecz nie był stworzony do tego życia. Wracał do domu i siadał w fotelu z książką. Hubert nie mógł nie zauważyć, że już od kilku miesięcy jest to ta sama lektura, a tata jedynie wpatruje się niewidzącym wzrokiem w te same zdania dzień po dniu.

– No dobra – powiedział powoli Hubert. – A dziadkowi już mówiłeś?

– Z tym wolałem poczekać na ciebie. Wy się lepiej dogadujecie. Nadajecie na tych samych falach.

„Taa, chyba na falach dla czubków” – pomyślał z przekąsem Hubert.

– Myślę, że wieczorem powinniśmy otworzyć jedną z butelek z zeszłorocznym winem – powiedziała na głos.

Jak tylko skończyli z obornikiem, chłopcy zakradli się do domu tak, żeby Albert ich nie zauważył.

– Idziemy nad jezioro. – Hubert zajrzał do pokoju ojca.

Daniel pokiwał głową. Chłopak miał wyrzuty sumienia, że tak go zostawia, ale nie potrafił do niego dotrzeć.

„Każdy na swój sposób sobie z tym radzi – pomyślał. – Ja na przykład udaję, że wszystko jest w porządku”.

– Idziesz?! – zawołał go cicho Ernest. – Dziewczyny już czekają na zewnątrz.

Hubert potrząsnął głową, odpędzając od siebie ponure myśli, i ruszył za przyjacielem, który na szyję miał zarzucone co najmniej trzy ręczniki. Wyszli na zakurzoną drogę. Z nieba lał się jeszcze większy żar niż wcześniej.

– Gdzie Zuza? – zapytał Hubert.

– Poszła po resztę dzieciaków, też należy im się chwila odpoczynku.

Chłopak kiwnął głową. Dzieci z Dąbrówki nie miały zbyt kolorowego życia. Jedenastoletni Jędrzek, wnuk Cegły, mieszkał teraz u Górskich, ale przecież stracił caluteńką rodzinę. Jagodie, czternastoletniej córce Woźnicy, zmarła matka, a Oskar, najmłodszy, bo dziesięcioletni chłopak, tyle przeszedł, żeby w końcu z matką znaleźć schronienie u jej wujka, czyli Berdy. Cała trójka od wielu miesięcy nie widziała innych ludzi niż mieszkańcy Dąbrówki, nie chodzili do szkoły i najczęściej musieli albo pracować, albo zajmować się sami sobą, gdyż w miejscowości z tak niewieloma mieszkańcami dorośli wciąż mieli mnóstwo pracy.

– Tylko uważajcie na siebie! – krzyknęła za nimi Olga Górską.

Hubert nie wiedział, ile dzieci miała i ile straciła. Nigdy z mężem o tym nie rozmawiali przy innych. Na początku czuli się w Dąbrówce obco, lecz kiedy Jędrzek został na świecie zupełnie sam, gdy Cegłę rozszarpał wuj, bez wahania zaopiekowali się chłopcem, a teraz byli wobec niego wręcz nadopiekuńczy. Zresztą kto by nie był w takich czasach?

Jezioro niemal graniczyło ze wsią, jednak najłagodniejszy piaszczysty brzeg znajdował się

poza osadą. Musieli więc przejść kilkaset metrów wąską polną drogą.

– Idziesz na wojnę czy nad jezioro? – Sylwia zapytała w pewnej chwili Huberta, który przez ramię miał przewieszony karabin, a za pasek wsunął maczetę.

– To zależy, co spotkamy po drodze – odparł, szczerząc zęby.

Kiedy doszli na brzeg, w cieniu drzew rozłożyli kocy na miękkiej, zielonej trawie. Wszyscy najchętniej od razu weszliby do wody, ale Hubert uparł się, że najpierw musi ją sprawdzić.

– On tak zawsze. – Ernest wzruszył ramionami, widząc pytający wzrok Sylwii.

Woda była zimna, ale po kilku godzinach spędzonych przy oborniku Hubert potrzebował kąpieli. Zanurkował kilka razy, sprawdzając, czy nic się nie czai w pobliżu, dokładnie zbadał brzeg i dopiero wtedy pozwolił pozostałym wejść do jeziora.

Kąpali się tak długo, aż wszyscy zaczęli szczerkać zębami. Potem suszyli się w słońcu.

– Ty naprawdę masz manię prześladowczą – orzekła Sylwia, widząc nóż na łydce Huberta.

Chłopak poklepał lekko swoją broń. Wiele czasu zajęło mu zrobienie pochwy, która trzy małaby się na łydce i nie spadała co chwile.

– Sama kiedyś się przekonasz, że najlepiej nigdzie nie wychodzić bez broni – powiedział.

Już raz kiedyś o mały włos nie zginął przez topielca. Nie zamierzał powtarzać tego samego błędu. Nie ważne, czy poprzednie starcie wydarzyło się we śnie, czy naprawdę.

Wieczorem po kolacji, kiedy Sylwia i Ada zamknęły się w swoim pokoju, a Zuzia usiadła w kącie kuchni z wielką michą grochu do wyłuskania, Ernest przyniósł z piwnicy wino i postawił je na stole.

– A to co? – zapytał Albert.

– No co? Nie mogę już nawet z własnym dziadkiem się napić? – odparł chłopak.

– Nie jesteś na to za młody?

– Już nie.

Starszy pan się skrzywił, szukając kolejnej wymówki, a kiedy nic nie przyszło mu do głowy, wzruszył ramionami i wyjął z szafki szklanki.

Ernest nalał do nich wina.

– Gdzie twój ojciec? – zapytał Huberta.

– Pewnie czyta. – Chłopak wzruszył ramionami, ale wziął jedną szklankę i zaniósł ją do pokoju Daniela. – Przyłączysz się do nas? – zaproponował tacie, który rzeczywiście siedział w fotelu z książką, ale wpatrywał się w okno.

– Nie, dzięki – odparł.

Hubert westchnął i podał mu wino.

– Jakby co, to siedzimy w kuchni – rzucił przez ramię, wychodząc.

Starał się, naprawdę się starał odciągnąć ojca od tego fotela, książki i ponurych myśli, ale bez rezultatów. Hubert nigdy nie potrafił rozmawiać z ojcem, ale kiedyś, jeszcze zanim umarła mama, umieli przynajmniej prowadzić pogawędkę o niczym przy śniadaniu. Teraz nawet to się nie udawało.

Hubert wszedł do kuchni akurat w momencie, gdy Ernest pytał dziadka o plan prac na następny dzień.

Chłopak wznosił oczy ku niebu. „Jeśli w ten sposób chcesz go przekonać, żeby cię puścił do tego Gdańska, to życzę powodzenia” – pomyślał, a potem postawił krzesło obok Zuzi i zaczęła jej

pomagać przy łusaniu grochu.

– Zwykła codzienna robota – powiedział Albert. – Nakarmić zwierzęta, porządkować trochę drewna, można by też skosić trawę...

Ernest pokręcił głową.

– Jak sobie radziłeś, kiedy nas nie było, co? – zapytał.

Hubert uśmiechnął się pod nosem.

– Jak to jak? Normalnie – obruszył się starszy pan, pijąc wino. – Co ty myślisz? Że jakiś stary i niedoświadczony jestem? Jest gospodarstwo, to trzeba o nie zadbać, i tyle.

Ernest, kiwając głową, uzupełnił jego szklankę. Swoje wino ledwie ruszył.

– W sumie fakt. Kiedy jechaliśmy do Koszalina, to też dawaliście sobie bez nas radę.

– Ty się chyba nie chcesz wymigać od roboty? – Albert spojrzał na niego podejrzliwie.

– Nie, tylko tak się zastanawiałem, czy dalibyście sobie radę, jakbyśmy musieli wyjechać na dłużej.

– Na dłużej? Niby gdzie? – zaśmiał się Albert. – Chyba nie marzą ci się wakacje?

Ernest przez chwilę nic nie mówił, a potem wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Nie, ale pomyślałem, że dziewczynom przydałyby się eskorta do Gdańska.

– Co?

– Nooo, ee, powinniśmy chyba im pomóc, prawda? Przecież same sobie nie poradzą.

– Czy ciebie Bóg opuścił?! Do Gdańska?! Po cholere?!

Hubert ledwie powstrzymał śmiech. Podniósł głowę i nagle spojrzał w zielone oczy Zuzi. Nie wyglądała na najszczęśliwszą, delikatnie mówiąc. Wzrokiem wręcz ciskała błyskawice.

– Dziadku, ale zrozum – kontynuował Ernest. – Pomogliśmy im, a teraz czujemy się za nie odpowiedzialni.

– Chyba tylko ty.

– A jakby po drodze coś im się stało? Chciałbyś mieć je na sumieniu?

– Nie chciałbym mieć ciebie na sumieniu, a jak ci zaraz przyłożę w ten durny łeb... Nie możesz bawić się w rycerza tu, na miejscu?

– Ja bym mógł, ale one uparły się szukać rodziny...

– To na pewno twój pomysł! – Albert oskarżył cielsko wymierzył palec w Huberta.

– Co? Ja? Nie!

– Akurat.

– Może udałoby nam się znaleźć inną, lepszą demonologię – przełonywał dalej Ernest.

– A idź ty z tymi waszymi książkami! – mruknął Albert.

Wnuk ponownie napełnił jego szklankę winem, które starszy pan wypił jednym haustem.

– I niby jak chcecie tam jechać? Koni nie dostaniecie, to by trwało za długo, a będą potrzebne tu, na miejscu.

– Można by nawet na rowerach.

– Na rowerach – powtórzył ironicznie Albert.

– No co? To powinno zająć tylko kilka dni.

– Kilka dni. I co, myślicie, że tę ich rodzinę znajdziecie tak od razu? Przecież Gdańsk to wielkie miasto, możecie się tam błąkać ty godniami!

– Jak będzie trzeba...

– Jak będzie trzeba. Jak będzie trzeba. A jak przed zimą nie zdążyysz? Co wtedy, cwaniaczku?

A co z ludźmi, co z demonami?

– Demonów nie będzie w mieście, a z ludźmi albo się dogadamy, albo będziemy ich unikać.

– Rozmawialiście na ten temat z Michałem? – zapytał już spokojniej Albert.

– Nie – wtrącił Hubert. – On nie powinien jechać, będzie bardziej potrzebny tutaj.

„I to nie do sianokosów” – dodał w myślach. Wioska potrzebowała obrońców, gdy po okolicy paętało się tyle demonów.

– To tylko kilkanaście dni, najwyżej kilka tygodni – przekonywał Ernest. – Poradzimy sobie. Poza tym chyba nie wyobrażasz sobie, że będziemy do końca życia siedzieć w Dąbrowce?

Albert jakby zapadł się w siebie.

– Nie wyobrażam sobie – powtórzył.

– A więc postanowione! – Ernest się ucieszył. – Powiedz, co w najbliższych dniach przed wyjazdem mamy zrobić, jak wam pomóc.

– Pomyślę – powiedział Albert. Dopił wino, włożył czapkę na czubek łysiny i wyszedł na dwór.

– Całkiem nieźle poszło, co? – zapytał Ernest.

– Poza tym, że dziadek się na ciebie obraził – odparł Hubert.

– E tam, przejdzie mu.

Kiedy siostry dowiedziały się, że dostaną eskortę do Gdańska, Sylwia zaniemówiła, Ada zaś szczerze się ucieszyła. Przez następne dni cała czwórka pracowała w gospodarstwie Alberta bez wytchnienia. Powoli przygotowywali też zapasy na drogę. Oczywiście można żyć się tym, co się znajdzie w starych sklepach i domach, ale zawsze lepiej mieć coś świeżego przy sobie.

Któregoś dnia Hubert z zapasów przywiezionych z garnizonu wyciągnął pistolet P-83 i zapas naboju Parabellum 9 mm.

– Naucz Sylwię strzelać – powiedział, wręczając go Ernestowi.

– Co? Po co? – zdziwił się chłopak.

– Daj spokój, jedziemy kawał drogi, nie wiemy, na kogo ani na co się natkniemy, lepiej żeby była przygotowana na wszystko.

– Hm, chyba masz rację.

– Pewnie, że mam.

Z początku Sylwia upierała się, że pistolet gazowy zupełnie jej wystarczy, ale w końcu Ernestowi udało się ją przekonać, że z bronią na ostre naboje zdoła lepiej ochronić siostrę.

– Ale nie myślcie, że będę strzelała z tego do ludzi – zastrzegła.

„Wszystko zależy od okoliczności” – pomyślał Hubert, choć w tym życiu on sam jeszcze ani razu nie musiał strzelać do człowieka.

Dzień przed wyjazdem przygotowali obfitą kolację i wszyscy mieszkańcy domu, razem z Michałem, usiedli w salonie.

Ojciec Huberta kilka razy próbował odwieść ich od pomysłu podróży, ale łatwo było go przekonać, że muszą jechać.

– Postarajcie się zdążyć przed zimą – mówił Albert podczas posiłku. – Ale jeżeli wam się nie uda, a śnieg zasypie drogi, lepiej zostańcie w tym Gdańsku, pod warunkiem że będzie tam bezpiecznie, bo jeszcze gdzieś pozamierzacie albo z głodu padniecie.

Chłopcy pokiwali głowami.

– A jeśli nie wróćcie do domu wczesną wiosną, to osobiście po was pojedę – zagroził starszy

pan.

Tego wieczoru wszyscy chcieli położyć się wcześniej spać, dlatego nie siedzieli długo przy kolacji.

Hubert właśnie zanosił ostatni talerz do kuchni, kiedy drogę zastąpiła mu Zuzia.

– Nie jedźcie – powiedziała cicho.

– Zuzia, musimy – odparł, kładąc jej rękę na ramieniu.

– A jaknie wrócić?

– Wrócimy, obiecuję, przypilnuję twojego brata. Nic mu się nie stanie.

– Nie możecie nas teraz zostawić. Wszędzie wokół czai się zło. Las aż roi się od demonów.

Chciał jej powiedzieć, że przesadza, ale przecież fakt, że on niczego nie wyczuł ani nie zauważył, nie oznaczał, że w lasach nic się nie kryło.

– Poradzicie sobie – powiedział z naciskiem.

Zuzia pokręciła głową.

– Oni mnie nie posłuchają.

„A więc o to chodzi, co? Tylko ja ją rozumiem...”.

– Zuzia... – Chłopak pochylił twarz w jej stronę i spojrzał jej w oczy. – Gdyby coś się działo, idź od razu do Michała. Pogadam z nim jutro rano, będzie traktował poważnie twoje ostrzeżenia, tak jak ja.

Dziewczyńka bez przekonania pokiwała głową.

Tak jak obiecał, tuż przed wyjazdem Hubert poszedł do byłego żołnierza.

– Odbiło ci, żeby tak wcześnie mnie budzić? Przecież wczoraj się pożegnaliśmy – mruknął zaspany Michał, otwierając mu drzwi, ubrany jedynie w bokserki.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie mogłeś wczoraj? – jęknął żołnierz, prowadząc go do kuchni.

– To ważne, słuchaj – zaczął Hubert i przez chwilę szukał właściwych słów. – Wiesz, że ja wyczuwam, kiedy w pobliżu jest jakiś demon, prawda? Taki szósty zmysł.

– Hmm... Jak są blisko i śmierdzą, sam je czuję.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi.

– No dobra. Co w związku z tym?

– Zuzia jest w tym dziesięć razy lepsza ode mnie – wyrzucił z siebie.

– Co? Zuzia?

– Wtedy, gdy Berdę zaatakowały psy na polu, to ona mi o tym powiedziała. Zuzia jest jak radar na demony.

– Aha, czad. A po co mi to mówisz?

– Bo nikt inny o tym nie wie, a nawet gdyby powiedzieć to starszyźnie, to pewnie i tak by nie uwierzyli. Wiesz przecież, co o niej myślą. – Hubert zakręcił palcem wskazującym młynek przy skroni. – Ale gdyby cokolwiek się działo, kazałem jej przyjść od razu do ciebie. Powinieneś to ogarnąć, prawda?

Michał pokiwał głową.

– Dobra, to ja spadam. Na razie. – Podał kumplowi rękę, a potem szybkim krokiem wrócił do domu.

Ernest z siostrami czekali na niego na podwórku.

Kiedys z sąsiednich wiosek sprowadzili dobre rowery i teraz postanowili na nich pojechać,

ponieważ nie mogli zabrać koni. Niestety, ich ekwipunek był przez to bardzo ograniczony. Liczyli na to, że jeżeli czegoś im zabraknie, zaopatrzą się w opuszczonych miastach.

Jeszcze przed południem Hubert stwierdził, że wyprawa na rowerach do Gdańska to wcale nie jest dobry pomysł. Doskwierało mu gorąco, spocił się i zmęczył. O konie trzeba było dbać: karmić, codziennie je napoić i wyczyścić, ale nie musieli pedałować pod górę w upale, z dużym plecakiem na bagażniku. Chłopak nie miał pojęcia, jakim cudem dziewczyny jeszcze nie zaczęły narzekać, bo on z chęcią by to zrobił.

– Może zrobimy sobie przerwę? – zaproponował koło południa Ernest.

Hubert z zapalem pokivał głową, Sylwia odetchnęła.

Wtaszczyli rowery na niewielką górkę, na którą prowadziła droga, i się zatrzymali.

Sylwia wyjęła z plecaka kanapki, Hubert wodę. Zaczęli jeść. Ernest, przeżuując chleb, rozłożył na asfalcie mapę.

– Myślę, że do wieczora dojedziemy do tej wioski. – Postukał palcem w odpowiedni punkt.

– Takı był plan – przypomniał Hubert.

– No tak, tylko nie byłem pewien, czy damy radę utrzymać odpowiednie tempo.

– Pewnie, że damy – wtrąciła Sylwia. – Nie mam ochoty nocować w lesie.

– A ja bym chciała – odezwała się Ada. – Wcale nie boję się demonów.

– Nie wątpię – powiedział Hubert.

– Myślę, że powinniśmy się zbierać. – Ernest wstał i otrzepał spodnie.

– Myślisz? – zakpił Hubert, za co dostał kopniaka w łydkę.

Wsiadli na rowery. Teraz mieli z górki, ale potem znów pod górkę.

– Czuję się jak wspinacz – narzekał Ernest. – Konno było prościej.

– Co ty powiesz – mruknął Hubert.

Pasek od kałasznikowa przewieszzonego przez ramię zaczął wpijać mu się w skórę.

W pewnej chwili zobaczyli leżące na drodze drzewo.

– Bez jaj. – Hubert się skrzywił.

– Ominiemy je chyba, co? – powiedziała Sylwia.

– Mam lepszy pomysł. – Chłopak zsiadł z roweru i wskoczył na przewrócony pień. – Podajcie mi rzeczy.

Ernest pierwszy przekazał mu swój plecak, a sam przeskoczył pień i stanął po drugiej stronie, żeby odbierać od niego bagaże. Najpierw przrzucili wszystkie plecaki, potem rowery. Zajęło im to mniej niż pięć minut.

Do opuszczonej wsi dojechali dość późno. Hubert wybrał dom, który wyglądał najsolidniej, kopniakiem wyważył drzwi i sprawdził, czy w środku jest bezpiecznie. Co prawda nie było tam kominka, ale w butli gazowej przy kuchenie została jeszcze odrobina gazu, więc udało im się zrobić kolację na ciepło i zaparzyć herbatę. Na noc Hubert i Ernest ułożyli się na kanapach w dużym pokoju, a dziewczyny w sypialni na piętrze.



ROZDZIAŁ X

– Zgubiliśmy się – oświadczył Ernest, wpatrując się w mapę. Jechali już od kilku dni i wszyscy byli umęczeni podróżą.

Hubert wyjątkowo darował sobie docinki.

– Przecież przed chwilą mówiłeś, że dobrze jedziemy – jęknęła Sylwia.

– Tak mi się wydawało.

Ada, która wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać, zeszła z roweru i usiadła na trawie przy drodze. Zewsząd otaczał ich gęsty las. Gruby, zielony baldachim z liści przepuszczał niewiele światła i choć dzień był bardzo ciepły, między drzewami panował przyjemny chłód. Szkoda tylko, że gryzły komary.

– Mówiłam, żeby nie jechać polną drogą. – Sylwia nie kryła irytacji.

– Mówiłaś też, że wolisz unikać ludzi – wypomniał jej Hubert.

– I co z tego?! – prychnęła. – I tak zwykle nie słuchacie, co mówię.

– Każda droga prowadzi do jakiejś miejscowości – powiedział z nadzieją Ernest. – Ta też powinna.

– Ta, ale może musimy przejechać kilometr, a może dwadzieścia? – Hubert pokręcił głową.

– Zawróćmy – poprosiła Sylwia.

– Co? – jęknęła Ada. – Ja już nie mam siły! Wszystko mnie boli.

– Dobra, zrobimy tak – zaproponował Hubert. – Sprawdźę, czy droga jest przejezdna. Jeśli nie, nie ma sensu się jej trzymać i zawrócimy. Pasuje?

Dziewczynka pokiwała głową.

Ernest i Sylwia też nie protestowali, oboje byli zmęczeni i chętnie by odpoczęli.

– To do zobaczenia za jakieś pół godziny – westchnął Hubert i wsiał na rower.

„I po co mi to było? – narzekła chwilę później, pedałując pod górkę. – Ja to zawsze muszę się wyrwać z czymś głupim, a potem cierpię”.

O dziwo, po kilku kilometrach wąska dróżka stała się szersza i mniej zarośnięta, aż w końcu zamieniła się w nierówny asfalt.

– Tam powinna być jakaś wioska – orzekł chłopak.

Zatrzymał się. Wyjął z plecaka butelkę i się napił. Tego wieczoru musieli znaleźć jakąś opuszczoną miejscowość, ponieważ zapasy jedzenia i wody były już na wyczerpaniu.

– Pięć minut i po nich wracam – postanowił, siadając na trawie.

Wtem usłyszał w lesie jakieś dziwne dźwięki. Coś stukło głucho, jakby ktoś uderzał patykiem w suche drzewo.

Chłopak odruchowo zdjął z ramienia broń.

Stukanie na chwilę ucichło, a potem znów się powtórzyło, tym razem głośniejsze.

Hubert cicho położył rower w trawie, upewnił się, że w magazynku ma naboje, przeładował i odbezpieczył karabin. Stukanie nasiliło się, gdy ruszył w kierunku, skąd dochodziły podejrzane dźwięki. Serce zaczęło mu bić szybciej. Jego zmysły się wyculiły, dostrzegał każdy cień, najmniejsze poruszenie w okolicy. Jakieś nieduże stworzenie przemknęło po suchym poszyciu i nagle wszystko ucichło. Zawiał delikatny wiaterek, ale nie poruszył liśćmi drzew, za to przyniósł ze sobą dziwny zapach. Tak pachniały demony.

Hubert się zatrzymał i głośno przełknął ślinę.

„Wróć po Ernesta – podpowiadał mu rozum. – Nie wiesz, co tam jest. A najlepiej w ogóle to zignoruj i uciekaj stąd!”.

Ale coś go przy ciągało. Dlatego wziął głęboki oddech, mocniej ścisnął karabin i ruszył przed siebie.

Nagle las gwałtownie się skończył. Hubert zatrzymał się przed ostatnimi drzewami i wyjrzał na niewielką polankę. Rosło na niej w rzędzie kilka leszczyń. Z boku zobaczył resztki kamiennego murka i pozostałości fundamentów jakiegoś małego budynku porośnięte trawą i chaszczami. Jednak Hubert rejestrował szczegóły otoczenia tylko podświadomie, bo jego uwagę przy ciągnęło stworzenie na środku polany, które rozglądało się, wciągając powietrze w nozdrza. Był to jeleni większy niż koń. Poroże miał tak imponujące, że chłopak zastanawiał się, jak ta istota radzi sobie w lesie, przecież musi zahaczać o drzewa. Ciało jelenia porastała gęsta matowa sierść. Hubert w życiu nie widział tak majestatycznego, pięknego i przerażającego zwierzęcia. Poprawka, demona. Bo nie miał wątpliwości, że to demon. I że właśnie to stworzenie wydawało dziwne dźwięki. Może stukło kopytami, a może trykało rogami o gałęzie.

Powoli uniosł karabin do ramienia, wypuścił z płuc powietrze i wycełował. Olbrzymi jeleni stał do niego bokiem, więc Hubert mógł go z łatwością powalić jedną kulą. Położył palec na spuście... i zamarł. Stworzenie nie wyglądało na krwiożerczą bestię. Nie wysysało krwi, nie rozszarpało nikogo na strzępy ani nie zjadało wnętrzości. Ten demon spokojnie skubał trawę!

Hubert nie potrafił go zastrzelić. Opuścił broń i przyglądał się zwierzęciu, gdy nagle zza jego pleców zawiał lekki wiatr. Zapach chłopaka dotarł do nozdrzy jelenia. Ten podniósł wielki łeb i spojrział w krzaki, gdzie ukrywał się Hubert. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Wtem

zwierzę zaryczało głośno, a chłopak przypadł do ziemi i znów wycelował broń. Niepotrzebnie, gdy z jeleni gwałtownie się odwrócił i pogalopował przez polanę do lasu. Hubert jeszcze długi czas siedział nieruchomo w krzakach i słyszał głuche uderzenia kopyt o ziemię.

Wypuścił powietrze z płuc i zorientował się, że od dobrej minuty wstrzymywał oddech.

„Chryste, on przesadził ruiny domu jednym skokiem” – pomyślał.

Podniósł się z ziemi i powoli wrócił na drogę.

„Może nie wszystkie demony są złe i krwiożercze? – zastanawiał się. – Ale pewnie ten jeleni, gdyby znalazł się w potrzasku, machnąłby łbem i rogami przedziurawiłby człowieka na wylot. A jeśli już kogoś zabił? Może jednak trzeba było go sprzątnąć?”.

Pewnie dalej rozważały ten problem, gdyby nie dotarł do miejsca, gdzie zostawił Ernesta i dziewczyny. Nie było ich tam.

– Zebrało im się na głupie kawały – zachnął się z irytacją.

Był zmęczony i z całą pewnością nie miał ochoty na zabawę w chowanego. Wtem coś kolorowego w trawie przyciągnęło jego uwagę. Schylił się i podniósł opaskę do włosów. Wydawało mu się, że dokładnie taką nosiła Ada.

– Co jest? – Chłopak zmarszczył brwi, rozglądając się.

Na piasku widniały liczne ślady butów.

„To my zdążyliśmy tak nadeptać?”.

Bezradnie rozłożył ręce i w tym momencie dostrzegł gruby pas przygniecionej trawy, który wiódł od drogi w las. Na poboczu zostawił rower, w krzewach ukrył plecak i trzymając w rękach gotowy do strzału karabin, ruszył świeżo wydeptaną ścieżką. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy natknął się na trzy porzucone rowery.

– Co tu się stało? – zastanawiał się coraz bardziej wystraszony.

Przedzierając się przez krzaki, przeczornie zwolnił kroku, żeby czasem nie narobić hałasu, i podążał za śladami, które mogli zostawić jego przyjaciele. Z każdą chwilą bał się o nich coraz bardziej. Podejrzewał, że sprawcami ich zaginięcia są ludzie, nie demony, a nie była to zbyt pocieszająca perspektywa. Tłumaczył sobie, że gdyby napastnicy chcieli zabić Ernesta i dziewczęta, zrobiliby to na miejscu. Jednak z ludźmi nigdy nie wiadomo.

Nagle w oddali usłyszał głos. Zastygł w bezruchu. Wziął głęboki wdech i czając się za drzewami, powoli zbliżał się w tamtą stronę. Rozmawiało kilku mężczyzn. Hubert wciąż bał się, że go zauważą, ale udało mu się zbliżyć do nich na tyle, że doskonale ich słyszał. Podczołgał się jeszcze kawałek i spomiędzy liści i gałęzi mógł zobaczyć, co się dzieje.

Na niewielkiej polance między drzewami stało pięciu mężczyzn. Jeden celował z pistoletu zabranego Sylwii, a drugi z karabinu Ernesta. Trójka przyjaciół Huberta siedziała skulona pod drzewem. Kolejny mężczyzna wyrzucał właśnie ubrania Sylwii z jej plecaka, a dwóch przyglądało mu się, paląc papierosy. Obaj mieli zatknięte za paski pistolety. W Hubercie wezbrała złość.

„Jak oni śmieli? Nie weszliśmy przecież na cudzą ziemię, nic nikomu nie zrobiliśmy, więc dlaczego, do jasnej cholery, nas zaatakowali?! Boże, co robić, żeby nie wystrzelali nas jak kaczkę? Postraszyć ich? Nie, kurde, mają broń. Myśl, myśl. Zastrzelić? Nie dam rady wszystkim”.

Tak gorączkowo się zastanawiał, jak uwolnić przyjaciół, że przestał słuchać, o czym mówili obcy, i dopiero teraz zwrócił na to uwagę.

– Myślę, że uciekli – powiedział mężczyzna, który przetrząsał rzeczy Sylwii. – Zobaczcie, jak

się spakowali. Tylko po co stamtąd uciekać?

– Po co uciekliście z dworu? – zapytał ten, który trzymał karabin.

– Z jakiego dworu?! O co w ogóle wam chodzi?! – zdenerwował się Ernest.

– Nie pyskuj! – Mężczyzna z karabinem kopnął chłopaka w zębra, co według Huberta było bardzo głupie, bo Ernest w tej chwili mógłby wyrwać mu z rąk kałacha.

Tak przy najmniej zachowywali się bohaterowie filmów akcji. Przyjaciel jednak najwyraźniej niewiele ich obejrzał, bo zamiast rozbroić napastnika, z głuchym jękiem złapał się za brzuch.

– Na zakupy takich dzieciaków by nie wysłali – stwierdził inny.

„Dzieciaków” – ze złością powtórzył w myślach Hubert.

– Dzięki nim wykurzymy ich w końcu z Kamiennej – powiedział ten z pistoletem.

Hubert dokładnie przyjrzał się napastnikom. Jeden był dość dobrze zbudowany, inny chudy i drobny, z paskudną gębą, trzech pozostałych wyglądało na zupełnych przeciętniaków. Nie wydawali się szczególnie niebezpieczni. Jednak nigdy nie wiadomo, co zrobi wariat z bronią w rękach.

– A może najpierw wyślemy im ucho któregoś z ich dzieciaków? – zaproponował grubszy, wyrzucając niedopałek papierosa w trawę. – Żeby potraktowali nas serio?

– Którego? – zapytał ten z pistoletem.

„Boże, oni mówią poważnie” – przestraszył się Hubert.

Teraz nie miał już żadnych skrupułów. Przeczłogał się trochę w bok, żeby mieć na jednej linii strzału dwóch obcych, którzy celowali w jego przyjaciół. Gruby mężczyzna wyjął właśnie zza paska wielki bagnet. Ernest zbladł, w oczach Sylwii pojawiły się łzy.

Hubert zacisnął mocno powieki, mając nadzieję, że to mu się śni. I wtedy właśnie stanęły mu przed oczyma wspomnienia, które tak bardzo chciał wymazać z pamięci. Adam z rozharatnym gardłem, ciało Henryka podziurawione dziesiątkami kul, Jacek leżący na asfalcie w kałuży krwi i blada Iza z raną w brzuchu, a potem on sam tracący świadomość. Już zabijał, chcąc ocalić najbliższych. Ludzie potrafili się okazać gorsi od demonów.

Utworzył oczy. Wycelował i strzelił. Jeden z mężczyzn, ten z karabinem, padł bezwładnie na ziemię. Drugi też, ale rana nie była śmiertelna.

– Kur...! Co to było?! – wrzeszczał.

Hubert oddał kolejny strzał, po czym mężczyzna zamilkł. Niestety, Ernest, Sylwia i Ada z pobladły mi twarzami siedzieli na ziemi jak sparaliżowani.

– Uciekajcie!!! – wrzasnęła.

Mężczyzna, który wcześniej przetrząsał plecak Sylwii, wyjął zza paska pistolet i strzelił w jego stronę. Chłopak skulił się instynktownie, gdy nad głową świsnęły mu kule i posypała się kora drzewa. Zobaczył, że Ernest wyrwał trupowi karabin, a potem cała trójka znikła za drzewami po drugiej stronie polanki. Strzelił jeszcze kilka razy na oślep. Ci, co pozostali przy życiu, schowali się za drzewami.

„Cholera, muszę uciekać, bo jak się pokapują co i jak to mnie otoczą” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

Odczołgał się na odległość, którą uznał za bezpieczną, a potem wstał i pochylony odbiegł jak najdalej od tego miejsca. Zatoczył olbrzymi łuk, żeby zmierzać mniej więcej w tym samym kierunku, gdzie pobiegli jego przyjaciele.

„Teraz się, cholera, będziemy szukać po lesie” – myślał.

Zatrzymał się na sekundę i nasłuchiwał. Do jego uszu doszły jednak tylko zwykłe odgłosy lasu. Ruszył więc dalej przed siebie, zachowując ostrożność. Żałował, że akurat dziś ubrał się w kolorową koszulkę i spodenki, miał wrażenie, że jest przez to widoczny z co najmniej kilometra.

Nagle w oddali gdzieś przed sobą usłyszał strzał, a po nim całą serię z karabinu. Przerażony, co to może oznaczać, zerwał się do biegu. Dzięki jeżyny kaleczyły mu łydki, gałęzie zahaczały o karabin i ręce. Jakaś chuda wiktka strzeliła mu w twarz i przecięła skórę na czole. Jednak Hubert na to nie zważał. Serce waliło mu jak młotem, a stopy same odnajdowały drogę. Adrenalina buzowała w jego żyłach, nie pozwalając zastanowić się nad tym, co zrobił i co jeszcze może się wydarzyć.

W końcu musiał się zatrzymać, żeby złapać oddech. Nic już nie słyszał i nie miał pojęcia, czy biegnie w dobrym kierunku. Niespodziewanie kątem oka dostrzegł jakiś ciemny kształt wybiegający zza drzewa. Poczul silny cios w szczękę, który powalił go na ziemię. Na chwilę go zamroczyło. Hubert potrząsnął głową. Wtem zobaczył napastnika, który trzymał w ręku gruby kij. Brał właśnie zamach nogą, by go rozbroić z karabinu.

Chłopak instynktownie się wykręcił i kopnął obcego w łydkę. Mężczyzna nie upadł, ale lekko się zachwiał. To wystarczyło, żeby Hubert przeturlał się na bok, odwrócił się na plecy, uniósł broń i strzelił na oślep. Napastnik stęknął głucho i osunął się na kolana. W jego oczach odmalowało się zaskoczenie, potem przerażenie, aż w końcu padł twarzą na ziemię tuż obok nóg Huberta.

Chłopakowi zrobiło się niedobrze. Odwrócił wzrok od trupa, ale poczul zapach krwi i wstrząsnęły nim torsje. Zwymiotował.

– Jezu – jęknął, wycierając wierzchem dłoni usta.

Strasznie bolała go szczęką, palcami mógł wyczuć rozcięcie na czole i rosnące go już guza.

Chwiejnym krokiem ruszył przed siebie, lecz przed oczami wciąż pojawiały mu się mroczki. Co chwila musiał opierać się o drzewa, żeby nie stracić równowagi.

– Hubert! – usłyszał ciche syknięcie i w pierwszej chwili był przekonany, że tylko mu się wydawało, lecz chwilę potem zza zarośli ukazała się blada twarz Sylwii.

Chłopak odetchnął z ulgą. Znalazł ich.

– Nic wam nie jest? – zapytał.

– Ernest dostał...

Hubert wyszedł przed krzewy. Na ziemi, oparty o drzewo, siedział Ernest z pozieleniałą twarzą. Przy ciskał dłoń do zewnętrznej strony uda.

– Pokaż – rozkazał Hubert, kłękając przy nim.

Ernest powoli odsunął zakrwawioną dłoń. Przez dziurę w spodniach zobaczył podłużną, poszarpaną ranę. Hubert obejrzał ją, nacisnął na jej brzegi tak, że popłynęła krew, na co jego przyjaciel syknął ze złością. Potem sprawdził, czy kość udowa Ernesta jest cała. Z tego, co potrafił stwierdzić, nie została uszkodzona.

– Rana jest tylko powierzchowna – mruknął, udając spokojny ton. – Sylwia, weź karabin i patrz, czy nikt nie idzie. A ty co siedzisz tak cicho? – zwrócił się do Ady.

Blada dziewczynka nie była w stanie mu odpowiedzieć.

Hubert wyjął z kieszeni nóż, zdjął koszulkę i odciął od niej pas materiału, którym obwinął udo Ernesta.

– Nie krzy w się – powiedział. – Będziesz miał bliznę, dziewczyny na to lecą.

– Na mnie może i polecą – odparł rudzielec. – Bo na ciebie z pewnością nie. Zderzyłeś się

z kosiarką?

– Nie, dostałem maczugą w facjatę – odparł Hubert, przykładając do twarzy dłoń.

Ada zaśmiała się cicho.

– Co teraz robimy? – zapytała Sylwia, kucając obok nich. W rękach mocno ścisnęła karabin.

Hubert włożył na siebie podartą koszulkę i bezradnie się rozejrzał. Skończyły mu się pomysły.

– Mówili, że niedaleko mieszkają ludzie – odezwała się Ada.

Wszyscy spojrzeli na nią.

– Gdzie? – zapytał Hubert.

– Tam, gdzie pojechałeś wcześniej.

– Cholera, kawał drogi, a nie wiemy, co z tymi wariatami. Zastrzeliliście kogoś?

Ernest pokręcił głową.

– Wypuściłem serię w tego, co mnie postrzelił, ale raczej uciekł.

– Szlag, ale może się przestraszył i nie wróci. Możesz w ogóle chodzić?

– Chyba tak – Ernest skinął głową.

– No to dawaj.

Hubert podniósł się ciężko z ziemi i przewiesił karabin przez ramię. Wszytko go bolało i czuł się paskudnie. I wolał nawet nie myśleć o tym, że przed chwilą odebrał komuś życie. Wyciągnął dłoń do Ernesta i pomógł mu wstać, po czym zarzucił sobie jego rękę na barki.

– Trzymaj karabin – zwrócił się do Sylwii. – Jak kogoś zobaczysz, to strzelaj.

Dziewczyzna kiwnęła głową.

„Dobrze, że nie panikuje, choć to wszystko nią wstrząsnęło” – pomyślał.

– A ty – zwrócił się do Ady. – Idź tuż przy nas i nie oddalaj się nawet na krok.

Mała tylko pokiwała głową.

Ruszyli przez las. Szli powoli i dość głośno, ale po dwóch napastnikach, którym udało się uciec, nie było ani śladu.

„No, chyba że polecili po kumpli – myślał ponuro Hubert. – A wtedy już nie będzie tak zabawnie”.

– Jezu, ile ty ważysz – jęknął po chwili do przyjaciela.

– Nie marudź, prawie wcale się na tobie nie opieram – mruknął Ernest. – A poza tym boli mnie noga.

– Jasne, noga, dałeś się w dupsko postrzelić, to teraz cierp.

– Jakie dupsko? Udo! – oburzył się.

– Zamknijcie się – syknęła Sylwia idąca przodem. – Strasznie hałasujecie.

Bali się iść na miejsce, gdzie znajdowały się rzeczy Ernesta i dziewczyn, więc wrócili tylko po ukryty w zaroślach plecak Huberta i wszystkie rowery. Potem skierowali się w tę stronę, gdzie wcześniej jechał Hubert. Ernest nie był w stanie wsiąść na swój rower, więc szedł, opierając się o kierownicę z jednej strony i ramię przyjaciela z drugiej.

Po pokonaniu około kilometra zatrzymali się, żeby odpocząć.

– Nie wiedziałem, że to będzie tak cholernie boleć – jęknął Ernest, siadając na ziemi.

– Masz. – Hubert podał mu butelkę z wodą.

Niestety zapasy jedzenia znajdowały się w bagażu rudzielca.

„Boże, mam nadzieję, że dojdziemy tam przed zmrokiem – myślał Hubert, szukając w plecaku bandaża. – Nie chciałbym nocować w lesie, gdzie szwendają się demoniczne jelenie. I oby ludzie

nam pomogli, a nie strzelali do nas...”.

Odwiązał od uda przy jaciela przesiąknięty krwią kawałek koszulki i opatrzył ranę bandażem.

– Dziewczyny, wy też się napijcie – powiedział.

Wody nie było już dużo, ale wystarczyło na kilka łyków i dla niego.

– Głodna jestem – poskarżyła się Ada.

– Niedługo dotrzemy do wioski i tam na pewno coś znajdziemy – zapewniła ją siostra.

– Oby – mruknął Hubert.

Tym razem droga strasznie mu się dłużyła. Ernest coraz bardziej się na nim opierał. Słońce już jakiś czas wcześniej zaszło za drzewami, powiało wieczornym chłodem. Sylwia, prowadząc swój rower, szła na przedzie przy garbiona, nerwowo reagowała na każdy dźwięk. Z kolei Ada wlokła się dwa kroki za nimi i co chwila trzeba było ją poganiać, a wtedy w jej oczach pojawiały się łzy.

„Nie możemy zostać w lesie – niepokoił się Hubert. – Musimy dotrzeć do wsi, gdzie nie będzie demonów, gdzie będziemy mogli się ukryć przed tamtymi ludźmi. Jezu, jeżeli oni będą chcieli się zemścić...”.

W końcu wyszli na asfaltową drogę, a w oddali, między drzewami pojawiły się zabudowania.

– Poczekajcie tutaj, sprawdzę, czy wioska jest bezpieczna – powiedział Hubert.

– Nie. – Ada złapała go za rękę.

– Spokojnie, to będzie tylko chwila – zapewnił.

– A jak oni wrócą?

– Nie wrócą – obiecał. – Zobacz, schowacie się za tymi drzewami i nie będzie was w ogóle widać.

Zeszli z drogi w gęste chaszczce. Hubert posadził Ernesta na ziemi, wziął karabin od Sylwii i podał przyjacielowi.

– Dasz radę? – zapytał.

– Pewnie. – Ernest wziął karabin i oparł się plecami o pień drzewa.

– Jakich zobaczysz – szepnęła Hubert, pochylając się nad nim – nie wahaj się strzelać.

Sylwia przy cupnęła na ziemi i objęła ramionami siostrę.

– Tylko uważaj na siebie – powiedziała.

– Zaraz wracam – odparł Hubert i ich zostawił.

Wieczorna szarówka nagle zamieniła się w mrok. Chłopak był już zbyt zmęczony i obolały, żeby bawić się w skradanie, dlatego po prostu wszedł do wsi, mając nadzieję, że nikt go nie zaatakuje. Ledwie widział bryły budynków. W żadnym oknie nie paliło się światło. Wtem jego uwagę przykuły wyważone drzwi. Strzaskana szyba okna. Leżący na ziemi zbutwiały płot. Wieś była opuszczona.

Zrezygnowany Hubert przeszedł jeszcze kawałek w ciemnościach przez upiorną osadę. Prawie stracił nadzieję, że kogokolwiek znajdzie, kiedy zobaczył słabą poświatę.

„A jednak są tu ludzie” – pomyślał.

Stał z wahaniem. Wiedział, że w nocy lepiej nie zaczepiać obcych, i to na ich terenie, jednak zatrzymanie się ukradkiem w jednym z domów też nie wydawało się dobrym pomysłem.

Nagle usłyszał gwizd.

– No bez jaj! – jęknął cicho. – Jak coś ma się spieszyć, to na pewno się spieszy, ale żeby aż tak?

Ich sytuacja i tak nie malowała się różowo. Choć nic nikomu nie zrobili, zostali brutalnie

napadnięci i pozbawieni części zapasów. W okolicy grasował demoniczny jeleń, a teraz jeszcze się okazało, że gdzieś w pobliżu czai się leszy.

„A może mi się wydawało?” – pomyślał z nadzieją, jednak gdy gwizd się powtórzył, nie mógł go zignorować.

– Pora odzyskać wiarę w ludzi – powiedział do siebie i pewnym krokiem ruszył w kierunku wątego światła.

Tuż za wsią wznosił się stary, ale solidny kamienny mur otaczający rozległą posesję. Zza niego wyłaniał się potężny budynek – Hubert widział najwyższe piętro, dach i poświętę bijącą z okien.

Zaczął okrążyć mur, aż natrafił na drewnianą bramę.

„Ci to się zabezpieczyli” – przemknęło mu przez myśl.

Wziął głęboki wdech i trzy razy uderzył pięścią w skrzydła drzwi, czekając, co się stanie.

Po drugiej stronie usłyszał najpierw szczekanie psów, a potem kroki i stłumiony szept. W ostatniej chwili położył pod murem swój karabin, tak żeby nie było go widać ze środka. Liczył na to, że nieuzbrojony wzbudzi większą sympatię.

Nagle w bramie otworzyło się niewielkie okienko, a w nim pojawiła się lufa karabinu.

– Coś ty za jeden? – warknął właściciel broni.

Psy ujadły jak wściekłe.

– Dobry wieczór – powiedział. – Nazywam się Hubert. I... i jacyś ludzie zaatakowali nas w lesie... Postrzelili mojego kolegę... Potrzebujemy pomocy.

– A gówno mnie to obchodzi. Zamknąć się! – nieznajomy wrzasnął na psy, które w końcu się uciszyły.

– Możemy chociaż przenocować w jednym z domów we wsi? – poprosił.

Niespodziewanie lufa karabinu znikła, a zamiast niej pojawiła się pomarszczona twarz mężczyzny. W tej chwili Hubert uświadomił sobie, jak okropnie musi wyglądać. Cały ubabrany krwią Ernesta, w porwanej koszulce, z obitą i brudną twarzą.

– Proszę – powiedział cicho.

Okienko zamknęło się z hukiem. Nie wiedział, czy traktować to jako odmowę, czy też powinien stać i czekać. Po drugiej stronie bramy usłyszał szept. I gdy już prawie stracił nadzieję na to, że ci ludzie im pomogą, okienko znów się otworzyło.

– Ile was jest? – zapytał mężczyzna.

– Ja, mój postrzelony kolega i dwie dziewczyny. Jedna to w sumie dziecko – odparł. Zatliła się w nim iskierka nadziei.

– Przyrowadź ich tu – mruknął mężczyzna i z trzaskiem zamknął okienko.

Hubert podniósł karabin i szybkim krokiem przemierzył wieś. W oddali wciąż było słychać pogwizdywanie.

– To ja! – zawołał cicho, gdy zbliżył się do kryjówki przyjaciół.

– W końcu – szepnęła Sylwia. W rękach dzierżyła grubą gałąź.

– Nie spieszylesię – dodał Ernest. – I co?

– Chyba nam pomogą. Wstawaj. – Podał przyjacielowi dłoń.

Ernest się podniósł i oddał karabin Sylwii. Wyszli na drogę, a w oddali znowu rozległo się pogwizdywanie leszego.

– Co to było? – szepnęła Ada, natychmiast przylgnęła do siostry i złapała skraj jej bluzy.

– Nic takiego – odparł Hubert. Sam nie wiedział, jakim cudem udało mu się zdobyć na lekkim ton.

– Gwizdało też, kiedy poszedłeś – poskarżyła się dziewczynka.

– To taki nieszkodliwy stworek – zapewnił ją. – Tylko sobie gwizdże, rozmieszylby cię, jakbyś zobaczyła, jak wygląda.

– A mnie? – mruknął Ernest.

– Japa, baranie – syknął Hubert.

Kiedy dotarli do bramy, chłopak znów uderzył w nią pięścią.

– Może lepiej, żebyś to opuściła – poradził, patrząc na karabin trzymany przez Sylwii.

Tak jak poprzednim razem najpierw otworzyło się okienko, pojawiła się w nim broń, a potem twarz strażnika, który dokładnie zlustrował całą czwórkę. Na koniec sapnął głośno, zamknął okienko i uchylił bramę. Za nią stał jakiś mężczyzna z karabinem wymierzonym w przybyszów. Dwa wielkie psy czaiły się za nim i powarkowały cicho.

– Jesteście uzbrojeni? – zapytał mężczyzna.

Hubert skinął Sylwii głową i oddali karabiny. Poczuli się bezbronni, ale rozumiał gospodarzy. W Dąbrówce taksamo postąpiłby wobec niespodziewanych nocnych gości.

Mężczyźni poprowadzili ich szerokim podjazdem w stronę domu. Chłopcy wlekli się pierwsi, a tuż za nimi szły przytulone siostry.

– Już wiem, co mieli na myśli, mówiąc „dwór” – szepnął Ernest.

Zza chmur wyłonił się księżyc, oświetlając trzy piętrowy dworek zbudowany na planie podkowy. Budynek miał jasny, ozdobny tynk, duże okna, teraz z zamkniętymi okiennicami, drzwi wejściowe wieńczył fronton, czyli trójkątny daszek podparty na ozdobnych kolumnach.

Gdy weszli do środka, ich oczom ukazał się wielki hol z drewnianą podłogą i licznymi kolumnami podtrzymującymi sufit. Hubert był jednak zbyt zmęczony, żeby się zainteresować tym wnętrzem.

Strażnicy poprowadzili ich do dużego pomieszczenia z wielkim stołem. Najwyraźniej służyło mieszkańcom domu za jadalnię. Na blacie stało kilka lamp naftowych.

Hubert pomógł Ernestowi usiąść, po czym sam opadł ciężko na krzesło obok Tak samo dziewczynny.

– A więc? – zapytał strażnik.

Cała czwórka spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Co tu robicie?

Wszyscy gwałtownie odwrócili głowy w stronę drzwi, w których stanęła potężna kobieta z krótko ostrzyżonymi włosami i rękoma splecionymi na piersi.

– Ee... – zaczął Hubert. – Jesteśmy w drodze do... – zająknął się; byli zdani na łaskę i niełaskę ludzi, którzy odebrali im broń, już bardziej sobie nie zaszkożda, mówiąc, dokąd zmierzali – ...do Gdańska – powiedział. – Niedaleko w lesie zaatakowali nas jacyś ludzie. Było ich pięciu.

Strażnicy wymienili spojrzenia.

– Uciekliśmy im, ale straciliśmy przy tym większość naszych zapasów – kontynuował Hubert. – Ernesta postrzelili, a w okolicy... – Chłopak się zaciął. Nie był pewien, czy wspomnianie o demonach przy tych ludziach może być dobrym pomysłem, więc tę sprawę postanowił przemilczeć. – A w okolicy nie ma innego miejsca, gdzie moglibyśmy bezpiecznie przemocować.

Potężna kobieta oderwała się od framugi, podeszła do stołu, pochyliła się nad nim i opierając

się o blat olbrzymimi pięściami, zmierzyła ich jedno po drugim przenikliwym wzrokiem.

– Mielicie pecha – stwierdziła beznamiętnie. – Udało się wam choć jednego z nich zastrzelić?

Przyjaciele spojrzeli na Huberta, który spuścił głowę. Na chwilę zapomniał o tym wszystkim, o okropnym zapachu krwi i niedowierzającym spojrzeniu człowieka, który padł martwy u jego stóp.

– A więc? – ponagliła kobieta.

– Trzech – szepnęła Hubert.

– Trzech z głowy! – powiedziała z wyraźną satysfakcją.

– Na Boga! Teresa, nie widzisz, jak oni wyglądają?

Do jadalni wpadła starsza kobieta przy kości. Wydawała się zmartwiona.

Hubertowi przemknęło przez myśl, że kiedyś musiała być kucharką w jakiejś olbrzymiej stołówce.

– Trzeba ich umyć, nakarmić, a dopiero wtedy możesz ich przepytować – kontynuowała. –

A ty zaprowadziłbyś postrzelonego chłopca do Marynarza. – Spojrzała znacząco na jednego ze strażników.

– Chodź. – Mężczyzna skinął głową na Ernesta.

Rudzielec spojrział pytająco na Huberta, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– No chodźże, zaprowadzę cię do naszego lekarza.

Ernest dźwignął się powoli z krzesła i kulejąc, wyszedł za strażnikiem z pokoju.

– Dziewczeta, połóż wam, gdzie jest łazienka – powiedziała starsza kobieta. – Choć z tego, co widzę, to nie wam kąpiel jest niezbędna. – Pokręciła głową, z przerażeniem przypatrując się Hubertowi. – Czyś ty, chłopcze, wpadł w maszynkę do mielenia mięsa? No trudno, musisz jeszcze poczełać. Najpierw porozmawiasz z Teresą.

Sylwia i Ada wyszły. Hubert został z Teresą sam.

Odsunęła od stołu krzesło i usiadła na nim okrakiem naprzeciwko chłopaka. Niejeden mężczyzna pozazdrościłby jej muskułów, jej barki były takie szerokie, jakby przez całe życie pracowała w kopalni. Do tego jeszcze miała kwadratową szczękę i spojrzenie, które mogło kruszyć skały.

– Trzech, mówisz? – zagadnęła z niedowierzaniem.

Chłopak pokiwał głową.

– A nie wyglądasz. – Ironicznie uniosła brwi.

– W przeciwieństwie do nich mam dobrego celu – powiedział. – Co to w ogóle za jedni? Byli chyba przekonani, że jesteśmy z waszego dworu.

– Ach tak? To się nie dziwię, że was zaatakowali.

– Oni chcieli obciąć komuś z nas ucho i wam wysłać jako wiadomość!

– To tak zaczynają pogrywać? – Kobieta zacisnęła mocno szczękę.

– „Pogrywać”? Prowadzicie wojnę?

– Hm – mruknęła. – Można tak powiedzieć. Część mieszkańców dworku to ludzie z tej wsi, inni są... cóż, z innych stron. A z tamtymi kiedyś nasze stosunki nie ułożyły się pomyślnie. Chcieli nam odebrać dwór, ale ich przepędziliśmy. Jednak plotki szybko się rozchodzą. A nasz dwór stanowi dużą pokusę. Jest więcej takich, którzy chcieliby go nam zabrać.

– A wy komu go najpierw odebraliście? – zapytał Hubert, zanim ugryzł się w język

Kobieta po raz pierwszy słabo się uśmiechnęła, choć bardziej przypominało to skrzywienie.

– Właściciel nie żyje – odparła. – A skoro nie ma dziedzica, dwór przejęli ludzie, których przodkowie zawsze pracowali dla hrabiego. W końcu po tylu pokoleniach im się należy. Ale jeśli pytasz o akty własności, to ich nie mamy.

Do jadalni wróciły Sylwia i Ada, obie umyte, z mokrymi włosami i w czystych ubraniach, a za nimi starsza kobieta.

– No, teraz twoja kolej – zwróciła się do Huberta.

Chłopak kiwnął głową, podniósł z ziemi plecak i pomaszzerował za kobietą. Płomień lampek naftowych ledwie oświetlał ciemne, przestronne korytarze.

– Chcesz czyste ubranie? – zapytała.

– Dziękuję, jako jedyne mam swoje – odparł.

– Tu jest łazienka, ale nie siedź za długo, bo grzeję wam kąpiel.

Wręczyła mu lampkę i zostawiła samego.

Chłopak wszedł do łazienki, która wyglądała, jakby od co najmniej stu lat nikt nie przeprowadzał w niej remontu. Nad zlewem wisało matowe lustro i gdy w nie zerknął, aż zamarł.

Na czole miał lekkie rozcięcie, na szczęce siniąka, na policzkach smugi kurzu wymieszanego z potem, a do tego był umazany błotem i krwią. Zdał sobie sprawę, że to wcale nie jego krew, tylko tamtego mężczyzny, i nagle poczuł obrzydzenie. Gwałtownie się odwrócił i zanurzył ręce w wielkim garze z gorącą wodą, który stał obok wanny. Z półki wziął mydło i tak długo szorował dłonie i twarz, aż skóra mu się zaczerwieniła i zaczęła szczypać.

Kiedy skończył, rozejrzał się za kubłem albo miską z zimną wodą, ale nic takiego nie znalazł. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało, tylko nie wiedział co. Aż w końcu zwrócił uwagę na kran, który wyglądał, jakby wciąż był używany. Z ciekawości odkręcił kurek, a potem w osłupieniu patrzył, jak z kranu wąskim strumykiem leci woda.

– Ale jak to? – zdziwił się.

Na próbę zakręcił kurek, a potem znów go odkręcił.

– Jak oni, skubani, to zrobili?

Szczęśliwy, że będzie mógł wziąć prawdziwą kąpiel, nalał prawie pełną wannę, dolał do niej wrzątku. Gdy się położył w wodzie, poczuł, jak po raz pierwszy od wielu godzin rozluźniają mu się mięśnie. Przymlknął oczy i odpłynął w niebyt.

Obudził się, kiedy woda ostygła. Szybko skończył mycie, włożył najczystsze ubrania, jakie miał, i wrócił do jadalni. Ernest i siostry pałaszowali już gorący bigos z chlebem i popijali go herbatą z ziół.

Co się działo potem, Hubert pamiętał jak przez mgłę. Skończyli kąpiel, Teresa wypytała ich, gdzie i po co jadą oraz co dokładnie stało się w lesie. Później starsza kobieta, która dała im jedzenie, zaprowadziła ich na piętro i wskazała niewielką sypialnię, gdzie znajdowała się szafa, stoliki i cztery materace.

– Chyba nie zaszlachtują nas w nocy, co? – zapytała Sylwia, kiedy szykowali się do snu.

– Gdyby to chcieli zrobić, toby nas nie karmili – stwierdził Hubert. – A ciebie jak pozszywali? – zagadnął Ernesta.

– Trochę krzywo, ale co się dziwić, ten ich samozwańczy lekarz leczył marynarzy na statkach.

– Och, ty biedaku – powiedziała Sylwia, siadając przy nim.

– Jaki biedaku? – mruknął Hubert. – Bałwan dał się w tyłek postrzelić.

– Nie w tyłek, a w udo – poprawiła go dziewczyna.

Hubert wymienił z Adą spojrzenia.

– Jak tam chcecie – mruknął i ułożył się na materacu tyłem do wszystkich.

Chwilę później Sylwia zgasiła lampkę i w pokoju zapanował mrok. Hubert był skonany i niewiele go obchodziło. Myślał, że od razu uśnie, jednak jak tylko zamknął oczy, zobaczył twarze ludzi, których tego dnia zastrzelił. Znów poczuł zapach krwi. Wzdrygnął się.

Spokojne, miarowe oddechy jego przyjaciół dowodziły, że tylko jemu jeszcze nie udało się zasnąć. Przyłożył oczy i spojrzał w sufit. Czy musiał zabić tych ludzi? Może dałoby się rozwiązać to wszystko inaczej? Tylko jak...? Czy tam ci mieli rodziny? Kogoś, kto teraz za nimi płacze?

Nie potrafił zagłuszyć wyrzutów sumienia – choć był świadom, że ocalił przyjaciół.

Leżał więc, wpatrując się w sufit, i rozmyślał, czy nie lepiej byłoby zostać w Dąbrowce. Późno w nocy Ernest spał mocno, najwyraźniej dostał jakieś dobre środki przeciwbólowe, za to Sylwia przekręcała się na swoim materacu z boku na bok, a Ada z krzykiem obudziła się z koszmaru.

– Cii, już dobrze – uspokajała ją siostra. – Już dobrze.

W końcu obie położyły się razem i zasnęły przytulone.

„Uratowałem je – pomyślał Hubert. – W przeciwnym wypadku to my byśmy zginęli”.

Zasnął dopiero nad ranem. Kiedy się obudził, w pokoju był zupełnie sam, a słońce świeciło mu prosto w twarz.

– No nie! – jęknął. – Nawet Ernest wstał?

Wciąż zaspany ubrał się i wyszedł z sypialni. Ani na korytarzu, ani na schodach nie spotkał żywej duszy. Dworek wyglądał na opuszczony. Stał w holu i rozejrzał się bezradnie. Nagle wielkie drzwi wejściowe otworzyły się i do środka wszedł chudy chłopak z blond czupryną. Nie miał więcej niż szesnaście lat.

– Ty jesteś Hubert, nie? – zagadnął.

– No.

– Paweł. – Chłopak wyciągnął rękę. Hubert ją uściśnił. – Kazali mi cię obudzić i zaprowadzić do kuchni, żebyś coś zjadł.

– Gdzie są pozostali? – zapytał Hubert, idąc za nim.

– Twoi kumple? Siedzą w parku, a wszyscy inni z dworu pracują w ogródkach.

– Inni z dworu... Ile w ogóle was tu mieszka?

– W tej chwili siedemnaście osób. Było nas więcej, ale albo poumierali, albo zabili ich ci, na których wy się natknęliście. No, jesteśmy.

Kuchnia była olbrzymia i również wyglądała, jakby od co najmniej stu lat nic się w niej nie zmieniło. Hubert usiadł przy stole, a Paweł podał mu talerz, chleb i nóż.

– Pokrój chleb, a ja skoczę do piwnicy po masło i szynkę. Jak chcesz pomidory, to są tam. – Machnął ręką w stronę szafek.

Ostatni posiłek Hubert jadł ponad dwanaście godzin wcześniej, dlatego teraz skroił dla siebie ponad połowę bochenka chleba. Teoretycznie nie wypadało zanadto objadać gospodarzy, ale stwierdził, że dopóki go częstują, należy z tego korzystać. Paweł, kiedy wrócił, uniosł lekko brwi ze zdziwienia, ale nie skomentował apetytu gościa.

– Czyli jedziecie do Gdańska, tak? – zagadnął.

– Uhm – wymamrotał Hubert pomiędzy kolejnymi kęsami.

– Fajnie macie – westchnął chłopak

– Niby dlaczego?

– Że tak możecie sobie pojechać gdzie i kiedy chcecie.

– A co w tym fajnego?

– Mnie matka nie pozwoliłaby samemu oddalić się od dworu chociażby na kilometr. Że niby poza dworem jest niebezpiecznie. Pewnie, że jest, ale ja bym sobie poradził! A tak siedzę tu zamknięty jak w klatce i tylko pomagam w ogródku albo sprzątam. Wszystkie książki, jakie tu mamy, przeczytałam już po kilka razy, a przecież nawet nie lubię czytać! Tak tęsknię za komputerem, przynajmniej zimą bym się nie nudził. Na polowanie też mnie nie puszczają, bo tamci uzbrojeni wieśniacy pałętają się po lesie.

– Nie narzekaj, macie kapitałny, wielki dom, nikt ani nic wam tu nie zagraża, masz rodzinę i nawet wodę w kranie – powiedział Hubert w przerwie między jedzeniem a krojeniem szynki na kolejną kanapkę.

– Jasne – mruknął Paweł. – Od dwóch lat siedzę tu zamknięty i wciąż patrzę na te same twarze. Jedyłą osobą w moim wieku jest taka jedna Olka, z którą szczerze się nie znosimy. Co to za życie? Wy macie lepiej. Coś się przynajmniej dzieje w waszym życiu.

– Młody, to wcale nie jest lepiej. – Hubert pokręcił głową. – Wczoraj tamci wieśniacy chcieli odciąć ucho któremuś z moich przyjaciół, kumpla postrzelili, a ja zabiłem trzech ludzi. To nie było fajne.

Paweł zamilkł na chwilę.

– A wy co tu jeszcze robicie? – Do kuchni weszła gruba kobieta, która poprzedniego dnia przyszykowała dla Huberta i jego przyjaciół kolację. – Wynocha mi stąd. Muszę się zabrać za obiad.

Hubert chwycił ostatnią kromkę chleba i razem z Pawłem wyszli z kuchni.

– Idziemy poszukać twoich znajomych? – zaproponował chłopak

Hubert pokіwał głową i wyszli z domu tylnymi drzwiami, ty mi, które znajdowały się wewnątrz podkłowy budynku. W twarze buchnęło im gorąco, dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, jak przyjemnie chłodno było w dworku. Ruszyli żwirową dróżką przez park. Tam, w oddali, niedaleko muru, znajdowała się mała, drewniana altanka. Siedzieli w niej Ernest z Sylwią, a Ada i jeszcze dwójka jakichś dzieciaków bawili się w berka między drzewami.

– Żyjeś? – Hubert zapytał kolegi, siadając na ławce.

– Można tak powiedzieć.

– Co teraz zrobimy?

– Rozmawiałam z Teresą – odezwała się Sylwia. Spojrzała przelotnie na Pawła. – To twoja mama, prawda? – Pokіwał głową, więc kontynuowała: – Mówiła, że możemy zostać tutaj kilka dni, dopóki Ernest nie będzie w stanie normalnie chodzić. Powiedziała też, że dzięki nam mają trzech wrogów mniej, więc możemy bez skrupowania korzystać z ich gościnności.

– To dobrze. – Hubert pokіwał głową.

Nagle zdał sobie sprawę, jak brakuje mu Michała. Do tej pory podczas ich wypraw zazwyczaj to młody żołnierz podejmował decyzje – gdzie się zatrzymać na nocleg, którą drogę wybrać. A gdy go zabrakło, Hubert miał wrażenie, że wszystko zaczęło iść nie tak. Zdążyli już stracić większość zapasów i zabranych na drogę ubrań. Na szczęście w to zawsze można było się zaopatrzyć po drodze. Bardziej martwił go fakt, że napastnicy zabrali Sylwii pistolet, amunicję do

niego i połowę nabożów do karabinów. Na jak długo wystarczy im zapas Huberta? Na szczęście to w jego plecaku znajdowała się demonologia.

W altance, w cieniu drzew, było całkiem przyjemnie. Ernest z Sylwią z głowami pochylonymi nad mapą dyskutowali o tym, jaką trasę powinni dalej jechać, Paweł przysłuchiwał się im z zapartym tchem, a Hubert z nudów położył się na ławce i zamknął oczy. W taki ładny pogodny dzień, w bezpiecznym miejscu, mógł niemal zapomnieć o tym, co wydarzyło się zaledwie dobę wcześniej.

– Myślę, że najpierw powinniśmy pojechać do tego miasta – mówiła Sylwia, stukając palcem w mapę.

– Ale nadrobimy drogi – sprzeciwił się Ernest.

– Może i nadrobimy – odparła, z gniewem odrzucając na plecy długi, jasny warkocz. – Ale przynajmniej będziemy mogli uzupełnić zapasy.

– Powinniśmy unikać większych miast – powiedział Ernest. – A jeśli tam trafimy na takich samych wariatów? I będzie ich więcej?

– Ci są z okolicznych wiosek, a nie z miasta. Skąd to wasze głupie przekonanie, że w miastach jest niebezpieczniej?

Hubert przestał ich słuchać. Jak chcą się kłócić, to niech się kłócą. Jemu zrobiło się tak przyjemnie na drewnianej ławce: pod drzewami panował przyjemny chłód, owady brzęczały w trawie, ptaki hałasowały wysoko na gałęziach. Jeszcze trochę, a mogłoby nazwać tę chwilę idealnym letnim popołudniem. Ale nagle przeszedł go zimny dreszcz, a włoski na karku stanęły mu dęba. Gwałtownie poderwał się z ławki i powiódł wzrokiem dookoła. Pożałował, że nie ma przy sobie broni. Wtedy, gdzieś za murem, usłyszał cichy gwizd. Jego wzrok padł na dzieciaki bawiące się między drzewami. Czy leszy może przeleźć przez mur?

Nagle gwizd rozległ się w innym miejscu w lesie. Tym razem usłyszeli to wszyscy i podnieśli głowy, nerwowo się rozglądając.

– Czy te demony popieprzyło? – warknął ze złością Hubert.

Minęło tak mało czasu od impulsu, a one są już takie bezczelne!

Jednym susem przeskoczył przez barierkę altanki i wylądował miękko na ziemi. Zostawiając za sobą zdziwionych przyjaciół, pobiegł truchtem wzdłuż muru, nasłuchując. Czekał na kolejny gwizd. Gdy usiadł na murku okrakiem, miał dobry widok na całą okolicę.

– No i gdzie jesteś, cholero jedna? – zapytał cicho.

Nie doczekał się odpowiedzi. Leszy musiał zniknąć gdzieś daleko w lesie. Hubert zeskokczył z murka i wrócił do altanki, gdzie czekali jego przyjaciele wraz z tutejszymi przestraszonymi dziećmi.

– Co to było? – zapytała Sylwia.

Ramieniem obejmowała drżącą siostrę.

– Leszy – odparł Hubert.

– Leszy? Serio? – Ernest uniósł brwi.

– Nie, na niby, kurde. Pewnie, że leszy. Ten gwizd wszędzie rozpoznam. Ale już zwiął.

Chwilę później zawołano wszystkich na obiad. W jadalni zebrało się około dziesięciu osób. Pozostali byli jeszcze na polu i mieli zjeść później. Chociaż Hubert całkiem niedawno jadł śniadanie i tak nałożył sobie solidną porcję: mnóstwo ziemniaków i kawał mięsa. A na widok mizerii ze świeżych ogórków aż oczy mu się zaświeciły. „W drodze trzeba korzystać z domowych

obiadów, kiedy tylko się da” – uznał.

– No i co nic nie mówicie? – zapytała gruba kucharka.

– Pyszny obiad – powiedziała trochę z przymusem Teresa.

– Bardzo dobry. – Pokiwał głową jeden ze strażników.

– Pani Irka codziennie od dwóch lat ciągle o to pyta – szepnął do Huberta Paweł.

– Znowu coś gwizdało za murem – odezwał się chłopiec, który wcześniej bawił się w parku z Adą.

– Będzie trzeba w końcu na to zapolować. – Teresa spojrzała wymownie na strażnika.

– Hubert mówi, że to był jakiś leszy – wtrącił Paweł.

Wszystkie twarze skierowały się na chłopaka.

– Leszy? – powtórzyła Teresa.

– No, ehm, leszy – odparł Hubert.

– A czym jest leszy?

– Jest mały, łysy, ma wielką głowę i ostre pazury – wyjaśnił. – Jeżeli człowiek jest ostrożny, to powinien dać sobie z nim radę, ale leszy może się okazać naprawdę wredny.

– I jak na niego radzisz zapolować? – zapytała kobieta.

– Zastrzelić! – Strażnik wznosił nóż.

Teresa spojrzała na niego krzywo.

– Szmidt, daj sobie spokój, co? – powiedziała. – Słyszałam, że nie wszystko da się zastrzelić.

Hubert pokiwał głową.

– Z tego, co pamiętam, najlepiej złożyć mu ofiarę z chleba, kaszy, soli albo słodyczy.

– I to wszystko? Nie będzie nas potem niepokoił?

– Pewności nie ma, ale zawsze warto spróbować, prawda? – Hubert czekał na reakcję pozostałych.

– I gdzie trzeba złożyć tę ofiarę?

– Chyba tam, gdzie leszy najczęściej się pojawia.

– A ślad wy w ogóle to wiecie? – dociekała kobieta.

– Bo my mamy... – zaczął Ernest, ale Hubert kopnął go w łydkę pod stołem.

– Mamy doświadczenia z leszym – skończył chłopak – W naszej rodzinnej wiosce się kiedyś pojawił.

– Hm. – Teresa przeszła go surowym wzrokiem, ale chłopak odpowiedział jej równie twardym spojrzeniem.

– Ja ci mówię, Teresa – odezwał się ponownie Szmidt. – Zastawimy na niego pułapkę, a potem zastrzelimy.

– Najpierw spróbujemy z tą ofiarą, jak to nie zadziała, będziesz mógł bydlaka zastrzelić – odparła. – Oczywiście, jak go najpierw znajdziesz.

Po obiedzie pozanosili naczynia i resztki jedzenia do kuchni.

– Ty dzisiaj zmywasz – oświadczyła pani Irka Pawłowi ku jego wielkiemu rozczarowaniu.

– Pomogę ci – zaferowała się Sylwia, na co twarz chłopaka od razu się rozświetliła.

– Ja też – dodał od razu Ernest.

Hubert, słysząc to, wywrócił oczami. I tak nie miał nic innego do roboty, więc został ze wszystkimi.

Paweł zagrzał wodę do mycia na kuchence, a potem wymieszał ją z zimną z kranu i płynem do naczyń.

– Jakim cudem macie wodę w kranie? – zapytała Sylwia. – Wczoraj przeżyłam prawdziwszy szok, kiedy poszłyśmy się myć.

– Gdzieś tu wybija źródło – odpowiedział Paweł. – Studnia artezyjska czy coś takiego. Jeszcze przed drugą wojną światową doprowadzili tu wodę, która leci z kranu na zasadzie różnicy ciśnień, więc nie potrzeba żadnej pompy ani nic takiego.

– Centralne ogrzewanie też macie? – zagadnął Hubert.

– Mamy, ale trzeba nieźle napalić w piecu, żeby zimą w całym domu było ciepło.

– Ale super – westchnęła Sylwia.

Paweł wzruszył ramionami.

– Większość ludzi u nas w wiosce całą zimą grzeje piecami kaflowymi – powiedział Ernest.

– Ta wasza forteca jest naprawdę świetna – dodał Hubert, ale Paweł nie był o tym przekonany.

Po południu Paweł oprowadził ich po całym domu oraz parku, pokazał, gdzie jest sad i gdzie mają ogródki warzywne. Ada bardzo szybko zaprzyjaźniła się z miejscowymi dziećmi i razem bawili się na dworze.

Pod wieczór Teresa znalazła Pawłowi jakieś zajęcie, z kolei Sylwia pomagała pani Irce w przygotowaniu kolacji. Huberta zastanawiało, jak ta dziewczyna to robi, że tak znakomicie dogaduje się z zupełnie obcymi kobietami.

„Może one wszystkie w kuchni znajdują wspólny język” – uznał. Sam siedział właśnie z Ernestem w altance, rozkoszując się spokojem i poczuciem bezpieczeństwa.

– Marynarz, ten ich lekarz, mówi, że za tydzień moja rana na nodze zagoi się na tyle, że będziemy mogli jechać dalej – powiedział Ernest.

– To dobrze. – Hubert pokiwiał głową. – Byłaby lipa, jakby gdzieś po drodze wdało się zakażenie. Ale nie chwal się na lewo i prawo, że mamy demonologię. Niektórzy mogliby nam jej pozazdrościć. Wystarczy, że wzięli na przetrzymanie nasze kałachy.

– Olej – zgodził się Ernest.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Hubert?

– No?

– Dzięki za wczoraj.

– Spoko. – Chłopak wzruszył ramionami.

– Naprawdę dzięki. Oni zupełnie nas zaskoczyli, nie mieliśmy szans się obronić. I w pewnym momencie myślałem, że już po nas...

– Udało nam się, dobrze, że pojechałem przodem.

– Chodzi o to, że naprawdę świetnie zareagowałeś. Gdybyś wtedy tam się nie pojawił, marnie by było.

– Gdybym tego nie zrobił, to myślisz, że jak bym wrócił sam do Dąbrówki? Jak ja bym im się wytłumaczył?

– Miałbyś problem. – Ernest uśmiechnął się słabo. – Ale... hm, chodzi mi też o to, jak się trzymasz po tym wszystkim?

– Co?

– Hubert, zastrześliłeś wczoraj trzech ludzi.

Chłopak nie odpowiedział, utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie przed sobą.

– Z tego, co pamiętam, w filmach, jak jakiś policjant brał udział w strzelaninie, to potem musiał chodzić do psychologa.

– Nawet o tym nie myśl – odburknął Hubert.

– Ale wiesz, jakbyś chciał o tym pogadać czy coś...

– Dzięki, ale poradzę sobie.

Huberta prześladowała wizja zabitych mężczyzn. W jego snach najpierw umierali na jego oczach, potem zaś go ścigali i chcieli zabić. Nic dziwnego, że wciąż chodził niewyspany.

Sylwia z kolei była niezadowolona z faktu, że aż na tydzień utknęli w jednym miejscu. Narzekała, że ich podróż do Gdańska trwa już od wiosny, ale gdy Hubert napomknął, że jeśli wyjadą wcześniej, Ernestowi może wdać się zakażenie, od razu zamilkła.

– W sumie Ada tak dobrze się tu czuje, niech ma choć kilka dni odpoczynku – stwierdziła pojednawczo.

Hubert, Sylwia i Ernest, by odwdziżyć się za gościnę, pomagali gospodarzom w domu i w ogrodach przy uprawach.

Któregoś wieczoru, kiedy siedzieli w kuchni, dwóch myśliwych przyszło z upolowaną sarną. Hubert, choć za tym nie przepadał, pomógł im i pani Irce ją sprawić, a potem zająć się mięsem. Ernest i Sylwia, jak tylko zobaczyli martwe zwierzę, ulotnili się gdzieś.

– Gdzie ją upolowaliście? – zapytała kucharka.

– Na pustkach – odparł Szmidt, dość potężny, siwy mężczyzna.

– Pustkach? – zapytał Hubert.

– Taa, niedaleko w lesie – odparł mężczyzna. – Kiedyś mieszkali tu Niemcy, a teraz po ich gospodarstwie pozostały tylko same ruiny, jakieś fundamenty i stare drogi.

– Łatwo pustki rozpoznać po leszczynach rosnących w rzędzie – dodał drugi. – Oni najwyraźniej uwielbiali orzechy.

Leszczyny, ruiny...

Coś świtało w głowie Huberta, jednak nie wiedział co. Czuł, że o czymś powinien sobie przypomnieć, ale za każdym razem, gdy myślał, że wyłowi właściwe wspomnienie, oddalało się od niego. Przez cały wieczór go to męczyło, więc kiedy tylko był już wolny, wybrał się na spacer po parku. Z dnia na dzień zmrok zapadał coraz wcześniej i chłopak miał nadzieję, że tutejsi strażnicy nie zastrzelą go w ciemnościach przez przypadek. Szedł powoli, kopiąc małe kamyczki, a stopy same zaprowadziły go do altanki. Wszedł do niej i opierając się łokciami o balustradę, zapatrzył się w cienie między drzewami.

– No tak! – Nagle go olśniło. – Stare fundamenty, ławałek murku i leszczyny rosnące w rzędzie! Przecież ja tam byłem! Tam natknąłem się na tego czarnego jelenia.

Mgliście pamiętał, że w demonologii znajdował się opis demona o nazwie „lejin”, który miał wyglądać jak duży jeleni i kusił ludzi, żeby udali się na bezdroża czy bagna. W charakterystyczny sposób stukał też rogami i kopytami.

– I paś się na ponemieckiej pustce – dodał cicho Hubert. – Zaraz... jak...

Przetarł dłońmi twarz.

– To nie pierwszy raz – szepnęła, zaciskając palce na barierce altany. – Psy południcy

zaatakowały Berdę na polu, ale gnieździły się w okopach. A wije? Mój Boże...

Przed oczyma stanął mu obraz starego grodziska i kości ułożonych na kupie.

– Tu jesteś! – Z zamyślenia wyrwał go głos Ernesta dwie godziny później. – Co robisz tutaj o tej porze?

– Co? – zapytał Hubert nieprzytomnie.

– Pora iść spać. – Jego przyjacieli, wciąż lekko kulejąc, wszedł do altanki. – Dobrze się czujesz? – zapytał, zauważwszy jego minę.

– Taa.

– Co jest?

– Ja... Coś mi przyszło do głowy.

– Już się boję.

– Nie, mówię poważnie. – Hubert odwrócił się do przyjaciela, a jego oczy płonęły dziwnym blaskiem. – Pamiętasz, gdzie gniazdowały wije?

– W tamtej starej strzelnicy.

– A psy południcy?

– Nie wiem, to wy je znaleźliście.

– W lisich norach w powojennych okopach.

– No i? – zapytał zbity z tropu Ernest.

– A pamiętasz, jak mówiłem, że z Woźnicą znaleźliśmy to stare grodzisko i coś w nim mieszało? Jakiś demon?

– Tak

– A pamiętasz, gdzie zabiłszy strzygę? Tuż obok naszego bunkra!

– Ale niekoniecznie tam miała leżeć, mogła po prostu znaleźć się w tamtym miejscu, bo przed nami uciekała.

– No dobrze – westchnął Hubert, bo właśnie zdał sobie sprawę, że będzie bardzo ciężko przekonać przyjaciela do nowej teorii. – Nie wspominałem wam też o jednej rzeczy. Wiesz, żeby was nie martwić, a poza tym nie było okazji, ale w tamten dzień, kiedy nas zaatakowali, nie było mnie tak długo, bo znalazłem innego demona. To był wielki czarny jeleni... i on się pasł na poniemieckiej pustce.

– Gdzie? – zdziwił się Ernest.

– W ruinach starego gospodarstwa.

– No dobrze – powiedział powoli rudowłosy chłopak – I co z tego wynika?

– Nie rozumiesz? One gniazdują w miejscach, gdzie już kiedyś żyli ludzie!

– Ee, nie obraż się, ale ta twoja teoria nie trzyma się kupy. Gdyby było, jak twierdzisz, to w miastach, a nie w lasach laźłoby najwięcej demonów.

– Ty mówisz o współczesnych miastach. A pomyśl o miejscach, które są ruiną od wielu lat. Może chodzi o to, że tam ginęli ludzie albo z miejscami tymi wiążą się tragiczne wydarzenia lub silne emocje i to przyciąga demony!

– No nie wiem. – Ernest skrzywił się z powątpiewaniem. – W ten sposób nie wytłumaczysz obecności wszytkich demonów.

– Ale to by wyjaśniało, dlaczego koło Dąbrówki jest ich tak wiele! Bo tam kiedyś było grodzisko, dworek i mnóstwo okopów!

– Hubert! – jęknął Ernest. – Jeszcze całkiem niedawno przekonywałeś mnie, że na naszych

terenach jest więcej demonów, bo kiedyś rozciągała się tam odludna, nieprzebyta puszcza.

– Ja tylko próbuję to jakoś poskładać – mruknął zawiedziony Hubert.

Z ciężkim westchnieniem usiadł na ławce.

– Może masz rację, może na siłę szukam w tym sensu. – Chłopak wzruszył ramionami.

Ernest poklepał go po ramieniu.

– Nie ma co brać tej teorii za pewnik – powiedział. – Ale co nam szkodzi pamiętać o niej następnym razem, jak spotkamy jakiegoś demona? A jeżeli to rzeczywiście się sprawdzi, to pomyśl, o ile będzie nam łatwiej. Wystarczy tylko poznajdować takie dziwne miejsca na mapie i już będziemy wiedzieli, gdzie mogą się kryć demony.

– Zobaczmy. – Hubert kiwnął głową.

Chłopak całkowicie stracił zapał, gdy przyjaciel tak brutalnie ściągnął go na ziemię.



ROZDZIAŁ XI

Kilka dni później opuścili dworek. Odzyskali karabiny i dostali trochę żywności na drogę. Teresa powiedziała im, którą trasę najlepiej wybrać, żeby znów nie natknąć się na wrogo nastawionych ludzi.

– Jak będziecie wracać z tego Gdańska, odwiedźcie nas, z chęcią posłuchamy, co tam się dzieje – powiedziała na pożegnanie.

– Dziękujemy za pomoc – odparł Ernest.

– Nie ma sprawy.

– Uważajcie na siebie – dodała pani Irka.

– Do zobaczenia. – Paweł każdemu uściśnął dłoń, ale w jego oczach widać było żal, że on musi zostać.

Wsiadli na rowery i ruszyli w drogę, licząc na to, że we wsi, do której zamierzali dotrzeć do południa, znajdą zapas ubrań i paczkowane jedzenie.

– Nadal uważam, że powinniśmy zahaczyć o tamto miasto – powiedział w drodze Ernest.

– Noce robią się coraz chłodniejsze. Jak będziemy tak ciągle zwlekać, to nie dotrzemy do Gdańska przed zimą – odparła Sylwia.

– Ona ma rację – dodał Hubert. – A poza tym nie chcę iść tam, gdzie możemy się natknąć na ludzi.

Ernest i Sylwia spojrzeli po sobie.

– Ale ty wiesz, że w Gdańsku na pewno kogoś spotkamy? – powiedział powoli rudy chłopak –

I niekoniecznie ten ktoś może być zadowolony z faktu, że wleźliśmy do jego miasta.

– Tym się będziemy martwić później. – Hubert uciął dyskusję.

Tak jak planowali, wczesnym popołudniem dotarli do niewielkiej wioski. Niestety, nie przewidzieli jednego – że jej mieszkańcy w czasie zarazy mogli wszystko spalić. Większość domów była ogołocona z mebli, sprzętów i ubrań. Za wsią odkryli zarastające pozostałości ognisk, które dwa i pół roku wcześniej strawiły wszystko, co należało do chorych.

Jedynie dwa czy trzy domy ocalały. Możliwe, że ich mieszkańcy zachorowali jako ostatni i ich rzeczy już nie miał kto spalić. Za to do środka wdarły się zwierzęta: w szafkach załęgły się myszy, lisy urządziły sobie w jednym z budynków norę.

– Nic się stąd nie nadaje – powiedziała Sylwia, z obrzydzeniem przeglądając szafki.

– A nie mówiłem? – odparł z satysfakcją Ernest.

– Musimy się pospieszyć, jeżeli chcemy jeszcze dziś dotrzeć do następnej miejscowości – rzeczowo stwierdził Hubert.

– Ale ja jestem zmęczona – jęknęła Ada. – Nie mam już siły pedałować.

– To nie będzie długa droga – obiecał chłopak, pochylając się w jej stronę. – Pomyśl o tym, jak blisko Gdańska już jesteśmy.

Ale składał obietnice bez pokrycia. Zanim znaleźli małe miasteczko, gdzie zaopatrzyli się w ubrania i odrobinę paczkowanego jedzenia, minęła ponad doba. A później też nie było tak łatwo, jak się spodziewali. Często droga okazywała się nieprzejezdna, a Ernest szybko się męczył. Choć jego rana dobrze się zagoiła, nie chcieli zwiększyć tempa, bojąc się, że na nowo się otworzy.

W końcu pewnego pogodnego dnia wczesną jesienią koło południa minęli przekrzywioną tablicę, informującą, że właśnie wjechali na teren Gdańska, lecz do samego centrum została im jeszcze długa droga.

– Proponuję zatrzymać się gdzieś w okolicy na nocleg – odezwał się Ernest.

– Jak to? Tutaj? – powiedziała niemal z wyrzutem Sylwia. – Jesteśmy już tak blisko, a do wieczora mamy jeszcze kilka godzin. No co ty?

Spojrzała na Huberta, szukając poparcia.

– On ma rację – odparł chłopak – Nie dotrzemy tam przed zmierzchem.

– To pójdziemy kawałek po ciemku.

– Sylwia, to nie jest dobry pomysł. – Ernest położył dłonie na jej ramionach. – Nie znamy miasta...

– Ja znam – zachnęła się.

– Nie znasz. – Hubert pokręcił głową. – Nie po wojnie.

Pamiętał, jak wyglądał Poznań po siedmiu latach od impulsu. To nie było już to samo miejsce. Gdańsk też musiał się zmienić.

Przejechali jeszcze kilometr i znaleźli opuszczony dom nadający się na nocleg.

Ernest zajrzał do sąsiednich budynków, szukając czegoś do jedzenia, Sylwia zajęła się przygotowaniem łóżek Hubert rozpałił w ogródku ognisko. Noce były coraz chłodniejsze, dobrze było zjeść coś ciepłego przed spaniem.

Ada usiadła na kamieniu i przyglądała się, jak chłopak dmucha w ogień.

– Boję się – powiedziała po chwili.

– Czego? – zapytał.

– Że wujka tam nie będzie. A co jeśli się wyprowadził?

– To go odszukamy.

– A jeśli nie?

– Zobaczysz, że go znajdziemy – zapewnił ją, dokładając do niewielkiego płomyka cienkie patyczki.

– A jaknie? Jeśli sziłmy całą drogę na darmo?

„To będziecie miały przerażane” – pomyślał.

– Zobaczmy jutro – powiedział już głośno. – A jeżeli cokolwiek będzie nie tak, to pamiętaj, że zawsze możemy wszyscy wrócić do Dąbrówki. Podobało ci się tam przecież, prawda?

Dziewczyńka bez przekonania pokiwała głową.

Zaniedbane ulice, zatarasowane porzuconymi samochodami, przykrywała warstwa suchych liści i gałęzi. Wiatr przesuwiał je po chodnikach razem z papierami i torebkami foliowymi. Niegdyś równo przystryżone żywopłoty porozrastały się na wszystkie strony, zadbane trawniki i pasy zieleni pokryły się chwastami. Domy ziały dziurami w powybijanych oknach, mury zamalowano prymitywnym graffiti. Na balkonach i tarasach z doniczek wystawały suche badyle.

– Dacie radę trafić na tę Zaspę? – zapytał Ernest.

Nie mieli mapy samego miasta, więc musieli liczyć na pamięć Sylwii.

– Tak myślę – odparła dziewczyna. – Mam nadzieję, że miasto za bardzo się nie zmieniło. Choć nigdy nie szłam tam pieszo. Nie jechałam też rowerem. Zawsze odwiedzaliśmy wujka samochodem.

Odległości znaczyły teraz coś innego niż dawniej. Podróż, która kiedyś zajmowała godzinę samochodem albo autobusem, teraz zabierała prawie cały dzień – pieszej wędrówki. Konno albo rowerem przeprawiało się szybciej. Taki sam problem wiązał się z poruszaniem się po większych miejscowościach, gdzie nie można już było korzystać z komunikacji miejskiej: przedostanie się z jednej dzielnicy do drugiej stało się nie lada wyprawą.

Przez kilka godzin jechali opuszczonymi ulicami. Na razie nie natknęli się na żadnego człowieka, z czego Hubert był całkiem zadowolony. Koło południa znaleźli osiedlowy niesplądrowany sklep, w którym zaopatrzyli się w jedzenie i wodę. Odpoczęli godzinę i ruszyli dalej.

Sylwia stawiała się z każdym przebytym kilometrem coraz bardziej zamyślona, z kolei Ada marudna. Mała narzekała, że bołą ją nogi, nie ma siły pedałowac, chce jej się pić.

Na szczęście na Zaspę dotarli jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu.

Jechali szeroką ulicą, z każdej strony wyrastały wysokie budynki. Murale straszyły dziwnymi wizjami. Kolory wciąż były żywe, wyraziste, ale Hubert zastanawiał się, ile jeszcze czasu upłynie, nim zblakną w słońcu, a tynk się wykruszy. Nerwowo trzymał karabin w dłoniach. Wiedział, że dziewczyny obawiają się, że nie zastaną w domu wujka. On bał się, że spotkają kogoś lub coś, czego się nie spodziewali.

– To ten blok – Sylwia wskazała na zielonkawy budynek

– Poznają go – ucieszyła się Ada.

Hubert z Ernestem wymienili spojrzenia. W blokach było wiele użytecznych przedmiotów, ubrań, a nawet jedzenia. I choć jeden człowiek mógłby przez kilka miesięcy co dzień zmieniać lokum i w ogóle nie przejmować się sprzątnaniem, mieszkanie w nich na stałe mijało się z celem,

bo pojawiał się problem z wodą i ogrzewaniem.

Zostawili rowery na poboczu i weszli między upiorne budynki o ciemnych oknach.

„W każdym takim bloku jest co najmniej pięć klatek schodowych – myślał Hubert. – W każdej klatce po trzy mieszkania na piętrze, co daje siedemdziesiąt pięć mieszkań. Jeżeli w każdym mieszkale trzyosobowa rodzina... Boże...”

Setki, tysiące ludzi mieszkających na jednym osiedlu zniknęły z tego miejsca. Wszyscy zginęli. Dopiero tutaj Hubert w pełni uświadomił sobie, jak wielu zabrały wojna i zaraza.

Podeszli pod klatkę „d”.

Ernest uścisnął rękę Sylwii, by dodać jej otuchy.

– Gotowa? – zapytał.

Dziewczyna na kłwnęła głową, wzięła głęboki wdech i zrobiła krok do przodu.

– Może ja pójdę pierwszy? – zaproponował Hubert, wyprzedzając ją. – Nie wiem, czy tam jest bezpiecznie.

Jedną ręką trzymał karabin, drugą pociągnął drzwi. Na klatce schodowej było ciemno i chłodno.

– Które to było piętro? – zapytał cicho chłopak.

– Trzecie – szepnęła Sylwia. Wzięła siostrę za rękę i poszła za nim.

Na końcu kroczył Ernest.

Hubert powoli zaczął się wspinać po schodach. Brudne okna przepuszczały do środka niewiele światła, więc nadal szli w ciemności. Kiedy dotarli na trzecie piętro, chłopak na wszelki wypadek sprawdził jeszcze czwarte, a potem wrócił do przyjaciół, którzy czekali pod drzwiami z numerem jedenaście.

– I co teraz? – zapytał.

– Może zapukać? – zaproponował Ernest.

Sylwia zastukała lekko. Odpowiedziała jej cisza. Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

– Trzeba wyważyć – zdecydował Hubert. – Odsuńcie się, a najlepiej zejździe piętro niżej.

Ernest zabrał dziewczynę na dół, a Hubert, przymykając oczy z obawy, że uderzy go jakiś rykoszet, wycełował lufę karabinu w zamek od drzwi i nacisnął spust. Pierwszy i drugi chybiony strzał odbił się hukiem po całej klatce schodowej. Dopiero trzeci zniszczył zamek.

„Całe blokowisko już wie o naszej obecności” – pomyślał Hubert, opuszczając lekko karabin.

Wszedł pierwszy do trzy pokojowego mieszkania. Sprawdził każde pomieszczenie, ale wszystkie były puste. Gdyby nie nieprzyjemny zapach stęchlizny oraz gruba warstwa kurzu i martwych much na parapetach, można by pomyśleć, że ktośkolwiek tu mieszkał, wyjechał dopiero co na wakacje.

Jak tylko chłopak zawołał do środka pozostałych, Ada z Sylwią zaczęły nerwowo zaglądać w każdy kąt.

Hubert, widząc pytający wzrok Ernesta, pokręcił głową.

Usiadł z karabinem na kolanach na kanapie w największym pokoju i przyglądał się dziewczynom przeszukującym mieszkanie. Przypomniało mu się, jak on sam dawno temu szukał swoich rodziców. W jakim był szoku, gdy znalazł własny zrujnowany dom, a w nim nie mógł trafić na najmniejszy ślad bliskich osób. Ale on wtedy był zupełnie sam. Nie wspierała go siostra, nie towarzyszyli przyjaciele, nie miał też żadnego planu na przyszłość.

– Nie ma go – stwierdziła płaczącym głosem Ada i usiadła koło Huberta.

– A ty chciałabyś tu mieszkać, kiedy tyle wielkich i dużo wygodniejszych domów stoi pustych? – zapytał wesoło.

– Nie – mruknęła. – Ale powinien tu czekać.

Ada na swój wiek bardzo dzielnie znosiła długą podróż, a kiedy u jej kresu nie czekała na nią nagroda, poczuła się oszukana i rozgoryczona. Broda zaczęła jej drżeć, a po policzkach popłynęły łzy.

– Ej, nie płacz. – Hubert niezdarnie poklepał ją po plecach.

Dziewczyńka, wciąż szlochając, przywarła do niego i objęła go ramionami. Chłopak odłożył na bok karabin i nie do końca wiedząc, jak się zachować, zaczął głaskać ją po głowie. Kiedy trochę się uspokoiła, otarła rękawem łzy i zwinęła się w kłębek na kanapie, opierając głowę o jego kolana. Chwilę później usnęła.

– Co z nią? – zapytał, kiedy do pokoju weszła Sylwia.

– Niech śpi – odparła.

Też nie wyglądała najlepiej. Była blada i miała cienie pod oczami.

Hubert wstał, podłożywszy pod głowę Ady poduszkę. Sylwia przykryła siostrę kocem, a potem oboje przeszli do kuchni.

– Zobaczcie, co znalazłem. – Ernest podniósł butelkę z winem. – Chyba nie jest popsute.

Co prawda nie znalazł korkociągu, ale udało mu się wcisnąć korek do środka za pomocą śrubokrętu, po czym rozlał trunka do trzech szklanek

– Nie chcę – mruknęła Sylwia.

– Daj spokój, przyda się nam wszystkim – odezwał się Hubert.

Usiedli przy stole i przez kilka minut się nie odzywali.

– Mogłam przewidzieć, że go tu nie znajdziemy – powiedziała w końcu gorzkim tonem Sylwia. – To było niemal pewne. Ale... ale...

– Ale w głębi duszy miałś jednak nadzieję, że wbrew wszystkiemu go tu zastaniesz – dokończył Hubert.

Pokiwała głową.

– Dlaczego nie zostawił żadnego listu? Jakiejś wskazówki, gdzie się udaje? – zapytała z wyrzutem.

– Może o tym nie pomyślał. – Ernest nie umiał znaleźć właściwych słów, by ją pocieszyć.

Dziewczyńka z ciężkim westchnieniem ukryła twarz w dłoniach.

Ernest gorączkowo myślał nad jakimś rozwiązaniem.

– Często do niego przyjeżdżaliście, prawda? – zapytał.

– Do niego i do cioci. – Dziewczyńka pokiwała głową.

– A więc wiesz, gdzie bywał. Sprawdzimy wszystkie jego ulubione miejsca. Może czasem wspominał, że jakaś część Gdańska podoba mu się bardziej niż inne?

Sylwia się zastanowiła.

– Raczej nie.

– Nic nie szkodzi. Jak spotkamy jakichś ludzi, miejmy nadzieję, że nie będą wrogo nastawieni, to zapytamy. Zostało tu tak mało osób, że siłą rzeczy wszyscy powinni się znać.

Hubert nie wiedział, czy to sensowny plan, ale sam nie miał lepszych pomysłów. Nie był dobry w planowaniu, w tym celował Ernest. Hubert wolał działać instynktownie, bez zbędnych

przemysłań.

– W takim razie wnieśmy toast za nasz sukces. – Chłopak uniósł kubek z winem.

– Jeżeli twój wujek jest w Gdańsku, to go znajdziemy. – Ernest podniósł swój kubek w kierunku Sylwii.

Następnego dnia zaczęli poszukiwania. Wiedzieli, że znalezienie jednego człowieka w wielkim, zrujnowanym mieście nie będzie łatwe, ale mieli nadzieję. Czas ich jednak naglił: trzeba było spieszyć się przed zimą. Już dawno temu brzozy zaczęły gubić liście, a inne drzewa powoli przybierały barwy od jasnej żółci do rubinowej czerwieni. Noce stawały się coraz chłodniejsze i Hubert wiedział, że jeżeli nie uda im się znaleźć wujka dziewczyn za dwa, najdalej trzy tygodnie, będą musieli zacząć szukać innego mieszkania, takiego, w którym jest sprawny piec. Czekali ich też zebranie zapasów drewna i żywności.

Ernest zobaczył w jakimś kiosku mapkę miasta i razem z Sylwią poznaczyli na niej wszystkie miejsca, gdzie kiedyś był wujek – jego ulubione puby, park, w którym często spacerował, sklepy, gdzie razem z żoną robili zakupy, kawiarnie, do których zabierał bratanice. Za każdym razem, gdy siostrze coś się przy pomniało, na mapie pojawiał się kolejny krzyżyk. Wyty powoli wiele punktów do sprawdzenia na dużym obszarze, ale z każdym dniem, gdy eliminowali kolejne, ta liczba zdawała się bardzo niepozorna.

Od razu uznali, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że miną się z wujkiem dziewczyn, więc wszędzie zostawiali napisaną sprayem wiadomość: „Sylwia i Ada, jesteśmy w starym mieszkaniu”. Była ona dość lakoniczna, ale woleli nie podawać zbyt wielu szczegółów.

Miasto było pełne zdziczałych zwierząt domowych, a w Parku Reagana nad morzem i w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym osiedliły się dziki. Hubert uznał, że w następnym tygodniu zapoluje na nie i będą musieli poświęcić któryś dzień, żeby zakonserwować mięso. Zimą przydadzą im się takie zapasy.

Z mieszkania w bloku, uprzednio zostawiając w nim kolejną wiadomość dla wujka, przenieśli się do niewielkiego domu w pobliżu. Wszystkich męczyło wchodzenie na trzecie piętro, a przede wszystkim wnoszenie tam wody. Na razie korzystali z zapasów wody mineralnej z pobliskich sklepów, ale wiedzieli, że już niedługo będą musieli zacząć szukać jej dalej.

Minęły dwa tygodnie od ich przyjazdu do Gdańska. Poszukiwania na razie nie dały żadnego rezultatu, oprócz tego, że na mapie znalezionej w kiosku pojawiała się coraz więcej odznaczonych krzyżyków – miejsc, które już sprawdzili. Jesień zaczęła się na dobre i Hubert wątpił, czy przed zimą uda im się wrócić do Dąbrówki.

– Będzie trzeba znaleźć lepszą kwaterę – powiedział któregoś wieczoru.

Cała czwórka siedziała w salonie nowego domu. Ernest mazał po swojej mapie Gdańska, Ada rysowała coś w zeszycie, a Sylwia przygotowywała kanapki w kuchni. Hubert pogrzbaczem przesuwiał płonące polana w kominku. Uznał, że kiedy niedługo przyjdą mrozy i spadnie śnieg, kominek może nie wystarczyć. I że przydałaby się też porządna kuchnia, gdyż teraz wszystkie ciepłe potrawy przygotowywali na ogniu, przez co najczęściej były albo spalone, albo niedopieczone.

Dlatego następnego dnia chłopak wziął karabin i wybrał się na poszukiwania nowego domu. Zapuścił się do starszych dzielnic, mając nadzieję, że tam może znajdzie budynki z piecami

kaflowymi. Maszerował między wielkimi, szarymi domami, które w większości wyglądały na opuszczone. Rachityczne, powyginane drzewka owocowe zwieszały gałęzie nad zardzewiałymi, niedgdyś stylowymi płotami.

– Jabłka! – ucieszył się Hubert, widząc w jednym z ogródków starą jabłoń, która już prawie nie miała liści, za to jej gałęzie aż ugięły się od czerwonych owoców.

Zarzucał na plecy karabin, podbiegł do drzewa i urwał jeden z nich. Jabłko było kruche i słodkie.

„Będzie trzeba zanieść trochę pozostałym” – pomyślał.

Wyjął z plecaka mapę miasta i zazaczył na niej ołówkiem punkt. Co prawda miał niezłą orientację w terenie, ale było już zbyt wiele miejsc, które chciał zapamiętać z różnych względów.

– Dobra, gdzie ja jestem? – zastanowił się. – Wygląda na to, że już w Brzeźnie.

Podniósł głowę znad mapy. Okolica wyglądała upiornie, ale może sto lat wcześniej, gdy była tu osobna osada, prezentowała się inaczej. Stare domy pewnie były zadbane, po brukowanych ulicach jeździły konne powozy, nad morzem stały drewniane chatki rybackie. Potem miejsce zostało zapomniane, a po wojnie kompletnie wyszczął.

Huberta zainteresował duży dom z wieżyczką. Wyglądał na stary i zaniedbany. Była szansa, że chłopak znajdzie w środku piec kaflowy, a jak mu się poszczęści, to i starą kuchnię kaflową albo nawet piec chlebowy. Już miał przekroczyć bramę wjazdową, gdy gdzieś w oddali usłyszał hałas. Błyskawicznie zdjął karabin z pleców i chwycił go w dłonie. Miasto było tak opustoszałe, że czasem zupełnie zapominał o tym, że może spotkać innych ludzi albo demony.

W tej chwili mógłby się bezpiecznie wycofać, ale niewiedza nie dałaby mu potem spokoju. Musiał odkryć, kto lub co było sprawcą tego hałasu. Rozdzierający dźwięk się powtórzył. Brzmiało to, jakby ktoś ciągnął po kamieniach coś metalowego i bardzo ciężkiego. Hubert ostrożnie zbliżył się do kolejnego starego domu. W biały dzień czuł się na ulicy odsłonięty: ktoś mógł go obserwować, jednocześnie pozostając niezauważonym. Dlatego chłopak dużo bardziej wolał las. Tam łatwo było się ukryć i przeciwnik miał takie same szanse jak on. Tyłko te przekłete demony...

– Auuu!!! – Chłopak usłyszał nagle wrzask – Porąbało cię?! Co ty wyprawiasz?!

– Upuściłeś mi, baranie, to cholerstwo na palce! – odrzyknęła ze złością druga osoba.

Głosy brzmiały młodo, jacyś chłopcy obrzucali się wyzwiskami. Obaj byli tak zajęci sprzeczką, że nie zauważyli Huberta, który zakradł się na podwórko starego domu, oparł o jego ścianę i z rozbawieniem obserwował, jak z niskiego, murowanego budynku nieznamomi próbują wynieść jakiś wielki, ciężki przedmiot. Klócąc się, utknęli w wąskich drzwiach, jeden na zewnątrz, a drugi wewnątrz.

– Unieś to, idioto! Nie pchaj! – krzyczał ten na zewnątrz.

– Nie idzie! Trzeba to pochylić – odparł ze złością drugi.

– A jak zamierzasz to, geniuszu, zrobić? Ani drgnie.

Obaj chłopcy mieli góra po czternaście, piętnaście lat i byli stanowczo za chudzi i drobni, żeby udźwignąć coś tak wielkiego, ale trzeba im przyznać, że się starali, i gdyby całą energię, którą wkładali w krzyczenie, wykorzystali do przesunięcia metalowej szafy, bo na nią ten przedmiot wyglądał, może coś by z tego wyszło.

Hubert dobrze im się przyjrzał i zobaczył, że oprócz noży jeden z nich miał pistolet wetknięty na plecach za pasek od spodni.

„Wynoszą jakieś metalowe komody i nie są przy tym ani dyskretni, ani subtelni, ani ostrożni – pomyślał chłopak – Czy ja też kiedyś byłem taki głośny i głupi?”.

– No pięknie – westchnął, gdy ujrzał wielkiego psa zerkającego na chłopców z zarośniętego ży wopłotu.

Zwierzęta raczej nie atakowały ludzi w miastach, chyba że była akurat sroga zima albo ci weszli na ich teren i zagrozili młodym. Jeżeli ten kudłaty olbrzym był suką, a w pobliżu znajdowały się szczeniaki, to hałaśliwa dwójka z całą pewnością mogła wydać się źródłem zagrożenia.

– Ożeż... – syknął nagle jeden z chłopców.

Podniósł głowę i jego wzrok padł na Huberta z karabinem w rękach.

– Co ty... – zaczął drugi i obejrzał się za siebie. – Cholera.

Ręka lekko mu drgnęła i najwyraźniej rozważał, czy zdąży sięgnąć po pistolet, zanim Hubert wypuści serię z kałasznikowa, lecz wtedy zobaczył psa, który wyszczerzył zęby i wyszedł z krzaków, warcząc gardłowo.

– Ja pierniczę – wyrwało mu się.

– Nie ruszaj się – rozkazał mu Hubert.

Zresztą nie było to konieczne, gdyż chłopak ze strachu zastygł, a krew odpłynęła mu z twarzy.

Pies, nie spuszczać dzieciaka z oczu, powoli kroczył w jego stronę. Łeb trzymał poniżej linii karku, warcząc, odsłaniał dziąsła, a skóra na nosie zmarszczyła mu się groźnie.

Hubert nie chciał zabijać zwierzęcia. Najprawdopodobniej broniło tylko legowiska. Karabin przełączył na ogień pojedynczy, skierował lufę niżej i nacisnął spust kilka razy. Kule zaryły w ziemię, wznosząc w górę fontannę piasku. Pies, być może trafiony przez poruszony kulą kamień, z dzikim piskiem odwrócił się i zniknął w krzakach.

Hubert poczekał chwilę, chcąc się przekonać, czy zwierzę wróci, ale najwyraźniej nie było aż takie głupie i chciało żyć. Podeszedł do chłopców i wyciągnął rękę do bruneta, który miał pistolet.

– No już – ponaglił go.

Chłopak z niechęcią podał mu broń.

– Co kradniecie? – zagadnął Hubert, opuszczając karabin.

– Ee, no my... – zaczął ten, który stał na zewnątrz budynku. – Przepraszamy.

– Nie wiedzieliśmy, że ktoś tu mieszka – dodał szybko drugi. – Jak pan chce, to możemy wnieść to z powrotem.

– Z tego, co widzę, to nikt tu nie mieszka. – Hubert odwrócił się i zerknął na dom. – O, westfalka – westchnął, gdy w końcu zobaczył, co chłopcy wynosili z chlewu.

Dokładnie taką samą miał w swoim domku w Świącinnie. Dużo czasu zajęło mu nauczanie się, jak rozpala się w niej ogień, podczas gdy dziewczynom, takim jak Ania czy Iza, przychodziło to tak łatwo. Wspomnienia na powrót ożyły. Uśmiechając się do swoich myśli, usiadł na kamieniu i obejrzał pistolet należący do chłopców.

– Dobra broń – powiedział. – Skąd macie wojskową kłamkę?

– Nie twoja sprawa – zachnął się brunet. Najwyraźniej fakt, że Hubert nie chciał ich od razu zastrzelić, dodał mu animuszu.

– No co ty? – Hubert spojrział na niego, unosząc brwi. W tej samej chwili wyjął z broni magazynek

– Dostaliśmy go, jesteśmy ze Śródmieścia – powiedział drugi chłopak

Wskoczył na kuchenkę i wyszedł po niej na zewnątrz chlewu.

– Ze Śródmieścia? – powtórzył Hubert.

– No tak, tam mieszkamy.

– Aha.

– Nie jesteś stąd? To znaczy z Trójmiasta?

– Nie, niedawno przyjechałem.

– Nazywam się Kajetan. – Blondyn wyciągnął do niego rękę.

Hubert zastanowił się, czy tamten nie planuje czegoś głupiego – czegoś w stylu próby odebrania mu broni przy powitaniu – ale młodemu dobrze patrzyło z oczu.

– Hubert – odparł, ściskając jego dłoń.

– Filip – przedstawił się brunet.

– To o co chodzi z tym Śródmieściem?

– Tam mieszka dużo ludzi, cywili – odparł Kajetan. – Jest też kilku żołnierzy, takich jak my. –

Dumnie wypiął pierś. – Pod dowództwem kapitana Brzeczota.

„Brzeczot? Kolesz naprawdę tak się nazywa?” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

– Pilnujemy magazynu i chronimy ludzi – dokończył chłopak

– Tutaj?

– Nie, w centrum – mruknął Filip. – Ale w naszej starej kuchni przepaliła się płyta i stary wysłał nas na poszukiwania nowej. No i znaleźliśmy całą kuchenkę, co jest chyba lepsze, tylko okazała się diabelsko ciężka.

– Dobra, pomogę wam – zadeklarował Hubert. – Najpierw wepchniemy ją do środka, a potem przekęcimy na boki tak wyniesiemy. Ty pchaj tu, a ty tu – polecił.

Nie minęło pięć minut, a kuchenka znajdowała się już na zewnątrz.

– Dzięki! – sapnęła Kajetan.

– Spoko. A jak zamierzacie przetransportować ją do tego Śródmieścia?

Chłopcy spojrzeli po sobie.

– O tym jeszcze nie myśleliśmy – mruknął Filip, drapiąc się po głowie i rozglądając po podwórku.

Hubert wznosił oczy do nieba.

– Jak można być tak nieogarniętym? – westchnął. – Ty – zwrócił się do Kajetana. – Na końcu ulicy jest brudnożółty dom. Gdzieś koło niego widziałem wózek złomiarzy, powinien wytrzymać ciężar westfalki.

– Okaj – odparł chłopak i ruszył truchtem we wskazanym kierunku.

Hubert tymczasem przykucnął przed kuchenką, otworzył drzwiczki i z ciekawością zajrzał do środka. Przydałoby się jej czyszczenie, ale westfalka była w dość dobrym stanie.

– No dokładnie taka sama – mruknął do siebie.

– Co? – zapytał Filip.

– Nic.

– Myślisz, że ten pies może wrócić? – zapytał chłopak, nerwowo zerkając na żywoplot.

– Na razie raczej nie. Ale masz nauczkę na przyszłość, żeby się tak nie wydzierać.

– Wcale się nie wydzieraliśmy. A poza tym, jakby ten pies się na mnie rzucił, to zdążyłbym wyciągnąć klamkę i strzelić.

– Aha, jasne – odparł Hubert, oddając mu pistolet.

– No tak W ogóle masakra, co się porobiło z tymi psami. – Filip zmienił temat. – Założę się, że ta bestia jeszcze trzy lata temu to był domowy pieszczołek A jak zabrakło człowieka, który by go karmił i wyprowadzał na spacer, to zamienił się w coś takiego i każdemu, kto przechodziłby akurat w pobliżu, najchętniej rzuciłby się do gardła.

– Nie dramatyzuj, tak się wydzieraliście, że każdy pies by się wściekł – stwierdził Hubert. – Powiedz, dużo ludzi mieszka tam, w tym Śródmieściu?

– Trochę, a co?

– Bo ja szukam pewnego człowieka.

– A jak się nazywa?

– Adam Łęczyński.

Filip zastanowił się chwilę.

– Nie słyszałem o nim. Ale to nic nie znaczy. Nie znam wszystkich z imienia i nazwiska. Bardziej kojarzę ich z twarzy. Ale jak chcesz, to Brzeszczot prowadzi listę ludzi mieszkających na Starym Mieście. Spisywał nawet nazwiska tych, co byli u nas przejazdem. Wiesz, właśnie na wypadek gdyby ktoś ich szukał.

Hubert zerknął na słońce, ale uznał, że jest już zbyt późno, żeby iść na Stare Miasto. Zdążyłby tam dotrzeć przed zmrokiem, ale wracać musiałby po ciemku albo przenocować u celu, a obiecał przyjaciółom, że wróci dziś do domu. Dziewczyny bardzo by się o niego martwiły, a poza tym nie mógł zostawić ich samych tylko z Ernestem.

– Czyli można tam do was przyjść? – zapytał. – Nie pogonicie człowieka karabinem?

– Spoko, można, jeżeli oczywiście nie masz złych zamiarów – odparł Filip. – Znajdziesz nas na Górze Gradowej. Może ten, którego szukasz, jest na naszej liście.

– Dobrze by było.

Na podwórko wszedł Kajetan, pchając przed sobą stary wózek. Co prawda kilka desek było przegniłych, ale sama metalowa konstrukcja wydawała się nienaruszona. Hubert pomógł chłopcom dźwignąć kuchenkę, ustawić ją na wózku i przywiązać znaną w chlewie liną.

– Dzięki za pomoc – powiedział Kajetan.

– Nie ma problemu.

– Jak chcesz, to przeszukam listy, a jak nie będzie na nich nazwiska tego faceta, to popytam ludzi – zaproponował Filip.

– Będę wdzięczny.

Kawałek drogi szli jeszcze razem, ale potem musieli się rozdzielić. Hubert wracał do obecnego domu, Kajetan i Filip zaś, w poczuciu dobrze wypełnionej misji, ruszyli w stronę Śródmieścia. Jeszcze z daleka mógł usłyszeć, jak się kłócą o to, który ma pchać, a który ciągnąć wózek.

– Jak tak dalej będą się wydzierać, to żywi nie dotrą na miejsce – powiedział do siebie z uśmiechem.

Gdy doszedł do domu, wszyscy byli już po kolacji, ale Sylwia podgrzała mu na patelni kaszę z gulaszem oraz zaparzyła herbatę.

– Wiedzieliście, że na Starym Mieście są ludzie? – zagadnął Hubert pomiędzy kolejnymi kęsami.

– Tak podejrzewałem. – Ernest pokiwiał głową. – Dużo starych budynków ze starymi systemami grzewczymi, dużo sklepów, wszędzie blisko...

– To dlaczego nie sprawdzaliśmy tam wcześniej, tylko przeszukujemy to głupie miasto od

północnej strony?

– Bo wujek nie lubił centrum – wtrąciła Ada. – Mówił zawsze, że tam jest tłoczno i ciągle są korki.

– A poza tym nie bardzo umiał jeździć po tych wszystkich wąskich uliczkach – dodała Sylwia.

– Ale to się chyba nie odnosi do obecnej sytuacji – stwierdził Hubert, wybierając z kaszy wyjątkowo duży kawałek mięsa.

– Niby tak, ale skoro przed wojną mu się tam nie podobało, to niby dlaczego miałyby się podobać teraz? – Dziewczyna wruszyła ramionami. – A poza tym mieliśmy tam też szukać. Tylko później.

Hubert zauważył, jak Sylwia z Ernestem wymieniają porozumiewawcze spojrzenie.

– Dlaczego później? – zapytał.

– Bo sam przecież chciałeś unikać ludzi – powiedziała powoli Sylwia.

– No dobra, ale jeżeli dzięki temu mielibyśmy szybciej go znaleźć...

– Tak, wiemy, ale my też się trochę boimy obcych.

– Że co? – zdziwił się.

– Oni się martwią o ciebie, bo zastrześliś już trzech ludzi i masz koszmary w nocy – wypaliła bez troskim tonem Ada.

– Dzięki, wiesz – zwróciła się do niej z przekąsem Sylwia.

Hubert powoli przeżuł ostatnią porcję kaszy, spokojnie odstawił talerz na stół i przetarł twarz dłońmi.

– Nie przesadzajcie – powiedział w końcu. – Zabilem ich, no dobra, nie było to najlepsze doświadczenie w moim życiu, ale nie oni pierwsi i nie ostatni.

– No właśnie, że pierwsi – stwierdził z naciskiem Ernest.

Hubert spojrzął na niego i uznał, że nie ma ochoty się kłócić. Zresztą nie sądził, żeby przyjaciel go zrozumiał. To, co przeżył w Poznaniu, albo ewentualnie śniło mu się, że przeżył, na zawsze odcisnęło na nim piętno. Czasem w głowie słyszał jeszcze te ogłuszające wybuchy i krzyki ludzi. I pamiętał, jak sam stracił świadomość, gdy zabrakło mu amunicji.

Kolejnego dnia wstali pełni nadziei, że nawet jeśli nie spotkają Łęczyńskiego na Starym Mieście, to może dowiedzą się czegoś na temat jego losów. Wyjechali równo o świcie, a na miejscu byli chwilę przed południem.

– Co to jest ta Góra Gradowa? – zapytał Hubert.

– Tam. – Ada wskazała palcem. Ponad budynkami i drzewami było widać wzniesienie, a na nim stał wielki krzyż. – Byłyśmy tu kilka razy z wujkiem. Fajny widok na cały Gdańsk i na żurawie!

Dziewczynka zerwała się do biegu, ale Hubert złapał ją za plecak.

– Nie takszybko. Jeszcze cię zastrzelą.

Na razie spotkał tylko dwóch przedstawicieli tego „wojska” i nie byli oni zbyt rozgarnięci. Wolał jednak nie ryzykować. Mogło się okazać, że pozostali najpierw będą strzelacą, a potem pytać. Rozejrzał się dookoła, ale nie zobaczył w pobliżu żadnych ludzi.

– To którą do góry? – zapytał w końcu.

– Chodźcie za mną – powiedziała Sylwia, ale zanim zrobiła pierwszy krok, Ernest ją wyprzedził.

– Mów którądy.

Dziewczyna wywróciła oczyma, ale wskazała mu kierunek. Hubert obejrzał się jeszcze za siebie, a potem ruszył za nimi.

Wspinali się po wąskiej dróżce wiodącej między wysokimi drzewami, aż dotarli do niewielkiej budki strażniczej. Wszedł z niej młody chłopak, celując w nich z pistoletu. Jednak mina mu zrzedła, kiedy zobaczył karabiny w rękach Huberta i Ernesta.

– Kim jesteście? – zapytał hardo. – Macie identyfikatory?

– Spokojnie – odezwał się Hubert, unosząc lekko obie ręce, jego karabin, choć odbezpieczony, wisiał przewieszony przez ramię. – Szukamy kogoś. Słyszeliśmy, że prowadzicie listę nazwisk tych, którzy mieszkają w okolicy.

– Prowadzimy – mruknął chłopak i rozejrzał się dookoła, niepewny, co robić.

– Ja go znam. – Na drogę wszedł nagle Kajetan, blondyn, którego Hubert spotkał poprzedniego dnia.

Chłopak stojący na warcie odetchnął.

– Cześć. – Kajetan wyciągnął rękę do Huberta, który ją uściśnął, a potem przedstawił swoich przyjaciół.

– I jak udało wam się wczoraj dotaszczyć tę kuchenkę na miejsce? – zagadnął Hubert.

– Taa... Co prawda było już ciemno, jak tu dotarliśmy, ale się udało. Nie zdążyliśmy jeszcze sprawdzić listy mieszkańców, ale jak chcecie, to was zaprowadzę i sami to zrobicie. Tylko musicie tu zostawić karabiny.

Ernest spojrział pytająco na Huberta. Jak tak dalej pójdzie, to kiedyś w końcu ktoś im nie odda skłofiskowanej broni. Chcieli się jednak dowiedzieć, czy Łęczyński mieszka na Starym Mieście, musieli zobaczyć listę.

– No dobra – westchnął Hubert. Zabezpieczył swój karabin, zdjął go z ramienia i podał chłopakowi na warcie. Ernest po chwili zrobił to samo.

Kajetan poprowadził czwórkę przyjaciół jeszcze wyżej. Góra Gradowa – ze względu na strome zbocza – była doskonałym miejscem do bronienia się przed ewentualnym wrogiem, a do tego została jeszcze ogrodzona zasiekami, przez które prowadziła tylko jedna droga. Forteca niemal nie do zdobycia. Przynajmniej dla ludzi, bo Hubert wciąż się obawiał, że kiedyś w końcu trafi na latające demony.

– Tutaj mieszkamy. – Kajetan wskazał kompleks kilku dużych budynków. – Przy stosowaliśmy je tak, że spokojnie można przetrwać w nich zimą. Jedyne problemy polegają na tym, że nie mamy bieżącej wody.

Weszli do jednego z budynków. W holu na tablicy korkowej wisiała kartka z ręcznie wypisaną listą nazwisk.

– Ci mieszkają w Śródmieściu – powiedział Kajetan. – A ci byli u nas tylko przejazdem. – Wskazał drugą listę, która oprócz nazwisk zawierała także nazwy miejsc, do których ktoś się wybierał.

Cała czwórka stanęła tak blisko tablicy, jak to było tylko możliwe. Zaczęli czytać. Hubert przebiegł wzrokiem po obu listach, ale nie zobaczył tego jedyne nazwiska, które ich interesowało.

– Nie ma go tu – oznajmił z zawodem w głosie Ernest.

– Musi być – odparła Sylwia i jeszcze raz zaczęła czytać po kolei nazwiska, przesuwając po

liście palcem wskazującym.

Dopiero po trzecim razie zrezygnowana opuściła rękę.

– A już miałam taką nadzieję – westchnęła, przecierając dłońmi twarz.

– Jeszcze popytamy. – Ernest objął ją ramieniem. – Może ktoś coś wie.

Dziewczyna na oparła czoło o jego klatkę piersiową, a po jej policzku zaczęły płynąć łzy.

– Chodź, mała, usiądźmy sobie na zewnątrz. – Hubert położył rękę na ramieniu Ady i wyszli wraz z Kajetanem z budynku.

– Długo go już szukacie? – zagadnął młody chłopak, kiedy usiedli na schodkach przed drzwiami.

– Już trochę będzie – odparł Hubert. – A dziewczyny przejechały kilkaset kilometrów, żeby się tutaj dostać.

– Współczuję.

– Co teraz będzie? – zapytała smutno Ada.

– Damy sobie radę – zapewnił ją Hubert. – Poszukamy jakiegoś fajnego domu na zimę, takiego, żeby ci się spodobał. Widziałem jeden piękny z wieżyczką w Brzeźnie, zobaczysz, będziesz zachwycona. A w wolnym czasie nadal będziemy szukać waszego wujka.

– A jaknie ma go już w Gdańsku?

– Przecież zostało nam do sprawdzenia mnóstwo miejsc, w których może być. Znajdziemy go.

– Obiecujesz? – Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy.

„Nie, nie obiecuję, w ogóle całe te poszukiwania są moim zdaniem skazane na porażkę” – pomyślał, ale głośno powiedział:

– Zrobimy wszystko, żeby się udało.

Usatysfakcjonowana Ada pokiwiała głową i położyła ją na jego kolanach.

– A nie chcielibyście zostać tutaj? – zapytał niespodziewanie Kajetan, który przysłuchiwał się ich rozmowie.

– To znaczy? – odezwał się Hubert.

– Na Starym Mieście jest pełno opuszczonych mieszkań, takich z piecami, mamy magazyny z wodą i jedzeniem, a przyda nam się każdy, kto umie posługiwać się bronią.

– Co ty na to? – Hubert zagadnął Adę, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Chłopak sam nie był pewien, czy to dobry pomysł. Nie wiedział, jacy ludzie tutaj mieszkają. Czy się z nimi dogadają? Czy nikt nie przyjdzie w nocy, żeby poderżnąć im gardła? Jednak w grupie zawsze łatwiej przetrwać zimę, a poza tym im więcej osób spotkają, tym większe prawdopodobieństwo, że któraś z nich wie coś na temat wujka dziewczyn.

Kiedy tylko Ernest wraz z Sylwią wyszli z budynku, przedstawił im propozycję Kajetana. Przez kilka minut rozważali wszystkie za i przeciw, aż w końcu zdecydowali się zostać.

– Przecież jeśli nie będzie nam się tu podobało, możemy odejść – skłonił Ernest.

– O ile nas wcześniej nie ukatrupią – mruknął pod nosem Hubert. – To do kogo trzeba iść z wnioskiem o przyznanie mieszkania? – zapytał Kajetana.

– Chodźcie, zaprowadzę was.

Przez kilkanaście minut kręcili się po okolicy w poszukiwaniu kapitana Brzeszczota, który dowodził całą dzielnicą, lecz nigdzie nie mogli go znaleźć.

– Jeżeli nie jest na mieście, to musi być w swoim biurze – stwierdził Kajetan.

– W takich chwilach tęsknię za telefonami komórkowymi – westchnął Hubert.

Miejscowy chłopak wprowadził ich do niewielkiego budynku z cegły. Szli w głąb długiego i zakurzonego korytarza, kiedy drogę zastąpił im wysoki, gruby mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy z krzywym nosem.

– Czego chcesz? – zwrócił się do Kajetana.

– Szukam kapitana – odparł chłopak.

– Po cholere? – warknął.

– Moi znajomi chcieliby u nas zamieszkać, kapralu.

Mężczyzna dopiero teraz przyjrzał się czwórce przyjaciół. Hubertowi wcale nie spodobał się sposób, w jaki na nich patrzył, jakby miał pretensje, że oddychają tym samym powietrzem, ale nie spuścił wzroku i spojrzał mu wyzywająco w oczy. Gruby kapral zmrużył powieki. Sylwia aż się cofnęła o krok i stanęła za Ernestem, chwytając go za łokieć.

– I po jaką cholere przyrowadzasz nam następnych darmozjadów?! – wybuchł niespodziewanie kapral. Miał nieswieży oddech.

– Kapitan mówił, że każdy nowy człowiek się przyda – bronił się Kajetan.

– Akurat! – prychnął mężczyzna. – Nic nie robią, a potrafią tylko żreć i jeszcze wymagają, żeby ich chronić.

– Co się tu dzieje? – zapytał ktoś ostrym tonem.

Korytarzem przy szedł niezbyt wysoki, ale barczysty mężczyzna.

Na dźwięk jego głosu kapral natychmiast usunął się na bok.

– Mam znajomych, którzy chcieliby u nas zamieszkać, kapitanie – odezwał się Kajetan.

Brzecznot spojrzał na nowo przybyłych, ale nie z wrogością, tylko jakby zastanawiał się, ile są warci.

– Mają własną broń – dodał chłopak.

– Chodźcie do mojego biura – odparł mężczyzna.

– Nie potrzebujemy kolejnych darmozjadów, sami doskonale damy sobie radę! – wtrącił kapral.

– O tym ja zadecyduję – uciął twardo kapitan. – A wy, kapralu Zgorzelec, możecie sprawdzić, czy nie ma już obiadu.

Gruby mężczyzna zmrużył z wściekłością swoje małe, świńskie oczka, odwrócił się i odmaszerował.

Kapitan zaprowadził pozostałych do swojego biura, które nie prezentowało się zbyt okazale. Wielkie, puste biurko na środku, jedno krzesło, szafa i kanapa. Stary gumolit na podłodze był przykryty brudnym dywanem.

Mężczyzna oparł się tyłem o biurko, skrzyżował nogi w kostkach i ramiona na piersi.

– A więc słucham – powiedział.

– Przyjechaliśmy do Gdańska szukać Adama Łęczyńskiego, wujka dziewczyn – zabrał głos Ernest. – Mieszkamy tu już od kilku tygodni, ale jeszcze go nie znaleźliśmy i teraz musimy się zatrzymać gdzieś na zimę.

– Macie własną broń?

– Tak, dwa kałasznikowy, które musieliśmy zostawić u wartownika.

– A amunicję?

– Dużo straciliśmy po drodze, ale jeszcze trochę mamy.

– Dobrze. A co umiecie robić?

Ernest spojrział pytająco na Huberta.

– Zabijać demony – mruknął chłopak.

– Słucham?

– Wszystko, co trzeba zrobić w gospodarstwie – wtrącił szybko Ernest. – Jesteśmy ze wsi. Z polowaniem też nie ma problemu.

– Dobrze. – Kapitana najwyraźniej to satysfakcjonowało. – Nie nadajemy tu ludziom stopni, ale to tak, jakbyście byli szeregowymi. Odpowiadacie przed każdym, kto jest starszy stopniem. Zapewnimy wam wyżywienie i zakwaterowanie, ale będziecie musieli na nie zapracować. Jeżeli pojawią się jakieś niejasności, zwracajcie się do mnie. Jestem kapitan Julian Brzeszczot.

Hubert musiał się uszczyplnąć w rękę, żeby nie zacząć się śmiać.

Nagle Sylwia szturchnęła Ernesta w żebra.

– A co z naszymi poszukiwaniami? – zapytał chłopak.

– Dostaniecie trochę wolnego czasu, a raz czy dwa w tygodniu dzień wolny. Wystarczy?

Pokiwali głowami.

– Piątkowski – zwrócił się do Kajetana. – Dowiedz się, które pokoje są wolne, i ich tam zaprowadź. Wieczorem chłopaki zameldują się u kaprala Zgorzelca i dowiedzą się, co mają zrobić, a dziewczęta pomogą kobietom przy kolacji.

– Mamy się rozdzielić? – zapytał Ernest.

Kapitan spojrział na niego, potem na Sylwię i jeszcze raz na niego.

– Nie bój się, nic im nie zrobią – zapewnił Brzeszczot. – Mieliby ze mną do czynienia. Obecnie nasza kuchnia jest jednym z najbezpieczniejszych miejsc w całym Gdańsku.

Kajetan zasalutował i wyszli na korytarz.

Dostali dwuosobowe pokoje, dziewczyny na osobnym piętrze wraz z innymi kobietami. Potem Hubert razem z Ernestem odebrali swoje karabiny i pojechali na pożyczonych rowerach po cały dobytek, jaki zostawili w poprzednim domu. Było późne popołudnie, kiedy się rozpakowali w nowych pokojach. Sylwia z Adą zostały zaprowadzone do kuchni, a chłopcy udali się do Zgorzelca.

Kapral nie zrobił na nich dobrego pierwszego wrażenia. Z drugim było jeszcze gorzej. Przydzielił chłopakom najgorsze warty – jednemu od drugiej do czwartej w nocy, drugiemu od czwartej do szóstej. Na następny dzień z kolei zaplanował im pomoc przy kopaniu nowych wychodków i Hubert uznał, że to na pewno najgorsza robota, jaką mógł wymyślić. Na szczęście kapral nie miał pojęcia, że obaj pracowali już dużo ciężiej, i o ile pogoda była ładna, to machanie szpadłem nie stanowiło dla nich większego wyzwania.

Kolację zjedli we wspólnej stołówce, a potem cała czwórka zebrała się w pokoju dziewczyn. Ernest usiadł przy Sylwii, obejmując ją ramieniem. Ada przycupnęła na parapecie, a Hubert rozłożył się na jej łóżku.

– I co sądzicie? – zapytał.

– Damy radę przeżyć – odparł Ernest. – Nie musimy sami sobie gotować – powiedział zadowolony.

– Bo ktoś inny podstawia wam jedzenie pod nos – mruknęła Sylwia.

– Aż tak ciężko było w kuchni? – zdziwił się.

– Nie, nie było źle, główna kucharka... Jak ona się zwała?

– Zofia – odpowiedziała Ada.

– No właśnie, pani Zofia jest w porządku, jeszcze trzy inne dziewczyny nam pomagały. A jutro rano mamy o szóstej stawić się na dyżur, żeby przygotować śniadanie. I niestety jesteśmy odpowiedzialne też za pralnię.

– Coraz bardziej mi się tu podoba, skoro nie będę musiał sam pracować swoich ciuchów – ucieszył się Hubert.

– Spadaj. – Sylwia rzuciła w niego poduszką.

Złapał ją i podłożył sobie pod głowę.

– Mnie się nie spodobał ten facet, jak mu tam było... Zgorzelec chyba – powiedział Ernest.

– Kawał drania – dodał Hubert. – Uważajcie na niego.

Około jedenastej w nocy chłopcy zostawili siostry i poszli do swojego pokoju. Musieli spróbować się wyspać przed nocnymi wartami i jak tylko się położyli, natychmiast zasnęli.

W środku nocy Huberta obudził jakiś hałas. Podniósł się gwałtownie i nerwowo rozejrzał, jednocześnie biorąc do rąk karabin, który zawsze w nocy trzymał przy sobie. W pierwszej chwili nie miał pojęcia, gdzie jest ani co się dzieje, lecz po paru sekundach wszystko sobie przypomniał. Zerknął w bok i zobaczył Ernesta, który już stał na baczność z karabinem wycelowanym w drzwi. Ktoś ponownie zaczął w niego walić.

– Czego? – burknął Hubert.

Wstał z łóżka i trzymając karabin przed sobą, przekręcił kluczyk w drzwiach i powoli nacisnął klamkę. Na korytarzu stała dziewczyna z lampą naftową w ręku. Zmierzyła wzrokiem Huberta, a potem Ernesta i prychnęła cicho.

– Który z was ma wartę od drugiej? – zapytała.

– Ja – odparł Hubert.

– No to na co czekasz? Już jesteś spóźniony – powiedziała z wyrzutem. – Ubierz się ciepło, bo strasznie późno.

– To ja idę spać – stwierdził Ernest, rzucając się na łóżko. – Obudź mnie, jak przyjdzie moja kolej.

Hubert szybko się ubrał, wziął karabin i pomaszerował za chudą, wysoką dziewczyną na zewnątrz budynku. Miała rację, wiał przeraźliwie zimny wiatr, a ziemia była mokra po deszczu. Doszli do niewielkiej wartowni stojącej na jedynej drodze prowadzącej na szczyt Góry Gradowej. Dziewczyna usiadła za stolikiem i wyjęła z torby duży termos.

– Chcesz kawy? – zapytała.

Hubert pokiwał głową i sennie przetarł oczy.

– Agata jestem. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Hubert.

Chociaż Agata była najwyraźniej ubrana na cebulkę, wydawała się bardzo chuda. Miała długie kościste palce, wystające kości policzkowe i krótkie jasne włosy.

– Nie wiedziałem, że dziewczyny też tutaj służą – zagadnął Hubert, chwytając w obie ręce gorący kubek.

– A co, nie mogą? Myślicie, że się do tego nie nadajemy? – zapytała ze złością.

– Nie, pewnie, że nie – zaczął się bronić. – Znam takie dziewczyny, które tropią i strzelają znacznie lepiej niż niejeden facet.

Z zadowoleniem pokiwała głową.

– Coś się w ogóle dzieje tutaj w nocy czy te warty są tylko na wszelki wypadek? – zapytał po kilku minutach ciszy.

– Raczej jest spokojnie. Choć ostatnio jacyś ludzie pływają po Motławie. Na razie nic nie próbowali, ale wiesz, z takimi nigdy nie wiadomo. Tym bardziej, kiedy zbliża się zima, a zapomnieli o zrobieniu zapasów.

– Pierwszej zimy po wojnie paru dezertków włamało się na plebanie u nas we wsi.

– I co, przepędziliście ich?

– Tak, ale wrócili w nocy i zastrzelili księdza.

– Dranie.

Hubert westchnął ciężko. To było zaledwie dwa lata temu, a jemu wydawało się, jakby minęły od tego czasu całe wieki. Hubert zmężniał i wydorósł. Inaczej patrzył na świat. Tak wiele się zmieniło od wojny. Czy naprawdę stracił mamę i przestał rozmawiać z ojcem? Uczył się coraz lepiej tropić demony, zastrzelił trzech ludzi. Wszystko było już inne.

– Czasem nie mogę się nadziwić, jakie ciche jest teraz miasto – odezwała się Agata.

Przez ostatnie lata Hubert przywykł do ciszy, ale na wsi czy w lesie, gdzie zawsze rozbrzmiewały jakieś odgłosy natury, nigdy nie była taka upiorna. W mieście wydawała się wręcz przytłaczająca. Zza chmur wyszedł księżyc, oświetlając ciemne bryły budynków – miasto, niegdyś tętniące życiem, a teraz przywodzące na myśl olbrzymi grobowiec.

– I ciemne – dodał Hubert. – Wyobrażasz sobie, żeby kiedyś można było zobaczyć z tego miejsca choć jedną gwiazdę?

– Mowy nie ma.

– Jesteś stąd? – zagadnął.

– Uhm. – Dziewczyna pokiwała głową. – Mieszkałam kiedyś z rodziną prawie nad samym brzegiem morza.

Huberta ciekawiło, co się stało z jej rodziną, jak się znalazła w tej samozwańczej jednostce wojskowej, ale się powstrzymał od pytań. To, co się działo dwa, trzy lata wcześniej, dla większości osób wiązało się najczęściej z bardzo bolesnymi wspomnieniami. O takich rzeczach się nie rozmawia, jeszcze na to za wcześnie. Może w przyszłości nadejdzie ku temu odpowiedni czas. Może on sam kiedyś zdoła porozmawiać z kims o tym, co go dręczy, o śmierci mamy i setek innych osób, o tym, że wiedział, że koniec świata jest bliski, ale nie potrafił zrobić nic, żeby temu zapobiec i uratować ludzi.

Dwie godziny warty minęły stosunkowo szybko. Rozmawiał z Agatą na błahe tematy, pili kawę i zagryzali ją ciastkami. A o czwartej nad ranem, gdy wciąż było ciemno, poszedł obudzić Ernesta, sam zaś rzucił się na łóżko i od razu zasnął.

O ósmej rano wraz z Ernestem poszli do stołówki na śniadanie i z wielką przyjemnością, po raz pierwszy od kilku tygodni, zjedli świeży pszenny chleb. Przywitali się z Adą i Sylwią, ale nie było czasu na pogawędkę: dziewczyny szły do pralni, a oni musieli się zabrać do kopalni.

Na miejscu pracowało już kilku chłopaków, głównie rówieśników Huberta i Ernesta. Wśród nich dostrzegli Filipa, kolegę Kajetana.

Z początku stanęli z boku i czekali, aż ktoś ich poinstruuje, co robić, ale gdy zobaczyli, jak nieporadnie pozostali kopią doły i zbijają deski, uznali, że w takim tempie nie skończą pracy do wiosny. Przejęli więc dowodzenie. Hubert przedstawił swój plan, Ernest zaś namówił wszystkich

na jego realizację.

Choć było już dość chłodno, żeby nie powiedzieć mroźno, wszyscy szybko się rozgrzali i w pocie czoła pracowali do późnego popołudnia.

– Tak dużo to my w jeden dzień nigdy nie zrobiliśmy – oświadczył na koniec Filip.

– Skoro niektórzy w tym towarzystwie nie wiedzą, jak trzymać młotek, to wcale mnie to nie dziwi – mruknął Hubert.

Po pracy mogli się umyć w łazience w misce z zimną wodą, po czym powędrowali do stołówek. Gdy zjedli obiad, spotkali się w pokoju Sylwii i Ady. Wciąż zostało kilka godzin do zmierzchu, ale nikt już nie miał ani siły, ani ochoty ruszać na dalsze poszukiwania wujka dziewczyn. Przełożyli to na następny dzień, kiedy wszyscy mieli wolne.



ROZDZIAŁ XII

Kolejne dni zlewały się Hubertowi w jedno. Wcześniej rano pobudka, śniadanie, praca przy budowie wychodków, warta na Górze Gradowej lub na Starym Mieście. Codziennie poświęcali też kilka godzin na szukanie Łęczyńskiego. Niestety, na razie bez rezultatów. Każdego dnia poznawali coraz więcej ludzi i dowiadywali się wielu rzeczy o obecnym życiu w Gdańsku.

Miasto bardzo ucierpiało podczas zarazy. Zabrakło lekarzy do opieki nad chorymi, żołnierzy do pilnowania porządku, a w końcu osób do palenia i grzebania ciał. Większość ludzi mieszkała teraz w kamienicach na Starym Mieście, skąd było blisko do wielu sklepów. Około trzydziestu osób zajmowało kwatery na Górze Gradowej. Byli wśród nich sam kapitan oraz kapral Zgorzelec, którego Hubert coraz bardziej nie lubił. W jednostce mieszkało kilkunastu młodych ludzi, chłopcy i trzy dziewczyny, którzy nie mieli gdzie się podziać, a opieka Brzeszczota gwarantowała im ciepły dach nad głową i posiłki. Lokum znaleźli tutaj również starsi zarówno stopniem, jak i wiekiem mężczyźni oraz parę kobiet, które pracowały w kuchni i pralni. Większość nie miała nikogo bliskiego.

W ciągu ostatniego roku ludzie Brzeszczota ogołocili z towarów pobliskie sklepy oraz niezamieszkałe domy, gromadząc dobra i zapasy w powojennym schronie przeciwlotniczym, który znajdował się pod peronami stacji PKP u stóp Góry Gradowej. Któregoś dnia Hubert dowiedział się, że schron miał kiedyś służyć pracownikom kolei, a po drugiej wojnie światowej został zamknięty dla ludzi i władze nie zdołały go w żaden sposób wykorzystać przed nadejściem kolejnej wojny.

Wodę do prania i kąpieli czerpano z płynącej po Starym Mieście brudnej Motławy, jednak nikt nie odważył się jej pić. Czystą wodę przywożono z obrzeży miasta w prymitywnym beczkowie zaprzęgniętym w chudego konia. Jeżeli chodzi o drewno, zwożono je skonstruowaną po wojnie drewną, która Hubertowi szczególnie przypadła do gustu. Spodobało mu się, że można nią dojechać wszędzie tam, gdzie sięgały tory kolejowe.

Któregoś dnia, za pozwoleniem kapitana Brzeszczota, Hubert wraz z Agatą wybrali się do parku na polowanie i po kilku godzinach zdołali ustrzelić młodego jelenka, którego zaciągnęli na Górę Gradową i oddali kobietom w kuchni.

– Normalnie czuję się jak morderca – stwierdził Hubert, gdy myli ręce w misce z wodą. – Te zwierzęta w ogóle nie boją się ludzi i upolować takiego to żadne wyzwanie.

– Dziwisz się? Od niemal trzech lat nikt nie zagląda do tego parku, więc czują się bezpieczne – odparła dziewczyna.

– Dziwię się, że wy jeszcze tam nie polowaliście.

– Ktoś polował, nawet wrócił z zającami, ale do tej pory nie mieliśmy tu nikogo, kto chciałby się zasadzić na grubszą zwierzynę.

– A widziałaś miny kobiet w kuchni? Były zachwycone, że będą mogły zaserwować na obiad coś innego – zaśmiał się.

– Od tej pory jesteś ich ulubieńcem.

– Mam nadzieję, że to się przekłada na wielkość porcji obiadowej, jaką będę dostawał – żartował.

– Zobaczmy my. – Agata się uśmiechnęła.

Kiedy Hubert był na polowaniu, Sylwia zostawiła Adę pod opieką jednej z nowych koleżanek i udała się wraz z Ernestem na poszukiwania wujka, a wieczorem, gdy wszyscy zebrali się w pokoju dziewczyn, wysłuchał ich relacji z wyprawy, która jak zwykle była bezowocna. Hubert zaczął tracić nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek odnajdą Łęczyńskiego. Już od kilku tygodni bez skutku przetrząsali miasto. Sam już dawno temu straciłby nadzieję, ale dziewczyny były uparte i święcie przekonane, że wujek żyje i że razem zamieszkają w jakimś wolnym domu na Starym Mieście. Nie chciały nawet słyszeć o innym scenariuszu, jednak Hubert powoli oswajał się z myślą, że na wiosnę siostry albo wrócą z nimi do Dąbrówek, albo zostaną na Górze Gradowej pod opieką Brzeszczota.

Kilka dni po udanym polowaniu kapral Zgorzelec oznajmił Hubertowi i Ernestowi, że pod jego nadzorem, wraz z kilkoma innymi osobami, wybiorą się na obrzeża miasta, żeby zdobyć betonowe obręcze konieczne do zbudowania studni. Postanowiono bowiem, że wożenie beczkowiec z zapasów wody ze sklepów to na dłuższą metę kiepskie rozwiązanie. Musieli więc wykopać dół na studnię, zanim ziemię skuje mróz.

Na Starym Mieście mieszkał mężczyzna koło pięćdziesiątki, który niegdyś był geodetą, na starych mapach odnalazł miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się miejska studnia. Wszyscy wiedzieli, że pod żadnym pozorem nie można kopać dokładnie w tym punkcie, bo studnie miejskie często kryły niewybuchy i niewypały, więc jeżeli nie chcieli wysadzić w powietrze całej okolicy, musieli wybrać jakieś miejsce obok.

O szóstej rano do pokoju Huberta i Ernesta wpadł Kajetan, żeby ich obudzić.

- Wstawać! – krzyknął. – Pozostali już jedzą śniadanie.
- Spadaj! – warknął Hubert i naciągnął koldrę na głowę.
- Wstawaj – mruknął Ernest, zwlekając się z łóżka.
- Nigdzie nie idę.

- Rusz tyłek, bo Zgorzelec nie da ci żyć – przestrzegł Kajetan.

Wzdychając ciężko, Hubert usiadł na łóżku. Z jego ust leciały obłoczki pary. Był niewyspany, zmarnięty i niezadowolony. A życie w wojsku wcale mu się nie spodobało, gdyż ciągle musiał wykonywać rozkazy innych.

Z Góry Gradowej skierowali się na południe, licząc na to, że w sklepach budowlanych przy obwodnicy znajdą to, czego potrzebują. Kapral Zgorzelec jechał na wozie ciągniętym przez chudego konia, a pozostali, czyli Hubert, Ernest, Kajetan i Agata, dostali rowery.

Gdańsk był opustoszały, więc nie został podzielony na nowe dzielnice, które by walczyły między sobą o mizerne wpływy. Z jednej strony Hubert uznał to za dobrą wiadomość – przemieszczanie nie wiązało się z problemami – ale z drugiej znaczyło, że musiały tu zginąć dziesiątki tysięcy ludzi.

Po drodze niewiele rozmawiali, mało też się wydarzyło. I choć Hubert znał swoich nowych towarzyszy krótko, czuł się pewniej, przemierzając z nimi puste ulice. Każdy miał naładowaną broń i przeszedł podstawowe przeszkolenie wojskowe, mogli więc poradzić sobie z różnymi zagrożeniami.

Nisko nad horyzontem wisały ciemne chmury, ale wszyscy mieli nadzieję, że ulewa nie zastanie ich w drodze. Jednak nie tylko dlatego musieli się spieszyć. Teraz, im bliżej zimy, zmrok zapadał coraz szybciej.

- Nie powinniśmy poszukać jakiegoś miejsca na nocleg? – zapytał Hubert, kiedy było już po południu.

- Daj spokój, jesteśmy już blisko. – Agata machnęła ręką.
- Boisz się ciemności? – zakpił Zgorzelec.
- Nie ciemności, tylko tego, co może w niej siedzieć.
- Może zdziczały ch zwierząt domowych?

Hubert ostentacyjnie wrzucił ramionami i odwrócił wzrok. Kapral działał mu na nerwy. Był uparty i złośliwy, ciągle docinał Agacie, że w wojsku nie ma miejsca dla dziewczyn, kpił z Kajetana, a Huberta i Ernesta otwarcie uważał za darmozjadów.

„Dziwię się, że jeszcze nikt mu nie przyłożył – pomyślał Hubert. – A jak facet się nie opanuje, to w sytuacji kryzysowej podczas jakiegoś napadu czy strzelaniny na jego miejscu obawiałbym się bratobójczego ognia”.

- Ty. – Zgorzelec wskazał palcem na Ernesta, kiedy zatrzymali się przed wielkimi, szklanymi drzwiami supermarketu budowlanego. – Wybij tę szybę.

- Nie lepiej spróbować otworzyć te drzwi? – zaproponował chłopak – Bo jak będzie deszcz, rzeczy w środku naciągną wilgocia i się poniszczą...

- TO BYŁ ROZKAZ!

Ernest wymienił spojrzenie z Hubertem, a potem wrzucił ramionami i łomem stukł olbrzymią szybę.

- Wiecie, czego szukamy – powiedział Zgorzelec i pierwszy przeszedł przez próg.

Pozostali podążyli za nim. Hubert zadrzał lekko. Słońce już kilkanaście minut temu zniknęło za horyzontem i choć wciąż było jasno, w markacie panował nieprzyjemny chłód i półmrok. Chłopak poprawił chwyt na karabinie i odbezpieczył broń, na co Zgorzelec prychnął z lekceważeniem.

Minęli stare, niedziałające kasy i skierowali się w głąb olbrzymiej hali. Byli właśnie przy workach z cementem, kiedy Huberta ogarnęło dziwne przecucie. Jego zmysły zaczęły krzyczeć. Spojrzał na pozostałych, ale najwyraźniej nic ich nie zaniepokoiło.

– Stój! – syknął do kaprała, który od niechcenia przeciął nożem worek z cementem. Szary pył wznosił się w powietrze, a potem zaczął powoli opadać na ziemię.

– Masz się do mnie zwracać kapralu, gówniarzu.

– Coś tu jest. – Hubert zignorował jego obcesowość.

– Niby co? – rzucił Zgorzelec lekceważąco i nie czekając na odpowiedź, poszedł dalej.

Chłopak z szeroko otwartymi oczyma odwrócił się do przyjaciela.

– Ile? – zapytał rzeczowo Ernest.

– Nie wiem.

– Duże?

Hubert pokiwiał głową.

Kajetan i Agata obserwowali ich wymianę zdań z zainteresowaniem i lekkim przestraszaniem.

– Powinniśmy się wycofać – powiedział Hubert.

– Nie pieprz głupot, gnojku – wściekł się Zgorzelec. Na jego twarzy odmalowała się złość.

Chłopak zignorował go.

– Wychodzimy – powiedział twardo.

Wiedział, że Agata i Kajetan posłuchają, gdyż woleliby nie ryzykować, nawet gdy nie do końca wiedzieli, co się dzieje, ale Zgorzelec wpadł w jeszcze większą wściekłość.

– To nie ty wydajesz tu rozkazy! – warknął. – Idziemy dalej.

Agata i Kajetan drgnęli niezdecydowani.

– JUŻ!

Wyminęli Huberta i Ernesta i stanęli po stronie kaprała, spuszczać wzrok.

Nagle Hubert znów poczuł demona, a tym razem wrażenie jego obecności było tak silne, że niemal zważyło go z nóg. Musiał przytrzymać się regału. Spróbował odetchnąć, uspokoić się, ale jego wszystkie zmysły wrzeszczały, żeby uciekał z hali. Był skołowany, w głowie miał mętlik.

Ernest, widząc, co się z nim dzieje, rozejrzał się dookoła nerwowo, ale widok przesłaniały mu wysokie, metalowe regały.

Niespodziewanie, w ułamku sekundy, umysł Huberta się oczyścił, w końcu mógł myśleć klarownie, jego zmysły się wyostrzyły. Ruszył biegiem w stronę zaskoczonych Zgorzelca, Agaty i Kajetana, od których dzieliło go kilka metrów i poprzeczna alejka. Wpadł na skrzyżowanie sekundę przed wielką włochatą bestią pędzącą na nich z prawej strony. Demon przywodził na myśl skrzyżowanie niedźwiedzia z wilkiem i choć Hubert nigdy go jeszcze nie widział, od razu się domyślił, że to bies. Strzelił kilka razy, ale potwór biegł dalej. Naboje najwyraźniej nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

Hubert uskoczył przed nim na bok i zdzielił w wielki łeb kolbą karabinu. Usłyszał, jak Agata krzyczy. Bies wyhamował i zawrócił, kierując się w jej stronę. Zawarczał głośno. Dziewczyna zaczęła szarpać karabin, ale nie mogła go odbezpieczyć. Kajetan stał nieruchomo z przeraźliwie

bladą twarzą i patrzył jak zahipnotyzowany w ślepią bestii. Zgorzelec, który ukrył się za nimi, odwrócił się i uciekł, znikając między regałami.

Hubert przyłożył karabin do ramienia, celując w demona, który był teraz do niego odwrócony tyłem. Nie mógł jednak bezpiecznie oddać strzału – trafiłby kolegów. Nagle, tuż nad jego głową, przeleciał jakiś przedmiot. To Ernest rzucił w biesa kafelkiem. Trafił w zad. Hubert natychmiast poszedł w ślady przyjaciela, chwycił inny kafelek i cisnął nim z całej siły. Bies odwrócił w ich stronę łeb i zawarczał ze złością.

– Uciekajcie! – krzyknął Hubert.

Agata chwyciła Kajetana za rękę i pociągnęła w głąb alejki sklepowej. Bies spojrzął za nimi, ale już po chwili całą uwagę skupił na Hubercie i Erneście. Powoli ruszył w ich stronę. Jego wielkie łapy ze zgrzytem rysowały posadzkę. Demon pochylił nisko łeb, wciąż wpatrując się w chłopców małymi, czarnymi ślepiami. Zmarszczył skórę na pysku, odsłaniając wszystkie zęby.

Hubert znów otworzył ogień, myśląc, że potwór musi się w końcu zatrzymać, Ernest po chwili go wsparł. Kule zatapiały się w wielkim cielsku, ale bies tylko zawył groźnie i ruszył na nich biegiem, nie zważając na pociski.

„Nie ustąpię”.

Bies był już trzy metry od nich.

„Ależ on ma ostre pazury i wielkie łapy”.

Dwa metry.

„I te wredne ślepie. Zaraz się zatrzyma. Musi”.

Metr.

„Ale mu jedzie z pyska...”.

Demon przekrzywił łeb na bok i wziął zamach wielką, kudłatą łapą zakończoną ostrymi pazurami.

„Doścignie mnie” – pomyślał Hubert z zaskoczeniem.

Wtem Ernest złapał go za kołnierz i mocno pociągnął do tyłu. Hubert poczuł też silne uderzenie w lewe ramię.

Wszyscy upadli na ziemię. Chłopcy zaledwie kilka centymetrów od pyska martwego biesa.

Rudzielec natychmiast poderwał się na nogi i wycełował w demona, ale ten ani drgnął. Z jego pyska zaczęła cieknąć krew, a po kilku sekundach wokół cielska wykwitła krwawa kałuża.

Hubert spróbował dźwignąć się do góry, ale zakręciło mu się w głowie.

– Pogrzało cię?! – wybuchł Ernest, zwracając się w jego stronę.

– No co?

– Brałeś go na wstrzymanie?! Kto pierwszy wymięknie?!

– Trochę tak – Chłopak się uśmiechnął.

– Jesteś poryty jego pazurami – stwierdził Ernest i kucnął przy nim. – Zahaczył cię łapą?

– Trochę. – Hubert prawą ręką dotknął lewego ramienia. Kurtka była rozerwana od łopatki aż po łokieć. Wyczuł ciepłą, lepłą krew płynącą po skórze. – Drapnął mnie – powiedział zdziwiony. – A nic prawie nie poczułem.

– Głupi jesteś – orzekł Ernest. – Wstawaj. – Wyciągnął do niego dłoń i pomógł mu dźwignąć się na nogi, a potem wyprowadził z budynku.

W żyłach Hubert wciąż buzowała adrenalina, pewnie to właśnie przez nią nie czuł bólu. Dokuczalo mu jedynie to, że nie może poruszyć lewą ręką, która bezwładnie wisiała przy boku. Po

palcach ściekała mu krew.

– Siadaj. – Ernest posadził przyjaciela na krawężniku przed sklepem. Rozerwał mu kurtkę oraz bluzę na lewej ręce. – Jezu! – jęknął.

– Co? – Hubert spojrzął na swoje ramię i zrobiło mu się słabo. Niemał od samej łopatki przez biceps aż do wewnętrznej strony łokcia ciągnęła się głęboka szrama. Krew lała się z niej gęstym strumieniem.

– Cholera, jak to zatamować? – denerwował się Ernest. Spróbował ścisnąć brzegi rany, ale żeby zrobić to dobrze, potrzebowałyby co najmniej czterech rąk

– Co to było? – Z hali wyszła błada jak ściana Agata, ciągnąc za rękaw Kajetana.

– Bies – wyjaśnił Ernest, próbując wciąż zatamować krwotok

Hubertowi zaczęły latać przed oczyma mroczki.

– A jemu co? – zapytała bardziej rzeczowo dziewczyna.

– Drapnął go.

– Pokaż. – Przykucnęła przy nich. – Jezu... Młody... – Obejrzała się na Kajetana. – Na wozie jest czerwona torba, przynieś mi ją. Nie trzeba było mu odrywać rękawa munduru – kontynuowała. – Jak się to owinie bandażem, na krótki czas wystarczy za opatrunek

– Ernie – powiedział Hubert, który musiał się porządnie skupiać przy wymawianiu każdej sylaby. – Trzeba sprawdzić, czy nie było ich więcej. Nie wydaje mi się, ale wiesz... I chce ząb...

– Wypchaj się, nie będę ci przynosił jego zębów, porąbany kolekcjonerze.

Agata kazała Ernestowi ścisnąć ranę, a sama z wprawą obwinęła całe ramię bandażem.

– Na razie powinno wystarczyć – powiedziała. – Musimy go zabrać w jakieś bezpieczniejsze miejsce, to go pozszywam.

– Pozszywasz? – powtórzył głucho Ernest.

– Pozszywam, jestem po kursie pielęgniarskim.

Rudzielec kiwnął głową.

– Tam są jakieś domy. – Wskazał przed siebie.

– A co ze Zgorzelcem? – zapytał Kajetan.

– Niech go cholera weźmie – mruknął Ernest.

Pomógł wsiąść Hubertowi na wóz obok Kajetana i Agaty, a sam usadowił się na koźle.

Od osiedla dzielił ich zaledwie kilometr, ale Hubert boleśnie odczuwał każdą dziurę w asfalcie, do tego droga okrutnie mu się dłużyła.

Jego towarzysze na chybił trafił wybrali jakiś dom, wyważyli drzwi i wprowadzili go do środka.

Agata kazała Ernestowi i Kajetanowi zorganizować wodę i kocną na ciepło. Sama zaś odwinęła przesiąknięty krwią bandaż, po czym nafaszerowała Huberta środkami przeciwbólowymi i zabrała się do oczyszczania oraz zszywania rany.

– Mam nadzieję, że ta bestia nie miała wścieklizny – mruzczała pod nosem.

– Trochę się ślinił, ale piana z pyska mu chyba nie leciała – stwierdził Hubert, obserwując jej poczynania. Pomimo środków przeciwbólowych ramię bardzo go bolało, a do tego kręciło mu się w głowie.

– Jakim w ogóle cudem to... tamten stwór... skąd on się wziął?

– To twój pierwszy demon? – Hubert uśmiechnął się nieprzytomnie.

– Jaki demon, do diabła?!

– Mieszczuch jeden. Wy nigdy nie wierzycie w demony. Dobrze, że go zabilśmy, inaczej by za nami laź, dopóki by nas nie wykończył.

– Makabra! – jęknęła dziewczyna. – No, będziesz miał niezłą bliznę – podsumowała swoje dzieło.

Hubert zerknął kątem oka na krzywo pozszywaną ranę.

„Jeszcze większa niż po mamunie” – pomyślał i była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętał, zanim zapadł w sen. Obudził się na chwilę godzinę później, gdy jego towarzysze jedli. Ernest zaproponował mu kolację, ale zanim zdążył odpowiedzieć, znów zasnął. W nocy budził się jeszcze wiele razy, ręka rwała boleśnie, było mu zimno i niewygodnie.

Dopiero nad ranem zapadł w głęboki sen.

Koło południa Agata obudziła go i wmusiła w niego odrobinę jedzenia, na które wcale nie miał ochoty. Dowiedział się wtedy, że Zgorzelec niestety się znalazł i jak zwykle miał do wszystkich o wszystko pretensje. To, że tak tchórzliwie uciekł, zostawiając swoich ludzi na pastwę biesa, wytłumaczył tym, że chciał podejść potwora z drugiej strony, ale Hubert z Ernestem pokrzyżowali mu szyki, bo chcieli zgrywać twardzieli i nierozsądnie rzucili się na bestię sami.

– Jutro się dowiemy, że to on zabił tego biesa – podsumował Hubert.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło – odparła Agata.

Gdy chłopak zjadł, podała mu butelkę z wodą, ale z powodu utraty olbrzymiej ilości krwi był tak słaby, że musiała pomóc mu się napić.

Po południu Ernest i Kajetan skończyli załadowywać wóz betonowymi obręczami, mogli więc wrócić już do Śródmieścia. Agata kazała posadzić Huberta na wozie, na co Zgorzelec mocno się oburzył.

– Skoro sam się tak gówniarz głupi, załatwił, to niech cierpi – powiedział.

– Uratował ci dupę, więc jedzie na wozie – odparł twardo Ernest i spojrział na niego w taki sposób, że kapral stracił prawie cały animusz.

Jedynie, co Hubert zapamiętał z drogi, to że była bardzo długa i bolesna, a na Górę Gradową dotarli późnym wieczorem. Potem w jakiś magiczny sposób znalazł się w swoim łóżku i przez cały następnny dzień usiłował spać, a co godzinę odwiedzał go ktoś znajomy, z kolei Sylwia z Adą na zmianę przynosiły mu leki i jedzenie. Przez kilka dni leżał w łóżku z gorączką i naprawdę próbował się cieszyć z tego, że nie musi uczestniczyć w kolejnych wyprawach na obwodnicę po materiały do budowy ani kopać wraz z innymi żołnierzami studni na Starym Mieście, przedzierając się przez zwały gruzu, ale jakoś wcale mu to nie wychodziło. Czuł się tak paskudnie, że wolałby pracować na chłodzie, niż cierpieć w łóżku.

Któregoś wieczoru Ernest szybciej skończył wartę i przyszedł do pokoju. Był tak zmęczony, że nie domknął drzwi.

– Jak tam? – zagadnął Huberta.

– Jeszcze żyję.

Ernest podszedł do szafki przy łóżku, wyjął z niej coś i rzucił przyjacielowi.

– Masz.

– Ząb biesa! – ucieszył się Hubert. – Dzięki, że po niego wróciłeś.

– Spoko.

– A co tam słycać w jednostce?

– Ty wiesz, co ten przekłety idiota wygaduje?

– Zgorzelec?

– No. Kretyn twierdzi, że to on sam zabił tego biesa. Nazywa go w ogóle jakimś czartem i mówi, że gdybyś nie zgrywał takiego twardziela i nie wlażył mu w paradę, to nic by ci się nie stało – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– No co ty? – Hubert wcale nie był aż taki zdziwiony. – A co na to inni?

– Sami nie wiedzą, co o tym myśleć. – Ernest wrzuszył ramionami. – Z jednej strony mają słowo kaprala, co prawda idiota, ale jednak kaprala, a z drugiej jesteśmy my, nowi i młodzi, Agata, która jest dziewczyną, no i nierozgarnięty Kajetan.

– A Brzeczot?

– Wezwał mnie do siebie, przedstawiłem mu swoją wersję, ale nie mówił, że mi wierzy ani że nie wierzy. – Ernest ze znużeniem padł na łóżko.

– Brzeczot jest raczej inteligentny, ale ja nie wiem, po co on trzyma tutaj takiego Zgorzelca.

– Bo bezpieczniej jest mieć go tutaj na oku.

Obaj chłopcy poderwali się na dźwięk głosu kapitana, który właśnie stanął w otwartych drzwiach.

Brzeczot wszedł do środka i usiadł na łóżku speszonego Huberta.

– To wierzy nam kapitan, jak to było z tym biesem? – zapytał Ernest.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko i wyjrzał za okno.

– Jesteście tutaj od niedawna – powiedział, nie odrywając wzroku od widoku za szybą. – Wasze słowo nie powinno mieć wielkiego znaczenia. Jednak Zgorzelca znam zbyt dobrze, żeby traktować to, co mówi, serio.

„A więc nie tylko my go nie lubimy” – pomyślał, nie bez satysfakcji, Hubert.

– Wiecie, co człowiek musi zrobić, żeby ludzie go słuchali? – zapytał Brzeczot, odrywając wzrok od okna. – Trzeba mieć coś, czego inni nie mają. A ja mam klucze do naszego magazynu.

Kapitan wyjął ze swojej torby leżącej na ziemi trzy butelki domowego piwa i podał po jednej chłopcom.

– Brakuje mi prawdziwego piwa – westchnął z nostalgią. – Niestety, wszystko jest już przeterminowane, a uwierzcie mi, że nie ma nic gorszego niż zepsute piwo. Ja wiem, że nasze kobiety naprawdę się starają, jednak muszą jeszcze dużo potrenować, zanim uwarzą prawdziwe piwo.

Nagle jego spojrzenie padło na ząb biesa leżący na szafce obok łóżka Huberta.

– To tego waszego potwora? – zapytał.

Hubert pokiwiał głową i zdrową ręką podał kapitanowi kiel pokryty jeszcze resztkami zaschniętej krwi.

Mężczyzna przez chwilę obracał go w palcach.

– Diabeł musiał być tak wielki, jak mówił Zgorzelec – powiedział.

– W tym jednym kapral nie kłamał – mruknął Ernest.

– Chce kapitan zobaczyć inne? – zaproponował Hubert.

Brzeczot pokiwiał głową.

Hubert odstawił piwo na szafkę i zaczął przetrząsać ubrania w poszukiwaniu woreczka z kilkoma zębami demonów, które zabił do tej pory.

Kapitan z zainteresowaniem wysypał je sobie na dłoń.

– Nie należą do tego samego zwierzęcia – stwierdził.

– Nie, ten jest strzygi, ten wija – zaczęła wymieniać Hubert. – Ten psa południcy. Czatuje jeszcze na leszego, raz jeszcze widziałem lejina, takiego olbrzymiego, czarnego jelenia, ale mnie nie zaatakował, to nie chciałem go zabijać.

– Gdzie wy je wszystkie znaleźliście? Większość tutejszych ludzi w życiu by nie uwierzyła w istnienie takich stworów.

– Proszę się wybrać do nas na wieś, tam na pewno kapitan spotka jakiegoś demona – powiedział Ernest. – Przekłète wyjątkowo lubią mieszkać w naszych lasach.

Brzeczot pokiwał głową, ale widać było po nim, że sam jeszcze nie bardzo wierzy w istnienie demonów. Kilka zębów nie było dla niego wystarczającym dowodem, ale jako jeden z niewielu na Górze Gradowej miał dość otwarty umysł.

– No dobrze, to trzymajcie się – powiedział w końcu, wstając. – Możecie wypić moje zdrowie – dodał, podając im po jeszcze jednym piwie. – A jak te wasze poszukiwania? – zapytał, odwracając się w prog.

– Do dupy – westchnął Ernest. – Zjeździliśmy już większość miasta i żadnego śladu. Ale dziewczyny są uparte.

– To powodzenia – powiedział kapitan i wyszedł z pokoju.

Ernest od razu wstał z łóżka i zamknął za nim drzwi.

– On jest w porządku – uznał.

– Można z nim pogadać – dodał Hubert.

„Żeby ludzie człowieka słuchali, trzeba mieć coś, czego inni nie mają – pomyślał. – Ale to nie wystarczy. Trzeba być takim Brzeczotem. Twardym i nieugiętym, ale uczciwym”.

– No to za jego zdrowie. – Ernest otworzył obie butelki. – Bo niewielu normalnych ludzi przetrwało wojnę.

W kolejnych dniach Hubert czuł się coraz lepiej, ale wciąż był zwolniony z wszelkich prac i obowiązków. Ernest z Sylwią nawet nie chcieli słyszeć o tym, żeby zabierać go ze sobą na poszukiwanie Łęczyńskiego. Czasem chłopak miał wrażenie, że to wcale nie z troski o jego zdrowie, a dlatego, że chcieli pobyć trochę sami. Czuł się wyłączony poza nawias.

„Tak się dzieje z kumplami, kiedy jeden ma dziewczynę” – uznał i postanowił znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Najpierw poszedł zobaczyć gotową studnię z ręczną pompą. Spotkał przy niej Krzysztofa Terleckiego, byłego geodetę, mężczyznę po pięćdziesiątce, który uwielbiał mówić i wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Gdy człowiek nie skupiał się na tym, co właśnie opowiada, bardzo łatwo mógł zgubić wątek. Hubert od razu jednak go polubił, a gdy zaczął wypytywać, skąd Terlecki ma stare mapy miasta, ten z wielką radością zaprowadził go do siebie do domu, żeby wszyscy mu pokazać.

Hubert wtedy po raz pierwszy znalazł się w środku jednej z tych kolorowych i wąskich kamienic stojących przy głównej ulicy na Starym Mieście. Mieszkanie geodety bardzo mu się spodobało; urządzone w starym stylu, z wysokim stropem ozdobionym stiukami, wypełnione mnóstwem mebli retro, ogrzewane przez piękne piece kaflowe. Było okropnie zagracone, ale po samotnym mężczyźnie z pasją trudno oczekiwać zamilowania do porządku.

– Kiedyś nie mógłbym sobie pozwolić na takie mieszkanie – powiedział geodeta, prowadząc chłopaka do pokoju. – Zresztą nie można było urządzać i remontować ich po swojemu, bo konserwator zabytków by się przyczepił. Siadaj, siadaj. – Zrzucił z kanapy stertę map, akurat tyle, żeby powstało miejsce dla jednej osoby. – Kawy? Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Zatem kawa – zdecydował Terlecki i powędrował do kuchni zaśmieconej resztkami jedzenia.

Tutaj nie było już tak ładnie. Stara kuchenka gazowa została wyrzucona, a zamiast niej ktoś dość niedbale zbudował kuchnię kaflową przykrytą żeliwną płytą.

Krzysztof rozpałił pod nią ogień, parząc się w palce. Wyjął z kredensu dwie wyszczerbione filiżanki i niezgrabnie nasy pał do nich kawy.

Z zaparzoną kawą przeszli z powrotem do pokoju i na stole usłanym różnymi papierami Terlecki zaczął rozkładać kolejne mapy. Pokazywał na nich chłopakowi różne rzeczy, ale Hubert, jako dziecko epoki GPS-ów, choć szczycił się tym, że umie ich używać, gubił się w oznaczeniach. Mapy ponadto napisano w języku niemieckim.

– Dlaczego nie korzysta pan z polskich map? – zagadnął.

– Bo Niemcy robili je bardzo dokładnie. Najwięcej w latach dwudziestych dwudziestego wieku. Potem Polacy je tylko kopiowali.

Zanim Hubert się obejrzał, geodeta pokazał mu mapy całego Gdańska i okolic. Wy tłumaczył, co znaczą kolejne symbole, a chłopak nie mógł się nadziwić, jak gęszcz znaków zmienia się w jego głowie w uporządkowany obraz miejsc i dróg.

– A ma pan może okolice Koszalina? – zapytał, kiedy skończyli pić zimną już kawę. – A dokładnie Dąbrówki?

Geodeta wstał i z zapalem zaczął przetrząsać szafki. Mapy i różne papiery miał pochowane wszędzie – między talerzami, w szufladach z ubraniami, pod kanapą i w każdym innym miejscu, gdzie była choć odrobina wolnej przestrzeni.

W końcu mężczyzna rozłożył przed Hubertem zniszczoną zielonkawą mapę. Chłopak przyjrzał jej się bliżej. Zobaczył na niej Dąbrówkę, niegdyś mniejszą, oddaloną od ważnych dróg, otoczoną olbrzymimi połączeniami lasów i nielicznymi polami uprawnymi.

– Co cię konkretnie interesuje? – zapytał Terlecki.

– Właśnie sam do końca nie wiem. – Hubert zastanowił się chwilę. – Cała okolica jest poryta okopami...

– Możliwe. – Geodeta pokiwał głową. – Może gdzieś w okolicy trwały walki podczas wojny. O, popatrz, tutaj kiedyś był całkiem spory dworek.

Hubert przyjrzał się prostokątom oznaczającym gospodarstwo podpisane jako *Vorwerk*.

– Widzisz? Masz tu folwark. A nad tą rzeczką znajdował się młyn. – Geodeta przesunął palcem trochę w bok.

– O młynie nie słyszałem, ale dworek ponoć rzeczywiście był. A trochę na północ znaleźliśmy nasyp ziemi. I mój znajomy myśliwy twierdzi, że to muszą być pozostałości po jakimś starym grodzisku.

– Hm... – zamyslił się geodeta, po czym popędził do kolejnej szafy i wyjął z niej inną mapę.

– Coś takiego? – zapytał, wskazując palcem na warstwice oznaczające górkę, podpisane KD.

– Tak, to chyba to – powiedział Hubert. – Co znaczą te litery?

– *Kulturdenkmal*. Zabytek kulturowy. Będą to właśnie grodziska, kurhany i tym podobne. Inne miejsca, oznaczone ND, to *Naturdenkmal*, naturalne zabytki czy pomniki przyrody, wiesz, stare drzewa, kamienie narzutowe.

– Bardzo dokładne te mapy, każdy szczegół został na nie naniesiony – zauważył chłopak, patrząc na skalę wynoszącą jeden do dwudziestu pięciu tysięcy.

– Mówiłem, że są dokładne. Do tego jeszcze niektórzy geodeci starali się zawrzeć w nich wszystkie ludowe nazwy miejscowości, lasów, a nawet górek i wąwozów.

Hubert jeszcze raz przyjrzał się mapie. Wieś, którą od prawie trzech lat nazywał domem, musiała mieć dość burzliwą historię. Nigdy nie pełniła żadnej funkcji militarnej ani politycznej, ale dawno temu, gdy nieprzebyte bory w jej okolicy były zamieszkiwane przez dzikich ludzi, na południu i nad morzem kwitł handel. Ci ludzie stanowili zamkniętą społeczność, las ich żywił i dostarczał wszystkiego, co potrzebne do przeżycia. Co więc się stało później? Ciężko to stwierdzić, przynajmniej do czasu, gdy zaczęli się tam osiedlać Niemcy. W samym sercu borów budowali domy, a nawet dworki, aż przyszła wojna. Potężne armie przetaczały się to w jedną, to w drugą stronę, pozostawiając po sobie jedynie zniszczenie. Potem Dąbrówka, przetrwawszy komunistyczną zawieruchę, stała się kolejną zapomnianą wsią gdzieś na końcu świata. Do czasu ostatniej wojny, po której stała się siedliskiem demonów.

„Kiedyś się dowiem, co je tak ciągnie w te strony” – postanowił Hubert.

Terlecki długo jeszcze pokazywał mu kolejne mapy. W końcu, gdy zaczęło się już robić późno, udało mu się przekonać geodetę, że musi wracać. Ale mężczyzna wymusił na nim obietnicę kolejnej wizyty.

– Zobaczysz, pokażę ci wszystkie najciekawsze mapy – obiecał. – I nauczę cię je czytać. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakich fascynujących rzeczy można się z nich dowiedzieć.

– Super, już nie mogę się doczekać – powiedział Hubert ze źle udawaną radością.

Nie potrafił jednak odmówić Terleckiemu. Mężczyzna był samotny i łaknął ludzkiego towarzystwa oraz zainteresowania.



ROZDZIAŁ XIII

Z dnia na dzień robiło się coraz chłodniej. W nocy były przymrozki, a rano trawa i chodniki skrzyły się srebrzystą warstwą szronu. Codziennie Hubert odwiedzał Terleckiego i uczył się odczytywać mapy. Nie miał zresztą nic ciekawszego do roboty, czasem tylko dostawał jakąś wartę, bo z jego ręką było coraz lepiej. Ernest i Sylwia każdą wolną chwilę poświęcali na poszukiwania, z kolei Ada zazwyczaj zostawała na Górze pod opieką kobiet z kuchni.

Kajetan, który po ataku biesa był zapatrzony w Huberta jak w obrazek, podarował mu swój nóż do rzucania. Właściwie bardziej kawałek metalu w kształcie noża, bez drewnianej czy plastikowej rękojeści, ale za to idealnie wyważony. Za każdym razem kiedy Hubert nudził się na warcie, wybierał sobie jakieś drzewo i ćwiczył rzuty. Na początku ostrze wbijało się w pień średnio tylko raz na pięć prób, ale z czasem wynik się poprawił. Po tygodniu zaledwie jeden rzut na pięć był niecelny.

Hubert zakończył wartę w zabytkowym drewnianym żurawiu. Dowiedział się, że przed wojną nieźle kasowali turystów za zwiedzanie tego miejsca, teraz powstała tu jedna z wielu wartowni Starego Miasta. Rozciągał się z niej bowiem dobry widok na większość Starówki i na Motławę. Hubert lubił tam przesiadywać z tej prostej przyczyny, że była to najcieplejsza wartownia.

Nie spiesząc się, kroczył brukowaną, szeroką ulicą, przyglądał się starym kamienicom. Ilekroć je mijał, zawsze mu się podobały. Przez niecałe trzy lata od wojny tynki nie straciły jeszcze kolorów. Większość budynków przetrwała niepokoję ostatnich lat nienaruszona i stała się domami

większej części populacji Gdańska, która przetrwała zarzę.

Nagle usłyszał coś, czego nie doświadczył przez ostatnie trzy lata. Dźwięki tak go zaskoczyły, że stanął na środku ulicy jak wryty. Muzyka. W którymś z mieszkań ktoś grał na skrzypcach. I choć Hubert nigdy nie przepadał za klasyką, tych skrzypiec mógłby słuchać całymi dniami. Podszedł do błękitnej kamienicy – na trzecim piętrze było otwarte okno i to właśnie z niego dobiegała melodia. Usiadł na najbliższej ławce. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo brakowało mu muzyki. W Dąbrówce nikt nie grał na żadnym instrumencie.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział i słuchał szybkich i energicznych, a potem smutnych i nostalgicznych melodii. Dopiero gdy ucichły, dotarło do niego, jak bardzo zmarzł. Nie czuł palców u rąk, uszy i nos musiał mieć sinoczerwone, ledwo siedział. Był zawiedziony, że skrzypek przestał grać i z trzaskiem zamknął okno. Wiedział, że powinien wracać na Górę Gradową do swojego pokoju albo do kuchni, by wyłudzić od kobiet gorącą herbatę, ale wcale nie chciało mu się wstawać.

Wzdrygnął się, gdy ciszę rozdarł dźwięk otwieranych, a potem zatraskiwanych w pobliżu drzwi. Usłyszał czyjeś kroki z boku, ale nawet nie chciało mu się podnosić głowy, żeby spojrzeć, kto idzie. Miał nadzieję, że osoba ta po prostu go minie i nie zwróci na niego uwagi. Stało się inaczej.

– Nic ci nie jest? – usłyszał dziewczęcy głos.

Podniósł głowę i zobaczył śliczną, drobną dziewczynę ubraną w gruby płaszcz. Szyję owinęła kolorowym szalikiem. Miała jasną twarz, orzechowe oczy, mały nosek, ciemną grzywkę i długie kręcone włosy.

– Nie, w porządku – odparł ochryplym od chłodu głosem.

– Nie powinieneś siedzieć na tym zimnie – skarciła go. – Jesteś z Góry, prawda?

Pokiwał głową.

– Widziałam cię już kiedyś – stwierdziła.

– Możliwe. Jestem Hubert.

– Beata.

– To ty grałaś na skrzypcach, prawda? – wypalił nagle.

– Tak, dlatego pytasz?

– Ładnie, co prawda ja się nie znam...

– Dziękuję. Muszę ćwiczyć, bo inaczej wszystko pozapomnam.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał, patrząc na koszyk, który trzymała przed sobą w obu rękach.

– Może cię odprowadzę?

– Czemu nie?

Hubert wziął od niej koszyk w zdrową rękę i szcękając zębami z zimna, ruszył razem z nią zabytkową ulicą.

– Idę do Heńka – oświadczyła nagle, a Hubertowi zrobiło się głupio, że odprowadza dziewczynę do jej chłopaka. Ale przecież teraz był żołnierzem i miał obowiązek dbać o bezpieczeństwo mieszkańców Starego Miasta. Mimo to poczuł żal, że Beata jest już zajęta.

– Znasz w ogóle Heńka? – zapytała.

– Nie miałem tej przyjemności...

– To nasz lokalny wariat – wyjaśniła. – Na zmianę się nim zajmujemy. Dziś ja muszę przygotować dla niego kolację i napalić w piecu, żeby nie zamarzł w tę zimnicę.

Hubert z ulgą pokijał głową.

Stanęli przed drzwiami różowej kamienicy i niezręcznie spojrzeli na siebie. Hubert powoli wyciągnął przed siebie rękę z koszykiem.

– Wiesz co – odezwała się nagle Beata – jesteś aż siny z zimna. Chodź ze mną na górę, muszę zrobić Heńkowi herbatę, a co za różnica, czy zaparzę dwie, czy trzy.

– Nie wzgardzę czy mś gorącym – zgodził się z radością Hubert.

Weszli do kamienicy i wspięli się wąskimi schodami na drugie piętro. Beata zapukała do drzwi i nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

– Cześć! To ja, Beata! – zakrzyknęła.

Zajrzała do jednego pokoju, drugiego, w końcu weszła do kuchni. Hubert podążał tuż za nią.

Heniek siedział przy stole przy lampie naftowej i zamasztyłymi ruchami malował coś na wielkiej kartce papieru. Wszystko wokół było umazane farbami, włącznie z Heńkiem. Miał dwadzieścia kilka lat, był co najmniej dwa razy większy od Huberta i w ogóle nie zwrócił uwagi na swoich gości.

– Boże, coś ty narobił? – jęknęła Beata. – Kto to posprząta? No dobrze, tym zajmiemy się później. Rozpalisz w piecu? – zapytała Huberta, a sama zabrała się do rozniecenia ognia pod kuchenką.

Hubert kiwnął głową, wziął od niej zapalniczkę i powędrował do pokoju. Był przemarznięty i miał zgrabiałe palce, więc rozpalenie kominka zajęło mu więcej czasu niż zazwyczaj, ale gdy już się udało, z przyjemnością ogrzał dłonie, a potem wrócił do kuchni.

Heniek wciąż malował, a Beata wstawiła wodę na herbatę i właśnie rozpakowywała kanapki.

– No, koniec tego dobrego – oświadczyła, podchodząc do gospodarza i delikatnie wyjęła z jego rąk pędzel. – Idź do łazienki i umyj ręce.

Heniek posłusznie podreptał do łazienki.

– Jak ma zajęcie, to jest kochany chłopak – powiedziała.

Sprzątnęła ze stołu pomazany obrazek oraz farby i naszykowała kolację, a potem zaparzyła herbatę.

– Chcesz kanapkę? – zapytała Huberta, który wygłodniałym wzrokiem patrzył na chleb. – Zawsze robię ich więcej, nie martw się, starczy dla Heńka.

Hubert z przyjemnością wgryzł się w kanapkę z szynką.

– Mieszkaś sama? – zagadnął, kiedy zjadł.

– Z mamą, młodszą siostrą i bratem – powiedziała. – A ty? Skąd jesteś?

– Z takiej małej wioski na południowy zachód.

– A co cię przywiodło do Gdańska?

– Trzeba było odprowadzić dwie koleżanki, które szukają tu wujka – odparł. – Na wiosnę muszę wrócić do domu.

– Szkoda.

Po raz pierwszy poczuł żal z tego powodu.

Po chwili do kuchni wkroczył Heniek

– Czyste – oznajmił, pokazując Beacie ręce.

– Bardzo czyste – przytaknęła. – Siadaj i jedz.

Beata przygotowała mnóstwo kanapek i choć twierdziła, że jest ich za dużo, Heniek zjadł prawie wszystkie, a potem w zaledwie kilku łykach opróżnił olbrzymi kubek z herbatą. Hubert

przyglądał mu się z niemym przerażeniem i w końcu zrozumiał, co odczuwali inni, gdy patrzyli, jak on pochłania swoje posiłki.

Po kolacji Beata wygoniła Heńka do wychodka, który znajdował się przed kamienicą, i pościeliła dla chłopaka łóżko. Gdy wrócił, kazała mu się położyć spać i dokładnie przykryła go grubą kołdrą.

– Często musisz się nim opiekować? – zagadnął Hubert, kiedy wróciła do kuchni, żeby posprzątać bałagan na stole.

– W sumie nie wypada to za często – odparła. – Tak dwa, trzy razy w tygodniu. Dzielimy się tym obowiązkiem z mieszkańcami okolicy, więc nie jest tak źle.

– Podziwiam was, że udało się nam tak dogadać.

Dziewczyna smutno pokręciła głową.

– Heniek przyszedł na Stare Miasto ponad rok temu. Nikt nie wiedział, skąd jest, czy ma rodzinę. Znał tylko swoje imię. Parę osób z tym waszym Zgorzelcem na czele chciało go stąd wyrzucić. Mówili, że nie potrzebują darmozjadów i tak dalej. I wtedy wtrącił się Brzeszczot. Powiedział, że jeżeli Heniek chce tu mieszkać, to ma dostać mieszkanie. Słyszałam potem, że tam, na Górze, wywiązała się potem z tego niezła afera. No ale Heniek żył sobie spokojnie, jak był głodny, to szedł do ludzi i ktoś zawsze go czymś częstował. Wydawał się szczęśliwy. Często było go widać, jak siedzi na ulicy i się czymś bawi. Ale potem przyszła zima i przestaliśmy go widywać. W sumie to nikt się nie czuł za niego odpowiedzialny, więc nikt też się nie zainteresował, co się z nim dzieje. Aż w końcu któraś ze starszych kobiet poszła do jego mieszkania i to, co zastała, przeraziło ją. Wszędzie brud, śmieci, popsute resztki jedzenia. A na środku pokoju na stercie szmat leżał Heniek. Był tak chory i miał tak wysoką gorączkę, że sądziliśmy, że nie przeżyje. Ale jakoś się udało. Naszpikowano go lekami, ktoś przez cały czas przy nim siedział. Wyzdrowiał. Ależ wtedy Brzeszczot się wściekł. Wrzeszczał na wszystkich, że mają sobie nawzajem pomagać, jak chcą żyć pod opieką jego i jego ludzi. Wyrzucał nam wszystkim, że nie można skazać na śmierć z głodu czy wychłodzenia niedorozwiniętego chłopaka. Zgorzelec wtedy się wtrącił, że przynajmniej byłby spokój. I mówię ci, nigdy jeszcze nie widziałam kapitana, ani zresztą nikogo, tak wściekłego. Brzeszczot poczerwieniał. Zaciśnął pięść i przywalił Zgorzelcowi w nos. Zupełnie mu go zmiażdżył. Dobrze, że była zima, to miał lodu pod dostatkiem – zaśmiała się. – Od tamtej pory ustalamy dyżury, kto będzie się opiekował Heńkiem.

– Rozumiem. – Hubert pokławał głową. – A Zgorzelcowi się należało.

– Widzę, że też za nim nie przepadasz – powiedziała z uśmiechem.

– Za nim nikt nie przepada.

Posiedzieli jeszcze chwilę w kuchni, potem Hubert odprowadził Beatę do domu, a sam skierował się na Górę Gradową.

„Co by się stało z Zuzą, jakby nie miała rodziny? – zastanawiał się po drodze. – Czy ktoś by się nią zaopiekował, czy zginęłaby już podczas pierwszego roku po wojnie? Współczuję tym, którzy nie mają nikogo albo nie potrafią sami o siebie zadbać”.

– Nie wiem, co zrobić z Sylwią – oświadczył Ernest podczas warty przy wjeździe na Stare Miasto.

– To chyba nie mnie powinienes o to pytać – odparł Hubert. – Nie jestem dobry w sprawach sercowych.

– Głupi jesteś – warknął Ernest. – Chodzi o jej wujka. Przetrzęsaliśmy już prawie cały Gdańsk wszędzie zostawiliśmy wiadomości. Jakie jest prawdopodobieństwo, że się na nie jeszcze nie natknął?

– Nie za duże – przyznał Hubert. – Ale sam wiesz, jak to jest...

– No właśnie nie jest. Facet albo nie żyje, albo się wyprowadził. Gdyby wciąż mieszkał w Gdańsku, to byłby tutaj. Tylko nie wiem, jak jej to wytłumaczyć. Sama już nie wierzy, że go znajdzie, ale nie chce tego przyznać.

– W końcu będzie musiała sobie odpuścić.

– Ale gdyby zrobiła to teraz, zdążylibyśmy jeszcze wrócić do domu.

– A jesteś pewien, że ona chce z nami tam wracać?

Ernest burknął coś niezrozumiale i odwrócił się od przyjaciela.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, kiedy do wartowni podeszła niska postać okutana w gruby płaszcz.

– Dzień dobry – przywitała się, zdejmując kaptur.

– Cześć. – Hubert uśmiechnął się na widok Beaty. – Ernest. Beata – przedstawił ich sobie.

– Słyszałam, że siedzisz tu na warcie, więc pomyślałam, że mogłabym ci przynieść gorącej herbaty w drodze do magazynu. – Wyjęła z koszyka termos, dwie szklanki i woreczek z ciasteczkami.

– Super, dzięki. – Chłopak ucieszył się jeszcze bardziej na widok jedzenia.

Beata nalala herbatę do kubków i podała chłopcom. Posiedziała chwilę z nimi, ale obaj byli zbyt zajęci jedzeniem, żeby z nią rozmawiać.

– No nic – westchnęła po jakichś dziesięciu minutach. – Muszę już iść, zanim zamkną magazyn.

– Dziękujemy za herbatę i ciastka. – Hubert wstał, żeby ją pożegnać.

– Nie ma sprawy. Termos jeszcze wam zostawiam, tylko oddaj mi go potem. Wiesz, gdzie mieszkałam. – Beata się uśmiechnęła, a potem pospiesznie odeszła.

– Ty się nie znasz na sprawach sercowych? – zakpił Ernest. – Nawet nie wiem, kiedy wyrwałś łaskę, która nam przynosi jedzenie i picie!

– Widzisz, jak dobrze wybieram? W przeciwieństwie do ciebie.

– Niby dlaczego?

– Bo twoja to na dzień dobry potraktowała mnie gazem łzawiącym.

Ernest się roześmiał, ale Hubert nie podzielił jego wesołości, przypominając sobie, jakie to było okropne, duszące uczucie.

W kolejnych dniach ręka Huberta wydobrzała na tyle, że bez przeszkód mógł brać udział w lżejszych pracach, dlatego oddelegowano go do pomocy przy nowym przedsięwzięciu.

– Generator prądu zmiennego? – powtórzył głucho za Brzeszczotem.

– Dokładnie – powiedział kapitan z grobową miną.

– Ale ja się wcale na tym nie znam!

– Nie musisz, będziesz tylko robił, co Sacharuk ci każe.

– No dobrze. – Chłopak wzruszył ramionami, godząc się z rolą taniej siły roboczej. – Ale generator prądu? – dodał po cichu do siebie.

„Wszystko trafił szlag – pomyślał. – A oni chcą konstruować takie rzeczy. Jak to możliwe?”

Przecież to się nie może udać. W Świącinie nawet po siedmiu latach od wojny nikt nie wpadłby na coś takiego”.

Myśl o Świącinie jak zwykle przywołała falę żalu. Zezłościł się na siebie, że wciąż musi rozdrapywać stare rany.

Starając się porzucić ponure myśli, skierował się do Starego Miasta, gdzie w jednej z kamienic mieszkał Piotr Sacharuk, były inżynier.

Gdy chłopak dotarł na miejsce, drzwi otworzyła mu kobieta koło czterdziestki. Hubert przedstawił się i powiedział, że został wysłany do pomocy, więc zaprowadziła go do pomieszczenia szumnie nazwanego gabinetem. Za biurkiem siedział chudy mężczyzna z rudymi włosami i skręcał zwój drutu.

– Kochanie, kapitan przysłał ci kogoś do pomocy – powiedziała kobieta.

– Proszę, wejdź – rzucił mężczyzna, nie podnosząc wzroku.

Hubert wszedł do pokoju. Niestety nie miał gdzie usiąść, więc z westchnieniem założył ręce za siebie i czekał na instrukcje.

– Wiesz, co będziemy robić? – zapytał w końcu Sacharuk

– Generator prądu zmiennego – odparł. „Boże, Ernest by przy najmniej wiedział, co to znaczy – pomyślał ponuro. – Wychodzi na to, że naprawdę jestem głupi”.

Mężczyzna skinął głową.

– A wiesz, co to jest? – Pomachał drutem.

– Drut?

– Cewka. Dzięki niej, dwóm magnesom i źródłu energii uzyskamy prąd.

– Aha. – Hubert pozostał sceptyczny. Gdyby to było takie proste, ludzie już dawno temu by na to wpadli.

– A jak będzie prąd, to będzie światło – oświadczył mężczyzna. – A potem skonstruujemy spawarkę. Ty wiesz, jaką wartość miałaby taka maszyna? Moglibyśmy łączyć duże metalowe elementy bez potrzeby ich kucia, a potem to już z górki, żeby powrócić do dawnego poziomu rozwoju.

Hubert zmarszczył brwi. Przypomniał sobie eksperymenty Ernesta przeprowadzane latem po wojnie z baterią i żarówkami, podczas których okazało się, że zniszczeniu uległy nie tylko urządzenia takie jak telewizory, komputery, pompy, lecz także żarówki.

– A co z żarówkami? – zapytał. – Ja się nie znam, ale wytworzenie żarówki to chyba wyższa szkoła jazdy?

– Zwyklej owszem – przytaknął Sacharuk – Ale z neonową jest już łatwiej. Nawet rozgrzany drut będzie świecił. A poza tym pierwsze żarówki tworzą z włókien węglowych.

Do Huberta jakoś nie trafiły te argumenty, ale postanowił się nie sprzeczać.

Po tej krótkiej lekcji fizyki Sacharuk kazał chłopakowi związać drut na cewkę, a sam zajął się rysowaniem projektów. Potem udali się na szczyt Góry Gradowej, gdzie wyrastał z ziemi wysoki Krzyż Milenijny. W tym miejscu Sacharuk chciał zamontować wielki wiatrak, który służyłby jako źródło energii. Na razie, niestety, nie mieli co marzyć o magazynowaniu jej, więc jeżeli wiałby wiatr, poruszając ramionami wiatraka, które z kolei wprawiłyby dwa magnesy znajdujące się po obu stronach cewki w ruch obrotowy, uzyskaliby prąd, dzięki któremu żarówki (jeżeli uda się je zrobić) zaczęłyby świecić. Wiatru nie będzie, światła również. Proste. Jednak Hubert wciąż nie do końca rozumiał, jak to ma działać, ale przez całe popołudnie skrupulatnie wykonywał polecenia

Sacharuka.

Następnego dnia inżynier musiał jeszcze coś przemyśleć, więc Hubert miał wolne i w końcu Ernest zabrał go na poszukiwania Łęczyńskiego. Kolejne długie godziny spędzone w różnych częściach miasta jak zwykle nie przyniosły rezultatów. Czasem Hubert miał wrażenie, że jego przyjaciel robi to wszystko tylko dla Sylwii, bo sam nie widzi już sensu w szukaniu człowieka-ducha.

Wieczorem, choć był okropnie umęczony i najchętniej położyłby się do łóżka, Hubert zawędrował na Starówkę. Przed samym sobą udawał, że po prostu miał ochotę na spacer, ale tak naprawdę chciał usłyszeć dźwięk skrzypiec. Nie zawiódł się. Stał przed błękitną kamienicą i przy mknął oczy. Niestety już po kilku minutach był tak przemarznięty, że zaczął rozważać powrót do jednostki.

Nagle skrzypce zamilkły.

– A ty znowu wystajesz pod moim oknem! – krzyknęła do niego Beata.

Hubert zmieszał się, ale po chwili odzyskał fason.

– Twoja muzyka mnie przyciągnęła – odpowiedział.

– Wchodź na górę, nie musisz marznąć, żeby posłuchać, jak gram – zaśmiała się.

Hubertowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać i po chwili siedział w pokoju Beaty z kubkiem gorącej herbaty w ręce. Jednak dziewczyna już nie zagrała, bo przyszło jej młodsze rodzeństwo i chłopak musiał kilka razy opowiedzieć o swoim spotkaniu z biesem.

– Dziś znów muszę wpaść do Heńka – poinformowała go Beata po około godzinie. – Pójdiesz ze mną?

– Pewnie.

Ubrali się ciepło, Hubert zabrał koszyk z kolacją.

Heńek tym razem siedział w pokoju i oglądał książki z obrazkami. Beata przygotowała dla niego jedzenie, posprzątała mieszkanie i położyła go spać, Hubert zaś znów napalił w piecu. Kiedy wyszli na dwór, było już zupełnie ciemno, więc musieli przyświecać sobie latarenką.

– Spójrz. Śnieg pada. – Hubert wyciągnął do Beaty rękę. Na rękawie kurtki lśniła skomplikowana śnieżyńka.

– Ale śliczna – zachwycała się dziewczyna.

Uniosła twarz do nieba, a na jej bladej skórze i ciemnych włosach zaczęły lądować kolejne płatki. Przez chwilę chłopak stał zauroczony, patrząc, jak na ciemnych łokach Beaty, niczym małe kryształki, lśni śnieg.

– Spójrz teraz. – Hubert zgasił latarenkę i choć na kilka sekund pograżyli się w zupełnej ciemności, już po chwili mogli rozpoznać ciemne kształty kamienic i zobaczyć bruk pod stopami powoli pokrywający się srebrną powłoką oraz wirujące w powietrzu płatki śniegu.

– Jak pięknie – westchnęła Beata i złapała Huberta pod rękę.

Drogę do jej domu pokonali w milczeniu, a gdy stanęli pod błękitną kamienicą, oparła głowę o jego ramię i stali tak, podziwiając pierwszy w tym roku śnieg.

W trzy dni Gdańsk zatonął w zaspach i większość osób z jednostki została oddelegowana do odśnieżenia Starego Miasta i drogi do Góry Gradowej. Hubert lubił to zajęcie, gdyż machanie wielką szufłą nie wymagało zbyt wiele uwagi, mógł więc myśłami odpływać w dalekie miejsca. Warty z kolei były bardzo nudne, o tej porze roku niewiele osób wychodziło z domów, chyba że

po drewno lub wodę. Nikt też nie spodziewał się żadnego ataku ze strony obcych, bo komu chciałoby się przedzierać przez zasypane śniegiem miasto? Niestety, poszukiwania wujka Sylwii i Ady z powodu warunków również utknęły w martwym punkcie.

Był chłodny wieczór, większość mieszkańców jednostki przeprowadziła się do wspólnych pokoi ogrzewanych przez żeliwne kominiki. Za oknem pokrytym mroźną pajęczyną wciąż prószył śnieg. Hubert siedział wraz z Adą na jednym materacu, naprzeciwko Sylwii oraz Ernesta i całą czwórką grali w karty. Stawiali pieniądze, które w obecnym świecie straciły jakąkolwiek wartość. Teraz liczyły się umiejętności przetrwania, w każdej osadzie ceniono specjalistów takich jak lekarze, cieśle, stolarze i murarze, a podstawowym środkiem płatniczym stało się jedzenie, ale nie to hermetycznie zapakowane, tylko świeże, takie jak przetwory, mięso i chleb.

Hubert wciąż próbował blefować, ale przyjaciele najwyraźniej potrafili czytać z jego twarzy jak z otwartej książki, więc na razie jego fundusze pomniejszały się w zastraszającym tempie. Ernest celowo przegrywał na rzecz Sylwii, która umiała przybrać pokerową twarz, a Ada zazwyczaj dostawała najlepsze karty.

– Ja się z wami nie bawię – mruknął Hubert, rozłuszczony utratą ostatnich groszy.

Odrzucił swoje karty i przysunął się do Ady, żeby jej podpowiadać. Wspólnymi siłami ograli pozostałych.

– Wiecie, na co mam ochotę? – odezwała się nagle Sylwia. – Pojeździłabym na łyżwach. Myślicie, że w jakimś sklepie moglibyśmy je znaleźć?

– Łyżwy tak gorzej z miejscem do jeżdżenia – odparł Ernest.

– Wujek często zabierał nas na miejskie lodowisko – westchnęła.

– Jaki dzisiaj jest dzień? – zapytała nagle Ada.

Hubert wzruszył ramionami.

– A kto by to liczył?

Ciocia na początku zimy miała urodziny. Pamiętam, że gdy byliśmy wtedy u wujostwa, to z samego rana sziłmy z wujkiem po tort do cukierni i zawsze padał śnieg.

– To fajnie – stwierdził Hubert.

– Nie rozumiesz. – Na policzkach dziewczynki wykwitły rumieńce. – Jak ciocia umarła, to chodziliśmy na cmentarz w jej urodziny!

– Jezus! Ty masz rację! – wykrzyknęła Sylwia. – Musimy się dowiedzieć, kiedy będzie trzydziesty listopada! O ile nie przegapiliśmy już tej daty.

Całą czwórką poderwali się z materaców i popędzili do gabinetu Brzeszczota, uznali bowiem, że kapitan musi prowadzić kalendarz. I nie zawiedli się. Urodziny zmarłej cioci przypadają za dwa dni.

– A jeżeli nie przyjdzie? – denerwowała się Sylwia.

– Przyjdzie, zobaczysz – pocieszał ją Ernest.

– A co jeśli liczy czas inaczej niż my?

Na to pytanie Ernest nie znalazł odpowiedzi.

Hubert spojrzął na dziewczynę, rumieńce wywołane mrozem kontrastowały z jej błądzącością. Wiedziała, że to ostatnia szansa na odnalezienie krewnego. Zdawała sobie sprawę, że po dzisiejszym dniu, jeżeli nie odnajdą jej wujka, będzie musiała dać za wygraną. A co potem? Da się namówić na powrót do Dąbrówki? A jeśli nie będzie chciała z nimi jechać? Co zrobi Ernest?

Przecież nie może nie wrócić do swojego dziadka i siostry.

Wyruszyli z Góry Gradowej jeszcze przed świtem, żeby dotrzeć na cmentarz z pierwszymi promieniami słońca. Nie przewidzieli, że droga przez zasypane białym śniegiem miasto potrwa tak długo. Liczyli jednak na to, że nie przegapili wizyty Łęczyńskiego i że odwiedzi on grób zmarłej żony o jakiejś ludzkiej porze.

Cmentarz był cichy i spokojny. Śnieg, który przysypał od dawna nieodwiedzane groby, skrzył się we wschodzącym powoli słońcu i tłumił wszelkie dźwięki. Hubert nie pamiętał, kiedy ostatni raz doświadczył takiej ciszy. Przytłaczała, zaczynała dzwonić w uszach, a każde skrzyknięcie buta na śniegu wydawało się hukiem.

– Zawsze myślałam, że cmentarz powinien być ponury w taki dzień – powiedziała Sylwia, przerywając ciszę. – Ale ten tutaj jest taki spokojny i senny, jakby nigdy nic się tu nie działo.

– Bo tu nigdy nic się nie dzieje – odparł Hubert. – Ponoć ludzie nie wstają z poświęconej ziemi. Tak przynajmniej było napisane w demonologii.

Jednak po prawie trzech latach różnych doświadczeń nauczył się, żeby podchodzić do informacji z lekturną z dystansem.

– Swoją drogą, to ciekawe, czy demony ciągnie do cmentarzy, czy też czują awersję do wkroczenia na ich teren? – zastanawiał się na głos.

– A może są im one zupełnie obojętne? – podpowiedział Ernest.

Hubert lekceważąco wzruszył ramionami. Przyjaciel zawsze znajdował kontrargumenty do jego przemyśleń, nawet tych, które wydawały mu się bardzo logiczne, i bezlitośnie wytykał słabe punkty w jego wnioskowaniu. Wyciągnął zmarznięte dłonie do wątego ogniska, które z trudem rozpalili na śniegu. Na szczęście z jednostki zabrali trochę suchego drewna, które przynajmniej na początku ułatwiło im sprawę.

– Dobrze, że nie wzięliśmy ze sobą Ady – powiedziała Sylwia. – Zaczęłam się naprawdę wzoraj łamać, kiedy tak płakała, żeby ją zabrać.

– Jeszcze by ci się pochorowała i miałabyś problem – odparł Hubert, który wieczorem postawił sprawę jasno: albo mała zostaje w cieplej i bezpiecznej jednostce, albo nikt nie idzie na cmentarz.

– Kawy? – zaproponowała dziewczyna.

Ernest spojrział na swój ręcznie nakręcany zegarek

– Możemy trochę się napić.

Kawa była mocna, słodka i gorąca, ale musieli pić bardzo oszczędnie, jeżeli planowali spędzić na cmentarzu cały mroźny dzień.

Co chwilę każde z nich zerkało na grób cioci Sylwii, od którego dzieliło ich kilkanaście metrów. Usiedli w takiej odległości, żeby nie spłoszyć Łęczyńskiego, który zobaczywszy z daleka trzy osoby czatujące na cmentarzu, mógłby po prostu odejść.

– Już południe – powiedział Ernest, patrząc, jak Hubert i Sylwia zaczęli przechadzać się wokół ogniska, zacierając z zimna okryte rękawiczkami dłonie.

Dziewczyna z ciężkim westchnieniem spojrzała na słońce. Za cztery godziny znajdzie się ono za horyzontem, a miasto ogarnie ciemność. Mróz stanie się dotkliwszy. Do tego czasu musieli wrócić do ciepłej jednostki.

Nagle usłyszeli krok na śniegu, których nie zagłuszył trzaskający ogień. Nerwowo rozejrzeli się dookoła. Było pusto. Wtem zza górkę wyłoniła się zgarbiona postać ubrana w grubą kurtkę. Cała

trójka przyjaciół poderwała się z miejsc. Mężczyzna ich nie zobaczył, stanął tylko z pochyłą głową nad grobem.

– To on! – szepnęła Sylwia głosem pełnym emocji.

– Poczekaj – syknął Ernest i zanim zdążył ją złapać, popędziła przed siebie.

Zatrzymała się w odległości trzech metrów od mężczyzny i przez dłuższą chwilę stali nieruchomo, wpatrując się w siebie.

– Sylwia?! – wykrzusił wreszcie mężczyzna.

– Wujek Adam! – zawołała, śmiejąc się.

Nie czekając dłużej, rzuciła mu się w ramiona.

– I co o tym sądzisz? – Hubert zapytał cicho Ernesta.

Szli kilka kroków za Sylwią i jej wujkiem. Mężczyzna obejmował ramieniem bratanicę, podczas gdy opowiadała mu, co działo się z nią i jej siostrą przez ostatnie lata. Na jej policzkach lśniły łzy – radości i ulgi. Teraz wszystko miało iść ku lepszemu.

Łęczyński od razu po spotkaniu na cmentarzu chciał zabrać ich do swojego domu, jednak dał się namówić na wizytę w jednostce i spędzenie tam nocy z bratanicami.

– Wiesz, nie sądziłem, że nam się uda – odparł Ernest po chwili zastanowienia. – Jak wyjeżdżaliśmy z Dąbrówki, jakoś o tym nie myślałem, mieliśmy przecież taki kawał drogi do pokonania. Potem trochę mnie przeraził ogrom terenu do przeczesania, a na koniec byłem przekonany, że...

– Że to wszystko jest bez sensu – dokończył za niego Hubert.

– Dokładnie.

– A co teraz?

Ernest wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Trzeba z nimi porozmawiać, co planują, a kiedy stopnieje śnieg, wrócimy do domu. Mam nadzieję, że tam wszystko w porządku.

Hubert pokivał głową. Bardzo często martwił się o to, jak toczy się życie w Dąbrówce. Czy ojciec doszedł już do siebie, czy Zuzia jest zdrowa, czy mają co jeść, a najważniejsze, czy radzą sobie z demonami.

Kiedy dotarli na Górę Gradową, było już zupełnie ciemno. Hubert udał się do sali noclegowej w poszukiwaniu Ady, a Ernest z Sylwią zabrali wujka do Brzeszczota. Wiedzieli, że kapitan nie będzie raczej miał nic przeciwko gościowi, jednak mieli nadzieję, że po drodze nie trafią na Zgorzelca.

Wieczorem, po kolacji, kiedy wszyscy mieli wolne, usiedli pozawijani w koce na materacach, każdy z kubkiem gorącej herbaty w ręce. Po raz pierwszy od dawna Sylwia usiadła w odległości pół metra od Ernesta, co rozbawiło Huberta, gdyż zazwyczaj byli do siebie niemal przyklejeni. Z kolei Ada ułożyła się na kolanach wujka i nie chciała go w ogóle wypuścić ze swych objęć, jakby się bała, że je zostawi.

Na początku nie rozmawiali o niczym szczególnym, a potem Łęczyński podziękował gorąco Hubertowi i Ernestowi za opiekę nad bratanicami.

– Dużo macie swoich rzeczy? – zapytał w końcu Sylwią. – Chyba nie bardzo, co? To nawet dobrze, jutro nie będzie problemu z waszą przeprowadzką. Jak pogoda dopisze, wybierzemy się na „zakupy” po wszystko, czego potrzebujecie. Na szczęście, jak robiłem zapasy na zimę,

przygotowałem ich więcej. Wystarczy dla naszej trójki...

Ada gwałtownie otworzyła oczy i skierowała je na siostrę, która z kolei wymieniła spojrzenie z Ernestem.

– Ale tutaj nie jest tak źle... – zaczęła Sylwia.

– Daj spokój, nie chcesz chyba przez cały czas bawić się w wojsko? – odparł jej wujek – Spać we wspólnej sali? Jeść byle co i robić wszystko na rozkaz? A wiecie, jaki piękny mam teraz dom? Stary, pięknie zdobiony, ma nawet wieży czkę.

– Chyba kiedyś widziałem podobny – odezwał się Hubert.

– W Brzeźnie? – podpowiedział Łęczyński.

– I w ogrodzie od strony ulicy rośnie stara jabłoń?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Jezu! – jęknął chłopak – Ja tam byłem kilka tygodni temu.

– To dlaczego nic nam nie powiedziałaś? – zapytała z wyrzutem Sylwia.

– Bo potem dowiedziałem się o Górze Gradowej i zupełnie zapomniałem. A dom wydawał się opuszczony.

Wszyscy na chwilę zamilkli. Nie mogli uwierzyć, że byli tak blisko celu swojej podróży już tak dawno temu. Wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej. Może nawet Hubert z Ernestem wróciliby na zimę do Dąbrówki.

– Myślę, że powinniśmy się już położyć – zaproponował Ernest, patrząc na innych żołnierzy, którzy w wątym świetle lamp naftowych zaczęli układać się do snu. – A jutro na spokojnie wszystko przedyskutujemy, dobrze?

Pozostali pokiwali głowami. To był bardzo długi dzień, potrzebowali porządnego snu.

Nad ranem Hubert z Filipem pełnili wartę w starym drewnianym żurawiu. Pod koniec usłyszeli głośny plusk na Motławie. Z zabezpieczonym karabinem w rękach Hubert wyrzwał na zewnątrz i od strony morza zobaczył w oddali niewielką łódkę chybotającą się na wodzie, w której siedziało trzech ludzi. Nie sądził, żeby przybywali ze Starego Miasta. Chłopak gestem przywołał do siebie koleżę.

– Jeżeli zrobią coś podejrzanego, podniesiesz alarm – powiedział cicho.

Jednak mężczyźni zatrzymali łódkę w pewnej odległości od żurawia i po prostu siedzieli, patrząc na stare spichlerze i budynki po obu stronach kanału. Potem zawrócili i odpłynęli w stronę morza.

– Kapitan mówił, że jacyś ludzie mieszkają w Nowym Porcie – mruknął Filip. – Czasem tak podchodzą pod nasze granice, a potem wracają. I za każdym razem, jak chcemy nawiązać z nimi kontakt, uciekają. Więc nikt nie wie, co o nich myśleć.

Kilka minut później zostali zmienieni przez Agatę i Prawego, dość sympatycznego, olbrzymiego żołnierza.

– Zameldujes Brzeszczotowi o tamtych ludziach? – zapytał Hubert Filipa.

– Dobra, a ty? Dokąd idziesz?

– Muszę coś zobaczyć na Starówce – odparł nonszalancko.

– Aha, jasne, czy to coś nie ma czasem na imię Beata? – zaśmiał się chłopak.

– Nie twój interes – mruknął Hubert.

„Przekłete małe społeczności – myślał, kiedy skręcił w stronę błękitnej kamienicy. – Tutaj nic się nie ukryje”.

Najpierw wszedł do piwnicy i zabrał stamtąd naręczce drewna, a potem skierował się na trzecie piętro. Drzwi otworzyła młodsza siostra Beaty i od razu wpuściła go do środka. Rodzina dziewczyny była przyzwyczajona do jego częstych wizyt.

Beata poczęstowała Huberta śniadaniem, a kiedy zjadł, po prostu posiedział z nią i jej bliskimi w kuchni, gdzie było najcieplej, oraz opowiedział o tym, co robił z przyjaciółmi poprzedniego dnia.

– Jak to dobrze, że udało się dziewczynom odnaleźć wujka – ucieszyła się Beata. – Ciężko żyć bez rodziny. Zostaną teraz w jednostce czy przeprowadzą się na Starówkę?

– Nie wiem. – Hubert wzruszył ramionami.

Przy pominięciu sobie, z jaką awersją Łęczyński mówił o Starym Mieście.

– Myślę, że wszyscy podzieliliby się z nimi zapasami, gdyby chcieli zamieszkać w jednej z kamienic.

Hubert w zamyśleniu pokіwał głową, jednak nie sądził, że ludzie chętnie podzielą się czymkolwiek z prawie obcymi osobami, szczególnie na początku zimy, ale kto wie?

Dlatego kiedy tylko wrócił na Górę, powiedział przyjaciołom o pomysle zostania na Starym Mieście.

– To lepsze niż zamieszkanie w Brzeźnie – odezwała się Sylwia. – Przy najmniej moglibyśmy się widywać.

– Spróbuj przekonać do tego wujka – powiedział Ernest. – Tylko na tę jedną zimę.

„I tak wiosną będziecie musieli się rozstać – pomyślał Hubert. – I nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczycie. Tak samo jak ja i Beata”.

Ku wielkiej radości dwójki zakochanych oraz Ady Łęczyńskiej postanowił przezimować na Starym Mieście, a Brzeszczot wyraził na to zgodę. Obiecał również dać im zapasy z magazynu znajdującego się pod peronami dworca kolejowego. Hubert był dość zdziwiony jego szczodrością, ale na sam koniec uznał, że kapitan jest bardzo przewidującym człowiekiem. Skoro Łęczyński chciał wiosną przeprowadzić się z dziewczętami do Brzeźna, oznaczało to, że Brzeszczot zyska człowieka blisko morza i Nowego Portu, w którym Bóg wie, co się dzieje.

Mróz tej zimy specjalnie nie doskwierał, możliwe, że to z powodu bliskości morza. Śnieg często prószył, ale też szybko się topił, pozostawiając ziemię rozmiękką i błotnistą, którą z kolei w nocy ścinał mróz.

Hubert z wielką radością przekazał swoje obowiązki przy budowie generatora prądu Ernestowi, który był dużo bardziej tym zainteresowany i o niebo lepiej się na tym znał. Za to sam został oddelegowany do pomocy przy produkowaniu naboje ze starych łusek pod okiem dwóch starszych stopniem żołnierzy. To zajęcie dużo bardziej mu się spodobało. Dzięki temu mógł również uczestniczyć w wyprawie poza miasto do miejsca, gdzie kiedyś znajdowała się prywatna strzelnica. Na szczęście nie natrafili tam na żadnych ludzi ani demony. Znaleźli za to nienaruszony skład broni i amunicji.

Pakując naboje na wózek, Hubert z ciekawością czytał napisy na „konserwach”, czyli opakowaniach amunicji. Sprawdzał, do jakiej broni się nadają, i niespodziewanie w jego ręce trafiło kilka pudełek amunicji do colta 1911. Choć teoretycznie w tym życiu nigdy nie widział ich na oczy, to od razu je rozpoznał.

– Trafiliście na jakiegoś colta? – podeksytowany zapytał kolegów, lecz tamci tylko pokręcili

głowami.

Hubert dwa razy przeszukał wszystkie szafy pancerne i z rozczarowaniem potwierdził, że na strzelnicy nie ma żadnego takiego pistoletu.

– Zostaw to, po co nosić naboje do broni, której nie mamy – powiedział mu Prawy.

Ale Hubert jakos nie potrafił się na to zdobyć.

– A mogę je zatrzymać?

– Jak chcesz. – Tamten wzruszył ramionami.

Kolejne dni były zimne, śnieżne i spokojne. Wszyscy mieli mniej obowiązków, więc żeby się nie nudzili, Brzeczot wraz ze Zgorzelcem prześcigali się w wynajdywaniu różnych bezsensownych zajęć. Codziennie trzeba się było wcześniej zrywać na zaprawę w śniegu, biegi i różne ćwiczenia.

Z kolei popołudniami, co najmniej trzy razy w tygodniu, Brzeczot kazał Zgorzelcowi organizować zapasy w sali do ćwiczeń. Hubert na początku myślał, że kapral się wścieknie, że musi spędzać tyle czasu z młodszymi stopniem, ale on był zachwycony, gdy mógł się na innych wyżyć i pokazać, jak mało potrafią. Szczególnie uwziął się na Kajetana i Agatę. Jak tylko pojawiał się cień szansy, że ich ośmieszy, wykorzystywał to z mściwą satysfakcją malującą się na twarzy. Ernest z kolei zazwyczaj schodził mu z oczu, nie wdawał się w dyskusje, dlatego najwyraźniej kapral nie czuł się zbyt komfortowo w starciu z chłopakiem, który dzięki wysokiemu wzrostowi patrzył na niego z góry. Za to Hubert zawsze musiał coś odpysknąć lub skrzywić się w niewłaściwej chwili i Zgorzelec, najwyraźniej zapominając, kto uratował go przed bieciem, robił wszystko, żeby mu dokuczyć.

– Założę się, że własna matka go nie lubiła – szepnął pewnego dnia Ernest do Huberta, gdy kapral po kolei wpatrywał się swoimi świńskimi oczkami w żołnierzy i wybierał kandydatów do kolejnego starcia w zapasach.

Hubert, słysząc słowa kolegi, parsknął śmiechem.

– A ciebie co bawi? – Zgorzelec wyrostł przy nim, nie wiadomo skąd.

– Nic, kapralu – odparł chłopak, patrząc przed siebie.

Jednak Zgorzelec uznał jego ton za obraźliwy.

– Myślisz, że jesteś taki cwany? – warknął.

– Nie, kapralu.

Zgorzelec przy patrywał mu się spod przy mrużonych powiek

– Wy chodzisz na środek – powiedział. – Prawy! Będziesz jego przeciwnikiem.

– Jezu! – jęknął Hubert.

Prawy był jeszcze wyższy od Ernesta i dwa razy od niego szerszy. Hubert wyglądał przy nim jak chłopiec z podstawówki.

– Nie daj mu się sprowadzić do parteru – mruknął Ernest.

„Łatwo ci mówić” – pomyślał ze złością Hubert.

Był dość dobry w zapasach, kolegów swoich rozmiarów potrafił rozłożyć na łopatkę w niespełną minutę, odrobinę dłużej męczył się z lepiej zbudowanymi przeciwnikami, ale Prawy zdawał się olbrzymem, z którym nie miał szans.

Oczywiście to były tylko koleżeńskie zawody, ale jak ktoś ma ręce jak dwa olbrzymie młoty, nawet nie chcący może zrobić krzywdę drobniejszemu przeciwnikowi.

Hubert powoli wyszedł na środek sali, kątem oka zobaczył zadowoloną minę Zgorzelca.

„Nie dam mu się tak łatwo zastraszyć” – pomyślał.

Wiedział, że jest dużo szybszy od Prawego. Zanim ten wziął zamach, Hubert zdążył już zadać mu kilka ciosów w brzuch, a na koniec uchylić się przed nadlatującą pięścią.

Z początku starał się trzymać przeciwnika na odległość, lecz na niewiele się to zdało.

– Prześciancie się bawić w berka, do cholery! – wrzasnął Zgorzelec. – To są zapasy!

Prawy zamachnął się kilka razy na Huberta, jednak chłopakowi udało się uniknąć wszystkich ciosów.

„Może się zmęczy” – myślał z nadzieją, lecz olbrzy mi kolega tylko odrobinę się zasapał.

„No nic, raz się żyje – zadecydował w końcu Hubert. – Jak się uda, to zostanę bohaterem”.

Unikając wielkich i twardych jak stal pięści, zbliżył się do przeciwnika, skoczył mu na plecy i założył duszenie.

„Cholera, silny jest” – przemknęło mu przez głowę, gdy Prawemu, poczerwieniałemu na twarzy z wysiłku, udało się zerwać jego chwyt. Najwyraźniej też się rozłościł, bo jedną ręką ściągnął Huberta ze swoich pleców i rzucił nim o ziemię.

„Prawy to człowiek jednego ciosu” – tak wszyscy mówili. To była pierwsza rzecz, która przypomniła się Hubertowi, gdy ocknął się na podłodze. Kręciło mu się w głowie i miał rozcięty łuk brwiowy, z którego lała się krew.

– Masz już dość na dzisiaj – podsumował Ernest, pomagając mu wstać.

Zaprowadził go do sali sypialnianej, dał kawał szmaty, żeby przycisnął ją do brwi i nie zachlapał krwią materaców, a sam otworzył okno, nabrał z parapetu garść śniegu i przyłożył go Hubertowi do twarzy.

– Dzięki – powiedział chłopak, czując, że cały zaczyna puchnąć. – Świnia z tego Zgorzelca.

– Co poradzisz... – Ernest wzruszył ramionami. – Ale było całkiem niezłe. Chłopaki nie dawali ci nawet pół minuty.

– A ty? – zapytał Hubert, odsuwając topniejący śnieg od spuchniętej twarzy.

– Znam cię wystarczająco długo, żeby się spodziewać, że zrobisz coś szalonego i nie ustąpisz tak łatwo. – Rudzielec uśmiechnął się, zawiadacko puszczając do niego oko.



ROZDZIAŁ XIV

Czasem Hubert wybierał się z kimś na polowanie do lasu lub do starych parków. Najbardziej cenil pomoc Agaty, która miała najlepszy słuch ze wszystkich rekrutów i najciszej się poruszała. Czasami sam się dziwił, jak blisko potrafi podejść zwierzynę. Gorzej było, kiedy ustrzelili coś większego i musieli zawlec zdobycz na Górę Gradową. Wtedy Hubert marzył o towarzystwie Ernesta, który z dnia na dzień wydawał się coraz większy i silniejszy.

Chłopak dużo czasu spędzał w mieszkaniu Beaty. Gdy miał wolną chwilę, przychodził na podwieczorek, pomagał nosić drewno do domu i palić w piecu. Czasem wybierali się razem do Heńka albo po prostu spacerowali po Starówce, zapuszczali się w dawno zapomniane ulice, gdzie nikt nie mieszkał, a kilka razy odwiedzili stare kościoły, lecz Beata za nimi nie przepadała.

– Tu jest tak ponuro – stwierdziła, pocierając dłońmi ramiona, gdy weszli do kościoła Mariackiego.

– Ale za to jaki klimat – odparł Hubert, z ciekawością rozglądając się dookoła.

– Przytłaczający – powiedziała z przeląsem. – Chodźmy już.

Chłopak westchnął i ostatni raz spojrział na wysokie sklepienie, zakurzone ławki, których część już dawno zabrano jako drewno na opał, i na olbrzymie okna z powybijanymi witrażami. Kościół był ciemny i ponury, ale czuć w nim było powiew historii, tak jak w starym grodzisku niedaleko Dąbrówki, a Hubert uwielbiał takie miejsca.

Podczas wędrówek rozmawiali o wszystkim. Hubert opowiedział Beacie o śmierci mamy, a ona o tym, jak podczas epidemii zachorował i umarł jej ojciec. Mówili o tym, jak świat

wyglądał przed wojną, co wtedy robili, kim byli.

– Kiedyś marzyłam o tym, żeby zostać zawodową skrzy paczką – wyznała raz Beata. – Zawsze wiedziałam, że nie jestem wystarczająco dobra, ale miło było sobie wyobrażać, jak grą podbijam świat. A teraz? Nikogo nie obchodzi to, jaki czy w ogóle gram.

– Według mnie grasz naprawdę dobrze – odparł Hubert. – I lubię cię słuchać.

Choć było to zimno, siedzieli przytuleni do siebie na dachu wysokiego budynku, skąd rozciągał się widok na większą część Starego Miasta.

– A jak znajdziesz jeszcze ze dwie czy trzy osoby, które grają na innych instrumentach, będziecie mogli założyć kapelę i organizować prawdziwe wiejskie tańce.

Beata się zaśmiała. Miała ładny śmiech.

– Jakty to sobie tutaj wyobrażasz?

– Moglibyście urządzić imprezę na rozpoczęcie wiosny. Chłopaki z jednostki z chęcią by się trochę rozerwali, a i cywile pewnie też. A potem możecie grać nawet na ślubach...

– Ślubach? Zwariowałeś? Kto by chciał się żenić w tych czasach?

– Zobaczysz, że jeszcze trochę, a ludzie zaczną się żenić, zakładać nowe rodziny. Przecież trzeba jakoś żyć dalej.

– Pewnie trzeba – powiedziała cicho.

Mogli rozmawiać o wszystkim, jednak ani razu nie poruszyli tematu, co zrobią, gdy nadejdzie wiosna. Oboje bowiem dobrze wiedzieli, że on będzie musiał wrócić do domu, a ona zostać z rodziną. Nie chcieli o tym myśleć, jeszcze nie teraz.

Dni Huberta były wypełnione wartami, produkcją naboju, ćwiczeniami organizowanymi przez Zgorzelca, odśnieżaniem, rąbaniem drewna, spacerami z Beatą, czasami odwiedzał też Terleckiego i studiował z nim mapy.

A gdy on i Ernest mieli wolne popołudnia, chodzili po opuszczonych osiedlach znajdujących się co najmniej kilometr lub dwa od jednostki i szukali w mieszkaniach w blokach ciekawych przedmiotów.

– Daj spokój – powiedział Ernest, opierając się o ścianę.

Hubert już od dziesięciu minut usiłował z pomocą znalezionej kilka dni wcześniej łomu dostać się do opuszczonego mieszkania. Drzwi wejściowe były porządne i eleganckie, więc uznał, że za nimi znajdują prawdziwe skarby.

– Nie odpuszczę tym przeklętym drzwiom – mruknął.

Jego wysiłki w końcu przyniosły skutek i już po kilku kolejnych minutach udało mu się rozbić zamek. Wszedł do środka.

– Gdzie myśmy wleźli? – zapytał ze zdziwieniem Ernest, który podążył tuż za nim.

– Ale czad – szepnęła z namaszczeniem Hubert, nie wiedząc, w którą stronę patrzeć.

Duży, przestronny pokój był wyposażony w niewielkie biurko, a poza tym nie było w nim żadnych innych mebli. Za to na ścianach wisiały szklane gabloty z najróżniejszymi rodzajami broni. Głównie przeżartymi przez rdzę starymi pistoletami, lecz zobaczyli także kilka egzemplarzy w lepszym stanie. Jednak żaden nie nadawał się do użytku.

– Tu musiał mieszkać kolekcjoner – uznał Ernest, podchodząc do biurka, na którym leżało kilka książek o różnych odmianach broni krótkiej.

Hubert go nie słuchał, stał właśnie przed jedną z gablot i zastanawiał się, jak się dobrąć do

pistoletu wiszącego w środku. Delikatnie spróbował odsunąć szybkę, a wtedy cała gablotka runęła na ziemię. Brząk tłuczonego szkła i łamanego drewna rozbrzmiał po całej kamienicy, do tej pory pogrążonej w grobowej ciszy. Chłopak zastygł w bezruchu z rękoma wciąż wyciągniętymi przed siebie.

– Ups.

– Odbiło ci?! – wybuchł Ernest. – Co ty wyprawiasz?

– Samo spadło.

– Jesteś subtelny jak rewolucja – burknął Ernest, przeczesując palcami rudą czuprynę. – A to co? Poszedł do przyjaciela i spojrzął na kawał dykty, który znajdował się na ścianie za gablotą.

Hubert zdjął sklejkę i ich oczom ukazała się niewielka wnęka.

– Wow. – Ernest szeroko otworzył oczy. – Chyba natrafiliśmy na skład nielegalnej broni.

Hubert już wyciągał ręce po pistolet, który na niewielkich hakach wisiał w skrytce.

– Colt 1911 – szepnął z namaszczeniem.

Był piękny. Czarny, z tak zwanymi „diamentami” na rękojeści, dokładnie taki, jaki miał w Świącinie.

– Całkiem niezły był ten kolekcjoner – stwierdził Ernest, patrząc na pozostałe trzy pistolety ukryte we wnęcie w ścianie.

– Weźmiemy je wszystkie? – poprosił Hubert.

– Po cholere ci one?

– Mogą przydać się w jednostce.

– Najpierw znajdź do nich naboje.

Hubert od razu zabrał się za przeszukiwanie mieszkania. Niestety, wraz z przyjacielem wywrócił je do góry nogami, poszukując kolejnych skrytek, ale nie znalazł ani jednego naboju.

– Jak to? – zapytał z rozszaleniem. – Facet kolekcjonuje broń, a nie ma ani sztuki amunicji?

– No właśnie, kolekcjonuje, a nie przygotowuje się na koniec świata – powiedział Ernest. – Zostaw je, bez amunicji są do niczego.

Jednak Hubert uśmiechnął się tajemniczo do przyjaciela. Z otwartej szuflady wyjął gruby pas z kaburą, do której wsunął colta. Przecież na Górze miał ukrytych kilka kartoników amunicji, które przywiózł ze strzelnicy.

Od kiedy Hubert namówił przyjaciela, żeby ten zastąpił go w obowiązkach, Ernest bardzo często odwiedzał Sacharuka i pomagał mu przy generatorze prądu, który przy dobrych wiatrach mógłby być zamontowany na Górze Gradowej już pod koniec lutego. Poza tym próbowali zbudować transformator i myśleli również, jak skonstruować żarówkę. Za każdym razem Ernest z wypiekami na twarzy opowiadał Hubertowi, co już udało im się osiągnąć, jednak jego przyjaciel nie dzielił tego entuzjazmu.

Wigilię świętowali z Sylwią, Adą i Łęczyńskim w ich nowym mieszkaniu, a po kolacji, która miała być uroczysta, a składała się na nią tylko odrobinę więcej jedzenia niż zazwyczaj, Hubert i Ernest wrócili na Górę, żeby tam spędzić resztę wieczoru z kolegami z jednostki. Z kolei w sylwestra zorganizowali zabawę w starym centrum handlowym. Beata za namową Huberta skrzyknęła jeszcze kilka innych osób grających na różnych instrumentach. O północy wszyscy zapomnieli o wszelkich kłótniach i Hubert byłby w stanie nawet złożyć życzenia samemu

Zgorzelcowi, ale ten nie pojawił się na zabawie.

Łęczyński posadził sobie na barkach Adę, tuż obok niego stał Ernest, trzymając Sylwię za rękę, byli też Hubert z Beatą. Wszyscy patrzyli na czarne niebo, gdzie nad ciemnym, wymarłym miastem rozbłyskiwały kolorowe fajerwerki z magazynu Brzeczota. Mieli wrażenie, że jeszcze nigdy nie oglądali równie pięknych.

– Wszystkiego najlepszego. – Beata odwróciła się w stronę Huberta. – Oby ten rok był lepszy.

Czas zamarł w miejscu. Hubert patrzył na twarz Beaty rozświetloną przez fajerwerki, jej ciemne oczy i przez tę jedną krótką chwilę był przekonany, że rzeczywiście wszystko ułoży się lepiej. A potem ją pocałował.

Od drugiego dnia nowego roku wszystko wróciło do normy – codzienne obowiązki, pogoda jakby się pogorszyła, a ludzie znów zajęli się sobą. Jakiś czas później na Górę Gradową dotarł przemarznięty i wygłodniały młody mężczyzna, który poszukiwał w Gdańsku rodziny, a gdy jej nie znalazł, po prostu błąkał się po okolicy, aż trafił do jednostki. Brzeczot może nie przyjął go z otwartymi ramionami, ale z umiarkowaną życzliwością. Co prawda kolejna osoba w jednostce oznaczała zmniejszenie zapasów żywności, ale również dodatkową parę rąk do pracy. Hubert, za każdym razem, gdy widział tego mężczyznę, który przedstawił się jako Rzecki, był przekonany, że skądś go zna, ale Ernest stwierdził, że facet przypomina ich dawnego nauczyciela informatyki. Hubert przestał się więcej nad tym zastanawiać, nawet się nie kłopotał, żeby zapamiętać nazwisko przybysza, po prostu nazywał go Nowy.

Pod koniec lutego śnieg stopniał, odsłaniając brudne ulice i szare domy. Mróz jednak odpuścił dopiero w marcu, zamieniając ziemię na Górze Gradowej w lepkie błoto. Po drogach spłynęły wartkie strumienie. Wiele osób chorowało w tym czasie, wszyscy tęsknili za świeżym jedzeniem, za warzywami i owocami. Na szczęście w powietrzu było już czuć wiosnę.

Hubert nabierał dla Beaty pierwszych przebiśniegów rosnących w ogródkach poza centrum miasta. W pierwszej chwili czuł opory przed zrywaniem kwiatów, które kiedyś były pod ochroną, ale uznał, że teraz, po wojnie, to człowiek jest najbardziej zagrożonym gatunkiem.

W końcu też Ernest wraz z Sacharukiem zamontowali na krzyżu stojącym na szczycie Góry trzyramienny wiatrak podłączony do generatora prądu, a gdy zawiął lekki wiatr, wszyscy po raz pierwszy od trzech lat zobaczyli sztuczne światło w słabej, niedbale zrobionej żarówce neonowej, która zresztą już po chwili przestała działać. Dało to jednak ogromną nadzieję.

Niestety, dwa dni później nad miastem przetoczyła się burza wraz z silną wichurą, która wywołała sztorm, łamała drzewa i przewracała je na ulice oraz domy, a wiatrak urwał się i stoczył z Góry, pozostawiając podłużną wyrwę w ziemi. Na szczęście nikogo nie było wtedy w pobliżu. Po tym wypadku Ernest trochę podupał na duchu, lecz Sacharuk przekonywał go, że muszą znów zbudować wiatrak taki, który przy większym wietrze zamiast kręcić się jak opętany, będzie hamował sam siebie.

Hubert ze współczuciem obserwował przyjaciela rozdartego między chęcią zostania na Górze a pragnieniem powrotu. Z jednej strony Ernest zobaczyłby nowy wiatrak spędził więcej czasu z Sylwią, ale z drugiej ciągnęło go do Dąbrówki, do domu i do siostry, którą powinien się opiekować. Sam Hubert zresztą czuł się podobnie.

Czasem, gdy szedł przez Stare Miasto, wyobrażał sobie, co by było, gdyby został tu na stałe. Mieszkałby z przyjaciółmi na Górze, codziennie widywał się z Beatą. Zostawiłby za sobą

przeszłość, zapomniał o śmierci mamy, nie musiał patrzeć na wciąż załamanego ojca. Nie rozpamiętywałyby sprawy Święcina.

Gdańsk był wielki, a liczba ocalałych tu ludzi znikoma. Jeszcze przez wiele lat mógłby z nimi żyć z tego, co ofiarowały miasto. Z dala od demonów. Kusząca wizja.

– Chyba jednak nie jestem stworzony do służby w wojsku – stwierdził kóregoś wieczoru, gdy z przyjacielem leżeli na łóżkach, wykończeni po dniu pełnym pracy pod okiem Zgorzelca.

– Nie martw się, ja chyba też – odparł Ernest.

– A jednak nie byłoby chyba aż tak źle, gdybyśmy zostali. Ty z Sylwią, ja z Beatą...

– Nie – wycedził przyjaciel przez zaciśnięte zęby.

– Co „nie”?

– Nie możemy zostać. Już i tak zbyt długo tu siedzimy. W Dąbrówce nas potrzebują, a nawet nie wiemy, jak poradzić sobie zimą.

– Ale gdyby tak...

– Hubert, nie, nawet o tym nie myśl. Tam została nasza rodzina, twój ojciec, mój dziadek i siostra. Zresztą inni z Dąbrówki też na nas liczą. Nie możemy ich zawieść.

– Uhm – mruknął Hubert.

Wiedział, że przyjaciel ma rację. Obaj wiedzieli, że muszą wrócić, ale też obaj chcieliby zostać.

– Przed końcem marca? – zapytał.

– Jutro powiem o tym Brzeszczotowi i innym – zgodził się Ernest.

Od tej pory Hubert robił wszystko, żeby nacieszyć się pobytem w Gdańsku, czasem spędzonym z przyjaciółmi i spotkaniami z Beatą. Z jednej strony wolałby ich nie opuszczać, a z drugiej tęsknił za domem.

*

Był ciepły wiosenny ranek, gdy kapitan wraz z Filipem, Prawym, Nowym i kilkoma innymi ludźmi wybrali się poza miasto po materiały na budowę nowego wiatraka.

Hubert stał wtedy na warcie przed jednostką, pamiętał, że śmiał się z Filipa, który zaplątał się w pasek od karabinu. Kiedy skończył służbę, uciekł na Stare Miasto, żeby nie rzucić się w oczy Zgorzelcowi, akurat tego dnia czepiającego się wszystkich. Zdziwiło go, że kapral tak się miota po całej jednostce: zazwyczaj gdzieś znikał, żeby potem podejść do kogoś po cichu i nawrzeszczeć, że to, co zrobił, jest złe.

Cały dzień upłynął spokojnie, ale pod wieczór żołnierze zaczęli się martwić, gdy ich kapitan jeszcze nie wrócił. Wyprawa miała się zakończyć najwyżej późnym popołudniem, a gdy zapadł zmrok, niektórzy zaczęli przebąkiwać, żeby iść i poszukać kolegów oraz Brzeszczota.

– Najwyraźniej coś musiało ich zatrzymać, to nie jest nic niezwykłego – uspokoił wszystkich podczas kolacji Zgorzelec. – Ci, którzy wychodzili na miasto, coś o tym wiedzą. Jednak jeżeli nie wrócą jutro do południa, wyślemy ekipę ratunkową.

– A ja myślałem, że ten drań podczas nieobecności kapitana zacznie naprawdę wariować na punkcie władzy – powiedział cicho Ernest.

– Może w końcu dojrzał i znormalniał – odpowiedziała Agata.

Noc upłynęła spokojnie, podobnie ranek, jednak gdy nastało południe, ludzie zaczęli się denerwować. Cywilom na razie nikt nic nie mówił, jednak żołnierze zdawali sobie sprawę z tego,

że to Brzeszczot utrzymał całą jednostkę w porządku, a bez niego zapanuje chaos.

Ku zaskoczeniu wszystkich Zgorzelec stanął na wysokości zadania i wyznaczył ludzi, którzy mieli iść na poszukiwania. Już ich odprawiał, gdy niespodziewanie na Górę dowleki się Prawy z raną postrzałową w ramieniu i niemilosiernie pobity Nowy.

– Napadli nas – wysapał Nowy i osunął się na ziemię.

Koleczy natychmiast zaniesli go do pielęgniarki. Zaprowadzili tam również Prawego, który wylał, jakby był w szoku.

Jeszcze zanim ich opatrzone, Zgorzelec przy kilku świadkach wypytał, co się stało. Okazało się, że kiedy dotarli do celu, nagle ktoś ich zaatakował. Filip padł od razu, inni pochowali się za tym, co było w pobliżu, ale napastnicy ich otoczyli i połowę oddziału wystrzelano jak kaczki. W tym, niestety, Brzeszczota. Resztę pobito na śmierć. Ani Prawy, ani Nowy tak naprawdę nie mieli pojęcia, jak udało im się uciec.

Na Górze Gradowej zapanował chaos. Część osób chodziła bez celu w kółko, inni chcieli od razu wziąć odwet na mordercach kapitana, ktoś stwierdził, że to na pewno ludzie z Nowego Portu i rzucił pomysł wyruszenia z misją odwetową.

Wtedy Zgorzelec wezwał wszystkich na apel. Ogłosił, kto pójdzie odzyskać ciało kapitana, a kto zostanie na miejscu, pilnując granic dzielnicy. Ludność cywilna miała poukrywać się w domach i czekać, co będzie dalej. Hubert wraz z Ernestem musieli zostać, choć nie byli z tego powodu zachwyteni.

– Trudno mi uwierzyć w to wszystko – mruknął ponuro Hubert, gdy stali na warcie w starym żurawiu. – Poszło ich siedmiu czy ośmiu, a wróciło tylko dwóch.

Ernest tylko pokiwał głową. Siedział na ławce i wpatrywał się w przestrzeń przed sobą.

– Tam był też Filip – odezwał się po chwili. – Przecież dzieciak nie miał nawet siedemnastu lat.

– Jezu. Ale przecież Brzeszczot nie był głupi. Jak mogli tak łatwo dać się powystrelać?! – jęknął Hubert.

Nie mieli zbyt często do czynienia z kapitanem, ale darzyli go ogromnym szacunkiem. Hubert szczególnie od momentu, gdy usłyszał historię Heńka.

– Jeżeli się niczego nie spodziewali, to tak właśnie mogło być.

– Co teraz będzie z całą jednostką?

– Pewnie Zgorzelec przejmie obowiązki kapitana – odparł obojętnie Ernest.

Hubert ze złością kopnął belkę, która leżała na ziemi. W powietrze wleciały tumany kurzu. Chłopak wciąż nie mógł uwierzyć, że kapitan nie żyje. Przecież Brzeszczot nie mógł zginąć w taki głupi sposób. Był duszą całej jednostki. Jak mogłoby go zabraknąć?

Późnym wieczorem, kiedy przywieziono ciało kapitana i jeszcze kilku innych żołnierzy, Hubert nadal nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę. Pochowano ich na Górze Gradowej. Zgorzelec wygłosił mowę nad grobami i widać było, że choć nie zawsze dogadywali się z Brzeszczotem, bardzo go cenili i odczuwał prawdziwy żal po jego śmierci.

Hubertem najbardziej wstrząsnęło to, że nie odnaleziono Filipa. Chłopak nie miał na świecie nikogo. Brzeszczot i koleczy z jednostki byli całą jego rodziną, a teraz nawet nie wiadomo, co się z nim stało. Czy jego ciało rozszarpały psy lub inne zwierzęta? A może odczołgał się gdzieś dalej i teraz umierał w samotności? Kajetan, jego bliski przyjaciel, najbardziej przeżył tę śmierć. Dlatego przez całą noc Hubert, Ernest i Agata na zmianę z nim siedzieli.

Przez następne dwa dni Stare Miasto było spokojne jak nigdy. Żołnierze spodziewali się w każdej chwili ataku ze strony Nowego Portu, ale nic takiego na razie się nie wydarzyło. Ludzie rzadko wychodzili z domów, byli niepewni przyszłości. Z kolei na Górze kapral Zgorzelec zagonił żołnierzy do pracy.

Hubert najchętniej już opuściłby Gdańsk i wrócił do Dąbrówki, zapominając o tym wszystkim, ale czuł, że nie powinni zostawiać Sylwii i Beaty z rodzinami, gdy przyszłość Starego Miasta nie była pewna.

Wieczorem, trzy dni po ataku na oddział kapitana, Hubert z Beatą wychodzili właśnie od Heńka, gdy zobaczyli jakieś zbiegowisko na środku ulicy. Bez zastanowienia od razu się tam skierowali. Kiedy przecisnęli się przez tłum ludzi, zobaczyli, że na bruku na wprost leży, a na wprost siedzi Filip. Miał na sobie brudny, zniszczony mundur, połowa jego twarzy była pokryta zaschniętą krwią. Jakaś kobieta go podtrzymała, a Sacharuk próbował zrozumieć, co chłopak mówi.

– Zaatakowali nas – bełkotał. – Strzelali... on... on strzelił kapi... kapitanowi w plecy.

Niespodziewanie Filip zbladł jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, i chwycił wyjągnął palec przed siebie.

– On zastrzelił Brzeszczota – wycedził.

Wszyscy odwrócili głowy. Palec chłopca był wycelowany w Nowego.

– Młody bełkocze bez sensu – oświadczył mężczyzna.

– W plecy – syknął Filip i stracił przytomność.

– Dajcie spokój. – Nowy rozejrzał się po twarzach ludzi, którzy go otoczyli. – Napadli na nas i strzelali z każdej strony, dzieciakowi coś się przywidziało. To normalne.

Hubertowi nagle zrobiło się gorąco, a potem zimno, jakby ktoś wylał na niego kubeł lodowatej wody. Ścisnął mocno rękę Beaty i stanął przed nią.

– Ja go znam – powiedział cicho.

Przyjrzał się dokładniej wysokiemu mężczyźnie o ciemnych włosach. Wtedy był łysy, a jego twarz bardziej pokryta bliznami, ale Hubert przypomniał sobie, gdzie i kiedy go widział. Spojrzał w te ciemne, groźne oczy, na pięści, które kiedyś, w innym życiu, wymierzyły mu cios prosto w twarz, a potem w brzuch, gdy dwóch innych żołnierzy go trzymało.

– Starszy kapral Czarnecki, prawda? – warknął głośno.

Filip mógł majaczyć, ale Hubert dobrze wiedział, że za maską zdruzgotanego po utracie rodziny człowieka, którego nazywali Nowym, kryje się paskudny typ. Dobrze pamiętał, jak Czarnecki bił go raz za razem tylko dlatego, że z kolegami miał nad nim liczącą przewagę, jak inny żołnierz w tym czasie trzymał Iżę za włosy i wciskał jej lufę karabinu w zębra. Hubert dobrze wiedział, że Filip mówił prawdę.

Czarnecki, słysząc swoje prawdziwe nazwisko, nerwowo rozejrzał się dookoła, a potem spróbował się powoli wycofać. W większości otaczali go cywile, którzy nie potrafili utrzymać broni w rękach, jednak nie wiedział, do czego będą zdolni po śmierci ukochanego kapitana i po tym, jak zobaczą Filipa w takim strasznym stanie.

– Nie pozwól mu uciec! – krzyknął Hubert do Ernesta, który znajdował się bliżej starszego kaprala.

Kiedy tylko mężczyzna się odwrócił, gotowy do biegu, na jego drodze stanął rudy chłopak i uderzył go pięścią prosto w nos, aż połała się krew. Czarnecki zasłonił rękoma twarz, plując

posoką i przeklinając, usiłował wyciągnąć zza paska pistolet, ale Ernest na szczęście był szybszy i mu go zabrał.

Ludzie zaczęli coś krzyczeć, przepychać się do wciąż pochylonego i zakrwawionego żołnierza. Byli wzburzeni i źli, a w takiej sytuacji wystarczy jeden gniewny okrzyk, by doszło do tragedii.

Hubert zwrócił się do Beaty.

– Idź teraz do domu – powiedział ostro.

– Ale... – zaczęła protestować.

– Znajdź matkę, rodzeństwo i zabarykadujcie drzwi.

Obrócił dziewczynę w miejscu i delikatnie wypchnął ją z tłumy, a potem zaczął przeciskać się w stronę Ernesta. Na szczęście ktoś inny również miał głowę na karku i zabrał nieprzytomnego Filipa. Hubert miał nadzieję, że się nim zajmą i opatrzą jego rany.

Niestety, zanim dotarł do przyjaciela, ten został już odepchnięty daleko od Czarneckiego, którego trzymało kilku mężczyzn. Ktoś pobiegł po linę, ktoś krzyczał coś o zmarłym Brzeszczocie.

„Jezu, powieszą go – pomyślał Hubert. – Choć nie jest to chyba aż tak zły pomysł, prawda? Zasłużył sobie. A jeśli nie? Jeśli to nie on?”

Hubert spojrział na przyjaciela, ale ten również wydawał się bezradny. Nie mieli dość charyzmy, by okiełznać zaślepiony gniewem tłum.

Nagle usłyszeli ogłuszający huk wystrzału. Wszyscy zamarli.

– Co tu się, do cholery, dzieje?! – wykrzyczał Zgorzelec, trzymając karabin wycelowany w niebo. Za nim stało kilku chłopców z jednostki.

– On zabił Brzeszczota! – Jeden z odważniejszych mężczyzn wskazał na siedzącego na bruku, zalanego krwią Czarneckiego.

– Bzdura! Oni wpadli w zasadzkę! – bronił się Nowy.

Hubert zauważył, że był dużo bardziej czerwony na twarzy niż zazwyczaj.

– Mam świadka!

Zgorzelec na chwilę zaniemówił.

– Filip wrócił i wszystko widział!

– Rzecki strzelił kapitanowi w plecy!

– Gdzie Filip? – zapytał już spokojniej kapral.

– Był ranny, ktoś się nim zajął.

Zgorzelec zaklął pod nosem.

– Jeżeli chłopak wydobrzeje i potwierdzi swoje słowa, postawimy Rzeckiego przed sądem wojskowym. I pomścimy śmierć kapitana.

Hubert prychnął pod nosem. Akurat, sąd wojskowy. Ale lepszy taki niż żaden.

– Ty sukiny nu! – krzyknął nagle Czarnecki, podnosząc się z ziemi. – Sam kazałeś mi go zabić! Strzelić prosto w plecy!

Ludzie zaniemówili.

– Chciałeś przejąć władzę nad jednostką! – krzyczał mężczyzna, plując krwią. – Ale wiedziałeś, że gdybyś sam to zrobił, ludzie od razu by cię podejrzewali! Zmówiłeś się z Portowcami!

Niezależnie od tego, czy to była prawda, czy nie, Zgorzelec najwyraźniej uznał, że jest już spalony. Wycelował karabin prosto w pierś Czarneckiego, ale ten uskoczył, jednocześnie wyrывая pistolet z rąk stojącego obok młodego żołnierza. Zgorzelec strzelił i zamiast

Czarneckiego trafił jakiegoś mężczyznę, który z krzykiem upadł na ziemię. Kula przeszła udo. Ludzie zaczęli krzyczeć. Część padła na bruk, inni rozbiegli się we wszystkie strony.

Hubert uniósł do ramienia karabin, ale nie wiedział, w kogo wycelować, kto stanowi większe zagrożenie. Ktoś w biegu potracił jego ramię i chłopak na chwilę stracił równowagę.

W tej samej chwili Czarnecki chwycił za szyję osobę, która znajdowała się najbliżej, i użył jej jako żywej tarczy. Hubert z przerażeniem stwierdził, że to Sacharuk.

Wymiana ognia, która po tym nastąpiła, trwała nie dłużej niż kilka sekund.

Zgorzelec strzelił, a kula przeszła na wylot przez Sacharuka, ale żołnierza tylko lekko drasnęła w ramię. Martwy inżynier osunął się na ziemię. Czarnecki, odpychając od siebie jego ciało, wystrzelił w stronę kaprała, a potem, korzystając z zamieszania, wycofał się i zniknął gdzieś między starymi kamienicami.

W ciągu kilku sekund ulica prawie całkowicie opustoszała. Postrzelony wcześniej w udo mężczyzna, jęcząc cicho, czołgał się gdzieś na bok. Na bruku, w kałuży krwi, leżał Sacharuk. Zgorzelec kłęczał na ziemi, obie ręce przykładając do brzucha. Krew przeciekała mu przez palce. Kilku młodych, wciąż oszołomionych żołnierzy stało w miejscu, nie wiedząc, co robić dalej. Czekali na rozkazy, które nigdy już nie miały zostać wydane.

Hubert pierwszy otrząsnął się z szoku.

– Wy – odezwał się do dwóch młodych chłopaków. – Zaprowadźcie tamtego do pielęgniarki. – Wskazał rannego w udo mężczyznę.

Spojrzał wtedy na Zgorzelca, który z głuchym łomotem upadł na ziemię. Krew poleła mu się z ust i z nosa. Hubert kucnął przy nim i przyłożył palce do jego szyi. Nie wyczuł pulsu i choć nie był specjalistą, stwierdził, że kapral nie żyje.

„Może to lepiej – pomyślał, patrząc na zakrwawione zwłoki. – Dla ciebie i dla innych”.

– Wy dwaj – zwrócił się do pozostałych żołnierzy. – Wykopiecie dla Zgorzelca grób na Górze i go pogrzebiecie. Ty znajdź żonę Sacharuka i pochowaj go tam, gdzie ona poprosi.

„Co dalej?” – zastanawiał się gorączkowo, spoglądając na Ernesta.

– Trzeba znaleźć Burtowego – odpowiedział przyjaciel.

Hubert pokiwał głową. Burtowy był teraz najstarszy stopniem w całej jednostce.

– Powiedz wszystkim, żeby pełnili warty według grafiku na ten dzień. I niech będą bardzo ostrożni, na wypadek gdyby Czarnecki wrócił albo ci z Nowego Portu w końcu nas zaatakowali. Jakcy wile będą się kręcić po ulicach, niech rozgonią ich do domów. A ja poszukam Burtowego.

Ruszył w kierunku Góry. Najchętniej poszedłby od razu do Beaty, żeby ją uspokoić, choć w tej chwili on chyba bardziej potrzebował wsparcia. Poczuł, że ma naprawdę wielką ochotę się napić czegoś mocniejszego, przestać myśleć o tym, co przed chwilą zaszło na Starym Mieście, wyłączyć umysł i nie widzieć krwawych obrazów za każdym razem, gdy zamknie oczy.

Jednak zdawał sobie sprawę, że ktoś z przytomnym umysłem musi się zająć innymi, żeby w panice nikomu więcej nie stała się krzywda.

Gdy tylko dotarł na Górę, okazało się, że wieści ze Starówki już go wyprzedziły. Burtowego znalazł na środku placu przed budynkiem mieszkalnym.

– Wiesz, że awansowałeś?

– Ale... ale... jak? – wyjął Burtowy. – Co teraz?

Hubert spojrzał na niego ze współczuciem. Wysoki, sprawny chłopak miał dopiero dwadzieścia trzy lata. Był bystry, ale przywykł do wykonywania rozkazów, a nie ich wydawania. Przecież

zawsze dowodzili nim albo Brzeszczot, albo Zgorzelec.

– Ja już wyznaczyłem chłopaków do pogrzebania martwych i opieki nad rannymi – powiedział. – Ernest ma ogarnąć warty. Musimy spodziewać się, że Nowy Port, skoro działał w zмовie ze Zgorzelcem, może chcieć nas zaatakować. Znajdź zajęcie innym. Cywile na razie siedzą w domach, ale pomyśl nad tym, co im powiesz. Idź do gabinetu Brzeszczota, weź jego broń i klucz do magazynu, niech widzą, że teraz ty masz władzę.

Burtowy pokłwał głową i odszedł. Hubert został sam na placu. Wyznaczył zadania dla innych, ale z nim samym? Co teraz miał począć?

„Przez ciebie i tego drugiego omal nie zginąłem”.

Teraz dobrze wiedział, o czym wtedy mówił Czarnecki. Czy historia rzeczywiście zatoczy koło? Czy znów spotka starszego kaprala za cztery lata? Zmienił swoją przyszłość, nie był pod Luwrem podczas wybuchu bomby, nie nosił blizn pozostawionych przez wysadzoną w powietrze szklaną piramidę, ocalił Ernesta. A co z biesem, który pozostawił mu na pamiątkę szramę na długość całego ramienia? Przecież w Świącinie nie miał takiej blizny. Odruchowo potarł prawą ręką lewe ramię, które wciąż czasem go swędziało. I najważniejsze pytanie: czy Świącino jednak istnieje?

Wziął głęboki wdech i przecesał palcami włosy. Kiedyś będzie musiał znaleźć czas, żeby o tym spokojnie pomyśleć. Rozejrzał się i uświadomił sobie, że stopy same zaprowadziły go na sam szczyt Góry pod olbrzymi krzyż. Widział stąd całe Stare Miasto, a nawet odległe zielonkawe żurawie z Nowego Portu. Czy Zgorzelec rzeczywiście spiskował z ludźmi stamtąd? Może obiecali mu pomoc w pozbyciu się Brzeszczota w zamian za prawo mieszkania na Górze i korzystania z magazynu? Czy to wszystko, co się wydarzyło, to tylko głupi zbieg okoliczności i nie ma w nim naprawdę winnych osób? Co teraz będzie?

Spojrzał na Stare Miasto.

Jeszcze jakiś czas temu był przekonany, że Góra i Starówka to całkiem silna społeczność, która wiele może zdziałać. Dopiero teraz zrozumiał, na jak kruchych podstawach się opierała. Zabrakło Brzeszczota, żelazną ręką trzymającego porządek, i Sacharuka, który miał wiosną zbudować nowy wiatrak. Śmierć tej dwójki wystarczyła, żeby wszystko cofnęło się znów do średniowiecza, bez większych szans na poprawę losu.

Hubert westchnął ciężko i powoli zszedł z Góry. Ruszył do Beaty, żeby przekazać jej rodzinie wieści.

– Boże, co teraz będzie? – Matka dziewczyny się martwiła.

– Za kilka dni sytuacja się uspokoi i będzie tak jak dawniej – przekonywał ją.

W głębi serca obawiał się jednak, że nic nie ułoży się jak dawniej. Stare Miasto upadnie po raz drugi.

– Naprawdę sądzisz, że wszystko wróci do normy? – zapytała go Beata, kiedy zamknęli się w jej pokoju.

Pokręcił powoli głową.

– Niech to... – westchnęła dziewczyna.

Wtem Hubert złapał ją za ramiona i spojrzał jej w oczy.

– Nie musisz tu zostawać. Nie musisz się martwić, co będzie dalej – zapewnił gorąco.

– I miałybyśmy zostawić rodzinę? – prychnęła.

– Nie, nie musisz ich zostawiać. Zabierz ich ze sobą. Dąbrówka jest mała, potrzebuje jak najwięcej ludzi, zobaczysz, przyjmą was tam z otwartymi ramionami...

Przez chwilę poczuł, że tak może być naprawdę. Beata z rodziną mogłaby znaleźć bezpieczny dom na wsi, nie musiałyby się zamartwiać, co się z nią dzieje.

– Przestań. – Odsunęła się od niego. Zauważył, że w oczach miała łzy. – Jak to sobie wyobrazasz? To jest zbyt długa i niebezpieczna podróż. Jak moje rodzeństwo miałoby sobie poradzić? A poza tym właśnie tutaj jest nasz dom. Może nie najlepszy, ale jakoś dajemy radę. Tu nie ma demonów, o których wciąż opowiadasz.

– Zapewniłbym ci bezpieczeństwo – szepnęła.

– Nie, Hubert. – Dziewczyna pokręciła głową. – Tu jest nasze miejsce, nie twoje.

Chłopak poczuł, jak coś dławi go w gardle. Wizja Beaty w Dąbrówce nagle śla. Odwrócił się i wyjrzał przez okno, żeby się uspokoić.

– Uważajcie na siebie – powiedział po chwili. – Nie wychodźcie dziś z domu i na noc zabarykadujcie drzwi.

– Dobrze. Hubert?

– Muszę poszukać Ernesta.

Przyjaciela znalazł w nowym domu Sylwii. Chłopak z ponurą miną obserwował, jak jego dziewczyna wraz z rodziną się pakują.

– Mówiłem wam, że takie wojsko to nic dobrego – mruczał Łęczyński. – Banda głupich facetów z bronią. Jeszcze trochę, a wszyscy się powystrzelają.

– Jesteście pewni, że chcecie wyjechać? – zapytał głupio Hubert.

– A co innego nam pozostaje? – zapytała ze znużeniem Sylwia.

Po tak długiej i niebezpiecznej podróży znalazła tutaj w końcu dom, a teraz musiała go opuścić.

– Tutaj już nie jest bezpiecznie – powiedział Łęczyński. – Kto wie, czy żołnierze nie zaczną zaraz włamywać się ludziom do domów. Dużo lepiej będzie nam samym w Brzeźnie. Mam tam dom, własne zapasy...

Hubert pokłamał głową. Wcale im się nie dziwił. Sam miał ochotę odejść stąd już dziś, zostawić to wszystko za sobą, jednak nie potrafił opuścić przyjaciół, nie upewniwszy się, czy będą bezpieczni.

Następnego dnia z samego rana Sylwia i Ada wraz z wujkiem wyprowadziły się ze Starego Miasta. Hubert i Ernest pomogli im przewieźć cały dobytek do Brzeźna, gdzie Łęczyński miał dom, jeszcze przed wieczorem pożegnali się z nimi i wrócili do jednostki. Panował spokój. Ludzie woleli siedzieć pozamykani w mieszkaniach, a żołnierze, kiedy nie mieli nic do roboty, po prostu snuli się po całej Górze bez celu.

Tej nocy, pomimo troskliwej opieki, Filip zmarł z powodu ran i wycieńczenia. Prawy się powiesił. Wszyscy uznali, że od śmierci kapitana musiały go dręczyć wyrzuty sumienia, choć nikt tak naprawdę nie miał pojęcia, jaką rolę w tamtej zasadzce odgrywał olbrzymi żołnierz.

Tego było już za wiele dla Huberta i Ernesta. Postanowili, że za dwa dni z samego rana opuszczą Gdańsk. Widmo śmierci zawisło nad Górą Gradową, której mieszkańcy, jak podejrzewali, już nigdy tak naprawdę nie odzyskają spokoju.

Wieczorem posiedzieli we wspólnej sali z najbliższymi znajomymi, lecz zamiast rozmawiać, przez większość czasu milczeli.

– Poradzicie sobie tutaj? – zapytał Agatę Hubert.

– Damy radę – odparła dziewczyna.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale marnie jej to wyszło.

– Zaopiekuj się Kajetanem.

Pokiwała głową. Już od dawna traktowała go jak młodszego brata. Zresztą, oboje byli zupełnie sami na świecie, więc mogli liczyć tylko na siebie nawzajem.

– A jak tutaj będzie bardzo źle, pamiętajcie, że zawsze możecie się wyprowadzić – dodał Ernest. – Choć Burtowy powinien dać sobie radę.

Jeszcze zanim zapadł zmrok, Hubert odwiedził dom każdego znajomego, żeby się pożegnać. Najwięcej czasu, choć wcale tego nie planował, spędził u Terleckiego. Geodeta najwyraźniej bardzo żałował, że chłopak chce wyjechać, bo był jedyną osobą wykazującą jakiegokolwiek zainteresowanie jego mapami.

– Ludzie nawet nie podejrzewają, jakich rzeczy można dowiedzieć się ze starych map – powiedział. – Kiedyś, jak byłem jeszcze młody, odkrywałem stare domy ukryte w samym sercu lasu, ruiny dworców i kurhany, o których wszyscy już dawno zapomnieli.

Hubert pokiwał głową i zerknął znacząco za okno, gdzie zapadła szarówka, dając do zrozumienia, że nie ma za wiele czasu.

– No, ale co ja ci będę o tym mówił, sam przecież wiesz, jak to jest. – Geodeta wstał z łanapy i zaczął przetrząsać szafki. W końcu wyciągnął z nich dużą, czarną tubę i wręczył chłopakowi.

– Pomyślałem, że mogą ci się przydać.

Hubert zajrzał do środka, gdzie zobaczył zwinięte w rulon mapy.

– Nie trzeba było... – zaczął, ale Terlecki machnął tylko ręką.

– Masz tam mapy swoich okolic – powiedział mężczyzna. – I jeszcze kilka innych. Sam widziałeś, że ja mam tego mnóstwo, tym bardziej że po wojnie dobrałem się do zbiorów politechniki.

– Dziękuję – odparł Hubert i uściśnął mu rękę.

Może prezent ten nie był zbyt trafiony, ale na pewno wręczony ze szczerego serca.

Potem Hubert spotkał się z Beatą i razem poszli na spacer, który zakończyli na dachu swojej ulubionej kamienicy.

– Uważaj na siebie – powiedział Hubert, kiedy usiedli, a Beata jak zwykle oparła głowę o jego ramię. Jej ciemne włosy pachniały ziołowym szamponem.

– Wiedziałaś, że kiedyś wyjedziesz – odezwała się. – Ale i tak jest mi przykro.

– Mogę zostać, dla ciebie.

Zawiedzie rodzinę, znajomych, sąsiadów, przekreśli przyjaźń z Ernestem i Michałem, ale przynajmniej zyska pewność, że Beata jest bezpieczna. Zaopiekuje się nią i zapomni o dawnym życiu.

– Tu nie jest twoje miejsce. Wracaj do domu, do rodziny. Nigdy nie mogłabym stanąć pomiędzy tobą a nimi. Pewnie na początku nie byłoby ci tutaj źle, ale z czasem byś za nimi naprawdę zatęsknił. Miałbyś wyrzuty sumienia, że ich zostawiłeś. Nie mogę cię o to prosić. Tak samo, jak ty nie mógłbyś mnie namówić, bym opuściła swoją rodzinę.

„Racja – pomyślał. – Dlaczego nie ma rozwiązania, które byłoby dobre dla wszystkich?”.

– Jeżeli cokolwiek będzie się tu działo, nie zwlekaj, zbierz rodzinę i uciekajcie stąd – przestrzegł ją. – Możecie zamieszkać w Brzeźnie, niedaleko Łęczyńskich. Nawzajem się sobą zaopiekujecie.

– Dobrze.

– Obiecay, że jeżeli wyczujesz jakiegokolwiek niebezpieczeństwo ze strony obcych albo nawet

ludzi stąd, odej dziecie.

– Obiecuję.

„Na pewno nic się im tu nie stanie – Hubert usilnie starał się przekonać sam siebie. – A w Brzeźnie też będą bezpieczni”.

Lecz wciąż czuł, że to za mało. Chciał zapewnić Beacie bezpieczeństwo, ale sposobem na to było albo zostanie z nią, albo zabranie jej ze sobą.

– Możecie zaufać Agacie – pouczał ją. – To jest ogarnięta dziewczyna.

– Hubert?

– Tak?

– Zamilknij w końcu. Jakoś przeżyłam wojnę, zarazę i późniejsze trzy lata bez ciebie, więc teraz też damy sobie radę.

Hubert nic więcej nie powiedział. Otoczył ją ramieniem i przytulił mocno do siebie. Z dachu starej kamienicy mieli widok na większą część Starego Miasta. Starał się wyrycć sobie w pamięci ten krajobraz, tę chwilę, zapach Beaty i jej ciepło. Chciał pamiętać właśnie to, a nie krew, zdradę i śmierć.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, a oni zeszywnieli z zimna, wreszcie wstali i Hubert odprowadził Beatę do domu. Pożegnał się z jej rodziną, a potem stanął przed nią i nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– To do zobaczenia – wyduł z siebie w końcu.

– Do zobaczenia – powtórzyła głucho, choć oboje wiedzieli, że już nigdy się nie spotkają. – Pamiętaj, gdzie mieszkam, jak będziesz w okolicach Gdańska.

– Będę pamiętał – obiecał i ją pocałował.

Następny dzień spędzili w Brzeźnie z dziewczynami i ich wujkiem. Ernest i Sylwia z ponurymi minami cały czas trzymali się za ręce, a Ada namawiała chłopców, żeby zostali z nimi. Hubert czuł żal, że muszą się rozstać z siostrami, choć już od wielu miesięcy wiedzieli, że tak to się pewnie skończy. Pomimo okoliczności, w jakich się spotkali, bardzo polubił dziewczyny, przecież nawet zaryzykował własne życie, żeby je bronić.

– Pamiętajcie, że zawsze możecie wrócić do Dąbrówki – powiedział Ernest.

Sylwia tylko pokiwiała smutno głową.

Przed wieczorem wybrali się całą czwórką nad morze i spacerowali po pustej plaży. Ernest z Sylwią szli przytuleni do siebie trochę z tyłu, a Hubert chlapał się z Adą słoną wodą i szukali razem muszelek oraz bursztynów, jakby następnego dnia wcale nie mieli się rozstać już na zawsze.

Chłopcy przenocowali w Brzeźnie, a z samego rana zapakowali niewielki dobytek, trochę prowiantu, który dostali od kobiet z kuchni jednostki, i wsiedli na znalezione w mieście rowery. Przez kilka godzin jechali w milczeniu przez Gdańsk. Nie rozmawiali ze sobą, każdy był pogrążony we własnych, nie całkiem wesołych myślach.

Na noc zatrzymali się w domu poza miastem. Zjedli kolację na zimno i w zupełnej ciemności położyli się spać.

Choć nie umawiali się, o której godzinie wstaną, obaj zerwali się z zimnych łóżek, zupełnie przemarznięci, wraz ze wschodem słońca. Żadnemu z nich nie chciało się gotować wody na ognisku, więc znów przeląsili coś na zimno i ruszyli dalej w drogę. Teoretycznie mieli mnóstwo czasu, ale chcieli jak najszybciej wrócić do domu i zapomnieć o tym, co wydarzyło się

w Gdańsku.



ROZDZIAŁ XV

Następnego dnia po południu dotarli do Kamiennej i zapukali do bramy dworku, która została przed nimi szeroko otwarta.

Pani Irka rzuciła wszystko i zagoniła ich obu do kąpieli, a potem przyszykowała gorący obiad i dopiero gdy nie mieli już siły jeść, pozwoliła Teresie zacząć ich wypytwać, co się działo w Gdańsku.

Na zmianę relacjonowali jej i innym mieszkańcom dworku wydarzenia z miasta. Przez chwilę Hubert zastanawiał się, co by się stało tutaj, gdyby zabrakło Teresy. Czy ta niewielka społeczność przetrwałaby, czy może wszyscy zaczęliby się kłócić i walczyć o władzę?

– A gdzie Paweł? – zainteresował się nagle Ernest, patrząc po twarzach ludzi siedzących przy stole w jadalni.

Wszyscy nagle się zmieszali i zainteresowali czymś innym – własnymi butami, paznokciami, płamą na stole.

– To mówicie, że Gdańsk prawie całkowicie wyłudniał? – odezwała się głośno pani Irka.

– Uhm. – Hubert kiwnął głową.

– No to dobrze, że dziewczętom udało się znaleźć krewnego.

Na noc dostali ten sam pokój co ostatnio. Tylko że teraz dwa z czterech materaców były puste. Hubert zdmuchnął świeczkę i po omacku położył się na swoim łóżku. Kiedy jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, zobaczył, że przyjaciel leży bez ruchu z rękoma założonymi za głowę i wpatruje się w sufit.

– Myślisz, że kiedyś jeszcze tam wrócimy? – zapytał Ernest.

– Nie wiem, może kiedyś się uda – odparł Hubert.

„Ale niekoniecznie znajdziemy wtedy nasze dziewczyny” – dodał smutno w myślach.

Następnego ranka wstali dość wcześnie, a i tak okazało się, że wszyscy już od dawna pracują. Na szczęście w kuchni zastali panią Irkę, która dała im cały bochenek chleba, kawał wędzonej szynki, biały ser i domowej roboty masło.

– Jezu, jakie to dobre! – zachwycał się Hubert z pełnymi ustami.

– Ja już odwykłem od jedzenia masła – stwierdził Ernest.

Choć wiosna dopiero się zaczęła i wszystkie zapasy się już kończyły, jedzenie tutaj było dużo bardziej różnorodne i smaczniejsze niż w Gdańsku. Ernest dość szybko się nasycił, ale Hubert wypchał w siebie chleb szczerdnie posmarowany masłem z grubymi plasterkami szynki, póki miał jeszcze miejsce w żołądku.

Podczas gdy chłopcy jedli, gruba kucharka opowiadała im, co się działo w dworku zimą. Okazało się, że dzięki nim przez długie i ciemne miesiące nikt nie niepokoił mieszkańców Kamiennej, chociaż wszyscy spodziewali się napadu ze strony ludzi, którzy nie zadbali o własne zapasy żywności. Jednak śmierć trzech z nich z ręki Huberta najwyraźniej ostudziła ich zamiary. Po tym, jak złożyli ofiarę dla leszego, demon więcej się nie pokazał. Na wiosnę więc zanesiono jedzenie do lasu jeszcze raz, tak na wszelki wypadek. Czasem, kiedy było ciemno, a mróz trząskał w nocy, w oddali było słychać postukiwanie rogów i kopyt.

– A co z Pawłem? – zapytał Hubert, choć Ernest kopnął go pod stołem, dając do zrozumienia, że w dworku musi to być dość delikatny temat. Jednak Hubert był zbyt ciekawy, by przejmować się konwenansami.

Słyszając jego pytanie, pani Irka rozejrzała się, jakby sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy.

– Zaraz będą trzy tygodnie, jak odszedł – powiedziała szeptem.

– Dlaczego odszedł? – zdziwił się Hubert.

– Po waszej wizycie stał się bardzo niespokojny – odparła. – Marudził, że ciągnie go w świat, że tutaj się dusi. Przez całą zimę o wszystkim się kłócił z Teresą, a na wiosnę oświadczył, że wyrusza szukać innych ludzi.

– I co? Tak po prostu odszedł?

– Zignorował wszelkie zakazy i ruszył przed siebie.

„Zabiją go – pomyślał Hubert. – Jak nie ludzie, to demony”.

– Przez pierwsze dwa dni byliśmy wszyscy przekonani, że wróci – kontynuowała kucharka. – Ale gdy nie dał znaku życia, kilku mężczyzn wyruszyło go szukać. Niestety, nie znaleźli nawet śladu po nim.

Pani Irka zamilkła, kiedy w korytarzu usłyszeli kroki. Po chwili do kuchni wszedł myśliwy Szmidt. Na stół rzucił trzy zające z rozszarpanymi gardłami.

– A im co się stało? – zapytał Ernest.

– Nie mam pojęcia – powiedział mężczyzna. – Już od kilku tygodni znajdujemy w lesie zwierzęta w takim stanie. I to nie tylko zające, zdarzały się też sarny, a nawet łanie i jelenie.

– A co ze śladami? – zainteresował się Hubert, przyglądając się ranom zwierząt. – Cokolwiek je tak załatwiło, musiało zostawić jakieś ślady.

– Tylko połamane gałęzie i położona trawa.

– To ciekawe.

– Ciekawe czy nie, jeśli pomożecie mi je sprawić, to na kolację będą zające – oświadczyła pani Irka.

Do południa Hubert i Ernest pracowali więc w kuchni. Zresztą nie mieli na co narzekać, bo kiedy uporali się z najbrudniejszą częścią, czyli wypatroszeniem zwierząt i oskórowaniem ich, w przerwach między obieraniem i krojeniem warzyw kucharka częstowała ich ciastem.

W Kamiennej Hubert i Ernest zostali na kolejną noc, a wczesnym rankiem wyruszyli znów w drogę. Panował jeszcze przejmujący chłód, ale z godziny na godzinę robiło się coraz cieplej. W lasach drzewa były obsypane pąkami liści, na łąkach z kolei trawa zaczęła się już zielenić, a gdzieś tam wyśtawiały z niej kolorowe kwiaty.

Teresa na mapie Huberta pokazała im drogę na skróty prowadzącą na południe. Wiodła ona prosto przez las i łąki, nie zataczając tak wielkiego kręgu jak szosa, którą tutaj dotarli, gdy szli z Dąbrówki. Byli właśnie kilka kilometrów za dworkiem i prowadzili rowery pod stromą górką. Okolica prezentowała się sielsko – nad dawnym polem uprawnym na lekkim wietrze falowała zielona trawa. Nad nią latały wróble.

Nagle Hubert zobaczył w oddali kilka białych, podskakujących kropek

„Mam już przy widzenia?” – zdziwił się.

Przetarł dłonią oczy i uświadomił sobie, że patrzy na uciekające w popłochu stadko saren. Kiedyś Woźnica wytłumaczył mu, że białe zadki saren myśliwi zwą lustrem. Z zainteresowaniem przyglądał się zwierzętom, ciekaw, co je tak wystraszyło. Niespodziewanie jedna z saren odłączyła się od innych i zaczęła biec w przeciwnym kierunku.

– Ty, patrz na nią. – Hubert zatrzymał przyjaciela, kiedy dotarli na szczyt górki. Mieli stąd dobry widok na biegnącą w podskokach sarnę, ale za nic w świecie nie mogli dostrzec, co ją goni. Widzieli tylko, że coś małego szybko przedziera się przez wysoką trawę.

– Co to jest? – Ernest obserwował łąkę.

W końcu sarna zakwiliła rozpaczliwie i zaczęła podskakiwać w miejscu.

– Chodź! – Hubert chwycił w dłoń karabin, rzucił na ziemię rower i popędził w jej kierunku.

Zanim do niej dobiegł, padła na ziemię i zaczęła się tarzać, popiskując coraz ciszej. W końcu znieruchomiała i zupełnie zamilkła. Hubert, z odbezpieczonym karabinem, podszedł do zwierzęcia. Wokół widział rozbrzygniętą krew, a brzuch sarny był rozpruty.

– Co to, do cholery, było? – zapytał cicho.

Wszystkie włoski na jego ciele stanęły dęba, tak jakby uderzył w niego piorun. Poczł nieznaną zapach. Nagle usłyszał głuche powarkiwanie w trawie. Obrócił się w tamtym kierunku, ale nic nie zobaczył. Trawa zaszeleściła tylko i warkot powtórzył się z zupełnie innej strony.

– Widzisz to? – zapytał Ernesta, który właśnie do niego dobiegł.

– Co? Gdzie?

– No właśnie nie wiem.

Przyjaciela stanęli plecami do siebie, przeczesując wzrokiem wysoką po kolana trawę.

Nagle Hubert pochwycił łątem oka jakiś ruch i strzelił w tamtym kierunku. Coś zawarczało głucho i uciekło na bok. Potem strzelił Ernest i znów Hubert, jednak za każdym razem to coś było szybsze. Tajemnicze stworzenie warczało w jednym miejscu, a gdy tam strzelali, umykało gdzie indziej.

Hubert spróbował się skupić, swoim szóstym zmysłem wyczuć, gdzie znajduje się to zwierzę,

jednak był skołowany. W końcu udało mu się je namierzyć, niestety dopiero w ostatniej chwili. Demon, niezwykle szybki, nie rozciął wokół siebie tak silnego pola jak inne potwory.

W końcu Hubert zdał sobie sprawę, że znajdują się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Głupia ciekawość kazała mu popędzić do umierającej sarny.

A teraz musieli się mierzyć z nieznanym stworem, który, choć nieduży, mógł się okazać niezwykle groźny.

Usłyszał krzyk Ernesta i gwałtownie odwrócił się w jego stronę. Coś czarnego i kudłatego rzuciło się do nóg rudego chłopaka. Na szczęście zanim zdążyło ugryźć, Hubert wziął zamach nogą i kopnął stworzenie ciężkim butem. Demon potoczył się na bok, a potem skoczył na niego. Ernest uderzył stwora kolbą karabinu, tak że ten poturlał się w trawę, po czym znów z niej wyskoczył, rzucając się na chłopców.

Przez pięć minut, które ciągnęły się w nieskończoność, usiłowali zabić demona, który zapalczywie rzucał się na nich, a następnie odskakiwał, żeby z ogromną prędkością powtórzyć atak. W końcu Ernest kopnął go z taką siłą, że zwierzak odleciał na dobrych kilka metrów i gdy zygakiem biegł w ich stronę, Hubertowi udało się w niego trafić kilkoma strzałami z karabinu.

Demon zawył dziko, a potem wszystko wokół ucichło, tylko trawa lekko falowała na wietrze.

Hubert i Ernest spojrzeli na siebie, a po chwili zgodnie ruszyli w stronę miejsca, gdzie padł. Szli ostrożnie przez wysoką trawę, celując karabinami pod nogi. Obaj bali się, że znów na nich wyskoczy i tym razem nie zdążą się obronić.

– Mamy go – ucieszył się Ernest, stając nad niewielkim, czarnym ciałem.

Hubert podszedł do przyjaciela i lufą karabinu trącił martwego demona. Był wielkości średniego psa, miał krótką, lśniąca, czarną sierść, wydłużony pysk zakończony czarnym noskiem i wąską paszczą pełną drobnych, ostrych zębów. Przywodził na myśl nieszkodliwego borsuka czy mrówkojada. Do tego miał zaokrąglone uszy, niewielkie oczy, drobne tylne łapy i potężne przednie, zakończone pazurami dłuższymi niż ludzkie palce.

– Patrz, te pazury, gdy się je zegnę, mogą być równie chwytne jak dłoń człowieka – powiedział Hubert, kucając przy truchle.

– Nie dotykaj go, jeszcze się czymś zarazisz – mruknął Ernest, ale jego przyjaciel jak zwykle nie przejmował się takimi rzeczami. – Przecież to musi mieć wściekliznę.

– Oj, zaraz wściekliznę. Ale skurczybyk był szybki. – Hubert dokładnie obejrzał demona z każdej strony. – Założę się, że to ten zabójca zajęcy.

– Pewnie tak – zgodził się Ernest.

– Co z nim robimy?

– Zostawiamy, coś go zje.

Jednak Hubertowi ten pomysł nie przypadł do gustu. Odkryli właśnie nowy gatunek demona, dlatego chłopak czuł potrzebę pochwalenia się tym przed innymi.

– Powinniśmy wrócić do Kamiennej i powiedzieć ludziom, że go wytropiliśmy i zabiliśmy – stwierdził.

– Po pierwsze, nie wytropiliśmy, a przypadkiem na niego trafiliśmy, a po drugie, zabicie demona wielkości małego psa wcale nie jest powodem do dumy – orzekł Ernest.

– Demon to demon, nieważne jakiej wielkości. A poza tym te mniejsze zazwyczaj są wredniejsze.

– A z ciebie od razu taki znawca? – mruknął Ernest.

– No nie, ale powinniśmy go pokazać innym. Żeby na przyszłość wiedzieli, jak to wygląda i jak z tym walczyć.

– Sam nie wiesz, jak z tym walczyć.

– Na pewno szybko. – Hubert wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No dobra – westchnął Ernest. – Ale to ty go wiesz na rowerze.

Do dworku wrócili jeszcze przed obiadem. Hubert, tylko odrobinę koloryzując, opowiedział, jak pokonali demona. Ludzie z Kamiennej zgodnie stwierdzili, że najprawdopodobniej to ten właśnie stwór zabijał zwierzęta w lesie, choć nie mogli się nadziwić, że tak mały demon może spowodować takie spustoszenie. Tylko jednemu z myśliwych nie podobało się, że chłopcy przywlekli martwe zwierzę do dworu, zamiast spalić lub zakopać z dala od ludzi. Pozostali nie kryli radości, że bestia wreszcie nie żyje.

Tego wieczoru urządzono uroczystą kolację, a Teresa pozwoliła nawet naruszyć zapasy wina. Hubertowi spodobało się bycie w centrum uwagi, z kolei Ernest podszedł do całej sytuacji z dystansem i kiedy tylko poczuł się zmęczony, opuścił rozbawione towarzystwo zebrane w głównej sali i poszedł spać. Wciąż był rozstrojony po tym, co wydarzyło się w Gdańsku, i przez to, że musiał zostawić swoją dziewczynę.

Z kolei Hubert do późnej nocy bawił się z miejscowymi, mając nadzieję, że w ten sposób uda mu się zagłuszyć smutek po rozstaniu z Beatą.

Kamienną opuścili dwa dni później obładowani zapasami jedzenia i nowymi, czystymi ubraniami.

Po drodze spali w opuszczonych domach, zaopatrywali się w paczkowane jedzenie w niesplądrowanych sklepach. Hubertowi szybko wrócił dobry humor, a im więcej się śmiał, tym szybciej udawało mu się zdusić wspomnienia o ostatnich dramatycznych wydarzeniach. Ernest z dnia na dzień, im bliżej byli domu, stawał się coraz pogodniejszy.

– Ścigamy się! – zakrzyknął Hubert, kiedy na horyzoncie pojawiła się Dąbrówka.

Obaj byli już zmęczeni, ale widok znajomej wsi dodał im sił i mocniej nacisnęli na pedały rowerów. Jakś pies wyleciał im naprzeciw i głośno ujadając, biegł przez chwilę razem z nimi.

Ernest prześcignął przyjaciela i pierwszy wjechał na podwórko Alberta. Hubert kilka sekund później wykonał zwrot na rowerze i zahamował przed domem, wzbijając w niebo tuman kurzu. Plecak, choć był dobrze umocowany do bagażnika, spadł na ziemię i wysypały się z niego ubrania.

– Gdzie wszyscy? – zapytał, zbierając swoje rzeczy. – Jakieś uroczyste powitanie by się przydało.

Wtem usłyszeli radosny pisk Zuzia, która właśnie wychodziła z obory, upuściła wiadro i pędem ruszyła w ich stronę. Ernest porwał siostrę w ramiona i zakręcił nią w powietrzu. Chwilę później to samo zrobił Hubert.

– Gdzie byliście tak długo? – zapytała z wyrzutem dziewczyna, opierając pięści na biodrach, kiedy stanęła na ziemi.

– Trochę nam się zeszło. – Hubert pokiwiał głową, czochrając ręką swoje włosy.

– Co ty nie powiesz? – zakpiła. – Martwiliśmy się o was.

– Właśnie, wszyscy zdrowi? – zapytał Ernest.

– Pewnie. Chodźcie do domu, na pewno jesteście głodni. A dziadek i wujek niedługo przyjdą.

Ruszyli za dziewczyną. Hubertowi zdawało się, że przez zimę wyrosła i wyładniała. Rude loki jak zwykle w nieładzie spływały na ramiona.

Chłopcy niedbale rzucili bagaże w korytarzu i od razu skierowali się do kuchni. Zuzia zaczęła przygotowywać dla nich coś do jedzenia.

„Chyba wy daję się normalniejsza” – stwierdził w duchu Hubert, patrząc na nią.

Zgrabnie poruszała się po kuchni, nucąc cicho pod nosem. Raz za razem zerkała na nich i się uśmiechała.

„Albo może i nie”.

Dziewczyna niespodziewanie znieruchomiała na środku kuchni i zaczęła wpatrywać się w coś za oknem. Minęło kilka sekund, zanim wróciła do przygotowywania jedzenia. Wyglądało na to, że jak dawniej porusza się automatycznie, myślami wędrując gdzieś daleko, a jej oczy zachodzą mgłą.

Kiedy zjedli obfity obiad, do domu wrócili Albert i Daniel. Wyściskali obu chłopców, a potem sami usiedli do posiłku i chcieli wysłuchać dokładnej relacji z podróży. Pod wieczór Hubert i Ernest wybrali się do Michała i przegadali z nim kilka godzin.

– Wiesz, brakowało mi tych ludzi – stwierdził wieczorem Ernest, kiedy leżeli już w łóżkach.

Wrócili do swojego starego pokoju i choć w domu były jeszcze inne wolne pomieszczenia, żaden z nich nie zaproponował, że się wyprowadzi. Już dawno temu odzwyczaili się od samotności.

– Mnie też – przytaknął Hubert, patrząc na cienie rzucone na ścianę przez drzewa za oknem. Księżyc świecił tej nocy wyjątkowo jasno. – Stęskniłem się już za domem.

– Dobrze, że chociaż tutaj nic się nie zmieniło.

– Bardzo dobrze.

Choć ani razu o tym nie rozmawiali, czy to w Gdańsku, czy podczas podróży, obaj bali się, że po powrocie będą na nich czekały złe wieści. W ciągu ostatnich kilku miesięcy widzieli tyle śmierci i mieli nadzieję, że jej widmo nie zawisło nad Dąbrówką.

Albert zrobił im wczesną pobudkę już następnego ranka i choć nie mówił tego głośno, dał im jasno do zrozumienia, że czeka na nich wiele pracy.

Kolejne dni mijały, jakby nigdy nie opuścili Dąbrówki. Jak co dzień trzeba było nakarmić zwierzęta, wydoić krowy, pomóc na polu i w ogrodzie. Wieczorami zaś wszyscy siadali w jednym pokoju, jedli, pili i rozmawiali. Co jakiś czas ktoś ich odwiedzał i chłopcy musieli raz po raz opowiadać o swojej podróży do Gdańska. Hubert nigdy by siebie o to nie podejrzewał, ale okazało się, że zatęsknił już za codzienną rutyną. Dobrze znał wszystkich w Dąbrówce, wiedział, co ma robić, i czuł się bezpieczny. Na krótką chwilę dobrze było wrócić do miejsca, gdzie ktoś inny za niego decydował.

I tak minęła im wiosna: na ciężkiej pracy, ale i odpoczynku od niebezpieczeństw.

Pod koniec maja coś wdarło się w nocy do zagrody Górskich i zabiło kilka kur. To samo powtórzyło się trzy noce później u Borowskich. Na początku wszyscy myśleli, że to lis lub dziki pies, jednak duże ślady łap pozostawione w gospodarstwach tego nie potwierdzały, co gorsza, Woźnica nie potrafił ich zidentyfikować. Ludzie zaczęli się martwić. Wszyscy dobrze jeszcze

pamiętali śmierć sołtysa Cegły i ataków południcy na Berdę.

– Będzie trzeba to ubić – stwierdził przy śniadaniu Albert.

– Tylko jak to znaleźć? – zastanowił się Hubert. Na większość demonów, które do tej pory zabili, natknęli się całkiem przypadkiem.

– Tak cię tropiciel, to go wytrop, cwaniaku – zakpił Ernest.

– I tak jestem w tym lepszy od ciebie – odgryzł się.

– Woźnica już szukał śladów, ale twierdzi, że nic nie znalazł – wtrącił Daniel. – Wszystkie urywały się tuż za wsią.

– Nie ma co nad tym deliberować – uznał Albert. – Spotkamy demona, to go zabijemy, a teraz czeka na nas robota.

Starszy pan włożył na łysinę swoją paskudną czapkę, na nogi stare gumofilce i wyszedł z domu. Daniel podążył tuż za nim, a chłopcy z Zuzią skończyli jeść śniadanie.

Hubert ocenił w myślach, że jego ojciec ma się lepiej niż wcześniej. Jednak wciąż nie potrafił rozmawiać z synem. Owszem, zadawał pytania, gdy Hubert opowiadał o Gdańsku, ale byli przy tym również inni. Gdy zostawali sam na sam, milczał. Hubert też nie wiedział, jak zacząć rozmowę, więc zazwyczaj tylko siedzieli w ciszy. Najczęściej już po kilku minutach któryś z nich wychodził z pomieszczenia pod jakimś błahym pretekstem.

– A on złożył nam dziś wizytę – odezwała się nagle Zuzia.

Hubert, wyrwany z zamyślenia, spojrzał na nią nieprzytomnie.

– Kto taki? – zapytał Ernest.

– Ten, który zabija kury – oświadczyła.

– Jak to? Skąd wiesz?

– Jesteś pewna? – wtrącił się Hubert.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Widziałaś go?

Zaprzeczyła.

– To skąd wiesz? Słyszałaś coś? – dopytywał się Ernest.

– Powiedz mu – poprosiła Huberta Zuzia.

Chłopak wciągnął głośno powietrze. Nie bardzo wiedział, jak wyjaśnić przyjacielowi, że jego szurnięta siostra jest radarem na demony, więc zdecydował się na najprostszy sposób.

– Ona jest radarem na demony – wypalił.

– Słucham? – zapytał ostro Ernest.

– Wiesz, że ja potrafię wyczuć je szybciej niż inni. Ona jest w tym sto razy lepsza – powiedział szybko Hubert.

– Jaja sobie ze mnie robisz, tak?

– Chciałbym.

– Zuzia?

Dziewczyna pokiwała głową.

– On był na naszym podwórku – rzuciła. – Kręcił się koło obory. I był bardzo głodny.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – zapytał Hubert.

– Bo się czegoś przestraszył i szybko uciekł. A ja zasnęłam.

– A w którą stronę uciekł?

– Tam, do lasu. – Dziewczynka wskazała palcem na okno.

– A byłąbyś w stanie go wytropić? Pójść jego śladem?

– Nie wiem, może.

– Zdurniałeś?! – zdenerwował się Ernest. – Moja siostra nie będzie tropiła żadnych demonów!

Był zły, że nie powiedzieli mu o Zuzie wcześniej, czuł się pominięty. A poza tym nikt nie miał prawa ryzykować życia jego siostry.

– Daj spokój – próbował go udobruchać Hubert. – Powiedziałyby nam, w którym kierunku poszedł. Nic by się jej nie stało. A skoro demon niezauważony wdarł się na nasze podwórko, to jutro może wejść do domu.

– Przestań gadać głupoty.

– Tała prawda. Sam słyyszałeś, że był głodny.

– A skąd ty to w ogóle wiesz? – zwrócił się do siostry z pretensją.

– Wiem. – Zuzia wzruszyła ramionami.

– Zobacz, wzięlibyśmy Michała, waszego dziadka i jeszcze kilku mężczyzn – przekonywał Hubert. – Byłyby bezpieczna.

– Odbiło ci. Już od paru tygodni nie poczułeś adrenaliny, to ci odwala. Jesteś uzależniony.

– Nie potrzebuję żadnej adrenaliny – zachnął się Hubert. – Chcę, żebyśmy mogli spokojnie spać w nocy.

Jednak w duszy przez chwilę zastanowił się, czy rzeczywiście nie potrzebuje solidnej dawki emocji. Czy to właśnie dlatego bez zastanowienia poluje na demony i angażuje się we wszelkie inne niebezpieczne sytuacje?

Zaczął jednak przekonywać przyjaciela, że pomoc jego siostry jest niezbędna. Robił to tak długo i wytrwale, że Ernest w końcu uległ. Potem porozmawiał z Albertem, który w ogóle nie wierzył w żadne radary na demony, ale najwyraźniej z czystej ciekawości wyraził zgodę na wyprawę do lasu. Zostali powiedzieli, że po prostu widzieli ślady.

Na polowanie zgłosili się Michał, Woźnica, Berda i Górski.

Wieś opuścili tuż po obiedzie. Kierowali się na północ, zgodnie ze wskazówkami Zuzi. Dziewczyna szła na przedzie i Hubert stwierdził, że wygląda, jakby była na zwykłym spacerze, co jakiś czas zatrzymywała się i z zainteresowaniem rozglądała dookoła, by po chwili ruszyć w najgęstsze krzaki. Mężczyźni otaczali ją zwartym półkolem, każdy z karabinem w rękach. Berda i Górski narzekali, że nie widzą żadnych śladów, a Zuzia nie ma pojęcia, dokąd ich prowadzi. Z kolei Woźnica zachowywał się, jakby domyślał się jej zdolności. Albert nie spuszczał z wnuczki wzroku, poza tym chyba nie wierzył, że spotkają tego dnia jakiegokolwiek demona.

Hubert szedł trochę z boku, co chwila przyglądając się Zuzi, badając jej mimikę, a jednocześnie wyczuwając własne zmysły. Niestety, gęsty las wyglądał dla niego tak jak zawsze.

Po trzech godzinach przedzierania się przez zarośla wszyscy mieli już dosyć polowania, które nie zapowiadało się na udane.

– Za tym lasem jest polana, na której często pasą się sarny – powiedział w pewnym momencie Woźnica. – Jak się ktoś tam ze mną przejdzie, to nie wrócimy do domu z pustymi rękoma.

– Ja z tobą pójde – odezwał się Górski.

Hubert patrzył, jak dwaj mężczyźni odchodzą. Był zły, że na nic jeszcze nie natrafili. Już od pół godziny próbował wypytywać Zuzię, czy są na dobrej drodze, ale dziewczyna nie potrafiła mu odpowiedzieć.

„Wyjdę na idiotę – pomyślał. – Wszyscy mają mnóstwo pracy, a ja wyciągam ich bez potrzeby do lasu”.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Las był spokojny, wiał chłodny wiatr, ale niebo zaczęło się chmurzyć, jakby niedługo miało padać. Drzewa pachniały wilgocią, od sosen czuć było żywicą, a do tego dochodził zapach trawy i ziemi. Nagle Hubert poczuł coś innego, coś, co nie pasowało do reszty, ale nie umiał sprecyzować, co przypomina mu nowy zapach. Był jednak pewien jednego – to musiał być demon. Gwałtownie podniósł powieki i spojrzął na Zuzię, która przyglądała mu się szeroko otwartymi oczyma. Ona też to poczuła. Odwróciła się na pięcie i wskazała palcem kłka krzewów. Musiał więc zaufać dziewczynie. Odbezpieczył karabin i wycelował w krzaki.

Ernest i Michał, widząc to, od razu skierowali broń w tę samą stronę. Nagle spomiędzy krzewów rozległo się ciche syczenie, a potem warczenie. Dostrzegli błysk czerwonych ślepi i ciemną sylwetkę. To, co wcześniej brali za zwykły cień, okazało się czarnym kotem ze zmierzwioną sierścią, wielkości dużego rysia. Demon przyglądał się ludziom. Wszystkie łapy miał ugięte, jakby leżał na brzuchu, ale jego ogon gniewnie bił na boki. Tylko czekał na odpowiedni moment, żeby z szybkością błyskawicy wybić się potężnymi łapami i rzucić na intruzów.

Hubert przyłożył policzek do kolby kałasznikowa, jego palec wskazujący delikatnie opierał się na spuście.

„Rusz się – pomyślał. – Daj nam powód”.

Jednak demon tylko patrzył gniewnie i gdyby nie długi, czarny ogon uderzający na boki, byłby nieruchomy niczym posąg. Chłopak nie mógł zdobyć się na strzał w takiej chwili. Kot, tak samo jak olbrzymi jelen, którego spotkał niedaleko Kamiennej, nie robił nic zagrażającego ich bezpieczeństwu. W przeciwieństwie do biesa i szalonego borsuka nie wyglądał na zachwyconego widokiem ludzi.

Nagle demon podjął decyzję i wyprężył się do skoku. Michał i Ernest od razu zaczęli strzelać. Kot nie zdążył nawet wyskoczyć, gdy padł martwy na ziemię.

Hubert wiedział, że powinien się cieszyć ze śmierci kolejnego demona, jednak nie było mu do śmiechu. Razem z przyjaciółmi podszedł do niego. Sylwester Berda stał nieco z tyłu, gotowy ich osłaniać, w razie gdyby zaatakował kolejny stwór. Albert zasłaniał Zuzię, która straciła zainteresowanie wielkim kotem i zaczęła beztrudno rozglądać się na boki.

– To była chyba ona – stwierdził Michał, kiedy przykucnęli przy martwym demonie.

Hubert nagle stracił ochotę na wyrywanie demonowi zębów.

Tym bardziej że w tej chwili zobaczył nabrzmiałe sutki. Nie dość, że była to samica, to miała jeszcze młode. Nic dziwnego, że kradła kury.

– Cholera! – mruknął zły.

Demon nie demon, głupio zabijać matkę. Odwrócił głowę od stwora. Zrobiło mu się niedobrze. Wyminał Alberta, który patrzył wnukowi przez ramię, i stanął trochę z boku, niedaleko Berdy. I wtedy właśnie uświadomił sobie, że nigdzie nie widzi Zuzi.

– Zuza? – odezwał się głośno.

Odpowiedziała mu cisza. Wszyscy mężczyźni podnieśli głowy i zaczęli rozglądać się za dziewczyną.

Wtedy Hubert zauważył jej buty wystające z krzaków. Ruszył w tamtą stronę, ale Zuzia na czworakach zaczęła się wycofywać. Stękając cicho, wyszła z głębokiej jamy w ziemi.

Wyprostowała się, pokazując brudną, ale uśmiechniętą twarz. W jej gęstych, rudych łokach zaplątały się grudki ziemi, liście i małe patyczki. Wyglądałyby nawet zabawnie, gdyby nie to, co trzymała w dłoniach. Wszyscy mężczyźni z przerażeniem patrzyli na małą kulkę czarnej sierści, która piszczała wniebogłosy.

– Uważaj! – krzyknął Berda, który był najbliżej dziewczynki.

Jednym susem doskoczył do niej i wyrwał jej z rąk kociaka. Z obrzydzeniem złapał go za kark i wziął zamach, żeby rzucić nim o najbliższe drzewo.

– Nie!!! – krzyknęła Zuzia z rozpaczą.

Gdyby ktoś pytał później Huberta, co nim kierowało, nie potrafiłby odpowiedzieć. To, co się stało, pamiętał, jakby stał z boku, patrząc na samego siebie podnoszącego broń do ramienia i celującego w Sylwestra. Nie miał pojęcia, dlaczego skierował karabin w człowieka, swojego sąsiada, którego przecież lubił, a nie w młodego demona.

– Nie ruszaj się – warknął grobowym tonem.

Berda zaniemówił. Chyba tylko przez to, że był zdziwiony, zastygł w bezruchu i nie cisnął małym demonem o drzewo. Zuzia wykorzystała jego zaskoczenie, podskoczyła lekko i wyrwała mu kota z rąk. Odbiegła tak, żeby od każdego z mężczyzn dzieliło ją przynajmniej kilka metrów, i zaczęła z czułością tulić do siebie zwierzę.

– Czy wy wszyscy powariowaliście?! – wykrzyczał Albert.

– Przepraszam – mruknął Hubert, opuszczając broń.

Berda, wciąż zszokowany, nie mógł wykrzusić słowa.

– Zuza! Wyrzuc to! To jest demon! – Ernest ruszył w stronę siostry.

– Nie! Nie waż się go ruszyć! On jest mój!

Odwróciła się do wszystkich tyłem, zasłaniając sobą kota.

– Biorę go do domu – oświadczyła.

Później ani prośby, ani groźby nie były w stanie jej od tego odwieść. Uparła się, że zabiera demona, i żaden z mężczyzn nie mógł go jej odebrać.

Kiedy tylko wrócili Woźnica i Górski, których zaalarmowały strzały, spalili martwego demona i ruszyli z powrotem do domu. Albert szedł obok wnuczki i przekonywał ją, że taki kot, choć teraz jest śliczny i mały, jak podrośnie, będzie bardzo groźny, ale dziewczyna na nie zwracała na niego uwagi.

– Brawo – warknął Ernest do Huberta podczas drogi. – Jak coś jej się stanie...

Hubert tylko kiwnął głową na znak, że rozumie groźbę. Nie podniósł jednak wzroku z ziemi. Było mu okropnie głupio, że wycelował w sąsiada, by ocalić demona. Najgorsze było to, że mało brakowało, a pociągnąłby za spust. Kilka miesięcy temu zastrzelili trzech ludzi, czyżby po tym wszystkim zabijanie miało przychodzić mu tak łatwo? Sam się siebie przestraszył.

Kiedy dotarli do Dąbrówki, wszyscy rozeszli się w niewesołych humorach. Berda najwyraźniej był wściekły na Huberta, a inni mężczyźni żli na Alberta, że jego wnuki robią, co chcą. Tylko Michał nie wydawał się zbyt przejęty tym wszystkim i wprosił się na kolację do domu starszego pana, chcąc zobaczyć, co będzie dalej z małym demonem.

Wszyscy zebrali się w kuchni. Albert opowiedział Danielowi o polowaniu. Hubert zabrał się do szykowania kolacji. Ernest z wrogością, a Michał z zainteresowaniem zaczęli się przyglądać Zuzi i jej nowemu pupilowi.

Kiedy zjedli, Hubert poszedł do pokoju po demonologię. Otworzył ją na właściwej stronie

i podał Ernestowi. Mógł z pamięci wyrecytować mu opis demona, lecz wolał, aby przyjaciel sam o nim przeczytał.

– Owinnik – zaczął chłopak – Kapryśny demon domowy, który ukazywał się jako duży czarny kot o błyszczących oczach. Mógł szkodzić gospodarzom lub zanieczyszczać zboże.

– Widzisz? – odezwał się Hubert, gdy przyjaciel podniósł wzrok znad książki. – Nie jest ani niebezpieczny, ani krwiożerczy. Może tylko odrobinę złośliwy.

– A pamiętasz, jak mówiliśmy, żeby zawsze brać poprawkę na informacje zawarte w książce? – wytknął mu Ernest.

– Po prostu szukasz dziury w całym – stwierdził Hubert ze złością.

– Bo to nie twoja siostra nosi go na rękach!

Mężczyźni spojrzeli na Zuzię, która nalała właśnie swojemu pupilowi mleka w miseczkę, ale demon był zbyt młody, żeby samodzielnie pić. Maczała więc palec w białym płynie i dawała go do lizania kotu. W ten sposób odrobinę się nasycił i przestał żałośnie miauczeć. Później jak każde normalne małe zwierzątko wypróżnił się i poszedł spać. Zuzia, wciąż nie wypuszczając go z rąk, zaczęła szykować mu posłanie z kartonu i starych szmat.

– Żeby było jasne – odezwał się Albert. – Demon nie śpi z tobą, ląduje w oborze.

– Nie – powiedziała twardo dziewczyna. – Jest za mały.

W końcu stanęło na tym, że kot będzie spał w kuchni.

W środku nocy Huberta obudziły kosmary. Śniło mu się, że zastrzelił ojca, a potem Ernesta i Alberta. Tak bardzo przeraził go ten sen, że nie mógł znów zmrzyć oka. Wstał, żeby zajrzeć do pokoju Zuzi, czy z nią wszystko w porządku, ale na łóżku nie było ani jej, ani kołdry. Pamiętając, że to również przez niego mają w domu demona, wpiął z pokoju dziewczyny lampę naftową, zapalił ją i ruszył zaniepokojony do kuchni.

Wiedział, że kot, który ledwie chodzi i nie potrafi normalnie jeść, nie mógłby zrobić Zuzi krzywdy, a jednak bał się tego, co zobaczy. Wszedł do cichej i ciemnej kuchni. Na kołdrze, na ziemi leżała w pidżamie zwinięta w kłębek dziewczyna, a w jej objęciach spał kociak Hubert zgasił lampkę, a sam usiadł w głębokim fotelu, patrzył na Zuzię i zastanawiał się, dlaczego razem uratowali małego demona. Nawet nie zauważył, kiedy zmogło go zmęczenie, i usnął w fotelu, gdzie z samego rana obudził go Ernest.

Przy śniadaniu Hubert zauważył, że przyjaciel już z mniejszą wrogością patrzy na siostrę karmiącą kota.

Może uznał, że taki malec nie ma szans, żeby zrobić komuś krzywdę.

Mężczyźni zajęli się codzienną pracą, tylko co jakiś czas zaglądali do Zuzi i jej zwierząka. Dziewczyna nie odstępowała go na krok. Zabrała na chwilę na dwór, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, a potem ułożyła w kuchni, gdzie gotowała obiad. Co godzinę usiłowała karmić go mlekiem. Jednak gdy Hubert i Ernest przyszli wieczorem do domu na kolację, zobaczyli zapłakaną Zuzię siedzącą na podłodze z kotem na kolanach.

– Co się stało? – zaniepokojony brat od razu przykłęknął przy niej.

– On nie chce jeść – zaszlochała.

– Jak to?

– Daję mu mleko, ale wszystko zwraca. Padnie z głodu.

– Krowie mleko mu szkodzi – powiedział Hubert.

Po policzłach Zuzi potoczyły się kolejne łzy.

– Nie płacz. – Ernest ją przytulił. – Coś wymyślimy.

– Ty chcesz, żeby on zdechł – szlochała.

– Nie, wcale że nie. Martwię się tylko o ciebie.

– To zrób coś, żeby przeżył.

Ernest bezradnie spojrział na przyjaciela.

– No zrób coś – powiedział Hubert.

Rudy chłopak ze złością przy mrużył oczy.

– Wiesz co, kotka pani Janickiej ostatnio chyba się okociła – powiedział w końcu. – Może go przyjmie.

Zuzia z nadzieją spojrziała na brata.

– Jesteś najlepszy – powiedziała, tuląc do niego głowę.

– Zobaczmy, czy coś z tego będzie – westchnął.

Całą trójką udali się do sąsiadki i przedstawili jej sprawę. Mieli nadzieję, że starsza pani nie zareaguje na wieść o demonie tak jak reszta wsi. O dziwo, nie była tak wrogo nastawiona do demonów i zaprowadziła przybyłych do stodoły, gdzie na sianie leżała kotka i jej młode.

Zuzia podeszła powoli i ostrożnie położyła obok swojego pupila. Kocica najpierw obwąchała demona, a potem zasyczała gniewnie i odskoczyła. Hubert stracił nadzieję, że uda się go uratować, gdy mały demon zapiszczał żałośnie, a kotka znów go powąchała. Tym razem się nie odsunęła, a ostrożnie polizała małego. Po chwili wróciła do młodych, położyła się i bacznie obserwowała podrzutka, który chwiejnym krokiem ruszył w jej stronę. Wszedł pomiędzy kociaki i zaczął ją ssać.

– Udało się – szepnęła zachwycona Zuzia.

– Ten wasz demon nie jest taki zły, skoro moja kocica go przyjęła – stwierdziła pani Janicka.

Hubert kiwnął głową.

Na noc zostawili demona wraz z pozostałymi kociakami i wrócili do domu na kolację.

– Jeżeli będzie z nim cokolwiek nie tak, ty go zabijesz i powiesz o tym mojej siostrze – ostrzegł Huberta Ernest, kiedy wieczorem leżeli już w łóżkach.

– Dobrze – zgodził się chłopak.

Czuł się odpowiedzialny zarówno za demona, jaki za Zuzię.



ROZDZIAŁ XVI

– W takim tempie nie wyrobimy się przed zimą – narzekał Ernest.

– Musimy – stwierdził Michał.

Hubert siedzący na wozie odznaczył na mapie kolejną opuszczoną miejscowość.

Przed dwoma dniami zostali wysłani na poszukiwanie osady, której mieszkańcy uprawialiby pszenicę i byliby skłonni się nią podzielić. Niestety, oddalili się już szmat drogi od Dąbrówki i nie natknęli się na żywego ducha.

Zima w ubiegłym roku była długa i surowa, a niewielki zapas pszenicy siewnej, jaki posiadała wieś, bardzo szybko się wyczerpywał. Nowe zbiory okazały się niewystarczające. Oczywiście mieli dużo żyta, ale chleb żytni już dawno wszystkim zbrzydł, a mieszkańcy Dąbrówki uznali, że w zamian za luksus, jakim jest upieczenie bułek i ciasta z mąki pszenicznej, warto wysłać w podróż trzech młodzików.

– Zobaczycie, w następnej wiosce będą ludzie – pocieszał kolegów Hubert. – Mają tam duże jezioro, las i pola uprawne. Na pewno ktoś tam mieszka.

– To samo mówiłeś przed każdą poprzednią wsią – stwierdził Ernest.

– Kiedyś w końcu muszę mieć rację.

Ich serca wypełniła nadzieja, gdy w oddali zobaczyli smużkę dymu. Droga do Borów, małej miejscowości, wyglądała, jakby całkiem niedawno przejeżdżał po niej wóz, a gdy po jej obu stronach pojawiły się pola uprawne, trzej przyjaciele wiedzieli już, że w końcu im się poszczęściło.

Jechali, nie spiesząc się, opuścili karabiny tak, by były jak najmniej widoczne. Nie chcieli wzbudzać podejrzeń. Wiedzieli przecież, że gdyby ktoś obcy zajechał nagle do Dąbrówki, byliby gotowi nawet zabić, aby bronić bliskich i własnego domu.

Minęli pierwsze budynki, ale nie zobaczyli żadnego człowieka.

– Mam tylko nadzieję, że nas nie powystrzelają z okien – powiedział półgębkiem Hubert.

– W domu po lewej ktoś jest – szepnął Michał.

Wszyscy trzej byli spięci, w każdej chwili komus z miejscowych mogły puścić nerwy.

Wtem naprzeciw wyszło im pięciu mężczyzn uzbrojonych w strzelby. Na razie wszyscy mieli je skierowane w ziemię.

„Przynajmniej są z tych, co najpierw pytają, a potem strzelają – pomyślał Hubert. – A swoją drogą, co im mamy powiedzieć? Siema, wpadliśmy w gości?”.

Na szczęście od rozmawiania z obcymi był Ernest, jemu prawie nigdy nie zdarzało się palnąć czegoś głupiego.

– Dzień dobry. – Rudzielec skinął miejscowym głową. – Jedziemy z Dąbrówki, osady na północy. Poszukujemy tych, którzy przetrwali, żeby nawiązać współpracę. Mam na imię Ernest, a moi koledzy to Hubert i Michał.

– Witajcie. – Na przód wyszedł chudy, wysoki szatyn. – Nazywam się Antoni Wróblewski i jestem tutaj sołtysiem. Może zsiądziecie z koni, napijemy się czegoś i porozmawiamy?

Przyjaciele z ulgą spojrzeli po sobie. A więc obejdzie się bez strzelaniny i mordobicia. Michał skinął głową kolegom, żeby karabiny zostawili przy koniach. Lepiej nie straszyć miejscowych, a poza tym, jak ktoś oferuje człowiekowi coś do picia, nie wypada iść do niego z naładowanym kalasznikiem. Lecz każdy z nich miał przy pasie pistolet. Michał i Ernest zwykłe P-83 znalezione w jednostce w Koszalinie, a Hubert swojego colta, z którym się nie rozstawał.

Antoni poprowadził ich przez wieś do ogródka całkiem sporego domu, gdzie usiedli na ławkach pod dużym, kolorowym parasolem. Hubert zaobserwował po drodze, że miejscowi są dość spięci, nerwowi i powodem nie jest ich niespodziewana wizyta.

– Kawę? Herbatę? – zapytał sołtys.

– Kawę – powiedzieli równocześnie przyjaciele.

– Marto? – zwrócił się do młodej kobiety, która właśnie wyszła do ogrodu.

Pokiwała głową i zniknęła w domu.

– Nieczęsto mamy gości. – Antoni uśmiechnął się przepraszająco.

Dwóch innych mężczyzn, którzy przysiedli się do nich, pokiwała głowami.

– My w Dąbrówce też nie – odparł Ernest. – A szkoda, bo dobrze byłoby dowiedzieć się, co słychać w świecie, pohandlować...

– Daleko to stąd?

– Jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Jednak w drodze jesteśmy już od dwóch dni i objeżdżamy miejscowości w okolicy. Wszystkie są opuszczone.

– Ano opuszczone. W promieniu czterdziestu kilometrów stąd nie ma żadnego człowieka.

Hubert od razu wyjął z kieszeni mapę i zaczął na niej zaznaczać niezamieszkałe miejsca. Marta przyniosła na tacy dla wszystkich kawę w ładnych filiżankach, lyżeczki z jednego kompletu i elegancką cukiernicę. Gdy tylko jej podziękowali, poszła do domu i wróciła z pokrojonym na talerzu ciastem. Przyjaciele z Dąbrówki wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jeżeli jest ciasto, musi też być pszenica.

Przez jakieś pół godziny rozmawiali o pogodzie, zbiorach i innych błahych rzeczach, przez co Hubert zaczął się nudzić. Zboże i buraki nigdy go za bardzo nie interesowały. Po kolei przypatrywał się wszystkim mężczyznom przy stole, potem przeniósł wzrok na Martę, która krążyła po ogrodzie, a na koniec przyjrzał się wszystkim domom w zasięgu jego wzroku.

– To żeśmy sobie pogadali, ale nie powiedzieliście nam jeszcze, co tak naprawdę was tu sprowadza – odezwał się w pewnej chwili Antoni.

– Tak jak i wy jesteście samowystarczalni – powiedział Ernest. – Jednak myślę, że jest wiele rzeczy, które my mamy, a wy potrzebujecie, i na odwrót.

– Dobrze, to powiedz mi teraz, czego wy potrzebujecie?

– Nie będę ukrywał, że zależy nam na pszenicy siewnej.

Antoni pokіwał głową.

– A co możecie zaproponować nam w zamian?

I zaczęło się targowanie, lecz Hubert szybko stracił nim zainteresowanie. Bardziej ciekawiła go atmosfera panująca we wsi. Teraz już miał pewność, że mieszkańcy Borów czegoś się bali.

– Mogę się przejść po okolicy? – zapytał.

Przez chwilę, kiedy wszyscy mężczyźni zamilkli i na niego spojrzeli, poczuł się jak małe dziecko na imprezie dla dorosłych, ale nie dbał o to.

– Marto, oprowadzisz gościa? – zwrócił się do dziewczyny Wróblewski.

– Oczywiście.

We dwojkę opuścili ogród i ruszyli przez wieś.

– Ilu was tu mieszka? – zapytał Hubert.

– Trochę ponad czterdzieści osób.

– To dużo. Pochodzisz stąd?

– Nie.

„Aha, to by było na tyle – pomyślał. – Nie jest zbyt rozmowna”.

Minęli drewniany kościółek kryty gontem. Hubert zauważył świeżo usypany kopiec na cmentarzu przed nim. Przed górą kilka dniami koś z wioski zmarł.

Marta pozwoliła mu wejść do kościoła, potem pokazała szkołę i stary sklep przerobiony na magazyn. Cały czas odzywała się tylko zapytana, a jej odpowiedzi były dość zdawkowe. Hubert wypytywał ją, jak ogrzewają domy, skąd czerpią wodę i tak dalej, a kiedy wspomniał o jeziorze za wsią, zauważył, że zdrzała lekko. Coś było na rzeczy, więc postarał się, żeby tam dotarli.

– Ciepła? – zapytał, kucając na brzegu, i zanurzył palce w wodzie.

Marta trzymała się w pewnej odległości od brzegu.

Hubert wstał i spojrział na niewielkie jezioro, które od strony wsi miało piaszczystą plażę, z drugiej zaś było zupełnie zarośnięte trzcinami i drzewami. Woda miała ładny, turkusowy kolor i aż zachęcała do kąpieli, jednak nigdzie nie zobaczył żywej duszy, a wszystkie łodzie były wyciągnięte daleko na brzeg. Przeciągnął się i wziął haust powietrza głęboko w płuca. Poczł zapach wody, trzcin i czegoś jeszcze. W ciągu ostatnich trzech i pół roku dobrze się nauczył, co może oznaczyć.

– Macie tu topielca, prawda? – Hubert odwrócił się do Marty.

Dziewczyna na zbladła nagle, ale pokіwała głową.

– Ilu już zabił?

– Tydzień temu Grzegorz wypłynął na ryby z synem – powiedziała. – Coś wyróciło ich

łódkę i wciągnęło chłopaka pod wodę. Ojciec rzucił mu się na ratunek, ale nie ocalił syna. Poszarpane ciało Grzegorza wypłynęło po jakimś czasie na powierzchnię, ale chłopca nikt już nie odnalazł.

Marta odwróciła od niego wzrok i jeszcze bardziej odsunęła się od wody.

– Może już wrócimy, co? – zaproponował Hubert.

Z ulgą pokiwała głową.

W drodze powrotnej nie odezwała się do niego ani słowem, a jak tylko weszli do ogródka, poszła do domu.

Hubert z kolei usiadł za stołem i zaczął się przysłuchiwać, jak jego przyjaciele się targują. Obaj mieli zrezygnowane miny, gdyż Antoni był twardy i żądał bardzo wysokiej ceny za pszenicę. Ernest spojrział w pewnej chwili na Huberta i Michała, jakby pytając wzrokiem o przyzwolenie. Obaj zrozumieli, o co mu chodziło – w ostateczności mieli pozwolenie na przehandlowanie kilku sztuk broni wraz z amunicją. Woleli jednak tego uniknąć, bo zaopatrywanie sąsiadów w karabiny nikomu nie wydawało się dobrym pomysłem.

Ernest już otwierał usta, lecz Hubert go uprzedził.

– Dacie nam dziesięć worków pszenicy – powiedział głośno – a my zabijemy waszego topielca.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

– Co?! – wybuchł Ernest.

– Co ty wygadujesz? – odezwał się Michał.

– Wy już dobrze wiecie, prawda, panie Antoni? – zwrócił się do sołtysa.

– Skąd o nim wiesz? – zapytał Wróblewski.

– Powiedzmy, że wyczuwam demony. Cieszcie się, że na razie macie tylko dwie ofiary. Topielce by wają bardzo krwiożercze. – Tego akurat nie był pewien, ale oni przecież też nie.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Mamy już swoje sposoby.

Ernest pokręcił z dezaprobatą głową. Michał też nie wyglądał na zachwyconego.

„Dostanie mi się później” – pomyślał z rozbawieniem Hubert.

Sołtys spojrział po kolei na swoich kolegów, a ci pokiwali niechętnie głowami.

Chyba ten topielec dał im do wiwatu.

– Dobrze, jak go zabijecie, to dostaniecie tę pszenicę – powiedział w końcu Antoni.

Hubert uśmiechnął się z satysfakcją, na co jego przyjaciele z niedowierzaniem pokręcili głowami.

Na dworze zaczęło się robić coraz chłodniej, więc sołtys zaprosił ich do domu na kolację. Podczas posiłku Hubert wypytywał o wszystko związane z topielcem – kiedy się pojawił po raz pierwszy, czy ktoś go widział, gdzie zwykle atakuje i tak dalej. Niestety, informacje, jakie uzyskał, nie były zbyt przydatne.

– A próbowaliście w ogóle coś z nim zrobić? – zapytał na koniec.

– Pewnie, że tak – mruknął Wróblewski. – Po tym, jak ledwie udało nam się uratować przed nim kąpiące się dzieci, czatowaliśmy na łodziach, żeby go zastrzelić, ale się nie pokazał. Złożyliśmy mu też ofiarę z konia, jak poradził nam jeden ze starszych.

– Z konia? – zdziwił się Ernest. – Mało kto wie, że tak można zrobić.

„Skubany też się zna na demonologii” – pomyślał Hubert.

– I co z tego, skoro nie podziało? – mruknął Antoni. – Biedny koń się utopił, a trzy dni później topielec zabił dwie osoby.

Po kolacji chłopców odprowadzono do jednego z pustych domów, który został ogołocony niemal do samych ścian. Brakowało w nim nie tylko pieca, lecz także mebli i łóżek, które prawdopodobnie po zarazie zostały spalone. W jednym pomieszczeniu znajdowały się trzy matrace z kocami i poduszkami.

– I w co ty nas znowu wpakowałeś, co? – zapytał Ernest, kiedy zostali sami.

– Załatwiłem nam pszenicę – odparł buńczucznie Hubert.

– W zamian za głowę topielca. Pogrzało cię? – wtrącił Michał. – Jak zamierzasz go wytropić, nie mówiąc już o zabiciu?

– Coś się wymyśli. Poczekajcie... – Przyłożył palce do skroni, wysilając pamięć. – Topielec, utopiec, łobasta. Dusza utopionego człowieka... ożywiony przez diabła... bla, bla, bla... Mieszka na dnie rzeki i jezior... Można mu ofiarować konia, krowę lub kozła. – Ernest w tym czasie wyjął z plecaka demonologię, otworzył na odpowiedniej stronie i sprawdzał, czy przyjaciel nie pomija czegoś ważnego. – Na Mazurach co roku składano mu ofiarę z kury. Ma zielone włosy do samej ziemi... Gdzieś indziej uważa się, że jest cały pokryty łuskami... Kurczę, nie pamiętam, żeby w księżce było cokolwiek o tym, jak go zabić.

– A czegoś się, gamoniu, spodziewałeś? – warknął Ernest, rzucając lekturę przyjacielowi. – Że podadzą ci dokładną instrukcję? Przecież znasz treść na pamięć, więc wiesz, że nic takiego nie ma.

– Spokojnie, zapomniałem o jednej rzeczy, że najbardziej aktywny jest nie w dzień, tylko w księżycowe noce...

– Nie jest to zbyt pomocne – podsumował Michał. – Tym bardziej że tamtych dwóch zabił w dzień, wywracając ich łódkę.

– Założmy, że żywi się koniną, ciekawe, czy inne mięso też się nada... – zastanawiał się Hubert. – Zwabimy go i złapiemy w sieć.

– Boże, ależ ty jesteś głupi – westchnął Ernest. – Przecież miejscowi już na niego czatowali w łódkach i co? Dupa. Myślisz, że ten topielec będzie tak naiwny i ot, tak sobie da się złapać? A poza tym wiesz w ogóle, jak się łowi w sieć?

Hubert się zastanowił. Jeszcze nigdy nie używał sieci.

– No właśnie – kontynuował przyjaciel. – Zakładając, że ten topielec jest choć odrobinę cwany, nigdy nie uda nam się go złapać...

– Może wywabić go na powierzchnię i zastrzelić? – zaproponował Michał.

– Ale jak go zastrzelimy i pójdzie na dno, to w życiu nie udowodnimy miejscowym, że go zabił. – Ernest pokręcił głową. – A poza tym naboje ponoć tracą pęd, kiedy wpadną w wodę.

– Fakt. – Żołnierz pokiwał głową. – Gdy siedzieliśmy podczas wojny na tym moście niedaleko Dąbrówki i się nudziliśmy, próbowaliśmy strzelać do rzeki. Kule tracą pęd, więc nic z tego.

– Harpun! – wykrzyczał nagle Hubert.

– Co?

– No, harpun albo kusza na szczupaki ze strzałą na sznurku. Kiedyś widziałem coś podobnego. A skoro wioska leży nad jeziorem, ktoś z miejscowych musi mieć coś takiego.

– Znajomy ojca kiedyś łowił na taką kuszę – powiedział Michał. – Dobra broń, tylko ma zasięg nie większy niż półtora metra, więc trzeba by naprawdę blisko do niego podpłynąć.

– A poza tym pamiętajcie, że woda zniekształca obraz, więc jeśli chcecie zastrzelić coś pod

powierzchnią, to musicie celować w bok, tylko ja nigdy nie wiem który – dodał Ernest.

– E tam, damy radę – powiedział entuzjastycznie Hubert. – Przecież już zabilśmy tyle demonów. Mamy na koncie stryżgę, wiję, biesa...

– Szkoda tylko, że zazwyczaj mieliśmy po prostu szczęście głupiego – mruknął Ernest. – A i tak nie wyszedłeś cały ze spotkania z biesem.

– Żyje? Żyje. Mam chwalebną bliźnę? Mam. O co więc chodzi? Za kilka dni pełnia, więc jeżeli jutro będzie pogodna noc, księżyc będzie świecił jasno, to może już za okrągłą dobę będziemy mieli na koncie kolejnego demona. Będzie zabawa, zobaczcie.

– Ty to masz chore pojęcie zabawy – skwitował Michał. – Raz adoptujesz demony, potem chcesz je mordować...

Hubert nic już nie powiedział. Zawinął się w koc na materacu, odwrócił do kolegów plecami i wpatrując się w ścianę, zaczął układać plan polowania na topielca. Wierzył, że go wytropi, nawet w wodzie, i w przybliżeniu poda miejsce, gdzie ten stwór przebywa. Liczył też na żarłoczność demona, który nie odpuści, gdy rzucą mu mięso, oraz na celność swoją i kolegów. A potem, gdy już zasypiał, przypomniał mu się inny topielec. Taki, który wciągnął go pod wodę i o mało nie zabił, choć najprawdopodobniej był jeszcze słaby i młody.

„Żywa przynęta – pomyślał sennie. – Nie oprze się żywej przynęcie”.

Jego przyjaciele mogą być sceptyczni, ale Hubert już ułożył własny plan polowania.

Na szczęście następnego dnia okazało się, że we wsi są dwie sprawne kusze. Tak więc chłopcy przyszykowali łódź, sieci, tak na wszelki wypadek linę oraz broń palną. Polowanie zaplanowali na noc, ale prawie cały dzień przesiedzieli na brzegu jeziora, obserwując spokojną wodę. Czasem tylko tafla jeziora pomarszczyła się lekko, gdzieś w oddali wyskoczyła ryba, a w trzcinach zarechotała żaba.

Miejscowi ich nie zaczepiali. Hubert miał nadzieję, że to przez szacunek do specjalistów przed polowaniem, jednak podejrzewał, że wszyscy woleli nie zbliżać się do trzech wariatów, którzy za kilka worków pszenicy uparli się zabijać topielce.

Śniadanie i obiad przyniosły im kobiety nad wodę, na kolację zaś zostali zaproszeni do domu Antoniego.

– Jesteście pewni, że tego chcecie? – zapytał sołtys, kiedy zjedli.

Hubert z entuzjazmem pokiwał głową.

– Bo nie chciałbym, żeby potem ktoś brał na nas odwet za waszą śmierć.

– Na pewno tak nie będzie – zapewnił go Ernest.

– Dobrze więc, życzę wam powodzenia.

Po kolacji wrócili jeszcze do swojej kwatery, żeby odpocząć. Przyszykowali broń i usiedli na materacach. Po raz ostatni przedyskutowali plan polowań, a potem siedzieli w milczeniu, każdy zajęty swoimi myślami.

Kiedy zapadł zmrok, poszli na plażę, zapakowali broń i sieci na niewielką łódkę i wypłynęli na małe jezioro. Powioskowali na miejsce, gdzie ostatnim razem zaatakował topielec.

– No i co teraz? – zapytał Michał. On i Hubert trzymali gotowe do strzału kusze, a Ernest był odpowiedzialny za sieci.

– Rzucimy przynętę i zaczekamy – odpowiedział Hubert, strącając do wody kawałek surowego mięsa. Co prawda mieli tylko wieprzowinę, bo innego mięsa nie dostali we wsi, ale liczyli, że to

wystarczy.

Za drzew wyłonił się księżyc, zalewając okolicę srebrzystym blaskiem. Jeszcze nie było pełni, ale i tak zrobiło się jasno. Nad nieruchomym jeziorem wzbila się mgła i leniwie snuła po jego tafli. Przez jakiś czas w trzcinach rechotały żaby, ale po chwili umilkły. Czasem na wodzie plusnęła niewielka ryba w ucieczce przed szczupakiem. Drzewa zastygłe w bezruchu rzucały cień na jezioro. Odległa i ciemna wieś przypominała wymarły cmentarz. Na czas polowania mieszkańcy pozamykali się w domach.

Wieczór nie był chłodny, ale Hubert i tak zaczął szczerkać zębami. Nie wiedział, czy to z zimna, ze strachu, czy może z podeksytowania.

– I gdzie on jest? – zapytał Ernest, wrzucając do wody kolejną porcję mięsa.

– Pojawi się, zobaczysz – zapewnił go Hubert.

Niestety, mijała godzina za godziną i nic się nie działo. Wszyscy trzej zaczęli się nudzić. Michał co chwila ziewał, Ernest obskubywał łuszczącą się farbę z łodzi, a rozczarowany Hubert przeczesywał wzrokiem ciemne trzcinę.

Nagle usłyszeli w oddali głośny plusk. Znieruchomieli i zaczęli wpatrywać się w miejsce, gdzie na wodzie pojawiły się kolisty fale. Plusk się powtórzył.

– To była ryba? – zapytał szeptem Michał.

Hubert, nie odrywając wzroku od tafli jeziora, pokręcił głową. Wiedział z całą pewnością, że to demon.

– Płyniemy tam – zdecydował Ernest.

– Tylko musimy być cicho – odparł Hubert.

Michał złapał wiosła i zaczął powoli zanurzać je w wodzie. W ciągu kilku minut w prawie absolutnej ciszy dotarli na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był topielec. Jednak Hubert nic nie wy czuł.

– Odplynął – szepnęła.

– Szlag – mruknię Ernest.

– Tam. – Michał wskazał palcem kilka metrów dalej.

Przez ułamek sekundy coś wystawało ponad powierzchnię wody, ale potem się schowało.

Podplynęli w to miejsce, ale i tutaj wszystko się uspokoiło, za to plusk powtórzył się jeszcze gdzieś indziej.

– On się z nami bawi – powiedział Hubert.

– Robi nam na złość – dodał Ernest.

Postanowili zostać w miejscu i obserwowali, jak powierzchnia wody marszczy się miejscami.

– Nigdy go w ten sposób nie złapiemy – mruknię Michał.

W tym samym momencie coś lekko uderzyło o dno łódki. W ciszy zabrzmiało to jak wystrzał z armaty. Trzej przyjaciele poderwali się natychmiast i skierowali broń w wodę.

„Jak nas przewróci, to koniec” – przeszło Hubertowi przez myśl.

Topielec znów uderzył w dno, tym razem mocniej.

– No, pokaż się – mruknię Michał, celując w wodę.

„Jest za cwany, potrzebuje prawdziwej przynęty” – pomyślał Hubert.

Był przygotowany na taką możliwość. Szybko rozwiązał buty i wciąż trzymając harpun, wskoczył do jeziora.

– Hubert! – wrzasnął Ernest.

Chłopaka otoczyła ciemność. Woda, choć za dnia była przejrzysta, teraz nie pozwalała mu zobaczyć za wiele. Wydawała się czarna jak smoła. Mimo to rozejrzał się, gdy zanurkował. Topielca nigdzie nie było.

– Wracaj tu! – krzyknął Michał, gdy tylko przyjaciel się wynurzył, żeby zaczerpnąć powietrza.

Jednak Hubert go nie słuchał, znów zanurkował i tym razem kątem oka zobaczył cień. Natychmiast odwrócił się w tę stronę, ale cień zniknął. Chłopak wiedział, że naciskając spust, będzie mógł oddać tylko jeden strzał. Miał więc tylko jedną szansę.

Zabrakło mu tlenu. Wynurzył głowę, przyjaciele znów zaczęli krzyzczeć. Chciał wziąć potężny haust powietrza, gdy nagle coś złapało go za kostkę i wciągnęło w głębiny. Spodziewał się tego, wiedział przecież, jak atakuje topielec, a jednak dał się zaskoczyć. W pierwszej chwili spanikował, zaczął się szarpać, kopać drugą nogą. Poczuł, że zaraz znów zabraknie mu powietrza.

„Teraz albo nigdy” – pomyślał. Zwinął się, podkulił nogi, a potem wyrzucił je przed siebie. Topielec, choć był silny i znakomicie pływał, nagle znalazł się przed nim. Hubert uniósł kuszę i strzelił, przeszywając wroga na wylot. Demon puścił jego kostkę i zaczął się szarpać, jednak chłopak mocno trzymał kuszę ze sznurem, który był przywiązany do strzały. Teraz musiał tylko wypłynąć na powierzchnię. Płuca zaczęły go palić, domagając się powietrza. Hubert mocno machał nogami i wolną ręką, jednak topielec wciąż próbował mu uciec i ciągnął go w głębinę. Chłopak czuł, jak słabnie, mięśnie zaczęły go boleć. Widział nad sobą jasną taflę wody i srebrzysty księżyc, ale nie mógł się ku nim wybić.

„Puść go! – krzyczał jego umysł. – Zabiłeś go! Potem odszukaasz ciało!”.

Jednak Hubert był zbyt uparty. Nie mógł pozwolić topielcowi się wymknąć. Zebrał ostatnie siły i popłynął w górę. Ktoś chwycił go za koszulę na karku i przytrzymał nad wodą. Hubert wyciągnął w górę rękę z kuszą połączoną ze strzałą, na końcu której tkwił wciąż żywy topielec. Michał szybko pochwycił broń i zaczął ciągnąć za sznurek. Gdy ledwie żywy Hubert złapał się burty, Ernest puścił go i zrzucił sieci na demona. Ten jednak, przeczuwając śmiertelne zagrożenie, zaczął jeszcze bardziej się szarpać i rzucać na boki, pomimo krępującej go sieci.

Hubert, wciąż trzymając się łódki, próbował odzyskać oddech. Wszystkie mięśnie go bolały, ledwie był w stanie utrzymać nad powierzchnią wody. Mógł się tylko przyglądać, jak przyjaciele uderzają na ślepo kłobami w ciało topielca zaplątane w sieci. Demon wydawał z siebie przeraźliwe dźwięki, drapał pazurami i gryzł. W końcu Michał trochę ochłonął, wyjął zza paska pistolet i kilka razy strzelił. Ogłuszający huk i błysk rozniosły się po jeziorze. Topielec znieruchomiał.

Były żołnierz wciąż go trzymał, kiedy Ernest pomógł Hubertowi wdrapać się na łódź, a potem wspólnymi siłami wciągnęli tam również demona.

– A nie mówiłem, że się uda? – sapnął Hubert.

– Jesteś nienormalny – stwierdził Michał.

Kiedy dopłynęli do brzegu, byli potwornie zmęczeni. Wciągnęli łódź na piaszczystą plażę i stanęli nad martwym demonem wciąż zaplątanym w sieci. Przez chwilę zastanawiali się, czy powinni tak późno w nocy budzić sołtysa, ale uznali, że Antoni i tak najprawdopodobniej nie śpi. Pozbierali broń i ciągnąc za sobą topielca, poszli do wsi. Tak jak podejrzewali, w domu sołtysa paliło się światło.

Michał zapukał do drzwi. Usłyszeli za nimi jakiś łomot i dopiero po kilku minutach Antoni lekko

je uchylił, oświetlając lampą naftową twarz gości. Kiedy się upewnił, że to oni, a nie nikt inny, otworzył drzwi na oścież.

– I co? – zapytał.

– Udało się – odparł były żołnierz i odsunął się na bok, żeby sołtyś mógł zobaczyć topielca.

– Mój Boże – szepnął Antoni, pochyłając się nad trupem.

Dopiero teraz chłopcy mogli przyjrzeć się swojej ofierze. Demon był mniej więcej rozmiarów leszego: wyglądał jak dość duże dziecko z małą okrągłą głową i długimi, chudymi kończynami. Miał zielonkawosiną skórę, miejscami pokrytą łuską zupełnie jak u karpia. Jego stopy były długie i płaskie, przypominały płetwy, między palcami znajdowała się błona pławna. Miał również olbrzymie oczy i szeroką paszczę pełną małych, ostrych jak igły zębów.

– Co mu zrobiliście? – zapytał po chwili sołtyś.

– Upolowaliśmy – odparł Ernest z grobową miną.

Po starciu z nimi demon miał połamane kończyny, kilka paskudnych wgnieceń na czaszce, w wielu miejscach obficie krwawił, szczególnie na kościstej klatce piersiowej, gdzie przeszła go na wyłot strzała z kuszy i kula Michała.

Po oględzinach zanieśli ciało do szopy sołtyś, który chciał spalić je dopiero rano, gdy zobaczą je inni ludzie. Chłopcy zaś wrócili do jeziora, żeby się umyć, bo wszyscy, a w szczególności Hubert, śmierdzeli rybą i krwią, a potem wrócili do domu.

Przebrali się w suche, czyste ubrania i przy wątłym świetle lampy naftowej położyli się na materacach, lecz żaden z nich nie był w stanie jeszcze zasnąć.

– Dlaczego wskoczyłeś do wody? – zapytał Ernest po chwili ciszy.

– Jakś trzeba było go złowić. – Hubert wzruszył ramionami. – A był zbyt cwany, żeby nabrać się na mięso świni. Potrzebował żywej przynęty.

– Przecież mógł cię zabić – powiedział przyjaciel z wyrzutem.

– Ma rację – dodał Michał. – To było głupie.

– Nie przesadzajcie. Zresztą wiedziałem, że w razie czego wyciągniecie mnie z wody.

Ernest aż zagotował się ze złości.

– Musisz nauczyć się myśleć – mruknął – bo nie zawsze Michał albo ja będziemy w pobliżu, żeby cię ratować.

Hubert nic nie odpowiedział. Miał własny pogląd na te sprawy, ale wolał już bardziej nie denerwować kolegów. Dla nich polowanie na topielca było przykrym i niebezpiecznym obowiązkiem, z kolei Hubert dopiero wtedy czuł, że żyje. Uwielbiał ten zastrzyk adrenaliny, kiedy wyczuwał obecność demona. Wiedział, że ze wszystkim sobie poradzi. Nie było dla niego nic niemożliwego.

Z samego rana we wsi podniósł się harmider. Wszyscy chcieli zobaczyć ciało topielca, jednak, jak zauważył Hubert, nikt nie zbliżył się do niego za bardzo, jakby wciąż się go bali. Wywoływał w nich strach i obrzydzenie. Killa osób nawet wzдрыgnęło się na samą myśl o tym, że korzy stali z wody, w której żyło coś takiego.

Potem ułożono za wsią stos drewna, zawleczono na niego demona, polano benzyną i podpalono. Ludzie stłoczyli się zaciekawieni. Co prawda, gdy dotarł do nich smród palonego ciała, musieli odsunąć się na kilkanaście metrów, ale widać było malującą się na ich twarzach ulgę.

Hubert stał wraz z przyjaciółmi na uboczu i w zamyśleniu obracał w palcach nowo zdobyte zęby.

Po obfitym posiłku zjedzonym u sołtysa zapakowali na wóz dwanaście worków pszenicy, czyli o dwa więcej, niż się umawiali, i wyruszyli w drogę powrotną do domu. Dotarli tam późnym wieczorem i choć byli zmęczeni po ledwie przespanej nocy, z dumą przekazali Albertowi pszenicę i opowiedzieli mu, w jaki sposób ją zdobyli. Starszy pan pokręcił tylko głową, słysząc o wyczynach Huberta, ale nie skomentował ich. Z kolei Daniel głośno wyraził swoje niezadowolnienie, że tak głupio ryzykowali życie dla zwykłego zboża.

– Ale on urósł! – zdziwił się Hubert, gdy tuż po śniadaniu Zuzia przyniosła do domu swojego małego demona.

Stwór w ciągu zaledwie kilku dni prześcignął o dobrych kilka centymetrów prawdziwe kocięta, z którymi się wychowywał.

– Jest piękny – powiedziała Zuzia, trzymając go na kolanach. Kociak pomrukiwał cicho i z ciekawością zaglądał na stół zastawiony jedzeniem.

– A jak się zachowuje? – zapytał podejrzliwie Ernest.

– Jak zwykły kot – odparła urażonym tonem jego siostra. – Dziadek nazwał go Klakier.

„Koniec, jak zwierzę ma imię, to staje się członkiem rodziny” – stwierdził Hubert.

Podobnie musiał pomyśleć Ernest, gdy się skrzywił się z niezadowolnieniem. Pewnie wciąż się bał, że demon w nocy zaatakuje Zuzię.

Jednak kot zachowywał się zupełnie normalnie. Bawił się kłębkami wełny, pił mleko kociicy i uznał jej dzieci za swoje rodzeństwo. Tylko gdy spojrział na kogoś swoimi przenikliwymi, czerwonymi oczyma, człowieka przechodził dreszcz.

Końcówka lata minęła szybko na pracy w polu i gospodarstwie. Dwa razy Hubert wraz z przyjaciółmi wybrali się na szaber oraz do bunkra pod Koszalinem, żeby uzupełnić zapasy naboí. Poświęcili też jedno popołudnie, aby zbudować przy schronie porządną szopę dla koni. Dni były ciepłe, co jakiś czas padał deszcz, więc zbiory były dość udane. Dąbrówkę odwiedziło kilka osób, które podróżowały po kraju, szukając rodzin, szczęścia albo po prostu swojego miejsca na ziemi. Podróżnicy ci zawsze byli ciepło przyjmowani i w zamian za informacje o świecie zaopatrywani w pożywienie na drogę.

Jeżeli zaś chodzi o demony, to pokazało się jeszcze kilka psów południcy, ale wszystkie zostały wytropione i zabite. Owinnik rósł bardzo szybko i na koniec sierpnia stał się znacznie większy niż normalne koty. Zuzia karmiła go resztkami z obiadu, choć dla wszystkich było oczywiste, że sam też poluje na myszy, ryby, krety i inne małe stworzenia. Parę razy zasadził się na kury, ale za każdym razem dziewczyna go karała, świadoma faktu, że gdyby zabił choć jedną, ludzie ze wsi nie podarowałyby mu tego. Wolał więc omijać je szerokim łukiem albo w ogóle ignorować. Hubert lubił się z nim bawić i wiele razy został dość mocno podrapany, ale uważał, że skoro sam zaczepiał demona, to jego wina. Zuzi natomiast wielki kot nigdy nawet nie drasnął, nawet wtedy, gdy go karcila. Najwyraźniej dobrze wiedział, komu zawdzięcza życie.

Wczesną jesienią do Dąbrówki zajechało konno dwóch mężczyzn poszukujących „tropicieli demonów”. Z początku nikt nie potrafił powiedzieć, kogo chodzi.

– Powiedziano nam, że tutaj mieszkają – upierali się mężczyźni. – W Dąbrówce. To oni zabili demona nękającego Kamienną i jeszcze gdzieś ponoć załatwili topielca.

Wszystkie zdziwione oczy miejscowych zwróciły się na Huberta i Ernesta.

– To wy? – zapytał mężczyźna.

„Chyba spodziewał się kogoś starszego – uznał Hubert, ubawiony jego miną. – Szczególnie znając po tak szumnej nazwie jak » tropiciele demonów« ”.

– Widzę, że plotki dość szybko się rozchodzą – powiedział.

– Chodźmy do domu – odezwał się Ernest. – Zjemy coś, napijemy się, a panowie wyjaśnią nam, o co chodzi.

Okazało się, że Piaseczno, wieś położona niecałe czterdzieści kilometrów od Dąbrówki, była nękana przez demona. Zostawiał on za sobą rozszarpane zwierzęta, a co najgorsze, zaczął gustować w ludzkim mięsie, bo zabił jednego z myśliwych, a potem zaatakował kobiety zbierające jagody.

– Nawet go nie widziały – mówił gość. – Był wielkości psa i poruszał się z ogromną prędkością. Pogryzł kilka z nich, na szczęście żadnej nie zabił.

Hubert i Ernest spojrzeli po sobie. Dobrze wiedzieli, co to był za demon.

– W ogóle musimy go jakoś nazwać – powiedział Hubert, kiedy wraz z Michałem jechali konno do nowej osady. – Nie pamiętam, żeby w książce o demonologii była mowa o jakimś demonie, który by tak wyglądał i się zachowywał.

Rada Starszych postanowiła wysłać chłopców na polowanie, pod warunkiem że dentysta z Piaseczna przyjedzie do nich co najmniej na tydzień i zajmie się wszystkimi mieszkańcami Dąbrówki. Tropiciele demonów poczuli się niezmiernie dumni, że ktoś w ogóle potrzebował ich usług, ale nie byli do końca zadowoleni z faktu, że mieli ryzykować życiem dla dentysty.

– Jakby ciebie bolał ząb przez dwa lata, własne dzieci byś przehandlował – skwitował to Hubert.

– Mniejsza z tym – burknął naburmuszony Ernest. – Przeszukałem całą demonologię i nie znalazłem nic, co przypominałoby tego stwora.

– Ale Hubert ma rację, musimy go jakoś nazwać – przypomniał Michał.

– Przez te wszystkie lata po wojnie nauczyłem się jednego – odezwał się Hubert. – Jak ludzie znajdą nazwę na coś, od razu staje się to mniej straszne.

– No nie wiem, czasami właśnie jakaś nazwa jest straszniejsza niż rzecz – zaprotestował Ernest.

Hubert westchnął ciężko.

– Wolisz w takim razie polować na bezimiennego demona?

Ernest burknął coś niezrozumiale.

– Znajdź po prostu jakiegoś demona leśnego i tyle – poradził Michał.

Ernest wyciągnął z plecaka książkę i zaczął ją przeglądać. Marginesy wypełniało mnóstwo notatek.

– Młak może być? – zapytał po chwili.

– Daj spokój, wyobrażasz sobie nas chwalcących się, że zabiliśmy młaka? – wtrącił Hubert. – Jaki to ogólnie brzmi?!

– Nie marudź. Borowy? Boruta? Może być?

– Boruta mi się podoba – powiedział Michał.

– A więc niech będzie szalony boruta – przytaknął Hubert.

Do Piaseczna dojechali pod wieczór. Po ciemku nie było najmniejszego sensu uganiać się po lesie za dzikim demonem, więc po obfitej kolacji przyrządzonej przez miejscowych chłopcy poszli spać do przydzielonego im opuszczonego domu.

– Masz jakiś pomysł, co dalej, tropicielu? – zapytał rano Ernest.

– Prosta sprawa, znajdziemy demona i go zabijemy – odpowiedział Hubert.

– Gdyby to było takie proste, to miejscowi sami by to zrobili – stwierdził Michał. – Słyszeliście, co mówili. Ten demon tak się chowa po lesie, że nie ma szans go odnaleźć, jeżeli nie chce się pokazać.

– Ale miejscowi nie mają mnie – powiedział wesoło Hubert.

– I powinni dziękować za to Bogu – zażartował Ernest.

Nie wpadli na żaden lepszy pomysł, dlatego ich plan był prosty – dowiedzieć się, gdzie do tej pory bywał boruta, i kręcić się tam w nadziei, że demon jednak się pokaze.

Niestety, prosty plan nie zawsze znaczy skuteczny. Chłopcy przez cały dzień włóczyli się po lesie i nie natrafili na żaden ślad po demonie. Hubert starał się, jak mógł, ale nie potrafił go wyczuć.

– To bez sensu – stwierdził, kiedy słońce miało się już ku zachodowi.

Wszyscy byli głodni, zmęczeni i znudzeni.

– Może on wychodzi tylko w nocy? – zastanowił się Michał.

– Ale tamte kobiety zaatakował w dzień – powiedział Ernest.

– No to nie wiem, jak zabiliście tamtego niedaleko Kamiennej.

– Przez przypadek.

– A gdybyśmy tak zastawili na niego pułapkę? – zapytał Hubert.

– Jeżeli będzie taki cwany jak topielec, to nic z tego.

– To nie może być aż takie trudne.

– A jednak – Ernest pokręcił głową.

– Mały diabeł zabija dzikie zwierzęta, zające, sarny i takie tam, prawda? – zapytał Michał. – Myślę, że jak je znajdziemy, to w okolicy będzie i boruta.

Hubert i Ernest zgodzili się z kolegą, głównie z braku alternatywnych pomysłów. Na noc wrócili więc do wsi, żeby już z samego rana wyruszyć na poszukiwanie dzikiej zwierzyny. Jeszcze przed południem znaleźli stadko saren i przez cały dzień się go trzymali, lecz demon się nie pojawił. Z daleka obserwowali kilka zwierząt, spokojnie pasących się na leśnej polance, i z lekkim niepokojem patrzyli na słońce, które zaczęło już zachodzić za horyzontem.

– Głupio bez potrzeby zostawać na noc w lesie. – Ernest wypowiedział na głos obawy ich wszystkich. – Ale jeżeli teraz wrócimy, znów pół dnia zajmie nam szukanie stada.

– To nie wracajmy – zaproponował Hubert. Jemu też nie uśmiechało się nocowanie w lesie, ale przecież mieli do wypełnienia misję.

Obaj przyjaciele spojrzeli pytająco na Michała.

– Niech wam będzie – odezwał się były żołnierz. – Ale wiecie, że nie będziemy mogli nawet zmrzyć oka?

Siedzieli w nocy na wzgórzu w wilgotnej od rosy trawie i patrzyli na ciemne kształty zwierząt w oddali. Byli zmarznięci i zmęczeni.

– On tu jest – szepnęła nagle Hubert. Całym sobą czuł, że demon czai się gdzieś w pobliżu.

Jakby słysząc jego słowa, sarny podniosły głowy do góry, rozejrzały się nerwowo, a potem zerwały do biegu.

– Nie dogonimy ich! – warknął ze złością Ernest, podrywając się na nogi.

Michał już stał i z karabinem w rękach wypatrywał, co tak przstraszyło zwierzęta.

Jedynie Hubert spoglądał w zupełnie inną stronę.

– On nie poluje na nie, tylko na nas – powiedział.

– Co ty gadasz? – zapytał były żołnierz, odwracając się do niego, gdy w trawie rozległo się ciche warczenie.

Nagle każdy cień zaczął przypominać kształtem małego demona.

– Tam! – krzyknął Ernest, strzelając w zarośla.

Błysk wystrzału oślepił na chwilę chłopców, a huk przetoczył się po łące. Potem zapadła cisza.

– Zabijeś go? – zapytał szeptem Michał.

– Nie – odparł Hubert, wskazując w inną stronę, gdzie zobaczyli niewielki ciemny kształt.

W mroku błysnęły oczy.

– No, chodź tu – mrucnął żołnierz, a boruta z głośnym posapymaniem ruszył na niego biegiem.

Trzej przyjaciele zaczęli strzelać. Demon biegł zygzakiem, jednak nie udało mu się uniknąć ich naboji. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy padł na ziemię martwy, podziurawiony jak sito.

Chłopcom nie pozostało nic innego, jak zapakować jego ciało do worka i zawlec do wsi. Jednak teraz woleli rozpalic ognisko i na zmianę przespać się choć kilka godzin.

Do Dąbrówki wrócili dwa dni później w towarzystwie dentysty. Od tej chwili sąsiedzi zaczęli w żartach nazywać ich tropicielami demonów, ale Hubert nie mógł pozbyć się wrażenia, że gdy zostali docenieni przez obcych, również miejscowi w końcu zaczęli traktować ich z większym szacunkiem.



ROZDZIAŁ XVII

Jesień tego roku była długa i zimna. Nocami nad Dąbrówką przetaczały się silne burze. Grzmiało i błyskało, jakby świat miał się skończyć. Wichury świszczały na poddaszach domów, łamały gałęzie, przewracały drzewa. Deszcz z wściekłością walił w szyby, jakby chciał je powybić. Podczas takich nocy Hubert nie mógł spać, jego serce biło w przyspieszonym tempie, a kiedy Ernest przypominał, że w demonologii była mowa o tym, że kiedyś ludzie wierzyli w tak zwany Dziką Gon, inaczej zwany Dzikimi Łowami, czyli orszaki demonów pędzące na skos przez strychy podczas takiej pogody, najczęściej tylko leżał w łóżku i nasłuchiwał krzyków potworów. Jednak nigdy nie był pewien, czy to, co słyszy, nie jest jedynie wytworem jego wyobraźni.

Tak więc rankami wstawał niewyspany, nerwowy i z podkrążonymi oczyma. Jednak nie on jeden. Zuzia również przychodziła na śniadanie blade ze zmęczenia. Jedynie Klakier, teraz dwa razy większy od normalnego kota, wracał do domu z owocnych łowów, z zadowoleniem mrucząc oczy, gdy kładł się spać koło pieca.

W październiku Hubert wraz z Ernestem i Michałem pojechali na ostatni szaber przed zimą. Zatrzymali się w kilku opuszczonych wsiach i mniejszych miasteczkach, zabierając z domów i sklepów sól, przyprawy, środki czystości, zimowe ubrania i wszystko, czego mogli potrzebować przez kolejne miesiące. Lista „zakupów” była długa, a miejsca na wozie mało, musieli więc szabrować z rozwagą.

– Że też te dzieciaki muszą tak szybko rosnąć – uskarżał się Hubert, pakując ubrania dla

najmłodszych mieszkańców Dąbrówki.

– Myślisz, że ta się spodoba Zuzi? – zastanawiał się Ernest, zdejmując ze sklepowego wieszaka czerwoną sukienkę.

– A bo ja wiem? Nie będzie na nią za mała? Wiesz, już nie ma czternastu lat.

– Weź tę niebieską – poradził Michał.

– Będzie dobra – zgodził się Ernest.

– Czy wy zdajecie sobie sprawę z tego, co właśnie robimy? – odezwał się Hubert.

– Zakupy, bo co?

– Wyobraźcie sobie, że pięć lat temu ktoś by wam powiedział, że nie dość, że będziecie robić zakupy żywniowe dla całej wsi, to jeszcze kupować dziewczynom sukienki. Uwierzylibyście w to?

– Nigdy. – Żołnierz pokręcił głową z uśmiechem.

– Powoli stajemy się specjalistami w rozmiarach damskich ubrań i modzie.

– W takim razie, specjalisto, wybierz jeszcze trochę bluzek i spodni dla pozostałych kobiet – powiedział Ernest. – Ale nie za dużo, bo kończy nam się miejsce na wozie.

Jeszcze tego samego popołudnia przeszli się po wszystkich sklepach spożywczych i domach w poszukiwaniu soli.

– Uwielbiam domy emerytów – mruzczał do siebie Hubert, przeszukując kuchnię jednego z domków.

Najczęściej nie miał problemów z rozpoznaniem mieszkań starszych osób. Oprócz zdjęć stojących w ramkach na szafkach, które były jasną podpowiedzią, domy te miały swój niepowtarzalny klimat. Urządzano je staromodnie: stały w nich wielkowe meble, na ścianach wisiało dużo obrazków, na stolikach leżały szydełkowe obrusy, a na szafkach mnóstwo bibelotów. Jednak najważniejsze było to, że wiele z nich miało znakomicie zaopatrzone kuchnie. I jeżeli szkodniki nie zmarnowały zapasów, chłopcy często wynosili z nich całe kilogramy mąki, makaronów, cukru i przede wszystkim soli.

Kiedy chłopak skończył przeszukiwać kuchnię, bez większej nadziei na lepsze fanty przeszedł się po reszcie pomieszczeń.

– A to co? – zastanowił się, gdy na biurku w sypialni zobaczył brudnokremowe plastikowe pudło.

Uchylił wieko i jego oczom ukazała się stara niemiecka maszyna do pisania Olympia. Nadchodziła długa, ciemna i nudna zima, czas, kiedy w końcu mógłby zacząć przepisywać demonologię, a biorąc pod uwagę to, jaki miał paskudny charakter pisma, maszyna do pisania była właśnie tym, czego potrzebował.

Naszykował ją do spakowania, a potem jeszcze przetrząsnął szuflady biurka. Znalazł w nich ryżę papieru i mały kartonik z taśmą barwiącą.

– Co to jest? – zainteresował się Michał, gdy chłopak ładował swoje znalezisko na wóz.

– Maszyna do pisania.

– Pogięło cię? Mamy tak mało miejsca, a ty takie rzeczy zabierasz?

– Chcę przepisać demonologię.

– Co, jedna ci nie wystarczy? – zakpił żołnierz.

– Nie, on ma rację – wtrącił Ernest, zatrzymując przed kolegami wózek sklepowy wypełniony „zakupami”. – Już od dawna myśleliśmy nad tym, żeby ją przepisać. Ale tak porządnie.

– Jak chcecie. – Michał wzruszył ramionami i wskoczył na wóz, żeby poukładać na nim bagaże.

– Mam tylko nadzieję, że maszyna będzie działała.

Gdy tylko wrócili do domu, rozpakowali się i pozwolili starszyźnie rozdzielić zakupy. Zuzia bardzo ucieszyła się z sukienki, która, ku wielkiemu zadowoleniu Ernesta, pasowała na nią idealnie.

A wieczorem, gdy uporali się ze wszystkimi obowiązkami, Hubert i Ernest usiedli przy stole w salonie i wyjęli maszynę do pisania.

– Gdzie się wkłada papier? – zastanawiał się rudy chłopak

– A bo ja wiem, spróbuj tutaj, między te rolki. I pokręć tym.

– Dobra, działa. A tą wajchą chyba przesuwają ją na boki.

Hubert nacisnął pierwszy z brzegu klawisz, ale na papierze nie pojawiła się żadna litera.

– To nie jest komputer, musisz chyba mocniej w niego walić – poradził Ernest.

Chłopak z rozmachem wcisnął literę „d”, która słabo odbiła się na kartce.

– Działa! – Chłopak się ucieszył i dopisał kolejne trzy litery.

– Poważnie? „Dupa”? – Ernest się skrzywił. – Ty chyba nigdy nie wydorósłesz.

– I co? Działa? – zainteresował się Albert.

– Jak widać – westchnął jego wnuk

– A dlaczego nie wzięliście kalki? Moglibyście napisać dwa, trzy egzemplarze za jednym zamachem.

– Poważnie?! – jęknął Hubert.

Starszy pan pokłiwał głową.

– Pamiętajcie o tym podczas szabru wiosną.

– Zawaliłeś sprawę – powiedział Ernest do przyjaciela. – Daj mi teraz coś napisać. – Odepchnął go na bok – Ej, zacięło się.

– Bo nie wciska się dwóch klawiszy naraz – wyjaśnił Albert. – Musisz ręcznie cofnąć czcionkę.

– Że co?

– To, co odciska literę na papierze, to czcionka.

Hubert poprawił palcem zablokowane czcionki.

– Myślałem, że to będzie bardziej skomplikowane – stwierdził. – Maszyna do pisania jest prosta jak budowa cepa.

– Ty taktwierdzisz – powiedział Ernest.

– Dobra, to teraz na poważnie. Myślę, że powinniśmy zrobić to tak, że każdy demon będzie na osobnej stronie. U góry nazwa, pod spodem opis, jak wygląda, jak atakuje, a potem najlepszy sposób, jak go ułaskawić bądź zabić. Przydałyby się jeszcze rysunki.

Spojrzał na przyjaciela, ale ten pokręcił głową.

– Na mnie nie licz, maluję jak Picasso, co wcale nie znaczy, że dobrze. Moje demony w ogóle by nie przypominały tych prawdziwych.

– Kurczę.

– A wy co robicie? – Daniel podszedł do nich z kubkiem herbaty w ręku i z zainteresowaniem zerknął na maszynę.

Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Z tego, co pamiętam, to całkiem niezłe posługiwałeś się kiedyś ołówkiem – powiedział Hubert do ojca.

- Daj spokój.
- Pamiętam, że jak byłem mały, szkicowałeś zwierzęta i pozwalałeś mi je potem kolorować.
- No i?
- A jak sobie poradzisz z demonami?

Z nastaniem pierwszego śniegu Dzikie Łowy się skończyły, za to nastały śnieżyce i mrozy. Mieszkańcy Dąbrówki dobrze przygotowali się na zimę, po raz pierwszy od wojny wszyscy byli pewni, że nie zabraknie ani jedzenia, ani opału. Ludzie przyzwyczaili się do życia w ciemności i choć minęły dopiero niecałe cztery lata od upadku cywilizacji, nikt już nie wyobrażał sobie powrotu do tego, co było dawniej. Hubert z Ernestem czasem zastanawiali się, jak to było chodzić do szkoły, w weekendy nie spać nocami, tylko grać w gry komputerowe albo oglądać filmy i objadać się niezdrowym jedzeniem. Tak łatwo się podróżowało, nikt nie bał się zimy ani braku jedzenia, przecież zawsze można było iść do sklepu, a w ciemności kryły się tylko wytwory wyobraźni. Czasem patrzyli na zaniedbane samochody, traktory i kombajny porzucone poza wsią, bo w gospodarstwach tylko przeszkadzały, i zastanawiali się, jakim cudem takie wielkie maszyny jeździły. Ich życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Nie wiedzieli, co się stało z ich dalszą rodziną ani przyjaciółmi ze szkoły, czy któkolwiek z nich przetrwał. Gdzie mieszkają i jak sobie radzą? Wojna i życie po niej zmieniło wszystko.

Często w zimowe wieczory, kiedy było już ciemno, wszyscy domownicy siadali razem w dużym pokoju przed kominkiem. Trochę rozmawiali, Albert uczył wnuki, do których już od dawna zaliczał Huberta, różnych skomplikowanych gier karcianych albo opowiadał o czasach swojej młodości.

Okazało się, że Daniel najlepiej radzi sobie z maszyną do pisania, więc chłopcy jemu powierzyli zadanie skopiowania demonologii. Jednak najpierw musieli napisać ją na brudno. Często spierali się przy tym, ile na przykład metrów długości ma dorosły wij, z jaką prędkością porusza się boruta, w jak licznych stadach polują psy południcy, lecz zawsze na koniec dochodzili do porozumienia.

Każdy demon otrzymał własną stronę, gdzie znajdował się jego opis, sposób polowania, okres wylęgu, miejsce występowania i wszystkie inne informacje zapisywane przez Ernesta ółówkiem na marginesach książki. Oprócz tego Daniel szkicował na środku strony podobiznę danego stwora. Nie miał problemów z tymi potworami, które sam widział, gorzej było, gdy niektóre z nich musiał rysować na podstawie relacji chłopców, na przykład strzygę czy borutę.

Hasła dotyczące tych demonów, z jakimi się jeszcze nie zetknęli, Daniel po prostu przepisał bez żadnych zmian.

Przez całą zimę powoli powstawała jedyna w swoim rodzaju księga oparta na słowiańskich wierzeniach i doświadczeniach młodych tropicieli. Hubert z podziwem patrzył, jak z maszyny wychodzą kolejne zapisane strony. W jego śnie o Świecinie, który stawał się coraz mniej wyraźny, udali się do biblioteki po książkę mającą pomóc im zrozumieć demony – skąd się biorą, czym się żywią, w jaki sposób atakują i przede wszystkim jak je zabić. Kosztowało to życie wielu osób, na próżno, bo dopiero ta książka, którą właśnie pisali, była demonologią wartą straceniej wyprawy.

Kiedy tylko Daniel postawił ostatnią kropkę i narysował ostatnią kreskę, chłopcy namówili Olgę Górską, aby nauczyła ich introligacji, czyli tego, jak pozszywać strony razem oraz dołożyć

okładkę, i choć nie wyszło idealnie równo, byli z siebie dumni. Na tekturze obłożonej jasnym papierem Daniel naszkicował wyjątkowo udaną podobiznę biesa z wyszczerzonymi zębami i krwią kapiącą z kłów. Nad nim ozdobnymi literami napisał: „DEMONOLOGIA”, a na dole dodał: „autorstwa Huberta, Ernesta i Daniela”.

W takie spokojne wieczory, rozświetlane wątłym światłem lampek naftowych, gdy Albert plótł koszyki z korzeni sosny, Daniel siedział przy stole i przy akompaniamencie jednostajnego klikania klawiszy maszyny przepisywał książkę, a chłopcy dyskutowali o zachowaniach demonów, gruby Klakier zawsze związał się w kłębek albo na kolanach Zuzi, albo tuż obok niej. Ernest często mówił o nim, że jest rozpuszczony i wredny, ale kot dobrze wiedział, komu zawdzięcza życie i kto zawsze stanie w jego obronie. Hubert z kolei nie umiał zostawić kota w spokoju i zawsze go zaczepiał, co zazwyczaj kończyło się dla niego bolesnym kontaktem z pazurami. Sprytny demon dobrze wiedział, na ile i z kim może sobie pozwolić, i bez żadnych wyrzutów drapał i gryzł chłopaka po rękach podczas takich wspólnych zabaw.

Kiedy przyszła wiosna, demon zaczął znikać na całe noce i dni. Wracał do domu tylko po to, żeby coś zjeść i odpocząć. Zuzia bardzo się wtedy o niego martwiła, ale Klakier najwyraźniej doskonale sobie radził w lesie pełnym innych demonów. A kiedy było mu źle, zawsze wiedział, że może wrócić w jej bezpieczne ramiona. Pozostali mieszkańcy Dąbrówki zdążyli na tyle się do niego przyzwyczaić, że nie gonili go, rzucając w niego kamieniami, a czasem nawet pozwalali mu przechodzić przez swoje podwórka koło bawiących się dzieci.

– Nawet do demona można się przyzwyczaić – stwierdził Hubert, kiedy zobaczył, jak miejscowe dzieciaki złapały go na drodze i usiłowały głaskać.

Klakier nie był tym zachwycony, ale pozwolił im się pieścić, a kiedy dostał kawał szynki, nawet rozłożył się na grzbiecie, łaskawie zezwalając na to, żeby dzieciaki drapały go po czarnym futrze na brzuchu.

Jak zawsze wiosną było bardzo dużo pracy na wsi, jednak Hubert znów zaczął odczuwać znudzenie. Wyrwałby się na chwilę z Dąbrówki, zobaczył, co dzieje się gdzieś indziej.

– Nie masz ochoty gdzieś pojechać? – wypytywał Ernesta.

– Po co?

– Nie wiem. Ileż można siedzieć w jednym miejscu?

Ernest zastanowił się chwilę. I on zaczął się już nudzić.

– A może by tak pojechać choć na kilka dni do innej wsi? – zaproponował. – Wymienić się sadzonkami, nasionami czy czymś podobnym?

– To nie jest głupie. – Hubert pokiwał głową. – Myślisz, że w Kamiennej mają coś, czego potrzebujemy? Ich z chęcią bym odwiedził.

W niewielkim dworku oddalonym od Dąbrówki o niecałe dwa dni drogi czuli się szczególnie mile widziani po tym, jak przepłoszyli wrogów, a potem zabili borutę.

Albert, kiedy tylko usłyszał o planach chłopców, zaczął się krzywić i marudzić, ale wiedział, że nie zatrzyma ich, jeżeli naprawdę się uprą. Tak samo Daniel, który chyba już jakiś czas temu pogodził się z myślą, że jego syn jest wolnym duchem.

– Chcę jechać z wami – oznajmiła Zuzia, kiedy tylko usłyszała o planowanej wyprawie.

– Nie ma mowy – oburzył się Ernest.

– Dlaczego? – zapytała wojowniczo.

– Bo jesteś za młoda, a dziadek potrzebuje pomocy tutaj.

– Mam już siedemnaście lat, czyli prawie tyle, ile mieliście wy, kiedy ukradliście konie i wyruszyliście pod Poznań...

– To było co innego.

– Masz rację, tam było dużo dalej i niebezpieczniej – oznajmiła, na co Hubert tylko parsknął śmiechem. – To tylko kilka dni, dziadek z wujkiem sobie poradzą – kontynuowała. – Chcę zobaczyć trochę świata. Od czterech lat tkwię tylko tutaj i ciągle pomagam w domu. A chcę poznać innych ludzi. Przecież z wami będę bezpieczna.

– Wykuczone.

– Daj spokój – odezwał się Hubert. – Nic się jej nie stanie. Niech też wyrwie się stąd na chwilę. Sylwia była w jej wieku, kiedy sama z młodszą siostrą przejechała pół kraju.

– Sylwia była inna – mruknął Ernest.

– Masz na myśli, że była normalna? – wycedziła przez zęby Zuzia.

Jej brat zaniemówił.

– Myślisz, że nie wiem, co wszyscy mówią za moimi plecami? Że jestem stuknięta? Czy to znaczy, że do końca życia zamkniesz mnie tutaj, podczas gdy ty będziesz sobie podróżował po świecie?

„Stary, już po tobie” – stwierdził Hubert, widząc minę przyjaciela.

Ernest wyglądał, jakby właśnie zjadł cytrynę, i zabrakło mu argumentów na to, by Zuzia została w domu.

Tego samego dnia postanowiono, że jadą we trójkę. Ernestowi w ogóle się to nie podobało, a Hubert sam do końca nie wiedział, co o tym myśleć. Poza tym, że czasem traciła kontakt ze światem, Zuzia była dość rozgarnięta. W sumie teraz to ona prowadziła cały dom, zajmowała się posiłkami i pomagała w gospodarstwie. Inne kobiety nigdy na nią nie narzekały, gdy z nimi pracowała.

„A poza tym – dodał w myślach – z jej wycuciem demonów będziemy dużo bezpieczniejsi w lesie”.

Słowo się rzekło, w maju, kiedy dni były coraz cieplejsze, a nocami nie trzeba było już palić w piecu, wyruszyli do Kamiennej.

Ernest jechał wierzchem na swoim koniu, a Hubert z Zuzią na wozie. Wieźli ze sobą zeszloroczne nasiona i sadzonki różnych roślin na wymianę.

– Jest tak pięknie – zachwycała się Zuzia, ciągle rozglądając się na boki.

„Naprawdę zmęczyło ją to siedzenie w Dąbrówce – pomyślał Hubert. – My ciągle jeździliśmy czy to na szaber, czy do bunkra, przecież rok temu o tej porze dopiero co wróciliśmy z kilkumiesięcznego pobytu w Gdańsku, a ja narzekałam na to, że nic ciekawego nie robię”.

Na noc zatrzymali się w tym samym domu co kiedyś. Śmierdziało w nim stęchłązną, ale lepiej było zostać tam niż na dworze, gdy ziemia jeszcze zimna, a wokół czaiły się demony.

Do dworku dotarli kolejnego dnia po południu. Jak się tego spodziewali, zostali bardzo ciepło przyjęci.

– Ale wyrosliście – dziwiła się pani Irka, ściskając obu chłopców. – A ty to już w ogóle – zwróciła się do Ernesta, który teraz miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Przedstawili również mieszkańcom Kamiennej Zuzię, która na widok tylu nowych ludzi naraz zupełnie zamilkła i tylko obserwowała wszystkich szeroko otwartymi oczyma.

Obiad zjedli w kuchni w towarzystwie Teresy.

– To mówcie, co działo się u was przez ostatni rok – powiedziała, siadając okrakiem na krześle.

– Nie za wiele – stwierdził Hubert.

– A jak z demonami?

– W sumie to zabiłszy jednego topielca, borutę, takiego jak był u was, i... – zaczął Ernest, ale w porę się ugryzł w język, jeszcze zanim Hubert zdążył kopnąć go pod stołem. Może lepiej nie rozpowiadać wokół, że hodują owinnika, który choć przypomina dużego kota, także jest demonem.

Później z kolei Teresa opowiedziała im, co działo się ostatnio w Kamiennej.

Po obiedzie pani Irka stwierdziła, że od dawna chciała zrobić bardziej elegancką kolację, a że teraz właśnie trafiła się okazja. Wygoniła więc wszystkich z kuchni i zabrała się do gotowania. Hubert, Ernest i Zuzia udali się do wspólnej jadalni, gdzie co chwila przychodził do nich ktoś inny, żeby się przywitać i porozmawiać. Marynarz, tutejszy lekarz, który zajmował się raną postrzałową Ernesta, uparł się, żeby zobaczyć, jaka blizna mu po tym została, i uznał, że wykonał dobrą robotę. A gdy Hubert pokazał mu swoją bliznę na ramieniu po biesie, uznał, że pozszywał go jakiś „tępy konował”.

Pod wieczór mieszkańcy dworku zeszli do wspólnej sali na kolację. Wszyscy byli ubrani dość odświętnie.

– Trzeba było zabrać coś elegantszego niż brudne i porwane mundury polowe – mruknął Ernest.

– Daj spokój, jesteśmy po podróży, można nam wybaczyć – stwierdził Hubert.

– Tobie by nie przeszkadzało, nawet jakbyś był ubrany jak ostatni lump.

– Bo nie zamierzam się przejmować modą.

Za to Zuzia włożyła na siebie chabrową sukienkę do kolan, jej rude loki jak zwykle swobodnie opadały na ramiona i wyglądała ślicznie.

– Wiedziałaś, że ona tak się wystroi? – zapytał cicho Ernest.

– Nie miałem pojęcia. – Hubert pokręcił głową. – Musiała tę kieckę upchnąć na samo dno torby.

Wbrew obawom chłopców nikt nie odebrał Zuzi jako nie do końca normalnej. Najwyraźniej wszyscy uznali, że nie jest roznowna.

Po kolacji zaczęli pogaduszkę w mniejszych grupkach, sącząc wino. Dziewczyny podrywały Ernesta i choć jedna była stanowczo dla niego za młoda, a druga za stara, chłopak nie wyglądał na nieszczęśliwego.

Hubert rozejrzał się dookoła, wypatrując między ludźmi niebieskiej sukienki. Zobaczył Zuzię stojącą samotnie przy oknie.

– I jak? – zagadnął ją wesoło. – Są w okolicy jakieś demony?

– A jak my ślisz? – Dziewczyna odwróciła się w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy.

Hubert aż się wzdygnął, nie lubił, gdy patrzyła na niego w ten sposób.

Nagle drzwi sali otworzyły się z hukiem. Hubert mimowolnie sięgnął ręką do paska, gdzie tkwił jego colt. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę wejścia, gdzie stanął jakiś chłopak. Był cały ubłocony, na twarzy miał brudne smugi, a z palców prawej dłoni kapąca mu krew.

– No i gdzie się znowu szlajasz?! – wybuchła Teresa.

Zaskoczony Hubert dopiero teraz rozpoznał a jej syna, Pawła. Pierwszy i ostatni raz widział go półtora roku wcześniej, gdy chłopak był dużo mniejszy i obrażony na cały świat, że został zamknięty w dworku.

– Byłem na bagnach – odparł.

Spojrzał po wszystkich twarzach, a wtedy jego wzrok zatrzymał się na Hubercie i Erneście.

– Idź się ogarnij, a potem przyjdź na kolację – powiedziała nieco łagodniej Teresa, gdy chłopak ruszył już w stronę gości. Po chwili wahania kiwnął głową i wyszedł.

– To w końcu wrócił do domu? – zagadnął Marynarza Hubert.

– Kto? Paweł? – zdziwił się mężczyzna.

– Pamiętam, kiedy byliśmy u was rok temu na wiosnę, to pani Irla nam powiedziała, że wyruszył w świat.

– Ach, no tak. To było tylko rok temu? No popatrz, a mam wrażenie, że ten nicpoń włóczy się po świecie i szuka guza już od paru dobrych lat.

– Więc co się stało?

– No, wyjechał wtedy, wrócił po paru miesiącach, trochę obity, ktoś go postrzelił, jakiś demon prawie zabił. Teresa i my, wszyscy byliśmy przekonani, że podróżowanie dało mu już do wiwatu. Ale nie. Stwierdził, że chce tropić i zabijać demony, i od tej pory ciągle gdzieś się włóczy.

– Tropić i zabijać? – zdziwił się Hubert. – Co to za pomysł?

– A myślisz, że skąd mu się wziął? – Marynarz uniósł brwi, a po chwili zostawił Huberta samego.

„Skąd ten pomysł? Przecież nie od nas. Myśmy nic nie wygadali o tropieniu i zabijaniu demonów! Ukatrupiliśmy parę z nich, ale tylko dlatego, że wpadliśmy na nie przy padkiem”.

– Tropicieł demonów, co? – Chłopakaż podskoczył, gdy Zuzia podeszła do niego.

– Bzdura – mruknął.

– Tamci mężczyźni z Piaseczna też szukali tropicieli. Plotka to potężna rzecz – powiedziała dziewczyna z lekkim uśmiechem.

Czasem traciła kontakt z rzeczywistością, ale czasem miała umysł ostry jak brzytwa.

Nie minęło pół godziny, kiedy Paweł umyty, w czystym ubraniu i z dłonią zawiniętą bandażem przyszedł do sali. Od razu podeszedł do Ernesta i zaczęli rozmawiać. Hubert, wiedziony ciekawością, już po chwili stanął obok nich.

– Cześć – powiedział. – A cię co tak urządziło?

Paweł spojrzał na bandaż na dłoni.

– Wywaliłem się na bagnach i upadłem na szkło.

– Na bagnach? Co cię tam poniosło?

– Właśnie mówiłem Ernestowi, że tropiłem tam demona. Ludzie widzieli w okolicy błędne ogniki, więc chciałem się przekonać, co to takiego.

– A on kogoś zaatakował? – zapytał Hubert.

– Nie.

– To po cholere sam się włóczyłeś po bagnach?

– Przecież to demon – odparł zaskoczony chłopak – To tylko kwestia czasu, zanim kogoś zaatakuje.

Hubert wymienił z Ernestem porozumiewawcze spojrzenie. Przed oczyma stanął im obraz tłustego Klakiera zwinętego zimną na kolanach Zuzi.

– Kto jak kto, ale wy powinniście to zrozumieć – powiedział Paweł.

– My? – zdziwił się Ernest.

– No przecież słyszałem o waszych wyczynach. Ponoć sami zabiliście biesa, wyłowiliście

topielca, a tego demona tutaj to załatwiliście ot, tak od niechcenia.

– To nie tak... – zaczął Hubert.

– A jak?

– Nooo, ehm...

– Jak was tylko zobaczyłem, ucieszyłem się, że pomożecie mi ukatrupić te błędne ogniki. Ale jak nie chcecie, to nie ma sprawy, sam się tym zajmę – powiedział Paweł z lekkim wyrzutem w głosie.

– Nie mówiliśmy, że ci nie pomożemy – bronił się Hubert.

– To jesteśmy umówieni. Jutro wam pasuje?

Hubert zerknął błagająco na Ernesta w nadziei, że przyjaciel uratuje go z opresji, jednak ten tylko zgromił go spojrzeniem. „Przyjechaliśmy wymienić sadzonki, a nie polować znów na demony” – zdawały się mówić jego oczy.

– A co na to twoja mama? – zapytał w końcu Ernest.

– E tam, przyzwyczaiła się już do tego, że nie jestem dzieckiem. – Paweł machnął ręką.

Późno w nocy, gdy wszyscy poszli spać, a trójka przyjaciół z Dąbrówki leżała już w łóżkach, Hubert otwarcie skrytykował zachowanie Pawła.

– Rzucasz się taki na demona jak głupi i w ogóle nie myślisz, że może zginąć – powiedział. –

A przecież to jeszcze dzieciak

– Rzucasz się taki na demona jak głupi i w ogóle nie myślisz, że może zginąć – przedrzeźniał go Ernest. – Kto jak kto, ale ty akurat powinieneś go zrozumieć. Jesteś przecież taki sam.

– Jak to taki sam? – oburzył się chłopak – Zawsze myślę nad tym, co robię.

– Aha, jasne – mruknął Ernest. – Nie będę ci przypominał ani topielca, ani biesa, ani strzygi.

– To było co innego – stwierdził urażony Hubert.

Następnego dnia przed polowaniem zaproponowanym przez Pawła Ernest usiadł w pokoju i zaczął przeglądać demonologię, by odświeżyć informacje na temat błędnych ogników.

– Ognian, ognik, ognik błędny – przeczytał na głos. – Wodny demon bezpostaciowy należący do rodziny świetlików bagiennych.

Gdy czytał, Hubert poruszał ustami bezgłośnie, recytując tekst z pamięci.

– Były to migocące ogniki występujące o zmierzchu na bagnach i torfowiskach. Wabiły podróżników, żeby zbaczali z wytyczonych dróg i tonęli na grzęzawiskach. Powstawały z pokutujących dusz ludzi nieuczciwych, czasem twierdzono, że to dusze złych karczmarzy, którzy oszukiwali klientów, albo też dusze podpalaczy.

– Bezpostaciowe – mruknął Hubert. – Ciekawe, jak takiego upolować?

– Nie wiem, nic nie jest tu napisane na ten temat – westchnął Ernest. – Może po prostu trzeba ich unikać, i tyle.

– Słuchaj, a może weźmiemy Zużę?

– Nie ma mowy – uciął Ernest.

– Przecież nic się nie stanie. Te błędne ogniki pewnie i tak nie istnieją, jakieś gazy uwalniają się z ziemi i świecą, a ludzie panikują, o ile w ogóle to wszytko się im nie przywidziało...

– Paweł twierdzi, że też je widział.

– Sam w nocy na bagnach też byś widział różne rzeczy. A tak weźmiemy Zużę, powie nam, że nic tam nie ma, i wracamy do domu.

– Ty też możesz nam powiedzieć, że nic tam nie ma.

– A uwierzycie mi? Bo ja sam sobie nie wierzę. Ernie, chce ci się uganiać całą noc po bagnach za tymi ognikami?

– Nie, ale nie będę używał własnej siostry jako wabika.

– Nie wabika, radaru – mruknął Hubert.

– Nie.

– A ty znów decydujesz o mnie beze mnie – powiedziała nagle Zuzia.

Obaj odwrócili się na krzesłach i zobaczyli dziewczynę stojącą w drzwiach.

– Chcę iść z wami – oświadczyła.

Po długiej dyskusji Zuzi z pomocą Huberta udało się namówić Ernesta, żeby pozwolił na jej udział w wyprawie.

Późnym popołudniem uzbrojeni po zęby opuścili dworek i poszli zarośniętą drogą w stronę lasu.

– Te bagna są bardzo blisko nas – mówił Paweł. – Dlatego boję się, że któreś nocy demony mogą pojawić się tuż pod naszym nosem, a wtedy będzie już za późno. W sumie nie w nocy, bo pokazują się tuż po zmierzchu.

– Zobaczmy my – powiedział Hubert.

Po półgodzinnym marszu skręcili prosto w sosnowy las, gdzie co jakiś czas wyrastał z ziemi pojedynczy świerk albo grupka brzoź. Sucha trawa nie była wysoka, więc maszerowało się dość łatwo, trzeba było tylko uważać na wystające z ziemi korzenie i na doły. Pierwszy szedł Paweł, za nim Zuzia u boku Ernesta, a na samym końcu Hubert, który co chwila przyglądał się dziewczynie, szukając w jej zachowaniu jakichkolwiek oznak, że jej radar odnalazł demony. Jednak nie chciał polegać tylko na niej, więc sam również starał się być czujny.

Niespodziewanie las się urwał, a oni stanęli na brzegu jasnozielonego bagna przypominającego okrągłą polankę w samym sercu boru. Porastał je mech i trzciny, a na środku stało kilka szarych, uschniętych metrowych sosenek

– To tutaj? – zdziwił się Hubert.

– Nie, to bagno łączy się z następnymi – odparł Paweł. – I dopiero na trzecim widziałem te ogniki.

– Ale fajne – zaśmiała się Zuzia i zanim Ernest ją powstrzymał, weszła w bagno.

Mech zapadł się lekko pod jej stopami w wojskowych butach, a kiedy przestępowała z nogi na nogę, bagno młaskało pod podeszwami.

– Zuza! Chodź tu! – warknął Ernest.

– Nie – oznajmiła, podskakując lekko.

Cała powierzchnia trzęsawiska zaczęła falować.

– Chodź!

Ernest wszedł ostrożnie za nią.

– Bo się utopisz – wygrażał.

– Nie panikuj – powiedziała i wciąż podskakując, skierowała się do brzegu.

– Nie waż się więcej na to wchodzić – warknął, gdy oboje znaleźli się na twardym gruncie.

Hubert nic nie powiedział, tylko wzniosł oczy ku niebu.

Brzegiem bagna przeszli na jego drugi koniec, gdzie było połączone z kolejnym wąskim rowem. Następne trzęsawisko było podobne do pierwszego, trzecie zaś dużo bardziej mokre –

przy jego brzegach stała woda po kolana, rosły typowo wodne rośliny, z których żadnej Hubert nie znał. Z kolei na samym środku bagna zobaczyli niewielkie oczko wodne o czarnej i nieruchomej powierzchni.

– Widziałem te ogniki tam, prawie na środku. – Paweł wskazał palcem. – Chciałem za nimi pobiec, ale wpadłem w wodę po pas i zanim z niej wyszedłem, ogniki znikły.

Hubert rozejrzał się dookoła. Nie wyczuwał w pobliżu żadnego demona. Zuzia najprawdopodobniej też, bo ze spokojem oglądała niskie krzaczki w poszukiwaniu dzikich malin, lecz była dopiero wiosna i pierwsze owoce miały się pojawić dopiero za ponad miesiąc.

– Dobra, nic tu nie ma. Wracamy? – zapytał Ernest.

– Poczekajmy do zmierzchu, na pewno się pojawią – powiedział Paweł.

Ernest westchnął ciężko i usiadł na mchu, kładąc sobie karabin na kolanach. Hubert i Paweł poszli w jego ślady, tylko Zuzia krążyła wokół, szukając nie wiadomo czego.

Kiedy słońce skryło się za drzewami, słoneczny, ciepły dzień przeszedł w zimny zmierzch. Żaby zaczęły głośno rechotać. Lekki wiatr szumiał w gałęziach sosen, gdzieś w oddali chrumkał dzik, buchtując ziemię w poszukiwaniu pędraków.

– Trochę tu za spokojnie jakna leże demona – stwierdził Ernest.

Im było ciemniej, tym bardziej las i trzęsawiska ożywały. Nagle z każdej strony zaczęły dochodzić do nich najróżniejsze dźwięki, hałasy, trzaski i bulgot wody. Jednak były to zupełnie naturalne odgłosy, niemające nic wspólnego z demonami.

Siedzieli na ziemi godzinę, potem drugą, aż zrobiło się zupełnie ciemno i tylko księżyc słabo świecił tuż nad drzewami.

– Dobra, wracamy, nic tu nie ma – oznajmił Ernest, wstając.

– Wracamy – przytaknął Hubert, który skostniał z zimna.

– Zuza? – Ernest rozejrzał się za siostrą.

– Gdzie ona jest? – zapytał Paweł, również szukając jej wzrokiem.

Jednak dziewczyny nie było nigdzie w pobliżu.

– Zuza! – krzyknął Ernest i ruszył w stronę oddalonego od nich o kilka metrów bagna.

– Ciii – syknęła dziewczyna, stojąc na samym brzegu trzęsawiska. Nawet nie odwróciła się w ich stronę, tylko stała nieruchomo, patrząc przed siebie.

Zatrzymali się przy niej i spojrzeli w tym samym kierunku.

Wtedy serce Huberta zabiło szybciej i zobaczył w oddali kilka jaśniejszych niż otoczenie niewielkich plamek pływających na wodzie w malutkim bajorku na środku bagna. Były koloru seledynowego, na zmianę znikwały i pojawiały się, tańczyły wokół siebie, przesuwając się to w jedną, to w drugą stronę. Z całą pewnością nie miały nic wspólnego z ognikami. Przypominały raczej świetliki, małe, delikatne i jasne plamki. Jak urzeczonzy wpatrywał się w nie, aż usłyszał głośny plusk który sprowadził go na ziemię.

– Nie! – krzyknął Ernest, łapiąc za ramię Zuzię, która ruszyła przed siebie i weszła po kolana do wody.

– Co? – zapytała zdziwiona, patrząc zamglony mi oczyma na brata.

– Zwariowałaś? Gdzie ty idziesz?

– Tam. – Zuzia sennie wskazała ręką na światelka w oddali. – Są takie piękne.

Nagle ogniki przygasły i zaczęły przesuwać się po bagnie z zaskakującą prędkością.

– Trzeba im odciąć drogę! – krzyknął Paweł i ruszył biegiem wzdłuż brzegu.

– Idę z nim – rzucił Hubert.

Ernest, trzymając Zuzię za rękę, tylko kiwnął głową.

Światelka płynęły po trzęsawisku, co chwilę ginąc w wyższej trawie lub za uschniętymi drzewkami. Jednak już po krótkiej chwili Hubert był przekonany, że zmierzają do wąskiego rowu łączącego jedno grzęzawisko z drugim.

„Chcą uciec” – pomyślał i przyspieszył.

Co jakiś czas potykał się o nierówności na ziemi, gałęzie zahaczały o jego ubranie i chłostały go po policzkach, a raz poczuł na twarzy pajęczynę.

Ogniki właśnie weszły do rowu.

– Odetnij im drogę! – krzyknął Hubert.

Paweł zaczął biec jeszcze szybciej, żeby je wyprzedzić i zatrzymać przy ujściu do drugiego bagna.

Hubert, kiedy tylko dobiegł do rowu, wskoczył do niego, modląc się w duchu, żeby nie wpaść po pas w blok, które z całą pewnością zatrzymałoby go na dłużej. Na szczęście dno, choć wilgotne, było dość twarde i zapadł się tylko po kostki. Zmuszając mięśnie do dalszego biegu, popędził przed siebie. Światelka migotały słabo kilkanaście metrów przed nim. Wtedy usłyszał serię wystrzałów. Odruchowo przy padł do ziemi.

– Jezu – stęknął, a kiedy zorientował się, że to nie do niego strzelają, podniósł się i już wolniej ruszył do przodu.

Pierwsze, co zobaczył, to światelka migoczące w dzikim tańcu na dnie rowu. Potem ujrzał bladego Pawła stojącego na szczycie wykopu z bronią wycelowaną w ogniki. Minę miał dziwną, jakby sam nie był pewien, na co patrzy.

Hubert uniosł swój karabin i celując w wariujące ogniki, podszedł do nich bliżej.

– O cholera – wyrwało mu się.

To, co zobaczył, nie było kilkunastoma osobnymi ognikami, tylko grubym i długim na dwa metry węgorzem, który wił się w agonii na dnie rowu. Na bokach jego błyszczącego w świetle księżycy ciała znajdowały się świecące plamki.

Jednak teraz nie wyglądały tak pięknie, nie wabiły ani nie intrygowały jak wtedy, gdy węgorz mknął po trzęsawisku. Teraz stały się po prostu częścią umierającego demona.

Hubert podszedł do niego, namierzył, gdzie stwór ma głowę, i uderzył w nią kolbą od karabinu. Coś trzasnęło i węgorz powoli zaczął nieruchomieć. Plamki na jego ciele wciąż tliły się słabo.

Hubert usiadł na skraju rowu obok Pawła i wpatrywał się w martwego demona.

– Masz te swoje ogniki – syknął.

– Spodziewałem się wszystkiego, ale nie czegoś takiego – odparł chłopak, kiedy doszedł do siebie.

Po chwili przyszli do nich Ernest i Zuzia.

– Och – jęknęła dziewczyna na widok ciała demona i natychmiast zbiegła do niego.

– To jest tylko przerośnięty węgorz – stwierdził jej brat.

– Ano jest – westchnął Hubert.

– Ma fluorescencyjne ubarwienie, żyje spokojnie na bagnach, nie atakuje ludzi, jest płochliwy – zaczął wymieniać Ernest. – Dlatego uznano go za bezpostaciowego, ludzie nie mieli potrzeby, żeby na niego polować.

– Ale to przecież demon! – wybuchł Paweł. – A demony zabijają ludzi. Wszyscy to wiedzą.

– Może więc powinni zmienić światopogląd – mruknął Hubert.

– Szkoda go, był taki ładny – powiedziała smutno Zuzia.

– Zbierajmy się do domu – zaproponował Ernest.

Paweł uparł się, żeby zabrać demona do dworku i pokazać innym, więc razem z Hubertem chwycili ciężkie cielsko i ponieśli je przez las. W trakcie drogi fluorescencyjne plamki powoli przestały świecić.

Idąc przez ciemny bór, Hubert miał wiele czasu, żeby zastanowić się nad tym, co się stało. Żałował demona, który najprawdopodobniej był nieszkodliwy, bo przecież przed nimi uciekał, a poza tym miał malutką paszczę i nie zdołałby skrzywdzić człowieka. Jednak bardziej przstraszyła go jego własna reakcja na widok „błędnych ogników”. Jak urzeczony się w nie wpatrywał, wprost nie mógł oderwać od nich wzroku. Tak samo Zuzia, która mogła się utopić, idąc do nich. Gdyby Ernest jej nie zatrzymał...

„Dlaczego nie ogarnąłem tego, co się działo? – zastanawiał się. – Dlaczego Ernest i Paweł zachowali przytomność umysłu, kiedy my z Zuzą prawie odlecieliśmy?”. Odpowiedź wydawała się prosta: „Bo oboje jesteśmy bardziej wy czuleni na demony niż inni”.

Droga powrotna zajęła im więcej czasu i w dworku znaleźli się grubo po północy. Lecz późna pora nie przeszkadzała mieszkańcom, żeby wstać z łóżek i obejrzeć martwego demona.

– I mówicie, że skubany świecił? – pytali mężczyźni, przysuwając do węgorza pochodnie. Kiedy je odsuwali, plamki na jego bokach znów zaczęły słabo migotać.

– Co to za diabeł? – zapytał ktoś.

– To jest ognian – powiedział głośno Ernest. – I nie jest niebezpieczny dla ludzi.

Ludzie pokiwali głowami, chociaż niektórzy wyglądali, jakby mieli własne zdanie na ten temat. Hubert, by dopełnić swojej tradycji, wyrwał ognianowi największy ząb, który nie był dłuższy niż ludzki paznokieć.

Potem demona wyniesiono poza mury dworku, polano benzyną i podpalono.

Hubert i Ernest uznali, że Zuzia raczej nie chciałaby tego oglądać, więc zabrali ją do pokoju.

– Demony zabijają ludzi – przedrzeźniał Hubert, kiedy zostali sami we trójkę. – Wszyscy to wiedzą.

– Dobrze, że Klakier został w domu – powiedziała Zuzia.

Następnego dnia Paweł podziękował Hubertowi i Ernestowi za pomoc w polowaniu.

– Gdyby nie wy, nigdy byśmy go nie złapali – powiedział. – Może nie jest on niebezpieczny, ale wtedy tego nie wiedzieliśmy. Mógł przecież przy pełznąć tutaj i zabić kogoś z naszych.

– Wiedza kosztuje – stwierdził Ernest.

– Na pewno. Szczególnie, jeżeli chce się być tropicielem demonów.

„Co on sobie ubzdurał? – pomyślał Hubert. – Nie mógł znaleźć sobie lepszych idoli?”.

Tego dnia zauważyli, że wszyscy mieszkańcy dworku zaczęli trochę inaczej traktować Pawła. Młody chłopak spędził noc na bagnach i zabił demona, należało się mu więc więcej szacunku.

Chciał udowodnić swoje męstwo. I mu się udało.

Nawet Teresa patrzyła na syna z odrobiną dumy przemieszaną ze złością na to, że jawnie ignorował jej zakazy.

Hubert, Ernest i Zuzia zostali w Kamiennej przez dwa dni, a potem, zaopatrzeni w nowe sadzonki i nasiona, wyruszyli w drogę powrotną do domu. Przez cały dzień spokojnie jechali w stronę

Dąbrówki, a na noc zatrzymali się w tym samym opuszczonym domu co zawsze.

Wieczorem usiedli przy kominku i zjedli kolację zabraną z dworku.

– Wiecie, co mnie wkurza? – odezwał się Hubert. – Że teraz musimy popruć tę naszą książkę i dodać do niej kolejną stronę o ognianie.

– Nikt nie mówił, że będzie prosto stworzyć encyklopedię demonów – odparł Ernest.

Nagle usłyszeli hałas na zewnątrz. Dwaj przyjaciele błyskawicznie wzięli do rąk karabiny i podawali podeszli do drzwi.

– To Klakier! – krzyknęła radośnie Zuzia, przepchnęła się między nimi i podbiegła do wyjścia.

Sekundę później Huberta ogarnęło znajome odczucie. Nie musiał otwierać drzwi, żeby potwierdzić słowa dziewczyny.

Kiedy Zuzia nacisnęła na klamkę, ich oczom ukazał się owinnik spokojnie siedzący na progu. Spojrzał na nich jakby z pretensją, że tak długo zwlekali z wypuszczeniem go do środka, a potem dumnym krokiem wmaszerował do domu.

– Jak on nas znalazł? – zdziwił się Ernest.

– Może nudziło mu się w Dąbrówce. – Hubert wzruszył ramionami.

– Chodź, skarbie, dostaniesz kolację – powiedziała słodko Zuzia. – Na pewno jesteś bardzo głodny.

Klakier usiadł przed kominkiem i z wyczekiwaniem wpatrywał się w nią, a chłopcy pokręcili głowami. Do nich nigdy nie przemawiała takim słodkim tonem.

Niedługo potem do Dąbrówki przyjechał posłaniec z Piaseczna. Szukano pomocy w związku z pojawieniem się wijów. W ciągu tych czterech lat od wojny wszystkie demony stały się większe, potężniejsze i coraz mniej bały się ludzi. Było trudniej je tropić i ciężiej zabić. Ludzie ze wsi w pobliżu Dąbrówki, wraz z tymi z Kamiennej i Borów, woleli szukać pomocy u Huberta, Ernesta i Michała, którzy jako jedyni potrafili te demony nazwać, najszybciej znaleźć i zabić, niż radzić sobie z nimi w pojedynkę. Chłopcy zauważyli, że wiele osób wciąż panicznie się boi demonów. Nie chodzili do lasu, a po zmroku nie opuszczali domów. Mało kto był też tak dobrze uzbrojony jak oni. Wypytywano ich, skąd mają tyle broni, ale obaj woleli zachować w tajemnicy swój wojskowy bunkier po suficie wypełniony fantami z jednostki. Nic więc dziwnego, że wszystkim łatwiej było po prostu wynająć tropicieli.

Tam, gdzie w rachubę wchodziło zabicie jakiegoś mniejszego demona, chłopcy często brali ze sobą Zuzię, żeby pomogła im go znaleźć. A gdy polowali na groźne stwory, dziewczyna najczęściej tylko wskazywała im drogę, po czym ktoś miejscowy odprowadzał ją do osady, a przyjaciele dalej już szli sami. Czasem, gdy polowali na takie demony jak boruta, zastawiali na niego pułapki wraz z miejscowymi. Nauczyli się też, że psy południcy nie przepadają za domowymi psami, których można było użyć do wykurzenia ich z nor. Pewnego razu wraz z Pawłem i kilkoma myśliwymi z Kamiennej osaczyli biesa w świerkowym młodniku. Potrzeba było kilku strzelb na grubszą zwierzynę, żeby go zabić. Parę razy natknęli się na nieszkodliwe demony, takie jak lejin czy ogniany. Starali się wtedy tłumaczyć miejscowym, że im nie zagrażają, jednak wszyscy wyznawali zasadę, że dobry demon to martwy demon. Było przez to trochę problemów z Klakierem, który czasem wóczył się za chłopcami i Zuzią i nic sobie nie robił z innych ludzi. W Borach sołtys Antoni jako pierwszy zasadził się, żeby zastrzelić owinnika, ale na szczęście w ostatniej chwili Ernestowi udało się go od tego odwieść. Chłopak musiał

zagrozić, że już nigdy więcej nie postawią wraz z Hubertem stopy w jego wsi i zakończą z nimi handel, jeżeli jakaś krzywda stanie się pupilkowi Zuzi. Podobna przeprawa czekała ich w innych zaprzyjaźnionych miejscowościach i choć ludzie zaczęli tolerować wielkiego kota, wciąż traktowali go nieco podejrzliwie.

Wiosną, pięć lat od wybuchu wojny, Hubert, Ernest i Michał wyjechali na szaber. W najbliższych miejscowościach zaczęło brakować potrzebnych produktów. Szczególnie starszy znę z Dąbrówki martwiły powoli wyczerpujące się zapasy soli. W świecie, gdzie nie było lodówek ani sklepów, które dostarczałyby codziennie świeże artykuły, sól była niezbędna przede wszystkim do konserwowania mięsa. Niedługo po wojnie osada zaopatrzyła się w olbrzymi zapas soli, uzupełniany za każdym razem, gdy ktoś jechał na szaber, jednak w okolicy przetrząsnęli już wszystkie sklepy i domy, więc trzeba było udawać się coraz dalej.

– Ile jeszcze mamy kilometrów? – zapytał Michał, zerkając na słońce nisko wiszące nad drzewami.

Hubert zerknął na mapę.

– Co najmniej siedem – odparł.

– To jak zaplanowałeś trasę? – ze złością się Ernest. – Na noc mieliśmy dotrzeć do tego miasta.

– Skąd mogłem wiedzieć, że droga będzie tak zawalona i nie przejedziemy tam wozem? – burknął.

– Co w takim razie robimy? – zapytał były żołnierz.

Hubert wpatrzył się w mapę.

– Możemy zjechać z głównej trasy i pojechać tędy. – Chłopak wskazał palcem.

– To mi wygląda jak polna droga. – Ernest się skrzywił. – Też może być nieprzejezdna.

– Ale jeśli będzie przejezdna, to skrócimy sobie jazdę o dobrych kilka kilometrów. Zanocujemy gdzieś w polu, ruszymy wraz ze wschodem słońca i przed dziewiątą będziemy na miejscu. Dzięki temu nie stracimy kolejnego dnia. Co o tym sądzicie?

– To jest chyba najlepszy pomysł – zgodził się Michał.

– Może się uda. – Ernest pokivał głową. – A jeśli nie, to i tak jesteśmy już do tyłu, więc jeden dzień wte czy wewte nie robi różnicy.

Na kolejnym skrzyżowaniu skręcili więc w wąską drogę asfaltową, która była podziurawiona jakser szwajcarski, ale na szczęście w miarę przejezdna. Kiedy słońce zaszło za horyzont i zrobiło się już chłodno, zjechali z niej i zatrzymali się na olbrzymiej polanie tuż pod gęstym lasem. Kiedyś najprawdopodobniej było tutaj pole uprawne, teraz jednak zupełnie zarosło trawami, a im bliżej lasu, tym więcej rosło na nim młodych samosiejek.

Chłopcy rozsiadali konie, rozpalili ognisko i przyszykowali kolację. Kiedy się najedli, posiedzieli jeszcze chwilę razem przy ogniu, a potem ułożyli się do snu. Podczas gdy jeden z nich pełnił wartę, dwóch pozostałych, z powodu zimnych nocy, spało na wozie.

– Wstawać! – Michał, który ostatni pełnił wartę, potrząsnął ramieniem Huberta.

– Nie – jęknął chłopak i przykrył głowę śpiworem. Świat był jeszcze szary po nocy.

– Sam chciałeś wstawać razem ze słońcem – zarzucił mu Ernest, siadając na wozie i przecierając zaspane oczy.

– To był głupi pomysł. Zimno mi.

– To chodź do ogniska – powiedział Michał. – Zaparzyłem kawę.

Ernest zeskoczył już z wozu, kiedy Hubert dopiero odsłonił twarz.

– Jestem cały mokry od rosy – poskarżył się.

– My też – pocieszył go rudy przyjaciel.

– Ale ja mam nawet twarz mokną od rosy. Wiecie, jakie to nieprzyjemne?

Michał tylko parsknął śmiechem, po czym wspiął się na olbrzymi kamień leżący nieopodal ogniska i usiadł na nim. W jednej ręce trzymał parujący kubek z kawą, a w drugiej pajdę chleba z kawałem wędzonej kiełbasy.

Hubert był tak zaspany, że ledwie mógł utrzymać powieki w górze. Zeskoczył, a raczej stoczył się z wozu, i powlekł się do ogniska. Ernest pokręcił głową na jego widok i wręczył mu kubek z kawą.

– Dzięki, jesteś najlepszym kolegą pod słońcem – powiedział Hubert. – A jak jeszcze ukroisz mi kawałek chleba, to już w ogóle będzie czad.

Ernest westchnął znacząco, ale ukroił pieczywo.

– Wiecie co, czasami się zachowujecie jak stare małżeństwo – podsumował Michał.

– Goń się – mruknął Hubert.

– Taka prawda. Ernest wciąż na ciebie narzeka, ale jak przychodzi co do czego, to i kawę ci zrobi, i kanapeczki – śmiał się były żołnierz.

W tej właśnie chwili pierwsze promienie słońca przedarły się ponad lasem po drugiej stronie pola i padły im na twarze, zablęszczały odbite w kropkach rosy na trawie. Białe, bezchmurne niebo wyglądało, jakby rozlały się na nim błękitne, różowe i pomarańczowe farby. Zapowiadał się pogodny dzień.

– Pięknie tu – powiedział Michał, zapatrzonej we wschodzące słońce.

– I kto tu zachowuje się jak baba? – mruknął Ernest.

– A zaprzeczysz, że nie jest tu pięknie? Mógłbym zamieszkać w takim miejscu.

– Jasne, zbudować od podstaw dom, ogrodzić go, wykopać studnię, i to wszystko tylko dla ładnego widoczku? Daj spokój. Jest wiele lepszych miejsc do mieszkania.

– Cicho – syknął nagle Hubert.

Przez chwilę nasłuchiwali odgłosów w pobliżu.

– Co jest? – zapytał Ernest.

– Gdzieś w okolicy jest demon.

– Gdzie?

– Chyba w lesie.

– Bardzo blisko?

– Chyba daleko.

Michał i Ernest wymienili spojrzenia.

– Dajmy mu spokój, jak jest daleko – zaproponował Michał. – Nie będziemy się uganiać za nim po lesie.

– Racja, czas się już zbierać, jeżeli chcemy dojechać do miasta jeszcze przed południem – przytaknął Ernest.

– No dobra – zgodził się Hubert.

Był odrobinę zawiedziony reakcją kolegów. Najchętniej popędziłby w las, żeby stawić czoła demonowi, a jeżeli nie będzie groźny, po prostu go zobaczyć, może odkryłby nowy gatunek.

Przed dziesiątą dotarli do niewielkiego miasta. Najpierw odnaleźli lokalny sklep i ogolocili go ze

wszystkiego, co mogło się im przydać, a potem przeszli się po domach. Udało im się zdobyć ponad trzydzieści kilogramów soli. Nie było to aż tak dużo, ale na jakiś czas wystarczy. Za miesiąc czy dwa znów wybiorą się na szaber.

załadowali na wóz ryż, makarony, kawę, herbatę, różne przyprawy, trochę kosmetyków i ubrań. Wszystko było przeterminowane, ale ludzie mieli dużo bardziej wytrzymałe łożądki niż kiedyś.

W pewnej chwili, gdy pakowali znalezione rzeczy, Hubert stanął nieruchomo, wciąż trzymając naręcz ubrań, które chciał wrzucić na wóz.

– Znowu ten sam demon – powiedział.

– Skąd wiesz, że ten sam? – zapytał Ernest.

– Po prostu wiem. – Chłopak wzruszył ramionami. – Znowu jest dość daleko, ale mam wrażenie, że przez cały dzień za nami lezie.

– Tutaj dawno nie było ludzi – powiedział Michał. – Może jest po prostu zaciekawiony? Albo tobie się tylko wydaje, że to ten sam?

Hubert znów wzruszył ramionami. Nie był niczego pewien, już od kilku godzin miał lekkie poczucie, że są śledzeni.

– Poszukajmy go – zaproponował.

– Daj spokój, nie chce mi się – powiedział Ernest.

– Mnie też – dodał Michał.

– A co jak on tylko czeka na dogodny moment, żeby nas zaatakować?

– I tak się już stąd wynosimy, to może sobie odpuści – powiedział były żołnierz. – Pewnie naruszyliśmy jego terytorium i tylko nas pilnuje.

– Ja bym wolał wiedzieć, co to jest i dlaczego za nami chodzi – burknął Hubert, ale po minach kolegów zorientował się, że nie uda mu się namówić ich na polowanie.

Zabezpieczyli towary na wozie i wyjechali z miasta. Było już późne popołudnie, ale mieli nadzieję dotrzeć do jakiegś wsi przed nocą.

Przez całą drogę Hubert wciąż miał wrażenie, że coś za nimi podąża. Jednak jeżeli był to demon, wciąż trzymał się dość daleko, dlatego chłopak ledwo co go wyczuwał i sam już nie wiedział, co o tym myśleć.

Tuż przed zmrokiem dotarli do niewielkiej wsi. Odnaleźli dom z kominkiem, konie przypalikowali na trawie tuż przed garażem, żeby w razie deszczu mogły się schować pod dachem, a sami udali się do środka na kolację.

Michał sprawdził, czy komin jest drożny, Hubert rozpałił ogień, a Ernest zaczął kroić kielbasę i chleb.

Kiedy jedli, na dworze zrobiło się zupełnie ciemno. Jednak w domu było ciepło, płomień dawał trochę światła i nawet nie śmierdziało mocno stęchłążną.

Nagle usłyszeli jakiś hałas na zewnątrz. Cała trójka zastygła w bezruchu, nasłuchując. Hałas się powtórzył. Brzmiał, jakby ktoś uderzał patykiem w płot. Potem dotarły do nich warkot i kwiczenie.

– Dziki? – zgadywał Ernest.

– Daj spokój, dziki nie wydają takich dźwięków – powiedział Michał.

– To demon – stwierdził stanowczo Hubert. – Chodźcie.

Wstał z kanapy i wziął do ręki karabin.

– Zostaw go. – Ernest spróbował zatrzymać przyjaciela. – Na dworze jest zupełnie ciemno, a ty nie wiesz, co to za demon. W domu jesteśmy bezpieczni, a jak spróbuje tu wleźć, to go zastrzelimy.

Hubert przestąpił z nogi na nogę. Co innego, gdy demon był daleko, a co innego, gdy zaczął hałasować tuż przed ich domem. Zmysły chłopaka znów się wyczuliły, mięśnie napięły, adrenalina przyjemnie rozeszła się po ciele, czuł, że poradzi sobie ze wszystkim.

– A konie? Jak się doberze do koni, to będzie pozamiatane – stwierdził i podszedł do drzwi. – Nie pozwolę, żeby coś żezało Mokkę.

– Poczekaj – syknął do niego Michał, ale Hubert nacisnął kławkę i wyjrzał na zewnątrz.

Wieś pozostawała uśpiona w ciemnościach, przez chmury na niebie nie było widać ani księżycy, ani gwiazd. Lekka poświata od ognia w kominku rzucała na zarośla i drogę podłużny prostokąt słabego światła. Poza nim wszystko było pograżone w mroku. Jednak Hubert doskonale wiedział, że na drodze po jego lewej stronie, w odległości kilkunastu metrów, coś się czai.

Z karabinem wycelowanym w tamtą stronę wyszedł do ogródka. Przyjaciele podążyli za nim. Gdy Ernest zamknął drzwi od domu, otoczyła ich ciemność, lecz już po chwili ich oczy się do niej przyzwyczyły.

– Tam, na drodze – szepnął Hubert do Michała, który szedł tuż za nim.

Konie zarżały nerwowo. One również poczuły demona.

Stwór zaczął warczeć, kwiczeć i cmokać na zmianę. Po dźwiękach, jakie wydawał, nie potrafili go zaklasyfikować do żadnego znanego im gatunku. Wiedzieli tylko jedno – był duży.

Hubert cicho, lecz pewnie wyszedł na drogę, stanął na wprost potwora i czekał. W oddali widział jego ciemną, wielką sylwetkę. Spokojnie uniośł karabin do ramienia, wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze.

Demon zawył nagle i rzucił się w jego stronę. Ziemia dudniła pod jego łapami. Słysząc było, jak dyszy ze złością. Hubert tylko na to czekał. Wystrzelił kilka razy, lecz stwór nawet nie zwolnił. Chłopak wypuścił w jego stronę całą serię pocisków, jednak nic to nie dało.

– Uważaj! – wrzasnął Michał.

Hubert go zignorował i wystrzelił ponownie, znów bez rezultatu. Demon był już tuż przed nim. Chłopak zobaczył czerwone ślepie, szarą skórę, potężne barki demona i umięśnione łapy. W ostatniej chwili odskoczył i potoczył się po ziemi, kątem oka dostrzegł coś rudego na jego grzbiecie. Potwór wielkości rosłego mężczyzny, opierając się na przednich łapach, przemknął dalej. Michał, stojący w pobliżu, wystrzelił w niego serię z karabinu.

Demon zawył rozdzierająco i zawrócił.

„Strzyga!” – wykrzyczał umysł Huberta.

To było jego pierwsze skojarzenie, jednak demon, choć dość podobny do strzygi, był od niej dużo większy i potężniejszy. Miał olbrzymią paszczę i ostre pazury.

– Przy nieś maczetę! – wrzasnął Hubert do Ernesta.

Jeżeli rzeczywiście była to przerośnięta strzyga, to karabiny na niewiele by się zdały.

Hubert wraz z Michałem stali ramię w ramię i strzelali ogniem ciągłym w nadbiegającego demona. Wiedzieli, że zaraz skończą im się naboje.

Gdy potwór był tuż przed nimi, odskoczyli na dwie strony, jednak tym razem demon nie dał się na to ponownie nabrać. Gwałtownie skręcił i z nisko pochylonym łbem wpadł na Huberta. Chłopak w ostatniej chwili zasłonił się karabinem, ale i tak z łomotem padł na ziemię.

Walczył, żeby odzyskać oddech, gdy demon pochylił się nad nim i wznosił przednią łapę, żeby zadać cios. Wszystko wokół zwolniło. Hubert dobrze mógł się przyjrzeć gorejącym oczom demona, rzędom ostrych zębów, wystającym ścięgnom na grubej szyi, szarej, umięśnionej klatce piersiowej, w której było kilka płytkich ran, najwyraźniej od naboju. Poniżej znajdowało się jaśniejsze podbrzusze, które obficie krwawiło, i narządy niepozostawiające śladu wątpliwości, że to wcale nie jest strzyga, a strzygoń. Na wzniesionej łapie zagrały napięte, wydadne mięśnie. Dłoń, niemal jak ludzka, rozczapierzyła krótkie palce zakończone długimi szponami i zaczęła opadać.

W tej samej chwili na demona rzucił się Michał. Uderzył w jego łeb kłbą karabinu, a potem z rozpędem wpadł na potwora i razem potoczyli się po ziemi.

Hubert szybko się pozbierał i ruszył na pomoc przyjacielowi. Wzniósł karabin gotowy do strzału. Teraz już wiedział, żeby celować w podbrzusze, gdzie skóra jest delikatniejsza. Jednak demon i Michał wciąż tarzali się po ziemi, co czyniło strzał niemożliwym. Nagle się zatrzymali. Żołnierz leżał na ziemi, demon był nad nim. Hubert strzelił w tym samym momencie, kiedy potwór uniósł się na tylnych łapach, po czym opadł przednimi na Michała, rozrywając ostrymi szponami brzuch i klatkę piersiową chłopaka.

– Nie!!! – wrzasnął Hubert i bez zastanowienia rzucił się na demona.

Wbił mu łufę karabinu w brzuch. Potwór zawył z wściekłości i odskoczył od Michała.

Wtedy z pomocą Hubertowi przyszedł Ernest. Wziął zamach maczetą i uderzył nią prosto w ramię przeciwnika. Choć był to bardzo mocny cios, metal wszedł w ciało tylko odrobinę. Wściekły strzygoń odskoczył na bok i bezgłośnie wyszczerzył zęby. Ernest znów wziął zamach i wyskoczył w jego stronę, lecz demon uchylił się przed ciosem, a po sekundzie uderzył bokiem w chłopaka, przewracając go na ziemię. Hubert znów zaczął do niego strzelać, ale stwór się odwrócił i uciekł do lasu. Nie gonili go, i oni, i demon mieli dosyć walki.

Hubert opuścił karabin i odwrócił się do Ernesta, który kłęczał przed ciałem Michała. Po jego policzkach spływały łzy.

Podszedł i również uklęknął na ziemi. Żołnierz był rozszarpany. Miał połamane żebra, rozharatany brzuch, a głowę odchyłoną pod nienaturalnym kątem.

Hubert nie mógł uwierzyć, że to się stało. Przecież jeszcze piętnaście minut temu wszyscy trzej siedzieli przed kominkiem i jedli kolację. A teraz Michał leżał martwy na ziemi. Wszędzie była krew. Huberta zaczęło mdlić, ale nie potrafił wstać. Wpatrywał się tylko w ciało przyjaciela niewidzącym wzrokiem. Nagle Ernest poderwał się z ziemi, odbiegł kilka metrów i zwymiotował.

Hubert w końcu wstał. Zataczając się jak pijany, wszedł do domu i zaczął przetrząsać szafy. W końcu znalazł kilka białych prześcieradeł. Wrócił na drogę i zaczął zawijać w nie ciało Michała. Jego ruchy były automatyczne, jakby on sam skulił się gdzieś w głębi własnego umysłu, żeby tylko nie patrzeć, nie wiedzieć. Ernest z kolei obserwował go z oddali i się nie odzywał. Kiedy Hubert skończył, bez słowa zanieśli Michała do domu i położyli go na kanapie. W świetle dogasającego w kominku ognia zobaczyli czerwone plamy pojawiające się na prześcieradłach.

Hubert spojrzął na siebie i zobaczył, że cały jest pokryty krwią przyjaciela. Wstrząsnęły nim torsje. Wstyd mu było, że tak zareagował, ale nagle ubranie, które miał na sobie, zaczęło go palić, poczuł obrzydzenie. Szybko się przebrał, a zakrwawione spodnie i koszulkę wrzucił do ognia. Mimo to wciąż czuł zapach krwi. Wypełniał mu nozdrza i powodował wymioty. Chłopak wypił prawie litr wody, ale nie poczuł się od tego lepiej. Wziął swój śpiwór, poszedł do sąsiedniego pokoju,

zamknął drzwi i zwinął się na kanapie.

Jednak gdy tylko zamknął oczy, widział rozszarpane ciało Michała na zmianę ze strzygoniem chcącym zadać mu ostateczny cios. Kręciło mu się w głowie tak mocno, że nie był w stanie leżeć. Zwlekł się więc z łóżka i usiadł na ziemi, opierając się o nie plecami i podkulając pod siebie kolana. Ukrył twarz w dłoniach.

„Michał nie żyje. Zginął, bo chciał mnie uratować. – Natrętna myśl powracała w głowie Huberta. – Gdyby nie rzucił się na demona, teraz ja bym leżał martwy na kanapie”.

Zaczęło dusić go w gardle, łzy popłynęły mu z oczu. Przez chwilę nie mógł oddychać. Przygniotły go wyrzuty sumienia.

„Gdyby nie ja, Michał by żył...”.

Przez całą noc Hubert zapadał w sen tylko na krótko i wtedy dręczyły go koszmary. Marzył o tym, żeby ta okropna noc wreszcie się skończyła, ale trwała ona w nieskończoność. W końcu jednak wstało słońce, jakby żadna tragedia nie miała miejsca. Hubert wyszedł z pokoju i w drzwiach natknął się na Ernesta.

– Myślałem w nocy – powiedział jego przyjaciel. – Zawieźmy go na tamtą polanę, pod tamten głąz.

Hubert pokiwał głową.

Nie byli w stanie jeść. Wypakowali wóz, położyli na nim Michała i pojechali na polanę, gdzie nocowali poprzedniej nocy.

Hubert oglądał już śmierć wielu ludzi, widział obojętność w oczach tych, których bliskich zabrała zaraza, sam zabijał, stracił matkę, ale śmierć przyjaciela na jego oczach, z jego winy, jak sobie wmawiał, zdruzgotała go.

Przed południem wraz z Ernestem dojechali na miejsce i zaczęli kopać dół przed wielkim głązem. Praca ta nie była lekka, ziemia okazała się twarda, kamienista, ale nie narzekali. Wbijając szpadle w głębę raz po raz, mogli dać upust swojej wściekłości, swojemu żalowi. Na dłoniach zrobiły im się odciski, po plecach lał się pot, ale wcale na to nie zważali. W końcu mogli złożyć w głębokim dole ciało przyjaciela. Przysypali je ziemią i ułożyli na wierzchu stos kamieni. Potem Ernest zbił z dwóch kółków krzyż i Hubert wbił go przed grobem.

Dzień wcześniej Michał żartował, że mógłby mieszkać w tym miejscu. Los potrafi być okrutny.

Do domu wrócili, w ogóle się do siebie nie odzywając. Kiedy wjechali do Dąbrówki, a sąsiedzi wyszli im naprzeciw i zobaczyli ich szare twarze oraz jednego konia prowadzonego luzem, od razu domyślili się, co się stało. Ernest tylko powiedział im, że był to demon, a potem obaj przyjaciele odprowadzili szkapę do stajni i wyczyścili je tak, jak zawsze to robili, pozostawiając wyładowanie wozu innym. Niektórzy próbowali ich zagadnąć, dowiedzieć się dokładnie, co się stało, ale żaden z chłopców nie był w stanie o tym mówić.

Cała wieś pogrążyła się w żałobie. Wszyscy lubili sympatycznego żołnierza, traktowali go z szacunkiem, kobiety często zapraszały go do siebie na obiad.

Tego wieczoru, choć obaj byli zmęczeni, ani Hubert, ani Ernest nie potrafili zasnąć. Usiedli więc w kuchni, a Albert przyniósł z piwnicy butelkę bimbru, który pędziła sąsiadka Janicka, i polał wszystkim. Daniel usiadł z boku i nic nie mówił, a Zuzia zwinęła się w kłębek na fotelu i przytuliła do Klakiera, roniąc kilka łez na jego futro.

– To moja wina – odezwał się w pewnej chwili Hubert. – Rzucił się na demona, żeby mnie ratować. Gdyby tylko wiedział, że to się tak skończy...

– To nie jest twoja wina – powiedział Albert. – Michał zawsze wiedział, co robi. Sam podjął decyzję, żeby iść na szaber.

– Gdybym tylko nie wyszedł z domu. Trzeba było tam siedzieć! – Chłopak przetarł dłońmi twarz.

– Pewnie nic by to nie dało – odezwał się po raz pierwszy od wielu godzin Ernest. – Ten demon był taki wściekły... Pozabijałby konie, a potem wdarł się do domu.

Jednak Hubert nie przyjmował tego tłumaczenia. Nocami śniły mu się koszmary, w których Michał raz po raz umierał rozszarpany przez strzygonia.

Następnego dnia i Ernest, i Hubert snuli się po domu i gospodarstwie, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, lecz kolejnego ranka Albert kazał im wyjść na pole do pracy. Choć na chwilę mogli zapomnieć o tym, co się stało.

Hubert zdawał sobie sprawę, że za jakiś czas ból po stracie przyjaciela minie, nawet przyzwyczai się do jego nieobecności, tak samo jak było po śmierci mamy. Miał jednak pewność, że wyrzuty sumienia, że to on przyczynił się do śmierci Michała, już nigdy go nie opuszczą.



ROZDZIAŁ XVIII

Życie toczyło się dalej. Kiedy wieś otrząsnęła się z żałoby, wszyscy wrócili do pracy, dzień mijał za dniem, tak jak zawsze. Miesiąc po wypadku ze strzygoniem Woźnica wraz z Górskim chcieli pojechać na szaber, żeby Ernest i Hubert mogli trochę odetchnąć, jednak chłopcy się na to nie zgodzili. Mieli bowiem jedną rzecz do zrobienia.

Pojechali do opuszczonych miast, a gdy wracali, zatrzymali się na polanie, gdzie pod olbrzymim głazem spoczywał Michał. Jego grób był nienaruszony, dzikie zwierzęta go nie rozkopały. Chłopcy razem usiedli na kamieniu, gdzie ich przyjaciel zachwycał się zaledwie miesiąc wcześniej słońcem, i w milczeniu wpatrywali się w niebo. Jego śmierć była jeszcze zbyt bolesna, żeby o niej rozmawiali, nawet nie wspominali żołnierza w pogawędkach. A kiedy kobiety sprzątały jego dom, zabrali dla siebie tylko kilka niewiele warty ch rzeczy.

Siedzieli, nic nie mówiąc. Obaj zastanawiali się, co by było, gdyby inaczej się zachowali, mogli przecież spróbować upolować demona za dnia, nocować w innym miejscu, nie wychodzić z domu albo w ogóle wybrać zupełnie inną trasę na szaber. A teraz, gdy wciąż żyli, odczuwali pewną ulgę, że to nie oni spoczywają na polu pod głazem, czego bardzo się wstydzili.

– Pora wracać – odezwał się w końcu Ernest i zszedł z kamienia.

Hubert pokławał głową. Podszedł do wozu i wyjął solidny drewniany krzyż, który przygotowali w Dąbrówce. Wyrzucili ten stary i wykopali dół na nowy, a gdy twardo trzymał się w ziemi, przybili do niego drewnianą tabliczkę. Nie było na niej żadnego nazwiska ani dat, tylko napis: „Michałowi, który w tym miejscu oglądał swój ostatni wschód słońca”. Potem wrócili do domu

z poczuciem, że zrobili to, co trzeba.

Dopiero teraz byli w stanie dodać do demonologii kartę na temat strzygonia.

Pomimo śmierci przyjaciela Hubert wraz z Ernestem do późnej jesieni często podróżowali, odwiedzali zaprzyjaźnione osady i zabijali demony z takim zapamiętaniem, jakby to mogło wskrzesić Michała. Żaden też nie przyznał się, że czasem po nocach śnią im się koszmarny z olbrzymim strzygoniem w roli głównej.

Hubertowi wciąż brakowało towarzystwa żołnierza. Tęsknił za czasami, kiedy polowali we trzech, i za każdym razem, gdy przechodził obok opuszczonego domu przyjaciela, czuł uścisk w sercu.

„Tak nie powinno być – myślał wtedy. – To ja powinienem zginąć”.

Lecz potem życie toczyło się dalej, a on nie potrafił się z niego nie cieszyć.

W okolicznych miejscowościach wszyscy już dobrze znali Huberta oraz Ernesta i często szukali ich pomocy przy zwalczaniu demonów. Poza tym prowadzili handel, wymieniając sadzonki, nasiona i usługi.

Obaj zaprzyjaźnili się z wieloma osobami, spotkali sympatyczne dziewczyny, jednak Hubert nie potrafił nawiązać bliższych kontaktów z żadną z nich. Choć nikomu o tym nie mówił, tęsknił za Beatą, za długimi godzinami spędzonymi na wędrownkach po Starym Mieście i siedzeniem na dachu kamienicy. Wspominał, jaką miała ładną twarz, jak pachniała i że potrafiła wnieść trochę światła w szare dni. Czasem zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby jednak został z nią w Gdańsku. Czy byłiby razem szczęśliwi? Czy udałoby mu się zapewnić jej bezpieczeństwo? A może, tak jak mówiła, wyrzuty sumienia, że opuścił rodzinę, nie dałyby mu żyć.

Brakowało mu również Agaty, chudej, wojowniczej blondynki i jej przyszywanego brata, Kajetana, który zawsze najpierw coś robił, a potem myślał. Niestety, w ciągu trzech lat od wizyty w Gdańsku ani razu nie mieli okazji, żeby znaleźć się chociaż w okolicy wielkiego miasta. Czasem Huberta kusilo, żeby namówić Ernesta do podróży nad morze, jednak bał się, co mogliby tam zastać. Wolał wyobrazić sobie, że na Górze Gradowej i na Starówce wszystko jest w porządku, a Sylwia z Adą żyją szczęśliwie z wujkiem w Brzeźnie.

Późną jesienią, sześć lat po wojnie, nad Dąbrówką przetaczały się potężne burze i wichury, dokładnie takie jak dwa lata wcześniej. Jednak tym razem Hubert był już przekonany, że demony rządzą sobie Dzikim Gonem. Znowu nie mógł spać po nocach, wydawało mu się, że je czuje i słyszy, jednak gdy wychodził na dwór, silny wiatr rozpędzał to wrażenie. Po pierwszych kilku takich wichurach we wsi było dużo szkód: poprzewracane płoty, zerwane dachówki czy powalone drzewa, i nie wszystko wydawało się być dziełem samego wiatru. A gdy zaczęły ginąć kury i króliki, ludzie zmartwili się, że nocami demony wraz z wiatrem pędzą przez wieś i zabierają zwierzęta.

Po kilku takich przypadkach uznano, że konieczne jest urządzenie polowania. Hubert i Ernest wraz z kilkoma mężczyznami udali się do lasu i szukali cały dzień jakichkolwiek śladów, jednak na próżno. Demonów nie było. To samo powtórzyło się kolejnego dnia. Wszyscy zastanawiali się, co robić dalej, gdy nagle wichury ustały, a razem z nimi Dzikie Łowy. Hubert i Zuzia znowu mogli spokojnie spać, a ludziom przestały ginąć zwierzęta.

Zima, którą ostatnio zaczęli nazywać „martwym sezonem”, upłynęła spokojnie. Demony

przystały gnębić ludzi, nikt nie wypuszczał się w dalszą podróż. Hubert i Ernest dużo spali, zajmowali się zwierzętami, odśnieżali przejścia z domu do obory i stodoły oraz do sąsiadów. A w wolnych chwilach, kiedy już wyjątkowo się nudzili, urządzali sobie małe zapasy, żeby nie wyjść z wprawy i nie zapomnieć tego, czego nauczyli się w Gdańsku. Zuzia czasem czytała im różne książki historyczne i biologiczne, a Ernest postanowił przyswoić kilka tomów o fizyce, ale był to raczej słomiany zapal.

W końcu przyszła wiosna, którą mieszkańcy Dąbrówki powitali z wielką ulgą, gdyż zaczęło im brakować zapasów jedzenia i powstała już długa lista rzeczy, które można było zdobyć jedynie podczas szabru. Niestety, wraz z odwilżami wróciły burze i wichury, a z nimi Dzik Gon. Demony stały się coraz bardziej zuchwałe, zabierały więcej zwierząt, a raz nawet wdarły się do obory Borowskich i zabiły krowę. Myśliwi znów udali się na polowanie. Tym razem jednak Hubert uparł się, żeby zabrać ze sobą Zuzię. Ernest nie był zadowolony, ale wiedział, że dziewczyna jest ich ostatnią szansą na znalezienie demonów.

– Szkoła, że w książce nie ma opisów tych demonów – westchnął Ernest, gdy szli przez las. Na razie kierunek obrali na chybił trafił, bo jego siostra nic nie wyczuwała.

– No, szkoda. – Hubert pokiwał głową. – Orszaki demonów pędzące przez strychy i stodoły – mruknął. – Toć to żaden opis. I te orszaki dużo bardziej wołają kurniki i zagrody królików od strychów.

Szli przez kilka godzin i powoli zaczęli tracić nadzieję, że Zuzia znajdzie demony. Hubert podejrzewał, że akurat te potrafią jakoś się przed nimi maskować. Zresztą tak mało wiedzieli jeszcze o demonach, że wszystko było możliwe.

Nagle Zuzia przystanęła i zamknęła oczy.

Wszyscy skupili się wokół niej.

– I co? – zapytał Ernest, kiedy podniosła powieki.

– Nie jestem pewna – odparła. – Coś chyba jest tam. – Dziewczyna uniosła rękę. – Ale bardzo daleko.

– Dobrze, to my pójdziemy dalej, a ciebie ktoś odprowadzi do domu – powiedział jej brat.

– Nie – zaprotestowała. – Nie jestem niczego pewna, muszę iść dalej.

– Niech idzie – zadecydował Hubert. – Bo sami zgubimy trop. Ja jeszcze nic nie czuję.

Ernest bardzo niechętnie pokiwał głową. Wszyscy ruszyli za Zuzią dalej w las. Po jakimś czasie okolica wydała się Hubertowi znajoma. Był przekonany, że kiedyś już się zapędził w to miejsce, nie pamiętał tylko kiedy i po co. Nagle wszystko sobie przypomniał. Spojrzał na Woźnicę, a mężczyzna pokiwał głową. Dawno temu na polowaniu dotarli aż tutaj. Po kilku kilometrach powinni natknąć się na stare grodzisko. Miejsce o nieznanym nikomu historii, gdzie w samym środku olbrzymiego placu, porośniętego drzewami, otoczonego wałami z kamieni, znaleźli stos kości. Już wtedy Hubert czuł, że nie są tam bezpieczni. Był przekonany, że coś wielkiego i bardzo niebezpiecznego się tam sprowadziło. Teraz wiedział o wiele więcej, potrafił lepiej tropić demony, zabił przecież ich już tak wiele, jednego nawet przygarnął do domu. W ciągu siedmiu lat stał się silnym, umięśnionym i sprytnym mężczyzną, lecz to miejsce wciąż napawało go strachem. Podobnym do tego, który odczuwał na samą myśl o strygoniu. Tamtego demona jednak już znał, widział go na własne oczy, poznał jego słaby punkt, a tutaj stanął twarzą w twarz z nieznanym.

Szli coraz wolniej i ostrożniej. Zuzia prowadziła ich bezdrożami, wciąż niepewna tego, co czuje. W końcu dotarli do bramy grodziska, a raczej miejsca, gdzie kiedyś ona była. Po szerokiej na metr grobli przeszli nad rowem, który przekształcał się dalej w stromą skarpe i otaczał całe grodzisko. Stanęli niepewnie na jej końcu, po obu stronach mieli wysoki na dwa metry wał, a na nim, tuż nad wejściem, rosły dwa olbrzymie buki. Ich gałęzie łączyły się wysoko w górze, tworząc naturalną bramę.

– Chyba nie powinniśmy wchodzić wszyscy naraz – stwierdził Hubert.

Nie wiedział, jak zachowa się demon lub demony, albo czy w ogóle są w środku, ale gdyby wszyscy weszli jednocześnie, mogliby zostać osaczeni.

– Racja. – Woźnica kiwnął głową. – Ja i Sylwester pójdziemy wałem w jedną stronę, a Górski i Borowski drugą, reszta do środka. Tylko uważajcie, może tam być ich więcej.

Serce Huberta zaczęło bić szybciej, dłonie się spociły. Zerknął na Ernesta, który zrobił się błądy. Tak samo jak Zuzia. Nagle pożałował, że dziewczyna jest tu z nimi. Nie wiedzieli, z czym będą mieli do czynienia, ile demonów siedzi w grodzisku ani czy są duże i niebezpieczne dla człowieka. Lecz teraz było już za późno, żeby ją odprowadzić. Znaleźli się na terenie demonów i nie powinni się rozdzielać.

Powoli weszli do środka. Popołudniowe, kwietniowe słońce przeświecało przez bukowe, wciąż jasnozielone liście. Te suche i brązowe, leżące na ziemi, szeleściły lekko pod stopami. Wszystkie drzewa sięgały wysoko do nieba, tworząc baldachim nad całym grodziskiem. Małe rośliny nie miały szans, żeby się rozwinąć w ich cieniu.

Hubert szedł pierwszy, tuż za nim Zuzia pomiędzy Ernestem i Albertem. Z lewej i prawej strony widział pozostałych mężczyzn, idących po wale. Niespodziewanie chłopak poczuł, jakby coś uciskało mu czaszkę. Było to uczucie tak nieprzyjemne, że aż zaparło mu dech w piersiach. Zamknął oczy i przycisnął do nich jedną dłoń. W tym samym momencie Zuzia krzyknęła i osunęła się na kolana, ściskając rękoma skronie.

– Co się dzieje? – zapytał zdezorientowany Ernest.

– Coś tu jest – wyśapał Hubert.

Wciąż coś uciskało mu głowę, jednak powoli przyzwyczajał się do tego odczucia. Gorzej było z Zuzią, która pojękiwała cicho, kłęcząc na ziemi.

Wtedy bez żadnego ostrzeżenia dwa demony rzuciły się na Woźnicę i Berdę. Jednego zastrzelili, a drugi wspiął się w błyskawicznym tempie na drzewo. Stwory były brązowawe, porośnięte rzadkimi, krótkimi włosami. Miały małe głowy, odrobinę spiczaste uszy i ostre zęby. Z ich chudych, niewielkich ciał wyrastały długie, patykowate kończyny, przez co trochę przypominały żaby. Jednak najbardziej przywodziły na myśl małych, dzikich ludzi.

Nagle Albert krzyknął coś i zaczął strzelać w stronę wyjścia, gdzie między drzewami na czterech łapach przemykał inny demon. Hubert zapanował nad przytłaczającym odczuciem, jakie wywołały w nim stwory, i zaczął wypatrywać innych. Szybko dostrzegł jednego wysoko w gałęziach drzew. Nacisnął spust i już po chwili stwór spadł na ziemię, zahaczając po drodze kilka razy o gałęzie.

– Tam! – krzyknął Ernest i zaczął strzelać do dwóch stworów, które przeskakiwały z pnia jednego drzewa na drugi, przytrzymując się jedynie gładkiej kory.

Wydawało się, że demonów są dziesiątki. Atakowały z każdej strony, biegły nisko przy ziemi i skakały wysoko po konarach. Jeden rzucił się na Górskiego i powalił go na ziemię, na szczęście

Borowski chwycił w ręce gruby kij i uderzył stwora z taką siłą, że ten odleciał na dobrych kilka metrów. Inny skoczył do gardła Albertowi, ale starszemu panu udało się go z siebie zrzucić i przetrząć mu kopniakiem kręgosłup. Demony były dość silne, szybkie i zwinne, ale wrażliwe na kule. Ich największym atutem była przewaga liczebna.

Hubert kątem oka zauważył, jak dwa demony pędzą w stronę Berdy, który stał samotnie na wale. Chłopak miał wrażenie, że stwory porozumiały się i zaatakowały mężczyznę z dwóch stron.

– Uważaj! – wrzasnął, ale było już za późno.

Sylwester skierował karabin na jednego demona, ale w tym samym momencie drugi skoczył mu na plecy i go przewrócił. Niespodziewanie z drzew zeskokczyły jeszcze dwa, a kolejne trzy zaatakowały z ziemi. Siedem stworów zupełnie zasłoniło sobą leżącego na ziemi i wciąż walczącego mężczyznę. Woźnica pobiegł mu na pomoc. Kolbą karabinu na ślepo uderzał w kłębowisko brązowych ciał, aż demony odstępily. Było jednak za późno dla Sylwestra, który miał rozszarpaną szyję, klatkę piersiową i twarz.

Nagle jeden z demonów przedarł się między myśliwymi i rzucił na kłęczącą na ziemi Zuzię. Hubert pierwszy to zauważył, podbiegł i potężnym kopniakiem strącił potwora z dziewczyny, aż ten potoczył się na bok, a gdy wstał na cztery łapy, gniewnie zasyczał i przyszykował się do kolejnego skoku. Wybił się z ziemi, lecz Hubert trafił go w locie.

W końcu demony przestały atakować tak zaciekle i zaczęły się wycofywać. Myśliwi zastrzelili jeszcze te, które wolniej wykonały odwrót. W lesie zapanowała cisza. Ludzie zbili się w ciasną gromadę.

– Wszyscy żyją? – zapytał Albert, przykładając dłoń do krwawiącej rany na szyi.

– Nie. – Woźnica pokręcił głową i spojrzał na wał, gdzie leżał Berda.

Mężczyźni zakłęli. Stracili jednego człowieka, kilku innych było rannych, także Zuzia, którą demon ugryzł w przedramię. Ernest właśnie obwijał jej rękę kawałkiem swojej koszuli.

Łącznie zabili siedemnaście demonów. Dużo, ale kilka im umknęło. Liczyli jednak, że tak przetrzebione stado nie będzie ich więcej niepokoić.

Wykończeni i żli z powodu śmierci jednego z nich zabrali ciało Sylwestra i wyruszyli do Dąbrówki, zostawiając martwe demony tam, gdzie padły. Droga zajęła im dużo czasu, większość z nich była poraniona, a wszyscy wyczerpani. Do domu dowlekli się późnym wieczorem i rozeszli się do domów.

Hubert, jako jedyne, który nie miał nawet zadrapania, przyszykował wodę do przemywania ran pozostałych domowników i bandażę. Obwinał Albertowi szyję, przy czym starszy pan bardzo narzekał i skarżył się na ból. Opatrzył również przedramię Zuzi. Zaskoczyło go, że dziewczyna nawet nie jęknęła, tylko mocno zaciskała zęby, bo choć ugryzienie nie było bardzo głębokie, z pewnością bolało. Ernest sam założył sobie opatrunka na łyce.

Daniel, który nigdy nie czuł się dobrze z bronią i podczas polowań najczęściej zostawał w domu, przyszykował kolację, a gdy zjedli, nalał im do szklanek wina. Albert wraz z Zuzią szybko wypili swoją część i poszli spać. Hubert z Ernestem zostali sami w kuchni.

– Te demony trochę przypominały leszego – zagadnął Hubert. – Tylko były dużo wredniejsze. Cholera... kolejna strona do książki.

– Uhm – mruknął Ernest.

– Biedny Sylwester, gdyby nie było ich tak dużo...

Ernest jednak nie wydawał się skory do rozmowy, wpatrywał się jedynie w swoją szklankę.

Hubert wyjął z kieszeni wciąż zakrwawiony ząb, który udało mu się wyrwać jednemu z demonów, nalał do małej miseczki wodę i wrzucił go do niej.

– Co tam masz? – zapytał Ernest.

– Ząb.

Niespodziewanie Ernest zaczął ciężko oddychać przez nos, jego wielkie dłonie, które trzymał do tej pory na stole, zacisnęły się w pięści i uderzyły z hukiem w blat.

– A tobie co? – zdziwił się Hubert.

– Czy ciebie powaliło?! – Ernest podniósł się z krzesła, które przewróciło się oparciem na podłogę. – Ledwie uszliśmy stamtąd z życiem! Berda zginął! A ty sobie zęby na pamiątkę demonom wyrywasz?!

Hubert wzruszył ramionami, zaskoczony reakcją przyjaciela. Może wyrywanie zębów nie było zbyt taktowne w tej sytuacji, ale zrobił to z przyzwyczajenia.

– One zaatakowały Zużę! – krzyknął Ernest. – I to ty się upierałeś, żeby ją zabrać! Po cholere?! Żeby tobie było łatwiej znaleźć te pieprzone demony?! Po co włączasz w to wszystko moją siostrę?!

– Przecież się zgodziłeś – bąknął Hubert.

– I co z tego?! Jesteś zadowolony z siebie, że zaspokoiliś swoją chorą ambicję zabijania demonów?!

– Co ty wygadujesz?

– Co ja wygaduję?! Od iluś lat jak głupi rzucasz się na demony, nie myśląc ani o konsekwencjach, ani o tym, kogo narażasz! Na przykład ta strzyga niedaleko bunkra. Uciekła przed nami, ale nie, ty musiałeś ją gonić i osaczyć. Musiałeś nam udowodnić, że ją zabijesz. A bies w Gdańsku? Brałeś go na przetrzymanie, czy się zatrzyma, czy nie, a jakby dobrze trafił, toby cię rozszarpał jednym machnięciem łapy. Ciągłe tak kretyńsko ryzykujesz, narażasz wszystkich wokół! Na Boga, wskoczyłeś do wody, gdzie był topielec! Kiedy boruta gonił sarny, to pierwszy musiałeś się tam znaleźć. Od śmierci twojej matki rozum ci odjęło!

Huberta zabolaly te słowa. Może rzeczywiście działał jak straceniec, ale przecież nie chciał nikogo skrzywdzić.

– Zawsze stałem po twojej stronie, nieważne, co głupiego wymyśliłeś. Ale ty wciąż chcesz ciągać moją siostrę na polowania i gównie cię obchodzi, co się z nią stanie! Chcesz tylko zaspokoić swoje chore ambicje. To samo było z Michałem! Ciągłe ci powtarzaliśmy: „Daj spokój, nie goń tego demona”. Ale nie, ty musiałeś wyleźć z domu. Przez ciebie Michał zginął!

Tego było za wiele. Huberta zabolaly te słowa, tym bardziej że przez cały czas czuł się odpowiedzialny za śmierć przyjaciela. Zanim się zorientował, co robi, jego pięść poleciała w kierunku podbródka przyjaciela.

Hubert opuścił ręce i czekał na cios. Chciał poczuć ból, który może zagłuszyłby te okropne wyrzuty sumienia, jednak uderzenie nie nastąpiło. Ernest spojrział na niego z wyrzutem.

– Zmieniłeś się – powiedział i wyszedł z kuchni.

Hubert uderzył pięściami w stół. Ledwie się powstrzymał, żeby nie machnąć ręką i strącić na ziemię szklanki. Był taki wściekły. Na przyjaciela, że mu dogadał, na Berdę i Michała, że zginęli, a przede wszystkim na siebie. Bo czuł się winny i uważał, że Ernest ma rację.

Do późnej nocy siedział w kuchni, a kiedy był już zbyt zmęczony na wyrzuty sumienia, powłókł się do swojego pokoju i padł na łóżko. Ernest spał albo udawał, że śpi. Hubert wiedział, że

przyjaciel miał prawo się zezłościć, i nie miał pojęcia, jak spojrzeć mu w oczy następnego dnia.

Rano, gdy Hubert się obudził, Ernesta już nie było w łóżku. Chłopak wstał i poszedł do kuchni. Nie zastał tam nikogo. Zjadł samotnie śniadanie i rozważał, co powiedzieć innym, ale nie wpadł na żaden pomysł. Kiedy posprzątał po sobie, udał się do dużego pokoju, gdzie siedział Daniel i na podstawie opisu Alberta szkicował na kartce dzikich ludzi. Hubert nie czuł się komfortowo w jego towarzystwie, więc wyszedł. W oborze zastał Alberta, który zachowywał się jak zwykle, ale gdy w ogrodzie natknął się na Ernesta, ten udawał po prostu, że go nie widzi. Jednak najgorsza była Zuzia. Okazało się, że od samego rana siedziała na łóżku w swoim pokoju i nucąc cicho, bujała się w przód i w tył, nie spuszczać wzroku z okna.

– Zuza? – Hubert odezwał się, stając w progu.

– Twój ostatni gwóźdź do trumny – szepnęła cicho.

– Co ty mówisz? – zdziwił się, ale dziewczyna tylko spojrzała na niego nic nierozumiejącymi oczami.

Hubert się załamał. Znow jej się pogorszyło. I choć po południu zachowywała się normalnie, Huberta tak bardzo dręczyły wyrzuty sumienia, że nie potrafił spojrzeć ani jej, ani Ernestowi w oczy. Po obiedzie podjął więc decyzję, co robić dalej. Przez jakiś czas wszyscy musieli od niego odpocząć, a on też potrzebował chwili samotności. Oznajmił, że jedzie po zapasy z bunkra, spałował coś do jedzenia, kilka swoich rzeczy, wsiadł na Mokkę i wyjechał.

Podczas jazdy dręczyły go ponure myśli, nie był w stanie docenić ładnego popołudnia ani tego, że po długiej zimie znow nadeszła wiosna. Późnym wieczorem dotarł do ich zwyczajowego miejsca noclegowego. Nawet nie chciało mu się rozpalać ogniska ani nic jeść. Wcisnął w siebie tylko kawałek chleba, a potem położył się spać.

W nocy nadeszła potężna ulewa. Deszcz walił w szyby i dach, wiatr wył na nieszczęlnym strychu, przez co Hubert w ogóle nie mógł spać. A gdy rano wstał, cały świat odzwierciedlał jego humor, pogoda była pochmurna, a z nieba siałą deszcz. Zawinął się więc w kurtkę, osiodłał Mokkę i pojechał powoli przed siebie. Przez całą drogę Hubert kulił się na klaczy z zimna, szybko przemókł do suchej nitki i gdy dojechał na miejsce, dostał drgawek. Zostawił klacz w malutkiej, wzniesionej z desek stajni, nakarmił ją, a sam ukrył się przed deszczem w bunkrze. Przy wejściu rozpalili ogień i w końcu mógł się ogrzać. Z przyjemnością wypił kubek gorącej herbaty i zjadł kawałek kielbasy, a potem zasnął ze zmęczenia.

Cały następny dzień starał się nie myśleć o tym, co zaszło w Dąbrówce. Zabrał się do przeglądania zapasów i za porządku w bunkrze, a potem wybrał się nad jezioro, żeby wykłapać się w lodowatej, ale czystej wodzie. Na kolację złowił kilka ryb.

Wieczorem, gdy je piekł nad ogniskiem, uznał, że potrzebuje jeszcze dnia czy dwóch, żeby ochłonąć i dać Ernestowi więcej czasu na pogodzenie się z sytuacją. Miał nadzieję, że przyjaciel przestanie się złościć, bo nie wyobrażał już sobie, żeby przestał się do niego odzywać na dobre. Gdzie by wtedy poszedł? Przecież Ernest, jego dziadek i siostra stali się jego rodziną. Lecz czy po tym wszystkim miał do niej prawo?

Wstał wcześniej rano, nakarmił konia, rozpalili ognisko i podgrzał sobie wczorajsze ryby. Kiedy jadł, jego wzrok padł na tubę ze starymi mapami, które kiedyś dostał od Terleckiego, geodety z Gdańska, a potem zostawił w bunkrze. Wciąż jedząc, zaczęła wyjmować je z pudełka, rozkładać na ziemi i po kolei oglądać. Znalazł na nich grodzisko, gdzie walczyli z demonami, zaznaczone jako zabytek kulturowy, potem odszukał Kamienną i pozostałe wsie, z którymi handlowali, jezioro

z topielcem w Borach i wszystkie inne okolice, gdzie natrafił na demony. Po chwili wziął ołówek i zaczął je zaznaczać krzyżykiem i nazwą potwora. Potem wyciągnął z tuby inne mapy, pokazujące tereny bardziej na południe i okolice Poznania. Szukał miejsc, w których był jeszcze przed wojną, wspominał, jak wyglądały, co w nich robił, gdy nagle jego wzrok padł na wieś o nazwie Schwietzin. W pierwszej chwili nawet nie zwrócił na nią uwagi, ale już po kilku sekundach zaczął wpatrywać się w nią z niedowierzaniem.

„Schwietzin!” – krzyczał jego umysł.

To musiało być Świącino! Gdy wybrał się tam po wojnie wraz z Ernestem, szukali w ogóle nie w tym miejscu, co trzeba! Trafili do innej wsi! A teraz, gdy patrzył na mapę, wiedział, że w końcu odnalazł właściwy cel. Spojrzał na układ budynków. Zobaczył kościół na środku wsi, starą szkołę i inne budynki. Odnalazł nawet mały prostokąt, który musiał być jego dawnym domem! Jak się nazywała wdowa, do której kiedyś należał? Przecież nawet jej nie znał, tylko wszyscy mówili... Jak mówili? Niwicka!

Poderwał się z ziemi i zaczął niespokojnie chodzić w kółko. Poczuł swąd palonej ryby, ale wcale się tym nie przejął. Odnalazł Świącino! Co teraz miał zrobić? Zatrzymał się jak rażony piorunem. Odpowiedź była tylko jedna – musi tam pojechać, musi się przekonać.

Chwycił wojskowy worek, których mieli kilka na składzie, i zaczął się pakować. Wylądowało w nim kilka kosulek, bielizna, spodnie, bluza moro, śpiwór, butelka z wodą, trochę jedzenia, poniemieckie mapy, zapalniczka, bagnet i nóż myśliwski. Potem Hubert zastanowił się nad bronią. Do bagażu dorzucił kilka granatów, a zapalniki do nich włożył do kieszeni bluzy; pistolet wojskowy z opakowaniem naboji, myśliwską strzelbę, którą zabierali na polowania na biesa, kałasznikowa przerzucił sobie przez ramię, jak zwykle zresztą, i wtedy jego wzrok padł na pepeszę od Alberta. Już dawno temu przywiózł ją tutaj i po prostu o niej zapomniał, bo wolał używać znacznie lżejszego kałasznikowa. Teraz jednak jechał do Świącina, więc musiał ją wziąć ze sobą. Na koniec do reklamówki wrzucił naboje.

Lecz gdy się pakował, ogarnęły go wątpliwości. Już raz szukał tej osady i prawie przy tym z Ernestem zginęli. Czy warto było znów tak ryzykować? A co jeżeli się nie uda? Może kolejne rozczarowanie go złamie?

„Nie – pomyślał. – Obojętnie, co się stanie, już nie jestem takim dzieciakiem jak wtedy. Poradzę sobie ze wszytłm”.

Do ściany przyczepił kartkę, na której napisał, dokąd się wybiera, oraz zanotował długość i szerokość geograficzną Świącina. W razie czego Ernest będzie wiedział, co się stało. Potem wsiał na konia i ruszył przed siebie. Świat nabrał zupełnie innych kolorów.

„To będzie ostatnia szansa – przekonywał siebie po drodze. – Jeżeli się nie uda, to już nigdy nie wspomnę Świącina. A jeżeli się uda, to cóż... zobaczymy, co będzie dalej”.

Przed południem drugiego dnia wyprawy w pewnej chwili zobaczył dym wznoszący się z kominą jednego z czterech domów mijanej wsi. Ściągnął wodze i pojechał w jego kierunku. Nie był pewien, czy miejscowi będą pokojowo nastawieni, lecz nie potrafił przejechać obojętnie obok zamieszkanego domostwa.

Gdy podjechał bliżej, zobaczył starszego mężczyznę pracującego w ogródku. Człowiek usłyszał go, gdy dzieliło ich kilkanaście metrów, i spojrzał na niego z niepokojem.

– Dzień dobry! – zawołał wesoło Hubert.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry – mruknął starszy pan. Był chudy, wysoki i przypominał zasuszonego rodzynka.

– Zobaczyłem dym, więc postanowiłem zobaczyć, czy ktoś tu mieszka – zagadnął chłopak.

– Skoro był dym, to na pewno ktoś mieszka – burknął mężczyzna.

Hubertowi nie spodobało się to, w jaki sposób nieznamy do niego mówił, jednak zrzucił to na karb strachu. W końcu był dobrze zbudowanym chłopakiem z bronią w ręku, siedzącym na koniu, mógł przestraszyć staruszka.

– Można na chwilę u pana odpocząć? – zagadnął. – Porozmawiać o tym, co się dzieje w świecie?

– A co się ma dziać? Nic. Ale odpocząć można.

Hubert zsiadł z konia i przywiązał go do płotu. Po chwili zastanowienia zostawił karabin przy siodle. Staruszek prawdopodobnie mieszkał sam lub z żoną i nie mógł wyrzucić mu krzywdy, a gdy zobaczył, że karabin został przy koniu, jakby odetchnął.

Kwadrans później okazało się, że mężczyzna mieszka sam i jest bardzo miły. Poczęstował Huberta warzywami, nalał mu do kieliszka potwornie mocnej nalewki malinowej. Chłopak miał wrażenie, że przeżarła mu przełyk. Jak tylko mógł złapać oddech, zaczął rozmawiać ze starym pustelnikiem.

– Kiedy cię zobaczyłem, to pomyślałem, że jesteś z tych wandali, co się ostatnio włóczą po okolicy – powiedział mężczyzna.

– Wandali?

– A tak, napadają na spokojne wsie, biją ludzi i tym podobne. Najdalej wczoraj trafił do mnie taki chłopak, którego tak sprali, że ledwie przeżył.

– Chłopak? – zdziwił się Hubert.

– Ano. Leży w łóżku w drugim pokoju.

Tropiciele ogarnęło nieprzyjemne uczucie.

„Jak coś ma się spieprzyć, to na pewno się spieprzy” – pomyślał.

– Mogę zobaczyć? – zapytał. – Świat jest teraz mały, może go znam...

Staruszek kiwnął głową.

Hubert cicho nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

– O mój Boże – wyszeptał.

Na łóżku leżał Paweł, ledwie można było go rozpoznać, miał tak zapuchniętą i posiniaczoną twarz.

– Znasz go? – zdziwił się staruszek, zaglądając mu przez ramię.

Hubert był w stanie tylko pokiwać głową.

– Chodź, daj mu spać – powiedział mężczyzna, zamykając drzwi. – No, pobili go – poznaliśmy, gdy usiedli przy stole. – Chłopak mówi, że polował na demony, kiedy go dopadli. Nie spodziewał się, że ot, tak po prostu go pobiją. Lali go tak długo, aż myśleli, że nie żyje, i wtedy go zostawili. Potem się trochę przeczłgał, ale ja go znalazłem. Przyciągnąłem tutaj, opatrzyłem rany i karmię rosołem.

– Dziękuję – odparł Hubert. – Wyjdzie z tego?

– Młody jest, to i wyjdzie.

– To dobrze.

Posiedzieli jeszcze jakiś czas, a potem Paweł się obudził. Kiedy tylko zobaczył Huberta,

uśmiechnął się, mimo że musiało sprawić mu to ból.

– A ty co tu robisz? – zapytał.

– Ja? Jadę przed siebie – odparł. – A ciebie co poniosło w te strony?

– Tropiłem leszego, tak jak wy, kiedy na mnie napadli.

Hubert pokivał głową. Czasem ludzie byli dużo bardziej niebezpieczni niż demony. Chłopak wyruszał w świat w pojedynkę, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak dobrze jest mieć przyjaciela, który pilnuje pleców. I nie zdawał sobie sprawy, że Hubert z Ernestem, których tak podziwiał, w polowaniach więcej zawdzięczają szczęściu niż umiejętnościom.

Hubert zjadł obiad razem ze starym pustelnikiem, a gdy chciał już wyjeżdżać, uznał, że musi mu jakoś podziękować za gościnę i za to, że staruszek opiekuje się Pawłem. Byli przecież bliskimi kolegami, a poza tym dobrze znał jego matkę i czuł się w pewnym stopniu za niego odpowiedzialny. Z początku starszy pan nie chciał nawet słyszeć o żadnych dowodach wdzięczności, jednak gdy Hubert wyjął ze swojego worka pistolet wojskowy z paczką naboju, oczy mu się zaświeciły.

Późnym popołudniem Hubert pożegnał się z pustelnikiem i Pawłem i ruszył dalej w drogę. Przed nocą chciał dojechać do kolejnej miejscowości o nazwie Czarna, położonej wcale nie tak blisko. Zachód słońca zastał go w drodze, a gdy dotarł do wsi, zrobiło się już zupełnie ciemno. Musiał jeszcze znaleźć miejsce na nocleg.

Nagle usłyszał krzyki i hałasy na drugim końcu wsi. Przywiązał Mokłą do drzewa, zostawił obok niej worek z bronią i zakradł się w tamtą stronę. Z daleka zobaczył duże ognisko i siedzących przy nim czterech młodych mężczyzn. Wulgarnie na siebie wrzeszczeli, prawdopodobnie o coś się kłócili. Hubert zobaczył, że przekazują sobie butelkę z wódką i zagryzają alkohol mięsem z ogniska.

Patrzył na nich z ciemności i był przekonany, że to są ci sami ludzie, którzy pobili Pawła niemal na śmierć. Za co? Bo po prostu wszedł im w drogę. Nagle przypomniały mu się słowa Ernesta.

„Nic cię nie obchodzi, co stanie się z twoimi przyjaciółmi, bylebyś tylko zaspokoił swoje chore ambicje”.

Popownie spojrzął na pijanych mężczyzn i zapalał do nich nienawiścią.

Postanowił zadbać o to, żeby nikogo już nie pobili.

Odbezpieczył karabin i już chciał wyjść z cienia, ale zmienił zdanie. Ich było czterech. I mimo że byli bardzo pijani, wciąż mieli przewagę. Przez jakiś czas obserwował ich, ale nie zauważył, żeby mieli jakąkolwiek broń palną.

„Jak głupi rzucaś się na demony, nie myśląc ani o konsekwencjach, ani o tym, kogo narażasz!”.

Hubert mocniej ścisnął kolbę karabinu. Kiedyś bez zastanowienia rzuciłby się na wrogów, ale wtedy był inny. Teraz westchnął ciężko i zaczął powoli się wycofywać, gdy usłyszał jakiś hałas za sobą.

– A ty co tu robisz? – zapytał piąty z mężczyzn, który najwyraźniej odszedł od ogniska, żeby się załatwić, a wracając, zobaczył Huberta.

– Nic, już sobie idę – mruknął chłopak podnosząc się.

– Nie tak prędko – warknął mężczyzna i popchnął Huberta tak, że chłopak wyleciał z krzaków prosto w krąg światła rzucony przez ognisko.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

– Patrzcie, kto nas podsłuchiwał – powiedział ten, który znalazł Huberta.

– Jakby było co podsłuchiwać – mruknął chłopak

Hubert wiedział, że jeżeli czegoś nie robi, to skończy tak jak Paweł. Nagle ten najbardziej pijany podniósł się z ziemi.

– Ty tu nie bezzziessz... – zaczął bełkotać, kiedy Hubert kolbą karabinu uderzył go w szczękę.

Napastnik nieprzytomny zwałił się na ziemię. W tej samej chwili mężczyzna, który go znalazł, chciał się na niego rzucić, ale Hubert kopnął go w brzuch, a gdy ten zgiął się wpół, uderzył go łokciem w karkz taką siłą, że zbir wyładował w trawie.

Wtem inny sięgnął do paska po nóż. Hubert błyskawicznie skierował w jego stronę lufę kałasznikowa.

– Nie radzę – powiedział cicho, na co mężczyzna zamarł w bezruchu.

Poruszyły się tylko jego oczy, które obserwowały coś za Hubertem. Chłopak odwrócił się samą porę, żeby zablokować karabinem najmłodszego. Ten zamachnął się na niego bagnetem. Hubert kopnął go w kolano i usłyszał chrupnięcie, po czym chłopak wyładował na ziemi, jęcząc głośno.

Hubert spojrział na niego i się opamiętał. Nie chciał nikogo zabijać, a bez pomocy lekarza, o którą tak ciężko w tych czasach, młody chłopak, o ile w ogóle przeżyje, będzie chodził o kulach. Lecz było już za późno na odwrót. Ktoś złapał go od tyłu, objął potężny mi ramionami i pochwycił w żelazny uścisk. W tym samym czasie ten, który pierwszy sięgał po nóż, odebrał mu karabin. Hubert wiedział, co to oznacza – stracił właśnie jedyną przewagę, jaką nad nimi miał. Opierając się na silnych rękach, które go ścisnęły, wyrzucił obie nogi przed siebie, trafiając w klatkę piersiową faceta z karabinem, a potem energicznie odrzucił głowę do tyłu, miażdżąc nos temu, który go trzymał. Uścisk natychmiast zelżał, więc Hubert mógł mu się wyrwać i umknąć w ciemność.

Był jedyne zły na to, że stracił karabin służący mu już tyle lat.

Nagle usłyszał za sobą krzyki.

„Gonia mnie” – stwierdził ze zdziwieniem.

Był przekonany, że będą mieli dosyć, ale trzej najlżej ranni wpadli we wściekłość, że pobili ich jeden chłopak, i zaczęli biec za nim. Usłyszał, że się rozdzielili.

Choć jego wrogowie mieli karabin, szanse znów się wyrównały. W przeciwieństwie do nich Hubert nie bał się ciemnego lasu. Dzięki dziesiątkom polowań z Woźnicą umiał również bezgłośnie się po nim poruszać. Wiedział też, że w okolicy nie ma ani jednego demona.

Hubert w pierwszej chwili chciał skierować się do Mokki, jednak uznał, że po ciemku i tak razem z nią nie ucieknie, a kłacz tylko narobi hałasu.

Nagle tuż nad jego głową poszła seria wystrzałów z karabinu, roztrzaskując pnie drzew. Hubert przypadł do ziemi, jednak tamci strzelali najwyraźniej na oślep.

Kiedy strzały umilkły, Hubert wstał z ziemi i szybkim krokiem zaczął oddalać się od wsi. Planował zgubić napastników w lesie, zatoczyć wielkie półkole i wrócić do konia, kiedy tylko wszyscy się uspokoi. Jednak nie docenił przeciwników. Okrążyli go z dwóch stron. Na szczęście nie zgrali się w czasie. W jednej chwili ktoś z bojowym okrzykiem ruszył na niego biegiem. Hubert w ostatniej chwili uniknął opadającej na niego grubej gałęzi. Odskoczył na bok i od tyłu podciął przeciwnikowi nogi w kolanach, lecz ten twardo stał na ziemi i tylko przykłęknął, biorąc po chwili

kolejny zamach kijem. Hubert przyjął cios na przedramię lewej ręki, a prawą pięścią uderzył go w twarz. W takich chwilach dziękował kapralowi Zgorzelcowi, że tak gnębił ich zapasami. Już miał zakończyć walkę potężnym kopniakiem, kiedy nagle poczuł rozdzierający ból w prawym boku. To ten z rozbitym nosem dźgnął go nożem. Hubert krzyknął z wściekłości, mężczyźni na chwilę odskoczyli od niego. Wtedy przypomniał sobie o colcie w kaburze przy pasku. Jednym ruchem wyszarpnął go, odbezpieczył i wystrzelił. Mężczyzna z nożem ze zdziwieniem spojrzął na swoją klatkę piersiową, z której zaczęła lać się krew. Chciał jeszcze coś powiedzieć, postąpił krok naprzód, a potem runął twarzą na ziemię. Hubert odwrócił się do drugiego napastnika, który kłęczał po ciosie, jaki otrzymał w twarz. Podszedł do niego i wycelował w jego czoło. Tamten spojrzął na niego błagalnie. Chłopak delikatnie przy cisnął spust, ale nie strzelił.

„Wystarczy zabijania na tę noc” – pomyślał.

Uderzył mężczyznę pistoletem tak, że ten padł nieprzytomny na ziemię.

Hubert rozejrzał się dookoła. Gdzieś jeszcze krył się ten z karabinem, prawdopodobnie zgubił się w ciemnościach, lecz lepiej nie ryzykować i na niego nie czekać. Zatknął pistolet za pasek i tamując ręką krew płynącą z rany w boku, pomaszerował dalej w las. Po jakimś czasie usłyszał w oddali nawoływania. To ten z karabinem krzyczał do kolegów, jednak nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Hubert zatoczył duże półkole i ruszył w kierunku miejsca, gdzie zostawił konia. Dopiero teraz zaczął odczuwać coraz większy ból w lewym przedramieniu, w głowie mu dudniło, coraz trudniej było mu podnosić nogi. Rana od noża krwawiła obficie. Na zmianę było mu gorąco i zimno. W końcu dotarł na miejsce, gdzie zostawił kłacz, ale nigdzie jej nie zobaczył. Na ziemi spoczywał jedynie worek z bronią.

– Mokła! – zawołał stłumionym głosem, ale po koniu nie było śladu.

„Możliwe, że się spłoszyła i zerwała, usłyszawszy strzały” – wydedukował.

Hubert usiadł na ziemi, lecz wiedział, że nie może zostać w tym miejscu. Jeżeli rano znajdą go ci, którzy przeżyli, załatwią go jak Pawła, a on nie będzie miał już siły, żeby się obronić. Z ciężkim sapnięciem wstał z ziemi, zarzucił sobie na ramię worek i ruszył przez ciemny las byle jak najdalej od wsi.

Nie miał pojęcia, jak długo szedł, godziny zaczęły się zlewać ze sobą. Worek ciążył mu coraz bardziej, jednak wiedział, że nie może sobie pozwolić na to, by go zostawić. Zostałby wtedy zupełnie bezbronny. Rana w boku bolała go okropnie, tracił wiele krwi, był coraz słabszy. Przed oczyma zaczęły skakać mu kolorowe plamki. Zdawał sobie sprawę z tego, że już nie dojdzie daleko.

Szedł już ostatkiem sił, kiedy w oddali, między drzewami zobaczył jaśniejszy, prostokątny kształt. W samym środku lasu stał niewielki domek. Hubert skierował się w jego stronę i stanął przed drzwiami. Uniósł prawą dłoń i spróbował chwycić klamkę. Udało mu się dopiero za trzecim razem, niestety, drzwi ani drgnęły. Były jednak stare i nie mogły trzymać się mocno w zawiasach. Hubert zebrał resztkę sił i mocnym kopniakiem wyważył drzwi, które z hukiem wpadły do środka. Wszedł do ciemnego pomieszczenia i upadł twarzą na ziemię.

Obudził się w ciemnym, zatęchłym pomieszczeniu. Odrobina światła wpadającego przez zabite deskami okienko pod sufitem pozwoliła mu rozpoznać kontury stolika na środku pokoju, szafy pod ścianą i drzwi.

– Gdzie jestem? – rzucił w przestrzeń. Podniósł się na łokciach, a świat zawirował.

Rana w boku zakłuła boleśnie.

Powoli usiadł na łóżku zasłanym zakurzonymi kocami i opuścił stopy na betonową podłogę. Ręką przetarł oczy i twarz. Czuł się jak na olbrzymim kacu. Wszystko go bolało, świat huśtał się raz w jedną, raz w drugą stronę, w ustach miał Saharę i nie mógł zebrać myśli.

Wtedy wszystko sobie przypomniał. Chudego pustelnika, Pawła, wieś o nazwie Czarna i walkę z tymi, którzy tak go pobili. Ale jak się znalazł tutaj? Pamiętał jedynie, że Mokła uciekła, a on włożył się przez las.

– Witamy wśród żywych. – Ktoś wszedł do pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Świeże powietrze buchnęło Hubertowi w twarz.

Chłopak przyglądał się przez chwilę mężczyźnie. Dałby głowę, że nigdy wcześniej nie widział go na oczy, jednak było w nim coś znajomego.

– Napij się. – Mężczyzna podał mu blaszany kubek pełen wody z domieszką czegoś paskudnego.

Hubert ostrożnie powąchał płyn, a potem wypił cały duszkiem. Wszystko wokół zaczęło nabierać wyraźniejszych konturów. Nadal siedząc na łóżku, chłopak zaczął obserwować, jak mężczyzna zapalną odpałił lampę naftową, a potem wyszedł, lecz wrócił po kilku minutach, niosąc dwie srebrne puszkę. Odbiło się w nich światło lampy.

– Głodny? – zapytał, machając w stronę chłopaka jedną z puszek.

– A bo ja wiem... – Hubert wrzucił ramionami, wszystko tak go bolało, że nie był w stanie myśleć o głodzie.

– Trzymaj. – Mężczyzna podał mu otwarty blaszany pojemnik powyginaną łyżką. – Uważaj, bo gorące. A jak będziesz chciał coś przeciwbólowego, to mów, mam jeszcze trochę. Ale za to wybiorę sobie coś w zamian z twojego worka.

– Dobra – odparł.

– Jurek jestem – przedstawił się facet.

– Hubert. Możesz mi powiedzieć, jak się tu znalazłem? – chciał się upewnić.

– Przedwczoraj wywaliłeś mi drzwi z zawiasów – wyjaśnił mężczyzna. – W nocy – podkreślił.

– Nie wiem, jakim trzeba być wariatem, żeby samemu po ciemku pałętać się po lesie. Nic nie mówiłeś, ledwie się trzymałeś na nogach. A ta rana z boku wyglądała naprawdę paskudnie. To co miałem z tobą zrobić? Sprowadziłem tu, na dół, opatrzyłem i pozszywałem. Ale po coś tu przylazł i skąd, nie mam pojęcia. Aha, pozwoliłem sobie przejrzeć ten twój worek. Za usługę lekarską wzięłem kurtkę. Jak będziesz chciał więcej leków, to dorzucisz też bagnet.

Hubert pokiwał głową. Wszystko się zgadzało.

Dalej jedli w milczeniu. Chłopak rozpamiętywał wydarzenia z poprzedniej nocy. Zastrzelił człowieka, innemu strzaskał rzeplę w kolanie, kolejnych trzech nieźle poturbował. I po co to wszystko?

„Żeby nikogo już nie skrzywdzili tak jak Pawła” – odpowiedział sam sobie.

Kiedy pochłonął całą zawartość puszkę, zmógł go sen. Uważając na bolący bok, ułożył się na łóżku, przykrył śmierzdzącym kocem i odpłynął w nicość.

Ocknął się jakiś czas później. Jurek siedział przy stole, zwrócony do niego plecami, i przecierał coś szmatą.

– Która godzina? – zapytał Hubert.

– Za jakieś dwie godziny zacznie się zmierzchać – odparł mężczyzna, nawet się nie oglądając.

– Muszę iść do wychodka.

– Jest na zewnątrz, a jak chcesz wody, to przyniosłem trochę w wiadrze, jest w łazience na górze. – Jurek odwrócił się do niego, w rękę trzymał rozebrany na części pistolet. – Dasz radę dojść?

– Dam. – Hubert powoli dźwignął się z łóżka i opierając się o ściany, wyszedł z pomieszczenia.

Odnalazł schody i wspiął się na górę. Jego oczom ukazało się zrujnowane mieszkanie. Po ziemi walały się poniszczony meble i sprzęty domowe. Szyby były powybijane, okna zabito deskami. Gdzieś wisiły reszki burch firańek. Przez otwarte drzwi napływało rześkie, zimne powietrze. Dom prezentował się jak większość mieszkań w tych czasach.

Odnalazł łazienkę, która wcale nie wyglądała lepiej niż reszta domu. Zlew i sedes rozbite, krany powyrywane ze ścian, żaden kafelek nie był cały. Obok drzwi stało wiadro wypełnione wodą. Hubert z trudem przy nim przykląkł i zamoczył ręce w zimnym płynie. Obmył twarz i kark, co sprawiło, że od razu poczuł się lepiej.

Zdjął z siebie koszulkę, a potem odwinął bandaż, który zaczął już przesiąkać krwią. Rana od noża nie wyglądała najlepiej. Jurek krzywo ją pozszywał, ale przecież bywało już gorzej. Nawet nie będzie miał tak wielkiej blizny jak na ramieniu po biesie. Zakleił ranę opatrunkiem.

Podniósł się i wtedy zobaczył kawał lustra prowizorycznie przychepionego do ściany. Kiedy stanął przed nim, ujrzał swoją opaloną twarz, brudne włosy i kilkadziesiąt zarost.

Nagle wróciła mu pamięć. Uderzyła w niego z taką siłą, że musiał przytrzymać się ściany. Jurek wydawał mu się znajomy i ten dom też, bo już kiedyś się tu znalazł! Trafiał ranny w to miejsce, tylko nic nie pamiętał!

– Jestem w drodze do Święcina! – powiedział do swojego odbicia w lustrze.

Chwiejnym krokiem wyszedł na dwór. Kojarzył tę okolicę. Załatwił potrzebę i wrócił do piwnicy.

– Muszę znaleźć konia – powiedział, siadając na łóżku.

– Teraz to musisz dojść do siebie – odparł Jurek

– Ty nic nie rozumiesz – stwierdził nieco bełkotliwie ze zmęczenia, a potem usnął.

Kiedy się obudził, Jurek dał mu trochę jedzenia i nalał do kubka paskudnego bimbru. Hubert wcisnął w siebie kaszę z gulaszem z puszką, a potem jednym haustem opróżnił kubek

– Kiedy spałeś, wybrałem się na spacer po okolicy i znalazłem konia – powiedział Jurek – Biedna klacz była przestraszona, ale dała mi się tutaj przywodzić. Taki trochę muł z niej, co?

– Tak Dziękuję – powiedział Hubert. – Jesteś, to znaczy byłeś, nauczycielem, prawda? – zapytał po chwili. – Historii.

Jurek spojrzął na niego zaskoczony.

– Skąd wiesz? Uczyłem cię kiedyś?

– Nie. – Hubert uśmiechnął się do siebie. – Po prostu wyglądasz jak nauczyciel.

Niedługo potem Hubert usnął. Co rusz budził się, a Jurek dawał mu jedzenie, po czym chłopak znów zasypiał. Godziny i dni zaczęły się zlewać w jeden. Często dręczyły go różne dziwne sny przedstawiające pomieszane ze sobą Święcino i Dąbrówkę. Śnili mu się Iza, Henryk, Ernest, Zuza, Michał i już nie potrafił rozróżnić, co jest prawdą, a co tylko urojeniem.

W końcu obudził się pogodnego ranka. Czuł się dość dobrze, choć rana w boku wciąż go bolała. Przystało mu za to łomotać w głowie i mógł w końcu normalnie myśleć. Z worka wyciągnął tubę z mapami i odszukał na jednej z nich wieś o nazwie Schwietzin.

Wszystko zaczęło się zgadzać.

„A więc historia zatoczyła koło” – pomyślał, pakując się.

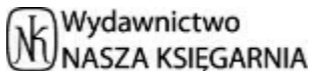
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014
Text © by Paulina Hendel 2014

Projekt okładki *black gear*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Ewa Mościcka, Krystyna Lesińska, Jolanta Karaś*
Korekta pliku po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-12807-2

Plik wyprodukowany na podstawie *Zapomniana księga. Tropiciel*, Warszawa 2014



www.naszaksięgarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Konwersję wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.